



# HENNING MANKELL

**Szwedzkie kalosze**

Henning Mankell

SZWEDZKIE KALOSZE

przełożyła Ewa Wojciechowska



Tytuł oryginału: *Svenska gummistövlar*  
Copyright © by Henning Mankell, 2015  
Published by agreement with Leopard Förlag, Stockholm and Leonhardt & Høier  
Literary Agency A/S, Copenhagen  
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI  
Copyright © for the Polish translation by Ewa Wojciechowska, MMXVI

Wydanie I  
Warszawa

# Spis treści

Dedykacja

Wyjaśnienie

Motto

Część I. Ocean Nicości

1

2

3

4

5

6

7

Część II. Lis w drodze na Golgotę

8

9

10

11

12

13

Część III. Beduin w butelce

14

15

16

17

18

19

#### Część IV. Cesarski bęben

20

21

22

23

24

25

Posłowie

Przypisy

*Dla Elise*

Powieść ta jest luźną kontynuacją książki *Włoskie buty*, wydanej w Polsce w 2013 roku. Historia w niej opisana rozgrywa się osiem lat później.

Wiele się nauczył ten, kto cierpiał.

*Pieśń o Rolandzie*



Część I  
Ocean Nicości

Mój dom spłonął jesienną nocą przed niespełna rokiem. Była niedziela. Po południu zerwał się wiatr. Kiedy wieczorem spojrzałem na wiatromierz, w porywach wiało do dwudziestu metrów na sekundę.

Wiatr był północny i bardzo zimny, chociaż jesień rozpoczęła się niedawno. Idąc spać koło jedenastej, pomyślałem, że moją wyspę odziedziczoną po babce i dziadku nawiedził pierwszy w tym roku jesienny sztorm.

Zbliżała się zima. Już niebawem miały przyjść mroźne noce i skuć lodem otaczające mnie morze.

Tamtej nocy po raz pierwszy wszedłem do łóżka w skarpetach. Zima powoli zaczynała węszyć i badać teren.

Miesiąc wcześniej z wielkim trudem naprawiłem dach. Było to wielkie wyzwanie dla takiego robotnika jak ja. Dachówki były stare, wiele z nich popękało. Moje dłonie, nawykłe niegdyś do trzymania skalpela i przeprowadzania precyzyjnych zabiegów, nie radziły sobie z szorstkimi, topornymi dachówkami.

Ture Jansson, emerytowany listonosz, który przed laty rozwoził pocztę po okolicznych wyspach, podjął się przywiezienia dla mnie nowych dachówek z portu. Odmówił nawet zapłaty. Widocznie uznał, że jest mi winien przysługę, ponieważ od dawna prowadziłem w mojej szopie z hangarem na łódź prowizoryczny ostry dyżur i zajmowałem się licznymi wyimaginowanymi dolegliwościami Janssona.

Nie umiałbym zliczyć, ile razy schodziłem na pomost, żeby zbadać jego obolałe, jak twierdził, ręce i plecy. Setki razy przynosiłem z szopy stetoskop, osłuchiwałem jego płuca i serce, a potem stwierdzałem, że brzmią tak, jak powinny. Przy każdej takiej kontroli Jansson wydawał się zdrów jak ryba, ale mimo to jego lęk przed ciężkimi chorobami nie malał. Przekraczał wszelkie wyobrażenia. Nie spotkałem się z czymś podobnym nawet przez

długie lata mojej praktyki lekarskiej. Jansson był pełnoetatowym hipochondrykiem.

Kiedyś poskarżył mi się na ból zęba, a ja odmówiłem mu pomocy. Nie wiedziałem, czy poszedł do lekarza na stałym lądzie, nie wiedziałem też, czy w ogóle miał kiedyś dziurę w zębie. Być może zgrzytał zębami przez sen, martwiąc się o swoje zdrowie, i w ten sposób nabawił się bólu?

Tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar, jak zwykle połknąłem tabletkę nasenną i wkrótce usnąłem.

Obudziło mnie jaskrawe światło. Kiedy otworzyłem oczy, pomyślałem, że ktoś włączył nade mną silną lampę. Po chwili dostrzegłem, że pod sufitem unosi się ciemny dym. Nie miałem na stopach skarpetek, musiałem je ściągnąć przez sen, gdy w pokoju zrobiło się ciepło. Wskoczyłem z łóżka i zbiegłem schodami na parter do kuchni. Wszędzie otaczało mnie jaskrawe światło. Zdążyłem dostrzec, że zegar na ścianie w kuchni wskazuje dziewiętnaście minut po północy. Zerwałem z wieszaka przy drzwiach moją czarną pelerynę, wciągnąłem na bose stopy kalosze, z których jeden ledwie dał się założyć, i wybiegłem na zewnątrz.

Cały dom stał w płomieniach. Ogień huczał. Biło takie gorąco, że musiałem zejść aż na pomost. Stałem obok szopy i patrzyłem. Wówczas nie przyszło mi nawet do głowy, by się zastanowić, co spowodowało tę katastrofę. Po prostu stałem i patrzyłem na coś, co zdawało się niemożliwe. Serce waliło mi tak mocno, że bałem się, iż rozpadnie się w środku na drobne kawałki. Pożar szalał również w mojej głowie.

Czas rozpływał się w płomieniach. W pewnej chwili spostrzegłem, że nadpływają łodzie z wyrwanymi ze snu mieszkańcami okolicznych wysepek. Teraz nie umiałbym jednak powiedzieć, jak długo stałem na pomoście i kto wówczas przybył. Byłem jak sparaliżowany, ze wzrokiem utkwionym w płomieniach i snopach iskier strzelających wysoko w rozgwieżdżone niebo. W pewnym momencie, ku memu przerażeniu, zdało mi się, że za płonącym domem widzę sylwetki moich dziadków.

Jesienią zostawało nas tutaj niewielu. Z końcem wakacji letnicy zabierali żaglówki do swoich portów i wracali do miast. Mimo to

ktoś dostrzegł płomienie w ciemności. Wieść o pożarze szybko się rozniosła i wszyscy przyłączyli się z pomocą. Przybyła też jednostka gaśnicza straży przybrzeżnej. Strażacy polewali dom słoną wodą, ale było już za późno. Zmienił się tylko swąd na pogorzeli. Spalone drewniane belki, panele ściennie, tapety i linoleum w połączeniu ze słoną wodą wydają smród, którego niepodobna zapomnieć.

Kiedy zaczęło świtać, z mojego domu pozostała dymiąca i śmierdząca ruina. Wtedy też ustał wiatr. Sztorm wyszalał się i pognał dalej, gdzieś nad Zatokę Fińską.

W pewien sposób wiatr sprzymierzył się z ogniem. Razem zadbali o to, żeby z pięknego domu moich dziadków została tylko sterta popiołu.

Również dopiero wtedy, nad ranem, po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, co mogło wywołać pożar. W domu nie paliła się świeca ani żadna ze starych lamp naftowych. Nie paliłem fajki ani papierosów, piec na drewno był wygaszony, a instalację elektryczną wymieniłem ledwie przed rokiem.

Nie było logicznego wyjaśnienia. Dom stanął w płomieniach ot tak, bez żadnej przyczyny. Zupełnie jakby domy mogły popełnić samobójstwo ze starości albo ze zmęczenia.

Pojałem wówczas, że myliłem się w pewnej podstawowej sprawie. Przed wieloma laty uciekłem na tę wyspę po fatalnej operacji, podczas której omyłkowo amputowałem młodej dziewczynie zdrową rękę. Znalazszy się tutaj, w domu moich dziadków, często myślałem, że stał wówczas, gdy ja przyszedłem na świat, i będzie stał dalej, kiedy mnie już nie będzie.

Myliłem się. Na pewno miały mnie przeżyć dęby, brzozy, olchy i samotny jesion. Ale z pięknego domu na wyspie miał ostać się jedynie fundament z kamiennych bloków, przewiezionych po lodzie z dawno zamkniętego kamieniołomu pod Håkansborgiem.

Przerwałem rozmyślenia, zorientowawszy się, że obok mnie stoi Jansson. Miał na sobie wytarty granatowy kombinezon. Nie miał czapki, ale włożył na dłonie stare rękawice motocyklowe. Pamiętałem je z czasów, kiedy morze skuwał lód i Jansson przesiadał się z łodzi motorowej na hydrokopter i tak rozwoził pocztę.

Stał tuż obok mnie i gapił się na moje stopy. W końcu sam spojrzałem w dół i odkryłem ze zdumieniem, że włożyłem dwa lewe ciemnozielone kalosze marki Tretorn. Zrozumiałem, czemu tak trudno mi było wciągnąć jeden z nich. I dlaczego tak ciężko mi było się poruszać, kiedy wreszcie odważyłem się obejść pogorzelisko.

– Dam ci jednego – powiedział Jansson. – Mam w domu kilka różnych par.

– Niewykluczone, że ja też mam jeszcze jedną parę w szopie – odparłem.

– Nie, nie masz. Już sprawdziłem. Są tam stare skórzane buty i stare raki, które dawniej zakładało się, żeby polować na fokki na lodzie.

Nie zdziwiła mnie wiadomość, że Jansson grzebał w mojej szopie, chociaż wiedziałem, że tym razem zrobił to, chcąc mi pomóc. Już wcześniej wiedziałem, że czasem tam węszy. Jansson był ciekawski. Na pewno czytał wszystkie przechodzące przez jego ręce pocztówki.

Spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. To była długa noc.

– Co teraz zrobisz? – zapytał. – Gdzie będziesz mieszkał?

Nie odpowiedziałem, bo nie znałem odpowiedzi.

Podszedłem do dymiącego pogorzeliska. Niepasujący kalosz ocierał mi stopę.

To jedyne, co w tej chwili posiadam, pomyślałem. Niepasujące kalosze. Wszystko inne zniknęło. Nie mam nawet nic do ubrania.

W tamtej chwili, kiedy uzmysłowiłem sobie rozmiary katastrofy, świadomość ta rozbrzmiała we mnie przeciągłym jękiem. Mimo to niczego nie usłyszałem. Wszystko, co działo się w moim wnętrzu, odbywało się w ciszy.

U mego boku znowu pojawił się Jansson. Poruszał się nadzwyczaj cicho, jakby miał miękkie łapy zamiast nóg. Nie było go, a potem nagle pojawiał się znikąd. Jakby również posiadał zdolność utrzymywania się poza zasięgiem wzroku.

Dlaczego spalił się mój dom, a nie ta jego żałosna chałupa na wyspie Stångskär?, pomyślałem.

Jansson zachnął się, jakby usłyszał moje myśli. Wiedziałem jednak, że wykrzywił twarz odruchowo, uświadomiwszy sobie, że podszedł za blisko.

– Możesz oczywiście zatrzymać się u mnie – powiedział po chwili.

– Bardzo ci dziękuję – odparłem i spojrzałem na przyczepę mojej córki Louise, stojącą w olchowym zagajniku kawałek za plecami Janssona. Rósł tam też wysoki dąb, który nie zrzucił jeszcze liści. Przyczepa była ledwie widoczna między gałęziami.

– Przecież mam przyczepę – powiedziałem. – Mogę w niej na razie zamieszkać.

Jansson spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Sąsiedzi, którzy przyплыnęli ze swoich wysp, zaczęli krzątać się przy swoich łodziach. Ale zanim do nich wsiedli, podchodzili do mnie i zapewniali, że są gotowi udzielić mi wszelkiej potrzebnej pomocy.

W ciągu jednej nocy moja rzeczywistość uległa radykalnej zmianie. Straciłem wszystko. Nie miałem nawet pary dopasowanych kaloszy.

Patrzyłem, jak odpływa łódka za łódką. Po jakimś czasie ucichł warkot ostatniej motorówki.

Znałem tych wszystkich ludzi, wiedziałem, jak się nazywają. Tutaj, na okolicznych wyspach, żyli głównie potomkowie dwóch rodzin, Hanssonów i Westerlundów. Wielu z nich się nawzajem nie znosiło i spotykali się tylko na pogrzebach albo kiedy zdarzył się jakiś wypadek na morzu lub pożar. Wówczas zatargi szły na chwilę w zapomnienie, ale kiedy było po wszystkim i życie wracało do normy, ożywały na nowo.

Nigdy nie stałem się częścią tej społeczności, która trzymała się razem mimo wielu sporów. Mój dziadek pochodził z Lundbergów, jednej z pomniejszych tutejszych rodzin, której przez wiele pokoleń udawało się unikać poważnych konfliktów. W dodatku ożenił się z dziewczyną pochodzącą z odległych Wysp Alandzkich.

A ja, chociaż wnuk Lundbergów, nigdy nie byłem i nie będę częścią tutejszej społeczności. Na zawsze pozostanę lekarzem uciekinierem, który ukrył się przed światem na odziedziczonej wysepce. Moja wiedza i umiejętności były oczywiście cenne, ale nigdy nie stałem się jednym z tutejszych.

Poza tym wszyscy wiedzieli, że kąpię się zimą w przeręblu. Wyrąbywałem otwór w lodzie i wchodziłem do czarnej lodowatej wody. Tutejsi traktowali tę moją ekstrawagancję z wielką nieufnością. Większość miała mnie za szaleńca.

Wiedziałem od Janssona, że ludzie interesują się tym, jak żyję. Co można robić samotnie na odludnej wyspie? Nie łowiłem ryb, nie należałem do żadnego stowarzyszenia, nie polowałem i nie chciało mi się nawet odnowić szopy z hangarem na łódź. Nie wspominając już o kamiennym filarze pomostu po drugiej stronie mojej wyspy zniszczonym przez lód dobrych parę lat temu.

Słowem, wszyscy okoliczni mieszkańcy nie traktowali mnie całkiem poważnie. Natomiast pojawiający się tu w sezonie letnicy,

którzy usłyszeli od kogoś o żyjącym na wyspie emerytowanym lekarzu, uważali mnie za szczęściarza. Zazdrościli mi, że nie muszę zmagać się z życiem w wielkim mieście.

Zeszłego lata do mojego pomostu przybił duży jacht. Zszedłem na brzeg, żeby przegonić intruzów, ale zobaczyłem mężczyznę i kobietę znoszących z pokładu dziecko. Dostało jakiejś wysypki i miało podrażnioną skórę na całym ciele. Ci ludzie usłyszeli od kogoś, że na tej wysepce mieszka lekarz, i przyплыли po pomoc. Oczywiście otworzyłem dla nich moją prowizoryczną klinikę w szopie. Położyliśmy dziecko na drewnianej ławce pod ścianą, na której wciąż wisiały stare sieci rybackie mojego dziadka. Szybko stwierdziłem, że to niegroźna pokrzywka. Po krótkim wywiadzie doszedłem do wniosku, że dziecko nie może jeść świeżych truskawek.

Poszedłem do domu i przyniosłem łagodny lek antyalergiczny, który można dostać w aptece bez recepty.

Kiedy było po wszystkim, chcieli mi oczywiście zapłacić, ale nie przyjąłem pieniędzy. Potem stałem chwilę na pomoście i patrzyłem, jak ich luksusowy jacht odpływa i powoli znika za wysepką Höga Tryholmen.

Zawsze trzymałem w domu spory zapas leków. Nie byłem hipochondrykiem, ale lubiłem mieć lekarstwa pod ręką. Wolałem być przygotowany na każdą okoliczność. Nie chciałem na przykład obudzić się pewnej nocy z zawałem serca i nie móc udzielić sobie pierwszej pomocy, którą uzyskałbym dopiero w karetce pogotowia. Z tej samej przyczyny oprócz rozmaitych leków i ampułek miałem również kilka butli z tlenem.

Podejrzewałem, że inni lekarze boją się nagłej śmierci tak samo jak ja. Czasem zdarzało mi się żałować decyzji, którą podjąłem, mając piętnaście lat. Właśnie wtedy postanowiłem zostać chirurgiem. Teraz lepiej rozumiałem mojego ojca, zmęczonego pracą kelnera, który nie ukrywał rozczarowania moim wyborem i pytał mnie w kółko, czy naprawdę chcę spędzić życie na krojeniu ludzkich ciał. Odpowiadałem mu, że jestem przekonany, że to dobra decyzja, chociaż nigdy się nie przyznałem, że od początku poważnie



wątpiłem, iż uda mi się dostać na studia medyczne. A kiedy jakimś cudem się na nie dostałem, było już za późno, by zmienić zdanie.

Jeśli miałbym być całkiem szczery, zostałem lekarzem, bo kiedyś powiedziałem ojcu, że taki będzie mój zawód. Gdyby zmarł w trakcie moich studiów, przerwałbym je bez chwili namysłu.

Nie wiedziałem, co bym zrobił wówczas ze swoim życiem. Pewnie dużo wcześniej przeprowadziłbym się na tę wyspę. Nie miałem jednak pojęcia, z czego bym żył.

Ostatnie łódki odpłynęły, kiedy nadszedł świt. Poranek był mglisty. Morze i wysepki zdawały się jeszcze bardziej szare niż zwykle. Zostaliśmy sami z Janssonem. Towarzyszył nam swąd pogorzeliska. Raz po raz w stercie spalonych belek rozbłyskał jeszcze płomień. Owinąłem się ciasniej peleryną i obszedłem to, co zostało z domu. Zauważyłem, że nadpaliła się jedna z jabłoni zasadzonych przez mojego dziadka. Wyglądała jak rekwizyt na scenie w teatrze. Spłonął nawet blaszany bojler, a trawa wokół domu była osmalona.

Poczułem nieodpartą chęć, żeby krzyknąć na cały głos, ale nie mogłem tego zrobić, dopóki był tu ten wścibski Jansson. Nie miałem odwagi, żeby go odprawić. Jeszcze nie wiedziałem, co zrobię, ale przeczuwałem, że będę potrzebował jego pomocy.

Po chwili do niego wróciłem.

– Muszę cię poprosić o przysługę – powiedziałem. – Potrzebny mi telefon komórkowy. Mój spłonął razem z domem.

– Mam w domu zapasowy aparat. Mogę ci go pożyczyć – odparł.

– Tylko do czasu, aż kupię sobie nowy.

Jansson pojął, że potrzebuję jego telefonu natychmiast. Poszedł do swojej łodzi. Był jednym z ostatnich, którzy mieli łódź z silnikiem średnioprężnym, który uruchamiało się za pomocą gruszki żarowej. Kiedy jeszcze rozwoził pocztę, miał nowocześniejszą i szybszą motorówkę, ale w dniu, w którym przeszedł na emeryturę, sprzedał ją i wrócił do tej starej drewnianej łajby, odziedziczonej niegdyś po ojcu. Dużo mi o niej opowiedział. Wiedziałem, że powstała w malutkiej stoczni w Västervik w 1923 roku i wciąż miała oryginalny silnik.

Stałem bez ruchu i wpatrywałem się w pogorzeliśko. Usłyszałem, jak Jansson odpala silnik. Spojrzałem w jego stronę i ujrzałem, jak macha mi na pożegnanie, wystawiając głowę ze sterówki.

Po tym, jak ucichł sztorm, zrobiło się całkiem bezwietrznie. Otaczała mnie kompletna cisza. Wrona siedziała na drzewie i obserwowała mój spalony dom. Podniosłem kamień i rzuciłem w jej stronę. Zerwała się do lotu i poszybowała gdzieś.

Poszedłem do przyczepy. Usiadłem na łóżku i zacząłem kontemplować swój ból. Rozpacz rozlała się po moim ciele ciepłą falą, poczułem ją aż w czubkach palców u stóp. Była jak gorączka. Wrzasnąłem na cały głos. Zdawało mi się, że zafalowały blaszane ściany przyczepy. Potem zacząłem płakać. Nie płakałem tak gwałtownie, odkąd przestałem być dzieckiem.

Położyłem się na łóżku i wbiłem wzrok w płamę wilgoci na suficie. Nagle wydała mi się podobna do płodu. Przez całe dzieciństwo odczuwałem dojmujący strach przed porzuceniem. Bywało, że budziłem się w środku nocy i cichutko zakradałem się do sypialni rodziców, żeby sprawdzić, czy dalej tam są. Czy nie odeszli, zostawiając mnie na pastwę losu. Kiedy nie słyszałem ich oddechów, paraliżował mnie strach, że umarli i zostałem sierotą. Wówczas podchodziłem bliżej, pochylałem się nad ich twarzami i stałem tak, aż zyskałem pewność, że wciąż oddychają.

Nie miałem powodu do obaw. Moja matka uważała zajmowanie się mną, karmienie mnie i ubieranie za swoją najwyższą powinność. Ojciec myślał podobnie. Był zdania, że najważniejsze w życiu jest dobre wychowanie i wykształcenie. Rzadko bywał w domu. Pracował jednocześnie w kilku restauracjach. Ale w tych rzadkich chwilach, kiedy bywał w domu, czy to z powodu krótkiego urlopu, czy po tym, jak utracił pracę po jakiejś kłótni z właścicielem lokalu, urządził mi wymyślone przez siebie, jedyne w swoim rodzaju ćwiczenia. Kazał mi otwierać drzwi między pokojem a kuchnią i udawać, że przepuszczam przodem kobiety. Sadzał mnie przy odświętnie nakrytym stole i zaznajamiał mnie z etykietą, uczył wznosić toasty i prowadzić dystyngowane rozmowy z wyimaginowanymi damami. Pewnego razu kazał mi zapowiedzieć

publicznie laureata nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, kiedy indziej szwedzkiego ministra spraw wewnętrznych, a nawet premiera.

Przerażały mnie te zabawy. Cieszyłem się, kiedy mnie chwalił, ale odczuwałem nieustanny strach, że popełnię jakąś gafę w świecie, do którego próbował mnie wprowadzić. Ojciec nie ułatwiał mi sprawy, bo za każdym razem przygotowywał na mnie małą zasadzkę.

Kiedyś sam miał okazję obsługiwać gości podczas bankietu noblowskiego, ale przypadł mu w udziale stół w najodleglejszym kącie sali, daleko od rodziny królewskiej i laureatów. Mnie postanowił przygotować na każdą okoliczność, choćby najmniej prawdopodobną.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek się ze mną bawił. Za to już jako dziesięciolatek sprawnie wiązałem muchy i krawaty. Nie gorzej szło mi kunsztowne składanie serwetek.

W końcu usnąłem. Miałem zwyczaj uciekania w sen, kiedy stało przede mną poważne wyzwanie. Potrafiłem to zrobić o każdej porze dnia i niezależnie od miejsca, w którym się znajdowałem. Zupełnie jakbym świadomie zmuszał swój organizm do snu, podobnie jak kiedyś, w dzieciństwie, przemyślnie szukałem kryjówek podczas zabawy w chowanego. Znajdywałem wówczas zakamarki za kubłami na śmieci lub za stertą węgla w podwórkach domów, które wynajmowaliśmy. Szczególnie lubiłem chować się w gęstych zaroślach i zagajnikach. Udało mi się pozostawić po sobie sporo nieodkrytych przez nikogo kryjówek, ale mimo to żadna z nich nie była tak niezawodna jak sen.

Kiedy się zbudziłem, poczułem chłód. Nie wiedziałem, która godzina, bo mój zegarek spłonął razem z szafką w sypialni. Wyszedłem z przyczepy i ponownie spojrzałem na zgliszcza. Po niebie płynęły pojedyncze strzępiaste chmurki. Odgadłem po położeniu słońca, że jest między dziesiątą a jedenastą przed południem.

Zszedłem nad brzeg do szopy i otworzyłem pomalowane na czarno drzwi. Ostrożnie, bo miały słabe zawiasy. Wiedziałem, że jeśli szarpnę za mocno, drzwi mogą wypaść. W szopie wisiał na gwoździu kombinezon roboczy i stary sweter, a między puszkami z farbą znalazłem parę wełnianych skarpet, które babka zrobiła dla

mnie na drutach dawno temu. Wtedy były na mnie o wiele za duże, ale teraz pasowały jak ulał. Szukałem dalej i po paru chwilach znalazłem na półce obok starych baterii wełnianą czapkę z naszywką reklamującą telewizor sprzedawany w latach sześćdziesiątych. Widniał na niej napis: „Zawsze świetny obraz”. Litery były mocno wytarte i ledwie dało się je odczytać, w dodatku czapka była pogryziona przez myszy. Dziury wyglądały tak, jakby zrobił je gwałtowny grad. Włożyłem czapkę na głowę i wyszedłem z szopy.

Zamykając drzwi, spostrzegłem, że na pomoście stoi papierowa torba. Zajrzałem do środka i znalazłem w niej telefon, trochę bielizny i parę kanapek. Zrozumiałem, że Jansson przywiózł te rzeczy, kiedy spałem. Zostawił mi nawet wiadomość, nabazgraną na przedartej brązowej kopercie.

„Telefon naładowany. Zatrzymaj go. Kalesony wyprane”.

Obok torby stał prawy kalosz. Czarny, w odróżnieniu od moich dwóch lewych, które były zielone. A także większy, bo Jansson miał większą stopę niż ja.

W kaloszu znalazłem drugą wiadomość na kawałku koperty.

„Niestety nie mam zielonych”.

Zastanawiałem się chwilę, dlaczego nie przywiózł mi lewego kalosza do pary, ale szybko dałem sobie z tym spokój, bo Jansson zawsze kierował się swoją własną logiką, niekoniecznie dla mnie jasną.

Zabrałem torbę i kalosz i wróciłem do przyczepy. Oczywiście stare kalesony Janssona były na mnie za duże. Mimo to wzruszył mnie fakt, że mi je ofiarował.

Włożyłem kombinezon, pod spodem zostawiłem górę od pizamy, żeby służyła za koszulę, a na wierzch wciągnąłem stary sweter. Zrobiłem kulę ze znalezionych w szufladzie reklamówek i wypchałem nimi za duży but. Po tym wszystkim uznałem, że jestem ubrany. Usiadłem na łóżku i zjadłem parę kanapek od Janssona. Musiałem się posilić, żeby móc podjąć jakąś decyzję.

Człowiek, który stracił wszystko, nie ma zbyt wiele czasu. A może było dokładnie na odwrót? Nie wiedziałem.

Nagle usłyszałem warkot silnika. Wiedziałem, że to nie Jansson, jego łódź brzmiała inaczej. W trakcie długich lat spędzonych samotnie na tej wyspie nauczyłem się rozróżniać po warkocie różne typy silników.

Wyteżyłem słuch i już po paru sekundach zyskałem pewność, że to jedna z małych jednostek straży przybrzeżnej, a konkretnie długa na dwadzieścia stóp aluminiowa łódź z dwoma dieslowskimi silnikami marki Volvo.

Odłożyłem nadgryzioną kanapkę, wcisnąłem na głowę podziurawioną czapkę i wyszedłem na zewnątrz. Nie zdążyłem jeszcze zejść na pomost, kiedy pomalowana na niebiesko łódź wyłoniła się z za cypla od strony Skärsfjärden.

Na pokładzie były trzy osoby. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że za sterami stoi młoda kobieta. Miała na sobie mundur straży przybrzeżnej i spod czapki wystawały jej jasne włosy. Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety zatrudnionej w straży. Była niepokojąco urodziwa. Musiałem się dobrze przyjrzeć, żeby stwierdzić, że to dorosła kobieta, a nie nastolatka.

Mężczyzna, który stał na dziobie na szeroko rozstawionych nogach i trzymał w ręce cumę, nazywał się Alexandersson. Wyglądał jak moje przeciwieństwo – był niski i otyły. W dodatku niedowidział i miał mocno przerzedzone włosy.

Pracował w policji. Kilka lat temu, kiedy na okolicznych wyspach doszło do kilku włamań do domków letniskowych, odwiedził wszystkich mieszkańców i wypytywał, czy czegoś nie widzieliśmy. Nigdy nie wyjaśniono tej sprawy.

Alexandersson i ja zawsze się dogadywaliśmy. Był ode mnie młodszy o około dziesięć lat. Nie miałem pojęcia, czy zna moją przeszłość, ale po jego pierwszej wizycie na mojej wyspie doszedłem do wniosku, że mógłby być moim bratem, którego nigdy nie miałem.

Miał domek letniskowy na pobliskim malutkim archipelagu o nazwie Bräkorna. Potem, kiedy czasem pojawiał się u mnie z wizytą, piliśmy kawę, rozmawialiśmy o zdrowiu, wietrze i pogodzie. Żaden z nas nie miał ochoty na poważne dyskusje

o sensie życia. Potrafiliśmy długo siedzieć w milczeniu i przyglądać się ptakom albo gałęziom drzew kołysanym przez wiatr.

Alexandersson był żonaty przez wiele lat i miał dorosłe dzieci. Pewnego dnia żona nagle go opuściła. Nigdy go nie zapytałem, co się stało. Wyczuwałem w nim głęboko skrywany smutek. Może dlatego, że rozpoznawałem go również u siebie? To jedno z tych pytań, na które nigdy nie miałem odwagi odpowiedzieć.

Alexandersson ciężko zeskoczył z łodzi na pomost. Uścisnęliśmy sobie ręce na powitanie, potem on zamocował cumę na palu. Zaraz po nim z pokładu zszedł drugi mężczyzna. Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Miał taką minę, jakby czuł się niepewnie na chybotliwej łodzi. On też podał mi dłoń na powitanie i przedstawił się jako Robert Lundin, ekspert od dochodzeń pożarowych. Mówił dialektem, którego nie rozpoznawałem, choć zdawało mi się, że mężczyzna musi pochodzić gdzieś z głębokiej Norrlandii.

Kobieta wyłączyła silnik i zarzuciła na inny pal pomostu cumę rufową. Potem zeskoczyła z łodzi i skinęła głową na powitanie. Była naprawdę bardzo młoda.

– Alma Hamrén – przedstawiła się. – Przykro mi z powodu pańskiego domu.

Kiwnąłem głową i nagle poczułem, że łzy cisną mi się do oczu. Alexanddersson błyskawicznie się zorientował, co się dzieje.

– Chodźmy to zobaczyć – powiedział.

Alma Hamrén została przy łodzi. Wyjęła z kieszeni komórkę i szybko zaczęła wystukiwać na klawiaturze wiadomość.

Nikt z przybyłych nie skomentował moich niedopasowanych kaloszy. Nie byłem nawet pewien, czy zauważyli, że są nie do pary, ale po chwili uznałem, że przecież nie mogli tego nie zauważyć.

Ze zgliszczy tu i tam wciąż unosił się dym.

– Czy domyślasz się przyczyny pożaru? – zapytał mnie Alexandersson.

Opowiedziałem im, co się stało. Nie paliłem w domu żadnych świeczek, a kiedy kładłem się spać, w piecu było dawno wygaszone. Spałem jakieś dwie godziny, a kiedy się nagle obudziłem, cały dom stał w płomieniach. Na koniec dodałem jeszcze, że niedawno

miałem wymienioną instalację elektryczną i nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie, dlaczego wybuchł pożar.

Lundin stał kawałek z boku i słuchał mnie z uwagą. Nie miał żadnych pytań. Wiedziałem, że przyjechał tu, żeby ustalić przyczynę pożaru. Miałem nadzieję, że mu się to uda. Sam chciałem wiedzieć, co spowodowało tę katastrofę.

Po chwili on i Alexandersson powoli obeszli pogorzelnisko. Stałem w pewnej odległości i obserwowałem ich powolne ruchy. Raz po raz któryś z nich się pochylał. Wyglądali jak czujne zwierzęta.

Nagle ogarnęły mnie mdłości i musiałem się chwycić pompy, żeby nie upaść.

Alexandersson zauważył, że źle się poczułem, i przyjrzał mi się z uwagą. Pokręciłem głową na znak, że nic mi nie jest, i poszedłem do przyczepy. Usiadłem na schodkach i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Po paru minutach wstałem. Mdłości minęły, więc powoli ruszyłem z powrotem w stronę pogorzelniska. Zatrzymałem się jednak w pół kroku, ujrawszy, że mężczyźni są pogrążeni w rozmowie. Nie słyszałem, co mówili, ale coś mi podpowiadało, że rozmawiają ściszym głosem, jakby nie chcieli, żeby ktoś ich usłyszał.

Co jakiś czas Alexandersson zerkał w moją stronę, nie mógł mnie jednak zobaczyć, bo wciąż stałem za gęstymi krzewami.

Wiedziałem, że rozmawiają o przyczynie pożaru. Że nie doszukali się żadnego wytłumaczalnego powodu i zastanawiają się, czy to możliwe, że sam podpaliłem swój dom.

Wstrzymałem oddech i spróbowałem zebrać myśli. Czy to możliwe, że mogą tak o mnie pomyśleć? Czy też po prostu muszą wziąć pod uwagę każdą okoliczność, nawet tę najmniej prawdopodobną?

Stałem schowany w zaroślach, aż przerwali rozmowę i wrócili do oglądania zgliszczy. Raz po raz Lundin robił zdjęcie jakimś zwęglonym resztkom.

W końcu odgarnąłem gałęzie i poszedłem w ich stronę.

– Jak wam idzie? – zapytałem.

– Trudno powiedzieć – odparł Alexandersson. – Ciężka sprawa.

– Bardzo ciężka – przytaknął Lundin. – Nic nie jest oczywiste.

Alma Hamrén siedziała obok szopy na drewnianej ławce, na której zwykle badałem wyimaginowane dolegliwości Janssona, i nieprzerwanie wystukiwała coś na klawiaturze telefonu.

Alexandersson i Lundin pracowali jeszcze ze dwie godziny, a kiedy wreszcie zeszli na pomost, powiedzieli, że to nie koniec i że wrócą po południu. Odparłem im, że po południu może mnie tutaj nie być, bo muszę popłynąć na stały ląd i zrobić zakupy.

Potem stałem chwilę na pomoście i patrzyłem, jak ich łódź odpływa i znika za cyplem. Kiedy straciłem ich z oczu, poszedłem do pogorzelniska, żeby obejrzeć znalezione przez nich przedmioty. Ułożyli je obok zgliszcz na plandece.

Były tam fragmenty kabli, kilka nadtopionych bezpieczników z szafki rozdzielczej, a na skraju folii dostrzegłem coś, co wyglądało dziwnie znajomo. Schyliłem się, spojrzałem z bliska na przedmiot i od razu go rozpoznałem.

Była to sprzączka z butów uszytych dla mnie parę lat temu przez włoskiego szewca Giaconellego.

Patrząc na nią, zrozumiałem, że naprawdę straciłem wszystko.

Z mojego siedemdziesięcioletniego życia nie zostało nic. Zupełnie nic.

Nie miałem absolutnie niczego.



Stałem i patrzyłem na mój spalony dom. Momentami zdawało mi się, że kiedy patrzę wystarczająco długo, dom podnosi się ze zgliszczy i staje na swoim miejscu.

Pogorzelnisko wyglądało jak pole bitwy. Podobna ruina mogła równie dobrze powstać w wyniku eksplozji granatów ciskanych z czołgów przejeżdżających przez moją wyspę.

Z każdą chwilą czułem się coraz bardziej roztrzęsiony. Widok osmalonej jabłoni napawał mnie smutkiem i zarazem obrzydzeniem. To było jak brutalny atak na pamięć po moich dziadkach. Wyobraziłem sobie, że od teraz jabłoni będzie rodziła czarne, śmierdzące dymem owoce, których nikt nie będzie chciał jeść. Drzewo wciąż żyło, ale równocześnie było martwe.

Podszedłem bliżej. Czarna ruina była również cmentarzem. Zostało na niej skremowane całe moje dotychczasowe życie. W ciągu paru godzin mój dom zamienił się w piec, a potem strawił wszystkie moje rzeczy w niszczycielskim żarze.

Minęło pół doby, odkąd wybiegłem z domu w niepasujących kaloszach. Wciąż nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów katastrofy. W myślach ciągle mieszkalem w domu, w którym bawiłem się jako mały chłopiec i w którym zamieszkałem po wielu latach, kiedy nie mogłem już dłużej pracować jako lekarz.

Zaczynałem odczuwać niejasną, ale narastającą tęsknotę za wszystkim, co spłonęło. Najbardziej brakowało mi dzienników okrętowych, jak nazywałem swoje pamiętniki. Teraz były już kupką popiołu. Wybiegając z płonącego domu, nawet nie pomyślałem o tych tomach w czarnej oprawie. Ratowałem życie. Wybiegłem z paszczy smoka z pustymi rękami.

Potem pomyślałem o butach uszytych przez Giaconellego. Została z nich tylko jedna sprzączka i leżała teraz na plandece rozłożonej przez Alexanderssona.

Wyglądała jak duży chrząszcz. Jak jelonek rogacz, którego widywałem w dzieciństwie na tej wyspie. Z czasem jelonki znikły i nikt nie umiał powiedzieć, co się z nimi stało. Kiedyś zapytałem Janssona, czy nie widział ich pod dębami na innych wysepkach. On z kolei zapytał mieszkańców, którym dostarczał pocztę, ale wszyscy oprócz starej wdowy Sjöberg twierdzili zgodnie, że nie widzieli tych chrząszczy od lat sześćdziesiątych. Wdowa Sjöberg utrzymywała, że ma ich u siebie całe mnóstwo, ale wszyscy wiedzieli, że lubi kłamać, i to nie tylko w kwestii swojego wieku.

Skórzane buty ręcznie uszyte dla mnie przez mistrza Giaconellego przeistoczyły się po śmierci w chrząszcza jelonka rogacza z osmalonego metalu. Byłem ciekaw, jaki to stop. Srebrny świecznik, który dałem dziadkom w prezencie na złote gody, stopił się w żarze i zlepił się z jakimiś spalonymi resztkami czegoś.

Sprzączka jednak przetrwała. Niestety nie mogłem zapytać Giaconellego, z czego została wykonana, bo po wielu latach spędzonych w lasach prowincji Hälsingland, gdzie prowadził warsztat szewski, słuchając muzyki operowej na starym tranzystorze, nagle zdecydował się wrócić do Włoch.

Wyglądało to tak, jakby wyjechał w wielkim pośpiechu. Nie poinformował o wyjeździe swoich nielicznych przyjaciół, nie zamknął nawet swego warsztatu. Kiedy jeden z sąsiadów przyszedł pewnego dnia, żeby zreperować dziurawą podeszwę w butach roboczych, zastał drzwi otwarte na oścież i trzaskające na wietrze.

Giaconelli zrealizował wszystkie przyjęte zamówienia, a potem nagle podniósł się z krzesła przy warsztacie i zniknął.

Jakiś czas później dowiedziałem się od mojej córki Louise, że wrócił do Włoch, do rodzinnej miejscowości Santo Ferrera na północ od Mediolanu, wynajął pokój w skromnym pensjonacie i położył się do łóżka, żeby umrzeć w spokoju.

Nie wiedziałem, co stało się z porzuconym przez niego warsztatem, pełnym narzędzi i szewskich materiałów. Louise nie odpowiedziała mi na pytanie o to, podejrzewałem więc, że ona też tego nie wie.

Podniosłem sprzączkę z plandeki. Minęły dwa tygodnie od mojej ostatniej rozmowy z Louise. Zadzwoiła późnym wieczorem, tuż po

tym, jak położyłem się spać. Była wtedy w hałaśliwej kawiarni gdzieś na obrzeżach Amsterdamu. Nie powiedziała mi, co tam robi, choć dwukrotnie powtórzyłem pytanie. Rozmawialiśmy krótko. Louise zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy wciąż żyję, a ja zapytałem, jak się miewa. Przyszło mi wtedy na myśl, że na przemian odgrywamy rolę pacjenta i lekarza.

Uznałem, że osmalona sprzączka będzie pamiątką po uszytych dla mnie na zamówienie butach oraz chrząszczach, jelonkach rogaczach, które mieszkały kiedyś na tej wyspie. Byłem ciekaw, jak Louise zareaguje na wieść, że doszczętnie spłonął dom, który miała kiedyś odziedziczyć.

Słabo znałem córkę, więc nie potrafiłem wyobrazić sobie jej reakcji. Równie dobrze mogła wzruszyć ramionami i więcej nie poruszać tego tematu, jak i wpaść w szał i krzyczeć na mnie, że na pewno mogłem zapobiec katastrofie. Mogła też nazwać mnie piromanem, chociaż nie było dowodu, że sam podpaliłem dom.

Odłożyłem sprzączkę na plandekę, wróciłem do przyczepy, zjadłem resztę kanapek od Janssona, a potem zszedłem na pomost, do szopy z hangarem. Trzymam w nim małą plastikową łódkę ze zdejmowanym silnikiem zaburtowym. Silnik ma osiemnaście koni mechanicznych i kiedy jest bezwietrznie, rozwijam prędkość do dwunastu węzłów. Włączyłem silnik, usiadłem na zapleśniałej poduszce i wypłynąłem. Okrążywszy cypel, zwiększyłem prędkość.

Potem odwróciłem się i zamarłem. Z miejsca, w którym znajdowałem się w tej chwili, zawsze było widać ponad drzewami dach i górną część okien mojego domu. Teraz nie było tam nic. Widok wstrząsnął mną do tego stopnia, że o mało nie rozbiłem się o Kogrundet, wysepkę wystającą z wody kawałek za cypel. Udało mi się ją ominąć w ostatnim momencie.

Kiedy wypłynąłem jeszcze dalej w głąb zatoki, wyłączyłem silnik i pozwoliłem łódkce unosić się swobodnie na wodzie. Morze było spokojne i ciche. Wokół nie było żadnych innych łodzi, żadnych dźwięków, prawie żadnych ptaków. Dostrzegłem tylko nurogęś lecącą szybko tuż nad wodą w stronę pobliskich wysepek.

Zadrzałem z zimna. Uczucie chłodu utkwilo gdzieś w głębi mnie. Łódka dryfowała na niewyczuwalnym wietrze. Położyłem się na jej

dnie i utkwiłem wzrok w niebie, na którym chmury zaczynały gęstnieć. Pomyślałem, że wieczorem spadnie deszcz.

Woda uderzała z cichym pluskiem o plastikowe burty mojej łodzi. Próbowałem podjąć decyzję, co mam robić dalej.

Nagle zadzwoniła komórka pożyczona od Janssona. Nie mógł dzwonić nikt inny, jak tylko on.

– Masz jakiś problem z silnikiem? – zapytał.

Widzi mnie, pomyślałem. Podniosłem się i rozejrzałem, ale wokół było pusto. Nigdzie nie dostrzegłem jego łodzi.

– Dlaczego miałbym mieć problem z silnikiem? – odparłem, ale zaraz po tym pożałowałem poirytowanego tonu. Jansson zawsze miał dobre zamiary. Czasem myślałem sobie o nim, że te niezliczone listy, które dostarczał mieszkańcom przez długie lata pracy, były niczym innym jak wyznaniem miłosnym pod adresem coraz mniej licznych ludzi zamieszkujących ten archipelag. Sądzę też, że czytanie wszystkich pocztówek otrzymywanych albo wysyłanych przez wczasowiczów uważał za obowiązek służbowy. Musiał przecież wiedzieć, jacy ludzie przyjeżdżają latem na nasze wyspy, jakie mają poglądy na świat i zamiary wobec mieszkańców.

– Gdzie jesteś? – zapytałem Janssona.

– W domu – odparł krótko.

Było jasne, że kłamie. Gdyby rzeczywiście był u siebie na Stångkär, nie widziałby mnie dryfującego w łódce po tej stronie zatoki. Poczułem rozczarowanie. Przez długie lata spędzone na wyspie nigdy nie pozwalałem na to, by czyjeś zachowanie wpływało na pogorszenie mojego nastroju. Właściwie nie obchodziło mnie, że Jansson czasem mija się z prawdą, ale nagły pożar mojego domu wytrącił mnie z równowagi.

Podejrzewałem, że Jansson czai się na którejś z wysepek z lornetką w ręce.

Po chwili namysłu powiedziałem mu, że wyłączyłem silnik, bo potrzebowałem ciszy do namysłu. Zaraz zamierzam jednak popłynąć dalej, na stały ląd, i zrobić jakieś zakupy.

– Włączam silnik – oznajmiłem. – Posłuchaj dobrze, a przekonasz się, że wszystko jest z nim w porządku.

Rozłączyłem się, zanim zdążył odpowiedzieć. Silnik odpalił gładko. Zwiększyłem prędkość i popłynąłem w stronę lądu.

Mój samochód był stary, ale zawsze mogłem na nim polegać. Trzymałem go na działce blisko portu, należącej do dziwnej kobiety, która nazywała się Rut Oslovka. Z tego, co wiedziałem, nikt nie mówił o niej Rut, ale wszyscy nazywali ją po prostu Oslovka. Pozwalała mi parkować na swojej ziemi, bo od czasu do czasu mierzyłem jej ciśnienie krwi. Trzymałem aparat do mierzenia ciśnienia i stetoskop w schowku w samochodzie. Oslovka miała podwyższone ciśnienie, mimo że od paru lat zażywała metoprolol. A ponieważ nie miała jeszcze czterdziestki, sam byłem zdania, że lepiej jest mieć jej ciśnienie pod kontrolą.

Oslovka miała szklane lewe oko. Nikt nie wiedział, jak je straciła. Właściwie nikt nie wiedział o niej zbyt wiele. Jansson powiedział mi kiedyś, że pojawiła się na archipelagu jakieś dwadzieścia lat temu. Wówczas słabo mówiła po szwedzku. Dostała azyl, a potem szwedzkie obywatelstwo. Twierdziła, że pochodzi z Polski. Ale podejrzliwy Jansson podkreślał, że nikt nigdy nie widział jej paszportu ani żadnego dokumentu potwierdzającego, że jest obywatelką Szwecji.

Ku zaskoczeniu mieszkańców, Oslovka okazała się świetnym mechanikiem samochodowym. W dodatku chętnie imiała się ciężkich prac, takich jak naprawianie pomostów i mol jesienią albo wczesną wiosną, kiedy napierająca kra wykrzywiała je albo całkiem niszczyła.

Oslovka była silną kobietą o szerokich barkach, niezbyt urodziwą, ale miłą dla ludzi. Poza tym przez większość czasu trzymała się z dala od wszystkich i ich spraw.

Miejscowi robotnicy przez cały czas mieli ją na oku, ale nikt nigdy nie mógł jej zarzucić, że zabiera innym utrzymanie, biorąc za pracę mniej pieniędzy.

Kiedyś Oslovka mieszkała w starym gospodarstwie w sosnowym lesie kilka kilometrów od brzegu. Potem kupiła mały domek

w pobliżu portu, należący niegdyś do emerytowanego pilota morskiego.

Jansson wypytał o nią znajomego listonosza rozwożącego pocztę w tej okolicy i dowiedział się, że Oslovskaja nigdy nie otrzymywała żadnej korespondencji. Nie prenumerowała też żadnej prasy i właściwie nie było wiadomo, czy w ogóle posiada skrzynkę na listy.

Czasem znikła na kilka miesięcy. Nikt nie wiedział, dokąd się udaje. Potem zwyczajnie wracała, jak gdyby nigdy nic. Była jak kot chadzający tylko sobie znanymi ścieżkami.

Zacumowałem łódź na samym środku pirsu i poszedłem do samochodu. Nigdzie nie widziałem Oslovskiej. Samochód odpalił za pierwszym razem. Ze strachem myślałem o dniu, w którym auto zdecyduje się zostać złomem.

Dotarcie do miasteczka zajmowało mi zwykle dwadzieścia minut, ale tego dnia dotarłem tam o wiele szybciej. Zwolniłem dopiero wówczas, kiedy zorientowałem się, że jadę z niebezpiecznie dużą prędkością. Zrozumiałem w tej chwili, że pożar mojego domu uśmiercił jakąś część mnie. Widocznie również ludzie noszą w swoim wnętrzu belki, które mogą spłonąć.

Zaparkowałem na głównej ulicy, która była właściwie jedyną ulicą w miasteczku. Leżało ono nad zatoką o wodach zatrutych metalami ciężkimi pochodzącymi z działających tu kiedyś zakładów przemysłowych. Do dziś pamiętałem z dzieciństwa smród garbarni.

Budynek banku stał na nabrzeżu, bardzo blisko wody. Poszedłem tam, stanąłem przy okienku i oznajmiłem siedzącemu w nim mężczyźnie, że nie mam karty ani żadnego dowodu tożsamości, bo straciłem wszystko w pożarze. Pracownik banku mnie znał, ale i tak się zawahał i wyraźnie nie wiedział, co robić. W dzisiejszych czasach człowiek bez dokumentu tożsamości jest oczywistym zagrożeniem.

– Znam na pamięć numer mojego konta – powiedziałem.

Wyrecytowałem ciąg cyfr, a on je zapisał. Potem zajrzał do komputera.

– Powinno tam być około stu tysięcy koron – mówiłem dalej. – Plus minus jakieś sto.

Mężczyzna zmrużył oczy i zbliżył twarz do monitora, jakby nie dowierzał temu, co tam widzi.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy i dziewięć koron – odczytał głośno.

– Chcę wybrać dziesięć tysięcy – odparłem. – Jak pan widzi, mam na sobie piżamę zamiast koszuli. Straciłem cały dobytek.

Celowo podniosłem głos, wyjaśniając mu, co mnie spotkało. W banku zapadła kompletna cisza. Oprócz mężczyzny, który mnie właśnie obsługiwał, w okienkach siedziały jeszcze dwie kobiety. W kolejce stało troje klientów. Teraz wszyscy patrzyli na mnie. Pokłoniłem się im głupawo, jakbym przyjmował ciche oklaski.

Pracownik banku odliczył gotówkę, a potem pomógł mi wypełnić wniosek o nową kartę płatniczą.

Wyszedłszy z banku, poszedłem prosto do kawiarni po drugiej stronie ulicy. Zabrałem z banku długopis z reklamą jakichś usług i kilka blankietów z pustą drugą stroną. Usiadłem i zacząłem sporządzać listę zakupów.

Zrobiła się tak długa, że zabrakło mi miejsca na kartkach. Sięgnąłem po serwetkę, ale kiedy i ona nie wystarczyła, poddałem się i przestałem notować.

Nagle ogarnęła mnie wątpliwość, czy poradzę sobie z bólem i troską, jakich przysporzyła mi ta katastrofa. Byłem już za stary, by zaczynać wszystko od nowa. Moja przyszłość była pogrążona w milczeniu. Nie widziałem przed sobą żadnego wyjścia.

Zmiałem zapisane kartki, dopiłem herbatę i wyszedłem z kawiarni. Następnie udałem się do jedyne go w miasteczku sklepu z odzieżą i kupiłem w nim kilka koszul, trochę bielizny, swetry, skarpetki, spodnie i kurtkę. Nie zwracałem przy tym uwagi ani na jakość, ani na cenę. Zaniósłem wszystko do samochodu, a potem poszedłem do sklepu z obuwiami, żeby kupić kalosze. Okazało się, że jedyna para, jaką tam znalazłem, została wyprodukowana we Włoszech. Zezłościło mnie to. Ekspedientka była młodą dziewczyną z szalem na głowie. Mówiła bardzo źle po szwedzku. Starałem się zachowywać grzecznie, chociaż byłem zły, że nie ma sklepie zwykłych kaloszy marki Tretorn.

– Nie ma pani kaloszy Tretorn? – zapytałem.

– Mamy tylko te – odparła. – Nie ma innych.

– To niepoważne, żeby w szwedzkim sklepie obuwniczym nie dało się kupić wyprodukowanych w Szwecji kaloszy.

Mimo że wciąż siliłem się na uprzejmość, dziewczyna wyczuła, że jestem poirytowany. Musiał mnie zdradzić ton głosu. Nie brzmiał szczerze. Ale kiedy zobaczyłem, że dziewczyna się wystraszyła, wpadłem w jeszcze większą złość. Zadałem jej przecież proste pytanie, nie groziłem jej, ani nie byłem niemiły.

– Czy pani w ogóle wie, o czym ja mówię? – zapytałem.

– Nie mamy innych kaloszy – powtórzyła.

– W takim razie dziękuję – odparłem.

Nie powstrzymałem się i wychodząc, głośno trzasnąłem drzwiami.

W sklepie z narzędziami też nie mieli gumowych kaloszy, tylko buty robocze z utwardzonymi noskami dla ochrony palców. Kupiłem tani zegarek, a potem poszedłem zrobić zakupy w sklepie spożywczym. W przyczepie miałem Kuchenkę podpiętą do butli z gazem, trochę garnków, a nawet patelnię. Wkładając produkty do plastikowego koszyka, przyszło mi na myśl, że wcale nie zastanawiam się nad tym, co kupuję. Nie było dla mnie istotne, na co mam ochotę, ani na co jej nie mam. Wypełniałem koszyk z całkowitą obojętnością.

Chwilę później, przechodząc obok apteki, uświadomiłem sobie, że spłonął również mój zapas leków. Wszedłem do środka. Wciąż miałem legitymację lekarską, która uprawnia mnie do wypisywania recept.

Na koniec, zanim wróciłem do samochodu, kupiłem jeszcze telefon na kartę.

W pewnej chwili dotarło do mnie, że straciłem również dostęp do prądu.

Pojechałem z powrotem do portu. Z wybranych z konta dziesięciu tysięcy koron została mi około połowa. Zaparkowałem samochód na swoim miejscu. Drzwi do domu Oslovskiej były zamknięte, a na podjeździe leżała zdechła, rozkładająca się wrona. Może Oslovska wybrała się na jedną ze swoich tajemniczych wypraw?

Przeniosłem zakupy do łodzi, a potem udałem się jeszcze do sklepu ze sprzętem rybackim. Tam wreszcie znalazłem kalosze,



w dodatku wyprodukowane w Szwecji, a przynajmniej ze znacznikiem marki Tretorn. Niestety nie było mojego rozmiaru, więc zamówiłem parę. Sprzedawca powiedział mi, że dostawa potrwa ze dwa tygodnie.

Nazywał się Nordin i od zawsze pracował w tym sklepie. Miał bardzo zmartwiony głos, kiedy rozmawialiśmy o pożarze. Nordin miał dużo dzieci. Był żonaty trzy albo cztery razy. Jego obecna żona miała na imię Margareta, ale akurat z nią nie miał dzieci.

Jansson twierdził, że Nordin pokazuje swoim dzieciom magiczne sztuczki, ale nie wiedziałem, czy to prawda.

Kiedy wróciłem na nabrzeże, nagle zrobiło mi się bardzo zimno. Wyjąłem z reklamówki sweter, włożyłem go, a potem poszedłem do kawiarni mieszczącej się nad sklepem Nordina. Zamówiłem kawę i ciastko z masą migdałową. Kiedy podniosłem je z tacy, rozpadło mi się w dłoni na okruszki.

Wybrałem stolik przy oknie z widokiem na port, potem odpakowałem nowy telefon i podłączyłem go do ładowania, korzystając z gniazdka pod oknem.

Byłem siedemdziesięcioletnim mężczyzną i straciłem wszystko w pożarze domu. Nie posiadałem prawie żadnych przedmiotów, miałem tylko starą szopę z hangarem na łódź, przyczepę do mieszkania, plastikową łódkę długą na trzysta stóp i stary samochód. Musiałem się zmierzyć z pytaniem, co ze sobą począć? Czy miałem jakąś przyszłość? Czy w ogóle miałem jeszcze jakikolwiek powód, by dalej żyć?

Nagle przerwałem te rozmyślenia, bo przypomniałem sobie o mojej córce Louise. Dlaczego nie pomyślałem o niej od razu? Zawstydziło mnie to.

Nie wiedziałem, czy stało się to z powodu starego ciastka, czy sprawił to późniejszy natłok myśli, ale po policzkach popłynęły mi łzy. Sięgnąłem po serwetkę i otarłem oczy. Zauważyłem, że Weronika, dziewczyna pracująca w kawiarni, dyskretnie zerka na mnie z pomieszczenia za ladą. Byłem żywą ilustracją totalnej samotności. Starszy mężczyzna, siedzący jesienią w opustoszałej kawiarni, jedyny gość lokalu położonego w porcie, do którego żeglarze i wczasowicze wrócą dopiero następnego lata.

Zrozumiałem, że muszę zadzwonić do Louise. Chociaż bardzo chciałem jeszcze z tym poczekać, miałem świadomość, że córka nigdy by mi nie wybaczyła, że zwlekałem z powiedzeniem jej prawdy. Louise miała gorącą krew i brak jej było cierpliwości i opanowania, typowych – jak uważałem – dla mojego charakteru. Była podobna do swojej matki, Harriet, która zjawiała się niespodziewanie pewnego zimowego dnia przed ośmioma laty na zamarzniętej zatoce przed moim domem. Stała na łodzi, opierając się o balkonik. Umarła kilka miesięcy później, kiedy nadeszło lato.

Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś ruch przy drzwiach do kawiarni. Otworzyły się i do środka weszła kobieta w wieku około czterdziestu lat. Miała na nogach kalosze podobne do tych, jakie próbowałem kupić, poza tym była ubrana w ciepłą kurtkę i długi szalik, który owinęła wokół szyi i zarzuciła na głowę. Kiedy go zdjęła, zauważyłem, że ma krótko obcięte włosy. Miała ładną twarz. Podeszła do lady i chwilę przyglądała się starym ciastkom na tacy.

Nagle się odwróciła, spojrzała wprost na mnie i uśmiechnęła się. Skinąłem głową, zastanawiając się, czy już ją gdzieś spotkałem, ale jej twarz nie wydawała mi się znajoma. Weronika wyszła z pomieszczenia za ladą i stanęła przy barze. Kobieta zamówiła kawę i drożdżówkę, a potem podeszła prosto do mojego stolika. Nie wiedziałem, kim jest.

– Mogę się do pana przysiąść? – zapytała.

Nie czekając na moją odpowiedź, odsunęła sobie krzesło. Kiedy siadała, promień bladego jesiennego słońca oświetlił jej twarz. Sięgnęła do okna i przekręciła żółtą żaluzję. Promień światła zniknął.

Uśmiechnęła się. Miała ładne zęby. Ja również się uśmiechnąłem, ale odsłoniłem tylko kawałek górnych zębów, bo tam wyglądały jeszcze względnie ładnie. Moja córka miała o wiele słabsze zęby od moich, bo odziedziczyła je po swojej matce. Zdarzyło się kilka razy, że kiedy Louise trochę wypijała, nagle wyrażała pretensje, dlaczego ma kiepskie zęby Harriet, a nie moje, równe i białe.

– Nazywam się Lisa Modin – powiedziała kobieta. – Podobno to pana dom spłonął zeszłej nocy. Bardzo mi przykro. To musi być okropne uczucie. W końcu dom jest dla człowieka jak druga skóra.

Mówiła z dialektem charakterystycznym dla mieszkańców prowincji Södermanland. Chociaż nie miałem pewności, czy dobrze go oceniłem. Wciąż też nie wiedziałem, dlaczego się do mnie przysiadła. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na oparciu sąsiedniego krzesła.

Nie miałem pojęcia, czego ode mnie chce, ale to mi nie przeszkadzało. Pomyślałem nawet, że sam fakt, iż się do mnie przysiadła, mógłby w zupełności wystarczyć, bym się w niej szaleńczo zakochał.

Starszy mężczyzna nie ma już zbyt wiele czasu, pomyślałem. Niespodziewana miłość, to wszystko, o czym może jeszcze pomarzyć.

– Nazywam się Lisa Modin – powtórzyła. – Jestem dziennikarką. Piszę dla lokalnej gazety. Redaktor naczelny poprosił mnie, żebym obejrzała miejsce po pożarze i porozmawiała z właścicielem domu. Kiedy weszłam do sklepu w porcie, żeby zapytać, jak mogę dostać się na pana wyspę, powiedziano mi, że właśnie jest pan w porcie na zakupach. Nie znalazłam pana w sklepie spożywczym, dopiero tutaj.

– Skąd pani wiedziała, że to ja?

– Sprzedawca opisał mi pana najlepiej, jak potrafił. Zresztą łatwo było zgadnąć, bo w spożywczym nie było nikogo, a tutaj siedział tylko pan.

Lisa Modin wyjęła z torebki notatnik. Muzyka dolatująca z kuchni za barem najwyraźniej ją drażniła, bo podeszła do Weroniki i poprosiła ją, żeby ściszyła. Chwilę później radio całkiem umilkło.

Dziennikarka wróciła z uśmiechem do stolika.

– Może pani się ze mną zabrać na moją wyspę. O ile wsiądzie pani do małej łódki.

– A będzie mnie pan mógł potem odwiedzić?

– Oczywiście.

– Wciąż pan tam mieszka? Przecież pana dom spłonął.

– Mam przyczepę.

– Na wyspie? Słyszałam, że nie jest duża. Czyżby dało się tam dojechać samochodem?

– Nie, widzi pani, ta przyczepa... to długa historia.

Lisa Modin wzięła do ręki długopis, ale wciąż nie otworzyła notatnika.

– Opowieść o pożarze to jedna rzecz – powiedziała. – Redaktor naczelny sam porozmawia z policją i ze strażakami. Moim zadaniem jest opisanie, co pożar domu oznacza dla rodziny.

– Mieszkałem w nim sam.

– Nie ma pan nawet zwierząt?

– Poumierały.

– Zginęły w płomieniach?

Zadała to pytanie z wystraszoną miną.

– Nie. Umarły wcześniej. Już dawno je pochowałem.

– Nie ma pan żony?

– Ona też nie żyje. Została skremowana. Ale mam córkę.

– I jak ona zareagowała na ten pożar?

– Na razie nijak. Jeszcze jej nie powiedziałem.

Lisa Modin przyjrzała mi się bacznie. Odłożyła długopis i napiła się kawy. Zauważyłem, że ma na palcu prawej dłoni pierścienek z bursztynem. Nie miała obrączki.

– Dzisiaj jest już za późno, żeby z panem jechać. Ale może jutro? Znajdzie pan dla mnie czas?

– Mam mnóstwo czasu.

– Nieprawda, bo pożar zniszczył wszystko, co pan miał.

Nic nie odpowiedziałem. Miała zupełną rację.

– Przyjadę po panią jutro. Proszę powiedzieć, o której godzinie.

– Może o dziesiątej? Nie za wcześnie dla pana?

– Może być.

Pokazała palcem na widoczny za oknem port.

– Tam?

– Zawsze cumuję łódkę przy dystrybutorach paliwa – powiedziałem. Proszę się ciepło ubrać. Jutro może padać.

Dziennikarka dopiła kawę i wstała.

– Będę jutro o dziesiątej – dodała jeszcze i wyszła z kawiarni.

Usłyszałem warkot silnika i odjeżdżający samochód. Byłem ciekaw, czy ona w ogóle wie, jak się nazywam.

Popłynąłem z powrotem do domu. Morze było ciemne. Dno łódki było załadowane siatkami pełnymi zakupów. Rozmyślałem o Lisie

Modin. O jej dłoniach owijających szalik wokół szyi i głowy. Czułem lekkie poekscytowanie jutrzejszym dniem.

Kiedy opłynąłem wysepkę Höga Tryholmen i otworzył się przede mną widok na moją wyspę, spodziewałem się, że ujrzę zacumowaną przy moim pomoście łódź straży przybrzeżnej. Nikogo tam jednak nie było. Zacumowałem swoją łódkę i pozanosiłem zakupy do przyczepy. Sprawdziłem butlę z gazem. Była prawie pełna.

Wypakowałem kupione ubrania i trochę nieświadomie zacząłem czytać ich metki. Wszystkie trzy koszule uszyto w Chinach. Tak samo slipy i skarpetki. Kurtka pochodziła z Hongkongu. Zatem od tej chwili wszystko, co będę miał na sobie, miało pochodzić z dalekich Chin. Zanim dostanę zamówione kalosze, każdy ciuch, który założę, by utrzymać się w cieple, będzie pochodził z Chin.

Wieszając koszule, zastanowiłem się, dlaczego to miałyby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Czyżbym szukał powodu, żeby sobie ponarzekać? Może uznałem, że starszemu mężczyźnie zostało już w życiu tylko to?

W końcu założyłem niebieską koszulę, sweter i kurtkę. Pogorzeliśko już nie dymiło, ale w powietrzu wciąż utrzymywał się nieprzyjemny swąd spalonych drewnianych belek nasiąkniętych słoną wodą. Robiło mi się od niego niedobrze, kiedy zbliżałem się do ruin po moim domu. Powoli obszedłem je dookoła, wypatrując, czy jednak nie ocalało coś jeszcze, oprócz sprzączki od butów Giaconellego. Nic nie znalazłem. Wróciło za to skojarzenie, że przyglądałem się polu bitwy.

Po ostatniej rundce wokół zgliszcz przystanąłem przy rozłożonej na ziemi plandece. Przyjrzałem się jej i zmarszczyłem czoło. Coś się zmieniło. Stałem tak długie minuty i próbowałem odgadnąć, co jest nie tak. Nie udało mi się niczego stwierdzić, ale i tak byłem pewien, że coś wygląda inaczej niż przedtem.

Zerknąłem na mój nowy zegarek. Czułbym się bezradny, nie wiedząc, która jest godzina, nieważne czy to dzień, czy noc. Być może dlatego, że mój ojciec nigdy nie zdążał z niczym na czas i co najmniej jeden raz został zwolniony z pracy za to, że spóźnił się na swoją zmianę trzy dni z rzędu.

Ruszyłem przed siebie i wszedłem na najwyższe wzniesienie na wyspie. Miałem stamtąd widok na wszystkie strony świata. Dziadek postawił tu kiedyś ławkę i siadał na niej razem z babką w ciepłe letnie wieczory. Nie wiedziałem, czy ze sobą rozmawiali, czy siedzieli w milczeniu. Ale pewnego razu, kiedy byłem dzieckiem, kilka lat przed tym jak zmarli, wykradłem dziadkowi lornetkę i podejrziałem ich na tej ławce. Pamiętam, że bardzo się zdziwiłem, że siedzą tam i trzymają się za ręce.

Z czasem zrozumiałem, że był to po prostu wyraz czułości i wzajemnej wdzięczności za długie wspólne życie. Dziadkowie przeżyli razem sześćdziesiąt jeden lat.

Teraz ławka była w fatalnym stanie. Nie dbałem o nią, podobnie jak o wiele innych sprzętów na wyspie.

Stałem tak i patrzyłem na archipelag. W końcu utkwilem wzrok na małej wysepce położonej na wschód od mojej. Ona również była częścią mojej posiadłości, ale nie miała nazwy. Właściwie były to dwie skały, między którymi znajdowała się mała niecka. Rosło w niej kilka drzew. Dolinka była na tyle głęboka, że praktycznie nie docierał tam wiatr. Kiedy byłem mały, budowałem w niej szałas. A gdy skończyłem dziesięć lat i nauczyłem się porządnie pływać, dziadkowie pozwalali mi nocować na wysepce w ciepłe dni. Jako nastolatek latem rozbijałem tam namiot.

Teraz, mimo że od dawna patrzyłem na nią innymi oczami, wpadła mi do głowy pewna myśl. Nie wiedziałem, jak się do niej odnieść, więc postanowiłem kontynuować mój spacer. Po zachodniej stronie wyspy zobaczyłem dwie norki czmychające między skałami. Poza tym panował kompletny spokój. Czułem się tak, jakbymostał się samotnie na opuszczonej Ziemi.

Wróciłem do pogorzelska i znów stanąłem nad plandeką. Nagle zrozumiałem, co wcześniej przykuło moją uwagę. Lundin i Alexandersson byli tutaj drugi raz, kiedy wybrałem się na zakupy do miasteczka. Potem odплыnęli, nie zostawiwszy mi żadnej wiadomości.

Nie mogłem tego udowodnić, ale i tak byłem tego pewien.

Zrozumiałem, że podejrzewają mnie o podłożenie ognia w moim domu. Ponieważ nie potrafili znaleźć logicznej przyczyny pożaru,

musieli wziąć pod uwagę również wersję, w której występowałem w roli podpalacza.

Ja sam oczywiście dobrze wiedziałem, że to nieprawda. To jednak nie miało znaczenia. Zastanowiłem się, czy dam radę pokazywać się wśród ludzi jako domniemany przestępca.

Kiedyś, wiele lat temu, moje życie i moja kariera lekarska legły w gruzach z powodu fatalnego błędu podczas operacji.

Czyżby teraz czekała mnie podobna katastrofa? Czy byłem w stanie to znieść?

Zszedłem na brzeg do szopy i wyjąłem aparat do mierzenia ciśnienia, którego używałem do badania wyimaginowanych dolegliwości Janssona. Podwinąłem rękaw chińskiej koszuli i zmierzyłem sobie ciśnienie. Aparat wskazał sto sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt osiem. Jak na mnie, to bardzo dużo. Sprawdziłem jeszcze raz, na drugiej ręce. Wyszło sto pięćdziesiąt dziewięć na dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie podobał mi się ten wynik, chociaż wiedziałem, że powodem podwyższonego ciśnienia jest stres związany z pożarem domu. Wciąż byłem w szoku. W miasteczku kupiłem zapas lekarstw, między innymi metoprolol, którego sam nie zażywałem, ale teraz uznałem, że doraźnie pomoże mi w obniżeniu ciśnienia. A jeśli by mi nie pomógł, miałem w zanadrzu oksazepam, lek uspokajający, który zażywałem przy nielicznych okazjach.

Zbadałem również puls. Wynosił siedemdziesiąt uderzeń na minutę, więc był nieco powyżej normy, ale nie zaniepokoiło mnie to. Odłożyłem aparat do mierzenia ciśnienia na swoje miejsce. Wychodząc z szopy, usłyszałem w oddali warkot silnika. Dobiegał z daleka i nie mogłem ocenić, co to za łódź. Po chwili całkiem ucichł.

Nagle przypomniałem sobie, że gdzieś w szopie jest stary nakręcany budzik. Pamiętałem go jeszcze z dzieciństwa. Nie miałem pojęcia, czy wciąż będzie działał. Po paru chwilach udało mi się go odnaleźć i usiadłem z nim na ławce pod szopą. Wyczułem, że sprężyna trzyma się mocno, kiedy ostrożnie ją nakręcam. Spróbowałem jeszcze trochę i wskazówki od razu ruszyły. Ustawiłem czas względem nowego zegarka i postawiłem go na ławce. Doszedłem do wniosku, że ten budzik, nowy telefon

i chińskie koszule są najcenniejszymi przedmiotami, jakie obecnie posiadam.

Zerwał się wiatr. Wiatrowskaz na dachu szopy nie mógł się zdecydować między południem a zachodem. Wziąłem budzik do ręki i wstałem.

Nie mogłem dłużej zwlekać. Musiałem się skontaktować z Louise.



Louise miała czterdzieści lat. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, przebywała w Amsterdamie. Podejrzywałem, że ma tam przyjaciół, o których z jakiegoś powodu mi nie opowiedziała. Chociaż równie dobrze mogła wyjechać do Holandii z racji jednego ze swoich politycznych projektów.

Moja córka nie tylko pisała listy do prezydentów i dyktatorów, lecz także urządziła kilka skandali, rzucając workami pełnymi śmieci w reakcyjnych polityków. Wnioskowałem z jej zachowań, że ma lewicowe poglądy. Czasem myślałem, że jest trochę pogubioną anarchistką, kiedy indziej widziałem w niej radykała posuwającego się do desperackich działań, by walczyć o słuszną sprawę. Za każdym razem, kiedy rozpoczynałem z nią polityczną dyskusję, przegrywałem z kretesem. Nawet, kiedy Louise brakowało merytorycznych argumentów, miażdżyła mnie, nieustannie mi przerywając.

Nie miałem pojęcia, z czego żyje. Nie widziałem jednak, żeby jej czegokolwiek brakowało, w dodatku nosiła w sobie rodzaj uporu, którego czasem jej zazdrościłem.

Kiedy Harriet zaskoczyła mnie wiadomością, że mam córkę, Louise była już dorosłą kobietą. Mieszkała w głębi melancholijnych lasów dolnej Norrlandii. Jej matka zawiozła mnie do niej po drodze do pewnego leśnego jeziora, właściwego celu naszej ówczesnej podróży. Nagle przed nami wyrosła przyczepa. Potem w jej drzwiach stanęła nieznana mi kobieta imieniem Louise i dopiero wówczas dowiedziałem się, że jest moją córką. Był to rzecz jasna jeden z najbardziej wstrząsających i zapadających w pamięć momentów mojego życia. W jednej chwili zyskałem dziecko, dorosłą córkę, która dla mnie przyszła na świat w wieku trzydziestu lat.

Mieszkała w przyczepie, którą niedługo po naszym spotkaniu przetransportowaliśmy na moją wyspę starym promem do przewozu krów. Louise została ze mną aż do śmierci Harriet, której zwłoki

spaliliśmy razem ze starą drewnianą łódką, która butwiała na brzegu. Wkrótce po tym Louise wyjechała. Po jakimś czasie dowiedziałem się, gdzie jest, ze zdjęcia w gazecie. Znowu uczestniczyła w skandalu, tańcząc nago przed grupą jakichś polityków, których potępiała za ich postępowanie.

Właściwie prawie nie znałem Louise. Żałowałem, że tak jest. Mieszkając tu przez chwilę, bardzo polubiła moją wyspę i obiecałem jej, że oczywiście odziedziczy ją po mojej śmierci. Alternatywą byłoby odsprzedanie działki lokalnemu stowarzyszeniu mieszkańców, ale nie potrzebowałem pieniędzy ani nawet nie byłem pewien, czym stowarzyszenie się zajmuje, poza wewnętrznymi sporami dotyczącymi owej działalności. Poza tym nie chciałem, żeby dom moich dziadków – o ile będzie odbudowany – został kiedyś przerobiony na kawiarnię dla letników.

Parę lat temu przez sześć miesięcy gościłem w domu grupę dziewcząt. Zostały eksmitowane z ośrodka dla trudnej młodzieży prowadzonego przez kobietę, której przed laty omyłkowo amputowałem zdrową rękę. Wybaczyła mi, a ja cieszyłem się, mogąc pomóc osobom pozbawionym dachu nad głową. Jednak po niedługim czasie życie w izolacji na wyspie zaczęło je nudzić i kiedy tylko pojawiło się nowe lokum na stałym lądzie, bez wahania się wyprowadziły. Nigdy więcej ich nie widziałem.

Całe szczęście już ich nie było, kiedy mój dom stanął w płomieniach. Drżałem ze strachu na samą myśl o tym, że ktoś mógłby zginąć w pożarze.

Długo leżałem na łóżku w przyczepie, nim zebrałem się na odwagę i wystukałem numer komórki Louise. Miałem nadzieję, że nie odbierze, ale usłyszałem jej głos już po czterech sygnałach. Brzmiał bardzo wyraźnie, jakby stała tuż obok, koło przyczepy.

Zapytałem, czy nie przeszkadzam. Odparła, że nie. Spytałem ją, gdzie jest. Zaraz po tym przemknęło mi przez myśl, że kiedyś rozpoczynano rozmowy telefoniczne od pytania, jak osoba, do której dzwonicy, się czuje. Teraz zaczynamy od dociekania, gdzie ona w danym momencie przebywa.

Louise nie odpowiedziała. Domyśliłem się, że nie zamierza mi tego zdradzać. Nie naciskałem, bo zdążyłem się już nauczyć, że

w odwecie za nadmierną ciekawość moja córka potrafi nie odbierać telefonów przez parę tygodni.

– W nocy spłonął dom – oznajmiłem.

– Jaki dom? – zapytała.

– Mój dom. Ten, w którym mieszkałem. Ten, który miałaś po mnie odziedziczyć.

– Spalił się?

– Tak.

– O Boże!

– Można tak powiedzieć.

– Jak to się stało?

– Nie wiadomo. Kiedy się obudziłem, dom stał już w płomieniach. Zdążyłem ocalić tylko siebie. Straciłem wszystko.

– Nawet twoje dzienniki?

– Tak. Wszystko.

Louise zamilkła. Domyśliłem się, że próbuje zrozumieć to, co właśnie usłyszała.

– Nic ci się nie stało?

– Nic.

– Ale musi przecież istnieć jakieś wytłumaczenie.

– Była tu policja i ekspert od dochodzeń pożarowych, ale nie doszukali się żadnej przyczyny.

– Domy nie płoną przecież bez powodu. Na pewno nie zostałeś ranny?

– Na pewno.

– I co teraz zrobisz?

– Nie wiem.

– Gdzie będziesz mieszkał?

– Na razie w twojej przyczepie.

Znowu zapadła cisza. Wyglądało na to, że zdziwienie Louise nie przerodzi się w złość.

– Przyjadę jak najszybciej.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Może i nie ma, ale chcę to zobaczyć na własne oczy.

– Nie masz powodu, żeby mi nie wierzyć.

– Wierzę ci.

Nie chciała dłużej rozmawiać, wyczuwałem to w tonie jej głosu. Zakończyliśmy rozmowę zaraz po tym, jak Louise obiecała, że wkrótce się do mnie odezwie. Położyłem się z powrotem na łóżku i dopiero teraz zauważyłem, że oblewa mnie pot. Dotarło do mnie, że moja córka jest jedyną osobą na świecie, z którą mogę pomówić o tym, co mnie spotkało.

Po chwili wstałem i wyszedłem z przyczepy. Zszedłem na pomost i włożyłem telefon Janssona do małej metalowej skrzynki, którą trzymam pod ławką. Następnie wysłałem mu sms z wiadomością, że może odebrać komórkę. Włożyłem do skrzynki banknot pięćdziesięciokoronowy, uznawszy, że ta suma pokryje moje nieliczne rozmowy. Zakończyłem wiadomość zdaniem, że w tej chwili wolałbym nie przyjmować żadnych gości.

Usiadłem na ławce i oparłem plecy o ścianę szopy, z której schodziły płaty czerwonej farby.

Kiedy się przebudziłem, zapadał już zmierzch. Bardzo zmarzłem. Wróciłem do przyczepy i nagle, zupełnie niespodziewanie, poczułem ogromny lęk przed ciemnością. W nieistniejących oknach spalonego domu nie świeciło się światło. Lampa przy szopie również nie była włączona. Wokół panowała kompletna ciemność. Wszedłszy do przyczepy, zapaliłem płomień na butli gazowej i odszukałem starą lampę naftową, którą Louise dostała w prezencie od Harriet. Potem otworzyłem puszkę z zupą mięsną i podgrzałem ją na kuchence. Uznawszy, że jedzenie jest wystarczająco ciepłe, wyłączyłem ogień. Lampa na naftę dawała o wiele cieplejsze światło.

Tego wieczoru wcześniej położyłem się spać. Otoczony ciemnością, uświadomiłem sobie jak bardzo jestem zmęczony. Nie miałem nawet siły, by martwić się następnym dniem. Jakby wraz z domem spłonął mój cały zapas sił.

Obudził mnie sen o burzy. Zerknąłem na stary budzik i stwierdziłem, że spałem aż dziewięć godzin. Nie zdarzyło mi się to chyba, odkąd przestałem być dzieckiem. Jak zwykle, wstałem od razu po przebudzeniu. Wiedziałem, że jeśli zamarudzę w łóżku o poranku, dopadną mnie przykre myśli i ogarnie niepokój.

Wkładając pelerynę, uświadomiłem sobie, że nie kupiłem ręcznika. Po chwili namysłu postanowiłem poświęcić żółtą chińską koszulę. Potem zszedłem na pomost. Na jego końcu był stopień prowadzący do wody. Zanurzyłem się powoli i popłynąłem kawałek na plecach.

Woda była zimna, miała siedem, najwyżej osiem stopni. W nocy znów zerwał się wiatr. Wiatrowskaz na szapie wahał się między zachodem a południowym zachodem. Wychodząc z wody, przypomniałem sobie, że miałem też kupić radio. Wytarłem się koszulą energicznie, żeby wspomóc krążenie. Unikałem patrzenia na swoje ciało, które z wiekiem wydawało mi się coraz bardziej odstręczające. Akurat tego ranka czułem się jeszcze bardziej pomarszczony niż zwykle.

Potem szybkim krokiem wróciłem do przyczepy i się ubrałem. Wypiłem kawę i zjadłem parę kanapek, po czym zadzwoniłem do informacji telefonicznej i poprosiłem o numer Kolbjörna Erikssona. Kolbjörn był moim rówieśnikiem. Przeniósł się na wyspy na emeryturze. Przepracował niemal całe życie jako elektryk na frachtowcu kursującym między Europą a Ameryką Południową. Teraz mieszkał w domu odziedziczonym po stryju. Rodzina Kolbjörna należała kiedyś do największych i najważniejszych tutejszych rodzin wyspecjalizowanych w polowaniu na foki. Kolbjörn naprawił mi kiedyś zepsuty piec, on również położył nową instalację elektryczną w moim domu.

Odebrał po pierwszym dzwonku. Zdawało mi się, że stęknął, kiedy usłyszał moje nazwisko.

– Spłonął mój dom – powiedziałem. – Ale chyba już o tym wiesz.

– Tak, byłem u ciebie nad ranem – odparł. – Nie widziałeś mnie?

Nie przypominałem sobie, że bym go widział pośród ludzi bezradnie próbujących ugasić płomień. Jak mogłem nie zauważyć jego charakterystycznej twarzy i łysiejacej czaszki? W dodatku był bardzo wysoki i miał piskliwi głos.

– Nie pamiętam – odparłem. – Ale dziękuję, że próbowałaś pomóc.

– Co się stało? Znasz przyczynę pożaru?

– Nie sądzę, żeby powodem była położona przez ciebie instalacja.

– Może zapomniałeś zdmuchnąć świeczkę?

– Nie. Zaczekam, co ustali policja i ekspert od pożarów.

Już miałem dodać, że podejrzewają mnie o podpalenie, ale zatrzymałem słowa, zanim zdążyły wypaść z moich ust.

– Muszę mieć prąd – powiedziałem zamiast tego. – Mieszkam w przyczepie. Potrzebne mi światło i ogrzewanie.

– Już o tym myślałem. Mogę wpaść nawet dziś.

Za trzy godziny miałem odebrać z portu Lisę Modin.

– Jutro – odparłem. – Będę wdzięczny, jeśli przywieziesz mi kilka lamp. Do przyczepy i na zewnątrz. Jeśli takie masz.

Kolbjörn obiecał zjawić się nazajutrz. Umówiliśmy się na wpół do ósmej. Schowałem telefon do kieszeni i wróciłem na pomost. Silnik w łodzi wystartował od razu. Popłynąłem w stronę wysepki bez nazwy. W pewnej chwili wyłączyłem silnik, wynurzyłem śrubę i przepłynąłem ostatni kawałek, wiosłując. W końcu poczułem, że dno trze o skały. Nie musiałem cumować łódki, bo była widoczna z każdego miejsca na wysepce. W dodatku wiał południowo-zachodni wiatr, prosto na rufę.

Na dużym kamieniu leżał szkielet mewy. W dzieciństwie często widywałem tutaj kości martwych ptaków, ale nie myślałem o tym miejscu jak o cmentarzu. Zszedłem do niecki między dwiema skałami. Ze wszystkich stron otaczało mnie otwarte morze. Tylko daleko na horyzoncie tu i tam wystawały pojedyncze grzbiety podwodnych skał.

Kiedy byłem dzieckiem wyobrażałem sobie, że to wynurzające się wieloryby.

Właściwie nadal tak myślałem.

Zmierzyłem szerokość niecki krokami i upewniłem się, że zmieści się tutaj przyczepa Louise. Byłem pewien, że przy pomocy lin uda się przeciągnąć ją z promu i postawić między dwiema gęstymi kępami olch.

Obszedłem całą wysepkę. Wiał tu o wiele świeższy wiatr, niezatrzymywany po drodze przez żadne wyspy.

Zdecydowałem, że zrealizuję pomysł, który wpadł mi do głowy poprzedniego dnia. Byłem pewien, że moja córka zaakceptuje ten wybór.

Przyczepa zostanie przeniesiona.

Chwilę później popłynąłem do portu. Do spotkania z Lisą Modin pozostała mi jeszcze godzina, więc poszedłem zapytać Nordina, czy na pewno zamówił dla mnie kalosze. Potwierdził, ale zorientowałem się, że poczuł się lekko dotknięty moim pytaniem.

Kupiłem dla mojej pasażerki kamizelkę ratunkową. Miałem stary kapok dla siebie, ale nigdy go nie używałem. Zacumowawszy łódź, wyjąłem go z małego schowka na rufie i przez chwilę próbowałem oczyścić z plam oleju i rybich łusek, ale na nic się to nie zdało.

Zaniemówiłem, kiedy Nordin podał mi cenę nowej kamizelki. Zgodził się ze mną, że jest bardzo droga, ale od razu zaznaczył, że to nie on ustala tutaj ceny.

W kawiarni siedziało kilku robotników zatrudnionych do asfaltowania drogi w porcie. Wyglądało na to, że mają przerwę. Pili kawę. Kładli nową nawierzchnię na pirsie, przy którym stoją łodzie straży przybrzeżnej. Kiedy wszedłem, jeden z nich opowiadał właśnie, że parę dni temu widział w wodach portu okonia. Mężczyźni dyskutowali z ożywieniem, czy to może być prawda, czy też koledze coś się przywidziało. Wszyscy wiedzą, że nie ma już okoni na tym archipelagu. Ja sam nie widywałem ich w okolicach mojej wyspy od co najmniej trzech lat. Raz po raz przepływała ławica płotek, ale nic poza tym.

Przysłuchiwałem się rozmowie robotników. Mówili, że Bałtyk wymiera. Z niewidocznego dla nas dna od wielu lat ukradkiem znika życie, a jego miejsce zajmuje podwodna pustynia. Ja sam porównywałem coraz gwałtowniej rozrastające się latem algi do ataków łuszczycy. Wyobrażałem sobie, że morze zrzuca płaty skóry i jednocześnie się dusi.

W końcu mężczyźni wstali i wyszli, nie doszedłszy do zgody w sprawie okoni. Zostałem sam w kawiarni. Weronika siedziała w pomieszczeniu za barem i słuchała radia. Zorientowałem się, że ściszyła, kiedy wszedłem do lokalu.

Była wnuczką jednego z ostatnich żyjących jeszcze na tych wyspach pilotów morskich. Wiedziałem, że ma brata, który urodził się z wodogłowiec i cały czas mieszka z rodzicami. Sama wynajmowała małe mieszkanie wciśnięte między kawiarnię a sklep spożywczy.

Była miła i bystra, ale zarazem niepewna siebie i wystraszona. Bała się popełnić jakiś błąd i powiedzieć coś niewłaściwego. Myślałem czasem, że już zawsze będzie pracowała w tej kawiarni. Że będzie podawała gościom napoje, aż umrze ze starości. Sprawiała wrażenie, jakby bała się podjąć decyzję, która zmieni jej życie. Ciekawiło mnie, za czym tęskni. Musiała przecież mieć jakieś marzenia.

Poszedłem do toalety i przyjrzałem się swojej twarzy w lustrze. Wyglądałem zwyczajnie. Włosy miałem rzadkie, ale uczesane, rysy wyraźne i zdecydowane. Spróbowałem się do siebie uśmiechnąć. Potem wyobraziłem sobie Lisę Modin bez ubrania. Od razu poczułem zażenowanie.

Nagle odkryłem, że niebieska chińska koszula, którą włożyłem tego ranka, ma plamę na kołnierzyku. Wyglądała jak defekt powstały podczas barwienia materiału. Z miejsca ogarnęła mnie taka złość, że o mało nie zerwałem koszuli z grzbietu i nie cisnąłem jej do kosza na śmieci. Po chwili odzyskałem spokój. Zauważyłem, że jeśli podciągnę sweter trochę do góry, obrębek dekoltu zakryje plamkę.

Miałem jeszcze dwadzieścia minut do przyjścia Lisy Modin, poszedłem więc do sklepu spożywczego i kupiłem warkocz drożdżowy do kawy. Podobnie jak w kawiarni, w sklepie również byłem jedynym klientem. Żyłem w odludnej części Szwecji. Na tych wyspach zostało tak samo mało ludzi, co ryb w Bałtyku.

Wróciłem do łodzi i czekałem. Wciąż wiała tylko lekka bryza. Na wschodzie formował się front burzowy, ale miał tutaj dotrzeć dopiero wieczorem.

Robotnicy na pirsie paprali się w asfalcie. Wszędzie roznosił się zapach smoły.

Spojrzałem na wodę. Nie było w niej ryb. Nawet maleńkiej ławicy płotek.

Nadeszła dziesiąta, ale w porcie nie pojawił się żaden samochód. Czyżby Lisa Modin się rozmyśliła?

Nagle zobaczyłem małe niebieskie autko zjeżdżające w dół pagórka przed portem. Zbliżało się szybko, wjechało na parking i ostro zahamowało. Wysiadła z niego Lisa Modin. Miała na sobie tę



samą kurtkę co wczoraj. Wstałem z ławki w łódce i pomachałem jej na powitanie. Zrobiłem to trochę zbyt energicznie, bo łódź zakołysała się, a ja straciłem równowagę. Skończyło się tym, że uderzyłem kolanem o wiosło i usiadłem na dnie. Nie wiedziałem, czy to widziała, ale kiedy podchodziła do łodzi, zdążyłem już wstać.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała.

– Nic nie szkodzi – odparłem.

Odebrałem od niej torebkę i pomogłem wsiąść. Miała rękawiczki. Dałem jej kamizelkę ratunkową i odcumowałem łódkę. Lisa Modin usiadła na środkowej ławce plecami do mnie. Wypłynąłem z portu i zwiększyłem prędkość. Nordin stał przed swoim sklepem i palił fajkę. Był jedną z nielicznych już osób, które uparcie nie chciały rzucić palenia.

Nie odezwała się przez całą drogę. Obserwowała wyspy, wystające z wody skały i otwarte morze. Przez chwilę towarzyszył nam bielik. Płynął gładko na wietrze. Tylko wtedy Lisa Modin odwróciła się w moja stronę. Skinąłem głową na ptaka wiszącego nieruchomo na niewidzialnych sznurkach.

– To orzeł? – zapytała.

– Bielik zwyczajny – odparłem.

To były jedyne słowa, które wypowiedzieliśmy.

Kiedy dopłynęliśmy do mojej wyspy, zwolniłem i przybiłem do pomostu. Pogorzelnisko było dobrze widoczne już z daleka. Powoli wpłynąłem do garażu w szopie.

Lisa Modin wysiadła na brzeg bez mojej pomocy. Poszliśmy prosto w stronę zgliszczy. Moja nowa znajoma dwukrotnie okrążyła to, co pozostało po moim domu, raz w jedną, raz w drugą stronę. Stałem pod osmaloną jabłonią i śledziłem ją wzrokiem. W pewnej chwili przemknęło mi przez myśl, że jest podobna do Harriet w latach młodości, chociaż Harriet nigdy nie nosiła krótko ściętych włosów. Nie byłem pewien, czy tęsknię za wspomnieniem z dawnych lat, czy już za kobietą, którą miałem teraz przed oczami.

W końcu podeszła do mnie, kręcąc głową.

– Jak to się stało? – zapytała.

– Spałem już i nagle obudził mnie jaskrawy blask ognia. Wybiegłem z domu w tym, co miałem na sobie.

– Rozmawiałam przez telefon z Bengtem Alexanderssonem. Powiedział mi, że przyczyna pożaru jest wciąż nieznana.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie, tylko tyle.

Miałem przeczucie, że Lisa Modin nie mówi mi całej prawdy.

Alexandersson na pewno powiedział jej więcej. A może sama się domyśliła, że podejrzewają mnie o podpalenie własnego domu?

Odwróciłem się do niej plecami i ruszyłem z powrotem w stronę szopy i stojącej tam ławki. Już nie miałem ochoty zapraszać jej do przyczepy na kawę. Podążyła za mną i usiadła na ławce obok mnie. Idąc, zdążyła wyjąć z torby notatnik i długopis.

– Jak można coś takiego przeżyć? – zapytała.

– Trzeba wybiec z domu najszybciej, jak się da.

– Nie o to mi chodzi. Jak można przeżyć utratę wszystkiego, co się posiadało?

– To zadziwiające, jak niewiele człowiek potrzebuje do życia.

– Ale co z pamiątkami? Z drobiazgami odziedziczonymi po dziadkach? Ze zdjęciami? Co z podłogą, po której codziennie się stąpało? Z tapetami, na które się patrzyło? Drzwiami, które na okrągło się zamykało i otwierało?

– Najważniejsze pamiątki przechowujemy tutaj. – Postukałem się palcem po głowie. – Nie mogę rozpaczać nad tym, co straciłem. Muszę podjąć decyzję, co będzie dalej. Nie pozwolę na to, żeby pożar zabrał całe moje życie.

– Odbuduje pan dom?

– Jeszcze nie wiem.

– Był ubezpieczony?

– Tak.

– Również wyposażenie?

– Nie wiem.

Zrobiła krótką notatkę. Zauważyłem, że Modin używa znaków stenograficznych. Wciąż miała na dłoniach rękawiczki. Pomyślałem, że powinienem ją zapytać, co powiedział jej Alexandersson.

Nagle wykrzywiła usta w dziwnym grymasie i schyliła głowę, jakby coś ją zabolalo.

– Chyba mam dyskopatię – powiedziała. – Albo kręcz karku.

Podniosłem się z ławki.

– Ta ławka to właściwie moja polowa przychodnia – powiedziałem. – Mogę panią zbadać.

Spojrzała na mnie niepewnie, jakby w obawie, że sobie z niej żartuję.

– Naprawdę mogę panią zbadać – powtórzyłem. – To zajmie tylko kilka minut.

Zawahała się, ale w końcu odwinęła szalik i rozpięła kurtkę. Położyłem dłonie na jej karku i ostrożnie zacząłem wyczuwać kręgi. Zapytałem, w którym miejscu odczuwa ból, potem poprosiłem, żeby powoli pokręciła głową, zgodnie z moimi wskazówkami. Podejrzywałem, że to dyskopatia, ale do potwierdzenia diagnozy potrzebne było prześwietlenie.

Jej ciało było ciepłe. Miałem ochotę przytulić policzek do jej skóry. Poprosiłem ją o kilka dodatkowych, zupełnie niepotrzebnych obrotów szyją, żeby móc dłużej trzymać na niej dłonie.

Kiedy skończyłem, owinęła się z powrotem szalikiem. Obiecała, że zrobi prześwietlenie. Zaproponowałem, żebyśmy przenieśli się do przyczepy i kontynuowali rozmowę przy kawie. Zanim to uczyniliśmy, Lisa Modin zrobiła mi kilka zdjęć na ławce, z morzem w tle. Na koniec chciała jeszcze, żebym usiadł na samym końcu pomostu i patrzył na morze. Zrobiłem to, o co prosiła.

Przyczepa wydawała się bardzo ciasna, kiedy wchodziły do niej dwie osoby. Podałem pokrojone ciasto na talerzu i kawę w kubkach. Każdy kubek był inny, ale nie miałem wyboru. Usiadłem na taborecie przy stoliku, a ona na łóżku, z poduszką za plecami. Zapytała mnie o historię domu, który spłonął, całej należącej do mnie ziemi i o to, jak widzę swoją przyszłość.

Ostatnie pytanie było najtrudniejsze. Odpowiedziałem, że jeszcze nie postanowiłem, co z sobą zrobić, bo pożar w mojej głowie jeszcze całkiem nie dogasł.

– Ładnie powiedziane – odparła. – Ładnie i zarazem przerażająco.

Po chwili odniosłem wrażenie, że skończyły jej się pytania, więc przejąłem inicjatywę i zapytałem ją, jak trafiła do tej gazety. Dowiedziałem się, że rozpadło się jej małżeństwo i przeprowadziła się w te okolice ze Strängnäs, gdzie również pracowała w lokalnej

gazecie. Przyjechała, bo tutaj zaproponowano jej pracę. Mieszkała tu od roku, ale miałem wrażenie, że niezbyt jej się tu podobało.

Nie miała dzieci. Powiedziała mi to, chociaż nie pytałem.

– Co chce pani robić za dziesięć lat? – chciałem wiedzieć.

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że będzie to coś, czego dzisiaj nawet się nie spodziewam. A pan?

– Myślę tak samo.

– Ale wciąż będzie pan tutaj, prawda? W nowo wybudowanym domu?

Nie odpowiedziałem.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Gałęzie olchy ocierały się o dach przyczepy.

– Nigdy nie zwiedzałam tutejszych wysp – powiedziała nagle. – Szkoda. Bardzo mi się podobały widoki, które widziałam, kiedy tu płynęliśmy.

– Wyjątkowo pięknie robi się właśnie o tej porze roku, na krótko przed zimą – odparłem. – Teraz jest najładniej, chociaż wielu uważa, że to surowy i przerażający krajobraz.

– Słyszałam, że na najdalej wysuniętej w morze wyspie dawno temu mieszkali biedni rybacy. Podobno zachowały się kamienne fundamenty ich chat. Nie wiadomo, jak byli w stanie tam przeżyć. Chciałabym zobaczyć tę wyspę, ale podobno nie wolno tam schodzić na ląd. Czy to prawda?

– Tylko w okresie lęgowym ptaków. Teraz można ją zwiedzać.

– Był pan tam?

– Wiele razy. Mogę pani pokazać to miejsce.

Lida Modin od razu przyjęła moje zaproszenie.

– Mam czas w przyszłą środę – oznajmiła. – A pan? Domyślam się, że ma pan teraz mnóstwo na głowie.

– Przeciwnie. Mam mnóstwo czasu.

Wróciliśmy do rozmowy o pożarze. Poprosiła mnie, żebym opisał dom, bardzo dokładnie, każde pomieszczenie z osobna. Opowiedziałem jej o grubych dębowych belkach, z których zrobione były ściany, o tym jak wiele lat temu ścięto je w lesie na północy archipelagu i przywieziono aż tutaj po lodzie, saniami zaprzężonymi w konie. Dziadek opowiadał mi, że pod jednym z takich zaprzęgów

załamał się lód i zatonął tuż przy jednej z małych, wystających z wody skał, którą z jakiegoś powodu nazywano Cesarzem. Powtarzał, że nawet kiedy lód wydaje się gruby, mogą się w nim czaić zdradliwe pęknięcia, szczególnie w pobliżu podwodnych skał albo na rozległych płycznach. Koń, który według mojego dziadka miał na imię Rummel, poszedł na dno razem z furmanem, chłopakiem, który miał dopiero dwadzieścia lat. Nikogo nie było w pobliżu, nikt nie słyszał krzyków. Dopiero po zmroku ludzie wylegli na lód z pochodniami i zaczęli ich szukać. Następnego dnia dziura w lodzie zamarzała na nowo i ciało chłopaka i konia znaleziono dopiero wiosną.

Snując opowieść, czułem się tak, jakbym znowu chodził po domu. Ogień zniszczył ślady zostawione przez kilka pokoleń w ciągu zaledwie paru godzin. Niedostrzegalne gołym okiem ślady gestów, słów, przemilczeń, trosk i uśmiechów. Widocznie w popiół może się obrócić również to, czego nie da się dostrzec gołym okiem.

Kiedy szliśmy z powrotem do szopy, czułem podekscytowanie na myśl, że wkrótce znowu spotkam się z Lisą Modin. W tej chwili było to dla mnie o wiele ważniejsze niż spalone ruiny mojego domu.

Popłynęliśmy z powrotem do portu. Wysadziłem ją przy dystrybutorach paliwa.

Podaliśmy sobie ręce na pożegnanie. Nie czekałem, aż wsiądzie do swojego małego autka i odjedzie.

Gdy wróciłem na moją wyspę i zacumowałem łódkę, zauważyłem, że był tutaj Jansson. Zabrał swój telefon i zostawił w skrzynce plastikową torebkę ze świeżo upieczonymi sucharkami.

Jansson to dziwny człowiek. Kiedyś zdradził mi, że interesuje się sposobem, w jaki ludzie przeprowadzali egzekucje na przestrzeni dziejów. Okazało się, że znane mu są najbardziej barbarzyńskie metody uśmiercania. Z obrzydzeniem i ustami rozdziawionymi ze zdziwienia słuchałem jego wywodu na temat ludzkiej brutalności. W pewnej chwili nagle przerwał i zamilkł, jakby się zorientował, że z czymś się zdradził.

Niemniejszym zaskoczeniem był fakt, że Jansson dysponuje jasnym i donośnym tenorem. Niedługo przed śmiercią Harriet, podczas przyjęcia z okazji jej urodzin, nagle w letni wieczór wstał

od stołu ustawionego na dworze i zaśpiewał *Ave Maria* Schuberta tak donośnie, że głos rozniósł się chyba po całym archipelagu. Wszyscy goście byli zaskoczeni i ogromnie wzruszeni. Nikt nie wiedział, że Jansson ma taki piękny głos. Ale kiedy go później zapytano, czy przyłączy się do chóru kościelnego, od razu odmówił. Od tamtych urodzin nikt już więcej nie słyszał, jak śpiewa. Od wieczoru, podczas którego Harriet siedziała przy stole w kwiecistym wianku na głowie.

Zaniosłem sucharki do przyczepy. Usiadłem i zacząłem spisywać listę spraw, w których musiałem coś postanowić. Przeprowadziłem też szybką analizę moich oszczędności i okazało się, że dzięki wrodzonej umiejętności oszczędzania, moja sytuacja finansowa jest o wiele lepsza, niż przypuszczałem.

Na różnych kontach bankowych miałem łącznie kilkaset tysięcy koron. Do tego trochę akcji i obligacji.

Przygotowałem posiłek, znów złożony z jedzenia z puszki. Następnie wybrałem się na spacer wokół wyspy.

Kiedy wróciłem, przyniosłem z szopy stare radio tranzystorowe. Nie sądziłem, że uda mi się je uruchomić, ale po włożeniu baterii, które kupiłem w porcie dzień wcześniej, nagle wydało z siebie dźwięki. Położyłem się na łóżku i wsłuchałem się w wykład profesora z Lund, traktujący o właściwościach leczniczych pola magnetycznego. Jako lekarz nie wierzę w to, że magnetyzm może czynić cuda, ale profesor miał przyjemny głos. Nie interesowało mnie, o czym mówi.

Po wykładzie były wiadomości, a po nich raport o ruchu statków na morzu. Pomyślałem ze smutkiem, że otaczający mnie świat staje się coraz mniej zrozumiały. Wkrótce nie będę już wiedział, które ugrupowania terrorystyczne zwalczają się nawzajem i których trzeba się najbardziej obawiać. W wiadomościach podano też informacje, że pod Jerozolimą spalono żywcem palestyńskiego chłopca, a w Iraku kilku rebeliantów zostało ukrzyżowanych przez swoich przeciwników. Wiedziałem, że ich nienawiść wynika z radykalnie odmiennych definicji *jedynej prawdziwej wiary*, chociaż zarówno ci, którzy przybijali do krzyża, jak i ci przybijani, żywili przekonanie, że służą temu samemu Bogu.

W mojej przyczepie nie było żadnego Boga. Ale kto wie, może przechadzał się nocą po mojej wyspie? Może spał w mojej szopie? W każdym razie nie zamierzałem wpuszczać go do środka. Nawet wówczas, gdyby potrzebował się ogrzać. Jeśli chodziło o bogów, potrafiłem być naprawdę nieludzki.

Nazajutrz rano obudziłem się wcześnie. Śniła mi się armada przedziwnych staroświeckich łodzi motorowych, które otoczyły moją wyspę. Świeciły reflektorami na przyczepę. Światło było tak jaskrawe, że przypomniało mi o pożarze. Obudziłem się ze strachu, że przyszła kolej na przyczepę. Że teraz spłonie i ona. Wybiegłem nagi w ciemną noc. Serce waliło mi jak oszalałe jeszcze długo po tym, jak zrozumiałem, że to był tylko zły sen.

Potem długo leżałem bezsennie. Wiatr lekko kołysał przyczepą. Zupełnie, jakbym spał na łodzi chybotającej się na fali przyboju.

W końcu zasnąłem, ale spałem tylko do szóstej. Po przebudzeniu zszedłem na pomost i wziąłem poranną kąpiel. Termometr wskazywał siedem stopni powyżej zera. Żółta chińska koszula znów musiała mi posłużyć za ręcznik. Potem ugotowałem kawę i zjadłem kanapki z sardynkami. Zanim otworzyłem puszkę, upewniłem się, że jej zawartość nie pochodzi z Chin.

Sardynki odbyły długą podróż z portugalskiego miasteczka Lagos.

O wpół do ósmej przyплыł Kolbjörn swoim dużym aluminiowym promem. Oprócz kompetencji elektryka, miał on również sporą wiedzę na temat różnych rodzajów napędów do łodzi. Akurat jego prom miał pędnik wodnoodrzutowy, dlatego nie była mu potrzebna śruba.

Rozmawialiśmy chwilę na pomoście. Przywiózł ze sobą kable do pociągnięcia na zewnątrz i w przyczepie, a także kilka lampek stołowych.

Kabel doprowadzający prąd na moją wyspę wynurzał się z wody po południowej stronie. Była tam tablica ostrzegająca, żeby nie rzucać w tym miejscu kotwicy. Zaproponowałem Kolbjörnowi kawę, ale odmówił. Chciał od razu zabrać się do pracy. Tylko raz przelotnie spojrzął w stronę zgliszcz. Jakby wolał ich nie widzieć.

Zapytałem go, czy jest mu potrzebna pomoc niewykwalifikowanego ochotnika, ale odparł, że woli pracować sam.

A kiedy zasugerowałem, żebyśmy najpierw omówili kwestię zapłaty, wymamrotał coś niezrozumiale.

Wiedziałem, że poda jakąś śmieszoną cenę. Byłem dla niego człowiekiem w potrzebie, któremu należy pomóc.

Nagle zadzwonił mój telefon. Wyświetlał się nieznany numer. Kiedy odebrałem, usłyszałem w słuchawce energiczny głos kogoś oferującego mi meble ogrodowe z wytrzymałego tworzywa marki Hammarplast. Zanim dość oschle zakończyłem rozmowę, dowiedziałem się jeszcze, że mają posezonową obniżkę cen. Zaraz po tym ogarnęła mnie straszna złość. Sprzedawca nie oddzwonił.

Chowając telefon do kieszeni, usłyszałem głośny warkot silnika. Zbliżała się łódź straży przybrzeżnej. Zszedłem na pomost, żeby ich przywitać. Tym razem szyprem był Pålsson, ale przyplłynął też Alexandersson i jeszcze jeden, nieznany mi pasażer. Zacumowali łódź obok promu Kolbjörna i zeszli na brzeg. Alexandersson był ubrany w mundur. Nieznajomy miał na sobie płaszcz, ale dostrzegłem, że pod spodem też ma niebieski uniform.

Alexandersson dokonał prezentacji.

– To Sture Hämäläinen – powiedział. – Komisarz policji kryminalnej. On też musi zbadać miejsce zdarzenia.

Mężczyzna nazwiskiem Hämäläinen był niski, z lekką nadwagą i miał tak bladą twarz, że przez moment pomyślałem, iż jest upudrowany na białą. Podał mi rękę na powitanie.

– To rutynowe oględziny – powiedział. – Potrzebne tym bardziej, że firmy ubezpieczeniowe lubią robić trudności, kiedy nie stwierdza się żadnej przyczyny pożaru.

Mówił po szwedzku z fińskim akcentem. Z jakiejś przyczyny pomyślałem z ulgą, że przynajmniej on nie został wyprodukowany w Chinach.

Podeszliśmy do pogorzelniska. Kolbjörn i Alexandersson skinęli sobie głowami na powitanie.

– Nie jestem piromanem – oznajmiłem. – Po co miałbym podpalać swój dom?

Zwróciłem się do komisarza policji, ale ten nie odpowiedział. Stał i przyglądał się zgliszczom spod przymrużonych powiek. Potem



ruszył z miejsca i zaczął powoli obchodzić dookoła ruinę, jaka została po moim domu.

– Dlaczego policja kryminalna się tym interesuje? – spytałem Alexanderssona. – Naprawdę wierzysz w to, że sam podłożyłem ogień?

– Jasne, że nie.

– Więc co on spodziewa się tu znaleźć?

– Przyczynę pożaru. Jest w tym bardzo dobry.

– Mam nadzieję.

Uzmysłowiłem sobie, że znowu dałem się ponieść złości. Alexandersson zdawał się mnie rozumieć. Więcej nie rozmawialiśmy dalej.

Kolbjörn przymocowywał kabel na zewnątrz szopy.

– Kim jest ten facet w płaszczu? – zapytał mnie, kiedy podszedłem do niego.

– To komisarz policji. Sprawdza, czy nie podpaliłem swojego domu – oznajmiłem.

Kolbjörn upuścił śrubokręt z wrażenia. Schyliłem się i podałem mu go.

– Nie jestem podpalaczem – dodałem. – Muszę popłynąć na zakupy. W przyczepie jest kawa w termosie.

Wsiadłem do łodzi, ale nie popłynąłem do portu. Krążyłem bez celu między wyspami. W końcu obrałem kurs na wyspę Vrångskär, na którą za parę dni miałem zabrać Lisę Modin.

Zszedłem na ląd, wciągnąłem łódkę na brzeg i usiadłem na kawałku suchej ziemi pod wykręconą sosną.

Daleko na horyzoncie zbierały się burzowe chmury. Wpatrując się w morze, rozmyślałem, że wkrótce będę musiał podjąć jakąś decyzję.

Czy spłonęło całe moje życie? Czy znajdę w sobie chociaż resztkę radości życia, czy też od teraz będzie to wyłącznie trwanie w poniżającej starości? Czy zdołam jeszcze wykrzesać z siebie chęć do działania?

W gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do jednego pytania. Czy chcę odbudować dom, czy pozostawić Louise w spadku pustą ziemię?

Wpatrywałem się w morze, w nadziei, że woda wyrzuci na brzeg gotową odpowiedź. Nic takiego się nie stało.

W końcu jednak podjąłem jakąś decyzję. Postanowiłem, że nie będę zwlekał z przeprowadzeniem przyczepy na małą wysepkę. Kolbjörn z pewnością zdoła przeciągnąć tam kabel z prądem. Wiedziałem, że nie zawaha się złamać przepisów, jeśli tylko zapali się do rozwiązania pilnego problemu związanego z brakiem elektryczności.

Decyzja ta dodała mi trochę energii, więc podniosłem się z ziemi, wróciłem do łodzi, zrywając po drodze parę pędów z ostatnimi kwiatami dzikiej róży i popłynąłem z powrotem na moją wyspę.

Przy pomoście wciąż były zacumowane dwie łodzie. Kolbjörn ciągnął właśnie kabel do przyczepy, a Alexandersson i Hämäläinen dalej kręcili się przy pogorzeliśku.

– Znaleźliście coś? – zawołałem do nich.

Nie mogłem nie zauważyć, że wymienili szybkie spojrzenie. Zaniepokoiło mnie to, ale jednocześnie poczułem złość. Z połączenia niepokoju oraz irytacji rodzi się strach.

– Znaleźliście coś? – powtórzyłem, podszedłszy bliżej.

– Tak. Ślady wskazujące na to, że pożar wybuchł w kilku miejscach jednocześnie – odparł Hämäläinen.

– Co to za ślady?

– Pozostałości po substancji łatwopalnej.

– A więc ogień został podłożony?

Hämäläinen zrobił dziwny grymas i pokręcił głową. Alexandersson wyglądał na zmartwionego. Drapał czubkiem buta w popiele zgromadzonym obok kamiennej podmurówki domu.

– A więc podejrzewacie, że podpaliłem swój dom – oznajmiłem.

Hämäläinen wzdrygnął się lekko i spojrzał mi w oczy.

– A zrobił pan to?

– Co takiego?

– Podpalił pan swój dom?

Spojrzałem na Alexanderssona.

– Skąd wytrzasnąłeś tego fińskiego kretyna? – warknąłem.

Nie czekając na ich reakcję, poszedłem prosto do przyczepy. Kolbjörn, balansujący właśnie na drabinie, zauważył, że jestem

wzburzony, ale nic nie powiedział.

Chwilę później usłyszałem warkot silnika łodzi straży przybrzeżnej. Oczekałem, aż ucichł i dopiero wtedy wyszedłem. Powiedziałem Kolbjörnowi, że chcę przenieść przyczepę na inną wyspę i zapytałem, czy mi w tym pomoże. Wiedziałem, że ma stary prom do przewożenia krów i kilka cum, potrzebnych do przeciągnięcia przyczepy z brzegu do niecki.

Obiecał mi pomoc. Zapewnił też, że pociągnięcie kabla z prądem nie będzie stanowiło żadnego problemu.

Skończył pracę tuż przed zapadnięciem zmroku. Na pomoście przed szopą rozbłysła jasna latarnia.

Wróciłem do przyczepy i włączyłem lampkę, którą Kolbjörn postawił na stole.

Teraz będzie mi łatwiej coś postanowić, stwierdziłem. Światło na pewno mi w tym pomoże.

Tego wieczoru zjadłem zupę rybną, po której nie pozostało mi żadne wspomnienie.

Zasnąłem przed północą.

Nazajutrz długo szukałem w szopie jakichś kartek nadających się do zapisania. Jedyne, co w końcu udało mi się znaleźć w skrzynce ze starymi pędzlami i resztami farb, był mocno sfatygowany notatnik, w którym mój dziadek zapisywał daty wymiany oleju w samochodzie, Volvo pv44. Jeździł nim w latach pięćdziesiątych. Notes był upačkany olejem, ale miał jeszcze parę pustych kartek nadających się do wykorzystania.

Już miałem odstawić skrzynkę na swoje miejsce, kiedy spostrzegłem, że jest w niej coś jeszcze, na samym dnie, pod kawałkami papieru ściernego. Było to jojo. Małe, pomalowane na czarno, wyprodukowane w Kalmarze, owinięte dookoła sznurkiem.

Nie miałem takiej zabawki w rękach od sześćdziesięciu lat. Czyżby dziadek i babka się nim bawili? Może znali jakieś sztuczki, a ja nie miałem o tym pojęcia? A może jojo należało do mnie? Może bawiłem się nim jako dzieciak?

Wyszedłem z nim na pomost, wsunąłem pętelkę na palec wskazujący prawej dłoni i puściłem zabawkę w ruch. Ledwie udało mi się sprawić, by jojo rozwinęło się trochę i wróciło z powrotem do góry.

Nie wiem, co się potem stało. Nagle zakręciło mi się w głowie. Usiadłem na ławce, a właściwie opadłem na nią bezwładnie. Do zawrotów głowy dołączyły mdłości. Nie czułem bólu w klatce piersiowej ani w prawej ręce, więc wykluczyłem zawał. Starąłem się wyrównać oddech. Jojo zwisało z mojej prawej dłoni. Zawroty głowy zaczynały powoli przechodzić. Pomyślałem, że to musiało być chwilowe osłabienie.

Zaraz po tym dopadł mnie atak paniki. W sekundę rozlał się po całym ciele. Czułem się tak, jakby każdy moment, każdy mój oddech miał być ostatnim.

Powlokłem się do przyczepy i padłem na łóżko. Byłem pewien, że lada chwila umrę. W przyływie trzeźwości wziąłem dwie tabletki

uspokajające i popiłem je resztką zimnej kawy, ale od tego tylko zachciało mi się pić, a panika wciąż narastała. Próbowałem poukładać myśli, ale nie byłem w stanie się skupić. Zupełnie, jakbym miał w głowie stado dzikich koni, które rozpiechły się we wszystkich kierunkach. Uderzyłem pięścią w ścianę przyczepy, żeby je przegnać. Wszystkie moje wysiłki szły na marne.

Nie wiem, jak długo tak leżałem. Padając na łóżko, zrzuciłem na podłogę stary budzik dziadka. Zegar się zatrzymał. Nowemu zegarkowi nie ufałem. Był podejrzanie tani.

Kiedy wreszcie się uspokoilem i usiadłem na łóżku, słońce nie świeciło już w okienko dachowe przyczepy.

Włączyłem radio. Po kilku minutach przerwano program z muzyką klasyczną i zaczęły się wiadomości. Była czternasta. Walczyłem z atakiem paniki przez co najmniej pięć godzin.

Wyłączyłem odbiornik i wyszedłem na dwór. Słońce wciąż świeciło jasno. Zszedłem z powrotem do szopy. Na pomoście leżał poplamiony olejem notatnik dziadka. Schowałem go do kieszeni kurtki.

Kiedy poczułem się lepiej, doszedłem do wniosku, że powodem ataku był mój podeszły wiek. Do niedawna sądziłem, że fakt, iż mijają kolejne lata, nie oznacza zbyt wiele. Starzeję się, to oczywiste, ale dzieje się to powoli, niemal niezauważalnie.

Dziś nie umiem wskoczyć do łodzi tak sprawnie jak dziesięć lat temu. Muszę się przytrzymywać jedną ręką przy wsiadaniu. Starość nadchodziła cicho, jak mgła nadciągająca nad morze.

Teraz zrozumiałem, że w moim przypadku być może już dotarła na miejsce. Byłem starym człowiekiem, który boi się umrzeć. Jedynym, co mi jeszcze pozostało, było przekroczenie niewidzialnej granicy między życiem a śmiercią. Bałem się tego kroku. Bałem się go o wiele bardziej, niż myślałem.

Poczułem nagłą potrzebę, by z kimś porozmawiać. Nie wiem, kiedy ostatnio czułem coś podobnego. Wyjąłem z kieszeni telefon i wystukałem numer Janssona, ale po paru sygnałach rozłączyłem się. Nie chciałem rozmawiać akurat z nim. Nie miałem mu nic do powiedzenia. Po chwili zadzwoniłem do mojej córki. Jednak i tym razem się rozłączyłem, zanim zdążyła odebrać.

Gdzieś z oddali dobiegał warkot silnika. Odgadłem, że to łódź straży przybrzeżnej. Płynęła w moim kierunku. Zastanowiłem się szybko, czy zdążę odcumować moją łódkę i odpłynąć, zanim tutaj dotrą. Nie miałem ochoty na kolejne spotkanie z Alexanderssonem ani nikim, kogo tym razem ze sobą wiozł. Niestety miałem za mało czasu.

Za sterami stał Pålsson. Nie wiedziałem, co się stało z blondynką Almą Hamrén. Na pokładzie byli też Alexandersson i Hämäläinen. Przywitaliśmy się i poszliśmy prosto do pogorzelnika.

– Doszliście do jakichś wniosków? – zapytałem.

Alexandersson zerknął na Hämäläinena.

– Wciąż nie wiemy, co było przyczyną pożaru – oznajmił policjant. – Ale mamy kilka tropów.

– A konkretnie?

– Już mówiliśmy. Że pożar wybuchł w kilku miejscach jednocześnie.

– I czym to tłumaczycie?

– Jest za wcześnie, żeby o tym mówić.

Nie zapytałem o nic więcej, zrozumiałwszy, że nie usłyszę żadnej konkretnej odpowiedzi. Zostawiłem ich przy zgliszcach i wróciłem do przyczepy. Wyjąłem z kieszeni poplamiony notatnik i długopis. Usiadłem z zamiarem, żeby coś napisać, ale zamarłem z dłonią na stole. Nie miałem nic do powiedzenia. W małym lusterku na ścianie widziałem swoją zmęczoną twarz. Przyszło mi na myśl, że wyglądam jak rozbójnik. Być może nawet tak, jak ludzie wyobrażają sobie podpalacza. Zanotowałem, że muszę kupić golarki jednorazowe i piankę. Tak brzmiał mój pierwszy wpis w starym notesie dziadka.

Potem położyłem się na łóżku. Musiałem zasnąć, bo ocknąłem się, gdy usłyszełem pukanie. Przed drzwiami stał Alexandersson.

– Obudziłem cię? – zapytał.

– Oczywiście, że nie. Kto by spał w ciągu dnia?

Alexandersson pokręcił głową, jakby żałował swoich słów.

– Mamy do ciebie parę pytań. To znaczy Hämäläinen, nie ja.

Podeszliśmy razem do pogorzelnika, gdzie czekał policjant. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem. Burzowe chmury gdzieś się

rozpierzchły.

Wreszcie nadszedł ten moment, pomyślałem. Wreszcie mnie oskarżą o podpalenie własnego domu.

W kieszeni wciąż miałem czarne jojo. Zastanowiłem się, czy powinienem je wyciągnąć i zacząć się nim bawić, kiedy Hämäläinen będzie zadawał pytania.

Zostawiłem je jednak tam, gdzie było i spojrzałem w oczy policjantowi.

– Wciąż mam wrażenie, że pożar wybuchł w kilku miejscach jednocześnie – powiedział.

– To tylko wrażenie czy fakt?

Nie odpowiedział na moje pytanie.

– Nie czuć żadnego charakterystycznego zapachu – mówił dalej. – Ale są wyraźne ślady wskazujące na to, że cztery narożniki domu zostały oblane jakąś łatwopalną substancją, którą potem podpalono. Takie działanie pozostawia charakterystyczny ślad na spalonym drewnie.

– Ale brzmi to całkiem niedorzecznie!

– Niedorzecznie czy nie, i tak musimy to zbadać.

– O co pan chciał mnie zapytać?

– Czy ma pan dostęp do benzyny albo oleju napędowego?

– Mam łódkę z silnikiem benzynowym. Oprócz baku w łodzi mam jeszcze dwudziestolitrowy kanister z zapasem paliwa.

– Mogę go zobaczyć?

– Bak w łodzi czy kanister?

– Raczej kanister.

Alexandersson trzymał się parę kroków z tyłu. Otworzyłem kanister i wypuściłem opary benzyny. Zajrzeliśmy do środka. Zbiornik był pusty. Wyszliśmy z szopy na pomost.

– Rozumiem, że odczytujecie to jako kolejny dowód świadczący przeciwko mnie – powiedziałem. – Twierdziłem, że mam zapas paliwa, a nie mam.

Głos drżał mi ze zdenerwowania. Ledwo formułowałem słowa.

– Zlecimy analizę chemiczną próbek substancji chemicznych pobranych ze zgliszcz – odparł Hämäläinen.

– Nie podpałiłem własnego domu! – ryknąłem. – Jeżeli mnie o to podejrzewacie, aresztujcie mnie tu i teraz!

Wystawiłem ręce w patetycznym geście, dając do zrozumienia, że dam się zakuć w kajdanki. Oczywiście Hämäläinen tego nie zrobił.

– Więc wynoście się stąd! – krzyknąłem. – Róbcie, co do was należy. Ale następnym razem dajcie mi znać, że przyjeżdżacie, żebym nie musiał was więcej oglądać.

Wyjąłem telefon i podyktowałem mój numer Alexanderssonowi. Zapisał go w swojej komórce. Hämäläinen się nie odzywał, patrzył tylko na niemalowane deski pomostu.

Potem zapadła cisza. Czułem jak opuszcza mnie złość, a jej miejsce zajmuje zwątpienie. Widocznie droga prowadząca od niewydarzonego lekarza do podpalacza jest bardzo krótka.

– Czy przychodzi panu do głowy, kto mógłby chcieć podpalić pański dom? – zapytał mnie nagle policjant.

– Ktoś, kto widział, że śpię i liczył się z tym, że zginę w płomieniach? A może właśnie o to mu chodziło? To ma pan na myśli?

– Mogę sobie wyobrazić niejednego chory powód podpalenia czyjegoś domu.

– Czy podpalaczowi nie chodzi tylko o to, żeby móc patrzeć, jak ogień się rozprzestrzenia i pożera wszystko na swojej drodze?

– Do tego może dążyć piroman. Ale podpalenia może dokonać ktoś inny, kto ma jakiś motyw.

– Nie mam żadnych wrogów na tych wyspach.

– A poza nimi?

Zastanowiłem się chwilę. Harriet nienawidziła mnie przez parę dobrych lat, ale ona już nie żyła i nie sądziłem, by ktoś mścił się w jej imieniu. Nie przychodził mi do głowy nikt inny, kto pragnąłby mojej śmierci.

– Nie mam pojęcia – odparłem po chwili. – Ale podejrzewam, że człowiek może mieć wrogów i nawet o tym nie wiedzieć.

Hämäläinen nie zapytał o nic więcej, tylko podszedł do zgliszczy. Wrócił po paru minutach, niosąc małe plastikowe torebki z próbkami. W czasie gdy zbiegał kawałki spalonego drzewa, ja i Alexandersson dalej staliśmy na pomoście.



Rozmawialiśmy o jesiennej pogodzie. Gdyby akurat była wiosna, rozmawialibyśmy o wiosennej. Czasem zastanawiam się, ile godzin w życiu spędziłem na rozmowach o pogodzie i sile wiatru.

Kiedy wrócił policjant, Alexandersson nagle zaczął się spieszyć. Pålsson, który przez cały ten czas siedział na łodzi i w ogóle się nie odzywał, szybko włączył silniki.

– Co się stało z Alną? – zapytałem. – Tą blondynką?

– Ma grypę – wyjaśnił Alexandersson. – Wróci do pracy, kiedy wyzdrowieje.

– Jeśli będzie potrzebowała lekarza, wiesz, gdzie mnie szukać.

Natychmiast pozałowałem tych słów. Alexandersson spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem. Wiedziałem, co sobie pomyślał. Co nadzwyczajnego mógłbym zrobić dla kobiety chorej na grypę?

Stałem na pomoście i podniosłem rękę na pożegnanie. Czułem, że jest ciężka jak kamień. Ten krótki napad złości całkowicie pozbawił mnie sił.

Wróciłem do przyczepy, położyłem się na łóżku i spróbowałem zebrać myśli. Nie dały się uspokoić. Dalej galopowały w mojej głowie niczym stado koni.

Nie wiem, jak długo tak leżałem. Po jakimś czasie w końcu wstałem i wyszedłem, z niejasnym zamiarem posprzątania w szopie. Uporządkowałem ją tylko raz, niedługo po tym jak zamieszkałem na wyspie. Od tamtego czasu niczego w niej nie ruszałem. Nawet kiedy się żyje skromnie, jak ja, człowiek poświęca większość czasu na gromadzenie mnóstwa gratów, które i tak nie są mu do niczego potrzebne i nie przedstawiają żadnej wartości.

W mojej szopie było drugie, niewielkie pomieszczenie, w którym dziadek trzymał kiedyś sieci. Stał w nim również taboret, na którym zasiadał, by je reperować. Zostało tam trochę sieci, tak starych, że oczka rozsypywały się w proch od samego dotknięcia. Żadna nie nadawałaby się już do łowienia ryb. Większość z nich dziadek upłócił własnoręcznie. Były pamiątką, której nie chciałem utracić.

Zacząłem od uprzątnięcia półki ukrytej za starą siecią na flądry. Pod kilkoma drobnymi sprzętami znalazłem brązowy zeszyt. Nigdy wcześniej go nie widziałem. W pomieszczeniu było ciemno, a żarówka pod sufitem się przepaliła, zabrałem więc znalezisko,

wyszedłem na pomost i usiadłem na ławce. Ku memu zdziwieniu, zeszyt okazał się bardzo starą książką. Wydrukowano ją w Sztokholmie w 1833 roku. Był to przekład z niemieckiego oryginału. Nie napisano, kto ją przetłumaczył, ale na wypłowiałej okładce widniało nazwisko autora: d.j. Tscheiner. Szwedzki tytuł brzmiał: *Ptastwa śpiewającego kraiowego i obcego rozmaitego łowienie, dzikiego chowanie, oswoienie i rozmnożenie*. Przeglądałem ją, zastanawiając się, jakim sposobem taka trudna do czytania publikacja trafiła w ręce mojego dziadka.

Zaciekawiony, wróciłem ze znaleziskiem do szopy i po dłuższej chwili znalazłem to, co wcześniej brałem za część zniszczonego więcierza na węgorsze. Przyjrzałem się temu uważnie i doszedłem do wniosku, że to pozostałość po plecionej klatce na ptaki. Poczułem, że odkryłem całkiem nieznaną fakt z życia moich dziadków. Skąd u nich klatka na ptaki i książka sprzed ponad stu pięćdziesięciu lat?

Szukałem dalej. Przetrzęsnałem całe pomieszczenie z sieciami, aż w końcu została mi do sprawdzenia tylko skrzynka z jakimiś słoikami. Leżała w niej martwa, zmumifikowana mysz. Słoiki były puste. Powąchałem je, ale nie byłem w stanie ocenić, co wcześniej zawierały. Nie miały etykiet.

Z wyjątkiem jednego. Wyjąłem go ze skrzynki, wyszedłem i znowu usiadłem na ławce. Słoik zawierał szarawą galaretowatą substancję. Jej zapach z czymś mi się kojarzył, ale nie mogłem sobie przypomnieć z czym. Opis naniesiony czarnym tuszem na białej etykiecie był ledwie czytelny. Przyglądałem się mu dłuższą chwilę i w końcu uznałem, choć wciąż pełen wątpliwości, że litery układają się w słowa „Klej na ptaki”. Nie potrafiłem ocenić, czy napisała je babka, czy dziadek. Uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie widziałem, by którekolwiek z nich coś pisało.

„Klej na ptaki”?

Spróbowałem powiązać pozostałości uplecionej klatki, starą książkę i ten tajemniczy słoik w logiczną całość. Łączył je oczywiście tytuł książki – jak łapać i hodować ptaki śpiewające. Klatka nie była w tym kontekście niczym przedziwnym, ale zawartość słoika? Czy na pewno dobrze odczytałem etykietę? Czyżby ten klej służył do łapania skowronków i zięb?

Nie przypominałem sobie, bym w dzieciństwie widział u dziadków klatkę z jakimkolwiek ptakiem. Pamiętałem jedynie rozmowy o edredonach i uhlach, które dziadek przynosił do domu z polowań.

Ostatecznie zdecydowałem się odłożyć dalsze rozważania na ten temat do przyjazdu Louise. Moja córka miała komputer, w którym znajdowała odpowiedzi na większość nurtujących ją pytań.

Ptaki śpiewające i klej.

Wróciłem do porządkowania szopy. Na stryszku znalazłem mnóstwo martwych jaskółek, które powpadały za różne sprzęty i nie potrafiły się zza nich wydostać. To miejsce było jak cmentarz dla tych biednych ptaszków. Niektóre z nich były dorosłe, inne malutkie i pewnie dopiero uczyły się latać, ale wpadły w pułapkę, z której nie było im dane uciec.

Potem znalazłem mój stary namiot z czasów dzieciństwa. Obok niego był śpiwór. Wyniosłem je na pomost, przekonany, że zgniły w środku i nadają się już tylko do wyrzucenia. Jednak i namiot, i śpiwór były w dobrym stanie. Nie miały dziur. Nie oparłem się pokusie rozłożenia namiotu na trawie. Znalazłem nawet śledzie. Moje ręce pamiętały każdą czynność. Kiedy namiot stanął, nie mogłem się nadziwić, jaki jest mały.

Rozwiesiłem śpiwór na sznurku do suszenia bielizny, żeby się przewietrzył. Potem wszedłem do namiotu. Blade jesienne słońce przebijało przez jego ściany i rzucało w środku szarozieloną poświatę.

Kiedy rozpinałem zielony tropik, ogarnął mnie niespodziewany spokój. Jakbym na chwilę zapomniał o katastrofalnym pożarze. Uspokoily się konie w mojej głowie. W jednej chwili postanowiłem, że jeszcze tego samego dnia rozbiję namiot na wysepce z niecką między skałami. Potrzebowałem ucieczki od spalonego domu i od osmalonej jabłoni.

Wyruszyłem o szóstej po południu. Wcześniej wypróbowałem śpiwór. Śmierdział stęchlizną, ale nadawał się do użytku. Zjadłem wczesną kolację, przygotowałem sobie parę kanapek, termos z kawą i plastikową butelkę z wodą.

Dopłynąwszy do wysepki, wciągnąłem łódkę na brzeg i zawiązałem cumę wokół tego samego kamienia, którego używałem w dzieciństwie. Namiot też rozstawiłem w tym samym miejscu. Potem rozwinąłem śpiwór i wszedłem do środka. Rozpoznałem nierówny grunt pod plecami.

Chwilę później wyszedłem i w zapadającym zmierzchu zabrałem się za zbieranie gałązek i kawałków drewna. Ułożyłem stosik w zagłębieniu skały, ale kiedy nad nim uklęknąłem i wyjąłem z kieszeni zapalniczki, nagle odechciało mi się ogniska. Miałem dosyć płomieni. Zostawiłem szczapki drewna w miejscu na ognisko i wróciłem do namiotu. Nie wziąłem latarki, więc położyłem się na śpiworze i w półmroku piłem kawę i jadłem kanapki. Wiatr przypominał o sobie w krótkich porywach. Ogarnęło mnie uczucie wyzwolenia. Po raz pierwszy, odkąd wybiegłem z płonącego domu, poczułem, że mam jasny umysł i potrafię logicznie myśleć.

Postanowiłem już, że przestawię przyczepę. Ale z decyzją o losie spalonego domu wolałem poczekać do przyjazdu Louise. W większym stopniu dotyczyła jej przyszłości niż mojej.

Potem pomyślałem o Lisie Modin, która miała mnie wkrótce odwiedzić. Marzyłem o niej. Nie obrażałem jej tym w żaden sposób, ani nie krzywdziłem. Fantazjowałem tylko o tym, że mógłbym jeszcze jeden ostatni raz przeżyć miłość. Myśli o niej zawiodły mnie powoli do rozmytej krainy, w której łączą się jawa i sen.

Obudził mnie chłód. Ale zanim wszedłem do śpiwora, otworzyłem namiot i wygramoliłem się na zewnątrz. Niebo było pokryte gwiazdami, wiatr ustał zupełnie. Nad tą częścią archipelagu wiodą ścieżki podejścia do lądowania dla samolotów, ale po jedenastej wieczorem zwykle panuje cisza.

Noc była czarna. Nie widziałem księżyca. Jesienne noce były od zawsze i będą trwały, kiedy mnie już zabraknie. Byłem przypadkowym gościem w ciemności i miałem świadomość, że nigdy nie będę nikim więcej.

Tej nocy źle spałem. Ze snu wyrywał mnie każdy ruch powietrza i każde szarpnięcie tropikiem. Potem długo leżałem, nie mogąc zasnąć, a kiedy wreszcie zasypiałem, za chwilę znów coś mnie budziło.

Byłem ciekaw, co porabia Louise. I kiedy wróci do domu. Rozmyślałem o latach kiedy jeszcze byłem lekarzem i o okresie tuż po tragicznej pomyłce podczas operacji. Straciłem wówczas orientację w życiu i na oślep pokonywałem skrzyżowanie za skrzyżowaniem.

Była to noc ciągle przerywanego snu i myśli rozbitych na kawałki. O świcie, kiedy nad wodą ukazała się pierwsza smuga światła, wstałem szybko i wyszedłem z namiotu. Zacząłem podskakiwać w miejscu, żeby się rozgrzać. Wystraszyłem tym samotnego łabędzia na brzegu. Poderwał się i odleciał z furkotem ciężkich skrzydeł. Spojrzałem na zegarek.

Było czternaście minut przed siódmą. Nastał chłodny poranek. Daleko na horyzoncie płynął na północ jakiś frachtowiec.

Zostawiłem namiot, zwinąłem tylko śpiwór, zabrałem termos, butelkę na wodę i papier po kanapkach. Zepchnąłem łódkę do wody i wskoczyłem do niej.

Pociągnąłem za sznurek, ale silnik nie odpalił. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Nie miałem przy sobie narzędzi, żeby wyjąć świecę, nie sądziłem też, by woda dostała się do paliwa.

Spróbowałem jeszcze raz, znów bezskutecznie. Wynurzyłem śrubę i sięgnąłem do wiosł. Postanowiłem zadzwonić do Janssona. Nie znałem tutaj nikogo, oprócz paru mechaników na stałym lądzie, kto by potrafił sobie poradzić z niesprawnym silnikiem tak umiejętnie jak on. Wcale nie miałem ochoty do niego dzwonić, ale nie było wyjścia. Nie dopuszczałem nawet myśli, że miałbym go poprosić, by odebrał Lisę Modin, zabrał nas swoją łodzią na wyspę Vrångskär i przywiózł z powrotem po paru godzinach.

Wróciłem do domu, wiosłując, zacumowałem łódź i spróbowałem uruchomić silnik jeszcze dziesięć razy. Nie chciał odpalić. Usiadłem na ławce i wybrałem numer Janssona. Odebrał od razu i obiecał zjawić się za godzinę. Zapytał mnie, jakie odgłosy wydaje silnik, kiedy próbuję odpalić. Ja zadawałem mu podobne pytania, kiedy diagnozowałem jego wyimaginowane choroby.

– Silnik się nie włącza – wyjaśniłem. – Brzmi tak, jak zawsze, ale nie odpala. To wszystko.

– Coś na to poradzimy – odparł Jansson.

Przypłynął za godzinę, co do minuty. Podeszliśmy do mojej łodzi. Szarpnął kilka razy, ale silnik nie odpowiadał.

– Coś na to poradzimy – powtórzył.

– Przyjdź do przyczepy, jeśli będziesz miał ochotę na kawę – powiedziałem.

Jansson wolałby, żebym dotrzymywał mu towarzystwa, ale został na pomoście i zajął się łodzią. Byłem mu wdzięczny za pomoc, ale nie miałem siły na wysłuchiwanie jego niekończących się monologów. Zwłaszcza wtedy, kiedy zaczynał opowiadać o makabrycznych sposobach egzekucji albo plótł o jakichś swoich innych, niemniej dziwnych zainteresowaniach.

Przejrzałem wszystkie szuflady w przyczepie i w jednej natknąłem się na talię kart. Potrafiłem tylko ułożyć pasjansa, spróbowałem kilka razy, ale mi nie wyszedł. Uznawszy w końcu, że minęła godzina, zszedłem na pomost. Jansson zdjął osłonę silnika, wymontował świece i zaglądał do środka, świecąc sobie latarką.

– Znalazłeś usterkę? – zapytałem.

– Jeszcze nie. Ale jestem pewien, że to nic poważnego.

Nie zadawałem więcej pytań. Jansson wrócił do pracy, a ja przez chwilę stałem w milczeniu i mu się przyglądałem. Już miałem pójść z powrotem do przyczepy, kiedy przypomniałem sobie o telefonie.

– Umiesz ustawić zegar w komórce? – zapytałem. – Nie ufam temu taniemu zegarkowi. – Pokazałem na swój prawy nadgarstek.

Jansson wyłączył latarkę i położył ją na dnie łódki obok innych narzędzi. Podałem mu telefon, a on w mniej niż minutę ustawił zegar, dostosowując czas do zegarka, który sam nosił na ręce.

– Te techniczne sprawy nie są moją mocną stroną – powiedziałem, odbierając od niego telefon.

– To łatwizna – odparł. – Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, jak to zrobić, i parę innych prostych ustawień.

– Wystarczy mi zegar. Więcej nie trzeba.

– Możesz używać telefonu jako budzika. Ale o tym pewnie już wiesz.

– Budzę się sam.

Stałem tak jeszcze chwilę, przyglądając się, jak Jansson cierpliwie zajmuje się moim silnikiem. Potem wróciłem do pasjansa.

Mimo iż Jansson twierdził, że to nic poważnego, zlokalizowanie i usunięcie usterki zajęło mu jeszcze trzy godziny. Właśnie piłem kawę, kiedy zapukał do drzwi.

– Gotowe – oznajmił.

– Co się zepsuło?

– Właściwie nic. Tego typu problemy są najtrudniejsze do rozwiązania.

– Chcesz kawy?

– Muszę wracać do domu. Naprawa zajęła mi więcej czasu, niż się spodziewałem.

Zeszliśmy razem na pomost. Osłona silnika była już na swoim miejscu, a narzędzia uprzątnięte.

– Spróbuj sam – powiedział Jansson.

Podparłem się ręką o drewniany pal i wszedłem do łodzi. Silnik odpalił za pierwszym razem. Wyłączyłem go i spróbowałem jeszcze raz. Znowu poszło gładko.

Zapytałem Janssona, ile mu jestem winien za naprawę, ale zrobił urażoną minę i oznajmił, że nic.

– Wcale nie był zepsuty – upierał się.

– Coś musiało być nie tak, skoro spędziłeś nad nim prawie pięć godzin.

Wymamrotał coś niezrozumiale, potem wsiadł na swoją łódź i odpalił silnik. Odwinąłem cumę i rzuciłem mu ją na pokład. Jansson odbił tyłem od pomostu i pomachał mi na pożegnanie. Ciekawiło mnie, czy śpiewa swoim pięknym głosem, pływając po otwartym morzu.

Dostrzegłem, że z południa nadciągają deszczowe chmury. Popłynąłem do portu i kupiłem trochę jedzenia. Wrzuciłem do koszyka również duży zeszyt. Deszcz zastał mnie w połowie drogi do domu. Zacinał ostro, rozbijając się z pluskiem o burzę. Kiedy wpływałem do hangaru, byłem przemoczony od stóp do głów.

Gdy dotarłem do przyczepy, przebrałem się w ostatnią nieużywaną jeszcze chińską koszulę. Nie miałem suchych spodni na zmianę, więc rozłożyłem mokrą parę na stole i otuliłem sobie nogi kocem.

Tego wieczoru zasnąłem wcześniej.

Nazajutrz już nie lało. Ponownie popłynąłem do portu i kupiłem więcej ubrań.

Nie widziałem Oslovskiej ani wtedy, kiedy zabierałem auto spod jej domu, ani później, kiedy parkowałem. Zajrzałem do sklepu ze sprzętem rybackim, żeby zapytać, czy przyszły moje kalosze. Jeszcze ich nie było.

Nie miałem wieści od Alexanderssona ani Hämäläinena, więc zabrałem się za porządki w przyczepie. Myślałem już tylko o wizycie Lisy Modin. Unikałem pogorzeliśka, za to dwie noce z rzędu śnili mi się dziadkowie. Prowadzili ze mną długie rozmowy i wyglądali tak, jak ich zapamiętałem w dzieciństwie. Rozmawiali ze mną, nie wypowiadając słów. Wiedziałem, że do mnie mówią, ale nie słyszałem ich głosów.

Wieczorami przeglądałem starą książkę znalezioną w szopie, zastanawiając się, jaki mój dziadek miał związek z ptakami hodowanymi w klatkach. Słoik z dziwnym szarawym klejem postawiłem na kuchennej półce w przyczepie.

Obudziłem się bardzo wczesnie tego dnia, kiedy miałem popłynąć do portu po Lisę Modin. Gdy schodziłem na pomost, by wziąć kąpiel, słońce jeszcze nie wzeszło.

Po kąpeli i po śniadaniu zszedłem do łodzi i sprawdziłem silnik. Odpalił za pierwszym razem. Denerwowałem się przed tym spotkaniem. Próbowałem odegnać kłębiące się w głowie nadzieje. Ona była jeszcze młodą kobietą, a ja w porównaniu byłem już stary. Ta miłość była bez szans.

Zacumowałem łódkę obok dystrybutorów paliwa godzinę przed umówionym czasem. Szwendając się po okolicy, stwierdziłem, że robotnicy położyli już asfalt na pirsie straży przybrzeżnej. Największa łódź wypłynęła w morze. Zdawałem sobie sprawę, że pilnują ogromnego obszaru.

W części nabrzeża, gdzie miał swój przystanek autobus pojawiający się w porcie kilka razy w ciągu dnia, stała tablica ogłoszeń. Według mnie nic nie świadczy o upływie czasu tak dobitnie, jak zwisające w strzępach stare afisze zapraszające na



letnie zabawy i inne potańcówki. Wisiały tam też stare ogłoszenia informujące o tym, gdzie można kupić wędzoną sieję albo żywe króliki. Rozkład jazdy autobusu był w połowie zerwany. Nie dało się ocenić, czy zrobił to wiatr, czy jakiś zdenerwowany podróżny.

Wróciłem do samochodu. Drzwi do domu Oslovskiej wciąż były zamknięte, ale z podjazdu zniknęła zdechła wrona. Odszedłem stamtąd szybko w obawie, że Oslovska jednak jest w domu i zaraz poprosi mnie, żebym jej zmierzył ciśnienie.

Po nabrzeżu spacerował kot, który mieszkał chyba w sklepie spożywczym. Jego widok sprawił, że to miejsce wydało mi się jeszcze bardziej opustoszałe. Było jak cmentarz wspomnień po minionym lecie. Przystanąłem na chwilę przed witryną sklepu ze sprzętem rybackim. Były tam plecaki, puszki z farbami i parę kotwic.

Do przyjazdu Lisy Modin miałem jeszcze pół godziny. Pospacerowałem chwilę po pirsie, balansując na murku stanowiącym granicę między portem a morzem, a potem wróciłem do łódki.

Było dziesięć po dziesiątej, kiedy jej samochód zajechał wreszcie na parking przy nabrzeżu. Zaczynałem już wątpić, czy w ogóle się zjawi. Zaparkowała przy magazynie sklepu ze sprzętem wędkarskim, chociaż nie wolno tam było stawać.

Miała na sobie jaskrawożółty sztormiak, mały plecak, a w ręce staroświecką zydwestkę.

– Zawsze się spóźniam – powiedziała, patrząc na mnie przepraszająco.

– Nic nie szkodzi – odparłem. – Już od wielu lat donikąd mi się nie spieszy.

Odebrałem od niej plecak i wyciągnąłem rękę, by pomóc jej wsiąść do łodzi, ale Lisa Modin postawiła jedną stopę na stopniu wykutym w kamiennym nabrzeżu i przytrzymała się żelaznej obręczy. Odcumowałem łódkę i włączyłem silnik. Jego warkot gwałtownie przerwał ciszę, w której pogrążony był port. Zanim odbiliśmy od brzegu, zdążyłem jeszcze dostrzec Weronikę w okienku małego mieszkanca obok sklepu. Podniosłem rękę i pomachałem jej.

Było prawie bezwietrznie. Powoli wypłynęliśmy z portu. Lisa Modin usiadła w samym dziobie i rozłożyła szeroko ręce.

– W którą stronę płyniemy? – zapytała.

– Na północny wschód – wyjaśniłem i wskazałem ręką kierunek.

Zwiększyłem nieco prędkość. Wyglądało na to, że Lisa Modin z przyjemnością wdycha rześkie jesienne powietrze.

Zamknęła oczy.

Skierowałem łódź w stronę wyspy zamieszkiwanej niegdyś przez biednych rybaków.

Przed nami otworzyło się morze. Wokół widzieliśmy coraz mniej wysp. Były coraz mniejsze i mniej porośnięte od poprzednich. Rośliny kuliły się w załomach skał. To tu, to tam nerecznica, trochę krzaczków bażyn, gdzieniegdzie jakaś kępka wełnianki, czasem mały krzew szwedzkiego derenia. Jeszcze dalej od brzegu roślinność znów się zmieniała. W szczelinach skał kryła się mannica, muchotrzew solniskowy, pięciornik srebrny, czasem nawet fiołek trójbarwny. Nie było ich widać z łodzi, ale wiedziałem, że tam są.

Raz po raz fale oblewały nas orzeźwiająco pianą. Wyspa Vrångskär leżała z dala od innych, na samym krańcu archipelagu. Od strony, z której nadpływaliśmy, wystawały z morza pionowe gnejsowe skały. Zmniejszyłem prędkość i podpłynąłem do cypla na południowym skraju. Lisa Modin spojrzała na mnie z uśmiechem.

Zaczęliśmy powoli okrążyć wyspę, mijaliśmy porośnięte wrzosem bloki skał z wąziutkimi zatoczkami. Wystające z morza skały były ciemnoszare, gdzieniegdzie ciemnoczerwone, przecinały je jaśniejsze, nieregularne warstwy przypominające wyglądem węże. Po północnej stronie stał na brzegu zavalony stos kamieni, stanowiący niegdyś morski drogowskaz na jednej z tajemniczych tras.

– Gdzie stały chaty mieszkańców tej wyspy? – zapytała mnie Lisa Modin.

– W głębi są niecki, których nie widać z morza – odparłem. – Budowali domy w miejscach osłoniętych od wiatru.

Po zachodniej stronie wyspy był naturalny port. Głęboka zatoka miała po jednej stronie stromą skałę, a po drugiej łagodne dojście na brzeg. Wpłynąwszy tam, wyłączyłem silnik i pozwoliłem łódce swobodnie dryfować w stronę plaży.

Chwilę później zeszliśmy na ląd. Chcąc dotrzeć do dużej niecki ukrytej między skałami, musieliśmy pójść trochę naokoło i w jednym miejscu wspiąć się po gołej skale. Mech ślizgał nam się

pod nogami. Zaproponowałem Lisie Modin, że poniosę jej plecak, ale pokręciła głową i poprawiła go sobie na ramieniu.

Kiedy przechodziliśmy obok dużego skupiska krzewów dzikiej róży, zerwałem jeden z nielicznych już jesiennych kwiatów i dałem jej.

– Posadzili je tutaj mieszkańcy – powiedziałem. – Ktoś, kto dobrze zna to miejsce, powiedział mi, że te krzewy rosną tutaj od dwustu lat.

Lisa Modin wetknęła kwiatek do na wpół otwartej kieszonki na piersi. Przed nami otworzyła się niecka, w której kiedyś stały chaty rybaków.

Dawno temu, pewnego lata, ja i mój dziadek przyплыliśmy tutaj z grupą archeologów. Dobrze zapamiętałem opowieść przewodnika, tłumaczącego nam, jak wyglądała niegdysiejsza osada.

Pokazałem Lisie Modin pozostałości kamiennych ław, na których stały chaty, widocznych na dnie polany między skałami. Kiedyś stało tu sześć domów i tyle samo mniejszych budynków gospodarczych. Hodowla zwierząt była bardzo ograniczona, bo tutejsza roślinność wystarczała do wyżywienia najwyżej dwóch krów. Pierwsi mieszkańcy pojawili się tu w osiemnastym wieku. Żyli w tak wielkiej biedzie, że trudno byłoby nam ją sobie dzisiaj wyobrazić. Mogło tu żyć najwyżej czterdzieści parę osób, a całe ich życie skupiało się na łowieniu ryb. Było uzależnione od sieci i łodzi. Jeśli sieci zabrał sztorm, musieli wypływać w morze i je ratować. Krążyło wiele opowieści o mężczyznach i kobietach, którzy zaginęli podczas takich prób. Jedna z nich, którą usłyszałem podczas tamtej letniej wyprawy z dziadkiem, szczególnie zapadła mi w pamięć. Wydarzyło się to ponoć w 1790 roku. Pewnego dnia z północnego wschodu niespodziewanie nadciągnął sztorm. Młody rybak Nils Eriksson i jego żona Emma natychmiast wypłynęli zwinąć sieci, ale ich łódź się wywróciła. Nie umieli pływać i oboje utonęli. Emmę znaleziono po jakimś czasie, zawiniętą we własne sieci. Ciało Nilsa nigdy nie odnaleziono. Osierocili pięcioro małych dzieci. Nikt nie wiedział, co się im przytrafiło.

Pokazałem Lisie Modin najlepiej zachowaną kamienną ławę. Zdaniem archeologa, stał na niej największy dom w całej osadzie.

Miał jedną dużą izbę i mogło w nim mieszkać nawet dziesięć osób.

Usiedliśmy na skalnym bloku na skraju niecki, zapewne w tym samym miejscu, w którym siadywali niegdyś najbiedniejsi z biednych i zastanawiali się, czy uda im się przeżyć. Trudno mi było sobie wyobrazić, jak spędzali tutaj zimy, kiedy lód był niepewny.

– Mimo wszystko, ktoś kiedyś musiał się tutaj położyć na trawie i pomyśleć: *tu jest mój dom* – powiedziała nagle Lisa Modin.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale w pewnej chwili podniosłem się ze skały i położyłem obok na poźółkłej i przeredzonej jesiennej trawie.

– Nie sądzę, żeby ktoś miał wtedy na to czas – powiedziałem. – Kobiety rodziły tu dzieci i pewnie tylko wtedy się kładły. A większość dzieci i tak umierała w pierwszych tygodniach.

Lisa Modin spojrzała na mnie z namysłem.

– Niech mi pan powie więcej o tym miejscu – powiedziała. – Chcę zobaczyć więcej, jeśli jest tu jeszcze coś ciekawego.

Wstałem i usiadłem z powrotem na skale. Pokazałem palcem na kupkę kamieni na trawie. Pomyślałem, że w tym miejscu też mogła kiedyś stać jakaś chata.

– Czasem tu przyplływam i siadam na tamtych kamieniach. A potem, kiedy zjawiam się po jakimś czasie, wydaje mi się, że one powoli wędrują. Myślę wtedy, że wracają na miejsca, z których je kiedyś zabrano.

Lisa Modin kiwała głową. Opowiadałem dalej, ale wiedziałem, że za chwilę skończy się moja wiedza na temat tej wyspy.

– Ostatnią mieszkanką była pewna stara kobieta – powiedziałem. – Nazywała się chyba Sofia Karlsson. Przyplłynęła tu jako młoda dziewczyna i pracowała jako służąca, a potem wyszła za jednego z rybaków. Kiedy umarł jej mąż, została ostatnią osobą na wyspie. To było w latach trzydziestych XIX wieku. Większość mieszkańców wróciła na stały ląd, do nowo otwartej kopalni miedzi. Życie tam pewnie nie było łatwiejsze, ale człowiek na stałym lądzie nie czuje się aż tak samotny. Inni wyemigrowali do Ameryki, jeszcze inni wyjechali gdzieś indziej i słuch po nich zaginął. Wszyscy oprócz Sofii. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak radziła sobie

sama na wyspie przez kolejne lata. Ostatnia spędzona tutaj zima musiała być istnym koszmarem. Sofia Karlsson miała wtedy niemal dziewięćdziesiąt lat. Pewnego dnia poślizgnęła się na skale i złamała nogę. Zdołała jakoś dowlec się do chaty, ale oczywiście nie mogła się z nikim skontaktować. Po jakimś czasie na wyspie pojawił się samotny myśliwy polujący na foki. Znalazł ją martwą, w łóżku, w wyiębionej chacie. Potem przewieziono jej ciało po łodzi na stały ląd i pochowano ją na cmentarzu. Od tamtego czasu wyspa była niezamieszkała.

– I wtedy kamienie zaczęły wracać na swoje miejsca? To ładne.

Lisa Modin wstała, zeszła do niecki i spacerowała chwilę tam, gdzie kiedyś stały domy. Raz po raz znikwała za wystającą skałą, a po chwili znów się pojawiała. Ja siedziałem bez ruchu i przyglądałem się jej. Przemknęło mi przez myśl, że jestem jednym z ludzi, którzy kiedyś tutaj mieszkali, a ona jest przedstawicielką nowych czasów.

Kiedy wróciła, wypakowaliśmy prowiant i jedliśmy, prawie ze sobą nie rozmawiając. Parę razy nasze dłonie niechcący otarły się o siebie, kiedy sięgaliśmy po kanapkę albo jajko ugotowane na twardo.

Posiliwszy się, weszliśmy na najwyższe wzniesienie na wyspie. Wiatr był o wiele silniejszy niż wcześniej, ale oceniłem, że fale nie są jeszcze tak wysokie, żebyśmy musieli natychmiast wracać.

– Kiedyś pewien archeolog znalazł tutaj kieł niedźwiedzia – powiedziałem. – Nikt nie umiał wyjaśnić, skąd się tu wziął. Zdarzało się, że ktoś widział wilka na jednej z wysp bliżej lądu, ale nigdy nie słyszano, by pojawiały się tutaj niedźwiedzie.

– Co się stało z tym kłem? – zapytała Lisa Modin.

– Nie wiem. Może jest w najbliższej parafii. Często się zdarza, że na archipelag przyjeżdżają księża zainteresowani przyrodą.

– Kto jest tutaj proboszczem?

Zdziwiło mnie to pytanie.

– Nie wiem, nie chodzę do kościoła – odparłem.

– Zadzwońię do parafii i zapytam. Chciałabym zobaczyć ten niedźwiedzi ząb.

Zaczęliśmy powoli schodzić z góry. Ostrzegłem, żeby uważała na śliski mech, ale to ja w pewnej chwili o mało się nie przewróciłem.

Potem miałem mniej szczęścia. Kiedy wróciliśmy na brzeg, odebrałem od niej plecak, żeby go włożyć do łodzi. Nie spojrzałem pod nogi, nastąpiłem na krzywy kamień i runąłem do wody na wznak. Nie była głęboka, ale wystarczyło, bym całkiem przemókł. Co innego zanurzyć się rano w lodowatej wodzie i zaraz wytrzeć. Teraz od razu zrobiło mi się strasznie zimno, ale nie miałem nic do przebrania.

Było mi wstyd. Lisa Modin martwiła się, że zrobiłem sobie krzywdę.

– Przeżyję – powiedziałem. – Ale musimy już wracać. Wstąpimy po drodze na moją wyspę, żebym mógł zmienić ubranie i dopiero potem popłyniemy do portu.

Przez całą drogę potwornie trząsałem się z zimna. Płynąłem najszybciej, jak się dało. Lisa Modin zaproponowała mi swoją kurtkę, ale odmówiłem.

Kiedy wreszcie dopłynęliśmy, szybko zacumowałem łódź przy pomoście i pobiegłem do przyczepy. Zerknąłem jeszcze przez ramię i zobaczyłem, że Lisa Modin idzie w stronę pogorzelnika. Rozebrałem się do naga, rzuciłem mokre ubranie na podłogę i wytarłem się do sucha jedną z brudnych chińskich koszul. Potem szybko włożyłem na siebie resztkę czystych ubrań, zarzuciłem pelerynę przeciwdeszczową, w której wybiegłem z pożaru i wyszedłem na dwór.

Stała przy zgliszczach i przestępowała z nogi na nogę. Było jej zimno.

– Przepraszam za mój wygląd – rozłożyłem ręce, żeby zademonstrować znoszoną pelerynę. – Ale to jedyna rzecz, którą uratowałem z pożaru.

Spojrzała na mnie w milczeniu, a potem pogładziła mnie dłonią po policzku. Stało się to tak niespodziewanie, że cofnąłem się o krok, jakbym się przestraszył, że chce mnie uderzyć. Poślizgnąłem się przy tym i znowu upadłem. Oboje parsknęliśmy śmiechem. Lisa Modin podała mi rękę i pomogła wstać.

– Nie jestem groźna – powiedziała.

– Zwykle się tak nie wywracam – odparłem.

Bardzo chciałem ją objąć i przyciągnąć do siebie. Coś mnie jednak przed tym powstrzymywało i nie potrafiłem tego przezwyciężyć.

Poszliśmy z powrotem na pomost.

– Napiszę artykuł o wyspie Vångskär – oznajmiła. – Wyproszę więcej miejsca dla swoich tekstów od mojego opornego redaktora.

– Możemy tam znów razem popłynąć, jeśli pani chce.

– Chętnie, wtedy wezmę aparat. Ale musimy to zrobić szybko, zanim spadnie śnieg.

– Więc mamy jeszcze co najmniej miesiąc.

Odbiliśmy od pomostu. Od czasu awarii silnika, za każdym razem, kiedy pociągałem za sznurek, byłem przygotowany na to, że nie odpali, ale zaskoczył od razu. Jansson dobrze się spisał.

Płynąc po zatoce, w pewnej chwili zauważyłem jego łódź. Znajdowała się w niewielkiej odległości od nas. Wyglądało na to, że ma na pokładzie pasażera. Płynął w naszą stronę, ale byłem pewien, że zmierza na którąś z wysp wysuniętych bardziej na północ, na Olsö albo Farsholmen.

Kiedy dopłynęliśmy do portu, zacumowałem łódkę przy dystrybutorach paliwa i odprowadziłem Lisę Modin do samochodu. Ktoś zatknął jej za wycieraczkę kartkę z napisem: „Nie parkuj tu więcej, do cholery!”. Miała wystraszoną minę, kiedy mi ją wręczała.

– Kto to napisał? – zapytała.

– Nie wiem – odparłem. – Może kierownik portu. Ale nie ma się czym przejmować.

Zmiałem kartkę i schowałem do kieszeni. Lisa Modin rzuciła plecak na tylne siedzenie, a potem usiadła za kierownicą.

– Dziękuję – powiedziała. – Niedługo się odezwę.

Podaliśmy jej numer mojej komórki. Zapisała go w swoim telefonie.

Uśmiechałem się, kiedy zamykała drzwi i przekręcała kluczyk w stacyjce. Chwilę później, jadąc zdecydowanie za szybko, zniknęła za pagórkami. Z jakiegoś powodu jej pośpiech wywołał we mnie falę zazdrości. Do kogo się tak spieszyła?

Podszedłem do kosza na śmieci zawieszzonego przy drzwiach do sklepu ze sprzętem rybackim i wyrzuciłem do niego zmiętą kartkę. Kiedy się odwróciłem i ruszyłem z powrotem do łodzi, dostrzegłem w opustoszałym porcie jakąś postać. To była Oslovsk. Szła w moją



stronę. Poznałem ją po charakterystycznym chodzie, bo lekko utyka, jakby miała chorą nogę. Miałem nadzieję, że nie zażąda ode mnie zbadania ciśnienia krwi. Chciałem jak najszybciej wrócić do przyczepy i trochę się ogrzać.

Wyglądała na zmęczoną. Była bardzo blada.

Przystanąłem i przywitałem się. Miała spoconą dłoń, choć wcześniej jej się to nie zdarzało. Wydało mi się, że jest odmieniona, nie miałem pewności, ale dostrzegłem, że jej spojrzenie nie jest tak jasne i trzeźwe jak zazwyczaj.

Wymieniliśmy kilka zwyczajowych formułek o zdrowiu i pogodzie, a potem zapytałem ją, gdzie ostatnio podróżowała. Oslovská odpowiedziała mi tylko uśmiechem.

W tej samej chwili zrozumiałem, że czegoś się boi. Nie wiem, skąd przyszła ta myśl, ale byłem pewien, że się nie mylę. Stała tuż na wprost mnie, ale zdawała się być w jakimś innym miejscu. Coś ją przerażało.

– Zamierzałem wrócić do domu, ale jeśli chcesz, możemy podejść do auta i zmierzę ci ciśnienie – zaproponowałem.

– Nie trzeba. – Pokręciła głową. – Dobrze się czuję. Nic mnie nie boli, ciśnienie pewnie też mam w porządku.

Widziałem, że chce sobie pójść, ale coś mi nie pozwalało jej tak po prostu puścić. Dopóki rozmawialiśmy, musiała tu ze mną stać.

– Wiesz, że ten port wybudowano specjalnie dla rybaków zajmujących się połowem śledzia? – zapytałem. – Dziś już nikt się tym tutaj nie zajmuje. Wszystkie włoki zgniły albo zostały sprzedane do Afryki.

– Nie do Afryki, tylko do krajów bałtyckich – odpowiedziała Oslovská z nieoczekiwaną stanowczością.

Nie widziałem powodu, by się z nią spierać.

– Nikogo już tutaj nie ma – mówiłem dalej. – Ani rybaków, ani żeglarzy. Wszyscy pomarli.

– Starość i śmierć – dodała z namysłem. – Zapamiętałam cytat, który wisiał na ścianie w pewnym warsztacie stolarskim. Mówił, żeby nie traktować życia zbyt poważnie, bo na końcu i tak się umiera.

Odwróciła się nagle i spojrzała za siebie, na szosę prowadzącą do portu, gdzie przed chwilą zniknęła Lisa Modin. Od szosy odbijała wąska dróżka, wiodąca do domu Oslovskiej i mojego samochodu. Upewniło mnie to, że boi się czegoś, co jest poza nią, a nie tkwi gdzieś w jej wnętrzu. A skoro tak, czy można się bać czegokolwiek innego niż innego człowieka?

Chwilę później wróciłem do łodzi. Kiedy pracowałem jako lekarz, codziennie spotykałem wystraszonych ludzi. Pewnego lata wzięłem zastępstwo na oddziale onkologicznym jednego z największych szpitali w kraju. Wielu lekarzy było w tym czasie na urloпах albo zwolnieniach lekarskich i wkrótce okazało się, że to właśnie ja muszę przekazywać pacjentom najgorsze wieści. Najbardziej zapadł mi w pamięć młody mężczyzna, który obudził się pewnego ranka z bólem w karku. Ortopeda, który zbadał go jako pierwszy, od razu wysnuł podejrzenie, że może to być coś poważnego, a zrobione później prześwietlenie potwierdziło jego pesymistyczną diagnozę.

Pamiętam, że długo siedziałem przy biurku ze zdjęciem. Przyczyną bólu w karku u mężczyzny okazał się nieuleczalny nowotwór. Guz pierwotny zagnieździł się w jego lewym płucu, a bóle powodował jeden z przerzutów. Moim zadaniem było poinformowanie pacjenta o stanie jego zdrowia. Z karty dowiedziałem się, że nazywa się Sven Roland Hansson i urodził się w 1951 roku, więc miał wówczas dziewiętnaście lat. Pracowałem tam latem 1970 roku. W tamtych czasach możliwości walki z nowotworami były jeszcze bardzo ograniczone. Dziś przeżywa sześcioro na dziesięciu pacjentów chorych na raka, wtedy przeżywało trzech, najwyżej czterech.

Wezwałem go z poczekalni do gabinetu ze świadomością, że za chwilę odczytam mu wyrok śmierci. Kiedy lekarz miał przekazać taką wiadomość pacjentowi, zwykle towarzyszyła mu doświadczona pielęgniarka. Poprosiłem o wsparcie jedną z nich, starszą już panią, która przepracowała na tamtym oddziale wiele lat.

Sven Roland Hansson był długowłosym modsem. Miał na sobie zieloną kurtkę i podarte dzinsy. Niechętnie spoglądał na mnie i na pielęgniarkę, dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie ma czasu i ledwie dał się nakłonić, by usiąść na krześle.

Kiedy wcześniej pytałem pielęgniarkę o radę, jak najdelikatniej przekazać pacjentowi diagnozę, powiedziała mi, że najlepiej jest od razu przejść do rzeczy i nie owijać w bawełnę. Bo kiedy sprawa jest naprawdę poważna, nie ma innego sposobu mówienia o niej. Najważniejsze, żeby pacjent zrozumiał, iż siedzący przed nim lekarz poważnie traktuje jego los.

Wiedziałem, że chłopaka czeka jeszcze mnóstwo badań, nim lekarze wybiorą odpowiedni sposób leczenia. Nie miałem w tym uczestniczyć, bo specjalizowałem się w innej dziedzinie i znalazłem się w tym szpitalu na krótką chwilę, w zastępstwie z powodu urlopów i chorób.

W końcu Sven Roland Hansson dał się przekonać i usiadł. W jego oczach pojawił się strach. Widocznie wcześniej nie skojarzył faktów i nie dostrzegł nic niepokojącego w tym, że skierowano go na oddział onkologiczny.

Wy tłumaczyłem mu wszystko najlepiej, jak potrafiłem. Patrzyłem jak z każdą chwilą blednie. Zrozumiał.

I nagle zaczął krzyczeć, jakby ktoś przypalał go żywym ogniem albo kaleczył mu ciało. Nigdy wcześniej nie słyszałem takich wrzasków. Wiedziałem, że już nigdy tego nie zapomnę. Później dane mi było patrzeć, jak ludzie cierpiący wielki ból umierają w milczeniu, inni odchodzili z przeraźliwym wyciem. Jednak nigdy później nie byłem świadkiem tak gwałtownej przemiany, jakiej uległ ten młody mężczyzna. Wrzeszczał z taką siłą, że guma do żucia wyleciała mu z ust i wylądowała na moim białym kitlu. Nie wiedziałem, co robić, ale wyręczyła mnie starsza pielęgniarka. Wzięła go za rękę, ale on ją wyrwał i krzyczał dalej. Wówczas kobieta chwyciła go mocno za ramiona, jakby był małym dzieckiem. Przekrzykując go, kazała mi podać mu coś na uspokojenie.

Rok później przypadkiem zobaczyłem jego nazwisko w gazecie. W tamtych czasach klepsydry ozdabiano prostym czarnym krzyżem, ale jego była inna. Zamiast krzyża umieszczono w niej czarną gitarę.

Miałem wtedy kolegę anestezjologa. On też grał na gitarze. Kiedy pokazałem mu nekrolog, wyjaśnił mi, że to model Telecaster, jedna z najlepszych gitar elektrycznych, jakie zaprojektowano.

Teraz miałem wrażenie, że w oczach Oslovskiej widzę podobny strach, jaki pojawił się wtedy w oczach Svena Rolanda Hanssona.

Włączyłem silnik i powoli wypłynąłem z portu. Oslovska stała na pagórku za drzewem, zapewne przekonana, że jej nie widać, i patrzyła, jak się oddalam. Udawałem, że jej nie dostrzegam. Zwiększyłem prędkość za pirssem i odbiłem w stronę mojej wyspy. Kawalek dalej spojrzałem przez ramię, ale już jej tam nie było.

Być może sprawił to chłód, a być może strach w oczach Oslovskiej, ale nagle moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Owinąłem się ciasniej peleryną i płynąłem dalej.

Kiedy okrążyłem cypel i wpłynąłem do zatoki, zobaczyłem, że ktoś stoi na moim pomoście. W pierwszej chwili pomyślałem, że wrócił Alexandersson i jego kolega policjant, ale nigdzie nie było żadnej łodzi.

Chwilę później zrozumiałem, że ta postać zabijająca ręce z zimna to nie mężczyzna, ale kobieta.

Na pomoście stała moja córka Louise. Domyśliłem się, że to właśnie ją Jansson wiozł swoją łodzią, kiedy ja odwoziłem do portu Lisę Modin.

Nie lubię niezapowiedzianych odwiedzin. Wystarczyło mi, że Harriet zjawiała się tu nagle pewnego dnia, a potem ni z tego, ni z owego oznajmiła mi, że mam córkę. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że to prawda. Również Louise bez wahania przyjęła do wiadomości, że jestem jej ojcem.

Wcale nie byliśmy do siebie podobni. Dostrzegałem w jej twarzy rysy Harriet i może pewne drobne cechy mojego ojca.

Louise nie miała też mojej sylwetki. Pod tym względem nie wdała się również w swoją matkę. Miała grube kości i była silna. Gdybym musiał się z nią bić, z pewnością by zwyciężyła. Jednocześnie była bardzo kobieca i pociągająca. Widziałem, jak oglądają się za nią mężczyźni. Było tak za każdym razem, kiedy szliśmy ulicą albo siadaliśmy w jakiejś kawiarni.

Jej charakter był dla mnie zagadką. Byłem przygotowany na to, że w każdej chwili może zrobić coś nieoczekiwanego. Próbowałem się do tego przyzwyczaić, ale bezskutecznie. Złościły mnie jej nagłe wyjazdy, tak samo jak to, że nigdy nie odpowiadała na pytanie,

kiedy zamierza wrócić. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy przez telefon, powiedziała, że przyjeżdża, ale ja wciąż nie wiedziałem, gdzie wtedy była. Nie raczyła mnie też poinformować, kiedy pojawi się na moim pomoście.

Wpłynąłem do szopy i zacumowałem łódź. Louise otworzyła drzwi, zanim zdążyłem zamocować cumę rufową. Oślepiało mnie słońce wpadające do środka. Louise była ciemną plamą w jaskrawym otworze drzwi.

Podeszła do mnie i przytuliliśmy się na powitanie. Poczułem na policzku, że Louise ma mokrą twarz. Musiała przed chwilą płakać.

Wyszliśmy razem na pomost. Poczułem ucisk w gardle i przestraszyłem się, że za moment też się rozpłaczę. Przynajmniej to nas łączyło. Wspólnie opłakiwaliśmy stary spalony dom na naszej wyspie.

Jak zwykle Louise nie miała przy sobie prawie żadnego bagażu. Przywiozła tylko małą brązową torbę. Zawsze miała ze sobą więcej rzeczy, gdy odjeżdżała, niż kiedy się pojawiała.

Zanim podeszliśmy do pogorzelniska, odstawiliśmy torbę do przyczepy. Louise szła przede mną i w pewnej chwili wydało mi się, że patrzę na Harriet.

To mnie zdziwiło, bo bardzo się od siebie różniły. Może miałem przywidzenia? Zatrzymałem się, żeby lepiej się przyjrzeć. Louise też przystanęła i odróciła się w moją stronę. Dogoniłem ją. Osmalona jabłoń wyglądała jak kulisy z czarnej krepiny.

– Kiedy cię tu nie zastałam, w pierwszej chwili pomyślałam sobie, że wsiadłeś do łódki i popłynąłeś przed siebie. Ale Nilsson powiedział, że widział cię w drodze na wyspę.

– Nie Nilsson, tylko Jansson.

– Tak, Jansson. Powiedziałam Nilsson?

– Tak.

– To on tak pięknie śpiewał na ostatnich urodzinach mamy.

– Jak się z nim skontaktowałaś?

– Kiedy dojeżdżałam autobusem do portu, zapytałam kierowcę o dalszy transport. To on nazywał się Nilsson. Zadzwoił do Janssona, a ten obiecał od razu po mnie przyjechać. Podróż tym autobusem była naprawdę dziwna.

– Dlaczego?  
– Byłam jedyną pasażerką.  
– O tej porze roku nie ma w tym nic dziwnego.  
– Nigdy wcześniej nie podróżowałam sama autobusem. W żadnym miejscu na ziemi. Zdarzyło mi się za to lecieć jako jedyny pasażer w samolocie w Mali. Na pokładzie było dwóch pilotów, dwie stewardessy i ja.

– Co robiłaś w Mali?

– Miałam wylądować w Dakarze, ale zamknięto lotnisko z powodu burzy piaskowej. Wiesz, gdzie leży Dakar?

– To stolica Senegalu. Mówisz po francusku?

– Radzę sobie.

– Co tam robiłaś?

– Chciałam odwiedzić miejsce, które kiedyś było centrum handlu niewolnikami. Przede wszystkim chodziło mi o pewną niezwykłą bramę.

– Co to znaczy?

– Pomówmy o tym później.

Louise ruszyła w stronę zgliszczy. Nad czarną ruiną wciąż wisiała śmierdząca chmura. Kiedy podeszliśmy, z pogorzelniska poderwało się kilka małych ptaków. Widocznie szukały pokarmu pośród zwęglonych resztek.

– Tu była moja sypialnia – powiedziałem. – Gdybym ci usiadł na ramionach, mógłbym zajrzeć do środka przez okno.

Louise zeszła z kamiennej podmurówki i stanęła naprzeciwko mnie. Zauważyłem, że twarz ma nie tylko wilgotną od łez, ale są na niej również oznaki wielkiego zmęczenia. Zwykle, kiedy wracała ze swoich tajemniczych wypraw, była opalona na brązowo. Tym razem było inaczej.

Chciałem jej zadać mnóstwo pytań. Sama bardzo rzadko mówiła o swoim życiu.

– Opowiedz mi, co się stało.

– Zasnąłem o wpół do jedenastej. Dwie godziny później obudziło mnie jaskrawe światło. Było potwornie gorąco. Wybiegłem z domu, kiedy stał już w płomieniach. Teraz, kiedy minęło już parę dni,

przypominam sobie, że pożar strasznie głośno huczał. Jakby jakiś wielki potwór zionął tlenem i wzmagął płomienie.

– Ale dlaczego wybuchł pożar?

– Nikt tego nie wie. Ani policja, ani ekspert od pożarów, ani ja.

– Czy może istnieć aż tyle przyczyn, że nie mogą się zdecydować?

– Już krąży plotka, że sam podłożyłem ogień.

– Po co miałbyś to robić?

– Bo ja wiem? Może straciłem rozum?

– A straciłeś?

– A wyglądam na kogoś, kto stracił rozum?

– Nie odpowiadaj mi pytaniami!

– Jeszcze nie zwariowałem. Nie podpaliłem własnego domu. Kiedy się obudziłem, pożar szalał na całego. Nie wiem, co było przyczyną, ale na pewno nie moja zabawa zapałkami.

– Ale dom tak po prostu nie staje w płomieniach. Może myszy przegryzły instalację?

– W takim razie musiał to być spisek z udziałem co najmniej czterech myszy. W dodatku musiały mieć dostęp do benzyny.

Streściłem Louise to, co powiedział mi Hämäläinen. Słuchała mnie, nie zadając pytań. Obeszła dookoła fundamenty, przystając na chwilę przy każdym narożniku. Przemknęło mi przez myśl, że ostatecznie to ona odkryje prawdziwą przyczynę pożaru.

Krążyła tak dłuższą chwilę. W końcu stanęła nad plandeką z resztkami przedmiotów wyjętymi ze zgliszczy. Podeszedłem do niej i pokazałem jej sprzączkę od butów Giaconellego. Od razu ją rozpoznała.

– Spaliły się nawet te buty – westchnęła.

– Udało mi się tylko ocalić własną skórę.

Louise kucnęła i odłożyła sprzączkę na miejsce. Pomyślałem, że to rodzaj ceremonii pogrzebowej, więc przykucnąłem obok, choć zaboląły mnie kolana.

– Słyszałem, że Giaconelli zmarł – powiedziałem. – Wiem tylko tyle, że wrócił do Włoch i umarł w jakimś pensjonacie.

– Jego nerki działały coraz gorzej, ale nie chciał spędzić reszty życia podłączony do jakiejś aparatury, więc zostawił wszystko

i wrócił do rodzinnej wioski na północ od Mediolanu. Dwa tygodnie później już nie żył. Dowiedziałam się o tym od jego przyjaciół.

– Co się stało z warsztatem?

– Sąsiedzi traktują go jak muzeum. Ale sami są już starzy i martwią się, że po ich śmierci Giaconelli zostanie zapomniany.

Louise podniosła się z kucek. Ja również się poderwałem, ale straciłem równowagę i musiałem złapać ją za nogę, żeby nie upaść. Pomogła mi się wyprostować.

Poszliśmy do przyczepy. Louise usiadła na łóżku, ja przy stole. Miałem kawę przygotowaną w termosie.

– Nie zmieścimy się tutaj we dwoje – powiedziała.

– Przygotowałem się na twój przyjazd. Pamiętasz tę wysepkę bez nazwy, na wschód od naszej wyspy? Rozbiłem tam mój stary namiot.

– Nie jest na to trochę za zimno?

– Mam ciepły śpiwór.

– Czy ten namiot nie spleśniał? Widziałam go przed śmiercią mamy. Dziwię się, że go jeszcze nie wyrzuciłeś.

– Trochę śmierdzi stęchlizną, ale już pewnie przewiał go wiatr. Tutaj wieje przecież niemal bez przerwy.

Louise położyła się na łóżku.

– Mam za sobą długą podróż. Jestem bardzo zmęczona.

– Skąd przyjechałaś?

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową. Poczujęm złość.

– Dlaczego mi nie odpowiadasz? Nie wypytuję cię, co robiłaś, ale jestem ciekaw, skąd tym razem wracasz.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie tym samym oskarżycielskim wzrokiem, jakim patrzyła na mnie czasem Harriet. Nie udzieliła mi odpowiedzi. Odwróciła się do mnie plecami i podkuliła nogi, dając mi tym samym wyraźny znak, że zamierza teraz spać.

Jedynym, co mi pozostało w tej sytuacji, było przygotowanie po cichu paru kanapek, spakowanie ich razem z zupą w puszcze, którą zamierzałem podgrzać na kuchence spirytusowej i wyprowadzenie się do namiotu. Przyczepa należała do mojej córki.

Przyjechała zbyt nieoczekiwanie i o wiele za wcześnie. Nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić do myśli, że spłonął mój dom,



a teraz miałem jeszcze na głowie rozważania na temat powrotu Louise.

Wyszedłem na spacer po wyspie. Podążając wzdłuż południowego brzegu, pomyślałem, że pamiętam tutaj każdy kamień jeszcze z czasów dzieciństwa. Wówczas często chodziłem tędy z moją wędką, raz po raz schylałem się po jakiś kamień i ciskałem nim w skalną szczelinę.

Dziś nie miałem już wędki, a w morzu nie było już prawie żadnych ryb.

Kiedy wróciłem do przyczepy, Louise już spała. Oddychała równo i głęboko. Nie poruszyła się, kiedy okrywałem kocem jej nogi.

Już zmierzchało, gdy schodziłem na pomost. Nad morzem zawisły deszczowe chmury. Nadciągnęły cicho i niespodziewanie, nie zauważyłem ich podczas mojego wcześniejszego spaceru. Robiło się coraz zimniej.

Przyszło mi na myśl, że powinienem zabrać do namiotu mój nowy zeszyt i zanotować w nim ostatnie zdarzenia. Po chwili się rozmyśliłem. Nie chciałem znów wchodzić do przyczepy i ryzykować, że obudzę Louise.

Wsiadłem do łodzi i wypchnąłem ją z hangaru. Nie włączałem silnika, żeby nie hałasować. Wiosłowanie szło mi szybko, bo pomagał mi wiatr.

W niecce było całkiem bezwietrznie. Włączyłem kuchenkę i zagotowałem zupę z puszki. Dla ochrony przed zimnem, naciągnąłem sobie śpiwór na nogi. Zapadł już zmrok i siedząc w ciemności, miałem wrażenie, że otaczają mnie postacie z czasów dzieciństwa.

Rozmyślałem o Lisie Modin, o mojej córce, w końcu o Harriet, która umarła parę lat temu.

Po posiłku siedziałem jeszcze chwilę w całkowitych ciemnościach. Byłem bardzo zmęczony.

Właśnie miałem wejść do namiotu, kiedy dostrzegłem w oddali jakieś światelko. Jaśniało na mojej wyspie, ale nie potrafiłem odgadnąć, co jest jego źródłem. Zmrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć i w końcu zrozumiałem, że to Louise wyszła na brzeg i mruga do mnie latarką, którą zostawiłem na stole w przyczepie.

Zawołałem do niej, ale wiatr porywał moje słowa. Latarka błyskała nieregularnie, ale mimo to miałem pewność, że moja córka nie alarmowałaby mnie w ten sposób, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

Nagle przypomniałem sobie, że nie dałem jej nowego numeru telefonu. Wróciłem do łodzi i wiosłowałem z powrotem na wyspę. Przeszło mi przez myśl, że w takiej samej ciemności, jak ta, która otaczała mnie w tej chwili, leżałem tej nocy, kiedy rozpętał się pożar. Czyżby znów miało mnie to spotkać? Czy morze zajmie się ogniem i zmusi mnie do wiosłowania coraz szybciej i szybciej, do jakiegoś miejsca, w którym będę mógł się schronić?

Przestałem na moment wiosłować i spojrzałem w stronę pomostu. Błyskanie latarki ustało.

Zacumowałem łódkę przy pomoście. Nie było tam Louise. Nie włączyła też lampy przed szopą. Gdyby rzeczywiście chciała mieć pewność, że ją zobaczę, użyłaby mocnego światła na ścianie szopy, zamiast słabej latarki.

Już miałem ją zawołać, ale dostrzegłem, że świeci się w przyczepie. Stałem chwilę na pomoście i patrzyłem w jej stronę. Najwyraźniej Louise nie zorientowała się, że włączyłem lampę na pomoście.

Nagle, tuż poza kręgiem światła zatrzepotał skrzydłami duży ptak. Zdarzało się, że widywałem tutaj puchacza. Nikt nie wie, jakimi ścieżkami przemieszczają się podczas swoich nocnych wypraw.

Poszedłem w stronę przyczepy, ale zatrzymałem się jeszcze na moment przed drzwiami. Zasłonka w owalnym oknie była zaciągnięta tylko do połowy. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby podglądać moją córkę, ale teraz podszedłem cicho i zajrzałem do środka.

Louise siedziała przy stole i bawiła się talią kart. Była rozebrana od pasa w górę. Nie układała pasjansa, zdawała się głęboko pogrążona w rozmyślaniach.

Nigdy nie widziałem jej nagiej. Zacząłem się ostrożnie wycofywać, ale ona nagle odwróciła głowę i spojrzała w okno.

Nie chciałem zostać zauważony, ale jednocześnie byłem ciekaw jej świata. Domyśliłem się, że podkręciła ogrzewanie w przyczepie i dlatego siedziała rozebrana.

Poszukałem wzrokiem latarki. Nigdzie jej nie dostrzegłem, chociaż z miejsca, w którym stałem, nie widziałem całego wnętrza przyczepy.

Przyglądałem się jeszcze chwilę nagiej córce. Jej piersi były takie same jak piersi Harriet. Duże i ciężkie. W końcu odszedłem od okna i zapukałem do drzwi. Louise nie zareagowała, więc zapukałem ponownie.

- Kto tam? – zapytała.
- To ja. Widziałem jak błyskałaś latarką.
- Błyskałam latarką?
- Tak, błyskałaś.
- Zaczekaj chwilę.

Przyczepa zakołysała się lekko, kiedy Louise wstała od stołu. Gdy mi wreszcie otworzyła, miała na sobie bluzę.

Wpuściła mnie do środka i przyjrzała mi się, marszcząc czoło.

- O czym ty mówisz? – zapytała. – Jaką latarką?

Mój wzrok padł na latarkę leżącą na stole. Pokazałem na nią palcem.

– Właśnie miałem wejść do namiotu, ale zauważyłem, że stoisz na pomoście i błyskasz do mnie latarką. Zawołałem, ale nie usłyszałaś, więc wsiadłem do łódki i przyplłynąłem. Dlaczego nie posłużyłaś się lampą na szopie? Przecież ona jest jak reflektor.

Kiedy zamilkłem, Louise nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Przyglądała mi się z uwagą, potem skinieniem głowy wskazała mi taboret przy stole. Usiadłem i rozpiąłem kurtkę. W przyczepie było rzeczywiście bardzo ciepło. Louise stała przy drzwiach.

- Nie wiem, o czym mówisz – odezwała się wreszcie.

Sięgnąłem ręką nad blatem i podniosłem latarkę. Wycelowałem nią w moją córkę i kilka razy błysnąłem.

– Widziałem, jak stoisz na pomoście i tak do mnie mrugasz – wyjaśniłem. – Posyłałaś mi jakieś sygnały. Co chciałaś? Zaniepokoiło mnie to.

Nie odpowiedziała. Wyczułem, że coś się w tej sytuacji nie zgadza. Jednocześnie byłem pewien, że nie przywidziało mi się.

- Nie stałam na pomoście z latarką.
- Nie mam omamów.
- Mówisz, że widziałeś błyski?
- Tak.
- To był alfabet morsa?

– Nie wiem. Mrugało bardzo nieregularnie. Jak nierówny puls.

Louise pokręciła głową. Wyglądała na zmartwioną. Czyżby się obawiała, że dopadła mnie demencja?

Przestraszyłem się na samą myśl o tym. Nie wyobrażałem sobie gorszego scenariusza niż ten, że czuję się zdrowy fizycznie, ale pewnego dnia ktoś, być może moja córka, komunikuje mi, że szwankuje mi umysł. Pamiętam, że już jako student medycyny spędzałem czasem wieczory z kolegami na rozmowach o tym, jak wyobrażamy sobie najgorszą starość. Większość z nas udzielała tej samej odpowiedzi. Baliśmy się demencji bardziej niż cierpień fizycznych.

– Uwierz mi, że naprawdę nie byłam na pomoście i nie mrugałam latarką – odezwała się Louise. – Po cóż miałabym kłamać?

– Ale kto inny miałby tam stać, jeśli nie ty?

– Czy zakradają się tutaj obcy ludzie?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Może to był ten podpalacz?

Louise zmarszczyła czoło.

– Jediną osobą, jaka się tu na razie zjawiała, jesteś ty.

– Nie przywidziało mi się to!

– W takim razie musimy wyjść i poszukać tego intruza.

Zapadła cisza. Oczywiście nie ruszyliśmy się z miejsca.

– Jadłeś coś? – zapytała Louise po krótkiej chwili.

– Tak, jadłem.

– Chcesz kawy?

– Nie, bo potem nie będą mógł spać.

– To może szklaneczkę rumu?

– Dlaczego miałbym chcieć rumu? Wiesz, że nie piję alkoholu.

– Nieprawda. Czasem pijesz. I to dużo.

– To co innego. Wtedy zwyczajnie się uchlewam.

– A więc nic nie chcesz?

– Chyba powinienem wrócić do namiotu i się położyć.

– Przecież nie trafisz tam po ciemku.

– Jeszcze niedawno potrafiłem tam dopłynąć.

– Wolę, żebyś tu został. Kiedy zapadł zmrok, bałam się być tutaj sama. Wydawało mi się, że widzę na dworze spalonych ludzi. Możesz spać na łóżku, a ja położę się na podłodze. Zrobię sobie materac z poduszek i koców, i będę miała miękko. Teraz wypiję szklaneczkę rumu, a ty nie dostaniesz. A zanim pójdziemy spać,

możemy jeszcze zagrać w karty. Nie szkodzi, że dom się spalił i na wyspie pojawiły się błyskające latarki.

– Zastanawiam się tylko, kto do mnie mrugał.

Louise nie odpowiedziała. Wyjęła z brązowej torby do połowy opróżnioną butelkę złotego rumu.

Wychyliła szklaneczkę duszkiem, skrzywiła się i zaraz po tym naląła sobie jeszcze do połowy. Wcześniej nie zauważyłem, że pije tak samo jak jej matka. W młodości nie piła dużo, ale kiedy już to robiła, wlewała w siebie wszystko na raz, jakby łykała alkohol z najwyższą odrazą.

Louise postawiła pustą szklankę na stole.

– Dalej myślisz o tej latarce?

– Myślę, że kiedy na ciebie patrzę, widzę Harriet.

– A konkretnie?

– W taki sam sposób pijesz alkohol.

– Ale inaczej się upijam. Ona usypiała po kilku kieliszkach. A ja robię się ckliwa albo wpadam w szal. Nigdy nie wiem, jak zareaguję następnym razem. Ale nie musisz się martwić. Dziś nie piję po to, żeby się upić. Robi mi się zimno na myśl o tym wszystkim, co stracone, i czego nie da się już odzyskać.

– Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Jutro musimy porozmawiać o przyszłości.

Louise odsunęła szklankę i sięgnęła po talię kart.

– Dobrze, jutro. Nie dziś. Zgadzam się. W co zagramy?

Granie w karty zawsze mnie nudziło. Mimo to zaczęliśmy partię pokera. Louise wygrywała prawie za każdym razem, niezależnie od tego, czy miała lepsze karty ode mnie, czy nie. Nie potrafiłem nic odgadnąć z wyrazu jej twarzy. Nie miałem pojęcia, czy naprawdę ma dobre karty, czy próbuje mnie zwieść. Miałem wrażenie, że z litości pozwala mi wygrać. Tym bardziej, że działo się to za każdym razem, kiedy kończyły mi się zapałki i musielibyśmy skończyć grę.

Graliśmy w absolutnej ciszy. Louise była skoncentrowana, a ja ciągle się myliłem.

Kiedy wybiła jedenasta, zdecydowała, że zrobimy przerwę. Wyszła na dwór, żeby się załatwić, a potem zaczęła robić kanapki.

Piła kawę, a ja poprosiłem o szklankę wody. Potem wróciliśmy do gry. O północy, kiedy wciąż udawało mi się zachować trochę zapalek, rzuciłem karty na stół i oznajmiłem, że nie dam już rady dalej grać. Louise była niezadowolona, ale kiwnęła głową na zgodę i dopiła resztkę rumu ze szklanki. Wyszedłem na dwór, żeby opróżnić pęcherz. Słyszałem, jak Louise krząta się po przyczepie i przygotowuje posłanie. Chmury rozwiały się nieco i na niebie pokazał się błądzący księżyc w nowiu. Odczekałem aż ucichnie szuranie w przyczepie. Dopiero wtedy zapukałem i wszedłem.

Louise leżała już na posłaniu na podłodze. Nie otwierając oczu, życzyła mi dobrej nocy. Rozebrałem się, wszedłem pod kołdrę i zgasłem lampkę. Strumień światła lampy przy pomoście wdzierał się przez okienko przyczepy. Podniosłem się, żeby zaciągnąć zasłonę.

– Zostaw – powiedziała Louise. – Dzięki temu noc nie jest taka ciemna.

Wróciłem do łóżka, czując, że zmęczenie ciąży mi jak ogromny bagaż. Byłem już za stary, by zaczynać wszystko od nowa.

Po chwili w moich myślach pojawiła się Oslovska. Zawsze skrywała emocje, ale kiedy spotkałem ją w porcie w ciągu dnia, była całkiem odmieniona. Wyraźnie się czegoś bała. Pokazała mi nawet, co jest źródłem tego strachu. Obejrzała się za siebie z lękiem w oczach, więc zagrożenie pochodziło z zewnątrz. Wisiała nad nią jakaś groźba.

Zanim usnąłem, przypomniałem sobie jeszcze, że nazajutrz muszę przekonać Louise, że to ona powinna zdecydować, co robimy ze spalonym domem. Jeśli łączy swoją przyszłość z tą wyspą, sama musi zdecydować, jak ma wyglądać odbudowany dom. W polisie ubezpieczeniowej, którą podpisałem wiele lat temu, był wyraźny zapis, że nie jest możliwe odbudowanie identycznego domu. Nie mogło być mowy o ścianach z solidnych dębowych belek. Louise mogła wybierać z możliwości określonych przez firmę ubezpieczeniową.

Ale co pocznę, jeśli moja córka wystraszy się pogorzelniska? Co, jeśli będzie chciała, żebym sprzedał wyspę i wypłacił jej część spadku już teraz? Czy dam radę zbudować nowy dom? A może

powiniennem zamieszkać na stałe w przyczepie? Przyszło mi też na myśl, że mógłbym zlecić jakiemuś lokalnemu stolarzowi powiększenie szopy z garażem. W ten sposób zamieniłbym ciasne pomieszczenie z plastiku na zapewne niewiele większe, ale drewniane.

Wyobraziłem sobie, że przywożę tutaj promem mój samochód i przypinam do niego przyczepę. Wyglądałoby to tak, jakbym szykował się na przeprawę przez Styks autem, zamiast łodzią.

Już zasypiałem, kiedy nagle usłyszałem Louise. Mówiła głośno, zapewne myśląc, że jeszcze nie śpię.

– Zamierzam założyć ogród – oznajmiła.

Usłyszałem jej słowa jasno i wyraźnie. Ale mimo to ich nie zrozumiałem. Jedną z niewielu rzeczy, jakie wiedziałem o mojej córce, był fakt, że żywi dużą niechęć do grzebania w ziemi i zajmowania się roślinami.

– Gdzie on ma być? – zapytałem.

– Tutaj.

– Na tej wyspie nic nie rośnie. Tu jest tylko skała i garść kiepskiej ziemi, która ledwie wystarcza, żeby wykarmić dęby i olchy.

– To będzie ogród dopasowany do tutejszych warunków.

– Myślałem, że nie lubisz zajmować się roślinami.

Przyczepa zakołysała się, kiedy Louise gwałtownie poderwała się z podłogi. Owinęła się kocem, usiadła przy stole i włączyła lampę.

Światło mnie oślepiło, więc leżałem ze zmrużonymi oczami.

– Pojechałam do wioski, w której pochowany jest Giaconelli – mówiła dalej moja córka. – Opowiedział mi kiedyś o pewnym pięknym ogrodzie, schowanym za starym murem, porośniętym prawie w całości bluszczem. Znalazłam ten mur i przeszłam na drugą stronę. Ogród był zarośnięty, ale kiedyś musiał wyglądać przepięknie. Kiedy się tam znalazłam, zrozumiałam, że też chcę mieć ogród, chociaż całkiem inny. Giaconelli pokazał mi drogę, ale wiedział, że ja i tak obiorę całkiem inny kierunek. Ogród, który stworzę, będzie Oceanem Nicości.

– Co to znaczy?

– Opowiem ci jutro. Teraz zgaszę już światło.



Nim usnąłem, spróbowałem zrozumieć, co moja córka miała na myśli, mówiąc o „Oceanie Nicości”. Nic nie przychodziło mi do głowy.

Obudziłem się tuż po szóstej. Louise spała głęboko, z kocem naciągniętym na głowę. Spod nakrycia wystawała jej jedna stopa. Wyglądała tak, jakby oderwała się od reszty ciała. Ostrożnie naciągnąłem koc i ją okryłem. Louise wzdrygnęła się lekko, ale spała dalej.

Wziąłem ubranie oraz jedną z chińskich koszul w roli ręcznika i zszedłem na pomost. Poranek był ciemny i chłodny. Wiatr zmienił kierunek i wiał teraz prosto z północy. Zrobiłem głęboki wdech i wszedłem do wody. Zimno uderzyło mnie z wielką siłą, jak zawsze podczas takiej kąpieli. Przyszło mi na myśl, że każdej jesieni jest pewien moment, kiedy chłód wody jest identyczny z tym, który odczuwam wczesną wiosną, tuż po tym, jak nadchodzą roztopy i zaczyna pękać lód. Tym samym dwie przeciwne pory roku stają się jednością.

Jak zawsze, policzyłem do dziesięciu i wszedłem z powrotem na pomost. Energicznie wytarłem się chińską koszulą. Zostawiła na moim ciele niebieskie nitki. Ubrawszy się, spojrzałem na termometr. Wskazywał trzy stopnie powyżej zera. Wiatr powiewał lekkimi podmuchami, ale zimne północne powietrze szczypało w dłonie i twarz.

Usiadłem na ławce i beczynn timer wpatrywałem się w rozpraszającą się ciemność. Co takiego Louise powiedziała mi tuż przed zaśnięciem?

„Niebo Nicości”? Nie, „Ocean Nicości”. Wciąż nic z tego nie rozumiałem.

Nagle otworzyły się drzwi do przyczepy i Louise zawołała mnie na śniadanie. Była już ubrana i upięła włosy spinkami.

– Chciałabym znosić kąpiel w zimnej wodzie tak dobrze jak ty – powiedziała, siadając przy stole.

Zaparzyła zdecydowanie za mocną kawę, ale ponieważ nie wiedziałem, co mnie czeka tego dnia, nie poskarżyłem się.

– Prędzej czy później będziesz się musiała wykąpać – powiedziałem. – Nie mamy żadnej balii, nie ma też jak nagrzać

wody.

- W porcie jest prysznic dla żeglarzy.
- Wątpię, by był czynny o tej porze roku.
- Myślisz, że nie otworzą go dla kogoś, komu spłonął dom?

Miała rację. Skończyliśmy śniadanie w milczeniu. Potem Louise zebrała naczynia. Chciałem jej pomóc, ale powstrzymała mnie, bo w przyczepie było za ciasno, by jednocześnie krzątały się po niej dwie osoby. Kiedy skończyła, uzgodniliśmy, że popłyniemy do portu za parę godzin, kiedy otworzą sklep.

- O co chodzi z Oceanem Nicości? – zapytałem po chwili.
- Pokażę ci i wszystko wyjaśnię.

Wyszliśmy na dwór. Wiatr wciąż atakował zimnymi podmuchami, a z nieba zwisała nisko gruba warstwa chmur. Była już ósma. Louise podążyła zdecydowanym krokiem w stronę trawnika rozciągającego się za pogorzeliem. Były tam bloki skalne, z których rozciągał się otwarty widok na morze. Louise pokazała mi płaski kamień, dając do zrozumienia, żebym na nim usiadł. Zrobiłem, o co prosiła.

Opowiedziała mi o podróży do Japonii, jaką odbyła przed rokiem. Moja córka potrafi fascynująco opowiadać, kiedy jest w odpowiednim nastroju. Zauważyłem, że potrafi operować słowami o wiele lepiej ode mnie.

Rzecz jasna nie miałem pojęcia, że była w Japonii. Nie wiedziałem też o jej podróżach do Paragwaju i na Tasmanię. Cokolwiek ostatecznie zawiodło ją akurat do Japonii, zdawało się na początku mieć coś wspólnego z pomysłem na importowanie do Europy skomplikowanych latawców. Louise tylko o tym wspomniała, a ja nie zapytałem, czy plan się powiódł. Zaraz po tym przeszła do opowieści, jak wraz z przyjaciółką wybrała się do Kioto i odwiedziła świątynię buddyjską o nazwie Daisen-in. Tam zobaczyła ogród stworzony wyłącznie ze skał. Z otaczającego skały żwiru nie wyrastało ani jedno źdźbło trawy. Ogród ten założono na początku xvi wieku. Miał stworzyć krajobraz i ułatwiać medytującym koncentrację.

– Stałam tam i nagle wszystko wokół zamarło – powiedziała. – Poczułam się tak, jakbym nareszcie odnalazła to, czego od dawna szukałam, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Usiadłam na

ławce i natychmiast pochłonał mnie ten kamienny świat. Ogarnął mnie spokój, ale jednocześnie czułam podekscytowanie. Od razu postanowiłam, że pewnego dnia założę podobny ogród, na cześć Oceanu Nicości. Bo tak nazywał się ogród, który miałam wtedy przed oczami. A ponieważ, jak sam powiedziałeś, na tej wyspie prawie nic nie rośnie, nie wyobrażam sobie lepszego miejsca na mój ogród składający się z kamieni i żwiru. Kiedy będzie gotowy, skały będą mogły podnieść swoje kamienne ręce i pomachać tym, które stoją w Japonii.

Louise nagle przerwała opowieść, odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do przyczepy. Usłyszałem jak otwierają się drzwi, a po chwili znowu się zamykają. Przyniosła czarno-białą fotografię.

– Ocean Nicości – powiedziała. – Tak wygląda.

Długo siedziałem ze zdjęciem w dłoni. Louise odeszła i zaczęła krążyć po trawniku, który zamierzała przerobić na podobieństwo fotografii, którą miałem w ręce.

Nie rozumiałem, co ją tak zachwyciło w tym ogrodzie. Były tam kamienie i żwirowe ścieżki, trochę piasku, a gdzieś tam malutkie pagórki wyglądające jak skamieniałe bąble na płaskim terenie.

I tak już otacza mnie mnóstwo kamieni, pomyślałem. Kupa gruzów została z mojego domu, a nie dalej jak wczoraj zabrałem Lisę Modin na wyspę, na której oglądaliśmy kamienne pozostałości po osadzie rybaków, w której ludzie żyli w niewyobrażalnej nędzy, każdego dnia walcząc o przetrwanie. Powiedziałem Lisie Modin, że głazy wykorzystane kiedyś do budowy chat wracały powoli i o własnych siłach na miejsca, z których je niegdyś zabrano.

A teraz jeszcze to.

Wsadziłem zdjęcie do kieszeni kurtki. Chwilę później Louise wróciła i usiadła obok mnie.

– Co tam zobaczyłaś? – zapytałem. – Zdjęcie nie oddaje tego, co przeżyłaś w tamtym miejscu.

– Zrozumiesz, kiedy założę tutaj podobny ogród.

– Mówisz poważnie?

– Zawsze mówię poważnie.

– Wiem. Czy ten ogród ma powstać, zanim zbudujemy nowy dom?

– Być może.

– Myślę, że to ty powinnaś podjąć decyzję dotyczącą domu.

Louise pokiwała głową, ale się nie odezwała. Potem schyliła się i podniosła płaski odłamek, który odpadł od skały, na której siedzieliśmy. Wstała i zaniósła go na środek trawnika.

– Mój ogród zacznie się od tego małego kamyczka – oznajmiła.

– Musisz zdecydować, co zrobimy z tą ruiną – powiedziałem, pokazując skinieniem głowy na pogorzelsko.

– Pomówimy o tym wieczorem. Teraz popłynemy do portu.

Louise usiadła na dziobie i przez całą drogę spoglądała w stronę, w którą płynęliśmy. Rozmyślałem o tym, co powiedziała mi o kamiennym ogrodzie. Nagle uderzyła mnie myśl, która wcześniej nie wpadła mi do głowy. Poczułem się tym tak zaskoczony, że bezwiednie zwolniłem. Louise odwróciła się i spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem. Zredukowałem prędkość do zera i wrzuciłem pusty bieg.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – zapytała.

Przeniosłem się na środkową ławkę, żeby znaleźć się bliżej Louise.

– Mówisz, że ten ogród zbudowali buddyści?

– Tradycja głosi, że założył go mnich i artysta imieniem Soami.

– On był buddystą?

– Mistrzem zen.

– Nie wiem, jaka jest między nimi różnica.

– Mogę ci to wyjaśnić, ale dopiero po powrocie do domu.

– Zastanawiam się tylko, czy zamierzasz zamienić naszą wyspę na świątynię. Sama też zostałeś buddystką?

Moje pytanie ją rozzłościło. Chwyciła plastikowy czerpak do wylewania wody i rzuciła nim we mnie. Było w nim trochę deszczówki, która ochlapała mi twarz. Odwdzięczyłem się tym samym, ciskając w nią czerpakiem. Potem przerzucaliśmy się nim jeszcze chwilę, aż Louise wyrzuciła go niechcący za burtę. Musiałem go wyłowić z pomocą wiosła.

– Nie jestem religijna – powiedziała. – Nie jest to konieczne do założenia ogrodu.

Nie odpowiedziałem. Wrzuciłem bieg i zwiększyłem prędkość. Płynęliśmy dalej w milczeniu.

Budka z prysznicem była zamknięta. Louise szarpnęła kilka razy klamką, zanim udaliśmy się do sklepu ze sprzętem rybackim. Kiedy weszliśmy do środka, Nordin rozpakowywał właśnie pudło pełne rękawic roboczych.

Moje kalosze jeszcze nie przyszły.

Oczywiście Louise wpadła w złość, usłyszawszy, że prysznic zostanie otwarty dopiero w maju następnego roku. Nordin podkreślił, że rozumie nasze potrzeby, ale nie może lekceważyć zasad wyznaczonych przez gminę. Żałowałem, że moja córka ma tak wybuchowy temperament. Wiedziałem z doświadczenia, że złość bardzo rzadko lub nigdy nie prowadzi do rozwiązania problemu. Czasem miałem wrażenie, że Louise ma potrzebę zezłoszczenia się na coś lub na kogoś i zrealizowanie tej potrzeby było dla niej ważniejsze niż próba uniknięcia konfliktu.

Nordin aż zaniemówił w reakcji na jej wybuch. Najwyraźniej nie nawykł do tego, by ludzie złościли się na niego i podnosili głos z powodu spraw, które nie są od niego zależne. Spróbowałem włączyć się do rozmowy, żeby trochę uspokoić atmosferę, ale Louise tylko mnie ofuknęła.

– Z kim mogę o tym pomówić w gminie? – zapytała wciąż podniesionym głosem.

– Nie wiem – odparł Nordin. – Co chwilę tą sprawą zajmuje się ktoś inny.

– A kto ma klucz do kabiny? I kto włącza ciepłą wodę?

– W sezonie robię to ja.

– A więc ma pan ten klucz, czy tak?

– Nie wolno mi go nikomu wydawać poza sezonem.

– Ludzie muszą się kąpać również jesienią.

I ja, i Louise zauważyliśmy, że Nordin rzuca nerwowe spojrzenia w stronę wiszącej na ścianie szafki na klucze. To wystarczyło, by moja córka podeszła do niej zdecydowanym krokiem, otworzyła ją i zdjęła z haczyka klucz w drewnianym brelokiem, na którym wypalono napis „Kabina prysznicowa”. Zaraz po tym wyszła ze sklepu bez słowa, niosąc pod pachą zwinięty ręcznik.

Nordin cały się trząsał. Patrzyłem, jak jego twarz i całe jego ciało napełniają się strachem z powodu tego, co przed chwilą przeżył. Domyślałem się, że czuje się tak, jakby został obrabowany, nie z czegoś materialnego, ale z odpowiedzialności, do jakiej zobowiązał się, składając jakąś niepisaną przysięgę. Widziałem, że potrzebuje pocieszenia, ale ja nie mogłem mu go dać.

– Ona nie miała na myśli nic złego – powiedziałem spokojnym tonem. – Po prostu marzy o kąpeli, a woda w morzu jest dla niej za zimna. Poradzimy sobie z tym, kupując balię, wiaderko i palnik elektryczny.

Zaraz po tym zostawiłem go z do połowy wypakowanym pudłem rękawic. Podszedłem do budki z prysznicem. Na zewnątrz było słycać plusk wody. Louise miała ze sobą mydło i szampon.

Stojąc tak na zimnym wietrze, pomyślałem sobie, że byłoby lepiej, gdyby nie przyjechała. Lepiej radziłem sobie z katastrofą wywołaną pożarem w pojedynkę. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że to nie do końca prawda. Bez niej nie byłbym w stanie podjąć decyzji, co począć ze swoim życiem. Moje mgliste marzenie, że będę je dzielił z Lisą Modin, było oczywiście niczym innym jak tylko ucieczką od przykrej rzeczywistości.

Chwilę później Louise wyszła z budki. Na głowie miała turban z ręcznika.

– I co, ktoś przez to umarł? – rzuciła do mnie.

Zezłościło mnie to. Miałem ochotę ją uderzyć, wymierzyć jej siarczasty policzek. Oczywiście tego nie zrobiłem, tylko ze złością wyrwałem jej z ręki klucz z drewnianym brelokiem.

– Nie życzę sobie, żebyś w ten sposób traktowała moich znajomych – powiedziałem. – Gdybyś pozwoliła mi się tym zająć, załatwiłbym ci ten klucz bez awantur. Teraz masz tu na mnie poczekać, aż odniosę klucz i przeproszę Nordina. Powiem mu, że jest ci tak strasznie głupio, że aż wstydzisz się przyjść.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować. Nie chcąc wdawać się z nią w następną dyskusję, szarpnąłem za koniec ręcznika, żółtego jak moja chińska koszula. Ręcznik opadł na mokry beton nabrzeża.

– Zaraz wracam – oznajmiłem. – Jeśli jeszcze tu będziesz, kiedy wrócę, pojedziemy na zakupy. Jeśli nie, uznam, że udałaś się

w jedną ze swoich podróży, o których nigdy mi nie opowiadasz.

Odwróciłem się i ruszyłem prosto do sklepu Nordina. Pudło z rękawicami wciąż było nierozpakowane, a on siedział na taborecie przy ladzie, na której docinał linki wędkarskie i cumy do pożądanej przez klientów długości. W jednej dłoni ścisnął ołówek i nawet na mnie nie spojrział, kiedy kładłem przed nim klucz i banknot pięćdziesięciokoronowy i mamrotałem słowa przeprosin w imieniu Louise.

Powiedziałem coś innego, niż jej wcześniej zakomunikowałem. Oznajmiłem Nordinowi, że Louise bardzo go przeprasza i że usprawiedliwia swoje zachowanie szokiem spowodowanym pożarem domu.

Nordin odłożył ołówek, wstał i powiesił klucz na swoim miejscu, skąd nie miał być ruszany aż do wiosny następnego roku. Odniosłem wrażenie, że chce zostać sam. Zamknąłem więc drzwi i poszedłem do Oslovskiej po samochód. Furka i drzwi wejściowe do domu były zamknięte. Nigdzie jej nie widziałem.

Ale kiedy wyjeżdżałem na drogę, zauważyłem we wstecznym lusterku, że w oknie porusza się firanka. Za szybą mignęła mi twarz Oslovskiej, a potem firanka opadła na swoje miejsce. A więc była w domu. I wciąż się czegoś bała.

Poczułem, że narasta we mnie jakiś niesmak. Najpierw Louise zrobiła awanturę Nordinowi, a teraz Oslovska czaiła się za zasłoną, wystraszona, że ktoś ją zobaczy. Coś było nie tak. Przeczucie podpowiadało mi, że mój spalony dom to tylko część jakiejś większej całości.

Zatrzymałem się przy Louise, która zdążyła na nowo owinąć sobie włosy ręcznikiem. Wsiadła bez słowa i nie odzywała się do mnie przez całą drogę do miasteczka. W pewnej chwili musiałem ostro zahamować, bo przed maskę wybiegł lis. Nigdy wcześniej nie widziałem tutaj lisa, w odróżnieniu od łosi. Niedawno słyszałem od Janssona, że w okolicy pojawiły się dziki.

– Uważaj – mruknęła Louise.

– To ten lis ma uważać – odparłem.

Zaparkowałem tam, gdzie zawsze, za bankiem na placu przy porcie. Poszedłem do sklepu spożywczego na zakupy, a Louise

poszła sobie w inną stronę.

Zauważyłem, że sklep z butami jest zamknięty, chociaż o tej porze powinien być czynny.

Chwilę później spotkaliśmy się przy samochodzie. Od razu rozpoznałem reklamówki, które niosła Louise. Zrobiła zakupy w sklepie, gdzie zaopatrzyłem się w chińskie koszule. Wsiedliśmy do auta i wyjechaliśmy kawałek poza miasteczko, do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Kupiliśmy palnik elektryczny, lampy, balię i dwa wiaderka. Nie umiałem ocenić, czy Louise odczuwa dyskomfort z powodu panującego między nami milczenia, ale sam powoli zaczynałem tracić cierpliwość w stosunku do córki, która jeździ ze mną po sklepach i nie odzywa się do mnie ani słowem.

Wsadziliśmy zakupy do bagażnika.

– Jestem głodny – oznajmiłem. – Ale jeśli zamierzasz dalej milczeć, wolę zjeść sam.

Louise trzymała w rękach kupioną właśnie czapkę z czerwonej włóczki. Włożyła ją na głowę i parsknęła śmiechem.

– Chodźmy coś zjeść. Chociaż czasem miło jest nie musieć nic mówić. Świat, w którym żyjemy, jest przegadany na dziesiątą stronę.

Niedaleko była restauracja, w której mieściła się również kręgielnia. Zamówiliśmy smażoną rybę oraz wodę. Przy jednym z sąsiednich stolików siedzieli robotnicy, którzy parę dni temu kładli asfalt w porcie. Zdziwiłem się, słysząc, że dalej rozmawiają o okoniach.

Po jedzeniu zamówiliśmy kawę. Robotnicy gdzieś sobie poszli. Nagle Louise położyła swoją dłoń na mojej.

– Chcę, żebyśmy razem odbudowali ten dom. Możliwie jak najbardziej podobny do tego, który spłonął. Jasne, że chcę tu kiedyś zamieszkać.

– Wiem – odparłem cicho. – Jasne, że chcesz.

Chwilę później pojechaliśmy z powrotem do portu. Byłem ciekaw, czy Louise poczuła taką samą ulgę, jak ja. Jechaliśmy w milczeniu, ale było to zupełnie inne milczenie niż wcześniej.



Nagle przed maską znowu pojawił się lis. Dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio.

– Ten był inny – zauważyła Louise. – Mniejszy niż tamten.

– A nie większy?

– Nie, mniejszy.

Nie dyskutowałem z nią, uznawszy, że wystarczy mi na dzisiaj sporów. Zatrzymałem się przy łodzi, wysadziłem Louise i przepakowałem zakupy.

Kiedy odstawiałem samochód na miejsce, firanka w domu Oslovskiej była nieruchoma. Uzmysłowiłem sobie, że się o nią martwię. Czego się tak obawiała? I dlaczego chowała się w domu?

Wróciłem na nabrzeże. Bardzo się zdziwiłem na widok tabliczki „Nieczynne” na drzwiach sklepu ze sprzętem rybackim. Przemknęła mi przez głowę przykra myśl, że może Nordin siedzi tam w środku i płacze. Znowu poczułem złość na Louise, ale doszedłem do wniosku, że nie będę tego komentował. Przynajmniej nie w tym momencie.

Odczepiłem cumę i wsiadłem do łodzi.

– Ja chcę prowadzić – powiedziała Louise.

Usiadłem na dziobie, a tymczasem moja córka mocno szarpnęła za linkę silnika. Kiedy ją poznałem, ćwiczyła boks. Teraz mogłem się przekonać, ile dał jej ten trening. Była silna i szybka. Wiedziała, którędy biegnie tor wodny. Uważałem tylko, że trzyma się trochę za blisko płycizny ciągnącej się po jednej stronie toru.

Kiedy skręciliśmy za cyplem do naszej zatoki, dostrzegłem łódź Janssona zacumowaną przy pomoście. Jansson siedział na ławce. Wpłynęliśmy do hangaru. Louise zabrała się za wypakowywanie zakupów, a ja podszedłem do Janssona.

Miał dla mnie list. Przekazał mu go Syrén, nowy listonosz. Pomyślałem, że być może lokalna poczta sądzi, że nie chcę dostawać korespondencji.

Było to pismo od policji. Otworzyłem kopertę i zacząłem czytać. Wzywali mnie na przesłuchanie w związku z podejrzeniem o podpalenie.

Miałem się stawić na komisariacie za cztery dni o godzinie jedenastej przed południem.

Jansson wpatrywał się we mnie z zaciekawieniem.

– Nie będę na to odpowiadał – oznajmiłem mu. – Nie musisz czekać.

Stałem dalej na pomoście, kiedy odpływał.

Zastanawiałem się, ilu mieszkańców tego archipelagu już wie, że zostałem wezwany na przesłuchanie.

Być może byłem ostatnim, który się o tym dowiedział.

## Część II

# Lis w drodze na Golgotę

Następne dni były jednym wielkim oczekiwaniem. Nocami w mojej głowie znów galopowało stado koni. Nie powiedziałem Louise o wezwaniu. Spojrzała na mnie pytająco, kiedy chowałem list, ale o nic nie zapytała, choć widziała, że Jansson przywiózł mi jakąś ważną wiadomość.

Podjęliśmy rozmowę przy obiedzie. Omówiliśmy poziom gazu w butli, a potem potrzebę zakupu nowej patelni i proszku do prania. Nie poruszaliśmy żadnych poważnych tematów.

Resztę dnia spędziłem w szopie, a Louise prawie nie wychodziła z przyczepy. W pewnej chwili zajrzałem do środka przez okienko i ujrzałem ją siedzącą na łóżku, z telefonem przy uchu. Wyteżyłem słuch, ale nie udało mi się wychwycić żadnych słów. Miała poważną minę, ale nie umiałem ocenić, czy była zła, czy też raczej zmartwiona. Kiedy nagle zakończyła rozmowę, wycofałem się cicho i wróciłem do szopy. Tam otworzyłem puszkę dziegciu, nie po to, żeby go do czegoś użyć, ale by poczuć jego zapach. Lubiłem go, bo był chyba jedyną niezmienną rzeczą na tych wyspach, obojętną na upływ kolejnych dekad.

Za szopą leżała na brzegu stara drewniana łódka, której nie zwodowałem przez kilka ostatnich lat. Zepchnąłem ją teraz do wody i tak jak się obawiałem, miała sporo dziur. Mimo to przyniosłem z szopy wiosła i stary blaszany czerpak, i wsiadłem do łódki. Po chwili stwierdziłem, że nie jest aż tak dziurawa, by nie mogła mi służyć do kursowania na wysepkę, na której rozbiłem namiot. Odpłynąłem kawałek od pomostu.

Kiedy byłem dzieckiem, dziadek miał dużą łódkę wiosłową. Była czarna, cała nasączona dziegciem i służyła mu do połowu ryb w sieci. Na początku dziadek wiosłował sam, ale gdy trochę podrosłem i nauczyłem się uważać na sieci, wiosłowanie stało się moim zadaniem.

Zapadło mi w pamięć zdarzenie z jednej z takich wypraw. Miałem wtedy dziesięć, najwyżej jedenaście lat. Byliśmy już na otwartym morzu i w pewnej chwili niedaleko naszej łodzi pojawił się jelen. Płynął, młóćąc wodę kopytami. Dziadek bez słowa puścił sieć, odepchnął mnie na bok i zasiadł do wiosła. Dopłynął do zwierzęcia, wstał i zdzielił je wiosłem po głowie. Wiosło się złamało. Jelen płynął dalej. Wówczas dziadek wychylił się z łodzi i zdążył złapać go jedną ręką za poroże. Drugą wyjął z kieszeni finkę i podciął zwierzęciu gardło. Zdarzenia następowały po sobie tak szybko, że nie zdążyłem się zorientować, co się dzieje. Zrozumiałem to dopiero wówczas, kiedy dziadek ubroczonymi krwią rękami wciągnął na pokład martwego jelenia. Zwierzak patrzył na mnie dużymi lśniącymi oczami, ale jego wzrok był już pusty.

Spotkałem się oko w oko ze śmiercią.

Od tamtego dnia bałem się dziadka. Tam, na łodzi, ujrzałem go takim, jakim go wcześniej nie znałem. Czym innym było ogłuszanie ryb wyjmowanych z sieci. Tamta rzeź na morzu była czymś, na co nie byłem gotowy.

Kiedy wróciliśmy na wyspę i dziadek wyrzucił zarżnięte zwierzę na pomost, zwymiotowałem za burtę. Spojrzał na mnie z niechęcią, ale nic nie powiedział.

Zawołał babcię i razem sprawili jelenia. Nie towarzyszyłem im przy tym.

Teraz, przypomniawszy sobie to zdarzenie, poczułem w żołądku to samo nieprzyjemne uczucie, choć od tamtego dnia minęło sześćdziesiąt lat. Do dziś miałem przed oczami głębokie cięcie na gardle zwierzęcia. W dodatku, kiedy dziadek uderzał jelenia wiosłem w głowę, biła od niego czysta nienawiść. Myślę, że gdyby wtedy musiał długo ścigać uciekającego zwierzaka, młóciłby wściekle wodę tym złamanym wiosłem aż do Finlandii.

Zdarzenie to uzmysłowiło dziesięcioletniemu chłopcu, którym wówczas byłem, że ludzie nigdy nie są do końca tacy, za jakich ich mamy. I dotyczy to wszystkich. Nawet nas samych. Nawet, jeśli znamy kogoś od dawna i wydaje nam się, że niczym nas już nie zaskoczy, pewnego dnia możemy się zdziwić.

Popłynąłem z powrotem do pomostu, wciągnąłem łódkę na brzeg i czerpakiem wybrałem z niej wodę. Zastanowiłem się, czy powinienem rozkopać jakieś mrowisko i użyć jego zewnętrznej, nieprzemakalnej warstwy do uszczelnienia dziur, ale szybko porzuciłem tę myśl. Moja córka nie darowałaby mi zniszczenia mrówczej kolonii po to, by naprawić łódkę.

Zastałem ją siedzącą na zbutwiałej ławce, na najwyższym wzniesieniu. Usiadłem obok niej. Nadszedł czas, by powiedzieć jej prawdę.

- Policja wezwała mnie na przesłuchanie – oznajmiłem.
- Dlaczego?
- Myślałem, że sam podpaliłem dom.
- A zrobiłeś to? – zapytała, nie patrząc w moją stronę.
- Nie. A ty?

Wstałem i poszedłem z powrotem do szopy. Wzbierała we mnie fala złości zmieszanej ze strachem. Wydawało mi się, że nie mam już nad niczym kontroli.

Kilka razy w życiu zdarzyło mi się wpadać w pijacki ciąg. Piłem z ogromnej niechęci do czegoś, ze złości albo ze strachu. Teraz zapragnąłem mieć butelkę wódki, koniaku albo chociaż samogonu, którą zabrałbym do mojego namiotu.

Właśnie spychałem łódkę do wody, kiedy nadeszła Louise.

- Pójdę z tobą – powiedziała.
- Dokąd? Do namiotu?
- Na policję.
- Nie chcę.
- I tak to zrobię. Sam nie dasz sobie rady.

Na dnie łódki leżał stary spleśniały korek. Złapałem go i rzuciłem nim w Louise.

– Nie pójdziesz ze mną! – krzyknąłem. – Po co ktoś ma ze mną iść na przesłuchanie, skoro dobrze wiem, że nie podpaliłem własnego domu?!

Nie czekając na odpowiedź, włożyłem wiosła w dulki i już zamierzałem odpłynąć, kiedy jedno nagle się wyslizgnęło i wpadło do wody. Wychyliłem się i sięgnąłem po nie, tak samo jak kiedyś

mój dziadek sięgnął do płynącego jelenia i poderznął mu gardło. Przemokłem porządnie od pasa w górę.

Nie wiem, czy Louise wciąż stała na pomoście. Odbiłem od brzegu rufą do przodu, żeby na nią nie patrzeć. Odwróciłem łódkę, dopłynąwszy do cypla. Louise stała wciąż w tym samym miejscu z założonymi rękami i odprowadzała mnie wzrokiem. Przyszło mi na myśl, że wygląda jak wódz indiański, patrzący w dal za białym mężczyzną w chińskiej koszuli, płynącym do swojego na wpół zgniłego namiotu.

Przez pół nocy leżałem bezsennie, marząc o alkoholu. Chciałem się upić i zapomnieć o szaleństwie, które kazało policji podejrzewać mnie o spalenie własnego domu. A gdy wreszcie zapadałem w sen, robiłem to z poczuciem, że dotarłem do jakiejś granicy. Znalazłem się w punkcie, w którym musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zdołam poradzić sobie ze starością, spalonym domem i świadomością, że zawisłem w próżni, gdzie nikt już o mnie nie pyta. W pewnej chwili przemknęło mi nawet przez myśl, że być może oszalałem i w noc pożaru rzeczywiście biegałem wokół domu z benzyną i zapalnikami.

Nawet moja córka zaczynała traktować mnie jak zbędny ciężar. Nie byłem już dla niej wytęsknionym, odnalezionym po latach ojcem.

Obudziłem się o świcie z uczuciem, jakbym przed zaśnięciem rzeczywiście się upił. Miałem kaca ze zmęczenia. Wygramoliłem się ze śpiwora i wyszedłem z namiotu. Morze było szare, powietrze zimne, wiatr jeszcze słaby, ale w jakiś sposób groźny. Czasem wydaje się taki niedługo przed nadejściem sztormu. Niedaleko brzegu unosiły się na wodzie dwa edredony. Zerkały pod powierzchnię, w nadziei na jakiś łup. Kiedy klasnąłem w dłonie, poderwały się i odleciały z furkotem. Zdziwiłem się, że wybrały akurat północny kierunek. Odprowadzałem je wzrokiem, aż zniknęły na horyzoncie.

Popłynąłem z powrotem na wyspę dopiero po południu. Kiedy Louise otworzyła mi drzwi do przyczepy, z wewnątrz zapachniało świeżością i środkiem do czyszczenia. Zjedliśmy prosty posiłek.

Niewiele rozmawialiśmy. Potem wstałem od stołu i poszedłem do szopy. Louise podążyła za mną.

– Dlaczego świeciłaś latarką tamtej nocy? – zapytałem.

– Nie świeciłam. Musiało ci się wydawać.

Nie było sensu się z nią spierać, podnosić głos i argumentować. Skoro nie chciała się przyznać, trudno.

Oboje czasem kłamiemy, pomyślałem. Ale oboje robimy to w inny sposób.

Przez parę następnych nocy spałem tak samo źle. Dni zdawały mi się identyczne, tonęły w tej samej szarości. Spacerowałem po wyspie i próbowałem się przygotować na czekające mnie przesłuchanie.

W wieczór poprzedzający wizytę na posterunku zjedliśmy kolację w przyczepie i chwilę pograliśmy w karty. Potem Louise odprowadziła mnie na pomost.

– Jutro jadę z tobą – oznajmiła.

– Nie – odparłem krótko.

Żadne z nas nie powiedziało nic więcej.

Tej nocy zwyciężyło zmęczenie i spałem ciężkim, kamiennym snem. Tuż przed zaśnięciem uświadomiłem sobie, że od paru dni nie kapałem się w morzu. Wprawilo mnie to w zły nastrój.

Kiedy nazajutrz wiosłowałem z powrotem na wyspę, nareszcie czułem się wyspany. Ale gdy dotarłem na miejsce, odkryłem ze zdziwieniem, że zniknęła moja łódź z silnikiem. Wciągnąłem łódkę na brzeg, poszedłem do przyczepy i zapukałem do drzwi. Odpowiedziała mi cisza. Wszedłem do środka. Łóżko było zasłane, zniknął plecak Louise. Nie zostawiła żadnej wiadomości.

Zadzwoiłem do niej, ale nie odebrała. Nie mogłem nagrać wiadomości. Wychodząc, zatrzasnąłem drzwi z taką siłą, że poluzowała się jedna listwa na dachu przyczepy. Zostawiłem ją tak, zwisającą luźno, wróciłem na pomost i usiadłem na ławce. Znałem moją córkę na tyle dobrze, by się nie łudzić, że wystarczy poczekać, a ona na pewno wróci na czas, żebym zdążył dotrzeć na przesłuchanie.



Zrobiłem to, co było konieczne. Zadzwoiłem do Janssona. Jak zwykle, odebrał niemal natychmiast, jakby nie robił nic innego, jak tylko czekał na mój telefon z komórką w ręce. Na moment wyobraziłem go sobie jako rozżłoszczonego, kęsającego węża.

– Z moją łodzią jest wszystko w porządku, ale i tak potrzebuję podwózki do portu – powiedziałem.

– Kiedy?

– Teraz.

– Już płynę.

– Dziękuję.

Rozłączyłem się, zanim Jansson zdążył zapytać, dlaczego nie mogę popłynąć swoją łodzią.

Wróciłem do przyczepy, żeby się przebrać. Oderwałem zwisającą nad drzwiami listwę i cisnąłem ją w trawę. Po chwili przetrząsania ubrań wybrałem najmniej brudną chińską koszulę, a potem przejrzałem wszystkie kąty w nadziei, że Louise zostawiła butelkę wódki albo jakiegoś wina. Nic nie znalazłem.

Zszedłem z powrotem na pomost, usiadłem na ławce i czekałem na Janssona. Zjawił się po dokładnie dwudziestu sześciu minutach od naszej rozmowy. Oczywiście zauważył, że moja łódź zniknęła, ale o nic nie pytał.

Przemknęło mi przez myśl, że może widzi się teraz w roli konwojenta, bo przecież wiedział, że wybieram się na przesłuchanie.

Dopłynęliśmy do portu, nie zamieniwszy ani jednego słowa. Jansson nie chciał przyjąć zapłaty. Wsunąłem banknot stukoronowy pod leżącą na pokładzie przynętę na szczupaka i zszedłem na brzeg, nie informując go, czy będę potrzebował transportu z powrotem na wyspę, kiedy policja skończy mnie przesłuchiwać.

Nordin stał przed sklepem i czyścił witrynę zabrudzoną przez mewy. Przywitaliśmy się. Z jakiegoś powodu byłem przekonany, że on też wie, dokąd się wybieram.

Oddaliwszy się kawałek od nabrzeża, przystanąłem na chwilę i rozejrzałem się po opustoszałym porcie. Nigdzie nie dostrzegłem mojej łodzi. Zdziwiła mnie ta niezapowiedziana wyprawa Louise. Może powinienem się martwić? Szybko odegnałem tę myśl. Moja

córka nie należała do osób, które bez potrzeby narażają się na niebezpieczeństwo.

Wyglądało na to, że Oslovskiej nie ma w domu. Zastłony były zaciągnięte, w obejściu żadnych oznak życia. Wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Znów musiałem ostro zahamować z powodu lisa, który przebiegł tuż przed maską mojego auta. Wystraszyłem się, ale kiedy uspokoiło się kołatanie serca, postanowiłem ze złością, że następnym razem, kiedy zobaczę na drodze lisa, przyspieszę, żeby go zabić. Lis zmierzał na Golgotę, nawet o tym nie wiedząc.

Dotarcie do miasteczka zajęło mi godzinę. Mniej więcej w połowie drogi znajdowała się mała, niepozorna kawiarenka, w której zwykle się zatrzymywałem. Była tam, odkąd pamiętałem, bywałem w niej jeszcze w dzieciństwie. Gości obsługiwała wówczas kobieta o ustach mocno umalowanych na czerwono. Mówiła prawie niezrozumiałym dla mnie dialektem. Wraz ze wspomnieniem tej postaci stawały mi przed oczyma szklanka lemoniady i talerz z bezami. Teraz piłem kawę i przeżuwałem suche ciastko z masą migdałową. Widocznie w całej okolicy dopadła te ciastka jakaś zaraza.

Byłem jedynym gościem w całym lokalu, ale rozglądając się wokół, wyobrażałem sobie siebie w różnym wieku, siedzącego przy różnych stolikach. Samotność doskwiera szczególnie, kiedy jest się otoczonym pustymi stołami i krzesłami.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka weszła starsza kobieta z chodzikiem. Mocowała się z nim chwilę w drzwiach. Od razu pomyślałem o Harriet i ujrzałem ją stojącą na lodzie u brzegu mojej wyspy. Z trudem przychodziło mi wyobrażenie sobie siebie samego z podobnym balkonikiem. Poczułem strach na samą myśl i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Czy będę chciał dalej żyć, jeśli nogi odmówią mi posłuszeństwa?

Kobieta zamówiła drożdżówkę cynamonową i szklankę wody. Kelnerka pomogła jej zanieść tackę do stolika. Staruszka miała słaby wzrok. Widziałem, jak szuka dłońmi krawędzi stołu i oparcia krzesła.

Byłem ciekaw, co sobie teraz myśli. Patrząc na nią, miałem wrażenie, że mam przed sobą człowieka, którego powoli wciąga już ziemia. Staruszka stawała się coraz bardziej ażurowa, mniej wyraźna i wkrótce miała zupełnie zniknąć.

Poprosiłem kelnerkę o papierowy kubek, przelałem do niego resztę mojej kawy i wyszedłem z kawiarni. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z policją, poza drobnym incydentem, kiedy zgłaszałem szkodę, po tym jak ktoś doprowadził do stłuczki z moim samochodem. Teraz byłem podejrzanym w sprawie o podpalenie własnego domu. Byłem niewinny, ale nie wiedziałem, do jakich wniosków doszła policja.

Wsiadłem do auta i głośno przyznałem się sam przed sobą, że się boję. Mój samochód stał się konfesjonalem.

Posterunek mieścił się w nowo wybudowanym budynku z czerwonej cegły. Wszedłem do małego holu. Za kuloodporną, jak podejrzewałem, szybą siedziała funkcjonariuszka ubrana po cywilnemu. Przedstawiłem się i podałem nazwisko komisarza, który wezwał mnie na przesłuchanie. Kobieta wystukała jakiś numer wewnętrzny i po chwili rzuciła krótko do słuchawki:

– Przyszedł.

Kilka minut później w szklanych drzwiach wiodących w głąb budynku pojawił się młody mężczyzna. On też nie miał na sobie munduru. Podał mi rękę na powitanie.

– Månsson – przedstawił się.

Miał pewny uścisk, ale szybko cofnął dłoń, jakby się obawiał, że mógłby zastygnąć w pozie z wyciągniętą ręką. Podążyłem za nim korytarzem. W jednym z mijanych pokoi nareszcie ujrzałem policjanta w mundurze. Poczujęm się przez to bezpieczniej. W moim świecie policjanci mają na sobie mundury i pałki u pasa.

Månsson miał nie więcej niż trzydzieści lat. Nie znałem się na tym, ale podejrzewałem, że jest modnie ubrany. Z jakiegoś powodu, nie wykluczałem, że było to właśnie podyktowane najnowszą modą, miał skarpetki w różnych kolorach.

Weszliśmy do małego pokoju konferencyjnego. Przy oknie stał jeszcze jeden policjant, również ubrany po cywilnemu. W zmyśleniu dłubał palcem w doniczce z zasuszoną rośliną. Wyglądał na trochę

starszego niż Månsson, ale i tak miał najwyżej trzydzieści pięć lat. Nie podał mi ręki, tylko skinął głową i się przedstawił. Miał na nazwisko Brenne.

Usiedliśmy przy stole. Był brązowy, a krzesła ciemnozielone. Na środku blatu stał aparat przypominający magnetofon. Brenne włączył go, ale to Månsson rozpoczął przesłuchanie.

Żałowałem, że nie zabrałem mojego jojo. Nie po to, żeby się popisać i wzbudzić niepewność u funkcjonariuszy, ale by trochę uspokoić nerwy. Ta zabawka w ręce pomogłaby mi bardziej niż najlepszy adwokat.

Månsson zerknął na leżącą przed nim teczkę z jakimiś papierami. Mówiąc, patrzył przed siebie, ale wyraźnie kierował słowa do aparatu nagrywającego tę rozmowę. Miałem wrażenie, że już teraz jest zmęczony i znużony tym, co dopiero rozpoczynaliśmy.

– Rozpoczynam przesłuchanie Fredrika Welina. Jest godzina jedenasta czterdzieści pięć. Oprócz przesłuchiwanego na sali są obecni komisarz Brenne i komisarz Månsson, prowadzący przesłuchanie.

Na moment odwrócił się w moją stronę, a potem mówił dalej.

– Został pan wezwany na dzisiejsze przesłuchanie w związku z faktem całkowitego spalenia pańskiego domu. Czy wie pan, dlaczego tu jest?

– Nie, nie wiem – odparłem. – Ale to prawda, że spłonął mój dom. Straciłem cały dobytek. Musiałem sobie kupić nawet ubranie, które mam teraz na sobie. Wyprodukowano je w Chinach i jest bardzo złej jakości.

Månsson i Brenne spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. Nie spodziewali się takiego komentarza.

– Analiza materiałów pobranych z miejsca zdarzenia nie wykazała żadnej naturalnej przyczyny pożaru – mówił dalej Månsson. – Wręcz przeciwnie. Dowody wskazują na to, że pożar wybuchł jednocześnie w czterech miejscach, pod narożnikami budynku. W związku z tym pojawiło się podejrzenie, że ogień został podłożony.

– Rozumiem to – powiedziałem. – Ale ja tego nie zrobiłem.

– Czy jest ktoś, kogo pan podejrzewa o to podpalenie?

– Nie mam wrogów. Nie ma też nikogo, kto zyskałby finansowo na tym, że spłonął mój dom.

– Czy nieruchomość była ubezpieczona?

– Tak.

Dalsza część przesłuchania przebiegła w podobnym stylu, zgodnie z moimi przewidywaniami. Policja nie miała żadnych dowodów na to, że sam podpaliłem dom. Opierali się wyłącznie na fakcie, że nie znaleziono innego wyjaśnienia.

Brenne odezwał się tylko raz, proponując mi kawę. Odmówiłem. Wszedł na chwilę i niedługo wrócił z dwoma kubkami, dla siebie i Månssona.

Månsson ponownie włączył aparat do nagrywania. Wciąż rozmyślałem o tym, że brakuje mi mojego jojo. Pytania stawiane mi przez komisarza krążyły wokół tych samych faktów, począwszy od tego, o której godzinie położyłem się spać, o której wybiegłem z płonącego budynku i czy na pewno nie przychodzi mi do głowy nikt, kto życzy mi śmierci w płomieniach. Ponownie podałem im godziny i powtarzałem w kółko, że nie mam żadnych wrogów.

W końcu mnie to zmęczyło.

– Wiem, że podejrzewacie mnie o podpalenie własnego domu, ale powtarzam raz jeszcze, że to błędny trop. Nie mam pojęcia, kto podłożył ogień i komu mogło zależeć na tym, żebym został ranny albo wręcz zginął. Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

Månsson przyglądał mi się dłuższą chwilę w milczeniu. Potem przemówił do mikrofonu, oznajmiając, że niniejszym przesłuchanie zostaje zakończone, i wyłączył aparat.

– Jeszcze się do pana odezwiemy – powiedział, wstając i poprawiając różowy krawat.

Brenne dalej się nie odzywał. Wstał i wrócił na swoje miejsce przy oknie, do doniczki z uschniętą rośliną.

Månsson odprowadził mnie do recepcji. Wychodząc z posterunku, poczułem ogromną ulgę. Zostawiłem samochód pod budynkiem i poszedłem do znajdującej się nieopodal galerii handlowej. Trafiłem na wyprzedaż w jednym ze sklepów z odzieżą i kupiłem tam sporo ubrań, uprzednio dokładnie sprawdziwszy, czy nie uszyto ich

w Chinach. Potem zjadłem lunch we włoskiej restauracyjce. Jedzenie było niesmaczne.

Dłubiąc w talerzu, pomyślałem sobie, że taki posiłek mógłby zostać przyrządzony przez Brennego i Månssona. Było w nim więcej znużenia i wyczerpania niż czegokolwiek innego.

Po jedzeniu poszedłem prosto do sklepu monopolowego i kupiłem dwie butelki wódki. Potem wróciłem do samochodu i wyjechałem z miasta. Kiedy odjeżdżałem spod posterunku, dwie funkcjonariuszki prowadziły pijaną prawie do nieprzytomności kobietę. Jedna była podobna do Lisy Modin. I to do tego stopnia, iż w pierwszej chwili pomyślałem, że to naprawdę ona. Potem jednak dostrzegłem, że ma szczuplejszą twarz, w dodatku całą obsypaną piegami.

Ruszyłem w powrotną drogę do portu. Jadąc, ponownie spróbowałem dodzwonić się do Louise. Tym razem mogłem nagrać wiadomość.

– Gdzie ty się u diabła podziewasz? Musiałem popłynąć wpław do portu, żeby zdążyć na przesłuchanie.

Nie dołączyłem prośby, żeby mnie odebrała. Po chwili zadzwoniłem do niej po raz drugi i nagrałem drugą wiadomość.

– Zostałem napadnięty. Prawdopodobnie stracę wzrok w lewym oku.

Krajobraz za szybą mojego samochodu pełen był pięknych jesiennych kolorów. Podziwiając je, jednocześnie czułem niepewność. Do niedawna zmieniające się pory roku nie miały na mnie większego wpływu, jednak w ostatnich latach ciemność i chłód napełniały mnie coraz większą obawą.

Zatrzymałem się, dotarwszy do miasteczka, w którym wcześniej kupiłem chińskie koszule. Sklep z obuwem był zamknięty, a po spożywczym snuli się nieliczni klienci. Włożyłem do koszyka kilka produktów, które przed jedzeniem nie wymagały ugotowania ani żadnej poważniejszej obróbki. Można je było zjeść na zimno.

Niosąc zakupy do samochodu, rozważałem przez chwilę, czy zapytać kogoś o adres Lisy Modin. Kusiło mnie, żeby to zrobić, ale rozmyśliłem się, wsiadłem do auta i pojechałem do portu. Była trzecia po południu. Droga przecinająca rozliczne pagórki ciągnęła się przez gęsty las. Tylko tu i ówdzie prześwitywały jakieś jeziora,

aż w końcu między ciemnymi pniami drzew dała się dostrzec lśniąca tafla morza. Gdybym nie znał tej okolicy, mógłbym pomyśleć, że las ciągnie się w nieskończoność.

Od szosy odbijało niewiele pomniejszych drózek. Właściwie prawdziwą drogą można było nazwać tylko jedną z nich, wiodącą prosto na północ. Drogowskaz, niewyraźny, widocznie nigdy nie myty, wskazywał miejscowość o nazwie Hörum. Znajdowała się w odległości siedmiu kilometrów od zjazdu. Mijałem ten drogowskaz przez całe życie, pamiętałem go jeszcze z czasów dzieciństwa, ale nigdy nie miałem powodu, by się tam udać. Teraz też go nie miałem, ale mimo to skręciłem w dróżkę, zaskakując tym samego siebie. Podjąłem tę decyzję tak nagle, że nawet nie zdążyłem przyhamować. Gruz wystrzelił spod opon. Niewiele brakowało, a wypadłbym z zakrętu i wjechał prosto w las.

Jechałem do Hörum, nie mając pojęcia, po co to robię. Kiedy byłem małym chłopcem, zdarzało mi się marzyć o niekończącej się drodze prowadzącej tylko na wprost, nieustannie przed siebie. Teraz tamto uczucie wróciło. Hörum było nazwą miejsca, które nie istnieje. Zwolniłem trochę, ale nie zawróciłem. Wyglądało na to, że w końcu odbędę tę wymarzoną podróż w nieznane.

Zatrzymałem się i zgasilem silnik. Potem ostrożnie otworzyłem drzwi, jakby w obawie, że komuś tym przeszkodzę. Na zewnątrz panowała zupełna cisza. Wiatr nie przemykał między czubkami gęsto rosnących drzew. Nie wiem, jak długo stałem w miejscu. Wiem tylko, że zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że niedługo przestanę istnieć. Pozostała mi już tylko starość. Ale w końcu i ona dobiegnie końca, a potem nie będzie już nic.

Kiedy otworzyłem oczy, poczułem pewność, że powinienem zawrócić. Mimo to wsiadłem do samochodu i ruszyłem dalej przed siebie.

Za ostrym wzniesieniem las zaczynał powoli rzednąć. Tu i tam przy drodze pojawiał się jakiś dom. Niektóre wyglądały na opuszczone i zaniedbane, w innych chyba wciąż mieszkali ludzie. Ponownie zatrzymałem samochód i wysiadłem. Wokół nie było żywego ducha, do moich uszu nie dochodził też żaden dźwięk. Dostrzegłem, że las otaczający zabudowania zaczynał już na nie

powoli wchodzić. Zarastał zardzewiałe narzędzia i przydomowe trawniki. Nagle przeleciał mi przed nosem spóźniony jesienny trzmiel. Dwa domy, które uznałem za wciąż zamieszkałe, miały w oknach firanki i stały w centrum tej małej wioski. Jedna ze skrzynek na listy miała uniesioną klapkę. Wystawała z niej mokra, nadgnita gazeta. Udało mi się odczytać, że to wydanie sprzed trzech tygodni. Był to lokalny dziennik z sensacyjną wówczas informacją o zajeżdżonym na śmierć wyścigowym kłusaku. Dziennik, w którym pracowała Lisa Modin.

Była więc gazeta, ale wokół żadnych ludzi. Nie zauważyłem też, by poruszyła się jakaś firanka, jak w oknie u Oslovskiej. Nikt mnie nie obserwował, nikogo nie interesowało, kim jestem i co tutaj robię. Na samym skraju wsi stał najbardziej zapuszczony dom. Miał całkiem zarośniętą furtkę. Otwartą zresztą i zwisającą bezwładnie nad ciągnącym się przed płotem rowem. Przekroczyłem bramkę i powoli szedłem w stronę domu. Przy ścieżce, pod krzakiem stały zbutwiałe sanki. Drzwi wiodące do zabudowanego ganka były uchylone, więc ostrożnie wszedłem do środka. Dom był pusty, nie licząc przewróconego, połamanego stołu. Ze ścian zwisały strzępy tapet. Nigdzie nie dostrzegłem śladów dawnych mieszkańców. Na schodach wiodących na piętro leżała martwa mysz. Miałem wrażenie, że znalazłem się w sarkofagu, który czeka na moment, aż zawałą się jego ściany, raz na zawsze grzebiąc wszystko, co tu kiedyś było.

Wszedłszy na górę, zauważyłem, że w jednym z pokoi zawalił się sufit. Podłoga zgniła od deszczu.

Ale mimo to w rogu stało łóżko.

Zamarłem na jego widok, bo było posłane pościelą, która wyglądała na świeżą. Była czysta, wyprasowana, być może nawet nikt jej jeszcze nie użył.

Zajrzałem do pozostałych trzech pokoi, ale były puste. Zasłane łóżko stało tylko w tym jednym i to akurat w tym, do którego przez dach lała się woda.

Za zwisającym płatem tapety dostrzegłem warstwę gazet, których używano kiedyś do izolacji ścian. Oderwałem jedną kartkę. Widniała na niej data 12 maja 1934 roku. Przeczytałem informację o śmierci



właściciela jakiegoś gospodarstwa, który urodził się w 1852 roku. Kazanie na pogrzebie wygłosił pastor Johannes Wiman. Znalazłem też ogłoszenie o sprzedaży żniwiarki i reklamę książki opublikowanej przez Wydawnictwo Svea, której autor „z powagą analizuje kwestię żydowską”. Cena książki to trzy korony. Gwarantowano szybką wysyłkę.

Papier był wyschnięty i chropowaty, rozsypywał się w palcach.

Byłem ciekaw, kto posłał to łóżko. Zastanawiałem się nad tym, wychodząc z domu.

Wsiadłem do samochodu i wróciłem na główną drogę.

Kiedy zajechałem pod dom Oslovskiej, usłyszałem stukanie młotka. Drzwi do garażu były otwarte na oścież. Kiedy wszedłem do środka, Oslovska gwałtownie się odwróciła. Znów dostrzegłem w jej oczach strach, ale gdy się zorientowała, że to ja, natychmiast się uspokoiła. Trzymała w rękach zderzak.

Tego samego dnia, w którym Oslovska wprowadziła się do tego domu, przyjechała laweta ze zdezelowanym zabytkowym samochodem. Nordin, który przyglądał się tej scenie, opowiadał później z podekscytowaniem, że w okolicy zamieszkała dziwna kobieta, która interesuje się samochodami.

Teraz, po wielu latach, wiedziałem już, że auto stojące w garażu Oslovskiej to czterodrzwiowy DeSoto Fireflite Sedan z 1958 roku. Jego właścicielka stopniowo przerabiała zrujnowany pojazd w błyszczącego weterana szos. I choć nigdy o to nie pytałem, Oslovska wytłumaczyła mi, że silnik ma 305 koni mechanicznych i kompresję 10:1. Oczywiście nic z tego nie zrozumiałem. Tak samo jak nie pojąłem nic z tego, że opony są marki Goodyear i w rozmiarze 8×14.

Widziałem jednak, z jaką pasją ta niezwykła kobieta zajmuje się samochodem. Często wyjeżdżała, a potem wracała z częściami zamiennymi, znalezionymi pewnie na jakimś złomowisku.

– To nowe znalezisko? – zapytałem i skinąłem głową na zderzak.

– Szukałam go po złomowiskach przez cztery lata – odparła. – I w końcu znalazłam go w Gamleby.

– Dużo części ci jeszcze brakuje?

– Zostało już tylko sprzęgło. Będę pewnie musiała pojechać na północ Szwecji, żeby znaleźć coś pasującego.

– Nie możesz dać ogłoszenia w gazecie?

– Chcę zdobywać części osobiście. Wiem, że to głupie, ale tak postanowiłam i nic na to nie poradzę.

Pokiwałem głową i wyszedłem z garażu. Oddalwszy się zaledwie o parę kroków, znowu usłyszałem za plecami wściekłe walenie młotkiem. Zastanowiłem się, czy i ja zdołam znaleźć metaforyczny stary samochód, który nada mojemu życiu jakiś sens. Może dlatego spalił się mój dom? Może moim nowym życiowym zadaniem jest zbudowanie nowego?

Kiedy wróciłem z zakupami do portu, spostrzegłem, że przed sklepem Nordina stoi karetka. Po chwili ujrzałem, jak ratownicy niosą go na noszach. Postawiłem siatki na ziemi i podbiegłem. Nordin leżał z zamkniętymi oczami, usta i nos zasłaniała mu maska z tlenem. Ratownicy byli bardzo młodzi.

– Jestem lekarzem – powiedziałem. – To mój znajomy. Co się stało? Głowa czy serce?

Młody chłopak, piegowaty i z pryszczami wokół nosa, posłał mi nieufne spojrzenie.

– Jestem lekarzem – powtórzyłem głośniej.

– Raczej głowa – powiedział. Właściwie był jeszcze dzieckiem.

– Kto was wezwał?

– Nie mam pojęcia.

Kiwnąłem głową i cofnąłem się o parę kroków. Przemknęło mi przez myśl, że powinienem był pojechać z Nordinem do szpitala, ale kiedy drzwi karetki się zatrzasnęły, stałem bez ruchu i patrzyłem, jak odjeżdża.

Otaczało mnie zbyt wiele śmierci i cierpienia. Czyżby Nordin tak mocno przeżył bezczelne zachowanie mojej córki, że dostał wylewu?

Weronika przybiegła z kawiarni i zapytała mnie, co się stało. Powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem.

– Dlaczego pan z nimi nie pojechał? – Spojrzała na mnie z wyrzutem. – Przecież jest pan lekarzem.

Nie miałem dla niej żadnej sensownej odpowiedzi, ale wyglądało na to, że dziewczyna myśli już o czymś całkiem innym.

– Pójdę zadzwonić do jego rodziny – powiedziała. – Ktoś musi zamknąć sklep. Poza tym muszą wiedzieć, co się z nim dzieje.

Usłyszeliśmy syreny karetki, chociaż odjechała już spory kawałek. Staliśmy długą chwilę w milczeniu, oboje poruszeni tym, co się stało. Potem Weronika wróciła do kawiarni, a ja pozbierałem siatki i postawiłem je pod daszkiem budki, w której latem sprzedawano letnikom wędzone ryby.

Wolnym krokiem poszedłem na pirs. Zaczęło lekko mżyć. Postawiłem kilka kroków znanego mi tańca, żeby zająć czymś myśli i otrząsnąć się z dziwnego uczucia, które pozostawił we mnie opuszczony dom, a potem to, co spotkało Nordina.

Zadzwoiłem do Janssona. Odebrał po drugim sygnale. Oczywiście zgodził się przyplłynąć i odwiedzić mnie do domu.

Czekałem pod daszkiem z moimi siatkami. Czułem delikatny zapach lata i wędzonej ryby.

Nie zdążyłem jeszcze postawić siatek na pokładzie, a Jansson już mnie zapytał, co się stało z Nordinem. Nie miałem pojęcia, jakim sposobem zdążył się już o tym dowiedzieć. Była to jedna z zagadek dotyczących tego człowieka, które na zawsze pozostaną dla mnie niewyjaśnione. Jansson był jak telefonistka, która łączy rozmowy i jednocześnie może je podsłuchiwać.

– To chyba wylew – powiedziałem. – Nie mam pewności.

– Czy on umrze?

– Miejmy nadzieję, że nie. Czy możemy już ruszyć?

W głębi ducha wiedziałem, że Jansson się mnie boi. Właściwie nie tylko mnie, lecz także wszystkich innych ludzi. Dlatego zawsze był taki usłużny i zjawiał się o każdej porze. Robił to z obawy, że popadnie w niełaskę. Bał się, że wszystkim się znudzi i ludzie przestaną do niego dzwonić, kiedy będą potrzebowali pomocy.

Teraz też zauważyłem u niego ten lęk. Skulił się trochę, jakbym go spoliczkował. Włączył silnik i zaczął się wycofywać z portu. Trochę za szybko, jakby w obawie, że okażę zniecierpliwienie.

Zwykle po tym, jak zachowałem się wobec kogoś oschle, odczuwałem wyrzuty sumienia. Jednak teraz zauważyłem ze zdziwieniem, że czuję satysfakcję z powodu tego, że napędziłem Janssonowi stracha. Dałem mu do zrozumienia, że nie podoba mi się jego nadgorliwa służalczość. Drażniła mnie do tego stopnia, że zaczynałem okazywać zniecierpliwienie. Wielokrotnie, kiedy Jansson skarżył się na swoje wyimaginowane dolegliwości, kusiło mnie, by mu powiedzieć, że cierpi na śmiertelną chorobę. Mimo to do tej pory tego nie zrobiłem. Ale teraz, płynąc do domu jego łodzią, doszedłem do wniosku, że być może przyszedł najwyższy czas, żeby go porządnie nastraszyć. Kiedy położy się na ławce przy moim pomoście i pozwoli się zbadać rękami lekarza, będącym dla niego największą świętością, wypowiem straszną diagnozę.

Po drodze mineliśmy dużą łódź straży przybrzeżnej, wracającą do portu po patrolu. Wydawało mi się, że za sterami w zamkniętym kokpicie stoi Alma Hamrén. Moje siatki z zakupami przewracały się, kiedy wpłynęliśmy na fale powstałą po przepłynięciu jednostki.

Wkrótce po tym zerwał się wiatr. Jansson naciągnął wełnianą czapkę na uszy. Stojąc tak za sterami wyglądał jak wielki zmarznięty zwierz. Tymczasem ja próbowałem przygotować się na spotkanie z córką, o ile wróciła na wyspę. Najważniejsze, żebym się nie zdenerwował. Nie miałem siły nawet sobie wyobrazić, że moglibyśmy krążyć wokół siebie ze złością w oczach, jak dwoje ludzi, którzy nie chcą mieć ze sobą do czynienia.

Nie wiedziałem, czy wolałbym w tej chwili być sam, czy też życzyłbym sobie, żeby Louise jeszcze na trochę została. Nie umiałem się zdecydować.

Siedziałem przodem do dziobu i patrzyłem w kierunku, w którym płynęliśmy. Wiatr smagał mi twarz. Nagle dostrzegłem w wodzie jakiś ciemny kształt. Jeśli był to pień drzewa, mogliśmy ulec wypadkowi, więc zamachałem do Janssona, dając mu znak, żeby odbił w prawo. Źle mnie zrozumiał i zamiast skrócić, przyspieszył.

– Coś jest w wodzie przed nami! – zawołałem.

Jansson odbił w bok i zwolnił. Po chwili zauważył ten sam ciemny kształt. Wciąż nie wiedzieliśmy, co to takiego. Jansson stanął w rozkroku, postawił jedną stopę na sterze, a rękami sięgnął po bosak. Przez długie lata pracy jako listonosz widział w tych wodach niejedno. Raz natknął się na wpół zgniłe ludzkie zwłoki, których nie dało się już zidentyfikować. Po tamtym zdarzeniu zjawiał się w mojej małej prywatnej klinice, położył się na ławce i oznajmił, że nie może spać. Zwierzył mi się, że dręczy go myśl, iż te znalezione zwłoki zostały do połowy zjedzone, a ponieważ w Bałtyku nie ma żadnych potworów ludojadów, zaczął sobie wyobrazać, że były to resztki po posiłku jakiegoś kanibala.

Teraz, kiedy podpłynęliśmy jeszcze trochę bliżej, okazało się, że tajemniczy ciemny kształt to martwa foka. Nie kłoda, ale spory okaz dorosłej foki szarej. Cuchnęło od niej rozkładem i miała wydziobane oczy. Jansson poruszył ją bosakiem. Obaj oddychaliśmy przez usta, żeby nie czuć smrodu.

– Ktoś ją zastrzelił – oznajmił. – Ze strzelby.

Końcówką bosaka pokazał mi dziurę w tyle głowy zwierzęcia.

– Co za skurwysyństwo – oburzył się. – Ktoś zabił ją dla zabawy, a potem tak zostawił.

– Zostawmy ją – powiedziałem. – Jest martwa, już nic na to nie poradzimy.

– Powinniśmy ją zabrać na ląd i pochować. Nie może tak dryfować i śmierdzieć.

– Wrócisz sobie po nią, ale najpierw mnie odwieź.

Ostatnie zdania wypowiedziałem podniesionym głosem i odwróciłem wzrok, żeby nie patrzeć na Janssona.

Nie odezwał się, tylko zwiększył prędkość i popłynęliśmy dalej.

Kiedy wpłynęliśmy do mojej zatoki, zobaczyłem, że wciąż nie ma mojej łodzi. Louise nie wróciła. Nie umknęło to również uwadze Janssona.

– Twojej łodzi nie było już wcześniej, kiedy cię odbierałem – powiedział.

– Louise miała parę spraw do załatwienia.

W pośpiechu wyładowałem siatki, a potem zapłaciłem Janssonowi dwieście koron, zanim zdążył zaprotestować. Wsunąłem banknoty pod czerpak, żeby nie porwał ich wiatr. Potem przyglądałem się przez chwilę, jak odbija tyłem od pomostu i powoli odpływa. Byłem pewien, że wróci po tę śmierdzącą fokę. Pomachałem mu jeszcze na pożegnanie i wniosłem siatki do szopy.

Porywy wiatru niosły ze sobą przelotny deszcz. Odczekałem chwilę i kiedy przestało padać, poszedłem do przyczepy. Louise raczej nie było tutaj w ciągu dnia. Wszystko wyglądało tak, jak tuż przed moim wyjściem, kiedy zmieniłem ubranie.

Usiadłem na skraju łóżka i zadzwoniłem do biura numerów, żeby poprosić o telefon do kawiarni Weroniki. Potem od razu wystukałem ten numer, ale czekałem dłuższą chwilę, nim wreszcie odebrała. W tle było słyhać gwar, jakby w lokalu siedziało wielu gości, chociaż było dopiero popołudnie. Weronika sprawiała wrażenie zabieganej.

Zapytałem ją, czy skontaktowała się z rodziną Nordina. Potwierdziła. Udało jej się dowiedzieć, że Nordin miał ciężki wylew

i lekarze wciąż nie umieli orzec, jak to się skończy. zaproponowała, że poda mi telefon do szpitala, żebym sam mógł się czegoś dowiedzieć. Sięgnąłem po długopis i zanotowałem numer na marginesie gazetki o zdrowym odżywianiu, którą przywiozła ze sobą Louise.

– Słyszę, że masz dużo pracy – powiedziałem.

– Tak, odbywa się tu dziwne przyjęcie – odparła.

– Dlaczego „dziwne”?

– Jakaś dziewczyna wygrała na loterii i przez dwadzieścia pięć lat będzie dostawała dwadzieścia pięć tysięcy koron miesięcznie. Zaprosiła wszystkich swoich znajomych i świętują teraz, w samym środku dnia. Dla mojej kawiarni to poważny zarobek.

– Czy to ktoś, kogo znam?

– Wątpię. Nazywa się Rebecka Karlsson. Ma dwadzieścia dwa lata i jeszcze nigdy nie pracowała. Nie poszła nawet na studia. Do tej pory mieszkała z rodzicami. Jej ojciec jest ślusarzem, a matka pracuje jako opiekunka w domu starców. To skandal, że ktoś taki wygrywa tyle pieniędzy.

Zgodziłem się z Weroniką i zakończyłem rozmowę. Wyszedłem z przyczepy i spojrzałem na upiorne ruiny mojego domu, skąpane w matowym świetle popołudnia.

Nagle dostrzegłem, że coś zwisa z gałęzi osmalonej jabłoni. Podszedłem bliżej i zorientowałem się, że to wiadomość zostawiona przez Louise. Na kartce widniało jedno słowo, skreślone tym samym długopisem, którym przed momentem zanotowałem numer do szpitala.

„Góra!”.

Nic więcej. Tylko to jedno słowo. Rozejrzałem się wokół, bo przyszło mi do głowy, że być może i na innych drzewach wiszą jakieś kartki, ale nic więcej nie znalazłem. Podejrzywałem, że najważniejszą wiadomością jest wykrzyknik na końcu wyrazu. Louise kazała mi wejść na wzniesienie, na którym stała ławka moich dziadków. Na wyspie nie było niczego innego, co można było określić mianem „góry”.

Wszedłszy na szczyt pagórka, rozejrzałem się za kolejnymi wskazówkami, ale nie było tam nic oprócz rozpadającej się starej

ławki i powykrecanego na wietrze jałowca. Usiadłem i zastanowiłem się, czy dobrze odczytałem wiadomość. A może Louise chodziło właśnie o to, żebym usiadł na ławce i tracił czas na rozmyślanie o czymś pozbawionym sensu?

Jednak po chwili, wpatrując się w morze, zrozumiałem dlaczego kazała mi tutaj przyjść. Na wysepce bez nazwy, blisko miejsca, w którym rozbiłem namiot, była zacumowana moja łódź.

Poszedłem do przyczepy po lornetkę i kiedy wróciłem i spojrzałem w stronę wysepki, dostrzegłem tam również Louise. Siedziała na dużym kamieniu po wschodniej stronie, plecami do mnie. Wpatrywała się w morze. Patrzyłem na nią długo, aż od trzymania lornetki rozboleły mnie ręce i zaczęły się trząść.

Zrobiło się zimno i powrócił deszcz. Nie rozumiałem mojej córki, ale miałem świadomość, że i ona nie rozumie mnie. Mimo że oboje bardzo się staraliśmy, byliśmy skazani na brak porozumienia.

Wróciłem do przyczepy, włączyłem światło i podłączyłem telefon do ładowarki. Próbowałem odgadnąć, o co chodzi Louise. Powoli zapadał już zmierzch, więc wziąłem latarkę i zszedłem na pomost. Dostrzegłem, że na wysepce płonie małe ognisko, ale Louise chowała się w cieniu. Było już za ciemno, bym dostrzegł ją przez lornetkę. Celowo skrywała się w ciemności, jakby bawiła się ze mną w kotka i myszkę.

Dobrze wie, że tu jestem, pomyślałem. Musiała słyszeć warkot silnika w łodzi Janssona. I pewnie myśli sobie teraz, że siedzę na ławce na pagórku i się jej przyglądam.

W jednej chwili poczułem ogromne zmęczenie. Z czasów młodości pamiętałem inny rodzaj zmęczenia, ten, który dopadał mnie po długim dniu pracy albo nocnym dyżurze. Teraz odczuwałem coś innego. Z trudem podniosłem się z ławki i powlokłem się z powrotem do przyczepy. Podgrzałem sobie jedzenie z puszki. Było za słone i miało posmak metalu. Mimo to zjadłem wszystko do końca, a potem od razu się położyłem.

Gdy się zbudziłem, przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Sen trzymał się mnie kurczowo, nie chciał puścić. Śniłem, że stoję na pomoście i patrzę, jak Harriet płynie w stronę brzegu. Ale nie patrzyłem na morze, tylko na leśne jeziorko w lesie północnej



Norrandii. Dawno temu obiecałem Harriet, że ją tam zabiorę. Zdążyłem dotrzymać słowa krótko przed jej śmiercią. Jednak w moim śnie drzewa wokół jeziora nie szumiały łagodnie, ale wydawały z siebie przeciągłe wycie, jakby jazgot tysiąca maszyn, od którego pękały mi bębenki w uszach.

Usiadłem na łóżku. Była dziesiąta wieczorem. Przespałem wiele godzin, ale Louise wciąż nie wróciła. Zadzwoiłem do niej, ale nie odebrała. Zacząłem nagrywać wiadomość, jednak w trakcie rozmyśliłem się i przerwałem po paru słowach. Czułem, że to bez sensu. Potem ugotowałem kawę i wypłem ją, kiedy była jeszcze bardzo gorąca. Wiatr i deszcz wzmogły się jeszcze bardziej. Wróciłem do łóżka i zamknąłem oczy. Miałem ochotę ponownie zasnąć.

Po chwili wstałem, zabrałem latarkę i wyszedłem na deszcz. Mokry mech na skałach był bardzo śliski i schodząc do pomostu, dwukrotnie upadłem. Spojrzałem w stronę wysepki, ale ognisko już nie płonęło. Pewnie zgasił je deszcz. Nie widziałem nic poza ciemnością.

Wyglądało na to, że Louise postanowiła spędzić tam noc. Oddała mi swoją przyczepę i wyprowadziła się do namiotu.

Mokre włosy lepiły mi się do czoła. Mrugnąłem kilka razy latarką, ale oczywiście nie otrzymałem odpowiedzi.

Wracając do przyczepy, zastanawiałem się, dlaczego córka zadreżca mnie swoim niezrozumiałym zachowaniem.

Usiadłem przy stole i zacząłem układać pasjansa. Oczywiście nie wyszedł, więc odrzuciłem karty na bok i w tej samej chwili podjąłem ważną decyzję.

Postanowiłem, że nazajutrz rano poproszę Louise, żeby opuściła moje wyspy. Nie chcę jej tutaj.

Potem położyłem się i bezskutecznie próbowałem zasnąć. Poduszka pachniała płynem do prania, którego używała Louise. Przez to nie mogłem przestać się zastanawiać, dlaczego wyniosła się do mojego namiotu.

Raz po raz wstawałem z łóżka i przeglądałem książki i czasopisma, które leżały w przyczepie jeszcze od czasów Harriet.

Tuż przed świtem udało mi się zasnąć na jakąś godzinę. Wstałem, kiedy za oknem zajaśniało światło jesiennego poranka. Wypiłem kubek kawy, wziąłem lornetkę Harriet i wszedłem na pagórek z ławką moich dziadków. Namiot stał na swoim miejscu, był zasunięty, a wokół niego nie działo się nic.

Nie wiedziałem, co robić. Pomyślałem chwilę, a potem zszedłem na pomost, wybrałem czerpakiem wodę z łódki i powiosłowałem w stronę wysepki. Słońce właśnie pojawiło się nad horyzontem. Morze było gładkie jak lustro. To był najchłodniejszy poranek tej jesieni. Gdzieś w oddali powrzaskiwały mewy, zapewne bijąc się o jakąś zdobycz. Może walczyły o rozkładającą się fokę, jeśli Jansson nie wyłowił jej z wody i nie zagrzebał w piasku zmieszanym z uschniętymi wodorostami.

Opłynąłem wysepkę dookoła. I nagle, kiedy już tylko kilka ruchów wiosłem dzieliło mnie od wpłynięcia na płytką wodę przy brzegu, coś pod wodą przykuło mój wzrok. Pierwsze promienie słońca padały na jakiś kształt unoszący się bezwładnie pod powierzchnią wody. Przestałem wiosłować i wychyliłem się za burtę, żeby lepiej widzieć. W pierwszej chwili nie rozumiałem, co mam przed oczami, ale za moment pojąłem, że to strzępy zerwanej sieci rybackiej przygnane tu wiatrem i morskimi prądami. Było w niej trochę martwych ryb, kaczka i wodorosty. Nigdy wcześniej nie widziałem zerwanych sieci, ale kiedy je ujrzałem, pomyślałem o więźniu, który przeskoczył wysoki mur i ucieka, żeby ocalić życie. A może powinienem pomyśleć raczej o psie, który urwał się ze smyczy i pobiegł w nieznaną?

Kiedy słońce zaszło za chmurę, przestałem widzieć sieć. Podpłynąłem do wysepki i starając się nie narobić hałasu, wciągnąłem łódkę na brzeg. Zawiązałem cumę na dużym kamieniu i poszedłem w stronę namiotu. Nie wiedziałem, czy Louise jeszcze śpi, czy też już się obudziła i leży w namiocie. Mogłaby się wystraszyć, słysząc kroki. Nie chciałem tego, choć wciąż byłem na nią zły.

Zbliżywszy się do namiotu, przysiadłem w kucki i przystawiłem ucho do tropiku, ale nie potrafiłem ocenić, czy słyszę jej oddech. Słońce raz wychodziło zza chmur, raz się za nimi chowało. Po chwili

wstałem z kucek i poszedłem do miejsca osłoniętego od wiatru przez dużą skałę, gdzie zwykle paliłem ognisko. Było tam palenisko obłożone osmalonymi kamieniami. Louise wybrała wczoraj inne miejsce, mniej dogodne od tego. Przyniosłem parę gałązek i wyrzuconą na brzeg deskę ze starej skrzynki, ułożyłem to wszystko w palenisku, nakryłem warstwą suchego mchu i podpaliłem zapałką. Wciąż było bezwietrznie, więc dym wystrzelił prosto do nieba.

Usiałem przy ogniu i czekałem. Nie zdecydowałem jeszcze, jak wytłumaczę Louise swoją niezapowiedzianą wizytę.

Po paru chwilach dorzuciłem patyków do ogniska i pospacerowałem po wysepce, żeby się rozgrzać i odpędzić zmęczenie.

Tak minęła godzina, potem prawie dwie.

Wreszcie usłyszałem w namiocie jakiś szelest, a potem dziwny dźwięk. Nie wiedziałem, co się tam dzieje, więc podszedłem i ponownie przytknąłem ucho do tropiku.

Moja córka płakała. Nie widziałem jej płaczącej od śmierci Harriet. Bywała smutna albo w złym nastroju, ale nigdy nie wylewała łez. A przynajmniej nigdy nie robiła tego w mojej obecności.

Zdenerwowałem się, nie miałem pojęcia, jak się zachować. Wróciłem do ogniska i pomyślałem, że powinienem sobie stąd pójść i powiosłować z powrotem na moją wyspę. Nie mogłem jednak ugasić ogniska, nie robiąc przy tym hałasu. Louise usłyszałaby syczenie węgla zalanych wodą.

Usiadłem więc i czekałem, słuchając jej szlochu. Spojrzałem na zegarek, by móc ocenić, jak długo płakała. Uspokoila się po piętnastu minutach. Musi odczuwać ogromny smutek, pomyślałem.

W namiocie zapadła cisza, a ja wciąż czekałem.

Potem Louise ziewnęła głośno i rozsunała zamek w tropiku. Zacinał się, więc walczyła z nim chwilę, tak samo, jak zwykłem to robić ja. W końcu z otworu wynurzyła się jej rozczochrana głowa. Minęło parę sekund, nim mnie dostrzegła. Wciąż stała na czworakach w wejściu do namiotu i zamarła na mój widok, jakby nie potrafiła ocenić, czy rzeczywiście tu jestem. Potem wstała bez słowa i weszła za jedną z wysokich skał osłaniających nieckę

z namiotem od wschodniej strony. Wróciła po paru minutach, uczesana. Wzięła poduszkę z namiotu i usiadła po przeciwnej stronie ogniska.

– Skoro już tu jesteś, mogłeś zrobić kawę – powiedziała.

Nie odpowiedziałem. Nie zamierzałem jej o nic pytać, dopóki mi nie wyjaśni, dlaczego zabrała moją łódź w dniu, w którym musiałem stawić się na przesłuchanie. Odziedziczyła po Harriet umiejętność manipulowania rozmową w taki sposób, że sprowadzała ją na zupełnie inny tor, niż życzyłby sobie tego jej rozmówca. Zwłaszcza wówczas, kiedy znajdowała się w niekorzystnym położeniu.

Zawsze uważałem się za inteligentniejszego od Harriet, ale moja córka była niebezpiecznym przeciwnikiem.

– Jak było? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Przesłuchanie. Pobili cię?

– Tak. Stłukli mnie pałkami.

Louise wyglądała na zmęczoną. Była niepodobna do siebie, skulona i blada. Przyszło mi na myśl, że tak musiała wyglądać jako mała dziewczynka, kiedy mieszkała z Harriet i zastanawiała się, gdzie podziewa się jej ojciec.

– Czy możemy chociaż raz porozmawiać jak dorośli ludzie? – zapytała.

– Nie pobili mnie. Podejrzewają, że podpaliłem dom, ale nie mają na to dowodów. Oczywiście nie zrobiłem tego. Ani świadomie, ani w wyniku jakiegoś wypadku.

– Więc co się stało?

– Sam chciałem to wiedzieć.

Louise wstała, poszła do namiotu i po chwili wróciła z butelką wody. Potem ustawiła parę kamieni w palenisku, tak, aby móc położyć na nich rondel. Po chwili przyniosła też nakrętkę od termosu i kubek, który zostawiłem w namiocie. Podała mi go, a sobie wzięła nakrętkę. Na dnie kubka było parę łyżeczek rozpuszczalnej kawy.

Nagły powiew wiatru dmuchnął Louise w twarz obłokiem dymu. Zapach, który się rozniósł, przypomniiał mi o płonącym domu.

– Miałam ci to powiedzieć kiedy indziej – odezwała się nagle. – Ale równie dobrze mogę ci powiedzieć teraz.

Nie lubię kawy rozpuszczalnej. Jej smak przypomina mi długie lata studiowania medycyny, kiedy nie pijałem właściwie nic innego.

Odłożyłem kubek na ziemię. Zaniepokoiły mnie słowa Louise. Od razu pomyślałem o Harriet i jej nieuleczalnej chorobie. Czy moja córka też była chora? Natychmiast udzielił mi się jej smutek i strach. Poczuję, że moje serce przyspiesza i po kilku sekundach biło tak mocno jak tamtej nocy, kiedy wybiegałem z płonącego domu.

– Co się stało? – zapytałem. – Brzmisz bardzo poważnie.

– Bo to poważna sprawa.

Niechący kopnąłem kubek. Kawa wysypała się na tropik namiotu.

– Powiesz mi o co chodzi?

– Jestem w ciąży.

Wypowiedziała te słowa z taką powagą, jakby przemawiała do tłumu i przekazywała mu właśnie ogromnie ważną wiadomość.

Jej słowa niespodziewanie przywołały w mojej pamięci pewne wspomnienie. Dawno już o tym zapomniałem. Przed wieloma laty, kiedy dopiero rozpocząłem studia medyczne, zanim jeszcze poznałem Harriet, pewna młoda kobieta oznajmiła mi z wielką radością, że spodziewa się dziecka. Studiowała chemię, poznaliśmy się na jakiejś imprezie. Wkrótce po tym, nie do końca świadom, co tak naprawdę czuję, zarzuciłem ją zapewnieniami o dozgonnej miłości i obietnicami o wspólnej przyszłości i pięknej rodzinie. Potem szybko się nią znudziłem, a ona oznajmiła mi nagle, że zaszła w ciążę. Przyjąłem jej radosne słowa z milczącym przerażeniem. Zdążyłem już zmienić zdanie, nie chciałem mieć dzieci, ani z nią, ani z nikim innym. Była potwornie nieszczęśliwa, kiedy praktycznie zmusiłem ją do aborcji. Zagroziłem, że ją porzucę, jeśli tego nie zrobi. A potem i tak to zrobiłem. Zaraz po tym, jak pozbyła się ciąży.

Teraz usłyszałem te same słowa od Louise. Ona jednak nie promieniała radością, wypowiedziała je ostrożnie, jak poważny komunikat, który musiała wygłosić.

Nigdy nie wyobrażałem jej sobie w roli matki, nie sędzę też, by kiedykolwiek robiła to również Harriet. Kiedyś zapytałem ją o chłopaków Louise, a Harriet odpowiedziała, że nie wie nic o życiu seksualnym naszej córki. Potem już nigdy o to nie pytałem. Kiedy Louise wracała ze swoich tajemniczych wypraw, zastanawiałem się, czy kryje się za nimi jakiś mężczyzna, ale nigdy nie natrafiłem na żadne oznaki, by Louise miała kochanka. Zdarzało mi się nawet przeglądać jej walizki i kieszenie w kurtkach, lecz nigdy nie dowiedziałem się w ten sposób niczego, czego bym już nie wiedział.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

Wyrwała mnie tym pytaniem z zamyślenia. W jej głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

– Oczywiście. Ale potrzebuję chwili, żeby zrozumieć twoje słowa.

– Powiedziałam, że jestem w ciąży. Nie da się tego zrozumieć na wiele sposobów.

– Nie zaszłaś w nią sama.

– Nie powiem ci, kto jest ojcem. To będzie moja tajemnica.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ja tak chcę.

– Na pewno wiesz, kto nim jest?

Nie zdążyłem nawet pomyśleć o tym, że będę musiał ponieść karę za to pytanie. Louise pochyliła się nad ogniskiem i uderzyła mnie w twarz. Nie zorientowałem się, że krew popłynęła mi z nosa, Louise też nic nie powiedziała, chociaż musiała to widzieć. Poczulem to dopiero wówczas, gdy krew spłynęła mi na górną wargę. Wyjąłem z kieszeni brudną chustkę i wytarłem nos. Po chwili krwawienie ustało.

– Nie będę więcej o to pytał – powiedziałem. – Oczywiście nie wątpię w to, że wiesz, kto jest ojcem dziecka. Który to tydzień?

– Dwunasty.

– I wszystko jest w porządku?

– Tak sędzę.

– Sędzisz?

– Nie byłem u lekarza, jeśli o to pytasz.

– Musisz się zbadać.

Nasza rozmowa znów zaczynała przypominać pojedynek szermierczy. Dlatego odetchnąłem z ulgą, kiedy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pokazał się numer Weroniki.

– Obudziłam pana? – zapytała.

– Nie.

– Chcę panu tylko powiedzieć, że zmarł Axel.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o kim mówi. Jaki Axel? Nie znałem nikogo o tym imieniu. Potem nagle dotarło do mnie, że chodzi o Nordina. Axel Nordin.

– Jest pan tam? – zapytała.

Miała smutny głos. A może się bała? Młodzi ludzie często reagują strachem na nagłą śmierć.

– Tak, jestem.

– Umarł tuż po czwartej nad ranem. Margareta zadzwoniła, by mnie o tym poinformować. Była zrozpaczona.

Wiedziałem, że żona Nordina ma na imię Margareta. Wiedziałem też, że nie mieli dzieci, i że było to przyczyną ich nieszczęścia. Ta rozmowa zdała mi się dziwnie nieprzyjemna, zwłaszcza w kontekście tego, że przed momentem dowiedziałem się o ciąży mojej córki. Najgorsze było to, że jej niegrzeczne zachowanie mogło się w jakimś stopniu przyczynić do śmierci Nordina.

Wstałem i wszedłem na skały, z telefonem przy uchu.

– Chyba dziś nie otworzę kawiarni – powiedziała Weronika.

– Rozumiem. Pewnie sklep też będzie przez jakiś czas nieczynny. Wiesz, kto go przejmie?

– Sklep jest własnością stowarzyszenia rybackiego, niech pan ich zapyta.

– Zamówiłem kalosze. Mam nadzieję, że będę mógł je odebrać.

Weronika zareagowała oburzeniem. Sam też od razu pożałowałem, że w takiej chwili myślę o kaloszach.

– Kogo obchodzą w tej chwili pana głupie kalosze?! – wykrzyknęła.

Nie odpowiedziałem. Po chwili zakończyliśmy rozmowę, wymieniwszy jeszcze parę krótkich zdań. Obiecałem zadzwonić do Margarety.

Kiedy wróciłem do ogniska, Louise była w namiocie. Usiadłem i czekałem. Kiedy znów wyszła, miała zaciętą minę.

– Umarł Nordin – powiedziałem. – Miał wylew, zmarł dzisiaj nad ranem.

– Kto?

– Sprzedawca ze sklepu ze sprzętem rybackim, ten od kluczy do prysznica.

Przez twarz Louise przemknął cień niepokoju, ale zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– To raczej nie moja wina – odparła. – Nie byłam aż tak niesympatyczna.

– Nikt nie twierdzi, że to twoja wina. Wiem tylko tyle, że zmarł. Louise wstała.

– Chodźmy już – powiedziała. – Zimno mi tutaj.

– Dokąd chcesz iść?

– Na spacer po wyspie.

– To właściwie nie jest wyspa, tylko szkier.

– A co to za różnica?

– W wielkości.

Wspięliśmy się na skały, a potem szliśmy wzdłuż brzegu, ślizgając się na wystających z wody kamieniach. Louise poruszała się lekko i zwinnie, ja bałem się nieustannie, że stracę równowagę. W pewnej chwili, kiedy Louise była kawałek przede mną, weszła na wysoki głaz, odwróciła się i spojrzała na mnie z góry. Nic nie powiedziała, tylko patrzyła tak na mnie przez chwilę. Potem poszliśmy dalej.

Ale w tamtym momencie, kiedy spoglądała na mnie z góry, ogarnęła mnie wściekłość. Fala złości wezbrała nagle i równie szybko opadła. Bałem się tego w sobie, ale czasem czułem potworną, beznadziejną zazdrość w stosunku do ludzi, którzy będą dalej żyli po mojej śmierci. Wstydzilem się tych myśli i jednocześnie napawały mnie one przerażeniem. Wypierałem się ich. Ale im byłem starszy, tym częściej pojawiały się w mojej głowie.

Byłem ciekaw, czy inni również tak mają, nigdy jednak nikogo o to nie zapytałem, więc trwałem w niewiedzy. Uważałem tę zawiść za swoją najgorszą i najmroczniejszą cechę. Ale czy to możliwe, bym tylko ja przeżywał coś podobnego?



Po krótkim spacerze wróciliśmy do ogniska. Zdążyło niemal całkiem wygasnąć.

– Musisz to zrozumieć – odezwałem się.

– Co takiego?

– Że często się zastanawiam, z czego ty żyjesz. Nigdy mnie nie prosisz o pieniądze, a ja nawet nie wiem, czym się zajmujesz.

Spojrzała na mnie z uśmiechem. Potem szybko wstała i otarła się o mnie, idąc w stronę kępy olch.

– Muszę siku – rzuciła przez ramię.

– Uważaj na kleszcze.

Po chwili wróciła i usiadła przy ognisku.

– Wróc teraz na wyspę – powiedziała. – Weź łódkę z silnikiem. Ja przyłynę za parę godzin. Teraz chcę pobyć sama.

– Mamy jeszcze dużo do omówienia – odparłem. – I nie chodzi już tylko o spalony dom, ale o przyszłość następnego pokolenia.

– Wiem. Ale mamy przecież mnóstwo czasu. Zdążymy pomówić i o domu, i o moim dziecku.

Zepchnąłem łódkę do wody i włączyłem silnik. Postanowiłem zrobić rundkę po otwartym morzu, zanim wrócę do domu. Dopłynąwszy na skraj archipelagu, aż do miejsca, w którym spod powierzchni wody wystawały ledwie widoczne skały i gdzie lubiły się gromadzić ławice śledzi, ze zdziwieniem spostrzegłem samotną żaglówkę, walczącą z wiatrem i płynącą prosto na otwarte morze. To rzadki widok o tej porze roku. Śledziłem ją chwilę wzrokiem i udało mi się dostrzec, że na pokładzie siedzi jedna osoba. Nie umiałem odróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Popatrzyłem jeszcze chwilę, a potem zawróciłem i popłynąłem na moją wyspę. Wpłynąłem do hangaru, zacumowałem łódź i usiadłem na ławce. Rozmyślałem o tym, co powiedziała mi Louise. Chciałem, żeby do mnie dotarło, że moja córka jest w ciąży. Wiedziałem, że powinienem się cieszyć, ale nie odczuwałem radości. Niepokoiło mnie to. Dlaczego traktuję emocje jak niechciany ciężar?

Mimo wszystko zaczęliśmy rozmawiać i miałem nadzieję na ciąg dalszy.

Wstałem z ławki i ruszyłem w stronę przyczepy. Po drodze spojrzałem na zegarek, żeby sprawdzić godzinę, ale nie miałem go

na ręce. Zniknął. Przeszukałem kieszenie, potem wróciłem do łodzi i sprawdziłem, czy nie leży na dnie, ale nigdzie go nie było.

Byłem ciekaw, co się z nim stało. Miał metalowy pasek i byłem pewien, że się nie urwał.

Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek telefonu. Dzwonił Jansson.

– Umarł Nordin – powiedział.

– Wiem.

– Zgłosiłem się do niesienia trumny na pogrzebie. Przyłączysz się?

– Miał chyba jakichś krewnych albo znajomych bliższych niż ja?

– To okropne, że co chwilę ktoś umiera.

– Taki już nasz ludzki los.

Skłamałem, że mam słaby zasięg i nie słyszę, co Jansson do mnie mówi. Zakończyłem rozmowę i wyłączyłem telefon.

Jansson mógł sobie zaczekać. Wszystko musiało teraz zaczekać. W tej chwili zamierzałem skupić się na rozmyślaniu o dziecku Louise i chciałem myśleć o nim jako o najlepszej rzeczy, jaka mogła wydarzyć się w moim życiu.

Wszedłem na wzniesienie i spojrzałem z góry na archipelag. Zobaczywszy, że Louise wsiada do łódki i zaczyna wiosłować w stronę wyspy, włączyłem telefon i zszedłem na brzeg. Kiedy przybiła do pomostu, zawiązała cumę na palu i postawiła nogę na deskach, ale łódka zachwiała się i przez moment wyglądało to tak, jakby Louise miała się wywrócić. Chwyciła się jednak mocno drugiego pala i odzyskała równowagę.

– O mały włos – powiedziałem.

– Nieprawda – odparła. – Nie mam problemów z utrzymaniem równowagi. Pewnie o tym nie wiesz, ale kiedy byłam mała, próbowałam chodzić po linie.

Przyjrzałem się jej, ciekaw, czy próbuje mnie nabrać. Harriet nigdy mi nie opowiadała, że nasza córka chciała zostać cyrkowcem.

– Możesz mi powiedzieć, która godzina? – poprosiłem. – Zgubiłem zegarek.

– Kwadrans po dwunastej.

– Zgubiłem zegarek.

– Tak, słyszałam.

– To dziwne, że tak po prostu zniknął. Na pewno miałem go na ręce, kiedy płynąłem do ciebie rano.

– Nie widziałam go.

– Ale zegarek przecież sam tak po prostu nie znika.

– Więc pewnie gdzieś tam sobie leży.

Zdziwiło mnie, że Louise podchodzi z takim lekceważeniem do sprawy zniknięcia mojego zegarka, ale postanowiłem porzucić ten temat. Byłem przekonany, że prędzej czy później się znajdzie, jeśli porządnie poszukam. Nie dopuszczałem myśli, że mógł wpaść do wody.

Louise poszła do przyczepy. W tym samym momencie, w którym zatrzasnęła za sobą drzwi, sprawiając, że przyczepa zatrzęsała się, w kieszeni mojej kurtki zadzwonił telefon. Spojrzałem na

wyświetlacz, ale nie rozpoznałem numeru. Nie odebrałem. Kiedy komórka przestała dzwonić, schowałem ją z powrotem do kieszeni.

Po paru sekundach zadzwoniła ponownie. Tym razem odebrałem, niechętnie, pełen obaw, że ktoś dzwoni w jakiejś nieprzyjemnej sprawie.

Okazało się, że to Lisa Modin.

– Nie przeszkadzam? – zapytała.

– Nie, skądże. To pani przed momentem dzwoniła?

– Tak. Jest pan teraz u siebie?

– A gdzie miałbym być?

Zaśmiała mi się do ucha.

– Dzwonię jako dziennikarka – wyjaśniła.

Od razu zrobiłem się czujny. Miałem wrażenie, że jej głos nagle się zmienił. Nie dzwoniła, żeby ze mną porozmawiać, ale w imieniu redakcji swojej gazety.

Nie odezwałem się.

– Słyszałam, że prokurator zamierza pana oskarżyć o podpalenie domu.

W jednej chwili mój żołądek zawiązał się w ciasny supeł. Mało brakowało, a jęknąłbym z bólu prosto do telefonu.

– Jest pan tam?

– Jestem.

– Czy to prawda, że będzie pan oskarżony?

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nikt się ze mną nie kontaktował od przesłuchania. Nikt nie dzwonił, nie dostałem żadnego pisma, ani nikt nie zjawił się tutaj osobiście. Może pani mi wyjaśni, jakim sposobem pani wie więcej ode mnie?

– Jestem dziennikarką i moim zadaniem jest dowiadywanie się różnych rzeczy.

– Ale na razie nic się nie wydarzyło.

– Więc jeszcze pana nie oskarżyli?

– Nie.

Rozmowa się urwała. Słyszałem głos Lisy Modin, ale ona nie słyszała mnie. Zaczekałem, aż zadzwoni ponownie, potem sam

spróbowałem, ale nie udało mi się uzyskać połączenia. W wielu miejscach na archipelagu był kiepski zasięg. Kiedyś Nordin poprosił mnie o podpis pod petycją, by operatorzy jakoś temu zaradzili, ale oczywiście nic to nie zmieniło.

Udałem się do przyczepy. Robiło się coraz zimniej. Miałem świadomość, że wkrótce nie da się już spać w namiocie.

Właśnie miałem zapukać do drzwi, ale nagle się rozmyśliłem. Nie byłem jeszcze gotów na rozmowę z córką. Poszedłem do szopy i usiadłem między starymi sieciami. Spróbowałem zebrać myśli i wrócić do nocy, kiedy ostre światło wyrwało mnie ze snu. W ostatnich dniach wydarzyło się w moim życiu tak wiele, że musiałem spokojnie zastanowić się i zebrać myśli, by nie ogarnął mnie chaos.

Jednak myśli rozbiegały się we wszystkich kierunkach. W głowie pobrzmiwał mi w kółko głos Lisy Modin zadającej pytanie, czy zostałem już oskarżony. Jak to możliwe, że dowiedziała się o tym przede mną? Może to nie była prawda, ale plotka?

Po chwili siedzenia w ciemności ogarnął mnie lęk. Zacząłem wątpić w swoją zdolność logicznego myślenia. Czy to możliwe, że podpaliłem własny dom i teraz tego nie pamiętam? Czy naprawdę zostanę oskarżony, skoro policja nie ma na mnie żadnych dowodów?

Wkrótce strach przeobraził się w mdłości. Pochyliłem się i wsadziłem głowę między kolana. Wiedza medyczna podpowiadała mi, że tak należy uczynić.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, ale po jakimś czasie mdłości zastąpił ból głowy. Potem nagle poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Krzyknąłem ze strachu i gwałtownie się poderwałem. Nie słyszałem, kiedy Louise weszła do środka.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała. – Dlaczego tak siedzisz?

– Nie ma zbyt wielu miejsc, do których mogę się udać.

– Tu jest za zimno. Myślałam, że chcesz porozmawiać. Cały czas siedzę w przyczepie i czekam na ciebie.

Wróciliśmy razem do przyczepy. Idąc parę kroków za Louise, czułem się jak bezpieczny pies, którego nikt nie chce przygarnąć.

W środku czekała gorąca kawa.

– Chcesz coś zjeść? – spytała Louise.

– Nie.

– Mówi się: „Nie, dziękuję”.

– Nie, dziękuję.

– Przecież musisz jeść.

Nie protestowałem, kiedy przygotowała mi parę kanapek. Byłem naprawdę bardzo głodny. Louise przyglądała mi się bacznie, oczekując, bym to ja rozpoczął rozmowę. Jednak nie miałem w tej chwili nic do powiedzenia. Przerwana rozmowa z Lisą Modin rozpedziła wszystkie myśli, które udało mi się pozbierać.

Louise pierwsza usłyszała nadpływającą łódź. Uniosła głowę i nasłuchiwała. Po chwili ja też ją usłyszałem. Warkot silnika był coraz bliżej. Nie miałem wątpliwości, że to łódź Janssona.

– To ten listonosz – powiedziałem. – Zejdź na pomost i powiedz mu, że mnie nie ma.

– Przecież zobaczy, że obie łódki są na miejscu.

– No to powiedz mu, że utonąłem.

– Nie zamierzam kłamać. Jeśli nie chcesz z nim rozmawiać, sam mu to powiedz.

Zrozumiałem, że Louise nie zmieni zdania. Jansson był moim problemem. Włożyłem kurtkę i zszedłem na brzeg. Kiedy łódź pojawiła się w zatoce, zorientowałem, że Jansson nie płynie sam. Lisa Modin siedziała na dziobie, z twarzą odwróconą od wiatru.

Nie rozumiałem, co się dzieje. Minęła dopiero chwila od naszej rozmowy, a ona już tutaj była.

Jansson przybił do pomostu i zaczekał, aż Lisa Modin zeskoczy na deski. Potem zasalutował niedbale do czarnej wełnianej czapki.

Lisa Modin miała na sobie pelerynę przeciwdeszczową, a w ręce trzymała zydwestkę.

– Wiem, że jest pan trochę zaskoczony – powiedziała.

– Owszem – odparłem.

– Byłam w porcie, kiedy rozmawialiśmy.

– Z Janssonem?

– Nie, ale zaraz po tym przypadkiem się na niego natknęłam.

Spojrzałem na Janssona. Słyszał, o czym rozmawiamy, i pokiwał głową.

– Nie zajmę panu dużo czasu, ale chciałam dokończyć tę przerwana rozmowę.

Poprowadziłam ją w stronę przyczepy. Jansson został na łodzi z gazetą, dla której pracowała Lisa Modin.

Drzwi do przyczepy były zamknięte. Zajrzałam do środka przez okno, ale nie zobaczyłam Louise. Usłyszałam natomiast, że włączyła radio.

– Jest tu moja córka – powiedziałam.

– To dobrze, że nie musi pan być sam.

Podeszliśmy do pogorzelniska. Wciąż otaczał je swąd spalenizny, chociaż znacznie już zelżał.

Poczułam nagłą chęć, żeby przytulić Lisę, żeby wsunąć zmarznięte dłonie pod jej ubranie. Oczywiście nic takiego nie zrobiłam.

Staliśmy i patrzyliśmy na ruiny mojego domu.

– Co pan teraz o tym myśli? – zapytała. – Kiedy minęło już trochę czasu.

– Nic – odparłam. – Wciąż nie mam pojęcia, co się stało.

– Powiem panu wszystko, co wiem. Słyszałam, że prokuratura wszczęła postępowanie mające na celu postawić pana w stan oskarżenia. Ponieważ dom był ubezpieczony, śledczy doszli do wniosku, że motywem podpalenia były pieniądze. Naprawdę nic więcej pan nie wie?

– O pożarze czy tym oskarżeniu?

– O jednym i drugim.

– Nie, nie dowiedziałem się niczego nowego. Gdybym się wtedy nie obudził, spłonąłbym razem z domem. Rozumiem, że wtedy śledczy uznaliby, iż popełniłem samobójstwo, a nie że próbowałem wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia.

Lisa Modin zwinęła zydwestkę i wsadziła ją do kieszeni peleryny. Zauważyłam, że ścięła włosy jeszcze krócej.

– Muszę coś o tym napisać – powiedziała. – Ale to ma być krótka notatka, nie większy reportaż.

– Najlepiej, jeśli pani napisze, że nie spaliłem mojego domu. I że wszyscy, którzy opowiadają takie głupstwa, mogą iść do diabła.

– Policja i prokuratura raczej się tam nie wybierają.

Ruszyłem w stronę pagórka. Lisa Modin podążyła za mną w pewnej odległości. Ciekawiło mnie, po co właściwie przyjechała. Czyżby sądziła, że przyznam się do podpalenia domu?

Usiadłem na ławce. Ona stanęła kawałek dalej i patrzyła na morze. Potem nagle pokazała na coś palcem.

– Widzi pan?

Spojrzałem w stronę, którą wskazywała, ale niczego nie dostrzegłem. Zobaczyłem to dopiero, kiedy wstałem. Kawałek za wysepką, na której stał mój namiot, wiał silny wiatr. Jakiś ubrany na czarno windsurfer parł wściekle do przodu, prosto w otwarte morze. Latem ich widok nie był niczym nadzwyczajnym, ale nigdy wcześniej nie widziałem żadnego z nich tak późną jesienią. W dodatku, w odróżnieniu od tego, co widywałem wcześniej, miał żagiel w czarnym kolorze, czarna była również deska. Z oddali wyglądało to trochę tak, jakby ktoś ubrany od stóp do głów w czarną gumę sunął po wodzie stopami.

– Ależ tam musi być zimno – powiedziała Lisa Modin. – Co się stanie, jeśli popełni jakiś błąd?

Patrzyłem za czarnym surferem, aż zniknął za wyspą o nazwie Låga Höholmen. Chwilę później pojawił się po jej drugiej stronie. Wciąż płynął prosto na otwarte morze. Poczuję się nieprzyjemnie poruszony widokiem tego czarnego żagla i tej zaciętej prędkości. Kto wypływa w morze na desce w zimny październikowy dzień?

Nagle wiedziony impulsem, ująłem dłoń Lisy Modin. Była zimna. Pozwoliła mi ją chwilę potrzymać, a potem delikatnie ją cofnęła.

Za nami trzasnęła sucha gałązka. Obejrzałem się i spostrzegłem, że Louise idzie w naszą stronę. Lisa Modin zauważyła ją w tym samym momencie. Louise była rozczochrana i sprawiała wrażenie podenerwowanej. Rzuciła Lisie wrogie spojrzenie.

– To Lisa Modin – powiedziałem. – Moja znajoma.

Lisa wyciągnęła rękę, ale Louise jej nie uścisnęła.

– A to Louise, moja córka.

Lisa Modin natychmiast wyczuła, że Louise podchodzi do niej z rezerwą. Stały przez chwilę w milczeniu i mierzyły się wzrokiem. Ich wzajemna wrogość była wręcz namacalna.

Potem nagle Louise odwróciła się w moją stronę.



– Dlaczego nic mi o niej nie powiedziałaś?

– Znamy się od niedawna.

– Sypiacie ze sobą?

Lisa Modin zachnęła się głośno ze zdziwienia. Potem parsknęła śmiechem.

– Nie – odparłem. – Nie jesteśmy kochankami.

Louise już miała się ponownie odezwać, ale Lisa weszła jej w słowo.

– Nie wiem, dlaczego jest pani dla mnie taka niemiła – powiedziała. – Jestem dziennikarką i mam parę pytań do pani taty. Porozmawialiśmy chwilę i właśnie miałam wracać.

– Czego chciała się pani dowiedzieć?

Lisa rzuciła mi szybkie spojrzenie, ale ja nie miałem nic do powiedzenia. Wprawdzie chodziło tutaj o mnie, ale czułem się trochę tak, jakbym nie był obecny przy tej rozmowie.

– Policja uważa, że dom został umyślnie podpalony, i podejrzewa o to pani tatę.

To, co wydarzyło się później, w równym stopniu zaskoczyło mnie, co Lisę Modin. Louise podeszła do niej szybkim krokiem i wrzasnęła:

– Niech się pani stąd wynosi! Mamy wystarczająco dużo kłopotów, nie trzeba nam tutaj dziennikarzy!

Lisę zamurowało, ale w jej oczach pojawił się gniew. Odwróciła się i zeszła z pagórka. Widziałem, jak wsiada do łodzi Janssona. Wciąż staliśmy z Louise na wzniesieniu, kiedy rozległ się warkot silnika, łódź odbiła tyłem od pomostu i po chwili zniknęła za cyplem.

Wiatr wiał coraz silniej. Stwierdziłem ze smutkiem, że córka odebrała mi jedyną nadzieję, że w moim życiu wydarzy się jeszcze coś ekscytującego. Nadzieję na to, że Lisa Modin stanie się dla mnie kimś więcej niż znajomą, którą zabieram raz po raz na wycieczkę po archipelagu.

– Chcę, żebyś wyjechała – powiedziałem. – Nie chcę cię tutaj, jeśli zamierzasz odganiać ode mnie ostatnich ludzi, których darzę sympatią.

– Myślisz, że ona się tobą zainteresuje? Jest od ciebie młodsza co najmniej o trzydzieści lat!

– Do tej pory nie okazała mi niechęci. Chociaż nie sypiamy ze sobą, jak raczyłaś to ująć.

Nic więcej sobie nie powiedzieliśmy. Kiedy zesliśmy do przyczepy, wiatr wiał jeszcze silniej. Spojrzałem na ciągnące od zachodu ciemne chmury. Gdyby było parę tygodni później, nie miałbym wątpliwości, że nocą spadnie śnieg.

Zjedliśmy kolację, a potem piliśmy herbatę. Nie lubię mieszanki, którą przyrządza Louise. Smakuje dziwnymi ziołami, za którymi nie przepadam, ale oczywiście nic nie powiedziałem.

Oboje byliśmy bardzo zmęczeni. Zawarliśmy milczące porozumienie, że będę nocował w przyczepie. Potem graliśmy w karty tak długo, aż nastąpiła pora, by pójść spać. Słyszałem, że Louise długo nie mogła zasnąć, ale po jakimś czasie, kiedy jej oddech stał się równy i głęboki, ja również usnąłem.

Nazajutrz rano popłynąłem na wysepkę, żeby poszukać zegarka. Louise nie chciała mi towarzyszyć, nie najlepiej się czuła.

Być może dopiero wówczas zrozumiałem, że moja córka jest w ciąży. Świadomość tego dotarła do mnie razem z jej mdłościami. Od tej pory już wiedziałem. Moja córka spodziewała się dziecka, a ja nigdy nie miałem się dowiedzieć, kto jest jego ojcem.

Wiosłując w stronę wysepki, próbowałem sobie wyobrazić tego nieznanego człowieka, ale miałem przed oczami cały tłum mężczyzn tłoczących się jak przed wejściem na stadion przed ważnym meczem.

Potem długo i bez skutku szukałem zegarka. Wyjąłem nawet kilka śledzi trzymających namiot, chcąc się upewnić, że nie wsunął się gdzieś głęboko pod podłogę. Nigdzie go nie było.

Minęły dwa dni, w trakcie których właściwie nic się nie wydarzyło. Wiatr wiał raz mocniej, raz słabiej, chwilami osiągał siłę ośmiu stopni w skali Beauforta. Większość czasu spędzaliśmy w przyczepie, choć wróciłem do zwyczaju porannych kąpieli w morzu. Próbowałem namówić do tego Louise, ale odmówiła. Po mojej kąpieli schodziła na pomost i myła się przy pompie, a ja aż

w przyczepie słyszałem jej głośne przekleństwa i utyskiwanie na lodowatą wodę.

Zastanawiałem się, dlaczego oboje tak dziwnie się zachowujemy. Byliśmy dorośli, ale nie potrafiliśmy normalnie porozmawiać o dziecku Louise, następnym pokoleniu, które miało wkrótce pojawić się w naszym świecie. Czyżby nam obojgu brakowało czegoś, dzięki czemu większość ludzi rozmawia ze sobą bez żadnego problemu?

Nasze rozmowy dotyczyły jedynie odbudowy domu. Było jasne, że nie będę mógł wybrać pieniędzy z ubezpieczenia, dopóki trwa śledztwo, ale jednocześnie mieliśmy świadomość, że nie możemy zostać na zimę w przyczepie.

Późnym popołudniem drugiego dnia zadzwoniłem do firmy ubezpieczeniowej. Trwało to dobrą chwilę, aż wreszcie połączono mnie z osobą, która była w stanie podać mi szczegóły mojego ubezpieczenia. Pracownik firmy przedstawił się jako Jonas Andersson. Chwilę szukałem w pamięci tego nazwiska, ale doszedłem do wniosku, że nigdy go nie spotkałem. Mówił bardzo szybko, miałem wrażenie, że chce jak najprędzej zakończyć rozmowę. Nie wiedział, że spalił się mój dom, bo nie wysłałem jeszcze żadnego zawiadomienia. Nie miał też pojęcia, że w tej sprawie toczy się śledztwo o podpalenie, nie przeczytał o tym w gazecie. Przemknęło mi przez myśl, że jest reprezentantem pokolenia, które niczego nie czyta. Ani gazet, a tym bardziej książek. Wiadomości, które docierają do tych ludzi, pochodzą wyłącznie ze źródeł cyfrowych.

Krótką rozmowa z Jonaszem Anderssonem była dla mnie bardzo nieprzyjemna. Nie przyznałem się, że policja zamierza mnie oskarżyć o podpalenie. Uznałem, że sam będzie się musiał tego dowiedzieć. Najważniejsze, że poinformował mnie, iż wszystkie składki były płacone na czas.

Ubezpieczenie było ważne i firma ubezpieczeniowa mogła w całości pokryć koszt odbudowy domu, choć oczywiście nie była gotowa sfinansować tych samych materiałów, których użyto do jego budowy pod koniec XIX wieku. Mogłem zapomnieć o ścianach z litego dębu, wiedziałem też, że nie znajdę już nikogo, kto będzie

potrafił udekorować ganek rzeźbieniami, które miał dom moich dziadków.

Ciekawiło mnie, czy ubezpieczenie obejmie również zniszczoną jabłoń, ale nie zapytałem o to. Jonas Andersson z pewnością nie przejąłby się osmalonym drzewem.

Rozmawiając z nim, siedziałem w przyczepie. Louise stała przy drzwiach i słuchała. Jonas Andersson mówił skrzekliwym i przenikliwym głosem, przypuszczałem więc, że wyraźnie słyszy każde jego słowo. Na koniec ustaliliśmy, że ktoś z firmy ubezpieczeniowej wkrótce się do mnie odezwie i przyjedzie obejrzeć pogorzelnisko. Jonas Andersson określił to bardzo dziwnymi słowami. Powiedział, że miejsce musi zostać poddane „ogłędzinom wzrokowym”. Miało się to odbyć za parę dni.

Nie zapytał mnie, gdzie teraz mieszkam. Nie skomentował też ani słowem faktu, że spłonął cały mój dobytek. Podejrzywałem, że jego zadaniem jest upewnienie się, że pieniądze firmy nie zostaną wypłacone bez koniecznej potrzeby.

– Ubezpieczenie jest ważne – zakomunikowałem Louise, zakończywszy rozmowę. – Oczywiście nie dostanę pieniędzy, jeśli zostanę skazany za podpalenie.

– I co wtedy będzie?

– Pójdę do więzienia. I nie będę miał za co odbudować domu.

Pogoda powoli się poprawiała. Po silnym wietrze niebo wypogodziło się i nastąpiły niespodziewanie ciepłe dni. Każdego popołudnia wchodziłem na wzniesienie i wypatrywałem czarnego surfera. Jednak morze było puste. Nie było na nim łodzi ani czarnych żagli.

Kiedy odlatują ostatnie ptaki, na archipelagu zapada niezwykła cisza. Słychać tylko szum wiatru i morza.

Pewnego dnia zauważyłem, że Louise jest w złym nastroju. Siedziała na ławce przy szopie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Właśnie zszedłem z pagórka i tak ją zastałem. Zatrzymałem się w pewnej odległości. Louise nie wiedziała, że na nią patrzę. Miałem poczucie, że nasze obcowanie coraz częściej opiera się na przyglądaniu się sobie nawzajem z ukrycia. Omijaliśmy się dużym łukiem, baliśmy się ze sobą porozmawiać. Mój strach brał się z przekonania, że nie

wiem prawie nic o mojej ciężarnej córce. Ona zapewne, patrząc na mnie, obserwowała z lękiem, co robi z człowiekiem starość.

Był pierwszy wtorek listopada i dziesiąta przed południem, kiedy usłyszałem warkot silnika. Ponieważ wiało z południa i archipelag tonął w głębokiej ciszy, usłyszałem go z dużej odległości. To nie była łódź Janssona. Nie rozpoznawałem tego silnika, a po chwili w zatoce pokazała się łódź, której nigdy wcześniej nie widziałem. Była to duża biała motorówka z mocnym silnikiem. Na burcie widniała nazwa „Drabant ii”. Zaciekało mnie, kto nadał łodzi tak idiotyczne imię.

Po raz pierwszy witałem niezapowiedzianych gości w towarzystwie Louise.

Był to przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej. Ale nie Jonas Andersson, mężczyzna przedstawił się jako Torsten Myllgren. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat. Zawsze wyobrażałem sobie rzeczoznawców jako dojrzałych i doświadczonych ludzi, a Torsten Myllgren wyglądał jak przerośnięty nastolatek.

Chłopak, który stał za sterami łodzi, był mniej więcej w tym samym wieku. Podał mi na powitanie wiotką i wilgotną od potu dłoń, a potem przedstawił się piskliwym głosem. O ile dobrze zrozumiałem, miał na imię Hasse. Zapytałem Louise, ale i ona nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Zaprowadziłem ich do pogorzeliska. Czekałem aż Myllgren poinformuje mnie, że ma świadomość, iż jestem podejrzewany od podpalenie, ale nic nie powiedział. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon i – co stwierdziłem z ogromną uciechą – porządne, zielone szwedzkie kalosze. Mało brakowało, a zapytałbym go, gdzie je kupił. Trzymał w ręce duży notatnik i zaczął w nim coś zapisywać od razu, kiedy tylko zbliżyliśmy się do zgliszczy.

Tymczasem Hasse stanął w miejscu osłoniętym od wiatru obok przyczepy i zapalił duże cygaro. Zapewne firma ubezpieczeniowa zatrudniała go do transportu po archipelagu. Dym cygara doleciał aż do pogorzeliska, gdzie staliśmy z Louise. Patrzyliśmy jak Myllgren krąży wokół poczerniałych ruin. Raz po raz przystawał i robił zdjęcie komórką. Co chwilę też sięgał do kieszeni po dyktafon i nagrywał swoje spostrzeżenia.

– Czego on tam szuka? – szepnęła do mnie Louise. – Przecież w ten sposób nie zobaczy, jak dom wyglądał przed spaleniem.

– Nie wiem – odparłem. – Zapytaj go.

– Cieszę się, że nie muszę się budzić co rano obok takiego faceta.

Zadziwił mnie jej komentarz. Jednak zaraz po tym uzmysłowiłem sobie, że właśnie dała mi powód, by zadać jej ważne pytanie.

– A obok jakiego faceta chciałabyś się budzić?

– Dowiesz się, kiedy ci go przedstawię.

Nie było sensu pytać dalej.

Wróciliśmy do obserwowania Myllgrena, wciąż kręcącego się przy pogorzelisku.

– Czego on szuka? – powtórzyła.

– Prawdy. O ile ona istnieje.

Louise wzięła mnie nagle pod ramię i skinieniem głowy pokazała na wzniesienie z ławką moich dziadków. Ledwie zdążyliśmy usiąść, kiedy zaczęła opowiadać.

– Pamiętasz, jak dzwoniłam do ciebie z Amsterdamu, parę tygodni przed tym, nim spłonął dom?

– Tak, pamiętam. Brzmiało to tak, jakbyś dzwoniła z jakiejś kawiarni.

– Jak myślisz, co robiłam w Amsterdamie?

– Nie będę nawet próbował zgadywać.

– Opowiem ci. Jeżdżę tam parę razy każdego roku. Jak wiesz, jest tam Rijksmuseum, holenderskie muzeum narodowe, gdzie znajduje się kolekcja dzieł Rembrandta. Nigdy nie znudzą mi się jego obrazy. Wierzę, że nie ma na świecie ani jednego człowieka, którego nie zdołałyby poruszyć. A jeśli ktoś taki istnieje, musi być zupełnie ślepy i głuchy na sztukę. Jednak ostatnio nie pojechałam tam, żeby podziwiać obrazy. Pomagałam innym odwiedzić muzeum. Jest pewna grupa ludzi, większość z nich to Holendrzy, ale jest w niej też parę osób z innych krajów, która zawarła porozumienie z władzami Rijksmuseum. My zbieramy pieniądze, organizujemy transport i karetki. Umowa jest bardzo prosta. Pomagamy zrealizować ostatnie życzenie ciężko chorych, umierających ludzi, którzy kochają Rembrandta i chcieliby jeszcze raz, przed śmiercią, zobaczyć jego dzieła. Jednego dnia co cztery miesiące muzeum jest

otwarte tylko dla tych ludzi. Wjeżdżają na wózkach albo są wnoszeni na noszach. Potem siedzą albo leżą przed obrazami, często znoszą silny ból, bo wielu z nich odmawia środków przeciwbólowych, żeby zachować trzeźwość umysłu na spotkanie z Rembrandtem. Większość chce zobaczyć jego autoportret, na którym jest już starym mężczyzną. To spotkanie, oko w oko z mistrzem, sprawia, że śmierć wydaje się lżejsza. Pewnie myślałeś sobie, że pojechałam do Holandii dlatego, że mają tam inne podejście do narkotyków. Sądziłeś, że pojechałam do Amsterdamu, żeby się napalić trawy? Jak widzisz, to nieprawda. Teraz wiesz o mnie trochę więcej.

Nagle z radia motorówki ryknęła hałaśliwa muzyka. Myllgren zdawał się tym zupełnie niewzruszony.

– Co to za muzyka? – zapytał Louise.

– Techno – odparła. – Nie będę wyjaśniać i tak nie zrozumiesz.

Był piękny jesienny dzień. Niebo było błękitne i wszystkie inne kolory nabrały blasku. Wiatr ucichł niemal całkowicie. Rozmyślałem o tym, co właśnie opowiedziała mi córka.

Minęła godzina. Louise zaszyła się w przyczepie, a ja krążyłem wokół pogorzelnika, nie chcąc zostawiać Myllgrena samego. Nieopodal, na dużym kamieniu siedziała kulejąca mewa. Widziałem ją już wcześniej, kilka razy rzuciłem jej nawet jedzenie.

W końcu Myllgren zamknął notatnik. Na ten widok stanął mi przed oczami klaps filmowy opadający na znak, że rozpoczyna się nowe ujęcie. Potem chłopak wsunął sobie pod górną wargę porcję snusa<sup>1</sup>, poprawił kombinezon, który najwyraźniej uwierał go w kroczu, i wreszcie ruszył w moją stronę. Potknął się na kamieniu z podmurówki, schowanym pod czarnymi zgliszczami. Chwiał się przez moment, bezskutecznie próbując utrzymać równowagę. Kiedy upadł, rozległ się suchy trzask pękającej kości. Chłopak wrzasnął przeraźliwie i notatnik wypadł mu z ręki.

Leżał tam w tym swoim kombinezonie, wyglądał jak ranne zwierzę. Było jasne, że bardzo go boli lewa noga. Nie trzeba było lekarza, by orzec, że ma złamany piszczel.

Louise wybiegła z przyczepy, również Hasse, który wciąż siedział na łodzi, zorientował się, że coś się stało. Zebraliśmy się wokół Myllgrena. Chłopak wił się z bólu. Gdyby mój dom nie spłonął, od razu kazałbym go wnieść do środka i podałem mu zastrzyk przeciwbólowy. Teraz mogłem mu zaproponować tylko tabletki. Był bardzo blady, patrząc na niego, pomyślałem o żołnierzu w okopie, świadomym, że powoli wycieka z niego życie.

– Masz złamaną nogę – powiedziałem. – Musisz jechać do szpitala.

– Zanieśmy go do łodzi – powiedział Hasse, który nie rozumiał jeszcze, jak poważna to sprawa.

– Musi go zabrać straż przybrzeżna. Jeśli podniesiemy go bez noszy, tylko pogorszymy sprawę.

Kazałem Louise przynieść koc.

– Zacumuj swoją łódź w innym miejscu – poleciłem Hassemu. – Trzeba zrobić miejsce dla straży.

Chłopak już otwierał usta, żeby się sprzeciwić, ale ja tylko podniosłem rękę na znak, żeby nie dyskutował, i pokazałem palcem na pomost. Odwrócił się i poszedł. Potem wezwałem straż i kucnąłem przy Myllgrenie. Zaimponował mi, bo choć był taki młody, potrafił zagryźć zęby i mimo wielkiego bólu spokojnie czekał na pomoc.

Straż przypłynęła po niespełna trzydziestu minutach. Położyli chłopaka na noszach i zanieśli do łodzi. Ratownikami dowodził Alexandersson. Był bardzo doświadczony w swojej pracy i przeniósł już w życiu bardzo wiele noszy.

Hasse odpłynął kawałek od brzegu i czekał w motorówce, dryfując po zatoce. Kiedy Myllgren był już na pokładzie, Alexandersson odwrócił się w moją stronę.

– Wczoraj poszedłem do sklepu w porcie, żeby kupić farbę – powiedział. – Margareta pytała o ciebie. Przyszły jakieś kalosze. Będzie teraz prowadziła sklep za Nordina. Przynajmniej na razie, potem ma ją zastąpić jego brat.

Wiedziałem, że brat Nordina pracuje przy budowach rurociągów. Może będzie wiedział, jak poprowadzić sklep?



Alexandersson wszedł na pokład, łódź odbiła tyłem od pomostu i po chwili zniknęła za cyplem. Hasse popłynął za nią swoją motorówką o dziwnym imieniu „Drabant ii”.

– Przyszły moje kalosze – powiedziałem do Louise.

Siedziała na ławce przy szopie.

– Jutro je odbierzemy – odparła. – I tak musimy zrobić zakupy.

Usłyszałem jeszcze, jak Alexandersson zwiększa prędkość. Głuchy pomruk silnika odbijał się echem od skał okolicznych wysepek.

Było mi żal Myllgrena. Jednocześnie cieszyłem się, że nareszcie przyszły moje kalosze.

Kalosze nie pasowały.

Żona Nordina, Margareta, była o wiele większa, niż ją zapamiętałem. Przyszło mi na myśl, że być może cierpi na chorobliwą otyłość, bo nikt nie staje się aż tak gruby tylko od nadmiernego jedzenia. Ledwie się mieściła między półkami a ladą. Kiedy wszedłem do sklepu, pochylała się właśnie nad półką z podbierakami. Na dźwięk dzwonka w drzwiach wyprostowała się gwałtownie i potraçała plecami stojak z wełnianymi skarpetami. Metalowa konstrukcja runęła na ziemię. Pomyślałem, że patrzę na wielkiego zwierza, który wdarł się do małego sklepiku, i o mało nie parsknąłem śmiechem. Powstrzymałem się jednak i zachowałem powagę. Przywitałem się grzecznie, złożyłem kondolencje i zapytałem o zamówione przeze mnie kalosze. Margareta poszła na zaplecze, a ja usiadłem na taborecie i zdjąłem kalosze nie do pary, które nosiłem, odkąd spalił się mój dom. Zamówione kalosze były w otwartym kartonie. Zielone, lśniące, ze znaczkiem marki Tretorn i z jasnożółtym bieźnikiem na podeszwach. Jak zwykle, zacząłem mierzenie od lewego buta. Nie chciał wejść. Spróbowałem wciągnąć prawy, ale też nie pasował. Wziąłem jeden kalosz do ręki i spojrzałem na numer wytłoczony na podeszwie. Kalosze były za małe.

– To nie mój rozmiar – powiedziałem do Margarety, która zbierała z podłogi rozrzucone skarpety.

Zastanowiłem się, jak może się pochylać tak nisko, nie tracąc przy tym równowagi.

– Niestety nie mogę pomóc – powiedziała. – Nie ja składałam zamówienie.

– Przyszła tylko jedna para? Nie zamawialiście więcej?

– Nie, przyszły tylko te.

Włożyłem kalosze z powrotem do pudełka.

– Musi je pani zwrócić i złożyć nowe zamówienie. Potrzebny mi rozmiar 43, nie 41. Nie mam tak małych stóp.

Margareta zanotowała numer na rozciętej kopercie leżącej na ladzie obok kasy.

– Może da się ich trochę pogonić? – zapytałem, wstając z taboretu. – Przysyłanie tej za małej pary zajęło im strasznie dużo czasu.

– Nie wiem, nie znam się na tym – odparła Margareta z cichym lamentem.

Chyba uważała, że mam do niej pretensje i obarczam ją odpowiedzialnością za niewłaściwe zamówienie.

Zobaczyłem przez okno, jak Louise podjeżdża samochodem pod sklep. Włożyłem stare kalosze i wyszedłem. Kiedy Margareta znów pochyliła się nad rozrzuconymi skarpetami, poczułem ogromną chęć, żeby ją popchnąć i wywrócić. Byłem pewien, że wystarczyłoby leciutko dotknąć ją palcem. Zrobiło mi się głupio na myśl, że moje złe cechy nie słabną wraz z upływem lat.

Louise prowadziła nierówno i często przekraczała dozwoloną prędkość. I chociaż to nie ja uczyłem ją prowadzić, musiałem przyznać, że jeździła równie źle jak ja. Tak samo jak ja dodawała zbyt dużo gazu i trzymała się za blisko niewidzialnej środkowej linii na jezdni. Byłem ciekaw, czy w ogóle ma prawo jazdy. Nigdy go nie widziałem.

Jechaliśmy przez jesienny las. Poprosiłem ją, żeby zachowała ostrożność, zwłaszcza tam, gdzie drzewa rosły najgęściej, bo chodziły tamtędy łosie. Parę lat temu jakiś zamożny przedsiębiorca, mający w okolicy duży dom letniskowy, zginął na miejscu w zderzeniu z wielkim łosiem. Nie zauważyłem, by Louise zwolniła albo stała się bardziej uważna. W żaden sposób nie skomentowała też mojej prośby.

Bardzo rzadko, a właściwie nigdy nie wiedziałem, co moja córka myśli w danej chwili. Jej wewnętrzny świat krył się za wałami obronnymi i barykadami. Były niewidzialne i nie dało się ich pokonać. Podejrzywałem, że ja jestem w jej oczach równie zamknięty w sobie, jak ona dla mnie. Ciekawiło mnie, jak wyglądają

moje wewnętrzne fortyfikacje. Czy równie trudno się przez nie przebić?

Na szczycie pagórka napotkaliśmy jadącą z naprzeciwka ciężarówkę. Była za szeroka, by się z nami minąć, i choć Louise zjechała daleko na pobocze, o mało nie otarliśmy się o nią lusterkiem. Mimo to moja córka miała niewzruszoną minę, podczas gdy ja gwałtownie nacisnąłem na nieistniejący po mojej stronie hamulec.

– Jedziesz za szybko – rzuciłem ze złością, kiedy już trochę ochłonałem.

– To on jechał za szybko, nie ja.

Spodziewałem się sprzeczki, ale Louise wypowiedziała te słowa spokojnym tonem, jakby nic się nie stało.

– Znalazłeś zegarek? – spytała niespodziewanie.

Spojrzałem na nadgarstek, jak gdybym wciąż miał zegarek na ręce.

– Nie – odparłem. – Nigdzie go nie ma.

– Musiał wpaść do morza, kiedy wiosłowałeś.

– Nie. Jestem pewien, że tak się nie stało.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu to wiem.

– Właściwie nie potrzebujesz tego zegarka. Życia i tak nie da się zmierzyć.

– Mierzy się czas, nie życie.

Posłała mi szybkie spojrzenie, ale nic już nie powiedziała.

Dawniej, jako lekarz, byłem zmuszony niemal codziennie rozmyślać o ulotności życia. W przeciwieństwie do duchownego głoszącego, że krótkie życie jest tylko wstępem do życia wiecznego, lekarz rozumie, co naprawdę oznacza owa ulotność. Kiedy rozmyślałem o tym, jak nagle i niespodziewanie potrafi zaatakować śmierć, przed oczami przewijała mi się seria obrazów. Widziałem nie tylko śmiertelnie chorych, nierzadko starych już ludzi, dla których nie było ratunku i którzy mieli świadomość, że lada chwila czas się dla nich zatrzyma. Oni byli gotowi na śmierć. Zwykle mówili to swoim bliskim przychodzącym z wizytą, ale rzadko była to prawda. Kiedy bliscy wychodzili i ostatni raz machali w drzwiach

na pożegnanie, umierającym cisnęły się do oczu łzy. A potem, gdy za ich rodzinami zamykały się drzwi, dopadał ich strach.

Śmierć najlepiej rozumiały dzieci. Nie była to tylko moja obserwacja, mówiło o tym wielu lekarzy. Jak to możliwe, że właśnie one, które miały mieć przed sobą całe życie, przyjmowały wiadomość o śmierci z takim zrozumieniem? Leżały w swoich łóżkach i ze spokojem oczekiwały tego, co musiało wkrótce nastąpić. Zamiast życia, którego nie było im dane przeżyć, czekał na nie inny, nieznany świat.

Dzieci niemal zawsze umierały w milczeniu.

Nieczęsto rozmyślałem o swojej śmierci, ale kiedy siedziałem w samochodzie prowadzonym tak nieostrożnie przez Louise, w końcu dopadła mnie ta myśl. Kiedyś wyobrażałem sobie, że lekarze umierają inną śmiercią niż ludzie, których nazywa się pacjentami. Lekarz dobrze zna wszystkie procesy prowadzące do zatrzymania pracy serca, mózgu czy innych organów. Dlatego lekarz powinien przygotować się na śmierć w inny sposób niż ktoś wykonujący inny zawód. Teraz zrozumiałem, że to bzdura. Śmierć jest tak samo trudna do zaakceptowania i równie ciężko jest się do niej przygotować lekarzowi jak komukolwiek innemu. Nie wiedziałem, czy będę umierał w ciszy, czy będę stawiał zaciekły opór. Nie miałem pojęcia, co mnie czeka.

Zerknąłem na Louise. Wciąż wydawała się nieobecna. Byłem ciekaw, o czym tak rozmyśla. Czy w jej wyobrażeniu o życiu jest miejsce na śmierć? Co znaczyła dla niej śmierć Harriet? Co znaczy dla niej dziecko? I co znaczy ono dla mnie?

Kiedy wjechaliśmy do miasteczka i parkowaliśmy za budynkiem banku, nadeszło oberwanie chmury. Ludzie uciekali przed deszczem, a my siedzieliśmy w samochodzie i rozdzielaliśmy między siebie sprawunki do kupienia. Zdziwiłem się, że Louise wysyła mnie do sklepu spożywczego, dotychczas byłem przekonany, że woli sama kupować jedzenie. Jednak tym razem miała inne sprawy do załatwienia, chociaż nie zdradziła mi, co konkretnie musi zrobić.

Umówiliśmy się za godzinę na obiad w restauracji z kręgielnią, a potem siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, czekając, aż przestanie padać. Zastanawiałem się, czy w któryś z najbliższych dni

nie powinienem wybrać się do miasta po kalosze, zamiast czekać na drugą przesyłkę, ale nie podjąłem w związku z tym żadnej decyzji.

Kiedy deszcz ustał, wysiedliśmy z auta i poszliśmy każde w swoją stronę. Szedłem już w kierunku sklepu spożywczego, gdy usłyszałem za sobą wołanie Louise. Dała mi znak, żebym zaczekał. Podbiegła i wręczyła mi kluczyki do samochodu.

– Pewnie wrócisz przede mną – powiedziała.

– Nie, na pewno nie.

Odwróciła się na pięcie i poszła. Zastanowiłem się, dokąd tak ucieka i co to za sprawa, którą musi załatwić. Odprowadzałem ją wzrokiem, aż weszła do banku.

Zakupy zajęły mi pół godziny. Zdawało mi się, że kupiłem wszystko, co było nam potrzebne na najbliższy tydzień. Wziąłem też gazetę z krzyżówkami. W sklepie nie było prawie żadnych klientów poza mną. Kasjerka, przypominająca gabarytami żonę Nordina, drzemała przy kasie. Wróciłem do auta, wsadziłem zakupy do bagażnika i zastanowiłem się, czy pójść do apteki. Po chwili się rozmyśliłem. Niczego mi w tej chwili nie brakowało.

Było jeszcze za wcześnie, by udać się do restauracji, poszedłem więc na spacer na starą, nieużywaną już stację kolejową. Zdemontowano tam tory jeszcze na długo przed tym, nim sprowadziłem się na wyspę moich dziadków. Idąc w stronę stacji, zajrzałem do paru sklepów, żeby sprawdzić, czy w którymś z nich nie ma Louise. Nigdzie jej nie spotkałem. Sklep obuwniczy, w którym bezskutecznie próbowałem kupić kalosze, miał nową wystawę. W witrynie stały teraz buty jesienne i zimowe kozaki. Spróbowałem zajrzeć do środka przez szybę, ale nie udało mi się niczego więcej zobaczyć. Dotarwszy na starą stację, przypomniałem sobie jak będąc małym chłopcem, przyjeżdżałem tutaj szynobusem i na stacji czekał na mnie dziadek. Przyjazdom tym towarzyszyło uczucie wyzwolenia, bo zjawiałem się tu głównie latem, po zakończeniu roku szkolnego. Teraz, po wielu latach, to uczucie odzyskanej wolności zdawało mi się zupełnie niezrozumiałe. Zastanowiłem się, czy tamten mały chłopiec i ja stojący tu i teraz to naprawdę jedna i ta sama osoba. A może dzielił nas nieprzekraczalny dystans? Myśl o dawno minionym dzieciństwie

wprawiła mnie na moment w bardzo zły nastrój. Opuściłem tę starą stację najszybciej, jak mogłem.

Wracając, zatrzymałem się przed witryną małego sklepu z antykami i patrzyłem na stłoczone za szybą przedmioty. Spróbowałem sobie wyobrazić niegdysiejszych właścicieli poszczególnych sprzętów stojących pod warstewką kurzu z przymocowanymi sznurkiem metkami z ceną, wyglądającymi jak małe ogonki. Do kogo należał kiedyś zegarek z grawerunkiem na kopercie? Czyja była elegancka brzytwa?

Przez długie lata pracy w zawodzie kelnera mój ojciec nosił przy sobie specjalne pióro. I tylko nim, żadnym innym, zapisywał na bloczku zamówienia gości w restauracji. Również nim pisał wypowiedzenia z kolejnych miejsc pracy. Dostał pióro od pewnego starszego mężczyzny, który odwiedził lokal, gdzie ojciec pełnym przypadkiem dostał pracę barmana. Pióro było rodzajem napiwku. Mężczyzna, płacąc za posiłek, wręczył je mojemu ojcu i oznajmił, że już nigdy tutaj nie wróci. Ojciec nie wiedział, co było przyczyną owej deklaracji, ani dokąd odszedł ten tajemniczy mężczyzna. Parę dni później zobaczył w gazecie jego zdjęcie, a pod nim informację, że człowiek ten popełnił samobójstwo. Wypalił sobie w głowę ze strzelby. Po tym zdarzeniu ojciec nigdy nie używał innego pióra. Po jego śmierci długo go szukałem, ale nie udało mi się go odnaleźć. Nigdy się nie dowiedziałem, co ojciec z nim zrobił.

Nadciągała następna ulewa. Pospieszyłem do restauracji i gdy tylko zamknąłem drzwi, lunął deszcz. Louise nie było w środku, ale do naszego spotkania zostało jeszcze dziesięć minut. Była pora lunchu, więc sporo stolików było zajętych. Zająłem wolne miejsce w kącie sali i czekałem na córkę. Kiedy minęło pół godziny, zamówiłem jedzenie, zapłaciłem i zacząłem jeść. Skoro Louise nie potrafiła się zjawić na czas, to wyłącznie jej problem.

Zjadłem do końca, a jej wciąż nie było. Zaczekałem jeszcze parę minut, a potem zamówiłem kawę. Na zewnątrz przestało padać. Postawiłem kubek z kawą na stoliku i wyszedłem przed lokal. Rozejrzałem się po ulicy, ale nigdzie nie dostrzegłem Louise.

Byłem ciekaw, po co wcześniej mnie dogoniła i oddała mi kluczyki do auta. Coś było nie tak. Czułem, że coś dzieje się bez

mojej wiedzy, ale nie miałem pojęcia co takiego.

Wróciłem do stolika. Kawa miała gorzki smak. Wypiłem połowę i odsunąłem od siebie kubek. Ludzie powoli opuszczali restaurację. Kelnerka, która właśnie podeszła z tacą do lady, zachwiała się i upuściła szklanę. Zaraz po tym nastąpiła krótka i nieprzyjemna wymiana zdań między nią a szefem lokalu. Nie potrafiłem odgadnąć, w jakim mówili języku. Awantura zakończyła się tak samo szybko, jak się zaczęła. Postanowiłem, że zaczekam jeszcze dziesięć minut. Potem Louise będzie zdana na siebie. Miała przy sobie telefon, mogła mnie uprzedzić, że się spóźni, a moja komórka ani nie zadzwoniła, ani nie dała znaku, że nadeszła wiadomość.

Chwilę później przyszło mi do głowy, że może stało się coś złego. Na przykład wypadek. Mimo to nie odczuwałem niepokoju. Czułem, że Louise zwyczajnie nie zastosowała się do naszej umowy, że zjemy razem lunch w restauracji, a potem wrócimy razem do portu.

W końcu podjąłem decyzję, że dłużej nie czekam. Kiedy wyszedłem z restauracji, na niebie pokazało się słońce. Wróciłem do samochodu, ale i tam nie zastałem mojej córki. Dopiero kiedy usiadłem za kierownicą, zorientowałem się, że za wycieraczką jest jakaś karteczka. Czyżbym dostał mandat za złe parkowanie? Ze złością otworzyłem drzwi, wychyliłem się i wyszarpnąłem świstek.

To nie był mandat, lecz wiadomość od Louise. Kartka była sucha, więc Louise musiała ją wetknąć pod wycieraczkę po tym, jak przestało padać. Jakies dziesięć, najwyżej piętnaście minut temu.

Wiadomość była krótka.

„Jedź beze mnie”.

Wysiadłem z auta i ponownie się rozejrzałem. Nigdzie jej nie było.

Przejechałem ulicą tam i z powrotem, ale jej nie znalazłem.

W końcu wróciłem do portu. Słońce świeciło nadspodziewanie mocno, jak w letni dzień. Zaparkowałem pod domem Oslovskiej i rozejrzałem się, czy nie ma jej gdzieś w pobliżu. Dom był zamknięty na cztery spusty. Podeszedłem do garażu, ale i tam jej nie było. Coś jednak zwróciło moją uwagę. Oslovska miała zamiłowanie do porządku. Jej narzędzia zawsze były na swoich miejscach,



wisiał na haczykach i leżały równiutko na półkach, a teraz były rozrzucone na betonowej posadzce.

Podszedłem z powrotem do domu i zrobiłem coś, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło. Zapukałem do drzwi. Najpierw raz, potem drugi i trzeci. Odpowiedziała mi cisza. Firanki w oknach były zaciągnięte. Przytknąłem ucho do drzwi, ale wciąż nic nie słyszałem. Wyglądało na to, że naprawdę nikogo tam nie ma.

W końcu się poddałem. Wyjąłem zakupy z bagażnika i poszedłem do portu. Margareta Nordin stała przed drzwiami do sklepu i wystawiała twarz do słońca. Z jakiejś przyczyny uznałem, że to objaw ogromnego smutku po śmierci męża.

– Dziwne, że zrobiło się tak ciepło – zagadnąłem.

– Wszystko jest dziwne – odparła. – Siedzę tu i próbuję zrozumieć, dlaczego umarł mój mąż.

– Nie sposób zrozumieć śmierć. Kieruje się swoimi prawami. Jest jak zatwardziały anarchista.

Margareta spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem. Rozumiałem ją. Moje własne słowa i dla mnie zabrzmiały dość dziwnie. Chociaż to była prawda.

Kiedy szedłem do łodzi, Alexandersson stał przed budynkiem straży przybrzeżnej i palił fajkę. Gdy mnie zobaczył, szybko schował się do środka. Pewnie myślał, że go nie dostrzegłem. Czy doszło już do tego, że nikt nie chce ze mną rozmawiać?

Rzuciłem siatki na pokład, odwiązałem cumę i odepchnąłem łódź od nabrzeża, jeszcze zanim włączyłem silnik. Nie przejąłem się tym, że ochlapałem się, kiedy wsiadałem. Chciałem jak najszybciej odpłynąć.

Oczywiście silnik musiał się zaciąć. Zaskoczył dopiero wówczas, gdy prąd zniósł mnie już spory kawałek od portu. Podejrzewałem, że Alexandersson stoi w oknie i obserwuje tę scenę. Byłem ciekaw, czy przygląda mi się z niechęcią, czy też ze współczuciem. Sądziłem raczej, że ma mnie za zdrajcę. Za kogoś, kto udawał uczciwego, ale okazał się przestępcą.

Obrałem kurs na moją wyspę. Wiał ciepły wiatr, chociaż był już listopad. Mniej więcej w połowie drogi nagle zwolniłem i wrzuciłem luz.

Zrozumiałem, że Louise wyjechała. Nie dbała o żaden bagaż. Wiedziałem, że kiedy wrócę do przyczepy, odkryję, że zniknął jej paszport, pieniądze i karta płatnicza. Wszystko to, co było jej niezbędne do kolejnej podróży. Zaplanowała to i od początku nie miała zamiaru przychodzić do restauracji. To dlatego oddała mi kluczyki do auta. Wiedziała, co robi, i pewnie zaraz po tym, jak wetknęła mi wiadomość pod wycieraczkę, poszła prosto na dworzec autobusowy i wyjechała z miasteczka. Nie miałem pojęcia, co zamierzała zrobić dalej. Tym bardziej, dokąd pojechała.

Zabrała swoje nienarodzone dziecko. Gdzieś tam czekał na nią jego ojciec.

Pozwoliłem łodzi swobodnie dryfować. Czułem rozczarowanie z powodu ucieczki Louise. Ale nie była to jedyna myśl. Wraz z rozczarowaniem w mojej głowie zaświtało coś jeszcze, pewne podejrzenie, które szybko przybierało na sile.

Przypomniałem sobie poranek, kiedy ja i Louise siedzieliśmy razem przed namiotem. W pewnej chwili powiedziała, że idzie się załatwić, i otarła się o mnie, mijając mnie. Potem, kiedy wróciłem na wyspę, odkryłem, że nie mam zegarka.

Ta myśl wprowadziła mnie w konsternację. To Louise zabrała mój zegarek. Moja córka była zręcznym kieszonkowcem. Musiało tak być, nie miałem już żadnych wątpliwości.

W pierwszej chwili nie chciałem w to wierzyć, za bardzo mnie to przerażało. Jednak z każdą minutą ta świadomość stawała się coraz bardziej wyraźna i w końcu nie mogłem już dalej zaprzeczać. Moja córka była kieszonkowcem. Żyła z kradzieży. Nie było innego wyjaśnienia.

Kiedy później jechaliśmy samochodem, zapytała mnie o godzinę tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie żywię wobec niej żadnych podejrzeń. Moja odpowiedź upewniła ją, że wciąż nie pojmuję, w jaki sposób zniknął mój zegarek.

Przekląłem głośno ją i swoją naiwność. Nie chciałem jej więcej widzieć. Nie była mi potrzebna ani córka, ani żaden wnuk.

Ukradła mój zegarek i uciekła do jakiegoś anonimowego mężczyzny, który był ojcem jej dziecka.

Usiadłem na dziobie łódki, wyprostowałem nogi i zamknąłem oczy. Wkrótce ze zmęczenia i smutku zmorzył mnie sen.

Przebudziłem się, kiedy zgasł silnik. Śniłem o Harriet. Stała nad zgliszczami mojego domu i wyglądała dokładnie tak jak tamtego zimowego dnia, kiedy ujrzałem ją z balkonikiem na lodzie. I choć we śnie była późna jesień, tak jak teraz, Harriet miała na sobie zimowe ubranie i narzekała, że zmarznie. Objąłem ją ramieniem i powitałem na mojej wyspie, a ona ugryzła mnie w rękę.

Oprzytomniałem w parę sekund. Pociągnąłem za sznurek, włączyłem silnik i popłynąłem do domu.

Zacumowałem łódź w hangarze i poszedłem prosto do przyczepy. Paszport, pieniądze i karty Louise rzeczywiście zniknęły. Zajrzałem do jej torby podróżnej i na dnie znalazłem mój zegarek. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że cisnąłem nim z całej siły o ścianę. Kiedy go później podniosłem, wciąż chodził. Założyłem go na rękę i rzuciłem się na łóżko. Zostawiłem uchylone drzwi do przyczepy. Było bezwietrznie.

– Louise – powiedziałem głośno.

Tylko tyle. Po prostu wypowiedziałem jej imię. Nic więcej. Nie wołałem jej, ani nie prosiłem, żeby do mnie wróciła. Zwyczajnie wypowiedziałem jej imię.

Chwilę później postanowiłem popłynąć na wysepkę z namiotem. Wiosłowanie zawsze mnie uspokajało. Wystarczyło, że usiadłem w łódce i zrobiłem kilka ruchów wiosłami, a już powoli opuszczał mnie niepokój. Nie spieszyłem się i robiłem częste przerwy w wiosłowaniu. Wyobrażałem sobie Louise w różnych miejscach i w różnych sytuacjach. W autobusie, w hali odlotów na lotnisku, na pokładzie promu. Ciekawiło mnie, dlaczego wybrała na wyjazd akurat ten dzień. Czy to ja ją do tego skłoniłem, zadając zbyt natarczywe pytania o sposób, w jaki zarabia na życie? A może nie radziła sobie z myślą, że jej ojciec podejrzewany jest o podpalenie własnego domu?

Z każdą chwilą Louise stawała się dla mnie coraz większą zagadką. Wiedziałem już, że jest kieszonkowcem, ale jednocześnie

angażowała się w pomoc chorym ludziom, umożliwiając im obejrzenie dzieł Rembrandta ostatni raz przed śmiercią. To jakoś do siebie nie pasowało.

Zrobiłem sobie kolejną przerwę w wiosłowaniu. Przyszło mi na myśl, że być może Louise wierzy w to, że podpaliłem dom.

Znowu chwyciłem za wiosła i opłynąłem wysepkę. Kiedy chwilę później wciągałem łódkę na brzeg, byłem zlany potem.

Nagle stanąłem jak wryty. Ktoś tu wcześniej był i nie zatuszował śladów swojej obecności. I nie była to Louise, ale ktoś inny.

Poznałem to po układzie kamieni wokół paleniska. Nie leżały w tych samych miejscach, w dodatku było ich więcej. Otworzyłem namiot i wszedłem do środka. Śpiwór leżał na swoim miejscu, ale był zasunięty. Zasuwałem go tylko wówczas, kiedy kładłem się spać, a potem zawsze zostawiałem zamek rozsunięty, żeby śpiwór się wietrzył. A teraz był całkiem zamknięty.

Wszedłem z namiotu. Zaskoczyło mnie, że ktoś tutaj był, używał mojego śpiwora i palił ognisko. Ruszyłem na spacer po wysepce, w poszukiwaniu dalszych śladów. Nic nie znalazłem. Wróciłem do niecki z namiotem i usiadłem na kamieniu, na którym zwykle jadłem posiłki, próbując utrzymać talerz albo kubek z kawą na kolanach. Czyżby mi się to wszystko zdawało? Nie, na pewno się nie myliłem. Ktoś tutaj był, przebudował moje palenisko i siedział w namiocie.

Latem łatwiej byłoby mi to zrozumieć. W namiocie mogłyby się przespać jakieś pływające kajakiem dzieciaki. Ale teraz, jesienią? Nie mógł to przecież być nikt z mieszkańców.

Zanim poszedłem z powrotem do łódki i powiosłowałem do domu, znalazłem mały brązowy kamyk w kształcie grotu od strzały i położyłem go na samym dole zamka w namiocie. Jeśli ktoś będzie rozsuwał namiot, odsunie kamyk. Był za ciężki, żeby poruszył go wiatr, jednocześnie nikomu nie przyszłoby do głowy, że ten kamyk jest rodzajem pułapki.

Powróciwszy do przyczepy, przygotowałem sobie coś do zjedzenia. Potem kilka razy wychodziłem na wzniesienie i obserwowałem wysepkę przez lornetkę. Nikogo tam nie było. Po posiłku usiadłem przy stole i otworzyłem jedną z gazet

z krzyżówkami. Nie mogłem się jednak skoncentrować. W końcu oderwałem kawałek papierowej torby po zakupach i zacząłem na niej spisywać w punktach to, co przytrafiło mi się przez ostatnich parę tygodni. Pożar domu. Podejrzenie o podłożenie ognia. Cięża Louise.

Notowałem dłuższą chwilę, aż się zorientowałem, że szkicuję groteskowe, obrzmiałe twarze. Zmiałem papier i wrzuciłem go do zlewozmywaka.

Potem znowu poszedłem na wzniesienie, ale z postanowieniem, że to ostatni raz. Było już ciemno i nie mogłem użyć lornetki. Mimo to chciałem sprawdzić, czy na wysepce nie płonie ognisko. Wszędzie wokół panowała ciemność.

Wracając do przyczepy, wciąż próbowałem odgadnąć, kto był w moim namiocie. Nagle przypomniało mi się zasłane łóżko w opuszczonym domu w Hörum.

Połknąłem tabletkę nasenną i położyłem się na łóżku. Zapach poduszki sprawił, że zateśniłem za Louise. Wzruszyłem się.

Pomyślałem o jej nienarodzonym dziecku. Miałem nadzieję, że pojechała do jego ojca.

Tuż przed tym, nim zadziałała tabletkę, w moich myślach pojawili się moi rodzice. Kiedyś, kiedy byłem małym chłopcem, schowałem się przed nimi pod stołem. Myśleli, że śpię w swoim pokoju, ale ja uznałem, że schowanie się pod stołem będzie pasjonującą przygodą. Nie zrobiłem tego z ciekawości, czy o mnie rozmawiają albo podejmują beze mnie jakieś decyzje. Siedziałem cicho i patrzyłem na ich stopy. Ojciec, który po powrocie do domu z restauracji, gdzie akurat pracował, zawsze skarżył się, że bolą go nogi, od razu zdejmował buty i skarpetki. Zaczynał od tego, dopiero potem zdejmował kapelusz i płaszcz. Zupełnie, jakby nie cierpiał nosić niczego na stopach. A po szczególnie długiej i trudnej zmianie mama przygotowywała mu specjalną kąpiel. Wówczas siedział w przy stole, ze stopami zanurzonymi w miednicy i jadł tak kolację albo popijał wino. Natomiast mama nigdy nie chodziła boso. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział ją chodzącą bez butów.

Tamtego wieczoru, kiedy schowałem się pod stołem, ojciec znów moczył nogi w miednicy. Na górze pobrzękiwały kieliszki z winem. Nagle mama powiedziała do ojca, że chciałyby, abym miał rodzeństwo. Zadrżałem z przerażenia. Podobna myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Zawsze uważałem się za jedyne dziecko w tej rodzinie i zakładałem, że zawsze już tak zostanie. Nie potrzebowaliśmy więcej dzieci. Słyszac mamę wypowiadającą te słowa, poczułem się tak, jakby zamierzała mnie oddać jakiejś obcej rodzinie. Nie wierzyłem, że chodzi o rodzeństwo dla mnie, ona zwyczajnie chciała mnie wymienić na nowe dziecko. Nie sprawdziłem się i zamierzała się mnie pozbyć.

Ojciec nie odpowiedział. Usłyszałem tylko kolejne brzęknięcie kieliszka. W jednej chwili podjąłem decyzję, że muszę zaprotestować, i z braku lepszego pomysłu wbiłem zęby w łydkę mamy, tuż nad butem. Ugryzłem ją najsilniej, jak mogłem. Wrzasnęła głośno i poczułem szarpnięcie. Próbowwała wyswobodzić nogę, ale moje zęby nie chciały puścić. W efekcie poderwała się na równe nogi, wywróciła stół i wywlokła mnie spod obrusa, wciąż uwieszonego na jej łydce. Kiedy w końcu udało jej się rozewrzeć moją szczękę i uwolnić, spojrzałem na ojca. Stał z kieliszkiem w dłoni, poderwawszy się od stołu w chwili, kiedy kieliszek zmierzał do jego ust. Patrzył na mnie oczami wytrzeszczonymi ze zdziwienia, czy też raczej ze zgrozy na widok syna z ustami zboczonymi krwią, niczym u wampira.

Był to jedyny raz, kiedy mama mnie uderzyła. Nie zrobiła tego ze złości, ale ze strachu. Po latach zrozumiałem, jak przerażające musiało być dla niej to nagłe ugryzienie w nogę, kiedy spokojnie siedziała przy stole, rozmawiała z mężem i popijała wino.

Płakałem głośno po tym, jak mnie uderzyła. Ale również nie z bólu, tylko ze strachu, że zostanę wymieniony na nowe dziecko.

Tamtego wieczoru przestałem być dzieckiem i stałem się kimś innym, ale zrozumiałem to dopiero po wielu latach. Nie byłem ani dzieckiem, ani dorosłym i funkcjonowałem w jakiejś nieistniejącej rzeczywistości. Mama do końca życia miała wyrzuty sumienia z powodu tego, że mnie wtedy uderzyła. Wiedziałem, choć nigdy o tym nie mówiła. W każdym jej spojrzeniu kryło się pytanie, czy jej

wybaczyłem. Umarła, nie poznawszy odpowiedzi. Ja sam dziś wiem już tylko tyle, że nie doczekałem się rodzeństwa. Być może przyczyną był mój gwałtowny protest. Ojciec wspomniał o tym incydencie tylko raz, kiedy miałem trzynaście lub czternaście lat. Właśnie wyrzucono go z pracy, bo pokłócił się z szefem o jakieś sprawy organizacyjne. Chciał znaleźć zatrudnienie w parku rozrywki Tivoli w Kopenhadze i zabrał mnie ze sobą do Danii. Mama posłała mu ciężkie spojrzenie, kiedy oznajmił, że być może będziemy musieli się tam przeprowadzić.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, ojciec miał jeszcze godzinę do spotkania w sprawie pracy. Był maj, słońce przygrzewało przyjemnie, ale gdy chowało się za chmurę, robiło się chłodno. Piliśmy lemoniadę i trzęśliśmy się z zimna, kiedy znikaly promienie słońca. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ojciec zapytał mnie, co robiłem pod stołem tamtego wieczoru, kiedy ugryzłem mamę. Zadał to pytanie przyjaznym i spokojnym tonem, niemal ostrożnie. Nie miał zwyczaju tak się zachowywać, kiedy mnie o coś pytał. Zabrzmiało to tak, jakby chciał się dowiedzieć, czy życzę sobie czegoś do picia albo do jedzenia.

Odpowiedziałem mu zgodnie z prawdą. Ugryzłem mamę ze strachu, że nie nadaję się na syna i zostanę zastąpiony nowym dzieckiem.

Ojciec nie zapytał mnie już o nic więcej. Po wielu latach doszedłem do wniosku, że zrozumiał moje zachowanie. Uznał, że mój atak na mamę miał uzasadnioną przyczynę.

Nie dostał pracy w Kopenhadze. Wróciliśmy do domu. Parę tygodni później znalazł zatrudnienie w restauracji przy dworcu głównym i przepracował tam sześć lat, najdłużej ze wszystkich miejsc, w których był kelnerem. Czasem przychodziliśmy tam z mamą, a on podawał nam jedzenie. Patrząc na niego manewrującego z tacą między stolikami, podjąłem decyzję, że nigdy nie zostanę kelnerem.

Musiałem zasnąć, wspominając rodziców, bo nagle obudził mnie dzwonek telefonu. Poderwałem się gwałtownie i usiadłem przestraszony. Przenikliwy dźwięk wypełniał całą przyczepe.

W słuchawce odezwał się jakiś mężczyzna. Nie poznawałem jego głosu.

– Fredrik?

– Tak. Kto mówi?

– Nie musisz wiedzieć, kim jestem. Dzwonię, żeby cię ostrzec.

– Przed czym?

– Zostaniesz zatrzymany. Być może już jutro.

– Kim jesteś?

– Przyjacielem. Chyba. Albo po prostu kimś, kto cię ostrzega.

Na tym rozmowa się zakończyła. Potem jeszcze długo powtarzałem ją w myślach. Głos mężczyzny był mi całkiem obcy. Nie umiałem ocenić, czy był prawdziwy, czy celowo zniekształcony. Może ten mężczyzna mówił przez chusteczkę?

Wystraszyłem się. Trzęsły mi się dłonie.

Tej nocy bardzo źle spałem. Kiedy świtało, byłem już na nogach. Wciąż nie wiedziałem, co myśleć o wczorajszej rozmowie. Wykąpałem się w lodowatej wodzie, żeby trochę oprzytomnieć i zaraz po tym, jak się wytarłem i ubrałem, byłem gotów podjąć decyzję. Postanowiłem, że nie zostanę ani w przyczepie, ani na wysepce z namiotem. Nie zamierzałem uciekać, po prostu potrzebowałem czasu, żeby zrozumieć, co mnie spotkało.

Wstał szary dzień. Wiał słaby północny wiatr. Patrząc przez lornetkę, upewniłem się, że nikogo nie ma na wysepce. Wepchnąłem do kieszeni kurtki wszystkie wybrane z banku pieniądze i wyszedłem z przyczepy. Nie zamknąłem za sobą drzwi. Silnik zaskoczył przy pierwszym szarpnięciu. Odleciał już ostatni klucz ptaków. Dopłynąwszy do portu, zacumowałem łódź na jego najdalszym krańcu, zaraz za starym kutrem rybackim, który stał tam od lat. Pani Nordin nie otworzyła jeszcze swojego sklepu. Kawiarnia Weroniki też była zamknięta, tylko przed sklepem spożywczym stał samochód z pieczywem.

Poszedłem prosto pod dom Oslovskiej. Zajrzałem do garażu i stwierdziłem, że narzędzia wciąż są rozrzucone na podłodze, choć ktoś ich w międzyczasie używał, bo niektóre z nich znajdowały się w innych miejscach niż poprzednim razem. Widocznie Oslovska dalej majstrowała przy swoim samochodzie.



Nie zapukałem do jej drzwi, nie zauważyłem też żadnego ruchu za firanką.

Wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Można było uznać, że mam pewien plan. Ale nikt, nawet ja, nie był w stanie przewidzieć, czy ten plan się powiedzie.

Blok miał trzy piętra i stał przy wjeździe do miasteczka. Kiedy byłem dzieckiem, jak okiem sięgnąć rozciągały się tu tylko pola i łąki, na których pasły się krowy. Budynki postawiono w latach sześćdziesiątych. Wszystkie na ówczesną modłę, więc wyglądały identycznie.

Zaparkowałem pod tym, który stał najbliżej lasu. Z okien na najwyższym piętrze na pewno dało się dostrzec głęboką zatokę, a dalej, na horyzoncie, otwarte morze.

Nie było trudno go znaleźć. Gdy dotarłem do miasteczka, zadzwoniłem do biura numerów i zdobyłem adres Lisy Modin.

Zjadłem wczesny obiad w restauracji z kręgielnią, a potem wybrałem się na spacer ścieżką wiodącą wzdłuż zatoki. Za każdym razem, kiedy mijałem kogoś idącego z naprzeciwka, spuszczałem wzrok. Wbiłem sobie do głowy, że zostanę rozpoznany.

To był długi spacer. Wróciłem do samochodu dopiero koło drugiej. Ktoś wetknął mi za wycieraczkę ulotkę z ogłoszeniem, że nazajutrz przyjedzie do miasteczka obwoźny sprzedawca malin nordyckich i będzie sprzedawał swój towar na targu między dwunastą a czternastą. Zdziwiłem się, że można dostać świeże maliny tak późną jesienią.

Podjechałem pod blok Lisy Modin i zaparkowałem w miejscu, z którego miałem dobry widok na drzwi wejściowe. Przez lornetkę obejrzałem okno po oknie, ale ani firanki, ani doniczki z kwiatkami nie pomogły mi odgadnąć, które z mieszkań wynajmuje Lisa.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do drzwi. Były otwarte, więc wszedłem na klatkę schodową i na ścianie po lewej znalazłem tablicę ze spisem mieszkańców. Nie było tu windy. Na sąsiedniej ścianie ktoś napisał „Gringo” czerwonym flamastrem. Napis był przekreślony, zapewne przez kogoś innego, a obok widniało obraźliwe „Pojob”.

Lisa Modin mieszkała na ostatnim piętrze. Były tam dwa mieszkania, jedno oznaczone nazwiskiem „Modin I.”, drugie – „Cieslak w.”. Miałem ochotę od razu wyjść na górę i zadzwonić do drzwi, lecz doszedłem do wniosku, że jest za wcześnie. Poza tym chciałem mieć pewność, że Lisa jest w domu.

Siedziałem w samochodzie prawie cztery godziny, aż wreszcie się zjawiła. Wcześniej patrzyłem, jak dzieci wracają ze szkoły, porzucając niedbale rowery pod blokiem, był też dozorca, żeby naoliwić zawiasy w drzwiach, a potem długo obserwowałem staruszka z balkonikiem, wychodzącego z budynku w tak wolnym tempie, iż byłem pewien, że przy kolejnym kroku już na pewno upadnie. Z poręczy balkoniku zwisała siatka z zakupami. Patrząc na niego, pomyślałem, że ma co najmniej tysiąc lat i wędrował przez kolejne stulecia, aż w końcu trafił tu, do bloku z szarego betonu o oknach bez szprosów i z tak małymi balkonikami, że ledwie mieściły się na nich dwie osoby.

W czasie tych paru godzin czekania starałem się nie myśleć o wczorajszym anonimowym telefonie z ostrzeżeniem, że zamierzają mnie aresztować. Nie miałem też siły analizować, dlaczego nagle zdecydowałem się opuścić wyspę i pojechać prosto do Lisy Modin. Z jakiejś przyczyny przyszło mi do głowy, że pozwoli mi zatrzymać się u siebie na parę dni. Prawdę mówiąc, nie potrzebowałem miejsca na nocleg, ale towarzystwa kogoś, z nim będę mógł porozmawiać. Prawie nie znałem Lisy Modin, a ona nie знаła mnie. Jednak teraz, kiedy Louise nagle wyjechała, nie miałem nikogo, z kim byłem gotów podzielić się swoimi kłopotami.

Szukałem głosu rozsądku i pocieszenia. Oczywiście nie mogłem mieć pewności, czy Lisa Modin będzie gotowa mi to zaoferować. Liczyłem się z tym, że być może nawet nie zechce mnie wpuścić do domu albo nie otworzy, zorientowawszy się, kto stoi pod drzwiami.

Z bloku wyszła jakaś kobieta. Była podobna do Harriet w czasach młodości, kiedy ją poznałem i kiedy wdaliśmy się w krótki i chaotyczny romans.

Spotkaliśmy się czterdzieści lat temu. Ja byłem świeżo upieczonym lekarzem. Stało się to tak jak zazwyczaj – przez przyjaciół, zupełnym przypadkiem. Wiedziałem od razu, że Harriet

nie jest miłością mojego życia, ale bardzo mnie pociągała. Potem szybko stało się dla mnie jasne, że ona wiązała ze mną dużo większe nadzieje. Przez jakiś czas ją oszukiwałem, zapewniając, że moja miłość do niej jest o wiele większa niż potrzeba seksualnego zaspokojenia. Pamiętam, że miałem wówczas ogromne wyrzuty sumienia, ale mimo to zapewniałem ją, że podzielam jej wielkie uczucie. Nawet wiele lat później, kiedy niespodziewanie zjawiała się na mojej wyspie ze swoim balkonikiem i nieuleczalnym nowotworem, nie przyznałem się jej do tego, co naprawdę czułem do niej wtedy, dawno temu. Oszukałem ją ponownie, nie wyznając jej prawdy.

Kobieta zeszła ulicą w dół pagórka i zniknęła mi z oczu. Byłem już bliski decyzji, że się poddam, wracam na wyspę i czekam, aż przyjedzie po mnie policja. Nie było sensu uciekać i uganiać się za nieistniejącą kryjówką.

Nagle zatęskniłem za matką, za ojcem i za rodzeństwem, którego nigdy nie miałem. Za Janssonem i jego urojonymi dolegliwościami, za zmarłą Harriet, za Louise, nawet za Oslovską i Nordinem, który zamówił dla mnie za małe kalosze.

Byłem ciekaw, czy istnieje ktokolwiek, kto tęskni za mną.

Ujrzałem Lisę Modin idącą drogą pod górkę w stronę bloku, kiedy zegarek wskazywał za dziesięć szósta. Miała plecak zarzucony na jedno ramię, a w drugiej ręce niosła reklamówkę z tego samego sklepu spożywczego, w którym robiłem zakupy i ja. Na głowie miała czerwony beret i szalik owinięty wokół szyi. Nie spuszczać z niej wzroku, zapadłem się w siedzeniu najniżej, jak mogłem. Weszła do budynku i po krótkiej chwili w oknie na trzecim piętrze, tym znajdującym się najbliżej niewidocznej stąd zatoki, zapaliło się światło. Wkrótce uchyliło się okno i za szybą mignęła sylwetka Lisy Modin.

Wysiadłem z auta i podszedłem do drzwi. Na klatce schodowej minąłem się z grupą nastoletnich chłopców. Śmiali się głośno i rozmawiali o dziewczynie imieniem Rosalin, będącej najwyraźniej obiektem westchnień ich wszystkich, bo wyobrażali sobie, jak ją rozbierają i idą z nią do łóżka.

Wspinałem się po schodach powoli, żeby nie złapać zadyszki. Zza jednych drzwi było słycać skrzypce, zza innych – głośną rozmowę przez telefon. Przed tymi drugimi stał balkonik, wywnioskowałem więc, że to właśnie tu mieszka tysiącletni staruszek. Zastanowiło mnie, czy potrzebuje oparcia jedynie podczas spacerów poza domem, a może ma drugi balkonik, wyłącznie do użytku w mieszkaniu.

Wszedłszy na ostatnie piętro, przystanąłem na moment, żeby uspokoić oddech. Miałem przyspieszony puls, chociaż wchodziłem powoli. Na drzwiach mieszkania Lisy Modin wisiało zdjęcie mężczyzny z aparatem fotograficznym. Podszedłem bliżej i przeczytałem podpis pod fotografią. Mężczyzna nazywał się Robert Capa, a zdjęcie zrobiono we Francji pod koniec drugiej wojny światowej. Nigdy o nim nie słycałem. Ale skoro Lisa Modin powiesiła jego zdjęcie na drzwiach swojego mieszkania, musiał on wiele dla niej znaczyć.

Zbliżyłem ucho do drzwi i nasłuchiwałem chwilę, ale wewnątrz panowała zupełna cisza. Pochyliłem się i ostrożnie uchylałem klapkę szczeliny na listy. W przedpokoju paliło się światło, ale wciąż nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk.

Zawahałem się, nie wiedząc, co powinienem zrobić. Jak mam wytłumaczyć moje nagłe zjawienie się na progu jej mieszkania? Przecież mogłem wcześniej zadzwonić. Czego się właściwie spodziewałem?

Kilka razy podnosiłem rękę, żeby nacisnąć na dzwonek, ale w ostatniej chwili ją cofałem. W końcu postanowiłem się poddać. To nie miało sensu. Wiedziałem, że jeśli teraz wsiądę do samochodu i pojadę prosto do portu, zdążę dotrzeć do domu przed zmrokiem.

Ruszyłem schodami w dół, ale po paru krokach nagle zawróciłem i nacisnąłem dzwonek. Wciąż miałem ochotę uciec, ale nie ruszyłem się z miejsca. Otworzyła drzwi gwałtownym szarpnięciem, jakby ze złością, że jej w czymś przeszkodzono. Gdy mnie ujrzała, zmarszczyła czoło, ale jednocześnie się uśmiechnęła.

- To pan – powiedziała. – Od tego spalonego domu.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Nie odpowiedziała. Cofnęła się o krok i przepuściła mnie w drzwiach. Na półce pod lustrem siedział wielki czarny kot. Przyglądał mi się nieufnie. Zeskoczył na ziemię, kiedy wyciągnąłem rękę, żeby go pogłaskać.

– Ma na imię Sally – powiedziała Lisa, podając mi wieszak. – Chociaż to kocur. Nie lubi obcych.

Powiesiłem kurtkę i zdjąłem kalosze.

– Nie chcę przeszkadzać – powtórzyłem.

– Na to już za późno. Ale jestem ciekawa, co pana sprowadza.

– Nie mam dokąd pójść.

Lisa Modin miała na sobie zielony szlafrok. W reakcji na moje słowa zacisnęła mocniej pasek. Czekwała na dalszy ciąg moich wyjaśnień, ale ja nic więcej nie powiedziałem.

W końcu przerwała milczenie i zaprosiła mnie do salonu. Po drodze minęliśmy uchylone drzwi do sypialni. Zauważyłem, że kołdra jest odrzucona na bok. Prawdopodobnie odpoczywała w łóżku, kiedy zadzwoniłem.

Z okna niewielkiego salonu rzeczywiście było widać niebieskie wody zatoki. W miejscu, z którego rozciągał się najlepszy widok, stał fotel i stolik zastawiony książkami. Poza tym w pokoju było niewiele mebli, a na ścianach nie wisały żadne obrazy. Prowadziły z niego drzwi do jeszcze jednego pokoju. Kuchnia była otwarta i połączona z salonem.

Lisa wskazała mi gestem czerwoną kanapę. Stał przed nią niski stolik ze szklanym blatem. Po kształcie jego nóg można było się domyślić, że pochodził z jednego z krajów arabskich.

– Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie zaparzę herbatę dla siebie. Może pan zmieni zdanie i też się napije.

Przeszła do kuchni, a ja rozejrzałem się po pokoju. Nic nie wskazywało na to, by mieszkał tu ktoś jeszcze. Oczywiście nie miałem pewności, ale nic nie przeszkadzało mi żywić takiej nadziei. Lisa naląła gorącej wody do dzbanka i poszła do sypialni. Po chwili wróciła ubrana.

Postawiła na szklanym stoliku dzbanek z herbatą, dwa białe kubki i miskę z sucharkami.

– Niech mi pan opowie – odezwała się. – Po co pan przyszedł?

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku. Tak jest najprościej.

Wiedziałem już, że nie powiem jej prawdy, ale jednocześnie miałem świadomość, że dobre kłamstwo musi być na niej zbudowane. Zmyślane elementy mogą zawierać jedynie wyciągnięte z niej wnioski, bo tylko wtedy można manipulować nią wedle swojej woli. Z drugiej strony, nie mogłem powiedzieć prawdy, bo przecież jej nie znałem.

– Sama pani dobrze wie, gdzie jest początek – powiedziałem. – Oskarżono mnie o podpalenie własnego domu. Nie zrobiłem tego.

– W takim razie musi się pan bronić. Nie skażą pana przecież, dopóki nie udowodnią panu winy.

– Problem w tym, że już mnie skazali. Wczoraj odebrałem anonimowy telefon. Jakiś mężczyzna ostrzegł mnie, że zostanę zatrzymany. Poza tym otrzymałem parę anonimowych listów.

– Sądziłam, że odmówił pan przyjmowania korespondencji.

– Tak, ale ktoś podrzuca mi listy na ławkę przy pomoście. Nie wiem, skąd się tam biorą.

Lisa przyjrzała mi się z namysłem. Herbata, którą mi podała, była bardzo słodka. Zupełnie inna od tej parzonej przez Louise.

– Moja córka wyjechała – dodałem.

– Dlaczego?

– Niech mnie pani o to nie pyta. Nawet mnie nie uprzedziła.

– To dziwne.

– Bo moja córka jest dziwna. Podejrzewam, że utrzymuje się z prostytucji.

Nie wiem, dlaczego wypowiedziałem te słowa. Po prostu wypadły mi z ust i było już za późno, żeby je cofnąć.

– To brzmi strasznie – odparła Lisa po chwili milczenia.

Zauważyłem, że stała się czujna. Obawiałem się, że posunąłem się o krok za daleko.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odezwałem się. – Proszę zapomnieć o tym, co powiedziałem.

– Nie da się zapomnieć o czymś na rozkaz. Ale mogę spróbować. Wciąż nie wiem, dlaczego pan tutaj przyszedł.

– Nie mam dokąd pójść. Ani z kim porozmawiać.

– To nie to samo. Mógł pan zadzwonić.

– Jeśli pani chce, zaraz sobie pójdę.

– Nie powiedziałam tego.

– Nie mogłem dłużej siedzieć na tej wyspie. Prawie nikogo tu nie znam. Jest pani pierwszą osobą, o której pomyślałem. Ale teraz widzę, że to był błąd.

Lisa wciąż bacznie mi się przyglądała.

– Mam nadzieję, że pani o tym nie napisze – dodałem po chwili.

– Sądzi pan, że to by zainteresowało czytelników lokalnej gazety?

– Nie wiem.

– Skoro już pan tutaj jest, proszę mi powiedzieć, o co chodzi. Do tej pory nie rozumiem, dlaczego opuścił pan swoją wyspę.

Zorientowałem się, że planując kłamstwo, całkiem zapomniałem, co właściwie chcę jej powiedzieć. Choć w trakcie tego wieczoru bywały momenty, kiedy miałem ochotę wyznać jej prawdę. Marzyłem, żeby Lisa Modin zaprosiła mnie do swojego łóżka. To wszystko.

Może się tego domyślała? Kiedy zrobiło się już bardzo późno i zdążyliśmy wypić butelkę wina, zaproponowała, żebym przespał się na kanapie.

– Tylko niech pan nie oczekuje zbyt wiele – dodała.

Już miałem odpowiedzieć, że zawsze się czegoś oczekuje, ale powstrzymałem się. I tak udało mi się wiele osiągnąć.

Posłała dla mnie kanapę, zebrała naczynia ze stolika, a potem dała mi ręcznik.

– Jestem zmęczona – powiedziała. – Muszę się położyć. Rano jadę zrobić wywiad ze starszym rodzeństwem, które żyje na odludziu bez elektryczności i bieżącej wody.

Miałem nadzieję, że pozwoli mi się chociaż przytulić, ale tylko kiwnęła głową na dobranoc, pogasiła lampy, zostawiając tylko tę przy kanapie, po czym poszła do łazienki. Zaczekałem, aż skończyła się myć i zamknęła się w sypialni. Nie rozebrałem się, zgasilem tylko lampę. Potem siedziałem jeszcze długo w sączącym się przez



szybę bladym światłem ulicznej latarni. Ręcznik powiesiłem na kloszu lampy przy kanapie.

Nic nie potoczyło się tak, jak zaplanowałem. Odczuwane przeze mnie dziecinne rozczarowanie przypomniało mi o żalonych próbach podrywu z czasów, kiedy byłem nastolatkiem.

Wstałem i spacerowałem cicho po mieszkaniu. Podeszedłem nawet pod drzwi sypialni i nasłuchiwałem chwilę, ale wycofałem się, wyobraziwszy sobie, że Lisa stoi po drugiej stronie i robi to samo. Wróciłem do salonu i zajrzałem do zamkniętego pokoju. Stało tam drugie łóżko, ale Lisa używała tego pokoju jako gabinetu do pracy. Na stole pod oknem stał komputer i stara maszyna do pisania. Przejrzałem kartki rozrzucone na blacie. Były pełne luźnych, trudnych do odcyfrowania zapisków, znalazłem też kilka nieukończonych artykułów. Na podłodze pod stołem leżała sterta gazet. Myszkując po pokoju, przez cały czas nasłuchiwałem, czy nie nadchodzi Lisa Modin.

Na półce ściennej stało kilka oprawionych fotografii. Przedstawiały ludzi pozujących do zdjęć. Wyglądały na zrobione w latach trzydziestych i czterdziestych. Kobiety i mężczyźni uśmiechali się do obiektywu. Rozejrzałem się, ale nigdzie nie dostrzegłem bardziej współczesnych fotografii. Nie było zdjęć ludzi, którzy mogliby być rodzicami Lisy albo innymi krewnymi.

Jej mieszkanie emanowało pustką. Poczułem, że w jakiś sposób życie moje i Lisy Modin są do siebie podobne.

Usiadłem przy stole i zacząłem studiować zapiski z większą uwagą. Zaświeciłem lampę i przeczytałem parę listów. Trzymałem kartkę w jednej dłoni, a drugą cały czas miałem na włączniku światła. Nie chciałem zostać przyłapany, bo wielokrotnie głośno wyrażałem oburzenie wobec ludzi, którzy weszli w nie swoich sprawach. Przekonałem się, że potrafię być jednym z nich.

Jeden list był od czytelnika, który skarżył się na sposób, w jaki Lisa opisała pewną sprawę dotyczącą ochrony zwierząt. Wywnioskowałem z kontekstu, że chodziło o stado krów, które ktoś zaniedbał do tego stopnia, że trzeba było oddać zwierzęta do rzeźni. Autorem listu był mężczyzna imieniem Hebert. Czuł się dotknięty i niesłusznie oskarżony. W dolnym rogu kartki Lisa Modin

zanotowała: „Bez odpowiedzi”. Drugi list, po który sięgnąłem, był tak pełen nienawiści, że aż odebrało mi dech. O ile ja odbierałem anonimowe telefony, Lisa otrzymywała korespondencję. Jakiś mężczyzna, który nie podał imienia ani nazwiska, nie krytykował jej za coś, co napisała, ale pisał wprost, jak bardzo jest na nią napalony i jak bardzo chciałby się z nią przespać. Już po pierwszych liniijkach listu stawało się jasne, że to zboczenie o sadystycznych skłonnościach.

W dolnym rogu kartki Lisa zrobiła dopisek: „Czy da się go namierzyć?”.

W końcu wyłączyłem lampę i podniosłem się z krzesła. Podszedłem do szafy zajmującej całą ścianę naprzeciwko okna. Wisiały w niej ubrania Lisy Modin. Zrobiłem głęboki wdech i zaciągnąłem się ich zapachem. Z dna szafy podniosłem parę butów na wysokim obcasie.

Kiedy tak stałem z nimi w ręku, usłyszałem za plecami jakiś szelest. Odwróciłem się tak gwałtownie, że uderzyłem głową o drzwi. Nikt za mną nie stał. Musiałem się przesłyszeć. Odstawiłem buty na miejsce, starając się ułożyć je tak, jak je zastałem i już miałem zamknąć drzwi, kiedy mój wzrok padł na coś wiszącego w głębi szafy. Nie wiedziałem, co to jest, ale wyraźnie widziałem szwedzką flagę. Przyszło mi na myśl, że to rzeczywiście może być flaga w niewielkim formacie, przechowywana na wieszaku, ale kiedy po nią sięgnąłem i przyjrzałem się bliżej, zorientowałem się, że to wyszywana makatka. Nad flagą widniał napis „Schweden”, a pod nią – czarna swastyka na czerwonym tle.

Stałem tak chwilę, przyglądając się dziwnemu znalezisku. Było jasne, że makatka jest stara, rozpoznałem to po zażółconej bieli. W końcu umieściłem wieszak na swoim miejscu. Na sąsiednim wisiała czarna skórzana saszetka. Zdjąłem ją i poszedłem z nią do stołu. Były w niej nazistowskie odznaczenia wojskowe, między innymi złota odznaka, na której odwrocie napisano, o ile dobrze zrozumiałem, że została przyznana za walkę wręcz. Znalazłem również Krzyż Żelazny. Nie umiałem ocenić, której był klasy, oraz nóż w futerale z emblematem Waffen-ss, a na samym dnie saszetki leżała fotografia. Był na niej mężczyzna w niemieckim mundurze.

Nieogolony, z papierosem w ustach, patrzący z uśmiechem prosto w obiektyw. Na odwrocie napisano „Karl Madsen”, a tuż pod imieniem i nazwiskiem, innym charakterem pisma „front wschodni 1942”.

Odniosłem saszetkę na swoje miejsce, zgasilem światło i wyszedłem z pokoju. W sypialni Lisy Modin wciąż panowała cisza. Była za kwadrans trzecia. Położyłem się na kanapie w ubraniu i od razu zasnąłem.

Obudziło mnie coś, co zdarzyło się we śnie. Louise szła ulicą, której nie znałem. Wiedziałem, że to moja córka, chociaż jej nie rozpoznawałem. Wyglądała zupełnie inaczej. Zawołałem ją, a ona odwróciła się, spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. W miejscu jej ust zionęła czarna, bezzębna jama.

Zegarek wskazywał cztery minuty po czwartej. Myśl, że znajduję się w mieszkaniu Lisy Modin, zdała mi się całkiem nierealna. Wstałem z kanapy, podszedłem do okna i spojrzałem na plac przed blokiem, oświetlony niepewnym światłem latarni. Mój samochód stał w cieniu, poza kręgiem światła.

Znów poszedłem do pokoju, w którym Lisa miała swój gabinet. Otworzyłem szafę i wyjąłem makatkę ze swastyką i szwedzką flagą. Byłem ciekaw, co robi w szafie Lisy, razem z jej ubraniami. I co oznacza zawartość skórzanej saszetki?

Nie znalazłem żadnej odpowiedzi.

Wróciłem do salonu i już miałem się położyć, kiedy poczułem nagłą chęć, by jeszcze raz przytknąć ucho do drzwi jej sypialni. Było tam tak samo cicho, jak wcześniej.

Ostrożnie chwyciłem za klamkę i powolutku uchyliłem drzwi. Roleta w oknie była spuszczone tylko do połowy, więc światło latarni wpadało do środka, oświetlając leżącą na łóżku Lisę Modin.

Nie wiem, jak długo tak stałem. W bladym nocnym świetle zdawała mi się podobna do kobiet, z którymi kiedyś coś mnie łączyło. Nie było ich zbyt wiele. Przyszło mi na myśl, że leżą tu teraz wszystkie, w tym samym łóżku, i są Lisą Modin.

Potem wreszcie położyłem się na kanapie i wkrótce zapadłem w drzemkę, chociaż wcale tego nie chciałem. Zamierzałem siedzieć tam, kiedy Lisa wejdzie rano do salonu, i oznajmić jej, że nie

zmrużyłem oka przez całą noc. Liczyłem na to, że się nade mną zlituje.

Budziłem się co kwadrans i leżałem chwilę, na granicy jawy i snu. W końcu usłyszałem budzik za ścianą, a zaraz po nim radio. Poderwałem się i usiadłem. Uczesałem włosy i czekałem. Lisa otworzyła drzwi ostrożnie, żeby mnie nie zbudzić. Była szósta. Lisa miała na sobie szlafrok. Zobaczywszy, że nie śpię, skinęła głową na powitanie. Ja zrobiłem to samo i zaraz po tym ona zamknęła się w łazience. Usłyszałem szum prysznic. Kilkanaście minut później wyszła z turbanem z ręcznika na głowie. Znowu zniknęła w sypialni, a ja wciąż siedziałem bez ruchu. Na zewnątrz było jeszcze ciemno.

W końcu wyszła z sypialni, ubrana.

– Sądziłam, że będzie pan spał. Wieczorem mówił pan, że jest bardzo zmęczony – powiedziała. – Ale widzę, że już pan wstał i nawet zdążył się ubrać.

– Nie spałem – odparłem. – Całą noc siedziałem w ubraniu.

– Siedział pan na kanapie przez całą noc?

– Kilka razy na chwilę się położyłem.

Pokręciła głową i zrobiła zatroskaną minę.

– Ale i tak było mi bardzo wygodnie – dodałem. – Miałem święty spokój. Najważniejsze, że nikt nie wie, gdzie jestem.

– Nic się nie poprawi od tego, że nie sypia pan po nocach.

– Nic się nie poprawi też od tego, że sypiam.

Lisa przeszła do kuchni i zaczęła nakrywać do stołu. Ja dalej siedziałem na kanapie, aż zaproponowała mi kawę. Byłem głodny, ale podziękowałem za jedzenie. Próbowwała wmusić we mnie chociaż jedną kanapkę, ale odmówiłem.

Zjadłszy, Lisa Modin wstała od stołu z kubkiem kawy w dłoni.

– Muszę się przygotować do pracy – powiedziała. – Wychodzę za pół godziny.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi gabinetu, szybko pochłonałem jedną kanapkę. Zaraz po tym zacząłem rozmyślać, co tu zrobić, żeby móc zostać w jej mieszkaniu. Nie chciałem wracać na wyspę.

Chwilę później Lisa wyszła z pokoju, dołała sobie kawy i stanęła przy oknie wychodzącym na zatokę, która powoli zaczynała być widoczna w świetle dnia.

– Dlaczego pan do mnie przyszedł? – zapytała.

Teraz jej głos brzmiał inaczej. Miał mroczniejszy ton. Odezwała się do mnie z twarzą zwróconą do okna.

– Wyjaśniłem to wczoraj wieczorem. Może nie wyraziłem się jasno.

– Grzebał pan w moich rzeczach – powiedziała nagle, odwracając się twarzą do mnie.

Poczułem, jak przyspiesza mi puls. Jak w chwili, w której w ostatniej sekundzie udaje się uniknąć wypadku na drodze.

– Nie rozumiem... – bąknąłem.

Lisa postawiła kubek na blacie. Zauważyłem, że dłoń drży jej ze zdenerwowania.

– Był pan w moim gabinecie, ruszał pan moje listy i zaglądał do szafy. Nie wiem, co dokładnie pan tam robił i po co, ale widzę wyraźnie, że rzeczy są w innym porządku, niż je zostawiłam.

– Nie mam zwyczaju przeglądania cudzych rzeczy – odparłem obruszonym tonem. – Cokolwiek pani sobie wyobraża, myli się pani.

Przez moment Lisa wydała mi się bardzo zmęczona. Powoli pokręciła głową.

– Chcę, żeby pan już sobie poszedł. Myślałam, że naprawdę potrzebuje pan pomocy i miejsca do spania, ale teraz nie mam już pewności, po co pan przyszedł.

– Zapewniam panią, że nie wchodziłem do tamtego pokoju.

Znow pokręciła głową. Nie miałem pojęcia, jakim sposobem odkryła, że przeglądałem jej rzeczy. Widziałem jednak, że jest o tym całkowicie przekonana i nie było szans, że mi uwierzy.

– W takim razie rzeczywiście już sobie pójdę – oznajmiłem, wstając z krzesła.

Odprowadziła mnie do przedpokoju i przyglądała się, jak wciągam kalosze i zakładam kurtkę. Otworzyłem drzwi i odwróciłem się w jej stronę.

– Kim jest ten mężczyzna ze zdjęcia? – zapytałem.

– To Robert Capa. Fotoreporter, którego podziwiam najbardziej ze wszystkich dziennikarzy. Zginął, fotografując przebieg wojny w Indochinach. Nadepnął na minę.

Podjąłem tę decyzję niespodziewanie, postawiwszy już jedną nogę za progiem jej mieszkania.

– Kiedyś musi mi pani opowiedzieć, co robi w pani szafie makatka z wyhaftowaną szwedzką flagą i swastyką. Koniecznie musi mi pani to wyjaśnić. Ale kiedy indziej, bo teraz bardzo się pani spieszy.

Nie czekałem na jej odpowiedź, bo wcale nie chciałem jej usłyszeć. Szybko zbiegłem po schodach. Kiedy mijałem balkonik tysiącletniego staruszka, usłyszałem jak na górze zatrząskują się drzwi.

Wsiadłem do samochodu, odchyliłem oparcie, najdalej jak się dało, i natychmiast usnąłem.

Dwie godziny później obudziłem się przemarznięty i od razu źle się poczułem. Zmierzyłem sobie puls. Był zdecydowanie podwyższony, wynosił dziewięćdziesiąt siedem uderzeń na minutę. Wsiadłem z auta i wybrałem się na krótki spacer, żeby się trochę rozgrzać.

Po niedługim czasie wróciłem do auta, pojechałem do centrum i zaparkowałem pod budynkiem banku, żeby poczekać, aż otworzą sklep monopolowy. Kupiłem dwie butelki wódki, półlitrowe, żeby łatwiej je było schować w kieszeniach kurtki. Do tego jeszcze dziesięć puszek piwa na złagodzenie przyszłego kaca.

Potem wszedłem do małej cukierni, do której nigdy wcześniej nie zaglądałem, i zjadłem parę kanapek. Byłem w lokalu sam, więc kiedy sprzedawczyni na moment zniknęła na zapleczu, dolałem sobie spory łyk wódki do kawy. Nie miałem powodu, żeby odkładać picie na później. Na drodze do portu i tak nigdy nie było policyjnej kontroli. Rzadko pijałem mocny alkohol, więc od razu poczułem jego działanie. Po moim ciele rozlała się ciepła fala rozluźnienia.

Wróciłem do samochodu i zanim włączyłem silnik, pociągnąłem jeszcze jeden duży łyk. Byłem pijany, ale nie aż tak bardzo, żeby nie utrzymać samochodu na drodze i zderzyć się z autami jadącymi z naprzeciwka. Poczułem nagły przypływ dobrego nastroju. Byłem przekonany, że moja nieoczekiwana wypowiedź na pożegnanie z Lisą Modin wywarła na niej spore wrażenie.

Zaparkowałem pod domem Oslovskiej. Wciąż wyglądał na opuszczony. Nasłuchiwałem chwilę, czy z garażu nie dobiegają jakieś dźwięki, ale wokół panowała cisza.

Zabrałem zakupy i poszedłem do portu. Przechodząc obok sklepu ze sprzętem rybackim, nawet nie zajrzałem do środka, żeby sprawdzić, czy jest tam pani Nordin. Dwie duże łodzie straży przybrzeżnej były zacumowane na swoich miejscach. Wsiadłem do mojej łódki, włączyłem silnik i odpłynąłem. Gdy wyszedłem na otwarte morze, zwiększyłem prędkość i w tej samej chwili słońce wyjrzało zza chmur. Wiał wiatr od lądu. Obrąłem kurs na północ, żeby popłynąć do domu nieco dłuższą drogą. Płynąłem między wysepkami, na których stały zamknięte na głucho domy letników. W pewnej chwili zdawało mi się, że dostrzegłem dzika przemykającego między drzewami. Nie byłem pewien, czy dobrze widziałem. Po chwili wypłynąłem na dużą zatokę Ramfjärden. Daleko na horyzoncie majaczyły ostatnie wystające z wody skały, a jeszcze dalej otwarte morze. W połowie zatoki zdecydowałem się odbić na wschód i popłynąć prosto na moją wyspę. Lecz nagle się rozmyśliłem, wyłączyłem silnik, wstałem i przeniosłem się na dziób. Kiedy się przemieszczałem, łódka zakołysała się na fali i upadłem. Jedno wiosło wpadło do wody. Udało mi się je złapać w ostatniej chwili, zanim uniósł je prąd. Usiadłem na dziobie i napiłem się wódki. Słońce przygrzewało przyjemnie. Zdjąłem kurtkę.

Nie myślałem o niczym. Ani o Lisie Modin, ani o mojej córce, ani o nieznajomych policjantach, z którymi wkrótce będę musiał porozmawiać.

Piłem.

W końcu dopadło mnie zmęczenie po nieprzespanej nocy. Położyłem się i zasnąłem.

Obudziło mnie nagłe uderzenie. Usiadłem i spojrzałem prosto w twarz Alexanderssona. Pochylał się nad relingiem łodzi straży przybrzeżnej, która wyrosła nade mną niczym ogromny wieloryb. Rozejrzałem się wokół i zrozumiałem, że prąd zaniósł mnie w pobliże ledwie wystających z wody skał na skraju archipelagu. O mało nie wypłynąłem na otwarte morze. Jeszcze chwila,

a znalazłbym się w zasięgu wysokich fal. Nie miałem pojęcia, jak długo spałem, ale wciąż czułem się bardzo pijany.

– Lepiej wejdź na pokład – powiedział Alexandersson.

– Po cholere! – warknąłem, przelazłem na rufę i pociągnąłem za sznurek.

Silnik zaskoczył od razu. Wycofałem się kawałek, obrałem kurs na moja wyspę i odpłynąłem. Byłem pewien, że Alexandersson popłynie za mną. Byłem pijany, więc miał powód, żeby mnie aresztować.

Nie zatrzymał mnie jednak. Dopłynąwszy na wyspę, wjechałem łodzią prosto na brzeg, ale w ostatniej chwili zdążyłem podnieść śrubę, więc się nie uszkodziła.

Zataczając się, dotarłem do przyczepy. Zanim się położyłem, zrobiłem coś, czego nigdy nie miałem w zwyczaju.

Zamknąłem drzwi na klucz.



Obudziło mnie pukanie do drzwi.

Był już drugi dzień po tym, jak straż przybrzeżna znalazła mnie śpiącego w łodzi. Po powrocie do domu piłem dalej i zacząłem trzeźwieć dopiero następnego dnia. Przez cały czas czekałem na to, że policja przyjedzie mnie aresztować.

Wcześniej przy niewielu okazjach zdarzało mi się pić do upadłego. Ale zawsze robiłem to w samotności. Lubiłem pić w milczeniu, pomijając jeden czy dwa desperackie krzyki prosto w otaczającą mnie pustkę. Łatwo wówczas zasypiałem i budziłem się po krótkich drzemkach.

Kiedy zacząłem trzeźwieć i powoli zaczęły mnie opuszczać wyrzuty sumienia, wszedłem na wzniesienie z ławką moich dziadków. Przez lornetkę spojrzałem na namiot. Stał na swoim miejscu i na wysepce nie było nikogo, ale nie mogłem być pewien, że w międzyczasie intruz znów się tam nie zjawił.

Chwilę później uświadomiłem sobie, że przez cały dzień nasłuchuję, czy z oddali nie dochodzi warkot silnika. Było całkiem bezwietrznie. Co jakiś czas przyrządzałem sobie jakiś posiłek, ale ledwie kosztowałem jedzenia i rzucałem wszystko mewom na płaską skałę obok szopy na łódź. Dawniej dziadek naprawiał na niej swoje pułapki na węgorze. Powoli wracałem myślami do nocy spędzonej w mieszkaniu Lisy Modin.

Znaleziona w jej szafie przedziwna makatka oraz zawartość skórzanej saszetki opowiadały o wydarzeniach z odległej przeszłości. Minęło siedemdziesiąt pięć lat od wybuchu drugiej wojny światowej i rozpętania nazistowskiego piekła, które przez jakiś czas zdawało się nie do zatrzymania. Ja urodziłem się pod koniec wojny, a Lisa Modin wiele lat później. Mimo to jakaś część przeszłości związanej z czasem wojennym wciąż była dla niej żywa. Nie trzymała makatki i zawartości saszetki na wierzchu, choćby na eksponowanej półce,

ale schowała je głęboko, najwyraźniej nie chcąc ich nikomu pokazywać.

Oczywiście najważniejszym pytaniem, jakie sobie teraz zadawałem, była tożsamość mężczyzny ze zdjęcia, wydmuchującego dym papierosowy i uśmiechającego się wprost do obiektywu aparatu. Mężczyzny, który nazywał się Karl Madsen.

Wyrzuty sumienia po wypiciu morza alkoholu przeszły w zły nastrój i wstręt do siebie. Za każdym razem, kiedy ogarniały mnie podobne uczucia, wspominałem ojca i jego rozliczne niepowodzenia. Kiedy wracał do domu po długiej zmianie, od razu siadał przy stole kuchennym i zmuszał moją matkę do wysłuchiwania opowieści o uciążliwych kolegach, kierownikach, a nawet gościach, których musiał znosić. Nie słyszałem, by choć raz wziął na siebie winę za jakieś nieprzyjemne zdarzenie. Zawsze to ktoś inny popełnił błąd albo źle się zachował. Kiedy byłem jeszcze bardzo mały, wyobrażałem sobie, że mój ojciec jest niezwykłym człowiekiem, który nigdy się nie myli. Z czasem jednak zrozumiałem, że często wymigiwał się od wzięcia winy na siebie i być może właśnie dlatego z biegiem lat dźwigał na barkach coraz większy ciężar świadomości zmarnowanego życia.

Moja matka była jego przeciwieństwem. Często brała na siebie winę za wszystko, co działo się w naszym domu. Kiedy dostawałem w szkole zły stopień, wyrzucała sobie, że niewystarczająco pomaga mi w lekcjach. Kiedy wdałem się w bójkę i miałem rozbity nos, obwiniła się, że powinna była mnie ostrzec przed agresywnymi chłopcami.

Drugi dzień po pijaństwie rozpocząłem od zejścia na pomost i zanurzenia się w lodowatej wodzie. Wytarłszy się porządnie, poczułem, że nareszcie mogę zjeść śniadanie. Potem wylałem resztkę niewypitej wódki, ale oszczędziłem nietknięte puszkę z piwem.

Po południu położyłem się, żeby odpocząć.

I właśnie z tej drzemki wyrwało mnie pukanie do drzwi. Otworzyłem i ujrzałem Lisę Modin. Miała na sobie to samo ubranie, które założyła na naszą wycieczkę na wyspę Vrångskär. Była blada

i wyglądała na zdenerwowaną. Cofnąłem się i wpuściłem ją do środka.

– Jak pani się tu dostała? – zapytałem, gdy usiadła przy stole.

Zaproponowałem, żeby usiadła na łóżku, bo było wygodniejsze, ale ona wolała taboret.

– Sama przyплыnęłam – odparła. – Redaktor naczelny mojej gazety ma małą łódkę. Bałam się, że nie dotrę, bo znałam tylko kierunek i nie miałam pojęcia, jak daleko od wysp trzeba płynąć, ale trafiłam. Nie chcę panu przeszkadzać.

– Nie przeszkadza mi pani. Napije się pani czegoś?

– Może herbaty?

Zaparzyłem herbatę w dzbanku, ale upiwszy łyk, stwierdziłem, że jest niesmaczna. Lisie Modin również nie smakowała. Widziałem to po jej minie, ale nie skomentowała tego. Czekałem na dalszy ciąg.

Kiedyś, niedługo po tym, jak rozpocząłem pracę jako lekarz, zostałem wezwany do gabinetu ordynatora. Nie wiedziałem, o co chodzi, więc milczałem, siadając na krześle, które mi wskazał. Ordynator, mający opinię człowieka surowego i nieco nadętego, też się nie odzywał. Siedzieliśmy w ciszy jakieś dziesięć minut, potem ordynator nagle na mnie spojrzał, podziękował mi za przybycie i mnie pożegnał. Kiedy opowiedziałem o tym milczącym spotkaniu mojemu koledze, powiedział mi, że powinienem być poprosić o podwyżkę. To po to zostałem wezwany. Ordynator wiedział, że nie jestem zadowolony z zarobków, ale nie zamierzał sam rozpocząć rozmowy na ich temat.

Dolałem Lisie herbaty. Wciąż milczała. Spojrzałem na nią i przypomniałem sobie, jak patrzyłem na nią śpiącą w swoim łóżku.

– Wciąż się nie przyznaję – powiedziałem nagle.

Lisa spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Nie grzebałem w pani rzeczach. Musiałem pójść do toalety i po ciemku pomyliłem drzwi, potem myślałem, że drzwi do szafy to drzwi do łazienki. Chyba się nawet potknąłem. Nie mam zwyczaju czytania cudzych listów ani grzebania w cudzych rzeczach. Nie pozwalałam też na to, by inni robili to w moim domu. Chociaż teraz, kiedy spłonął, niczego już nie posiadam.

Zamilkłem, a ona długo patrzyła na mnie, nic nie mówiąc. Podejrzywałem, że się zastanawia, czy powinna mi wierzyć. Zaufanie słowom drugiego człowieka zawsze niesie ze sobą pewne ryzyko. Prawdy są prowizoryczne, ale kłamstwa niezachwiane.

– Przypląnąłam tu, bo chcę panu coś wyjaśnić – powiedziała wreszcie. – Mniejsza o to, czy rzeczywiście pomylił pan drzwi. Nie ma pan racji, sądząc, że próbowałam coś ukryć. – Nagle gwałtownie wstała. – Czy możemy wyjść na dwór? – zapytała. – Nie pada, nie wieje, a ja muszę się przewietrzyć. Ta przyczepa jest strasznie ciasna.

Założyłem kurtkę, wciągnąłem kalosze i otworzyłem drzwi. Słońce świeciło jasno. Na archipelagu zapanowała łagodna jesień.

Obeszliśmy wyspę dookoła, a potem wspięliśmy się na wzniesienie i stanęliśmy obok ławki.

Dopiero wtedy Lisa zaczęła swoją opowieść.

Pochodziła z Niemiec. Jej babka, Ulrike, wyszła za mąż za Karla Madsena, który później wstąpił do Waffen-ss. Brał udział w ataku na Polskę w 1939 roku, Ulrike była w tym czasie w Bremie, ich rodzinnym mieście. Matka Lisy Modin, Roswita, urodziła się tuż po wojnie, jesienią 1945 roku, jako owoc ostatniej przepustki do domu Karla Madsena pod koniec 1944 roku.

Ulrike, która przyszła na świat w roku 1917, zmarła w latach siedemdziesiątych. Aż do śmierci matki Roswita żyła w świadomości, że jej ojciec poległ w obronie Berlina w maju 1945 roku. Kiedy jednak przejrzała wszystkie pozostawione przez Ulrike pamiątki, zrozumiała, że matka ukrywała przed nią prawdę. Karl Madsen padł ofiarą linczu w Krakowie, kilka miesięcy przed końcem wojny. Powieszono go na prowizorycznej szubienicy ustawionej na jednym z placów w mieście. Ktoś rozpoznał go jako wyjątkowo brutalnego oprawcę, zasłużonego w walkach na terenie Polski. W materiałach zachowanych przez Ulrike nie było żadnych konkretnych informacji, brakowało też wyjaśnienia, dlaczego zdjęcie Karla Madsena zrobiono na froncie wschodnim. Roswita domyślała się, że musiał tam walczyć na początku wojny, zresztą życiorys każdego żołnierza jest pełen luk.

Obeszliśmy wyspę jeszcze raz, szybkim krokiem, bo Lisie zrobiło się zimno. Po spacerze wróciliśmy na ławkę na wzniesieniu.

– Prawie nie pamiętam babci – powiedziała. – Kiedy umarła, miałam sześć, może siedem lat. Wtedy mieszkaliśmy już w Szwecji, ja się tu urodziłam. Mama poznała szwedzkiego marynarza Larsa Modina. Był od niej prawie piętnaście lat starszy. Przeprowadziła się do Szwecji razem z Ulrike, która zabrała ze sobą nieliczne pamiątki po moim dziadku. Urodziłam się w Uddevalli. Moje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa są bardzo słoneczne. Pamiętam ciepłe lato i otaczający mnie wielki spokój. Babcia zajmowała mieszkanie na poddaszu domu, w którym mieszkaliśmy. Jadała z nami na dole, ale nigdy nie odwiedzałam jej w pokoju na górze. Nie życzyła sobie gości, chciała mieć spokój. Bałam się jej, ale nie dlatego, że była surowa, lecz z powodu jej milczenia. Odzywała się tak rzadko, że mogła uchodzić za niemowę. Potem umarła, a niedługo po niej zmarła też moja mama. Miałam wtedy trzynaście lat. Dostała potężnego wylewu, chociaż dopiero skończyła czterdziestkę. Mieszkałam z tatą, aż skończyłam dwadzieścia lat. On umarł parę lat temu. Był miłym staruszkiem, bardzo dbającym o swój pokój w domu spokojnej starości. Mama nie powiedziała mi za wiele o moich niemieckich dziadkach. To, co widział pan w mojej szafie, znalazłam dopiero po śmierci ojca. To chyba cała historia.

Nie miałem powodu, żeby jej nie wierzyć. Sądziłem też, że będzie chciała to usłyszeć.

– To niezwykła opowieść – odezwałem się. – Dlatego wierzę w nią całkowicie. I może być pani spokojna, nikomu o tym nie opowiem.

– Czułam, że muszę to panu wytłumaczyć. Ale teraz nie chcę już o tym więcej mówić. To moja historia. Nie pańska, ani nie nasza wspólna. Tylko moja.

Zaproponowałem Lisie prosty posiłek i ku mojemu zaskoczeniu przyjęła zaproszenie. W małej zamrażarce miałem schowaną zapiekankę rybną kupioną przez Louise. Podgrzałem ją w mikrofalówce i podałem z piwem, które zostało mi po ostatnim pijaństwie. Jedliśmy i piliśmy, rozmawiając o wszystkim poza tym, o czym Lisa właśnie mi opowiedziała. Nie poruszyliśmy też tematu jej powrotu do domu. Siedzieliśmy tak, aż skończyło nam się piwo.

Chciałem jej zadać wiele pytań. Przede wszystkim o to, dlaczego mam przeczucie, że wkrótce się stąd wyprowadzi. Miałem wrażenie, że nie pasuje do tej społeczności i do tego małego miasteczka. Nie zrobiłem tego jednak, zrozumiałem bowiem, że Lisa jest typem człowieka, który woli sam wybrać odpowiednią chwilę na zwierzenia.

– Muszę zostać u pana na noc – oznajmiła, kiedy wybiła już prawie północ.

Czekałem, aż wreszcie to powie.

– Będzie nam ciasno, ale się zmieścimy – odparłem. – Niech pani śpi na łóżku, a ja położę się na materacu.

Postawiłem rondel z wodą na kuchence i dałem jej czysty ręcznik.

– Zejdę na pomost, żeby sprawdzić łodzie. Kiedy się pani umyje i położy, proszę zgasić światło. Trafie w ciemności.

– Nigdy nie spałam w przyczepie – powiedziała z uśmiechem. – Prawdę mówiąc, nigdy nie spałam nawet w namiocie.

Zabrałem kurtkę i już miałem wyjść, kiedy Lisa złapała mnie za przedramię.

– Ja się prześpię na materacu. Nie będę zabierała panu łóżka. Tylko niech pan niczego nie oczekuje.

Nie odpowiedziałem. Pokręciłem głową i wyszedłem w ciemność. Odszedłszy kawałek, odwróciłem się i spojrzałem w okna przyczepy. Lisa szczelnie zaciągała zasłonki.

Zszedłem na pomost, zgasiłem latarkę i stałem tak chwilę. W oddali zabuczała syrena statku towarowego zmierzającego w nieznanym kierunku. Ogarnęło mnie poczucie całkowitego oderwania od czasu. Zawsze postrzegałem jego upływ i mijające lata jako stopniowo rosnący ciężar, jakby dni dało się przeliczyć na kilogramy. Dlatego ten moment zawieszenia w próżni pozbawionej czasu zdał mi się chwilą nieważkości. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w wiatr. Nie istniała przeszłość ani przyszłość, zniknął mój niepokój o Louise i dom, który spłonął. Przede wszystkim nie istniała nieudana operacja oraz kobieta, która straciła zdrową rękę.

Nagle w oczach zapiekły mnie łzy.

To nie ja stałem w ciemności na pomoście, lecz dziecko, którym kiedyś byłem.

Opanowałem się szybko, otarłem łzy i zerknąłem w stronę przyczepy. Lisa zgasiła już światło. Przyniosłem z szopy mydło marynarskie wiszące w woreczku obok stetoskopu, potem się rozebrałem i zanurzyłem się w lodowatej wodzie. Wyszedłem, namydliłem się i znów wszedłem do wody. Kiedy się ubierałem, miałem zgrabiące palce, nogi mi się trzęsły, a zęby szczękały z zimna.

Chwilę podskakiwałem w miejscu na pomoście, żeby się rozgrzać. Złapał mnie skurcz w łydce i musiałem rozmasować mięsień. Dopiero po tym mogłem wrócić do przyczepy.

Ból w łydce przypomniał mi o smutnej prawdzie. Miałem prawie siedemdziesiąt lat i przez większość czasu czułem się zmęczony, a teraz w dodatku miałem kaca i marzyłem tylko o tym, by położyć się spać. Ostrożnie otworzyłem drzwi i wszedłem do przyczepy, której wewnątrz oświetlała słabiutka lampka nad kuchennym blatem. Lisa Modin leżała na wąskim łóżku z twarzą zwróconą do ściany. Spod kołdry wystawała tylko jej głowa. Byłem pewien, że nie śpi, tylko udaje przede mną. Rozwinąłem cienki materac, z szafki wyjąłem poduszkę i koc. Rozebrałem się do kalesonów, zgasilem lampkę i położyłem się.

Kiedyś, kiedy jeszcze studiowałem medycynę i zanim poznałem Harriet, wybraliśmy się z grupą kolegów i koleżanek do restauracji. Któryś z nich miał urodziny, a ponieważ pochodził z bogatego domu, zaprosił nas wszystkich na kolację. Po przyjęciu, kiedy zrobiło się już bardzo późno, wyszliśmy z lokalu i zaczęliśmy się rozchodzić do domów, wyruszyłem w drogę w towarzystwie jednej z dziewczyn, bo mieszkaliśmy niedaleko siebie. Była zima i trzymał silny mróz. Moja towarzyszką była jedną z tych dziewcząt, których nie zauważa się w większej grupie. Nie była ani ładna, ani zabawna, raczej bez wyrazu, blada i cicha. Zwykle chadzała wszędzie sama i zdawało się, że jej to odpowiada, bo nie szukała towarzystwa wśród kolegów i koleżanek z roku. Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym nasze drogi się rozchodziły i każde z nas właśnie miało pójść w swoją stronę, ona nagle poślizgnęła się na zamrożonej kałuży i o mało nie upadła. Złapałem ją w ostatniej chwili i mocno do siebie przycisnąłem. To był niespodziewany impuls. W jednej

chwili poczuliśmy swoje ciała pod warstwą zimowych ubrań. Poszliśmy do niej, nie wymieniając po drodze ani słowa. Mieszkała w ciasnej kawalerce. Do dziś pamiętam unoszący się w powietrzu zapach mydła. Ledwie przekroczyliśmy próg, a ona zaczęła zdzierać ze mnie ubranie. Zapamiętałem ją jako najnamiętniejszą kobietę, z jaką kiedykolwiek byłem. Drapała mnie po plecach i gryzła po twarzy. Zасыпалиśmy nad ranem w pościeli splamionej krwią. Kiedy później obejrzałem się w toalecie, wyglądałem tak, jakbym padł ofiarą potężnego gradobicia.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez całą noc. Dziewczyna, mimo że okazała się tak dziko namiętna, co tamtej nocy udzieliło się również mi, nie wypowiedziała do mnie ani jednego słowa.

Po przebudzeniu zorientowałem się, że jej nie ma. Na stole leżała kartka z nakreślonymi kilkoma słowami.

„Dziękuję. Zamknij za sobą drzwi”.

Później, tego samego dnia, spotkaliśmy się na zajęciach z etyki lekarskiej. Kiwnęła głową na powitanie, jakby nic się nie stało. Podeszedłem do niej na przerwie, ale tylko pokręciła głową. Nie chciała rozmawiać. Nie miałem pewności, czy w ogóle chce pamiętać o tej nocy.

Nigdy więcej nie spotkaliśmy się w jej mieszkaniu. Po skończeniu studiów każde z nas poszło w swoją stronę. Wiele lat później przypadkiem natknąłem się w gazecie na nekrolog z jej nazwiskiem. Zmarła niespodziewanie. Opłakiwali ją rodzice, siostra i brat. Dożyła czterdziestu dwóch lat i przez całe życie pracowała jako prowincjonalna lekarka gdzieś w głębi regionu Västerbotten. Wiadomość o jej śmierci wprawiała mnie w nieoczekiwany smutek. Zateśkniłem za nią, choć nie umiałem wyjaśnić dlaczego.

– Słyszę, że pan nie śpi – odezwała się nagle Lisa Modin.

Nie odwróciła głowy. Jej słowa odbiły się od ściany.

– Nigdy dobrze nie sypiam – odparłem.

Dopiero teraz się odwróciła. Przez sączące się przez szczelinę między zasłonami blade światło lampy przy pomoście ledwie widziałem jej twarz.

– Ja zasnęłam – mówiła dalej. – Ale nagle obudziłam się i nie wiedziałam, gdzie jestem. To gorsze od najstraszniejszego koszmaru.



Ta sekunda, kiedy człowiek się budzi i nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Przyśniło mi się, że ktoś zabrał moją twarz i moje ciało i zastąpił je twarzą i ciałem należącymi do kogoś obcego.

– Mnie w tej przyczepie nigdy nie śnią się koszmary – odparłem. – Myślę, że jest tu dla nich za ciasno. Zły sen potrzebuje przestrzeni, co najmniej porządnej sypialni.

– U mnie jest chyba odwrotnie.

Zamilkliśmy oboje. Rozmowa urwała się równie szybko, jak się zaczęła.

– Muszę powtórzyć to, co powiedziałam, kiedy spał pan u mnie na kanapie – odezwała się znowu po dłuższej chwili. – Mam nadzieję, że nie robi pan sobie żadnych nadziei, mimo że zostałam tutaj na noc. Ale może już pan to zrozumiał.

– Człowiek zawsze ma jakąś nadzieję – odpowiedziałem. – Ale to nie oznacza, że ma pani powody do obaw.

– Na co ma pan nadzieję?

– Muszę odpowiadać na to pytanie?

– Nie mogę pana zmusić.

– Mam nadzieję, że zaprosi mnie pani do łóżka i że będziemy się kochać.

Lisa Modin się zaśmiała. Nie był to śmiech nieprzyjemny ani nerwowy, wywołany zaskoczeniem.

– To się nie wydarzy – odparła po chwili.

– Jestem dla pani o wiele za stary.

– Nigdy nie poszłam do łóżka z mężczyzną, w którym nie byłam bardzo zakochana.

Odwróciła się z powrotem twarzą do ściany.

– Śpijmy już – powiedziała. – Jeśli będziemy dalej rozmawiać, całkiem się rozbudzę.

– To pani zaczęła.

– Wiem. Śpijmy już.

Kusiło mnie, żeby wstać z materaca i położyć się obok niej na łóżku. Mogło się to skończyć tylko tym, że albo odepchnęłaby mnie, albo się przede mną otworzyła.

Leżałem w ciemności, wsłuchując się w jej oddech, który z czasem stał się równy i głęboki. Usnęła.

We śnie znów rozbłysło jaskrawe światło. Próbowałem wydostać się z płonącego domu, ale nie mogłem. Zniknęły schody, nie miałem jak zejść na dół i dostać się do drzwi. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem moją babkę. Wołała dziadka na obiad. Mieliśmy jeść gotowanego szczupaka.

Na tym sen nagle się urwał.

Obudził mnie warkot silnika. Usiadłem na materacu i zorientowałem się, że łóżko jest puste. Zniknęły ubrania i torebka Lisy Modin. Wybiegłem z przyczepy, ale ona już odpływała. Pomachała mi na pożegnanie i pokazała ręką na pomost. Zszedłem na dół po mokrej trawie. Pod ławką leżał kamień, a pod nim złożona kartka z nazwą gazety, w której pracowała Lisa. Kartka pochodziła z notatnika, którego wcześniej u niej nie widziałem.

„Spał pan tak głęboko, że nie chciałam pana budzić. Teraz wie pan już o mnie trochę więcej”.

Zanurzyłem się w lodowatej wodzie. Chłód przeszył na wskroś moje ciało. Policzyłem na głos do dziesięciu i dopiero wtedy wyszedłem z powrotem na pomost. Wróciłem biegiem do przyczepy i wszedłem pod kołdrę na łóżku.

Obudziłem się parę godzin później i nareszcie poczułem się wyspany. Wstałem i usiadłem przy stole, z zamiarem ustosunkowania się do faktu, że prawdopodobnie wkrótce zostanie aresztowany. Sięgnąłem do zasłonki w oknie, żeby ją odsunąć, ale szarpnąłem za mocno i zerwałem ją razem z plastikowym karniszem. Wstałem i wyrzuciłem ją za drzwi, doszedłszy do wniosku, że skoro nie chce tu być, nie będę tracił czasu na jej naprawę.

Chwilę później wyszedłem na dwór. Wiedziałem, że jeśli chcę trzeźwo myśleć, muszę się trochę poruszać. Zawiesiłem lornetkę na szyi i zszedłem do łódki wiosłowej. Zdążyła nabrać wody do połowy, więc musiałem intensywnie popracować czerpakiem, nim do niej wsiadłem i powiosłowałem w stronę wysepki z namiotem.

Wiało z północnego wschodu. Daleko na horyzoncie wisiały ciemne deszczowe chmury. Wiosłowałem energicznie, z całych sił, żeby porządnie się rozgrzać.

Namiot był pusty, ale od razu się zorientowałem, że na kamiennym palenisku niedawno płonął ogień. Pod krzakiem jałowca leżało kilka metalowych puszek po amerykańskiej peklowanej wołowinie. Poza tym nie było innych śladów po intruzie, który spał w moim namiocie. Obszedłem wysepkę, żeby sprawdzić inne miejsca. Karton po mleku zaklinowany między kamieniami mogło wyrzucić morze.

Zastanowiłem się, czy powinienem zostawić nieznanemu jakąś wiadomość. Wszedłem do namiotu i położyłem się na śpiworze.

Leżąc tam w szarawym świetle wciskającym się do środka przez porowaty materiał tropiku, pomyślałem nagle, że Lisa Modin stała mi się bliższa, niżbym wcześniej ośmielił się nawet marzyć. Owszem, dzieliła nas spora różnica wieku, ale powoli zaczynałem dopuszczać myśl, że być może ona potrzebuje mnie w równym stopniu, w jakim ja potrzebuję jej.

Ta myśl mnie podekscytowała. Wyszedłem z namiotu i nie zostawiwszy tajemniczemu gościowi żadnej wiadomości, powiosłowałem z powrotem do domu. Zanim przybiłem do pomostu, opłynąłem jeden raz całą wyspę, chcąc zażyć jeszcze więcej ruchu.

Musiałem opracować plan. Plan nie tylko na najbliższe dni, ale na całą przyszłość. Postanowiłem zaproponować Lisie Modin wspólną podróż. Jeżeli istniało jakieś miejsce, które pragnęła odwiedzić, zamierzałem ją tam zabrać. A jeśli nie będzie miała żadnego pomysłu, ja coś zaproponuję. Jakieś ciepłe miejsce, na przykład Karaiby albo jeszcze dalej. Może jakąś wyspę na Pacyfiku?

Po raz pierwszy od pożaru poczułem, że jestem w dobrym humorze. Spieszyło mi się do przyczepy. Chciałem usiąść przy stole i jak najszybciej przelać moje myśli na papier.

Kiedy tylko wszedłem do środka, zadzwonił telefon. Rozpoznałem numer.

Dzwoniła Louise. Mówiła szybko i stanowczym tonem. Połączenie nie było najlepsze, więc poprosiłem ją, żeby mówiła trochę wolniej. Powiedziała, że ma mało czasu. Poznałem po jej głosie, że jest wystraszona i zbiera jej się na płacz. Zaczęła się jąkać, na koniec prawie krzyczała do słuchawki, a kiedy znów jej przerwałem,

tłumacząc, że prawie nic nie rozumiem, oznajmiła mi, że została zatrzymana przez policję. Siedzi w areszcie w Paryżu i potrzebuje mojej pomocy. Zapytałem ją, co się stało, ale ona nie słuchała, tylko powtarzała w kółko, że muszę jej pomóc.

Potem nagle rozmowa została przerwana. W głowie pobrzmiwał mi jej zdenerwowany głos. Wystukałem jej numer, ale nie udało mi się uzyskać połączenia.

Nigdy wcześniej nie słyszałem jej tak wystraszonej.

Wyszedłem na dwór. Trzymałem w dłoni telefon na wypadek, gdyby znów zadzwoniła. Wszedłem na wzniesienie i usiadłem na ławce moich dziadków, choć zerwał się silny wiatr i od razu ogarnął mnie chłód.

Uzmysłowiłem sobie, że mój paszport spłonął w pożarze. Wiedziałem jednak, że na większych lotniskach w Szwecji można dostać paszport tymczasowy, upoważniający do zagranicznych podróży.

Zadzwoniłem do banku i udało mi się uzyskać połączenie z mężczyzną, z którym wcześniej rozmawiałem. Poinformował mnie, że moja nowa karta płatnicza jest już gotowa do odbioru.

Nie musiałem dłużej rozmyślać. Zadzwoniłem do Janssona i poprosiłem go, żeby przyjechał po mnie za godzinę. Oczywiście był ciekaw, czy znów zepsuł się silnik w mojej łodzi.

– Nie – odparłem. – Potrzebny mi transport i tyle.

Spakowałem moje chińskie koszule i bieliznę do starej torby podróżnej, która leżała w przyczepie od czasów Harriet. Przeliczyłem gotówkę, zabrałem ładowarkę do telefonu, a potem napisałem list do Alexanderssona. Nie chciałem, by pomyślał, że uciekłem.

Zszedłem na pomost i czekałem na Janssona. Jak zwykle przyплыł na czas. Podał mi rękę na powitanie, zawsze przestrzegał tego zwyczaju.

– Domyślam się, że mam cię zabrać do portu – powiedział. – Kiedy będziesz wracał?

– Nie wiem – odparłem.

Podczas podróży krople morskiej wody orzeźwiająco ochlapwały mi twarz. Kiedy dopłynęliśmy na miejsce, Jansson wysadził mnie

przy dystrybutorach paliwa. Wręczyłem mu stukoronowy banknot. Zaraz po tym odpłynął, a ja poszedłem prosto do budynku straży przybrzeżnej. Wetknąłem w drzwi złożoną kartkę z nazwiskiem Alexanderssona. Napisałem mu, że moja córka znalazła się w trudnej sytuacji i musiałem pojechać jej pomóc, ale zamierzam wrócić za parę dni.

Chwilę później, kiedy przechodziłem obok sklepu ze sprzętem rybackim, nie powstrzymałem się i wszedłem do środka, żeby zapytać o moje kalosze. Okazało się, że wciąż nie przyszły.

– Nie będzie mnie przez parę dni – powiedziałem Margarecie. – Może będą już, kiedy wrócę.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy można się spodziewać zamówionej przesyłki – odparła. – Dzisiaj nikomu nie można już zaufać.

Oslovskiej nie było w domu. Zasłony były szczelnie zasunięte. Zajrzałem do garażu i stwierdziłem, że wszystkie narzędzia są na swoich miejscach.

W końcu wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Miałem nadzieję, że uda mi się dostać do samolotu odlatującego tego wieczoru.

Zamierzałem opuścić mój kraj z ledwie zauważalnym ukłonem.

Część III  
Beduin w butelce

W drodze na lotnisko Arlanda przez moją głowę przepłynęło wiele myśli związanych z Louise. Przeplatały się ze wspomnieniami mojej młodości. Oczyma wyobraźni widziałem siebie jako autostopowicza stojącego na skraju drogi i zatrzymującego przejeżdżające samochody. Wspominałem swoje podróże z jednego miejsca do drugiego, czasem za granicę sąsiedniego kraju. Kiedy w końcu zatrzymywał się jakiś samochód, jego kierowca często okazywał się pijany. Jeden raz zdarzyło mi się wsiąść do samochodu pewnej młodej kobiety. Prowadziła drogi sportowy wóz i wyznała mi łamaną angielszczyzną, że przed chwilą zamordowała swojego męża, zadawszy mu liczne ciosy nożem. Zapadło mi w pamięć, że mówiła o ciosach w plecy. Usprawiedliwiała się, że dzięki temu nie zdążył nawet zorientować się, co się dzieje. Nie pamiętam już, co jej wtedy odpowiedziałem. W pewnej chwili nagle zahamowała i kazała mi wysiąść. Zostawiła mnie w ciemnościach, w szczerym polu. Nie pamiętam, jak sobie wówczas poradziłem.

O ile moje młodzieńcze podróże do Paryża autostopem zawsze wiodły mnie przez Belgię, szczególnie przez Gandawę, o tyle, jadąc pociągiem, za każdym razem docierałem do dworca głównego w Hamburgu o trzeciej nad ranem. Później przesiadałem się na pociąg do Paryża, gdzie albo zostawałem na dłużej, albo podróżowałem dalej do Hiszpanii lub Portugalii, aż pewnego dnia zrobiłem kolejny krok i pojechałem do północnej Afryki. Po opustoszałym nocą dworcu w Hamburgu kręcili się żebrzący bezdomni. A ponieważ minęło zaledwie kilkanaście lat od zakończenia wojny, wyobrażałem sobie, że ci starsi mężczyźni w długich, brudnych płaszczach to byli żołnierze, ocalali na froncie wschodnim lub zachodnim. W ich oczach czaiło się mroczne szaleństwo. Nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek dał któremuś pieniądze. Zapewne dlatego, że nigdy nie miałem przy sobie niemieckiej waluty albo też uważałem siebie za zbyt ubogiego.

Blade światło zamieniało dworcową halę w kulisy wielkiego teatru, który już dawno opuściła publiczność, a kierownik sceny zapomniał wyłączyć oświetlenie, zanim wyszedł do domu. Również nieliczni podróżni i kręcące się tu i ówdzie sprzątaczkę brali udział w przedstawieniu, które nigdy się nie rozpoczynało i nigdy nie dobiegało końca.

Dotarwszy na lotnisko i zostawiwszy samochód na parkingu, wkroczyłem w buzujący energią świat pełen kolejek do punktów odpraw. Poczujęm się całkiem bezradny. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio podróżowałem.

Minęło sporo czasu, nim wreszcie zebrałem się w sobie i odnalazłem biuro linii lotniczych, które jak udało mi się odczytać z dużych elektronicznych tablic, realizowały lot do Paryża o dziewiętnastej trzydzieści. Powiedziano mi, że lot będzie opóźniony o dwie godziny, ale było to jedyne połączenie do Paryża tego wieczoru. Dostałem miejsce na pokładzie samolotu Air France i zapłaciłem kartą odebraną z banku przed wyjazdem. Mając już bilet w ręce, przypomniałem sobie, że muszę zadać trudne pytanie kobiecie w niebieskim kostiumie, siedzącej za ladą odgrodzoną ode mnie szklaną szybą.

– Zostawiłem w domu paszport – powiedziałem. – Ale jako obywatel Szwecji mogę podróżować do Francji bez niego, prawda?

– Tak, jeśli tylko ma pan przy sobie dowód osobisty. Może pan też pójść na posterunek policji tu na lotnisku i poprosić o wydanie paszportu tymczasowego.

Po otrzymaniu paszportu w różowym kolorze wymieniłem pieniądze, odnalazłem właściwe stanowisko odprawy i przeszedłem przez kontrolę bezpieczeństwa. Wcześniej w hali odlotów kupiłem taną walizkę na kółkach i przepakowałem do niej zawartość starej torby. Dokupiłem też parę koszul, buty i trochę bielizny.

Usiadłem przy wielkim oknie z widokiem na płytę lotniska i patrzyłem na samoloty stojące przy swoich wyjściach jak zwierzęta w boksach.

Zadzwoiłem do Lisy Modin. Odebrała po długim czasie, kiedy straciłem już nadzieję na rozmowę.



Wyjaśniłem jej pokrótce, co się stało. Opowiedziałem o rozpaczliwym telefonie od córki i nagłej potrzebie wyjazdu.

– Muszę panią poprosić o przysługę – powiedziałem. – Nie zdążyłem zamówić sobie noclegu. Czy może mi pani znaleźć w internecie jakiś hotel, nie droższy niż trzy gwiazdki, ale położony w środku miasta? Dopiero od jutra, bo samolot jest opóźniony i pewnie dotrę do Paryża nocą.

– Jaka ma być górna granica ceny za noc? I na ile nocy?

– Nie wiem, jaka jest górna granica. Trzy gwiazdki to trzy gwiazdki. Potrzebuję co najmniej dwóch noclegów.

– Dobrze, zaraz spróbuję coś znaleźć.

Oddzwoniła po dwudziestu minutach. Znalazła dla mnie hotel.

– Nazywa się Hotel Celtic – powiedziała. – Leży w dzielnicy Montparnasse, przy rue d’Odessa, niedaleko rue de Vaugirard.

W pierwszej chwili pomyślałem, że Lisa sobie ze mnie żartuje. Z tysięcy paryskich ulic najlepiej znałem akurat rue de Vaugirard. Dawno temu, w 1963 roku, gdy mieszkalem przez dłuższy czas w Paryżu, wynajmowałem pokój na rue de Cadix, przecznicy rue de Vaugirard, tuż przy stacji metra Porte de Versailles. Spacer z Montparnasse do domu zajmował mi prawie czterdzieści minut. Często, kiedy wracałem nocą, widywałem stada ogromnych szczurów przebiegające między ulicznymi studzienkami. Wiele z nich było wielkości dorosłego kota. Wyglądały przerażająco, zwłaszcza w stadzie. Bałem się, że w którymś momencie nagle zmienią kierunek i ruszą do ataku. Pamiętam jak dziś stukanie moich obcasów na bruku. Nosilem wtedy niewyczyszczone brązowe buty. Dostałem je w prezencie od pewnego mężczyzny spotkanego przypadkiem w klubie jazzowym na rue Mouffetard. Uznał, że buty, które wtedy miałem na nogach, są do niczego. W lewym oberwała się podeszwa i klapała żałośnie. Późną nocą poszedłem z nim i jego dziewczyną na jedną z ulic za Ogrodem Luksemburskim. Mieszkali w mieszkanku na poddaszu, jednym z tych przeznaczonych niegdyś dla służby. Mężczyzna kazał mi zaczekać na dole, a ponieważ nie chciało mu się drugi raz wspinać po schodach, rzucił mi buty przez okno. Uderzyły o bruk z suchym trzaśnięciem. Włożyłem je od razu. Pasowały jak ulał.

– Jest pan tam? – zapytała Lisa Modin. – Mam zrobić rezerwację? Mają wolne pokoje.

– Tak. Mam pani podać numer mojej karty?

– Nie, podam swoją, a pan zapłaci na miejscu.

– Może pojedzie pani ze mną do Paryża?

Dopiero kiedy wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę, że chciałem jej to zaproponować od razu, kiedy zadzwoniłem do niej w sprawie hotelu. Próbowałem ją w ten sposób zwabić, mimo że jechałem tam na pomoc córce.

– Co pan wygaduje?

– Mówię poważnie. Proponuję pani wycieczkę do Paryża. Ja za wszystko zapłacę. Zapraszam panią. W podziękowaniu za tamtą noc w pani mieszkaniu.

– Wycieczka do Paryża to słona zapłata za miękką kanapę.

– Myli się pani.

Lisa się zaśmiała.

– Ma pani mój numer. Proszę mi dać znać, kiedy pani przyleci. Wyjadę po panią.

– Nie przylecę. Prawie się nie znamy.

– Ja znam siebie. Wiem, że mówię serio.

– Gdzie pan teraz jest? – zapytała.

– Na lotnisku Arlanda. Czekam na samolot. I chyba nigdy w życiu nie czułem się tak samotny. Nie wiem, co będzie, kiedy już umrę.

– O czym pan mówi?

– Myślę, że śmierć to bardzo samotne miejsce i stan wielkiej samotności.

– Mam mnóstwo pracy. Nie mogę tak po prostu pojechać do Paryża.

– Niech pani napisze coś o Paryżu. Na przykład reportaż o starym podpalaczu, który uciekł do Paryża, żeby przy okazji odnaleźć córkę.

– Rozmawiał pan z nią od tamtego telefonu?

– Nie. I coraz bardziej się o nią martwię.

Lisa zamilkła na dłuższą chwilę. Zdawało mi się, że na tych parę sekund świat się zatrzymał. Z Lisą Modin wciąż obecną w moim uchu, choć milczącą. Czekałem, aż powie, że mnie kocha. Moja

miłość do niej była niczym innym jak gwałtownym pożądaniem kobiety, jakiegokolwiek, i byłem gotów powiedzieć wszystko, żeby ją zdobyć.

Kiedyś, kiedy byłem jeszcze młody, pewna dziewczyna powiedziała mi z wyrzutem, że jestem jak pająk, który łapie zdobycz i przygląda się, jak ona szamocze się w jego sieci. Ale że nigdy jej nie zjadam, tylko odchodzę i rozpinam nową sieć.

– Przyleci pani, czy nie? – zapytałem, kiedy zmęczyła mnie ta przeciągająca się cisza.

– Nie przylecę.

– Będę na panią czekał.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Towarzystwa. Niczego innego.

– Ta rozmowa zaczyna mnie niepokoić.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Przysięgnę panu adres hotelu sms-em.

– Dobrze.

– Muszę już kończyć.

– Dlaczego?

Na tym rozmowa się urwała. Żadne z nas nie oddzwoniło.

Samolot wystartował z zapowiedzianym dwugodzinnym opóźnieniem. A kiedy wreszcie Paryż rozpostarł się pod nami w kaskadzie świateł, musieliśmy poczekać na pozwolenie na lądowanie i samolot krążył nad miastem. Gdy wylądowaliśmy, siedziałem spokojnie na swoim miejscu i przyglądałem się, jak współpasażerowie nerwowo wyszarpują ze schowków płaszcze i bagaże, jakby tracili cenny czas, a potem pchają się do wyjścia, żeby zdążyć przed innymi. Patrzyłem na nich z rosnącym zadziwieniem. Zdawało mi się, że patrzę na ludzkie stado pierzchające przed niebezpieczeństwem. Co ich tak przerażało? Ciasne siedzenia, strach przed lataniem, a może ich własne życie? Czy ja kiedyś zachowywałem się tak jak oni? Czy również postrzegałem czas jako grę, w której można coś wygrać albo stracić? Nie miałem wątpliwości, że tak było. Ale już nie teraz. Dziś czas oznaczał dla mnie oszczędzanie tego, co mi jeszcze zostało.

Wyszedłem z samolotu ostatni. Jedna ze stewardes ziewnęła tak rozdzierająco, że usłyszałem chrupnięcie w jej zuchwie. Przypomniało mi to moją pierwszą podróż do Paryża. Przyjechałem pociągiem. Przez całą drogę, aż od przesiadki w Hamburgu, bardzo bolał mnie ząb. Była zima, panował przenikliwy chłód i kiedy pociąg się zatrzymał na Gare du Nord, siedziałem w przedziale, aż konduktor szarpnięciem otworzył drzwi i kazał mi wysiąść. Miałem wtedy szesnaście lat i na krótko przed przybyciem tutaj rzuciłem szkołę.

Lotnisko w Paryżu, pełne schodów jadących w górę i w dół, przypomniało mi pewną fabrykę, w której mój ojciec przez krótki okres prowadził stołówkę dla pracowników. Przychodziliśmy tam wcześniej rano, tuż przed rozpoczęciem pierwszej zmiany. Czułem się wówczas podobnie jak teraz, przechodząc przez stanowiska kontroli paszportowej i kontroli celnej. Przez jedno i drugie przepuszczono mnie machnięciem dłoni, nie musiałem pokazywać dokumentów, nikt też nie interesował się moim bagażem.

Wyszedłem przez szklane drzwi w chłodną noc. Już rozglądałem się za autobusem do miasta, kiedy nagle zmieniłem zdanie. Po co mam jechać o tej porze do hotelu i siedzieć w recepcji do popołudnia, czekając, aż zwolni się mój pokój? Wróciłem do hali odlotów i znalazłem rząd plastikowych foteli. Położyłem się na nich, wsunąwszy sobie zwiniętą kurtkę pod głowę, i wkrótce usnąłem.

Budziłem się za każdym razem, kiedy poruszał się ktoś obok mnie. Nauczyłem się zapadać w kilkuminutowe drzemki jeszcze w czasach, gdy pracowałem jako chirurg i brałem nocne dyżury w różnych szpitalach.

Kiedy ostatecznie się rozbudziłem i usiadłem, było parę minut po siódmej. Miałem przemarznięte i zeszywniałe ciało. Niedaleko miejsca, gdzie spałem, właśnie otworzyła się mała kawiarnia. Kupiłem w niej kawę i croissanta. Obsługiwała mnie czarna kobieta z dużą blizną na policzku. Po tej samej stronie brakowało jej również kawałka ucha. Byłem ciekaw, z której z krwawych afrykańskich wojen domowych udało jej się uciec. Z Liberii? Może Rwandy? Uśmiechnąłem się, żeby okazać zrozumienie, ale spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem. Być może nie potrafiła już ufać

ludziom. Wyczuwałem w jej obecności wielu zmarłych – rodzinę, przyjaciół i innych zupełnie nieznaną jej ludzi, którzy nie mieli tyle szczęścia, co ona.

Wkrótce zegar pokazał za kwadrans ósmą. Na lotnisku zaroilo się od pasażerów, tych, którzy właśnie przybyli, i tych dopiero wybierających się w jakieś miejsca. Wyszedłem, znalazłem przystanek autobusowy i wsiadłem do autobusu z oznaczeniem „Opéra” jako stacją końcową. Połowę miejsc zajęła grupa chińskich turystów. Jedna z kobiet, najwyraźniej pilotka wycieczki, podchodziła do nich po kolei i krótko z nimi rozmawiała. Kiedy mijalem tę grupę, kierując się do wolnego miejsca w tyle autobusu, zastanowiłem się, czy powinienem im powiedzieć o moich koszulach.

Ostatnimi pasażerami, którzy zdążyli wsiąść, zanim autobus ruszył z szarpnięciem, była czarnoskóra rodzina z ogromną ilością bagażu. Podróż do miasta ciągnęła się w nieskończoność, autobus co chwilę zatrzymywał się na jakimś przystanku. Widok za oknem nie różnił się niczym od tego, jaki spotyka się na obrzeżach każdej metropolii na całym świecie. Patrząc na nitki autostrad i gęsty ruch, poczułem falę beznadziei z powodu czasów, w których przyszło mi żyć. O czym myślą ludzie podróżujący – często samotnie – tymi wszystkimi samochodami? Czy oni w ogóle myślą?

Wciąż obserwując świat za oknem, przestałem rozmyślać o sznurze aut i zacząłem się zastanawiać nad tym, jak odnaleźć Louise. Mój francuski był daleki od doskonałości, choć zwykle udawało mi się coś w tym języku przekazać, rozumiałem też sporo z tego, co do mnie mówiono.

Wsiadłem przy stacji Opéra i rozejrzawszy się wokół, stwierdziłem, że wszystko wygląda tak samo jak blisko pięćdziesiąt lat temu, kiedy byłem tu po raz pierwszy. Zamierzałem pójść spacerem na Montparnasse, ale kiedy spojrzałem na mapę przy wejściu do metra, uznałem, że to jednak za daleko. Dawno temu, kiedy mieszkałem tu jako młody chłopak, często chadzałem pieszo z centrum aż na obrzeża miasta, żeby dotrzeć na jakiś bazar albo zwyczajnie zobaczyć, jak wygląda życie w innych dzielnicach.

Teraz droga okazała się dla mnie za daleka. Zszedłem na dół do metra i znalazłem połączenie, które, z przesiadką na stacji Châtelet, miało mi zapewnić dotarcie na Montparnasse. Przypomniałem sobie, że akurat ta linia metra, do której miałem się przesiąść na Châtelet, miała najnowocześniejsze pociągi. W niczym nie przypominały zapamiętanych przeze mnie wagoników telepiących się w podziemiach Paryża. Nowe pociągi miały gumowe koła sunące po szynach z cichym sykiem, zamiast trzeszczeć z jękiem i trzeć. Nie było wolnych miejsc, więc wcisnąłem się między grupkę czarnoskórych kobiet. Rozmawiały niskimi głębokimi głosami.

Kiedy wyszedłem z metra z powrotem na powierzchnię, zaczęło lekko mżyć. Wiedziałem, dokąd iść. Rue d'Odessa znajdowała się niedaleko od stacji. Dotarcie do hotelu zajęło mi dziesięć minut. Idąc, co rusz musiałem uchylać się przed rozłożonymi parasolkami grożącymi ukłuciem w twarz. Była dopiero dziesiąta, a mój pokój miał być wolny za parę godzin. Miedziana tablica wisząca na fasadzie budynku świadczyła o tym, że hotel ma rzeczywiście trzy gwiazdki. Kamienicę, w której się mieścił, zbudowano w XIX wieku. Fasada miała poutrącane narożniki i było jasne, że powoli i – choć ledwie zauważalnie – nieuchronnie się wali. Wszedłem po paru schodkach i stanąłem przed szklanymi drzwiami, na których widniała nazwa hotelu. Myła je właśnie młoda czarnoskóra kobieta. Ujrzawszy mnie, uśmiechnęła się, otworzyła i wpuściła mnie do środka.

W ciasnej recepcji udekorowanej brązowymi panelami ściennymi i tapetami roznosił się intensywny zapach lawendy. Podłogę pokrywał niegdyś gruby, dziś wytarty dywan. Był czerwony, z utkanymi tu i ówdzie sylwetkami syren. Mężczyzna stojący za ladą spojrzał na mnie tak, jakbym niestosownie się zachował. Po chwili zorientowałem się, że ma szklane oko, jak Oslovski.

Wyjąłem tymczasowy paszport i kartę płatniczą, po czym łamaną francuszczyzną wytłumaczyłem mu, że mam zarezerwowany pokój. Recepcjonista od razu znalazł w komputerze moje nazwisko. Kiedy powiedział, że do rezerwacji użyto innej karty, powiedziałem mu, że to karta żony, ale do zapłaty chcę użyć swojej.

– Czy będę mógł korzystać z pokoju od czternastej? – zapytałem.

Recepcjonista, noszący na piersi plakietkę z napisem „Monsieur Pierre” spojrział na mnie przyjaźnie.

– Może pan zająć pokój już teraz – powiedział. – Mieszkał w nim gość, który musiał wyjechać wcześniej rano. Biedak zerwał się już o wpół do piątej, więc Rachel zdążyła wcześniej posprzątać. – Skinął głową na dziewczynę myjącą drzwi.

Zdjął z haczyka klucz z ciężkim staroświeckim brelokiem z wygrawerowanym numerem 213 i wręczył mi go, życząc miłego pobytu.

Okna pokoju wychodziły na podwórze. Podobnie jak w recepcji, dominował tu brąz i w powietrzu unosił się zapach lawendy. Pokój nie był duży, ale porządnie wysprzątanym. Rachel dobrze wykonała swoją pracę. Zdjąłem buty i położyłem się na łóżku, odsunąwszy narzutę na bok.

Spojrzałem na sufit. Jego białą powierzchnię pokrywała sieć czarnych pęknięć.

Był jak rzadniejąca mgła.

Sięgnąłem po telefon i ponownie wybrałem numer Louise. Wciąż nie było ani odpowiedzi, ani możliwości nagrania choćby paru słów.

Pomyślałem o moim spalonym domu. I o namiocie na sąsiedniej wysepce, w którym sypiał ktoś obcy.

W końcu o pokoju numer 213.

Potem przypomniała mi się opowieść Louise o japońskim ogrodzie nazywanym Oceanem Nicości.

Nagle coś mnie tknęło. Nie chciałem umrzeć w hotelowym pokoju na niespodziewany wylew albo zawał serca. A przynajmniej dopóty, dopóki nie odnajdę córki.

Podniosłem się i usiadłem na łóżku. Musiałem rozpocząć poszukiwania. Wstałem i podszedłem do okna. Deszcz rozpadał się na dobre.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem szczura przemykającego między kubłami na śmieci.

Ubrałem się i wyszedłem na korytarz. Winda jeździła w górę i w dół, ale nie chciała zatrzymać się na moim piętrze, choć kilka razy naciskałem przycisk.

Schodząc po schodach, spotkałem Rachel niosącą narecze czystej pościeli.

Znowu się uśmiechnęła. Podziękowałem jej za porządnie wysprząpany pokój, dałem jej pięć euro w banknocie i ruszyłem dalej w dół.

Kiedy się obejrzałem przez ramię, stała w miejscu i odprowadzała mnie wzrokiem.



Zszedłszy do recepcji, poprosiłem monsieur Pierre'a o książkę telefoniczną Paryża. Powiedział, że będzie szybciej, jeśli znajdzie dla mnie numer w internecie, ale podziękowałem, wyjaśniając, że muszę obdzwonić paryskie więzienia i posterunki policji.

Zabrałem kilka ciężkich tomów i usiadłem w nieczynnym hotelowym barze. Monsieur Pierre dał mi też długopis oraz kartkę papieru.

Szybko natknąłem się na nazwę więzienia, w którym spędziłem popołudnie, noc i część poranka pewnego dnia w maju 1968 roku. O fakcie, że mój ówczesny przyjazd do Paryża zbiegł się w czasie z protestami studentów, dowiedziałem się dopiero na miejscu, kiedy szukałem taniego pensjonatu w Dzielnicy Łacińskiej. Nagle znalazłem się w samym centrum zamieszek, pośród płonących samochodów i oddziałów prewencji rzucających granatami z gazem łzawiącym. Porwało mnie ludzkie morze pogrążone w chaosie. Oczywiście słyszałem wcześniej o rewolcie studenckiej w Europie, ale nie przyłączyłem się do tego ruchu. Właśnie zacząłem studia medyczne i nigdy nie brałem udziału w dyskusjach politycznych toczących się w trakcie posiłków i innych przerw między zajęciami. Nie ufałem kolegom deklarującym, że chcą zostać lekarzami po to, by wyjechać do biednych krajów. Ja postanowiłem zostać lekarzem dla dobrych zarobków i wolności w wyborze miejsca pracy. Obca była mi myśl, że miałbym wyjechać do dalekiej Afryki albo Azji. Sądziłem, że koledzy głoszący podobne idee są naiwni i w przyszłości na pewno pożałują tej decyzji. Dziś wiem już, że się myliłem.

Tamtej wiosny przyjechałem do Paryża na tydzień, żeby odpocząć po zdanej sesji. To była samotna wyprawa i przez całą podróż cieszyłem się na długie spacery ulicami miasta. Nie miałem żadnych planów, chciałem zwyczajnie zanurzyć się w wielkomięjskiej anonimowości.

Jednak już pierwszego wieczoru zostałem zatrzymany przez policję i wepchnięty do granatowej furgonetki z zakratowanymi okienkami. Wcześniej udało mi się znaleźć dość obskurny pensjonat w pobliżu Sorbony i wieczorem wyszedłem na miasto, żeby coś zjeść. Chwilowo panował względny spokój. Demonstranci gdzieś się rozeszli, nie płonęły samochody, nie było też widać policji. Poruszałem się po mieście na pamięć, wspominając mój wcześniejszy pobyt w Paryżu i w pewnej chwili skręciłem w boczną uliczkę, na której – jak zapamiętałem – było kilka restauracji. Ulica była bardzo krótka. Kiedy szedłem w stronę pierwszego lokalu, nagle zjawiły się radiowozy i policyjne furgonetki, zamykając oba wyłoty uliczki. Z pojazdów wysypał się oddział policjantów i po paru chwilach zatrzymano wszystkich, którzy się tam znaleźli. Nikt niczego nie wyjaśniał ani o nic nie pytał. Po prostu wepchnięto mnie razem z innymi do furgonetki i zawieziono na posterunek. Pośród aresztowanych byli robotnicy, grupki studentów i przypadkowi turyści. Nikt nie wiedział, co się dzieje, jakaś kobieta płakała ze strachu. Nie pamiętam, czy ja również się bałem. Myślałem tylko o tym, jak bardzo chce mi się jeść.

Nakarmiono mnie dopiero następnego ranka. Zawieziono nas do prefektury policji na Île de la Cité i zamknięto w ogromnej piwnicznej celi bez okien. Doliczyłem się tam prawie dwustu zatrzymanych. Ludzie siedzieli na kamiennej posadzce lub leżeli na pryczach ustawionych pod wymalowanymi na biało ścianami. Było oczywiste, że nie mają ze sobą nic wspólnego i zatrzymano ich przez przypadek. Być może napatoczyło się wśród nich kilka prostytutek, odróżniały się strojem, ale cała reszta to byli zwyczajni ludzie. Wielu z nich tak samo głodnych jak ja.

Zebrano nam dokumenty i paszporty, ale nie odpowiadano na żadne pytanie. Nie podano nam też przyczyny zatrzymania. Nocą po celi zaczęła krążyć plotka, że nasz areszt nie ma nic wspólnego z rewoltą studentów. Rzekomym powodem miał być fakt, że grupka autostopowiczów zamordowała kierowcę ciężarówki na trasie między Rouen a Paryżem. Rozglądałem się uważnie po celi, ale żaden z zatrzymanych nie wyglądał mi na zabójcę.

Nazajutrz rano wywołano mnie po nazwisku i zostałem zaprowadzony na przesłuchanie. Wyjaśniłem, że jestem szwedzkim studentem medycyny, przyjechałem do Paryża na tydzień, żeby odpocząć i zatrzymałem się w pensjonacie. Policjant prowadzący przesłuchanie westchnął ciężko, po czym zwrócił mi paszport i doradził, żebym unikał dużych placów i ulicznych zgromadzeń podczas całego pobytu w mieście. Na koniec, chyba z czystej ciekawości, zapytał, jaki mam stosunek do aktualnych wydarzeń politycznych. Byłem głodny i zmęczony po bezsennej nocy na kamiennej podłodze, więc odparłem bez namysłu:

– To oczywiste, że stoję po stronie studentów.

Kiedy nareszcie mnie wpuszczono, poszedłem prosto do kawiarni, zjadłem kanapkę i napiłem się kawy. Resztę tygodnia spędziłem wprawdzie na zaplanowanych spacerach, ale przemykałem niepewnie pod ścianami budynków i reagowałem nerwowo na każdy napotkany radiowóz.

Teraz odniosłem książkę telefoniczną do recepcji i wyszedłem na ulicę, uważając, by nie zostawić odcisku palca na świeżo wypucowanych szklanych drzwiach.

Słońce przebijało się przez unoszącą się nad miastem wilgotną mgiełkę. Nagle uderzyła mnie myśl, że wszyscy wokół, z nielicznymi wyjątkami, są młodsi ode mnie. Jeszcze nigdy nie było to dla mnie tak jasne jak teraz. Znalazłem się na marginesie społeczeństwa, należałem do grupy, która powoli zabierała się już z tego świata. Na tej paryskiej ulicy co rusz mijał mnie ktoś spieszący się do nieznanego mi celu.

Kiedy byłem młody, należałem do tych, którzy spieszą się nawet na ruchomych schodach. Zawsze mi się spieszyło, nawet gdy akurat donikąd nie zmierzałem. Pewnego razu, w dzień letniego przesilenia, wybrałem się do muzeum sztuki nowoczesnej Moderna Museet w Sztokholmie. Zobaczyłem tam piękną kobietę, na oko starszą ode mnie o dziesięć lat i bezwiednie zacząłem za nią iść. Nie miałem zamiaru jej śledzić, po prostu miło było patrzeć, jak idzie przede mną. Szliśmy tak od wyspy Skeppsholmen aż do placu Norrmalmstorg, kiedy ona nagle się zatrzymała, odwróciła się

i spojrzała na mnie z uśmiechem. Gdy się zbliżyłem, zapytała mnie, czego chcę.

– Niczego – odparłem. – Widocznie idziemy w tym samym kierunku.

– Nie, to nieprawda. Proszę się tu zatrzymać i nie iść za mną dalej. W przeciwnym razie przestanę się uśmiechać.

Skręciła w Biblioteksgatan i wkrótce straciłem ją z oczu. Tamtego dnia nie byłem najstarszą osobą na ulicy.

Wspomnienie nocy spędzonej w zimnej piwnicznej celi sprawiło, że poczułem dotkliwy głód. Pospacerowałem chwilę i ostatecznie nie przewyciężyłem pokusy, by wejść do La Cupole, choć wiedziałem, że ta restauracja słono sobie liczy za popularność wśród turystów odwiedzających Montparnasse. Ku memu zdziwieniu, wewnątrz wcale nie było tłoczno. Zaprowadzono mnie do małego stolika przy długiej witrynie z widokiem na rząd stolików na chodniku przed lokalem. Zacząłem studiować menu, ale ciężko było mi się skupić w panującym wewnątrz gwarze. Bywałem tu sam albo w towarzystwie podczas każdego pobytu w Paryżu. Czasem późno w nocy, czasem w leniwe popołudnia. Kiedyś wdałem się w rozmowę z Amerykanką, która usiadła przy sąsiednim stoliku. Okazało się, że jest internistką w szpitalu w Tulsie. Z jakiegoś do dziś dla mnie niepojętego powodu nie przyznałem się, że również jestem lekarzem, lecz podałem się za architekta mającego biuro projektowe w małym duńskim miasteczku. Musiałem być niezłe wstawiony, bo świetnie się bawiłem, gdy założyłem maskę i wszedłem w rolę kogoś zupełnie innego. Pamiętam, że opowiadałem jej ze szczegółami o zmyślnym projekcie wielkiego gospodarstwa, który miałem aktualnie na warsztacie.

Odegnałem wspomnienie amerykańskiej lekarki. Po chwili zastanowienia wybrałem danie z makaronem i piwo. Młody kelner miał spocone czoło i wydawało mi się, że rusza już do następnego stolika, zanim jeszcze przyjął ode mnie zamówienie.

Rozejrzawszy się po lokalu, jeszcze raz upewniłem się w spostrzeżeniu, że jestem najstarszy. Pracowali tu młodzi kelnerzy, większość gości też nie była jeszcze w moim wieku. Dostrzegłem parę starszych osób, ale nie było ich wiele.

Po posiłku zamówiłem kawę i calvados. Kiedy później wyszedłem na ulicę, ogarnęła mnie tak przyjemna błogość, że postanowiłem odbyć długi spacer do rue Barbet-de-Jouy w pobliżu stacji Varenne, gdzie mieściła się ambasada Szwecji. Nie potrzebowałem mapy, znałem drogę na pamięć. W jednej chwili wyparowała mi z głowy przykra myśl o starości i z radością pomyślałem o przechadzce ulicami Paryża.

Kilkakrotnie skręciłem w złą stronę i dotarcie do ambasady zajęło mi więcej czasu, niż sądziłem. Stałem przed budynkiem i przeczytałem na żółtej tablicy pod herbem mojego kraju, że wydział konsularny jest czynny. Usiadłem w pobliskiej knajpce i wypiliśmy espresso. Ponownie przeanalizowałem w myślach ostatnią rozmowę z Louise. Potrzebowałem pomocy ambasady, żeby ją znaleźć, w dodatku sądziłem, że będzie mi potrzebna ich pomoc prawna.

Wypiwszy kawę, przeszedłem na drugą stronę ulicy i wszedłem do budynku ambasady. Kobieta w recepcji mówiła po szwedzku z francuskim akcentem. Wyjaśniłem jej, co mnie sprowadza.

- Ile lat ma pana córka? Czy jest pełnoletnia?
- Ma czterdzieści lat i jest w ciąży.
- Jest pan pewien, że została zatrzymana przez policję?
- Nie skłamałaby w takiej sprawie.
- Czy powiedziała panu, gdzie się znajduje?
- Nie zdążyła. Dlatego tu jestem.
- I mówi pan, że zatrzymano ją za kradzież kieszonkową?
- Obawiam się, że tak zarabia na życie. Ale nie mam pewności.

Kobieta spojrzała na mnie nieco podejrzliwie. Kiwnąłem głową, chcąc ją upewnić, że mówię poważnie. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do kobiety o imieniu Petra.

- Proszę usiąść tam przy gazetach i chwilę poczekać – powiedziała. – Zaraz przyjdzie koleżanka i zajmie się pana sprawą.
- Moja córka nie jest „sprawą” – odparłem. – Jest człowiekiem.

Usiadłem obok stojaka z prasą i przyjrzałem się portretowi pary królewskiej. Wisiał krzywo. Wstałem i pchnąłem palcem ramę, jeszcze bardziej przekrzywiając obrazek.

Kobieta imieniem Petra miała najwyżej dwadzieścia pięć lat. Wyglądała jak przerośnięte dziecko, miała na sobie dzinsy i cienką bluzkę opinającą wydatny biust. Na mój widok zmarszczyła brwi i wyciągnęła rękę na powitanie.

Potem wskazała gestem dłoni na krzesła i sama usiadła na jednym z nich.

– Niech mi pan opowie, co się stało – powiedziała.

– Nie tutaj. Takich spraw nie omawia się w kąciku z prasą. Ma pani chyba jakiś gabinet?

Spojrzała na mnie z miną, którą zinterpretowałem jako oznakę niechęci. Zrozumiałem, że musimy rozmawiać w tym miejscu.

Streściłem jej wszystko, co wiedziałem o sytuacji Louise, jak najdokładniej podając daty i godziny. Opowiedziałem o naszej ostatniej rozmowie, moim przyjeździe do Paryża i o tym, że nie mogę się dodzwonić do córki. Wyjaśniłem też, że poznaliśmy się dopiero parę lat temu i do tego czasu nie byłem nawet świadom, że mam córkę. Na koniec podzieliłem się z Petrą swoimi podejrzeniami, że Louise utrzymuje się z kradzieży kieszonkowej.

– Przynajmniej zdarza jej się tak – dodałem. – Mam nadzieję, że nie przez cały czas.

Petra miała na nazwisko Munter. Dowiedziałem się tego z identyfikatora przypiętego do bluzki. Nie widniało na nim jednak, jakie ma stanowisko. Kiedy mówiłem, ona robiła notatki. W jednej chwili uniosła dłoń na znak, żebym zaczekał, aż skończy zapisywać.

– Pewnie nie pierwszy raz zgłasza się do pani zaniepokojony rodzic kogoś, kto nagle zniknął albo wylądował w więzieniu. Na pewno pani wie, co zrobić w takiej sytuacji.

– Trzeba zacząć od ustalenia, gdzie w tej chwili znajduje się pana córka. Mamy oficjalne kanały.

– Czy to znaczy, że pani się zajmie moją, jak mówicie, „sprawą”?

– Jestem praktykantką – odparła z powagą. – Ale na tym etapie to ode mnie zależy, czy pchnę pana sprawę w górę, czy nie.

– I co, pchnie pani moją sprawę w górę?

– Wierzę, że powiedział mi pan prawdę.

– Martwię się o moją córkę.

Zapisała mój numer telefonu i adres hotelu.

– Jutro powinniśmy już coś wiedzieć – oznajmiła i wstała z krzesła, dając mi do zrozumienia, że nasze spotkanie dobiegło końca.

– Moja córka jest w ciąży – powtórzyłem. – Kiedy z nią rozmawiałem przez telefon, była bardzo wystraszona.

Petra Munter przyglądała mi się chwilę w milczeniu. Nagle wydała mi się doroślejsza niż nastolatka, którą w niej ujrzałem, kiedy przyszła po mnie do recepcji.

– Dopilnuję, żeby zajęto się pana sprawą – powiedziała. – Ale musi pan wiedzieć, że francuska policja nie przepada za kieszonkowcami. Niełatwo udaje im się wywinąć.

– Co to znaczy?

Petra Munter wykrzywiła twarz w dziwnym grymasie, ale nie odpowiedziała. Wyobraziłem sobie Louise w tej samej piwnicznej celi, do której ja trafiłem przed wieloma laty.

Dziewczyna odprowadziła mnie do drzwi i podała mi rękę na pożegnanie.

– Jutro ktoś się do pana odezwie. Obiecuję.

Już się odwróciła, kiedy nagle przypomniałem sobie, że mam do niej jeszcze jedną sprawę. Zorientowawszy się, że za nią idę, zatrzymała się przed drzwiami do korytarza, z identyfikatorem w dłoni.

– Potrzebny mi paszport – powiedziałem. – Parę tygodni temu spłonął mój dom. Wszystko straciłem. Wydano mi paszport tymczasowy, ale czułbym się bezpieczniej z prawdziwym.

– Możemy tu wydać dokument paszportowy – odparła. – Da się to załatwić w krótkim czasie, ale równie dobrze może się pan tym zająć po powrocie do domu.

Wyszedłem z ambasady, zapamiętałem godziny otwarcia i ruszyłem spacerem z powrotem na Montparnasse.

Po krótkiej chwili zadzwonił mi w kieszeni telefon. Szedłem akurat ruchliwą drogą, więc skrzyłem w boczną uliczkę i dopiero tam odebrałem. Na wyświetlaczu pokazał się szwedzki numer, ale go nie rozpoznałem.

Okazało się, że to Jansson.

– Widzę, że nie ma cię w domu! – krzyknął do słuchawki.

Jansson zawsze wrzeszczał do telefonu. Nigdy nie zaakceptował faktu, że kiedy rozmawia się przez telefon, odległość przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy go teraz usłyszałem, przypomniała mi się stara pani Hultin, wdowa z wyspy Vesselskär. Od czasu do czasu leczyłem jej chore stopy.

– Jansson skrzeczy jak sójka – mawiała, kiedy w naszej rozmowie pojawiał się temat listonosza.

Sama mówiła tak cicho, że czasem ledwie byłem w stanie ją usłyszeć przez telefon. Jej wydawało się z kolei, że mieszkańcy okolicznych wysp czatują z telefonami przy uszach, żeby usłyszeć o jej nagniotkach.

– Skąd wiesz, że nie ma mnie w domu? – zapytałem.

– Właśnie przepływałem obok. Policja cię szukała.

– Nikt do mnie nie dzwonił.

– Przyplłynęli do ciebie. Chodzi o podpalenie domu.

– Chcą mnie aresztować?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Co ci powiedzieli?

– Zapytali tylko, czy wiem, gdzie się podziewasz.

– Nie wiesz.

– No właśnie.

– Zanim wyjechałem, zostawiłem wiadomość Alexanderssonowi. Uprzedziłem go, że nie będzie mnie przez parę dni.

– Więc nie muszę się o ciebie martwić?

– Dlaczego miałbyś cię o mnie martwić? Czy to ty podpaliłeś mój dom?

– Co ty wygadujesz?

– Jestem w Paryżu.

– Co, u diabła, robisz w Paryżu?

Jansson rzadko przeklinał. Równie rzadko, jak popisывał się swoim pięknym głosem.

– Tutaj to ja szukam kontaktu z policją, nie na odwrót.

– O czym ty mówisz?

– Wygląda na to, że Louise wpadła w tarapaty. Ale nie chcę, żebyś to rozgadał.

– Wiesz, że nie zrobiłbym nic podobnego.



– Jasne, że byś zrobił. Zawsze roznosiłeś tyle samo listów, co plotek.

Jansson nie odpowiedział, ale wiedziałem dobrze, że go uraziłem.

– Ci policjanci musieli ci przecież powiedzieć coś jeszcze – dodałem po chwili.

– Poprosili mnie, żebym im dał znać, kiedy wrócisz.

– I oczywiście się zgodziłeś?

– A co miałem zrobić?

– Pisali o tym w gazecie?

– Nie.

Zastanowiłem się szybko, czy powinienem go o coś poprosić. Nie chciałem, żeby ludzie myśleli, że uciekłem z kraju.

– Naprawdę jesteś w Paryżu?

– Chyba mi się rozładowuje bateria, bo prawie cię nie słyszę – powiedziałem.

Nie była to prawda, ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli zaraz nie zakończę rozmowy, Jansson zacznie ze mnie wyciągać informacje.

– Pogadamy później – zawołałem jeszcze do słuchawki i się rozłączyłem.

Spociłem się ze zdenerwowania. Fakt, że szuka mnie policja, nie mógł oznaczać niczego innego, tylko że są przekonani o mojej winie. Nie znosiłem, kiedy okazywano mi współczucie, zwłaszcza kiedy robił to ktoś taki jak Jansson. Uznawałem, że tylko ja mam prawo do uzalania się nad samym sobą.

Powędrowałem w górę Boulevard Saint-Michel i zatrzymałem się przed bistro, w którym w swoim czasie bywali Sartre i de Beauvoir. W środku panował tłok, usiadłem więc przy stoliku przed lokalem. Wypiłem kolejną kawę i dwie lampki calvadosu. Pomyślałem przy tym, że moja wyprawa do Paryża przeradza się w zakrapianą alkoholem ucieczkę od mojej opustoszałej wyspy z pogorzeliem czekającym na pierwszy śnieg.

Spróbowałem sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy spotkam Louise. Nie wiedziałem nawet, o co jest oskarżona.

Potem moje myśli rozpiezchły się w różnych kierunkach, więc ruszyłem z powrotem do hotelu. Szedłem coraz wolniej. Kiedy zerkałem w bok, z witryn sklepowych spoglądała na mnie twarz

starego człowieka. Dotarłszy do hotelu, odebrałem klucz od madame Rosini, która zastąpiła monsieur Pierre'a. Wydawało mi się, że wyglądają podobnie. Mieli te same grzeczne i trochę nieobecne uśmiechy. Nigdzie nie dostrzegłem Rachel.

Położyłem się na łóżku i od razu usnąłem. We śnie znowu płonął mój dom. Wybiegałem w popłochu, chcąc uciec jak najdalej od jaskrawego światła, ale po chwili znów leżałem w łóżku, wokół było ciemno, a potem wszystko zaczynało się od nowa. Za każdym razem ogromna jasność wypalała mi oczy z siłą gigantycznych reflektorów. Mój pies, który zdechł parę lat temu, we śnie wciąż jeszcze żył. W pewnej chwili zdawało mi się nawet, że widzę moją ostatnią kotkę uciekającą z płonącym futerkiem.

Kiedy się wreszcie przebudziłem, na zewnątrz zapadł już zmrok. Rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. Woda była tak samo zimna jak morze przy moim pomoście. Nie udało mi się ustawić kurków tak, żeby lała się ciepła.

Ledwie zdążyłem owinać się w pasie ręcznikiem, kiedy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu znów pojawił się szwedzki numer. Zawahałem się, czy odebrać, może znów dzwonił Jansson? Albo ktoś z policji?

W końcu odebrałem i usłyszałem głos Lisy Modin.

- I jak hotel? – zapytała.
- Dzwoni pani tylko po to, żeby o to zapytać?
- Pomyślałam sobie, że rzeczywiście przyjadę.
- Dzisiaj?
- Nie, jutro. Proszę nie pytać dlaczego.
- Bardzo się cieszę.
- Tylko niech pan niczego sobie nie wyobraża.
- Dlaczego w kółko pani to powtarza?
- Bo chcę mieć pewność, że nie będzie pan niczego oczekiwał.
- O której pani przylatuje?
- Jeszcze nie wiem. Ale jutro.
- Wyjadę po panią.
- Nie trzeba. Znalazł pan córkę?
- Byłem w ambasadzie. Obiecali, że do jutra się czegoś dowiedzą.

Nagle rozmowa się urwała. Być może Lisa świadomie się rozłączyła, bo próbowałem oddzwonić, ale nie udało mi się uzyskać połączenia. Mimo to nie miałem wątpliwości, że naprawdę podjęła decyzję o przyjeździe. Przyleci nazajutrz i wie, w jakim hotelu się zatrzymałem. Nie mogło to oznaczać nic innego, jak tylko, że chce się ze mną zobaczyć. W jednej chwili wszystko się zmieniło. Ubrałem się i zszedłem do recepcji. Monsieur Pierre wrócił do pracy. Był niedokładnie ogolony.

Zapytałem się, czy madame Modin ze Szwecji zarezerwowała dla siebie pokój od jutra. Monsieur Pierre zajrzał do komputera i pokręcił głową.

– Niestety – powiedział. – Na jutro mam tylko rezerwację madame Andrews z Kanady. Odwiedza nas każdej jesieni.

Wyszedłem na ulicę i wciągnąłem do płuc nocne listopadowe powietrze. Wciąż było przyjemnie ciepło. Przespacerowałem się w stronę Gare Montparnasse, kupiłem szwedzką gazetę i zaszedłem do małej restauracyjki, którą zdawali się odwiedzać sami Francuzi. Nie widziałem w niej żadnych turystów. Zamówiłem grasicę cielecą. Nie smakowała mi, ale zjadłem wszystko, bo byłem głodny. Popijałem wino i rozmyślałem na przemian o mojej córce, Lisie Modin i tym nieszczęśniku Janssonie, którego do dziś nie udało mi się rozgryźć.

Potem zamówiłem kawę i zacząłem przeglądać gazetę, ale szybko się zorientowałem, że to to samo wydanie, które przeczytałem na lotnisku Arlanda.

Po wyjściu z restauracji poczułem miłe podekscytowanie. Ruszyłem spacerem w stronę Dzielnicy Łacińskiej, choć bolały mnie nogi od długiej przechadzki w ciągu dnia.

Znowu uderzyła mnie myśl, że jak okiem sięgnąć, jestem najstarszy.

Pomyślałem o Louise. Czy komuś z ambasady rzeczywiście uda się ją odnaleźć w labiryncie paryskich aresztów?

Potem ogarnęło mnie coś w rodzaju żalu z powodu tego, że nigdy tak naprawdę nie pozwoliłem sobie poczuć się jak ojciec Louise. Po tym jak niespodziewanie pojawiła się w moim życiu, przez długi czas postrzegałem ją raczej jako ciężar niż powód do radości. Rzec

jasna nigdy nie podzieliłem się z nikim tą myślą. I chociaż nie wypowiedziałem wprost pretensji pod adresem Harriet, w głębi ducha obarczałem ją winą za ten fakt. Nie mówiąc mi wcześniej, że mam córkę, w jakiś sposób mnie z niej obrabowała. Mimo że Louise zjawiała się w moim życiu po wielu latach, wiedziałem, że nigdy nie pokocham jej miłością, jaką rodzic darzy swoje dziecko.

W głowie zaświtała mi nadzieja, że być może będzie mi dane przeżyć tę miłość w stosunku do dziecka Louise. A może to uczucie też jest już dla mnie stracone?

Spacerowałem długo, ale myśli w mojej głowie wciąż nie układały się w harmonijną całość.

W końcu doszedłem do pokrzepiającego wniosku, że narodziny dziecka zawsze oznaczają początek nowego rozdziału w wielkiej kronice dziejów ludzkości.

Przechadzałem się właśnie po południowej części Ogrodu Luksemburskiego, kiedy nagle przypomniał mi się klub jazzowy, który odwiedzałem przy okazji moich poprzednich wizyt w Paryżu. Nazywał się Caveau de la Huchette. Dobrze pamiętałem, gdzie się znajduje. W nadziei, że wciąż grają tam jazz, podążyłem w jego stronę, poczuwszy nagłą potrzebę, by nadać cel tej swojej wieczornej wyprawie.

Po drodze wstąpiłem do bistro i wypłem kolejną kawę. Przy jednym ze stolików siedziała czarnoskóra kobieta i czarnoskóry mężczyzna w zbliżonym do niej wieku. Raz po raz kobieta zerkła w moją stronę. Rozejrzałem się wokół, podejrzewając wpierw, że może spogląda na kogoś siedzącego blisko mnie, ale nikogo tam nie widziałem. Za mną była jedynie szyba z widokiem na ulicę migoczącą światłem ulicznych latarni. Nieznajoma wyglądała na dziesięć lat młodszą ode mnie. Nie rozpoznawałem jej. Próbowałem się skupić na kawie, ale za każdym razem, kiedy podnosiłem wzrok, ona odwracała głowę w moją stronę.

Doszedłem do wniosku, że albo mnie skądś zna, albo – co uważałem za bardziej prawdopodobne – wydaje jej się, że mnie rozpoznaje.

W pewnej chwili wstała i przeszła między stolikami w moją stronę. Jej mąż, czy kimkolwiek był towarzyszący jej mężczyzna,

zdawał się nie interesować tym, co robi.

Odezwała się do mnie po angielsku. Byłem niemal pewien, że bierze mnie za kogoś innego.

– Jestem pewna, że się skądś znamy – powiedziała.

Zaprosiłem ją gestem dłoni, by usiadła przy moim stoliku.

– Mam dobrą pamięć do twarzy – mówiła dalej. – Zawsze tak było. Odziedziczyłam to po mamie. Potrafiła rozpoznać twarz człowieka, którego spotkała trzydzieści albo czterdzieści lat wcześniej.

– I ma pani taką samą zdolność?

– Tak.

– Ja niestety pani nie rozpoznaję. Nie wydają mi się znajome ani pani twarz, ani brzmienie pani głosu.

Kobieta przyjrzała mi się uważnie.

– Tak, teraz jestem pewna – powiedziała po chwili. – Przed wieloma laty, kiedy oboje byliśmy jeszcze młodzi, przyszedł pan do urzędu celnego w Paryżu, żeby odebrać maszynę do pisania. Ktoś ją panu przysłał. Nie pamiętam, z jakiego kraju. Okazało się, że musi pan uiścić opłatę celną, bo maszyna była nowa, ale nie miał pan pieniędzy. W końcu wydałam panu tę maszynę bez opłaty. Pamiętam, że o mało się pan nie rozplakał z radości.

W jednej chwili przypomniałem sobie nie tylko tę kobietę, ale i całą tamtą sytuację. Było to w czasach, kiedy przyjechałem do Paryża z mocnym postanowieniem zostania pisarzem. Napisałem list do ojca, w którym poprosiłem go o zakup i przysłanie maszyny do pisania. Obiecałem mu, że zarobię na pisaniu przynajmniej tyle, by móc oddać mu zainwestowane pieniądze. Właściwie nie miałem złudzeń, że spełni moją prośbę, ale pewnego dnia dostałem wezwanie do urzędu celnego. W okienku czekała na mnie właśnie ta kobieta. Po długiej rozmowie wydała mi jasnoniebieską maszynę w czarnej torbie i zwolniła mnie z opłaty celnej.

– Jakim cudem pani mnie zapamiętała? – zapytałem.

– Nie wiem. Zobaczyłam pana i zwyczajnie pana rozpoznałam. Pamiętam, że bardzo mnie pan wtedy prosił o wydanie tej maszyny. Był pan młody i bez grosza przy duszy. Skąd pan jest? Z Irlandii?

– Ze Szwecji.

- I jak panu poszło? Został pan pisarzem?
- Nie, lekarzem.
- A co się stało z maszyną?
- Sprzedałem ją parę lat później, kiedy znów dramatycznie potrzebowałem pieniędzy.

Kobieta uśmiechnęła się i wstała.

- Czasem przypadkowo spotyka się znajomych z dawnych lat – powiedziała. – Cieszę się, że odziedziczyłam tę zdolność po mamie.

Wróciła do swojego stolika, a ja siedziałem jeszcze chwilę, całkiem oszołomiony. Wydawało mi się, że nie streściła swojemu towarzyszowi naszej rozmowy.

Potem wreszcie wyszedłem i kontynuowałem spacer do klubu jazzowego. Przeszedł mi ból w nogach, poruszałem się lekkim krokiem. Przez krótką chwilę byłem starym człowiekiem, który ani trochę nie przejmuję się spalonym domem.

Klub mieścił się dokładnie w tym miejscu, które zapamiętałem. Kupiłem bilet i wszedłem do środka. Było jeszcze stosunkowo wcześnie, a ja pamiętałem, że podczas moich wcześniejszych wizyt zwykle schodziłem tymi schodami do piwnicy późną nocą.

Teraz nie minęła jeszcze jedenasta. Schody wyglądały tak, jak je zapamiętałem, ale idąc w dół uzmysłowiłem sobie, że przed kupnem biletu powinienem był przeczytać afisz zapowiadający dzisiejszy koncert. Na skraju sceny stały instrumenty i rząd wzmacniaczy świadczące o tym, że w repertuarze nie jest przewidziany tradycyjny ani nowoczesny jazz. Rozejrzawszy się wokół, stwierdziłem, że właśnie trwa przerwa w koncercie reggae. Na widowni królowały fryzury rasta i kolorowe czapki z włóczki. Dostrzegłem też kilkoro starszych mężczyzn i kobiet z siwymi warkoczami i odetchnąłem z ulgą. Nie byłem jedyną osobą w podeszłym wieku.

Podszedłem do baru i zamówiłem kieliszek calvadosa. Kiedy rozbrzmiała muzyka, poczułem falę ciepła rozlewającą się po całym ciele.

Popijałem powoli, nie odchodząc od baru. Mała przestrzeń pod sceną szybko się zapełniła, każdy zdawał się tańczyć z każdym. Ludzie kołysali biodrami, niektórzy lekko, niemal niezauważalnie

przestępowali z nogi na nogę. Miarowy rytm muzyki był jak miękkie morskie fale.

Obok mnie przy barze stała kobieta w kolorowym turbanie. Nie namyślając się, zapytałem ją, czy chce zatańczyć i w tej samej sekundzie prawie zaniemówiłem, zaskoczony własną odwagą. Zgodziła się. Wepchnęliśmy się między tańczących ludzi. Opanowałem podstawowe kroki taneczne jeszcze w gimnazjum, ale przy kilku zaledwie okazjach, kiedy tańczyłem z Harriet, bardzo wstydziłem się swojej nieporadności. Teraz, mimo tłoku, poczułem się jeszcze bardziej bezradny w tańcu niż zwykle. Poruszałem się, jakbym miał ciężkie kopyta. Moja partnerka nie ukrywała rozczarowania. Spojrzała na mnie tak, jakbym ją oszukał i zostawiła mnie samego na parkiecie. Moje poniżenie było totalne.

Wyszedłem na ulicę odprowadzany dźwiękami muzyki reggae.

Byłem już prawie pod hotelem, kiedy coś mnie tknęło, by wyjąć z kieszeni telefon. Nikt nie dzwonił, ale czekała na mnie wiadomość od Louise.

„Gdzie jesteś?”

Spróbowałem do niej zadzwonić, ale wciąż nie udawało mi się uzyskać połączenia.

– Jestem tu – powiedziałem na głos sam do siebie. – Naprawdę tu jestem.

Znienawidziłem kobietę, która zostawiła mnie na parkiecie. Idąc do hotelu, z każdym krokiem wyobrażałem sobie coraz gorsze rzeczy, jakie chętnie bym jej zrobił.

W ciemnej uliczce na wysokości dworca Gare Montparnasse, podszedł do mnie pijany mężczyzna i poprosił o papierosa. Zatrzymałem się, podszedłem o krok bliżej i oznajmiłem mu, że nie palę od trzydziestu lat.

Rzecz jasna bałem się, że mnie zaatakuje, ale najwyraźniej mój zdecydowany ton go do tego zniechęcił. Odwrócił się i poszedł dalej chwiejnym krokiem.

Tej nocy źle spałem. Bolało mnie upokorzenie, którego doświadczyłem w klubie jazzowym. Było mi wstyd. Najpierw długo leżałem bezsennie, potem przewracałem się z boku na bok. W pewnej chwili byłem pewien, że słyszę jak goście z sąsiedniego pokoju pakują się do wyjazdu. Na korytarzu zaskrzypiał wózek z przyborami do sprzątanía. Byłem ciekaw, czy to Rachel zabiera się za porządki tak wczesnym rankiem.

Kiedy wreszcie zasnąłem w moim urządzonym na brązowo pokoju, zegar wskazywał piątą. O ósmej obudził mnie telefon. Mężczyzna, który przedstawił się jako Olof Rutgersson, dzwonił z ambasady. Nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem, jak się nazywa.

– Wciąż nie udało mi się ustalić miejsca pobytu pańskiej córki – powiedział.

Mówił tak, jakby miał zatkany nos i z pewnością nie mógł nic poradzić na to, że nadawało to jego głosowi aroganckie brzmienie.

– I co teraz będzie? – zapytałem.

– Znajdziemy ją – zapewnił. – W końcu Paryż to miasto, a nie kontynent. Pana córka przebywa pewnie w jakimś małym areszcie przy jednym posterunków policji i znalezienie jej zajmie nam po



prostu trochę więcej czasu. Odezwę się do pana, kiedy będę miał wieści w pana sprawie.

Znowu chciałem zaprotestować, że Louise nie jest „sprawą”, ale nic nie powiedziałem. Zrozumiałem, że potrzebuję pomocy tego człowieka.

W sali, w której podawano śniadanie, między akwafortami przedstawiającymi mosty nad Sekwaną wisiała głowa samca wielkiego kudu ze spiralnie skręconymi rogami. Było tu niewielu gości. Monsieur Pierre’a znów zastępowała madame Rosini, którą spotkałem wczoraj. Zamówienie na kawę przyjęła ode mnie niska Wietnamka.

Na stole z jedzeniem stało metalowe wiaderko z lodem i butelką wina musującego. Nie mogłem się oprzeć pokusie i nalałem sobie kieliszek. Opuściła mnie już wściekłość na kobietę, która porzuciła mnie w tańcu.

Po śniadaniu wybrałem się na spacer w stronę dworca kolejowego i po drodze kupiłem szwedzką gazetę. Wróciwszy do hotelu, rozsiadłem się z nią w recepcji, na wytartym skórzanym fotelu.

Podobał mi się ten hotel. Lisa Modin dokonała dobrego wyboru. Zanim usiadłem i zacząłem czytać gazetę, zapytałem madame Rosini, czy od wczoraj pojawiła się rezerwacja dla kobiety ze Szwecji. Zaprzeczyła, a ja stwierdziłem z żalem, że Lisa wybrała dla siebie inne miejsce.

Przeglądałem gazetę, aż zrobiło się wpół do jedenastej. Rachel zeszła schodami na parter, niosąc kosz ze ścierkami i środkami do czyszczenia. Uśmiechnęła się do mnie i zabrała się za mycie szklanych drzwi.

Znów zabrzączał mój telefon. Dzwonił mężczyzna z ambasady.

– Mam dobrą wiadomość – powiedział. – Znaleźliśmy pańską córkę. Jest na posterunku policji w Belleville.

– A cóż ona u diabła robi w tej części miasta? – zdziwiłem się głośno.

– Nie wiem. Proszę poczekać w hotelu, wkrótce po pana przyjadę.

Dokładnie godzinę później przed hotelem zatrzymał się samochód z dyplomatycznymi rejestracjami. Kierowca nie wysiadł i nie otworzył mi drzwi, więc zrobiłem to sam i usiadłem obok Olofa

Rutgerssona. Był chudy, około pięćdziesiątki i miał szarą, bezbarwną twarz.

Samochód ruszył, a ja poprosiłem go, by streścił mi wszystko, czego się dowiedział.

– Nie mam wiele do powiedzenia – oznajmił. – Udało nam się ją znaleźć poprzez oficjalne kanały, mimo że francuska policja ma fatalny system zarządzania danymi osób zatrzymanych. To właściwie wszystko. Teraz musimy ustalić, w jakim położeniu znalazła się pańska córka i w zależności od tego, zastanowić się nad dalszymi krokami.

– Mówi pan o niej tak, jakby była jakimś statkiem, który ugrzązł na mieliźnie.

– To tylko słowa – odparł Olof Rutgersson. – Będzie lepiej, jeśli ja poprowadzę rozmowę z policją. Mam paszport dyplomatyczny, w odróżnieniu od pana.

Zaraz po tym Olof Rutgersson wykonał kilka telefonów. Zauważyłem kątem oka, że ma mały tatuaż tuż nad nadgarstkiem prawej dłoni. Litery układały się w słowo „Mama”.

Kiedy stanęliśmy w korku, rozejrzałem się i nagle rozpoznałem ulicę, na której się znaleźliśmy. Był to jeden z szerokich bulwarów Hausmanna. Olof Rutgersson wciąż rozmawiał przez telefon.

Wiedziałem, gdzie jestem. Pewnego dnia, blisko pięćdziesiąt lat temu, przyjechałem tu metrem i wysiadłem na stacji tuż obok miejsca, w którym teraz utknęliśmy. Było to w czasach, kiedy zarabiałem marne grosze, pracując na czarno w małym warsztacie blisko stacji Jourdain. Reperowałem klarnety pod czujnym okiem właściciela warsztatu monsieur Simonsa. Nie pamiętam już, jak udało mi się dostać tę robotę. Pracownia była ciasna, brudna i mieściła się w podwórzu kamienicy. Oprócz mnie i monsieur Simonsa, który był miłym człowiekiem, był tam jeszcze jeden pracownik – gruby, krótkowzroczny i wredny. Kiedy tylko monsieur Simons wychodził na miasto w jakiejś sprawie, ten zaczynał się mnie czepiać, uważał mnie zakałą tego warsztatu, bo miałem niezgrabne dłonie i prawie codziennie spóźniałem się do pracy. Nigdy mu się nie postawiłem. Obrzydzało mnie jego tchórzostwo

i nie było dnia, bym nie życzył mu nagłej śmierci między rozkręconymi klapkami saksofonów.

Czasem monsieur Simons wysyłał mnie z naprawionymi instrumentami do sklepów muzycznych i właśnie podczas jednej z takich wypraw wysiadłem na stacji metra przy tym bulwarze i niespodziewanie znalazłem się w środku wielkiego tłumu. W pierwszej chwili pomyślałem, że zdarzył się jakiś wypadek, ale szybko zrozumiałem, że ci ludzie czekają na przejazd jakiejś ważnej osobistości. Po chwili ujrzałem prezydenta de Gaulle'a stojącego w odkrytym samochodzie. Trzymałem pod pachą paczkę z naprawionym klarnetem i sięgnąłem prawą ręką pod połę marynarki, żeby wyjąć papierosa. W jednej chwili ktoś złapał mnie od tyłu i wykręcił mi rękę. Paczka z instrumentem upadła na chodnik. Chwilę później rozumiałem, że stojący blisko mnie dwaj policjanci w cywilu pomyśleli, że sięgam po broń.

Upewniwszy się, że nie mam złych zamiarów i że paczka, którą niosłem pod pachą, nie zawiera bomby, ale zwyczajny instrument, wzruszyli ramionami i puścili mnie wolno.

Wówczas prezydent już dawno przejechał. Tłum zaczął się rozchodzić.

– Kiedyś widziałem tutaj prezydenta de Gaulle'a – powiedziałem do Olofa Rutgerssona.

Właśnie wysyłał sms-a i chyba nie dosłyszał moich słów.

– Widziałem tu de Gaulle'a – powtórzyłem głośniej. – Na tej ulicy. Prawie pięćdziesiąt lat temu.

– Jasne – odparł Rutgersson. – Widział pan de Gaulle'a. Na tej ulicy. Pięćdziesiąt lat temu.

Mało brakowało, a byłbym go uderzył. Albo wyrwał mu telefon i wyrzucił przez okno. Żałowałem, że nie mam tyle odwagi. Niestety nie miałem.

Posterunek policji w dzielnicy Belleville mieścił się przy ulicy, której nazwy nie byłem w stanie zapamiętać. Olof Rutgersson wysiadł z samochodu z energią, o jaką go nie podejrzewałem. Podczas jazdy siedział przygarbiony, ziewał i prawie nie odrywał wzroku od komórki. Teraz zdał mi się całkiem odmieniony. Zanim

weszliśmy do budynku, powtórzył, żebym pozwolił mu poprowadzić rozmowę.

W obskurnej recepcji stał pod ścianą chłopak wyglądający na narkomana. Co chwilę zginał się wpół i wymiotował na podłogę. Dwaj pilnujący go funkcjonariusze patrzyli na niego z odrazą. Za wysoką ladą siedział mężczyzna ubrany po cywilnemu. Kiwnął głową na widok paszportu dyplomatycznego Rutgerssona. Wymieli parę zdań, policjant gdzieś zadzwonił i po krótkiej chwili wyszedł do nas starszy funkcjonariusz. Idąc, podpierał się laską. Poszliśmy za nim do małego gabinetu, w którym stało biurko uginające się pod stertami zakurzonych papierów. Pod ścianami stały regały tak obciążone książkami i teczkami, że lada chwila groziły zawaleniem. Przyszło mi na myśl, że odbyliśmy podróż w czasie. Tak musiały wyglądać biura francuskiego wymiaru sprawiedliwości w czasach Napoleona.

Mężczyzna z wyraźnym wysiłkiem opadł na krzesło za biurkiem. Poznałem po jego minie, że odczuwa ból. Jego zeszywniałe palce zdradzały, że cierpi na ciężką odmianę reumatyzmu.

Olof Rutgersson usiadł na krześle dla interesantów, a mi wskazał gestem dłoni taboret przy drzwiach.

Władał nieskazitelną francuszczyzną. W dodatku mówił szybko i ze stanowczością charakterystyczną dla ludzi, którzy nie znoszą sprzeciwu. Trudno mi było za nim nadążyć, ale udało mi się zrozumieć, iż nie ma stuprocentowej pewności, że Louise rzeczywiście przebywa w tutejszym areszcie.

Funkcjonariusz, nazwiskiem Armand, powiedział, że zapyta młodszego kolegę i zaraz potem gdzieś zadzwonił, ale i tamten nie był w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Kiedy Armand odłożył słuchawkę, Olof Rutgersson podszedł do mnie i oznajmił.

- To standard we francuskiej policji. Nikt nigdy nic nie wie.
- Czy dobrze zrozumiałem, że Louise tutaj nie ma?
- Oni często gubią swoich zatrzymanych, ale my oczywiście się nie poddamy. Domyślam się, że szwedzka policja działa podobnie.

Po kolejnej chaotycznej rozmowie z udziałem jakichś asystentów, którzy wpadali do gabinetu w popłochu i zaraz z niego wybiegali, wreszcie się dowiedzieliśmy, że Louise rzeczywiście do niedawna

tutaj była, ale tego ranka przewieziono ją do prefektury policji na Île de la Cité. Nie potrafiono nam wyjaśnić, dlaczego została przeniesiona. Armand pił jedną filiżankę mocnej kawy za drugą i wykrzywiając twarz w bolesnym grymasie, tłumaczył, że gorący płyn drażni go w zepsute zęby. Kiedy to usłyszałem, zrobiło mi się niedobrze.

Olof Rutgersson był nieustępliwy. Stanowczo domagał się wyjaśnienia, dlaczego Louise została przewieziona w inne miejsce i o co jest oskarżona. Nie uzyskał odpowiedzi. Konwój, który zabrał ją z paroma innymi zatrzymanymi, zabrał ze sobą wszystkie dokumenty.

– Została zatrzymana sama czy z kimś? – zapytałem.

Rutgersson przetłumaczył moje pytanie, ale nie dowiedzieliśmy się, czy ktokolwiek z aresztowanych w tym czasie osób był z nią jakoś powiązany.

Po półgodzinnej rozmowie, która wprawiała urzędnika ambasady w coraz większe zdenerwowanie, stwierdziliśmy wreszcie, że nie ma sensu dłużej siedzieć w Belleville.

Kiedy wyszliśmy z posterunku, Olof Rutgersson oznajmił, że musi coś zjeść. Weszliśmy do pobliskiej kafejki. Kierowca czekał na nas w samochodzie. Ja zamówiłem herbatę, a Rutgersson kanapkę i kawę.

Potem zadzwoniła Lisa Modin. Rutgersson przesłuchiwał się dyskretnie mojej rozmowie.

– To matka pańskiej córki? – zapytał, kiedy skończyłem.

– Nie, ona nie żyje. Dzwoniła moja znajoma.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. Nie wiedziałem, że pana żona umarła.

– Nie była moją żoną. Łączyła nas tylko córka.

Chwilę później wyjechaliśmy z Belleville. Ruch trochę zelżał. Przez całą drogę Olof Rutgersson znów gdzieś dzwonił i wysyłał SMS-y. Nosił obrączkę. Byłem ciekaw, jak wygląda jego żona, ale nie potrafiłem jej sobie wyobrazić.

Czekałem aż Lisa ponownie do mnie zadzwoni. Po poprzedniej rozmowie nie miałem pewności, czy już jest w Paryżu, czy jeszcze nie dotarła do Francji. Myśl o tym, że mógłbym leżeć z nią

w jednym łóżku i poczuć dotyk jej ciała, powodowała, że troska o Louise chwilami całkiem wyparowywała z mojej głowy. Byłem za stary, żeby odczuwać z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie chciałem stać się taki jak ojciec. Kiedy się postarzał i dokuczają mu siłę bóle stawów, zaczął sobie wypominać złe zachowanie wobec różnych ludzi, z którymi kiedyś pracował i których obsługiwał. I chociaż on sam bywał źle traktowany przez szefów albo aroganckich klientów, pod koniec życia tylko siebie obarczał winą i szukał rozgrzeszenia za swoje postęпки.

Szczególnie zapadło mi w pamięć jedno zdarzenie, które miało miejsce krótko po śmierci matki. Odwiedziłem ojca w jego małym ciemnym mieszkanku w Vasastan, w centrum Sztokholmu. Właśnie ukończyłem studia medyczne i wziąłem ze sobą stetoskop i aparat do mierzenia ciśnienia, żeby pokazać ojcu, że sam mogę już sprawdzać u niego to, o co zawsze się tak niepokoił. Zostałem u niego na noc. Położyłem się wcześniej, bo wcześniej rano zaczynałem dyżur w szpitalu Södersjukhuset. Ojciec lubił spacerować nocą po mieszkaniu. Długie lata pracy w restauracjach wykształciły w nim nawyk czuwania do późna, więc rzadko kładł się spać przed trzecią nad ranem.

W pewnej chwili nagle się przebudziłem. Nie wiedziałem, co wyrwało mnie ze snu, ale drzwi do pokoju były uchylone i nagle usłyszałem, że ojciec wykręca numer na telefonie w przedpokoju. Byłem ciekaw, do kogo dzwoni w środku nocy, wstałem cicho i podszedłem na palcach do drzwi. Siedział na taborecie z słuchawką przytkniętą do ucha. Po chwili, nie uzyskawszy odpowiedzi, ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki i skreślił nazwisko na ręcznie sporządzonej liście, którą trzymał na kolanach.

Kiedy wstałem wczesnym rankiem, ojciec spał. Zerknąłem na listę leżącą obok telefonu. Były na niej nazwiska ludzi, których nie znałem. Obok niektórych widniał dopisek, że ta osoba zmarła. W obok innych były znaki zapytania.

Przy następnej wizycie zapytałem ojca, co to za lista i do kogo dzwonił tamtej nocy. Odpowiedział mi bez chwili namysłu, że to ludzie, których kiedyś źle potraktował i teraz, póki jeszcze jest na to czas, chciałby ich za to przeprosić. Niestety wielu z nich już nie

żyło. Ojciec bardzo nad tym ubolewał i czasem zastanawiałem się, czy to z powodu tej listy przestał o siebie dbać i nie zwracał już uwagi na plamy na spodniach i koszulach.

Żył jeszcze pół roku od tamtej rozmowy. Nie wiem, z iloma ludźmi z listy udało mu się skontaktować. Zachowałem ją, porządkując jego mieszkanie. Potem długo leżała w jednej z szuflad mojego biurka. A teraz spłonęła wraz ze wszystkim, co posiadałem.

Przejechaliśmy przez most na Île de la Cité i dotarliśmy do prefektury policji. Paszport dyplomatyczny, którym Olof Rutgersson torował nam drogę niczym wyciągniętym krzyżem, sprawił, że dość szybko trafiliśmy do pokoju, w którym udzielono nam informacji na temat Louise. Zaraz po tym do dużego gabinetu wezwała nas sędzia śledcza, która prowadziła postępowanie przygotowawcze i zgodnie z zasadami działania francuskiej policji miała też zadecydować o losie mojej córki. Zdziwiłem się na widok fortepianu koncertowego Bechstein w pomieszczeniu. Kobieta zaproponowała, byśmy zajęli miejsca, sama zasiadła za biurkiem i otworzyła przygotowaną teczkę. W pierwszej kolejności przemówiła do mnie, bo przedstawiłem się jako ojciec Louise, ale Olof Rutgersson błyskawicznie przejął rolę rozmówcy i zaczął odpowiadać na wszystkie pytania. Sędzia miała na sobie kostium w kolorze winnej czerwieni, a na jej policzku widniała mała blizna po oparzeniu. Kobieta mówiła równie szybko, co Rutgersson, więc byłem bez szans. Szybko przestałem cokolwiek rozumieć. Przyglądając się Rutgerssonowi, doszedłem do wniosku, że z początku źle go oceniłem. Wydawało się, że traktuje swoje zadanie z ogromną powagą. Los mojej córki nie był mu obojętny. Co jakiś czas przerywał rozmowę z sędzią i streszczał mi pokrótce jej przebieg.

W końcu udało mi się dowiedzieć, dlaczego Louise trafiła za kratki. Została złapana na kradzieży portfela z wewnętrznej kieszeni płaszcza jakiegoś mężczyzny w zatłoczonym metrze niedaleko kościoła Saint-Sulpice. Na pytanie, dlaczego zawieziono ją stamtąd aż do Belleville, usłyszeliśmy odpowiedź, że musiało się tak stać z powodu dużej liczby aresztowań i braku miejsca w bliżej położonych aresztach. Nie było wątpliwości, że Louise próbowała ukraść portfel. Wprawdzie starszy mężczyzna niczego nie zauważył,

ale inny pasażer był świadkiem tej kradzieży i złapał Louise na gorącym uczynku. W dodatku okazało się, że pasażerem tym był ubrany po cywilnemu policjant. Nie znaleziono dowodów na to, że Louise działała we współpracy z jakąś inną osobą, chociaż pojawiło się takie podejrzenie.

Aktualnie moja córka była zatrzymana i miała zostać wkrótce tymczasowo aresztowana. Olof Rutgersson wytłumaczył mi, że w ostatnim czasie francuska policja podjęła specjalne działania w związku ze stale rosnącą liczbą kradzieży w metrze. Ponoć Paryż zaczynał przypominać pod tym względem Barcelonę, uznawaną za raj dla kieszonkowców. Kiedy za pośrednictwem Rutgerssona zapytałem sędziego, czy zgodzi się wypuścić moją córkę po udzieleniu jej pouczenia, bo nigdy wcześniej nie miała kłopotów z francuską policją i w dodatku była w ciąży, kobieta tylko rozłożyła ręce. Wyglądało na to, że Louise tak łatwo się nie wywinie.

– Może w takim razie zgodzi się na karę grzywny? – zwróciłem się do Rutgerssona.

– Jest za wcześnie na taką dyskusję – powiedział. – Najważniejsze, że możemy się teraz spotkać z pana córką i wysłuchać jej wersji zdarzeń.

– Ma pan rację – odparłem. – Najważniejsze, żeby wiedziała, że tu jesteśmy. Potem zajmiemy się resztą.

Chwilę później umundurowany policjant poprowadził nas długim korytarzem, schodami w dół i przejściem podziemnym, potem znowu schodami i jakimś przejściem, coraz głębiej i głębiej pod ziemię. Byłem ciekaw, czy zmierzamy do tej samej celi, w której spędziłem noc wiosną 1968 roku. W pewnej chwili miałem wrażenie, że rozpoznaję pomalowane na biało piwniczne sklepienia, metalowe drzwi i drewniane ławki pod ścianami. Wydawało mi się nawet, że rozpoznaję głosy rozmawiających ze sobą ludzi. Znaleźliśmy się w labiryncie, w którym łatwo się zgubić, i z którego z pewnością nikomu nie udałoby się już wydostać.

W końcu wprowadzono nas do pokoiku bez okien, ze stołem pomalowanym ciemną bejcą i z chwiejącymi się taboretami. Po długim oczekiwaniu, które Olof Rutgersson znosił z zadziwiającym spokojem, podczas gdy ja robiłem się coraz bardziej nerwowo,



wreszcie otworzyły się drzwi i do środka weszła Louise z asyście umundurowanej policjantki. Louise nie miała na sobie więziennego kombinezonu, była ubrana w zwykłe spodnie i koszulę, która wydała mi się znajoma. Była bardzo blada. Po raz pierwszy ujrzałem w jej oczach błysk radości na mój widok. Zwykle spoglądała na mnie niepewnie. Tym razem było inaczej.

Nie miała kajdanek. Policjantka nie powstrzymała mnie, kiedy podszedłem, żeby przytulić Louise.

– Jednak przyjechałeś – powiedziała.

– Oczywiście, że przyjechałem.

– Życie nauczyło mnie, że nikt nigdy nie przychodzi z pomocą.

Przedstawiłem jej Olofa Rutgerssona. Policjantka stanęła przy drzwiach i wydawała się zupełnie niezainteresowana naszą obecnością. Usiedliśmy przy stole. Nie musieliśmy zachęcać Louise, żeby nam wszystko opowiedziała. Nie miałem powodu, by jej nie wierzyć.

Przyznała się do kradzieży portfela w zatłoczonym metrze, rozwiewając we mnie resztę wątpliwości, że w ten sposób zarabia na życie. Mimo to nie wspomniała o wcześniejszych kradzieżach. Rozumiałem ją. Po co miałyby wyznawać Rutgerssonowi, że żyje wyłącznie ze środków, które uda jej się ukraść? Ja i moja córka zawiązaliśmy milczące porozumienie. Zatrzymano ją na kradzieży tego konkretnego portfela. To wszystko.

– Tak rozpaczliwie potrzebowała pani pieniędzy? – zapytał ją Rutgersson, kiedy skończyła mówić.

Po raz kolejny mnie zaskoczył. Zaledwie przed momentem widziałem w nim energicznego, oddanego swojej pracy urzędnika ambasady, a teraz przerodził się w jakieś pozbawione uczuć stworzenie.

– Gdyby było inaczej, po co miałyby kraść komuś portfel? – wtrąciłem się. – Niech pan weźmie pod uwagę, że Louise jest w ciąży, w dodatku mój dom w Szwecji, a więc cały jej przyszły majątek, spłonął parę tygodni temu.

Olof Rutgersson spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem. Dotarło do mnie, że nie wspomniałem mu wcześniej o pożarze. Nie skomentował tego, tylko pokiwał głową.

– Załatwię pani prawnika – powiedział po chwili. – Niestety ambasada nie może za niego zapłacić. Mogę wpłacić zaliczkę, ale będziecie państwo musieli ją zwrócić.

– Czy to będzie duża suma? – zapytałem.

– Niekoniecznie.

– W takim razie zapłacę.

Olof Rutgersson wyjął z kieszeni telefon i wybrał jakiś numer, ale siedzieliśmy tak głęboko pod ziemią, że nie udało mu się uzyskać połączenia. Wymienił parę słów z policjantką i wyszedł z pokoju. Usłyszałem, jak zmierza szybkim krokiem ku światłu dziennemu i falom radiowym.

Wziąłem Louise za rękę. Żadne z nas nie było do tego przyzwyczajone. Po raz pierwszy od blisko dziesięciu lat, od dnia, w którym Harriet oznajmiła mi, że kobieta stojąca w drzwiach przyczepy w głębokim lesie prowincji Hälsingland jest moją córką, poczułem, że rzeczywiście jestem jej ojcem.

Żałowałem, że Harriet nie żyje, i że nie mogła zobaczyć, jak jej córka i ojciec nareszcie poczuli rodzinną więź.

Zapytałem Louise, jak się czuje i jak się ma jej dziecko. Odpowiedziała cicho, że wszystko jest w porządku. Nie byłem w stanie się powstrzymać i w końcu zapytałem ją, co zaszło tamtego dnia, kiedy nie pojawiła się na umówionym obiedzie w kręgielni i zatknęła mi kartkę pod wycieraczkę w samochodzie.

– Po prostu musiałam wyjechać – odparła.

Nie pytałem o nic więcej. Jej odpowiedź była jasnym dowodem na to, że nie chce mi tłumaczyć, dlaczego tak nagle zniknęła.

W tamtej chwili, kiedy siedzieliśmy w piwnicy, a Olof Rutgersson ganiał po wyższych piętrach prefektury w poszukiwaniu zasięgu, dotarło do mnie, że właśnie dowiedziałem się czegoś nowego o mojej córce. Uciekała przed kimś lub przed czymś.

– Zadzwoiłaś tylko do mnie, czy do kogoś jeszcze? – zapytałem po dłuższej chwili.

– Tylko do ciebie.

– Dlaczego akurat do mnie? Oczywiście dobrze zrobiłaś, ale przecież zostawiłaś mnie bez słowa zaledwie kilka dni temu.

– Nie mam nikogo innego, kto mógłby mi pomóc.

- Przecież zawsze powtarzasz, że masz wielu przyjaciół.
- Być może to nieprawda.
- Nie sądziłem, że można kłamać w takiej sprawie.
- Nie obchodzi mnie, co można, a czego nie można. Czasem nie mówię całej prawy, tak samo jak ty.

Było jasne, że nie chce więcej rozmawiać. Usłyszałem to w jej głosie. Dotarliśmy do niewidzialnej granicy. Zadzwoiła tylko do mnie, do nikogo innego. To wszystko.

Wkrótce zjawił się Olof Rutgersson. W sposobie poruszania się przypominał łasicę. Przemykał energicznie i zwinnie, a telefon trzymał tak, jakby dzierżył broń. Ciągłe się spieszył.

– Pani sprawą zajmie się madame Riveri – oznajmił, zanim policjantka zdążyła zamknąć za nim drzwi. – Już wcześniej nie raz nam pomogła. W trzech przypadkach udało jej się wybronić obywateli Szwecji od oskarżeń. Będzie tu za godzinę. Oddaję panią w dobre ręce.

Podał Louise rękę na pożegnanie i życzył jej powodzenia.

– Niestety nie mogę dłużej zostać – dodał. – Za chwilę w ambasadzie zaczyna się spotkanie, na którym muszę być. Madame Riveri będzie mnie informowała o pani sprawie.

Po chwili zniknął za drzwiami. Jeszcze raz wsłuchiwałem się w jego pospieszne kroki.

– Bardzo nam pomógł – powiedziałem do Louise.

– Cieszę się, że taki ktoś jak on nie jest ojcem mojego dziecka – odparła.

Nie wiedziałem, co chciała przez to powiedzieć, choć być może nawet trochę ją rozumiałem.

Madame Riveri miała koło pięćdziesiątki, była elegancko ubrana, poruszała się i przemawiała z dystyngowaną rezerwą, nie pozostawiającą cienia wątpliwości, że wysoko ceni swoje kompetencje. Stanowczym gestem dłoni wyprawiała policjantkę za drzwi i wyjęła z torebki skórzany notatnik. Kiedy zorientowała się, że francuszczyzna mojej córki jest dalece niewystarczająca do swobodnej rozmowy, gładko przeszła na angielski. Dzięki temu usłyszałem szczegółową relację z tego, jak moja córka jeździła metrem po Paryżu w poszukiwaniu odpowiedniej ofiary. Madame

Riveri chciała wiedzieć, na której stacji metra Louise wsiadła do pierwszego pociągu, gdzie się później przesiadała i dlaczego wybrała akurat tego mężczyznę. Louise odpowiadała w sposób świadczący o tym, że postanowiła całkowicie zaufać prawnicze.

Potem rozmawiały chwilę o ciąży Louise, madame Riveri nie interesowała się, kto jest ojcem dziecka. W końcu padło pytanie, czy ten zrabowany portfel był pierwszą rzeczą, jaką moja córka komuś ukradła. Louise potwierdziła, ale odgadłem z miny prawniczki, że jej nie wierzy. Zręczność, z jaką Louise wyjęła portmonetkę z kieszeni tego mężczyzny świadczyła o długiej praktyce.

– Wiem, że nie mówi mi pani prawdy – oznajmiła madame Riveri. – Ale wersja, w której wpadła pani na gorącym uczynku podczas pierwszej kradzieży, jest dla pani korzystniejsza.

Zatrzasnęła z hukiem swój brązowy notes i wsadziła go z powrotem do torebki.

– Proszę z nikim o tym nie rozmawiać bez mojej obecności – powiedziała. – Spodziewam się, że wyjdzie pani stąd za trzy, najwyżej cztery dni. Wcześniej będzie to raczej niemożliwe. Ale zobaczymy.

Wstała, uściśnęła dłoń Louise i kiwnęła do mnie głową na znak, żebym wyszedł z nią na korytarz. Policjantka weszła do pokoju, żeby zabrać Louise. Madam Riveri wchodziła po schodach w takim tempie, że ledwo za nią nadążałem. Kiedy wyszliśmy na ulicę i zatrzasnęły się za nami ciężkie drzwi, wręczyła mi swoją wizytówkę.

– Oczywiście pokryję wszystkie koszty – zapewniłem.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Oczywiście, że tak – odparła. – Ale nie musimy rozmawiać o tym w tej chwili.

Chciałem ją jeszcze zapytać, co będzie dalej, ale zanim się obejrzałem, zatrzymała nadjeżdżającą taksówkę i wsiadła do niej bez pożegnania.

Ruszyłem z powrotem do hotelu. W powietrzu wiał deszcz. Przystanąłem na jednym z moście nad Sekwaną i patrzyłem na

przepływającą pode mną barękę mieszkalną. Jakaś kobieta wieszala pranie na sznurku, obok niej stał przypięty do pokładu wózek dziecięcy. Podskoczyłem ze strachu, kiedy nagle ktoś klepnął mnie w ramię. Obejrzałem się i spojrzałem wprost w brudną i nieogoloną twarz. Prosząc o pieniądze, mężczyzna owioną mnie cuchnącym oddechem. Dałem mu jedno euro i szybko odszedłem.

Na widok tego człowieka przypomniła mi się rozmowa z ojcem, w której niespodziewanie mi się z czegoś zwierzył. Wyznał mi, że najbardziej boi się tego, że pewnego dnia nie będzie w stanie zapłacić rachunków i przyjdzie mu żyć na ulicy. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego zdecydował się tym ze mną podzielić. Może próbował mnie ostrzec? Było to mało prawdopodobne, bo od dziecka byłem oszczędny i odkładałem pieniądze na czarną godzinę.

W hotelu przywitał mnie uśmiechnięty monsieur Pierre. Poszedłem prosto do baru i napiłem się herbaty, ponieważ doszedłem do wniosku, że ostatnio pijam za dużo kawy. Potem wsiadłem do windy i wjechałem na moje piętro.

Właśnie kładłem się na łóżku, kiedy zabręczał telefon. Madame Riveri przysłała wiadomość, że już jutro ma spotkanie w sądzie magistrackim, na którym będzie domagała się, by sprawa Louise skończyła się na deportowaniu jej do Szwecji. Zadała mi też pytanie, czy jestem w stanie pokryć koszty biletu lotniczego dla córki. Odpowiedziałem, że tak.

Odłożyłem telefon i od razu usnąłem. Przyśnił mi się ojciec biegnący po pustym ogródku jakiejś restauracji. Wiał silny wiatr i biała serweta, którą miał przerzuconą przez ramię, łopotała jak podcięte skrzydło. Próbowałem go zawołać, ale z mojej krtani nie wydobywał się żaden dźwięk.

Gdy ojciec nagle upadł, gwałtownie się przebudziłem. Sen przyprawił mnie o łomotanie serca. Usiadłem na brzegu łóżka i spróbowałem uspokoić oddech. Po paru minutach zmierzyłem sobie puls. Wynosił 97. Był o wiele za szybki. Położyłem się z powrotem i zacząłem rozmyślać o kondycji mojego serca. Czyżbym prowadził aż tak zły tryb życia, że grozi mi zawał? Próbowałem odegnąć tę myśl, ale mi się nie udawało. W końcu wyjąłem

z kieszeni fiolkę z tabletkami uspokajającymi, którą zawsze miałem przy sobie, połknąłem jedną i czekałem, aż zacznie działać.

Potem odezwał się telefon. Dzwoniła Lisa Modin.

– Jestem w Paryżu. Gdzie pan jest?

– W hotelu, który pani dla mnie znalazła.

– Czy jest dobry?

– Tak. A gdzie pani jest?

– Na dworcu Gare du Nord.

– Nie na Gare Montparnasse?

– Jeszcze nie, ale zamierzam tam dotrzeć.

– Zatrzyma się pani w tym samym hotelu?

– Nie, ale bardzo blisko.

– Wyjdę po panią. Proszę powiedzieć, o której będzie pani na dworcu.

– Nie trzeba. Znam drogę do hotelu.

– Zawsze mi się marzyło, żeby wyjść po kobietę na dworzec w Paryżu.

Lisa się roześmiała. Krótko i z lekkim zażenowaniem.

– Znalazłem córkę – powiedziałem. – Później pani wszystko opowiem.

– No dobrze. Spotkajmy się za godzinę. Dopiero tutaj dotarłam, muszę na chwilę usiąść i oswoić się z myślą, że jestem w Paryżu.

Obiecałem zjawić się punktualnie, zszedłem do baru i poprosiłem o szklankę wody mineralnej.

Monsieur Pierre właśnie szykował się do wyjścia i wydawał jakieś instrukcje personelowi z nocnej zmiany.

Po trzydziestu minutach Lisa przysłała mi wiadomość, że czeka na mnie w małej kafejce pod wielkim szyldem reklamującym aperitify Dubonnet.

W hali dworcowej panował już znacznie mniejszy tłok niż za dnia, choć wciąż kręciło się tu sporo ludzi. Od razu zlokalizowałem opisane przez Lisę miejsce. Siedziała przy płotku odgradzającym lokal od reszty hali. Piła herbatę. Miała na sobie granatową kurtkę, a pod nogami trzymała walizkę.

Pomyślałem, że jest bardzo piękna i że przyjechała tu specjalnie po to, żeby mnie odwiedzić.

Już miałem do niej podejść, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałem w nadziei, że to Louise, ale dzwonił Jansson.

– Nie przeszkadzam? – zapytał. – Gdzie jesteś?

– Nieważne, gdzie jestem. Czego chcesz? Jeśli znowu ci coś dolega, niestety teraz nie mogę ci pomóc.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że się pali – powiedział.

W pierwszej chwili nie rozumiałem o czym mówi, ale po chwili zeszywniałem z przerażenia.

– Co się pali? Moja szopa?

– Nie, dom na wyspie Källö. Ten, w którym mieszka wdowa Westerfeldt.

– Uratują go?

– Nie wiem, dalej się pali. Chciałem, żebyś wiedział.

Na tym rozmowa się urwała. Domyśliłem się, że Jansson jak zwykle zapomniał naładować baterię w telefonie.

Zastanowiłem się nad jego słowami. Miałem nadzieję, że wdowa Westerfeldt zdążyła uciec z płomieni.

Jej dom był taki sam jak mój, zbudowany według jednego projektu przez pracowitych cieśli pod koniec xix wieku.

Stałem w miejscu, ściskając w dłoni telefon. Wciąż trudno mi było przyjąć do wiadomości słowa Janssona. Fakt, że właśnie płonął inny dom w mojej okolicy oznaczał niechybnie, że policja przestanie mnie podejrzewać o podpalenie. O ile nie znajdzie się jakaś naturalna przyczyna pożaru domu wdowy Westerfeldt.

Nie miałem żadnych dowodów, ale i tak byłem pewien, że po naszym archipelagu grasuje podpalacz.

Wetknąłem telefon do kieszeni i ponownie spojrzałem na Lisę Modin. Zdążyła mnie już zauważyć i też patrzyła w moją stronę. Pomachała mi nieśmiało, jakby chciała ukryć ten gest.

Ja również jej pomachałem.

Podszedłem do jej stolika.

Zaczęliśmy rozmawiać jak obcy ludzie, którzy przypadkowo usiedli razem w kawiarni. Zamówiłem u kelnerki kieliszek wina. Wznieśliśmy toast. Potem ostrożnie musnąłem dłoń Lisy i powiedziałem, jak bardzo się cieszę, że ją widzę. Zadałem jej parę ogólnikowych pytań na temat podróży. Odpowiedziała na nie zdawkowo. W pewnej chwili zaproponowała, żebyśmy mówili sobie po imieniu. Ucieszyłem się.

W końcu poprosiliśmy o rachunek. Chciałem zapłacić za nią, ale odmówiła. Pokręciła też odmownie głową, kiedy sięgnąłem po jej walizkę.

Odprowadziłem ją do hotelu, ale przez całą drogę nie wspomniałem ani słowem o Louise. Lisa też o nią nie zapytała. Moje myśli zaprzętała dziwna rozmowa z Janssonem i pożar domu wdowy Westerfeldt.

Szliśmy ramię w ramię, pogrążeni w milczeniu.

– Paryż to jednak Paryż – powiedziałem nagle.

– Tak, to prawda – odparła Lisa.

Hotel, w którym zarezerwowała dla siebie pokój, nazywał się Mignon i wyglądał na skromniejszy od mojego.

Wszedłem z Lisą do środka. W ciasnej recepcji stał młody śniady mężczyzna. Zamiast kluczy z ciężkimi brelokami, mieli tutaj plastikowe karty do pokoi. Zaczekałem aż Lisa wypełni podetknięte jej papiery, przekaże swoją kartę kredytową i odbierze klucz.

– Jestem zmęczona – oznajmiła. – Muszę się przespać.

– Pokój 312 – odparłem. – Na pewno jest bardzo przyjemny. Trzecie piętro jest na tyle wysoko, że nie będziesz słyszała szumu z ulicy.

– Skontaktujemy się jutro?

Właśnie zamykał się bar sąsiadujący z recepcją.

– Napijmy się czegoś – zaproponowałem. – Zajmę ci tylko parę minut. Mam ci coś do opowiedzenia.



Lisa się zawahała.

– Muszę umyć ręce – odparła po chwili. – Zaraz do ciebie zejść.

Patrzyłem, jak wchodzi do windy i zasuwają się za nią drzwi. Do recepcji podeszła para Duńczyków pogrążona w głośnej rozmowie. Przeszedłem do baru. Kobieta za ladą obrzuciła mnie niechętnym wzrokiem.

– Nie zostanę długo – powiedziałem przeproszającym tonem. – Poproszę kieliszek czerwonego wina. Zaraz dołączy do mnie pani, która się u państwa zatrzymała, musimy króciutko porozmawiać.

Kobieta kiwnęła głową, zaraz po tym postawiła przede mną lampkę wina i zniknęła w kuchni na zapleczu. Zastanowiłem się, ile barów odwiedziłem w życiu. Pomyślałem o niezliczonych godzinach spędzonych nad kieliszkiem wina albo filiżanką kawy.

Po chwili zjawiała się Lisa. Zauważyłem, że uczesała włosy i zmieniła bluzkę. Kobieta za barem zapytała ją, czego się napije. Lisa pokazała palcem na mój kieliszek.

Zaraz po tym dostała swoją lampkę.

– Bar właśnie się zamyka – powiedziałem. – Ta pani jest niezadowolona, że tu siedzimy.

– Pokój okazał się strasznie ciasny – odparła. – Trochę się rozczarowałam. Ale rzeczywiście jest w nim bardzo cicho. Miałeś rację, nie słychać ulicy.

– Odnalazłem Louise. Ma już nawet adwokatkę, która pomoże jej wyjść z aresztu. Być może pojutrze albo nawet jutro, jeśli prawniczce poszczęści się w rozmowie z sędzią.

– Musisz się bardzo cieszyć. Powinnam cię była zapytać o córkę zaraz po tym, jak się spotkaliśmy.

– Ulżyło mi. Pomógł mi mężczyzna z ambasady. Bez niego chyba nigdy bym jej nie odnalazł.

Barmanka podeszła do nas z rachunkiem. Tym razem Lisa pozwoliła mi zapłacić. Dopiliśmy wino i wstaliśmy. Kobieta pogasiła światła, zanim zdążyliśmy dojść do drzwi.

– Jest jeszcze coś, co chciałbym ci opowiedzieć – dodałem, czekając razem z Lisą na windę. – Jansson, ten, który przywiózł cię na moją wyspę, zadzwonił dziś, żeby mi powiedzieć, że pali się dom

na sąsiedniej wyspie. Palił się dziś wieczorem, kiedy z nim rozmawiałem.

– Naprawdę? Czy to też było podpalenie?

– Nie mam pojęcia. Ale na naszych wyspach rzadko płoną domy. Jest w tym coś dziwnego. Nawet przerażającego.

Po raz pierwszy, odkąd spotkaliśmy się na dworcu, Lisa wyglądała na zainteresowaną tym, co do niej mówię. Poczujęm rozczarowanie. Pożar jakiegoś domu był dla niej ważniejszy niż mężczyzna z krwi i kości, który staje na głowie, żeby się do niej zbliżyć.

– Porozmawiajmy jutro – zaproponowałem i zrobiłem krok w stronę wyjścia. – O której po ciebie przyjść? – dodałem jeszcze.

– Ja przyjdę po ciebie – odparła. – Chętnie zobaczę hotel, który dla ciebie znalazłam.

Umówiliśmy się na dziesiątą. Kiedy wyszedłem na ulicę, poczułem nieodpartą potrzebę, by iść prosto w noc i zobaczyć, gdzie mnie ona zawiedzie. Nie namyślając się, podszedłem do stojącej nieopodal taksówki i kazałem się zawieźć na plac Pigalle. Kierowca pochodził z północnej Afryki. W aucie grała muzyka. Poprosiłem go, żeby ściszył, ale udawał, że mnie nie słyszy.

Niespodziewanie zalała mnie fala gniewu. Ryknąłem na niego, żeby zjechał na bok i się zatrzymał. Rzuciłem mu parę euro i wysiadłem.

– Cholerny jazgot! – wrzasnąłem jeszcze przez otwartą szybę.

Coś mi odpowiedział, ale nic nie zrozumiałem. Zresztą odwróciłem się już i szedłem chodnikiem przed siebie. Bałem się, że do mnie podjedzie i wysiądzie z auta. W starciu z nim byłbym bez szans. Usłyszałem, jak rusza z piskiem opon, ale minął mnie z dużą prędkością, nawet się za mną nie oglądając.

Trząsałem się ze strachu. Wiedziałem, że powinienem wrócić do hotelu. Znalazłem nową taksówkę. Za kierownicą siedział siwy mężczyzna, którego oceniłem na jednego z jeżdżących po Paryżu słynnych rosyjskich taksówkarzy. W jego aucie radio było wyłączone. Poprosiłem, by zawiózł mnie na plac Pigalle, a on odpowiedział mi skinieniem głowy. Wysiadłem w pobliżu Moulin Rouge i wszedłem do pierwszego napotkanego bistro.

Piłem. A raczej chlałem. Z jednej strony dlatego, że mi ulżyło w sprawie Louise i miała zostać wypuszczona za parę dni. Ulgę czułem również po telefonie od Janssona. Nie zadzwoniłby do mnie, gdyby nie miał pewności, że i ten drugi pożar został przez kogoś podłożony. Chlałem jednak przede wszystkim dlatego, że żaden z powodów, dla których Lisa Modin zdecydowała się przyjechać do Paryża nie był tym, na który robiłem sobie nadzieje. Być może i byłem dla niej interesującym człowiekiem, ale na pewno nie patrzyła na mnie jak na mężczyznę.

Zamówiłem następną kolejkę. Po jeszcze jednej zadzwoniłem do Janssona. Minęło sporo czasu, nim wreszcie odebrał. Brzmiał tak, jakby był zziębnięty.

– To ja – powiedziałem. – Gdzie jesteś?

– Próbujemy ocalić przed pożarem stodołę wdowy Westerfeldt – wysapał. – Dom jest już stracony.

– Odsuń telefon od ucha – poprosiłem.

– Co takiego?

– Chcę posłuchać, jak płonie.

Jansson mnie posłuchał i przez chwilę miałem wrażenie, że naprawdę słyszę huk pożaru.

– Uratowaliście wdowę? – zapytałem, kiedy ponownie przytknął telefon do ucha.

– Zawieźliśmy ją do rodziny na wyspę Ormö. Lepiej, żeby tego nie oglądała.

– Zrób dla mnie zdjęcie.

– Jakie zdjęcie? – zdziwił się znowu Jansson.

– Masz w komórce aparat? Zrób zdjęcie pożaru i mi przyślij.

– Ale po co?

– Bo chcę mieć pewność, że mówisz mi prawdę. Chcę zobaczyć zdjęcie tu i teraz, w barze, w którym właśnie siedzę i się upijam.

– Ale po co? – powtórzył.

– Po co piję czy po co chcę dostać zdjęcie? Wytłumaczę ci to po powrocie do domu. Dla pewności jeszcze raz ci powtórzę, że jestem w Paryżu. Czekam na to zdjęcie.

Jansson spełnił moją prośbę. Wypiłem następną kolejkę i usłyszałem dzwonek nadchodzącej wiadomości. Obejrzałem

zdjęcie. Było bardzo złe, nie byłem w stanie dostrzec sylwetki płonącego domu. Widziałem tylko plamę ognia.

Uniosłem telefon i pokazałem go barmanowi.

– Proszę, tak oto płonie mój dom – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Rozumiałem go.

Zapłaciłem i wyszedłem na ulicę. Nie miałem ochoty czy też odwagi na kontakt z kobietami przechadzającymi się wolno po chodnikach. Nagle przypomniał mi się sylwester w roku poprzedzającym ten, w którym poznałem Harriet. Spotykałem się wówczas z kobietą pracującą w sklepie z narzędziami. Tuż przed Bożym Narodzeniem zrozumiałem, że nie chcę się z nią więcej widywać. Nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć, obawiałem się, że zacznie rozpaczać. Potrzebowałem czasu do namysłu. Parę dni przed sylwestrem odwiedziłem ją u niej w domu. Mieszkała z rodzicami, ale oni akurat gdzieś wyjechali. Mieliśmy świętować Nowy Rok tylko we dwoje, ale pomysł ten bardzo mi nie odpowiadał i za wszelką cenę chciałem tego uniknąć.

W pewnej chwili oznajmiłem jej, że muszę wyjść, żeby kupić buty. Zanim opuściłem mieszkanie, wsunąłem jej pod poduszkę list. Wiedziałem, że znajdzie go wieczorem.

Zamiast udać się do sklepu z obuwem, pojechałem prosto na lotnisko Arlanda i wsiadłem w samolot do Paryża. W kłamliwym liście tłumaczyłem, że oczywiście ją kocham, ale potrzebuję paru dni do namysłu, bo nasza miłość jest dla mnie zbyt oszałamiająca.

W Paryżu wynająłem pokój w tanim hotelu nieopodal stacji Porte de Clichy, wysypiałem się do południa, a wieczory i noce spędzałem z barach przy placu Pigalle i niewyburzonego jeszcze wówczas targowiska Les Halles. Przez cały ten czas szukałem w sobie odwagi, by zagadnąć jedną z prostytutek i skorzystać z jej usług. Kobiety na ulicy mnie przerażały, szukałem jednej z tych wysiadających w konkretnych barach, ale i tak nie potrafiłem się zdobyć na zaczepkę. Każdego wieczoru i każdej nocy snułem się ulicami miasta jak napalony, ale przerażony kot. Dopiero w sylwestra, dzień przed powrotem do domu, odważyłem się wejść do jednego z tych barów. Okna w lokalu były zasłonięte ciężkimi kotarami, w środku świeciła się jedna lampa. Kiedy naciskałem na klamkę, nie wiedziałem, co

mnie tam czeka. Czy będzie tam wielu gości? Ile kobiet? Ale gdy wszedłem do środka, zorientowałem się, że prawie nikogo tam nie ma. Za barem kręcił się starszy mężczyzna, blady i niewyraźny jak duch. Zmierzył mnie wzrokiem, oceniając czy jestem klientem, którego warto wpuścić, czy też będę stwarzał problemy. Po chwili przyzwalająco kiwnął głową. Rozejrzałem się, nie wiedząc czy usiąść przy jednym ze stolików z czerwonymi krzesłami, czy na obciążonym czerwoną skórą wysokim stołku przy barze. Jedyna kobieta w całym lokalu siedziała przy samym końcu baru, tuż przy miejscu gdzie się załamywał i skręcał w bok. Leniwie paliła papierosa. Nie wając się spojrzeć w jej stronę, zamówiłem kieliszek wina i spróbowałem wyglądać na wyluzowanego. Z niewidzialnych głośników sączyła się muzyka. Kiedy zamawiałem drugi kieliszek, barman zapytał mnie, czy nie miałbym ochoty zaprosić na drinka pani przy barze. Oczywiście się zgodziłem. Barman postawił przed nią coś, co wyglądało jak kieliszek Martini. Podniosła go i spojrzała w moją stronę. Wznieśliśmy cichy toast. Mimo skąpego światła dostrzegłem, że jest po trzydziestce. Miała ciemne włosy obcięte na pazia, dość dyskretny makijaż i zdecydowanie odbiegała od mojego wyobrażenia o prostytutce. Jednak świadomość, że jest na sprzedaż, bardzo mnie podnieciła. Miałem w kieszeni trzysta franków, ale nie wiedziałem, czy to wystarczy. Koszty usług paryskich prostytutek były dla mnie tajemnicą, zarówno wówczas, jak i teraz.

Siedziałem przy barze, aż ogłoszono w radiu, że nadszedł Nowy Rok. Przez cały wieczór, oprócz mnie, w lokalu pojawił się tylko jeden mężczyzna. Znał się z kobietą siedzącą przy barze, pomyślałem więc, że jest jej alfonsiem. Po krótkiej rozmowie, kiedy zbierał się do wyjścia, wybuchła między nimi nagła kłótnia o zapalniczkę. Ona posądziła go, że jej ją zabrał, zrobiło się głośno i dość nieprzyjemnie, więc zastanowiłem się, czy to aby nie najlepszy moment, żeby sobie pójść, ale po chwili zapalniczka się znalazła, wszystko się uspokoiło i mężczyzna wyszedł. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi i wróciła na miejsce kotara trzymająca z daleka zimno ulicy, kobieta nagle wstała, podeszła i usiadła tuż obok mnie. Powiedziała, że ma na imię Anne. Nie pamiętam już, co jej wówczas odpowiedziałem, pewnie przedstawiłem się jako Erik

lub Anders. Zapytała, skąd jestem. Odparłem, że z Danii. Co porabiam w Paryżu? Robię sobie przerwę w pracy jako wicedyrektor jednego z sztokholmskich banków. Wprawdzie nie miało to żadnego znaczenia, ale wolałem ukryć przed nią moją prawdziwą tożsamość. Poprosiła mnie o następnego drinka. Skinąłem na barmana i spełniłem jej życzenie, jednocześnie bojąc się, że ceny w tym barze okażą się skandalicznie wysokie. Bo jakim cudem to miejsce mogło się utrzymać, mając w sylwestra tylko jednego klienta?

Zastanawiałem się, co porabia moja dziewczyna w Sztokholmie. Byłem ciekaw, czy siedzi w domu i o mnie rozmyśla. Nie mogłem być tego pewien, ale cieszyłem się, że zamiast pójść po buty, przyleciałem do Paryża. Po powrocie zamierzałem jej wytłumaczyć, że nasz związek nie ma przyszłości.

Nagle Anne lekko trąciła mnie kolanem.

– Wiesz, że możemy pójść do pokoju na zapleczu? – zapytała.

– Tak, wiem – odparłem.

Nie powiedziałem nic więcej. Cieszyłem się w duchu, że nie jest natarczywa.

Zrobiło się w pół do pierwszej, z zewnątrz dobiegały wystrzały ostatnich fajerwerków i pokrzykiwania świętujących ludzi. Zaproponowałem Anne następnego drinka. Przez cały czas bałem się, że zaproponuje wprost, żebyśmy poszli razem do pokoju. Całkiem opuściło mnie podniecenie i dreszczyk oczekiwania na niezwykłą przygodę, który towarzyszył mi, kiedy wchodziłem do baru. Teraz wypatrywałem okazji do ucieczki. Siedzieliśmy przy barze, prawie się do siebie nie odzywając. Dokładnie co piętnaście minut, jak na jakiś cichy sygnał wysyłany przez zegarek, Anne sięgała po papierosa i zapalała go zapalniczką marki Ronson. W świetle płomienia widziałem jej obgryzione paznokcie.

W końcu poprosiłem barmana o rachunek. Zapłaciłem i dałem Anne sto franków. Przyjęła banknot i uśmiechnęła się, a ja wstałem i wyszedłem na ulicę. Ludzie bawili się i śpiewali, nie zważając na zimno. W oddali było jeszcze widać sztuczne ognie na Montmartrze. Przystanąłem niedaleko baru. Po dziesięciu minutach, kiedy właśnie miałem ruszyć z powrotem do hotelu, Anne wyszła z lokalu. Miała na sobie brązowy kozuszek. Skinąłem głową, kiedy mnie mijała,

a ona obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem, jakbym zaczepił ją w nieprzyzwoity sposób. Najwyraźniej już mnie nie poznawała.

Wróciłem spacerem do hotelu, a nazajutrz poleciałem z powrotem do domu. Nie przywiozłem nowych butów. Nie odważyłem się też na zerwanie z moją dziewczyną. Dopiero w lutym zdobyłem się na to, by zakomunikować jej swoją decyzję, wytrzymałem jej płacz i odszedłem, aby już nigdy do niej nie powrócić. Spotkałem ją przypadkiem po trzydziestu latach. Miała męża i troje dzieci. W paru pierwszych zdaniach powiedziała, że jest mi wdzięczna, że z nią wtedy zerwałem. Zrozumiała to dopiero po jakimś czasie, ale nie miała wątpliwości, że nasz związek skończyłby się katastrofą.

Teraz, spacerując po placu Pigalle, próbowałem sobie przypomnieć, gdzie znajdował się bar, z którym spotkałem Anne. Niby wszystkie budynki wyglądały tak samo jak wtedy, mimo to nie mogłem się tutaj odnaleźć. Chwilę później zatrzymałem się przed drzwiami do jakiegoś lokalu. Wyglądały znajomo, tak samo jak ciężkie zasłony w oknach. Wciąż był tam bar. Zawahałem się, czy powinienem tam wejść. Bałem się otworzyć drzwi do przeszłości i wkroczyć w sam środek tego, co wydarzyło się dawno temu. Byłem przekonany, że zastanę przy barze tę samą kobietę palącą Gitanes'y. Chcąc odzyskać kontakt w rzeczywistość, wyjąłem z kieszeni telefon i spojrzałem na zdjęcie pożaru. Przemknęło mi przez myśl, że powinienem zadzwonić do Janssona. Rozmyśliłem się jednak, schowałem telefon i wszedłem do baru.

Wszystko wyglądało w nim inaczej. Pod ścianą stała nowa lada, było o wiele jaśniej, był tam nawet telewizor, włączony, ale ściszony do zera. Przy barze siedziało kilku mężczyzn, a za ladą stała młoda dziewczyna z kolczykiem w nosie i kamieniem szlachetnym w lewym uchu.

Oprócz niej nie było tu żadnych kobiet, ale nie poczułem rozczarowania. Przeciwnie, raczej mi ulżyło. Jednocześnie poczułem niepokój. Czyżbym już sam nie wiedział, czego chcę? Czyżbym nie potrafił już pić, nie tracąc kontroli nad swoimi myślami?

Wszedłem z powrotem na ulicę. Znalazłem wolną taksówkę i kazałem się zawieźć do hotelu. Wróciwszy do pokoju, zrzuciłem ubranie na podłogę i wszedłem pod kołdrę. Za ścianą ktoś oglądał

telewizję. Zerknąłem na zegarek. Był kwadrans po drugiej. Uderzyłem kilka razy pięścią w ścianę. Po chwili telewizor ucichł.

Oto miejsce, do którego dotarłem, pomyślałem. Jestem starym człowiekiem i leżę w łóżku w paryskim hotelu. Czuję się samotny i jest mi źle. Moja córka siedzi w piwnicznej więziennej celi, a kobieta, która nie chce mnie pokochać, śpi w innym hotelu.

Obudził mnie telefon od Janssona. Była szósta rano. Zasłony drżały lekko, poruszane przeciągiem z nieszczelnego okna. Nocą nad Paryżem zerwał się porywisty wiatr.

– Ogień ugaszony. Obudziłem cię?

– Nie – odparłem. – Czy wiadomo już, co było przyczyną pożaru?

– Alexandersson mówi, że wygląda to tak samo jak w wypadku twojego domu.

– Czyli jak?

– Pożar zaczął się w kilku miejscach na raz.

– A więc po archipelagu grasuje szaleniec. Ja spałem w łóżku, kiedy podłożył ogień pod mój dom, a teraz chciał spalić osiemdziesięcioletnią samotną kobietę?

– Obudził ją pies – odparł Jansson z namysłem. – Gdyby nie miała psa, pewnie by się zaczadziła, zanim zdążylibyśmy dotrzeć na miejsce.

– Dziękuję, że zadzwoniłeś, żeby mi o tym powiedzieć. Czy policja znowu o mnie pytała? Czy ludzie dalej myślą, że podpaliłem swój dom?

– Nie wiem, co ludzie myślą.

– Wracam za parę dni.

– Nigdy nie byłem w Paryżu. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek wyjechałem dalej niż do Söderköping.

– Nie byłeś na urlopie na Wyspach Kanaryjskich strasznie dawno temu?

– Ledwie to pamiętam.

– Przyślij mi jeszcze jedno zdjęcie – poprosiłem. – Jeśli wciąż tam jesteś.



Zdjęcie przyszło po paru minutach. Po domu wdowy Westerfeldt pozostały tylko zgliszcza. Nie było już widać ognia, tylko trochę żaru i dym. Straż przybrzeżna oświetliła pogorzeliśko silnymi reflektorami, przez co zgliszcza wyglądały jeszcze bardziej przerażająco. Tu i ówdzie widać było cienie ludzi, którzy pomagali ugasić ogień.

Wstałem z łóżka i wyjrzałem przez okno na podwórze. Zerwał się wiatr. W jego nagłych podmuchach wirowały liście i jakieś papiery. Poszukałem wzrokiem szczura, którego widziałem poprzedniego dnia. Nigdzie go nie dostrzegłem.

Kiedy zszedłem do recepcji punktualnie o dziesiątej, Lisa Modin już na mnie czekała. Na mój widok podniosła się z fotela.

– Pospacerujemy – zaproponowała. – Muszę się przewietrzyć.

Ruszyliśmy przed siebie i po chwili Lisa skrzyła w rue de Vaugirard. Zrobiła to nieświadomie, ale wybrała akurat tę ulicę, która przed wielu laty była moją codzienną trasą. Rue de Vaugirard była najdłuższą ulicą w Paryżu. Doszliśmy aż do Porte de Versailles i po około trzydziestu minutach, kiedy wiatr stał się bardziej uciążliwy, Lisa zaproponowała, żebyśmy weszli do mijanego właśnie bistro. Znałem ten lokal jeszcze z czasów, gdy mieszkałem w pobliżu.

Nagle przypomniał mi się jeden dzień z tamtego okresu. Jakimś sposobem udało mi się zarobić trochę pieniędzy i pewnego ranka postanowiłem zafundować sobie dobre śniadanie przed długą drogą do Jourdain, gdzie rozkręcałem klarnety. Wszedłem do bistro i zamówiłem kanapkę oraz gorącą czekoladę. Starszy pan, prawdopodobnie właściciel lokalu, nagle głośno stęknął, zgiął się w pół i uderzył czołem w ocynkowaną ladę. Było jasne, że mężczyznę dopadł ostry ból. Stało się to na oczach wszystkich gości w bistro, a było ich sporo, bo był ranek i wszyscy kupowali śniadanie na drogę do pracy. Obok mnie stał mężczyzna w kombinezonie roboczym. Wypijał duszkiem czerwone wino akurat w chwili, w której właściciel dostał ataku.

Nie wiem, co się stało później. Szybko opróżniłem filiżankę, zabrałem kanapkę i wyszedłem z lokalu, zostawiwszy pieniądze na ladzie.

Wróciłem tam następnego dnia i potem zaglądałem do tego bistro codziennie przez ponad miesiąc, ale nigdy więcej nie zobaczyłem tam tego starszego mężczyzny.

Kiedy zaszedłem tam po kolejnych paru dniach, zauważyłem, że kelnerzy noszą czarne wstążki zawiązane na rękawie białych koszul na znak żałoby.

Później już nigdy tam nie zaglądałem. Aż do dziś. Ściany były pomalowane farbą w tym samym kolorze, ale wymieniono krzesła i stoły. Oczywiście nie rozpoznałem nikogo z gości ani z personelu, zauważyłem jednak, nie bez zdziwienia, że znajomo pobrzmiwa mi w uszach dźwięk szkła zanurzanego do mycia w zlewie.

Lisa Modin zaprowadziła mnie do stolika stojącego w odległym kącie sali, przy oknie z widokiem na nieczynny już ogródek. Stoliki i krzesła ustawiono w wieże i spięto łańcuchami. Przemknęło mi przez myśl, że patrzę na zwierzęta w stajni przygotowujące się do długiej zimy.

– Mieszkałem kiedyś w tej okolicy – powiedziałem. – Ale to niemożliwe, żebyś o tym wiedziała.

– Pewnie się zastanawiasz, po co w ogóle przyjechałam – odparła. – Prawie się nie znamy, w dodatku ty przyjechałeś tutaj odnaleźć córkę. Sama nie wiem, dlaczego tu jestem i dlaczego okłamałam redaktora naczelnego, podając mu nieprawdziwy powód nagłego wyjazdu.

– Co mu powiedziałaś?

– To moja sprawa. Nic, co mogłoby cię zaciekać.

Ostatnie zdanie wypowiedziała ostrzejszym tonem. Potem długo siedzieliśmy w milczeniu.

W końcu podjęliśmy przerwany spacer. Ulica zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Tak samo postrzegałem ją przed laty. Pewnej soboty w tamtym czasie na rue de Vaugirard pojawiły się tłumy młodych ludzi. W pierwszej chwili bardzo się zdziwiłem, ale ktoś mi wyjaśnił, że ludzie zmierzają na koncert, który miał się odbyć przy Porte de Versailles. Miał grać znany angielski zespół o nazwie The Beatles. Wówczas nie słyszałem jeszcze o ich muzyce. Żyłem w świecie jazzu, raz po raz chodziłem też na koncerty organowe do kościoła Saint-Germain-des-Prés.

Teraz nagle uznałem, że ta nasza wędrówka jest pozbawiona sensu. Stałem w pół kroku.

– Dokąd my idziemy? – zapytałem.

– Donikąd. Może do następnej kawiarni?

– Po co przyjechałaś do Paryża?

– Chodźmy dalej.

Kiedy dotarliśmy do rue de Cadix, weszliśmy do kawiarni. Zbliżała się pora lunchu, więc w lokalu siedziało już kilku gości. Usiedliśmy w głębi sali i po chwili podszedł do nas stary, utykający na jedną nogę kelner. Lisa zamówiła butelkę czerwonego wina. Wybrała najdroższe wino z mocno sfatygowanej i ubrudzonej karty. Zaniepokoiło mnie to. Zaraz po tym kelner przyniósł butelkę i dwa kieliszki. Czuć było od niego potem. Lisa Modin również to zauważyła i uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.

– Przyjechałam, bo jestem ciekawa, co tak naprawdę sobie myślisz.

– O czym?

– Przecież widzę, jak na mnie patrzysz. I to od samego początku, odkąd zjawiłam się po raz pierwszy, żeby zapytać o pożar. Później, kiedy zjawiłeś się nagle w moim mieszkaniu, właściwie nie byłam zdziwiona. Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który dobija się do moich drzwi.

– Nigdzie się nie dobijam. Poza tym wszystko, co ci powiedziałem, to prawda.

Zmarszczyła czoło, jakby moje słowa ją zirytowały. Kiedy mi odpowiedziała, zrozumiałem, że jest na mnie zła.

– Nie musisz mnie okłamywać.

– Nie okłamuję cię.

Odsunęła kieliszek i szybkim ruchem pochyliła się nad blatem.

– Kłamiesz – powtórzyła z naciskiem.

– Nie kłamię.

– Właśnie, że tak! – wykrzyknęła.

Uświadomiłem sobie nagle, że brzmi zupełnie jak Louise.

Dostrzegłem kątem oka, że stary kelner przygląda nam się z niepokojem. Zaraz jednak spuścił wzrok i dalej wycierał stół.

Tak już wygląda ten świat, pomyślałem. Wszędzie wokół są ludzie, którzy odwracają wzrok.

Spróbowałem się opanować i sięgnąłem po kieliszek, skupiając się na tym, by nie trzęsły mi się dłonie. Wypiłem do dna i wstałem. Położyłem pieniądze na stoliku, po czym wyszedłem bez słowa. Ruszyłem przed siebie najszybciej, jak mogłem. Dotarwszy do stacji Porte de Versailles, zszedłem pod ziemię i wsiadłem w pociąg jadący na Montparnasse.

Zaraz po tym pożałowałem, że wyszedłem i zostawiłem Lisę samą w kawiarni. Co takiego próbowała mi powiedzieć? Czułem się tak, jakbym został zdemaskowany. Próbowała odczytać moje zatęchłe starcze myśli i w końcu zdecydowała, że zapyta mnie wprost, czego od niej chce. Czy naprawdę ubzdurałem sobie historię miłosną z Lisą Modin i z sobą samym w rolach głównych? Czy nie docierało do mnie, że ona, kiedy tylko odkryła, o co mi w istocie chodzi, miała prawo poczuć się dotknięta?

Przejechałem Montparnasse i wysiadłem dopiero po drugiej stronie Sekwany.

Znów byłem na stacji Châtelet. Kiedy wyszedłem na ulicę, padał deszcz. Wszedłem do kiosku i kupiłem parasol.

Ledwie zdążyłem go rozłożyć, kiedy zadzwonił telefon. Wszedłem pod daszek sklepu obuwniczego i odebrałem.

Dzwonił Olof Rutgersson i na dzień dobry zadał mi pytanie, gdzie jestem.

– Stoję na deszczu – powiedziałem. – Ale właśnie kupiłem parasol.

– Chciałem panu tylko przekazać, że madame Riveri przyjedzie po pana córkę dziś o piętnastej. Jak pan widzi, jest bardzo skuteczna, a tę sprawę załatwiła w rekordowym czasie. Musi być w naprawdę dobrych stosunkach z sędzią, która decydowała o losie pana córki. Madame Riveri zadzwoni do pana, żeby umówić się z panem na wymianę.

– Jaką wymianę?

– Pana córka za wynagrodzenie dla madame Riveri.

– Czy Louise zostanie deportowana?

– Nie wiem tego. Ale skoro madame Riveri mówi, że pana córka wychodzi na wolność, na pewno tak jest. To najważniejsze.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych i ambasada Szwecji w Paryżu cieszą się z każdej pozytywnie rozwiązanej sprawy. Będzie mi miło, jeśli pan i córka odezwiecie się do mnie po powrocie do kraju. Byłoby dobrze, gdyby pana córka nie narażała się już we Francji na żaden konflikt z prawem, bo jej dane na zawsze pozostaną w policyjnym rejestrze. Francuski wymiar sprawiedliwości nie puszcza niczego w niepamięć.

Zakończyliśmy rozmowę, po krótkiej wymianie grzeczności. Schowałem telefon do kieszeni i sformułowałem w myślach mocne postanowienie, że Lisa Modin już nigdy nie wyprowadzi mnie z równowagi. Ja również nie zamierzałem kłopotać jej więcej moimi urojeniami o wspólnej przyszłości.

Spacerowałem w deszczu, skręcając na oślep raz w prawo, raz w lewo. Zastanowiłem się, czy podczas którejkolwiek z wcześniejszych wizyt w Paryżu przesiadywałem w kawiarniach tak dużo, jak teraz.

Chwilę później wszedłem do kolejnej, usiadłem przy stoliku i zamówiwszy kawę, zadzwoniłem do Janssona. Zapytałem, czy dowiedział się czegoś nowego o pożarze, ale nie miał dla mnie żadnych wiadomości poza tą, że po wyspach krąży już plotka, że ostatni pożar miał coś wspólnego ze spłonieniem mojego domu.

– Może przestali mnie podejrzewać o podpalenie?

– Nikt cię nigdy o to nie podejrzewał.

– Nie kłam. Kłamstwo nigdy nie popłaca.

– Ludzie się boją, że to nie koniec podpaień.

Rozumiałem to. Strach rozprzestrzeniał się równie szybko jak plotki, zwłaszcza wśród starszych ludzi. Popijając kawę, pomyślałem z ironią, że jestem jednym z najmłodszych mieszkańców tego archipelagu. Przynajmniej jesienią, zimą i wczesną wiosną, kiedy nie ma letników.

Co chwilę powracała do mnie myśl o Lisie Modin. Nie miałem poważnego powodu, żeby się na nią złościć. Niepotrzebnie wyszedłem z tamtej kawiarni, powinienem był pozwolić jej wyjaśnić, co miała na myśli. Później na pewno znalazłbym jakiś

sposób, by ją przekonać, że się myli. Że nie jestem tym, za kogo mnie uważa.

Siedziałem przy stoliku, aż skończyła się pora lunchu i wkrótce w lokalu zostałem tylko ja i kilku innych gości. Siedząca nieopodal mnie niewidoma kobieta głaskała leżącego jej u stóp psa przewodnika. Przemknęła mi przez głowę myśl, że stara i pomarszczona ludzka dłoń gładząca sierść psa to odwieczny, trwający niezmiennie gest.

We wspomnieniach z dzieciństwa dominował dziadek, ale babka również w nim była, gwarantując poczucie bezpieczeństwa. Zrozumiałem to dopiero po długim czasie. W ostatnich latach życia zapadła na głęboką demencję i została umieszczona w domu opieki. Nocami wychodziła z domu, przekonana, że na morzu szaleje sztorm i dziadek jest w niebezpieczeństwie. Robiła to nawet w bezwietrzne noce, kiedy morze było spokojne. Sztorm szalał wewnątrz niej, niepokój o dziadka już nigdy jej nie opuścił.

Umarli jedno po drugim, w odstępie zaledwie kilku godzin. Najpierw ona, zaraz potem on. Dla tego, które zostało samo, nie było już żadnego życia na tym świecie. Zdaniem Janssona, który zawsze wszystko wiedział, dziadek dowiedział się o śmierci babci rano. Złożył wówczas gazetę, którą właśnie czytał, zdjął i schował do etui okulary, po czym położył się na łóżku. Dwie godziny później już nie żył.

Z rozmyślań wyrwało mnie brzęczenie telefonu. Dzwoniła madame Riveri. zaproponowała, żebyśmy spotkali się na Montparnasse. Zanotowała adres mojego hotelu i oznajmiła, że przyjedzie za około godzinę, razem z Louise. Na stacji metra okazało się, że pociągi nie jeżdżą z powodu przerwy w dostawie prądu. Zmartwiłem się i zacząłem sobie wyobrażać, co się stanie z Louise, jeśli się nie zjawię i nie zapłacę honorarium madame Riveri. Na szczęście przerwa w kursowaniu metra trwała tylko parę minut i dotarłem do hotelu na czas. Czekaając w recepcji, zapytałem monsieur Pierre'a, czy ma wolny pokój na jedną noc. Miał, ale nie zrobiłem rezerwacji, bo nie znałem jeszcze planów mojej córki.

Przestało padać, wyszedłem więc na ulicę, kiedy nadeszła pora spotkania. W pewnej chwili zdało mi się, że po drugiej stronie ulicy

widzę Lisę Modin. Pomyślałem, że nie chcę jej więcej oglądać, czułem jednak w głębi ducha, że to nieprawda. Nie chciałem rezygnować z marzenia, jakkolwiek było ono beznadziejne.

Madame Riveri i Louise przyjechały taksówką. Louise była bardzo blada. Weszliśmy do recepcji hotelu, madame Riveri poszła prosto do toalety, więc ja i Louise zostaliśmy na chwilę sami.

– Nie wiem nic o twoim życiu – powiedziałem. – Ale jeśli chcesz, możesz tu dziś zanoć. Mają wolne pokoje.

Kiwnęła głową w milczeniu. Usiadła przy pustym barze, a ja poszedłem do monsieur Pierre'a i zarezerwowałem jedynekę dla Louise.

– To dla mojej córki – wyjaśniłem.

– Domyślam się, że to ta pani przy barze – odparł. – Czy wobec tego dama, która udała się do toalety, jest pana żoną?

– Nie – odpowiedziałem. – Matka Louise nie żyje. Nie mam żony.

– Bardzo mi przykro. – Monsieur Pierre zrobił zatroskaną minę. – Samotne życie musi być trudne.

Po chwili wróciła madame Riveri. Spieszyła się. Jeszcze raz podziękowałem jej za pomoc i zapytałem, czy wydostanie Louise z aresztu było trudne.

– Użyłam argumentu, że pańska córka nie była wcześniej karana i w dodatku jest w ciąży. Potem poszło już łatwo. Przede wszystkim dlatego, że ja i sędzia, która prowadziła tę sprawę, jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach. Wyjaśniłam jej, że ojciec aresztowanej przyleciał ze Szwecji do Paryża po to, żeby pomóc córce.

– Dziś Louise zatrzyma się w tym hotelu – oznajmiłem. – Nie wiem, co będzie dalej.

Madame Riveri wyjęła z torebki kopertę.

– Nie ma wielkiego pośpiechu z płatnością – powiedziała. – Ale proszę o tym nie zapomnieć. Nie chcę się upominać.

Pożegnała się z nami i wyszła z hotelu.

Zaprowadziłem Louise do pokoju. Był na tym samym piętrze, co mój. Nie miała torebki, więc zapytałem ją, czy ma jakieś pieniądze. Odparła, że jest bez grosza.

– Potrzebuję jakichś ubrań – powiedziała.

Dałem jej trochę gotówki. Miałem ochotę zapytać, gdzie się zatrzymała w Paryżu, zanim ją aresztowano i gdzie się podziały jej rzeczy, ale powstrzymałem się. To nie był najlepszy moment. Na pewno była mi wdzięczna za pomoc, ale nie chciała poczuć się ode mnie zależna.

Zanim wyszedłem, zapytałem, czy ma ochotę zjeść ze mną kolację.

– Jestem zbyt zmęczona – odparła. – Muszę zmyć z siebie więzienny brud, a potem pójdę spać.

Wieczorem poszedłem do chińskiej restauracji nieopodal hotelu. Później obejrzałem w pokoju czarno-biały film z Fernandem. Nie tylko Louise czuła się zmęczona.

Tuż po północy obudziło mnie pukanie do drzwi. Natychmiast otrzeźwiałem i otworzyłem. W progu stała Louise. Drżała z zimna.

– Mogę spać u ciebie? – zapytała.

Nie pytałem, po co przyszła. Miałem szerokie łóżko. Położyła się po nieużywanej przez mnie stronie dużego materaca i odwróciła się plecami do mnie.

Zgasilem światło. Po krótkiej chwili poczułem, że Louise wyciągnęła w moją stronę dłoń.

Ująłem ją. Zaraz po tym oboje usnęliśmy.



Obudził mnie sen, w którym mój dom znowu płonął. Schody na parter zdawały się ciągnąć w nieskończoność, nie miały dwudziestu trzech stopni, jak policzyłem w dzieciństwie. Biegłem w dół, ale stopnie przede mną wciąż się mnożyły. Ogień był coraz bliżej, jak napierający zewsząd wróg. Nagle potknąłem się i upadłem. Wtedy się obudziłem.

Louise spała głęboko. Nie zmieniła pozycji, odkąd zasnęła. Jej dłoń wciąż spoczywała w mojej.

Wszłuchałem się w jej oddech i nagle zacząłem sobie przypominać wszystkie oddechy, którym się kiedyś przysłuchiwałem. Ciężkie, przerywane chrapnięcia mojego ojca, nadchodzące falami pomrukiwania, a potem chwile ciszy. Matka oddychała niemal bezgłośnie, musiałem zadać sobie sporo trudu, żeby usłyszeć cichy szelest powietrza wydostającego się z jej płuc. Dziadek chwilami całkiem przestawał oddychać, a potem nagle gwałtownie wciągał powietrze, natomiast babka pochrapywała leciutko. Jej chrapnięcia przechodziły czasem w cichy świst przypominający wiatr gwizdzący w malutkich szczelinach mojej szopy.

Z jakiegoś powodu nie potrafiłem sobie przypomnieć jak oddychała Harriet, śpiąc u mojego boku. Często się skarżyła, że chrapię i nie daję jej spać. Sama sypiała całkiem bezgłośnie. Próbowałem sobie przypomnieć jakiś dźwięk, ale żaden nie przychodził mi do głowy.

Wspomnienia o śpiących ludziach sprawiły, że sam ponownie usnąłem. Kiedy parę godzin później zbudziłem się, Louise już wstała. Wyglądała przez okno przez szczelinę między zasłonami. Szare światło oświetlało jej sylwetkę. Po raz pierwszy wyraźnie zobaczyłem jej lekko wypukły brzuch. Rosło w nim dziecko spłodzone przez mężczyznę, którego imienia nie znałem. Na ten widok poczułem wzbierającą we mnie nagle radość życia. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio czułem coś podobnego.

Louise zorientowała się, że już nie śpię. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie, nie puszczając zasłony.

– Dziękuję, że nie chrapałeś – powiedziała. – Nareszcie mogłam się wyspać po tych okropnych nocach w areszcie.

– Spałeś głębokim snem – odparłem. – W pewnym momencie się przebudziłem, słuchałem twojego oddechu i pomyślałem sobie, że jesteś gdzieś bardzo, bardzo daleko.

– Śnił mi się pies. Miał mokrą sierść, która zwisała z niego w długich strzępach. Za każdym razem, kiedy próbowałam podejść, zaczynał wyc, jakby się mnie bał.

Weszła z powrotem do łóżka. Ja wstałem, wykapałem się i ogoliłem, a potem zszedłem na śniadanie. Louise dołączyła do mnie pół godziny później. Nareszcie wyglądała, jak zwykle. Z jej twarzy zniknęła niezdrowa bladość. Jadła z apetytem.

– Dlaczego mnie nie zapytasz, gdzie się zatrzymałam w Paryżu?

– Nie lubisz, kiedy zadaję ci takie pytania.

– Tak ci się tylko wydaje. Co zamierzasz dzisiaj robić?

– To zależy od ciebie. Może powinniśmy wrócić do Szwecji?

Spojrzała na mnie czujnym wzrokiem, jakby moje słowa ją zaskoczyły.

– Jeszcze nie teraz – odparła. – Mogę ci pokazać, gdzie mieszkam. Chcesz zobaczyć?

– No pewnie.

Powinienem być jej powiedzieć, że Lisa Modin przyjechała do Paryża, ale nie zrobiłem tego. Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie teraz życzył, był widok mojej córki wpadającej we wściekłość i wybiegającej z hotelu.

Opowiedziałem jej o rozmowie z Janssonem i pokazałem jej przesłane przez niego zdjęcie.

– Dziwne – powiedziała. – I straszne. Gdzie leży ta wyspa?

Spróbowałem jej wytłumaczyć, ale nie potrafiła jej zlokalizować. Kiedy w końcu oznajmiła, że wie, który to dom, miałem wrażenie, że nie mówi prawdy, ale nie chce już dłużej słuchać moich wyjaśnień.

Oczywiście ulżyło jej, że nie jestem już podejrzewany o podpalenie własnego domu.

– Wierzyłaś w to? – zapytałem. – Wierzyłaś, że podłożyłem ogień pod dom moich dziadków?

– Raczej nie. Ale nie zapominaj, że właściwie słabo cię znam.

– A ta latarka? – powiedziałem nagle. – Dlaczego upierałaś się przy tym, że to nie ty mrugałaś nią tamtej nocy?

W pierwszej chwili Louise zdawała się nie pamiętać, o czym mówię. Potem pokręciła głową i się uśmiechnęła.

– Bawiło mnie, kiedy byłeś taki zafrapowany.

– Ale dlaczego?

– Może dlatego, że źle traktowałeś Harriet.

– Przecież zaopiekowałem się nią, kiedy zachorowała.

– Owszem, ale nie byłeś dla niej dobry wcześniej, kiedy byliście razem. Opowiedziała mi o tym.

– Przez ciebie wsiadłem do łódki i wiosłowałem w samym środku nocy. Czy to nie przesada?

– Nie. Tamtego wieczoru dużo myślałam o tobie i Harriet.

Nie chciałem wiedzieć, co Harriet opowiedziała o mnie Louise. Zmieniłem temat i zacząłem mówić o zegarku.

– Zabrałaś mi go tak, że się nie zorientowałem.

– Jeśli mowa moich umiejętnościach, zdejmowanie ludziom zegarków to moja specjalność.

– Musisz być bardzo zręczna. Nic nie poczułem. Ale mogłaś mi powiedzieć, że go zabrałaś.

– Wiedziałam, że się domyślisz, kiedy go znajdziesz.

Louise nagle wstała, chociaż nie skończyła jeszcze posiłku.

– Idziemy – oznajmiła. – Chcę do domu.

Przyniosłem nasze kurtki i ruszyłem za córką. Szedłem za nią tak samo, jak dzień wcześniej dałem się prowadzić Lisie Modin.

Wsiedliśmy do metra, przesiadaliśmy się na stacji Châtelet i dalej jechaliśmy tą samą linią, którą kiedyś zmierzałem na stację Jourdain. Byłem ciekaw, czy świat znowu okaże się strasznie mały i czy wysiadziemy na tej samej stacji. Jednak Louise ruszyła do wyjścia dopiero dwie stacje dalej, na Télégraphe. Wielu z wysiadających tutaj pasażerów pochodziło z północnej Afryki. Słyszałem wokół francuski i arabski. Stacja wydała mi się dość

obskurna. Na ławkach siedzieli albo polegiwali pijacy, których zawsze tutaj widywałem. Wyglądali jak powywracane pomniki.

Kiedy wyszliśmy na powierzchnię, instynktownie pomyślałem o Maroku albo Algierii.

Louise spojrzała na mnie i niespodziewanie się uśmiechnęła.

– Wielu ludzi boi się tutaj przyjeżdżać – powiedziała.

– Ja się nie boję. Może i nie wiem wszystkiego, ale wyobrażam sobie, jak wygląda prawdziwy świat.

Szliśmy krętą ulicą, która wyglądała tak, jakby była tutaj od zawsze. Wzdłuż niej wznosiły się stare budynki z resztkami tynku i niezliczonymi warstwami graffiti, które bynajmniej nie ożywiało tej okolicy. Przeciwnie, sprawiało, że wydawała się jeszcze bardziej nijaka. Jakaś muzułmanka w nikabie, spod którego widać było tylko jej oczy, niosła płaczące dziecko. Przed drzwiami jednej z kamienic stała grupka mężczyzn palących papierosy. Zerknąłem do ciemnej bramy i ujrzałem tam starego mężczyznę karmiącego powolnymi ruchami drugiego starca chochlą.

Louise szła szybkim krokiem. Domyślałem się, że spieszo jej do domu, ale jednocześnie stara się uciec od dni spędzonych w areszcie.

W końcu skręciła w małą uliczkę, u wlotu której widniał znak informujący, że to ślepy zaułek. Zatrzymała się przed ostatnią kamienicą, stojącą tuż obok wysokiego muru. Budynek miał trzy piętra i był równie obskurny co wszystkie, które mijaliśmy w drodze ze stacji metra.

– Oto moja wyspa – powiedziała, popychając drzwi.

Wspięliśmy się po schodach. Na klatce pachniało egzotycznymi przyprawami. Zza jednych drzwi dochodziła niezwykła muzyka. Ktoś grał na flecie, prawie przez cały czas powtarzał ten sam dźwięk, ale brzmiał on bardzo pięknie. Weszliśmy na samą górę. Zirytowało mnie, że dostałem zadyszki. Louise zatrzymała się na ostatnim stopniu i zaczęła na mnie.

– Tutaj mieszkam – powiedziała. – Ale nie mieszkam tu sama.

Odwróciła się w stronę drzwi z pękiem kluczy w dłoni.

– Zaczekaj chwilę – powiedziałem. – Chcę wiedzieć, co mnie tam czeka.

– Moje mieszkanie – odparła.  
– Powiedziałaś, że nie mieszkasz tu sama.  
– Tak, mieszkam z moim mężczyzną.  
– Z twoim mężczyzną?  
– Moje dziecko ma przecież ojca – powiedziała, kładąc sobie dłoń na brzuchu.

– Pytałem o niego wcześniej, ale nie chciałaś mi nic powiedzieć, a teraz mam go tak po prostu poznać?

– Tak.

– Czy on ma jakieś imię?

– Tak.

– Możesz mi je zdradzić? Czym on się zajmuje? I od jak dawna jesteście razem?

– Czy musimy to omawiać na schodach? Ma na imię Ahmed.

Czekałem na ciąg dalszy, ale Louise nie powiedziała nic więcej. Otworzyła drzwi i wszedłem za nią do ciemnego przedpokoju. Wyglądał jak ten w mieszkaniu przy rue de Cadix, gdzie spędziłem kilka miesięcy mojego życia.

– Ahmed śpi – oznajmiła Louise ściszone głosem. – Pracuje jako stróż nocny. Pochodzi z Algierii.

Zaprowadziła mnie do wąskiej i ciasnej kuchni, po drodze pokazując wymownie na zamknięte drzwi. Spróbowałem sobie wyobrazić Ahmeda, który jako ojciec dziecka Louise miał wkrótce zostać moją rodziną, ale nie byłem w stanie zobrazować sobie jego twarzy.

Kuchnia była świeżo wymalowana, w powietrzu unosił się zapach terpentyny. Kuchenka i lodówka wyglądały na bardzo stare, a stół i krzesła tak, jakby wyciągnięto je z kontenera na śmieci. Zrozumiałem, że ten Ahmed i Louise klepią biedę. Najwyraźniej dochody nocnego stróża i kieszonkowca były niewystarczające.

Louise zabrała się za parzenie kawy, a ja usiadłem na krześle stojącym najbliżej okna z widokiem na brandmur sąsiedniej kamienicy. Ściana wznosiła się w odległości zaledwie paru metrów. Z któregoś z mieszkań dochodził skrzekliwy dźwięk gramofonu albo starego radia.

– Muszę cię o to zapytać – odezwałem się. – Czy ty naprawdę żyjesz z kradzieży? Naprawdę jesteś kieszonkowcem? I to najwyraźniej nie najlepszym, skoro cię złapali.

– Wiesz, jak żyłam wcześniej – odparła. – Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Wiedziałem. Kiedyś Louise załapała się na zdjęcie w gazecie, które oczywiście pokazał mi Jansson. Rozebrała się do naga przed grupą polityków, w proteście przed czymś, czego już nie pamiętałem. Wówczas dotarło do mnie, że moja córka jest rebeliantką i różni się od siebie tak bardzo, jak tylko mogą różnić się od siebie dwie spokrewnione osoby. Tam gdzie ja zareagowałam niepewnością i strachem i prędzej bym stchórzył albo udawał, że się nie boję, ona wręcz spalała się w imię swoich ideałów i protestowała najgłośniejszym, jak umiała, choćby w pojedynkę.

Po chwili zapytałem ją również o to. Gdzie się podział jej gniew na polityków i na świat, który nie działa tak, jak powinien?

– Każdy musi z czegoś żyć – odpowiedziała.

– I dlatego zostałam kieszonkowcem?

– Nigdy nie zabrałam niczego komuś, kto nie mógłby bez problemu pogodzić się z tą stratą.

– Skąd masz taką pewność?

Wzruszyła ramionami.

– Czy Ahmed o tym wie?

– Tak.

– Czy on też jest kieszonkowcem?

Louise zawahała się, zanim udzieliła mi odpowiedzi.

– No dobrze – odrzekła. – Opowiem ci o tej stronie mojego życia, o której nic nie wiesz. Rok po śmierci Harriet wyjechałam do Barcelony. Całą drogę pokonałam autostopem. Kilka razy musiałam się bić w mężczyźni, którym się wydawało, że wsiadłam do ich samochodu, by wyświadczyć im jakąś przysługę. Zawsze miałam w pogotowiu grzebień z ostrą metalową końcówką. Jeden raz, w Pirenejach, musiałam go nawet użyć. Dźgnęłam faceta w policzek. Potem bałam się, że umrze, bo strasznie krwawił, ale wydostałam się z auta, nim stało się coś jeszcze gorszego. Jechałam do Barcelony na manifestację przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Miałam

tam przyjaciółkę, Carmen Rius. Mieszkała w dzielnicy El Poble-sec. To nie jest miejsce, w którym mieszkają bogaci ludzie. Wzięliśmy udział w demonstracji, a potem Carmen poprosiła mnie, żebym poszła z nią na ulicę La Rambla, gdzie jest najwięcej turystów. Nie powiedziała, co będziemy tam robić, poinstruowała mnie tylko, że mam trzymać się w pewnej odległości od niej, potem ona mi coś przyniesie i ja mam to przyjąć. Mówiła kiepsko po angielsku, ja po hiszpańsku jeszcze słabiej. Poszłam z nią, nie do końca rozumiejąc, czego ode mnie chce. Potem zobaczyłam, jak podchodzi do japońskiej turystki, do *gui*ri, jak mówiła na obcokrajowców. Kobieta miała plecak, jedna z kieszonek była niedomknięta. Carmen wyjęła z niej portfel tak szybkim ruchem, że ledwie sama to zauważyłam. Zbliżyła się do mnie, podała mi go dyskretnie i syknęła, że mam go schować. Włożyłam go do torebki, a Carmen zniknęła. Japońska turystka niczego nie poczuła. Zrozumiałam, że Carmen to carterista, kieszonkowiec. Zdumiało mnie, jak łatwo poszła ta kradzież. Kiedy ją zapytałam, jak to jest być złodziejem, odpowiedziała, że nikomu nie dzieje się nic strasznego, kiedy traci portfel albo telefon. Nigdy nie okradała biednych ludzi, tylko turystów, których najwyraźniej stać na podróże i nie zubożeją od takiej niewielkiej straty. Przekonało mnie to. Potem Carmen wszystkiego mnie nauczyła. Zostałam u niej pół roku, dołączyłam do grupy czterech kobiet, które pracowały razem. Po paru miesiącach Carmen pozwoliła mi samej spróbować. Moją pierwszą ofiarą był turysta z Azji. Trzymał pieniądze w tylnej kieszeni spodni. Poszło mi świetnie. Carmen powiedziała mi później, że jest już ze mnie prawdziwy *carterista*. To dziwne, ale wcale mnie to nie zdenerwowało.

Louise zamilkła i czekała na moją reakcję.

– A więc już wiem, jak to się zaczęło – powiedziałem.

Słuchając jej opowieści nie miałem wątpliwości, że mówi mi prawdę. Naprawdę chciała, żebym o tym wiedział.

– Ten twój Ahmed – dodałem po chwili. – Mówisz, że pochodzi z Algierii, ale opowiedziałaś mi o miesiącach spędzonych w Barcelonie.

– Nie tam go spotkałam. Carmen została zatrzymana przez policję, a ja uciekałam z Barcelony do Paryża. Poznałam go przez przyjaciół

moich znajomych. Spojrzeliśmy na siebie i od razu było jasne, że będziemy razem.

– Powiedziałaś mu, że jesteś kieszonkowcem?

– Nie od razu. Musiałam się upewnić, że to poważny związek.

– I jak zareagował?

– Nijak. Nie skomentował tego. On nie jest kieszonkowcem, chociaż ma bardzo zręczne dłonie.

– I pozwala ci to robić? Co z niego za mężczyzna?

Louise pochyliła się nad stołem i chwyciła moją dłoń.

– To mężczyzna, którego kocham – powiedziała z naciskiem. – Jedyńm mężczyzną, którego wcześniej kochałam, choć w zupełnie inny sposób, był szewc Giacomelli. Dopiero kiedy spotkałam Ahmeda, zrozumiałam, co to prawdziwa miłość.

Wzdrygnąłem się na widok mężczyzny stojącego w progu. Zjawił się zupełnie bezgłośnie. Nie wiedziałem, jak długo tam stał. Miał ciemne, krótko ścięte włosy, był nieogolony i ubrany w biały podkoszulek i pasiaste spodnie od pidżamy. Spostrzegłem, że jego bosa stopy są obficie porośnięte włosami.

– To mój ojciec, Fredrik – powiedziała Louise po angielsku. – A to jest mój Ahmed.

Wstałem i podałem mu rękę. Uderzyło mnie, że jest sporo młodszy od Louise, miał najwyżej trzydzieści lat. Przyjrzał mi się z niepewnym uśmiechem.

Potem wysunął spod zlewozmywaka taboret i usiadł przy stole. Wciąż przyglądał mi się wyczekująco, jakby się spodziewał, że coś powiem. Po raz kolejny dotarło do mnie, że wszystko, co dotyczy mojej córki, jest dla mnie całkiem niepojęte. Nie potrafiłem odgadnąć, co sprawiło, że jest, jaka jest.

– Słyszałem, że pracujesz jako nocny stróż – powiedziałem z wahaniem. – Mam nadzieję, że cię nie obudziliśmy.

– Nie, niewiele śpiam – odparł Ahmed. – Może w rzeczywistości jestem już starym człowiekiem? Mówią, że z wiekiem się śpi coraz mniej.

Kiwnąłem głową.

– Zanim człowiek zaśnie na wieki, z każdym rokiem śpi coraz mniej. Jestem lekarzem, więc powinienem wiedzieć, dlaczego tak



jest, ale nie znam żadnego logicznego wyjaśnienia.

Louise nalała kawy do kubków. Ahmed odmówił. Dostrzegłem, że moja córka patrzy na niego z miłością. Kiedy przechodziła obok niego z dzbankiem kawy, pogładziła go po głowie.

Zapytałem go o rodziców.

– Ojciec nie żyje – powiedział. – Pracował w porcie w Algierze i pewnego dnia uderzyła w niego zerwana stalowa lina. Była zbyt mocno naprężona i puściła. Obcięła ojcu obie nogi i wykrwawił się, zanim nadeszła pomoc.

– To straszne. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję.

– A matka?

– Też nie żyje.

Nie wyjaśnił, jak umarła. Nie dopytywałem.

– Masz jakieś rodzeństwo?

– Miałem troje, dwoje już nie żyje.

Pomyślałem, że Ahmed to człowiek otoczony wieloma zmarłymi. Chciałem zmienić temat, więc zapytałem go o pracę stróża.

– Pilnuję sklepów, w których nie byłoby mnie stać na zakupy – odpowiedział. – Każdej nocy wchodzę do świata, który za dnia jest dla mnie niedostępny.

Spojrzał na Louise.

– Dla nas – poprawił się. – I dla naszego dziecka.

– Gratuluję wam, zostaniecie rodzicami – odrzekłem. – W dzisiejszych czasach można się dowiedzieć, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka. Sprawdziliście?

Ahmed zmarszczył czoło.

– To nas nie interesuje.

– Badamy się, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy dziecko jest zdrowe – wyjaśniła Louise. – Dlatego, że jestem już trochę stara.

Poczułem zakłopotanie. Wyczuwałem, że Ahmed traktuje mnie z powściąganą pogardą. Nie podobało mi się też, że Louise jest w niego taka zapatrzona. W sposobie, w jaki się do niego odnosiła, było coś poddańczego, być może przyszło mi to do głowy, kiedy pogładziła jego krótko ścięte włosy. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem takiej Louise.

Nie wiedziałem, o czym z nimi rozmawiać. Czułem się coraz bardziej niezręcznie. Nie pojmowałem wyborów życiowych mojej córki. Była kieszonkowcem, związała się i zaszła w ciążę z chłopakiem z Algierii, który wykonywał niezbyt lukratywny zawód nocnego stróża.

Nagle Ahmed wstał. Przemknęło mi przez głowę, że odczytał moje myśli. Wyszedł z kuchni.

– Jest bardzo miły – powiedziałem do Louise.

– Naprawdę myślisz, że mogłabym się związać z niemiłym mężczyzną?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo wrócił Ahmed. Miał na sobie niebieską koszulę i szorty z wzorem z arabskich liter po bokach nogawek. Przyniósł butelkę na drewnianej podstawce. W środku coś było i instynktownie pomyślałem o miniaturowym statku.

– To prezent dla ciebie – powiedział. – Wprawdzie teraz zarabiam na życie jako stróż, ale kiedyś chcę się zająć tym.

Ostrożnie postawił butelkę na stole i skierował światło lampy stołowej tak, bym dobrze widział zawartość.

Nie był to statek z żaglami ustawiony na zastygłych niebieskich falach, jeden z tych, które wkłada się po kawałeczku przez wąską szyjkę butelki, a potem składa w całość z pomocą magicznej wręcz ciepłoty. Na dnie butelki był ocean z piasku. Jego powierzchnia marszczyła się w fale, większe i mniejsze, zupełnie inne niż te, które można dostrzec na wodzie. Był tam namiot beduiński wzniesiony na palikach, otwarty, tak że dało się zajrzeć do jego wnętrza. W środku siedzieli na poduszkach mężczyźni ubrani na biało, kobiety w chustach podawały herbatę i fajki wodne. Przed namiotem stał Beduin, który właśnie zsiadł z konia i podawał lejce młodemu chłopakowi. Jeździec miał na głowie kunsztownie zawinięty turban.

Wiedziałem trochę na temat budowania modeli statków w butelce. Ojciec mojego dziadka, który pływał na statkach firmy transportowej Nordsjötrafik, zanim zszedł na ląd i został rybakiem, zbudował model „Daphne”, statku, który zatonął, wpłynąwszy na zdradliwą rewę niedaleko wybrzeża Skagen w Boże Narodzenie 1870 roku. Na pomoc załodze wypłynęło ośmiu duńskich rybaków.

Załoga ocalała, ale ratownicy zginęli. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze mały, dziadek powiedział mi, że model całego okrętu został wepchnięty do butelki przez ciasną szyjkę z opuszczonymi masztami i żaglami. Potem dzięki skomplikowanemu systemowi cieniutkich żyłek postawiono maszty, wciągnięto żagle i osadzono statek na niebieskim podłożu z modeliny.

Jednak model namiotu beduińskiego Ahmeda zaimponował mi o wiele bardziej niż wszystkie statki w butelce, jakie kiedykolwiek widziałem. Ahmed musiał być niezwykle zręczny. Przyszło mi również na myśl, że mając tak zwinne palce, mógł być doskonałym nauczycielem dla kogoś, kto postanowił utrzymywać się z kradzieży.

– To bardzo piękne – powiedziałem. – Ten namiot i życie na pustyni, czy to coś, czego sam doświadczyłeś?

– Dorastałem w kasbie w Algierii – odrzekł. – Pustynia była daleko za miastem, ale widziałem zdjęcia i filmy. Poza tym mój ojciec pochodził z beduińskiej rodziny. Spędził dzieciństwo jako nomada. Każdego wieczoru jego rodzina wznosiła namiot w innym miejscu.

– Ja też powinienem był przywieźć wam jakiś prezent. Ale przyjechałem do Paryża w pośpiechu.

– Dziękuję, że wyciągnąłeś Louise z więzienia.

– Utrzymywanie się z kradzieży w Paryżu to niebezpieczne zajęcie – powiedziałem i natychmiast pożałowałem swoich słów.

– Już z tym skończyłam – odparła ze złością Louise. – Nie pomożesz mi w niczym, jeśli będziesz mi to ciągle wypominał.

Ahmed wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu mojej córki.

– Fredrik ma rację. Jestem pewien, że nie będzie już o tym mówił bez potrzeby.

Wypowiedział moje imię z francuskim akcentem. Podejrzewałem, że zrobił to z uprzejmości, i zrobiło mi się wstyd, że wcześniej podejrzewałem go o to, że traktuje mnie z pogardą.

Zaraz po tym znowu się podniósł.

– Chyba muszę się jeszcze trochę przespać – oznajmił.

Uklonił się lekko i wyszedł z kuchni. Louise podążyła za nim, a ja przygotowałem się do wyjścia.

Kiedy wróciła, stałem z podarowaną mi butelką w dłoni.

– Jest coś jeszcze, o czym musisz wiedzieć – powiedziała. – Odłóż butelkę.

Zrobiłem to, o co poprosiła i wszedłem za nią do pokoju sąsiadującego z kuchnią.

– To również jest moje życie – powiedziała, przepuszczając mnie w drzwiach.

Pokoik był malutki, wymalowany na biało i skromnie umeblowany. Było w nim wąskie łóżko i stolik pod oknem, z sufitu zwisała prosta lampa, a podłogę wyłożono wykładziną. Na środku stał wózek inwalidzki. Był zwrócony przodem do okna, ale dostrzegłem tył czyjejś głowy.

– To jest Muhammad – oznajmiła Louise. – Nie musimy szeptać, jest całkiem głuchy.

Podeszła do wózka. Siedząca na nim postać wydała z siebie serię niezrozumiałych dźwięków. Louise odwróciła go przodem do mnie.

Muhammad był siedmio-, może ośmioletnim chłopcem. Jego twarz szpecił grymas, który wyglądał tak, jakby zastygł i zmienił się w bliznę. Oczy chłopca wpatrywały się we mnie, a ja w wyraz jego wykrzywionych ust. Spodziewałem się, że lada chwila wydobędzie się z nich okrzyk przerażenia.

– To mój tato – powiedziała Louise po francusku, jednocześnie pisząc te słowa na ekraniku podłączonym do komputera zawieszzonego przy wózku.

Skinieniem głowy dała mi znak, żebym podszedł bliżej.

– Nie może poruszać rękami – wyjaśniła. – Możesz się z nim przywitać, głaszcząc go po policzku.

Zrobiłem tak, ale o mało co odruchowo nie cofnąłem ręki, bo chłopiec wydał mi się zimny jak lód.

Wiedziałem o istnieniu chronicznych schorzeń objawiających się między innymi tym, że chory jest całkiem pozbawiony warstewki podskórnego tłuszczu. Taki człowiek jest zimny i cierpi na rozliczne dolegliwości, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Pomyślałem, że chłopak może cierpieć na wodogłowie, ale ponieważ jego głowa nie była nienaturalnie powiększona, od razu zwątpiłem w tę diagnozę.

– Czyje to dziecko? – zapytałem.

– Muhammad jest bratem Ahmeda – odrzekła Louise. – Po jego narodzinach, kiedy się okazało, że nigdy nie będzie wiódł normalnego życia, ich matka postradała zmysły. Uciekła w chorobę, więc Ahmed zdecydował się nim zaopiekować. Dlatego przyjechał do Francji. Przez pierwsze lata zajmował się nim w pojedynkę, potem zjawiłam się ja. Będzie bratem dla naszego dziecka.

– Czy ktoś postawił jakąś diagnozę? – zapytałem.

– Cierpi na wiele schorzeń. Nie tylko nie słyszy, ale ma niedorozwinięty mózg. Nie może też mówić i za parę lat straci wzrok.

Wróciliśmy do kuchni.

– Daj mi tę butelkę – powiedziała Louise. – Porządnie ją zapakuję, żeby się nie rozbiła.

– Domyślam się, że nie wrócisz teraz ze mną do Szwecji.

– Jeszcze nie teraz. Zaczekam do narodzin dziecka. Potem być może wszyscy przeprowadzimy się do Szwecji. Na twoją wyspę, do odbudowanego domu.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Z jednej strony chciałem ją mocno przytulić, z drugiej miałem ochotę jak najszybciej uciec i zaszyć się w przyczepie.

Zapytała mnie, jak długo jeszcze zostanę w Paryżu.

– Do jutra – odparłem. – Wypuścili cię z aresztu, nie zostałeś deportowany. Wiem już, jak żyjesz i nic mnie tu dłużej nie trzyma. Poza tym nie stać mnie na długi pobyt w hotelu.

– Możesz się u nas zatrzymać, jeśli chcesz.

– Nie umiem już mieszkać w mieście. Chcę wrócić do domu. Tęsknię za moją wyspą i pogorzeliem.

Louise zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała.

– Przyjdę wieczorem do hotelu – zaproponowała. – Przyniosę butelkę.

Pożegnaliśmy się w ciemnym przedpokoju. Czułem się niepewnie, jak bardzo młody człowiek. Nie lubię sytuacji, których nie pojmuję.

Wyszedłem na ulicę i przystanąłem. Do następnego spotkania z Louise miałem wiele godzin. Nie zaplanowawszy nic konkretnego, poszedłem do metra i wsiadłem w pociąg jadący na południe miasta. Potem zmieniłem linię i wysiadłem na stacji Bastille. Ruszyłem

spacerem w stronę ratusza miejskiego. Wiedziałem, że powinienem zarezerwować bilet do Szwecji, ale nie mogłem przestać rozmyślać o tym, że coś się bezpowrotnie skończyło. Spotkanie z rodziną Louise uzmysłowiło mi, że ja i moja córka żyjemy w zupełnie nieprzystających do siebie światach. Mimo to miałem nadzieję, że coś może ulec zmianie. Że nasze światy mogą się zespolić i zlać się w jedno.

Znów zacząłem przyglądać się ludziom na ulicy. Za każdym razem, kiedy widziałem osobę w podeszłym wieku, upewniałem się, że należymy do wyjątków.

Wyjąłem telefon i zadzwoniłem na numer rezerwacji biletów lotniczych. Po długim oczekiwaniu oraz po tym, jak kilkakrotnie przełączono mnie do kolejnej osoby, udało mi się wreszcie dostać miejsce w samolocie odlatującym nazajutrz o godzinie 11.30.

Potem kontynuowałem długi spacer w stronę Montparnasse. Przystanąłem tylko raz, żeby posłuchać ulicznej śpiewaczki. Wykonywała standardy jazzowe silnym wibrującym głosem. Leżący przed nią kapelusz był już wypełniony niemal po brzegi, ale dorzuciłem tam jedno euro. Uśmiechnęła się w podziękowaniu, prezentując liczne braki w uzębieniu.

Kiedy dotarłem do hotelu, bolały mnie nogi. Monsieur Pierre stał za ladą w recepcji i podliczał zawartość kasy.

– Wyjeżdżam jutro – oznajmiłem mu.

– Nasycił się pan Paryżem choć na jakiś czas? – zapytał.

– Być może już na zawsze – odparłem. – W moim wieku nigdy nie wiadomo.

– Ma pan rację. Z wiekiem człowiek stąpa po coraz cieńszym lodzie.

Bar był otwarty, ale nie siedział w nim żaden gość. Zamówiłem kawę.

Kiedy chwilę później mijałem recepcję, usłyszałem monsieur Pierre'a nucącego na zapleczu jakąś znaną mi melodię. Po namyśle doszedłem do wniosku, że to jakiś utwór Offenbacha.

Na łóżku zastałem wiadomość, że dziś mój pokój sprzątała Rachel. Położyłem się i natychmiast usnąłem. Gdy się zbudziłem, byłem przekonany, że spałem bardzo długo, ale okazało się, że drzemka

trwała zaledwie dwadzieścia minut. Owinąłem stopy narzutą i usiadłem, oparłszy się na wezgielciu łóżka. Wróciłem myślami do chwili, w której Ahmed wkroczył do kuchni w mieszkaniu Louise. Potem stanął mi przed oczami jego brat inwalida i obraz mojej córki gładzącej czule włosy chłopca i Ahmeda. Udzieliła mi dostępu do swojego świata, ale ja miałem poczucie, jakbym wkroczył w rzeczywistość, która jest mi całkiem obca.

Zrozumiałem, że moja córka ma wiele empatii dla innych, skoro zdecydowała się na pomoc w opiece nad ciężko upośledzonym chłopcem. Nie byłem w stanie pojąć, jak przy tym wszystkim może się jeszcze angażować w pomoc chorym ludziom pragnącym oglądać obrazy Rembrandta. Mimo wszystko była w niej jakaś część mnie i jednocześnie część jej była we mnie. Postanowiłem spojrzeć na to jak na początek nowej opowieści w moim życiu i byłem ciekaw, czy dzięki Louise uda mi się lepiej zrozumieć siebie samego.

Oto miejsce, do którego dotarłem. Moja droga rozpoczęła się w mieszkaniu ojca-kełnera w Sztokholmie i zawiodła mnie do tego pokoju w paryskim hotelu. W międzyczasie zdążyłem być chirurgiem, który popełnił ogromny błąd. Teraz jestem starym człowiekiem, któremu spłonął dom. I to wszystko.

Nie boję się śmierci. Śmierć oznacza przecież wolność od strachu. A to najwyższy wymiar wolności.

Wstałem z łóżka, wyjąłem kartkę papieru listowego z brązowego korytka na biurku i spróbowałem spisać swoje myśli. Jednak nie udało mi się złożyć żadnych słów ani zdań. Mogłem tylko rysować mapy wymyślonych archipelagów o wąskich cieśninach, tajemniczych zatokach i zdradliwych, bezdennych głębinach. Wkrótce zapełniłem nimi obie strony. Była to jedyna mapa mojego życia, jaką byłem w stanie nakreślić.

Potem pomyślałem o Ahmedzie i niezwyklej butelce z namiotem Beduinów, którą dał mi w prezencie. Może ja powinienem mu sprezentować jedną z map nieistniejącego archipelagu w nieznanym mu części świata?

W końcu ubrałem się i wyszedłem. Spacerowałem po Montparnasse, aż w końcu dotarłem do stacji, na którą, jak

przypuszczałem, miała przyjechać Louise. Było ciemno i chłodno. Po schodach zbiegali w dół odwrócenieni do mnie plecami ludzie.

Nikt mnie nie widział. Nikt za mną nie tęsknił.

Louise pojawiła się parę minut przed siódmą. Niosła butelkę z beduińskim namiotem, owiniętą gazetami i papierem pakowym. Wzdrygnęła się lekko na mój widok i od razu zapytała, czy coś się stało. Odniosłem wrażenie, że naprawdę się o mnie zaniepokoiła.

– Jutro wracam do domu – powiedziałem. – Nie lubię ckliwych pożegnań. Podobnie jak ty.

Roześmiała się. Uderzająco podobnie do Harriet. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

– Więc jednak mamy jakąś wspólną cechę – powiedziała. – Ckliwe pożegnania są naprawdę bardzo nieprzyjemne.

Wręczyła mi pakunek i udzieliła rady, bym na niego uważał. Zwłaszcza kiedy będę go kładł w schowku nad głową w samolocie.

– Mam miejsce 32B – odparłem. – Będę siedział wciśnięty między dwie osoby.

Nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia.

– Przyjadę – oznajmiła nagle Louise. – Wszyscy przyjedziemy. Musisz wracać i zbudować nam nowy dom. Nie wolno ci wcześniej umrzeć.

– Nie zamierzam umierać. Jasne, że chcę odbudować dom. Nie pozostawię po sobie ruiny.

Objęliśmy się na pożegnanie. Potem Louise odwróciła się i zeszła schodami w dół. Patrzyłem za nią, aż zniknęła w tłumie. Może miałem nadzieję, że do mnie wróci?

Wszedłem do pobliskiego bistro i na papierowym obrusie naszkicowałem mój spalony dom. Z pamięci, ze wszystkimi szczegółami. Nie wyobrażałem sobie, żebym miał zamieszkać w czymś innym.

Kiedy wracałem do hotelu, było już wpół do dziesiątej. Mżył lekki deszcz. Miałem nadzieję, że długie wędrówki dzisiejszego dnia pozwolą mi szybko zasnąć.

W recepcji nie zastałem już monsieur Pierre'a. Zastępował go nocny portier, którego wcześniej nie widziałem. Był bardzo młody,



miał długie włosy spięte w koński ogon i kolczyk w uchu. Zastanowiłem się, czy monsieur Pierre lubi z nim pracować.

Zaraz po tym zauważyłem Lisę Modin. Siedziała w fotelu w rogu recepcji. Ujrzawszy mnie, podniosła się i zapytała, czy mi nie przeszkadza.

– Skądże – odrzekłem. – Właśnie pożegnałem się z córką. Wypuścili ją z aresztu. Zostaje w Paryżu.

Nie wspomniałem o Ahmedzie i jego bracie.

– Dostałem w prezencie butelkę z beduińskim namiotem w środku. Mam nadzieję, że wkrótce będę miał dom, a w nim regał, na którym będę mógł ją postawić.

Lisa nie odpowiedziała. Przyglądała mi się bez słowa.

Wsiedliśmy do windy. Potem weszliśmy do mojego pokoju, a ja postawiłem pakunek na biurku. Usiadłem na skraju łóżka. Lisa usiadła obok mnie. Żadne z nas nic nie powiedziało. Kiedy cisza zrobiła się krępująca, powiedziałem jej, że jutro wracam do Szwecji.

– Ja też – odparła.

– Może lecimy tym samym samolotem?

– Ja jadę pociągiem. Boję się latać, nie mówiłam ci? Mój pociąg odjeżdża o 16.20.

– Do Hamburga, a potem przez Kopenhagę?

– Tak. Przyjechałam tu, żeby się z tobą spotkać. Nie wiem dlaczego. Nie żałuję, że na ciebie nakrzyczałam. Co się stało, to się nie odstanie. Nie chcę jednak, żeby ta podróż okazała się pozbawiona sensu.

– Możemy się podzielić samotnością.

– Nie pasuje do ciebie sentymentalizm. Mamy wobec siebie różne oczekiwania. Ja nie mam właściwie żadnych, ty wręcz przeciwnie. Ale brak oczekiwań to również rodzaj oczekiwania.

– Połóżmy się na łóżku. Tylko tyle.

Zdjęła kurtkę i buty. Były czerwone i miały wyższe obcasy niż buty, które wcześniej u niej widywałem. Ja zdjąłem sweter.

Lisa była drugą kobietą, z którą spałem w jednym łóżku podczas tego pobytu w Paryżu. Zeszłej nocy towarzyszyła mi Louise i jej głęboki oddech, teraz leżała przy mnie Lisa Modin.

Znowu pomyślałem o piasku, namiocie Beduinów i koniu.

Ogarnął mnie wielki spokój i poczułem się wolny.  
Pożar i moja ucieczka od oślepiającego światła wydały mi się  
bardzo odległe.

Nie dotknęliśmy się tej nocy.

Długo leżeliśmy, rozmawiając o mieście, w którym się znaleźliśmy.

W pewnej chwili Lisa Modin zaczęła mi opowiadać o sobie. Całe jej dzieciństwo przebiegło w niemal nienaturalnie harmonijnej atmosferze. Zwierzyła mi się, że w owym okresie dopadała ją czasem taka nuda, że zaczynała się zastanawiać, czy życie naprawdę musi być tak monotonne. Potem opowiedziała mi o swoim strachu przed lataniem. Nabawiła się go podczas długiej podróży ze Sri Lanki. W pewnej chwili, w samym środku nocy, kiedy leżała w fotelu z odchylnym oparciem, owinięta kocem, nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się wysoko nad ziemią.

– Uderzyła mnie myśl, że samolot unosi się na barkach wielkiej pustki – opisywała. – I w pewnej chwili jego ciężar musi się okazać zbyt wielki. Potem już nigdy nie wsiadłam do samolotu.

Nasza nocna rozmowa przychodziła do nas falami, które przeplatały się z chwilami długiego milczenia.

– Rozmawiałam przez telefon z proboszczem – odezwała się w pewnej chwili. – W sprawie tego niedźwiedziego zęba znalezionego na wyspie Vrångskär. Ale on nie wiedział, o czym mówię. Twierdzi, że nie ma żadnego zęba ani u niego na plebanii, ani w kościele, ani w domu parafialnym.

– Mówiłem ci, że tylko słyszałem o tym, że ząb jest u proboszcza tamtejszej parafii – wyjaśniłem. – Niewykluczone, że historia tego zęba jest tylko legendą.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o bezdomnych żyjących na ulicach Paryża.

– Bieda coraz bardziej się do nas zbliża – powiedziała Lisa. – Nie uchronimy się przed nią.

– Zdarza mi się myśleć, że czasy, w których przyszło mi żyć, są jednym wielkim i wspaniałym wyjątkiem – odparłem. – Nigdy nie

brakowało mi pieniędzy, chyba że sam wybrałem taką drogę. Nie wiem, w jakim świecie będą żyły nasze dzieci i wnuki.

– Może dlatego nigdy nie chciałam mieć dzieci. Bałam się, że nie będę w stanie im zagwarantować dobrego życia.

– Nie można tak myśleć. Z biologicznego punktu widzenia w życiu człowieka chodzi tylko i wyłącznie o to, żeby mieć dzieci. Wszystko inne jest pozbawione znaczenia.

Zasnęliśmy chwilę po trzeciej. Najpierw Lisa, zaraz potem ja. Najpierw oddychała nerwowo i szybko, potem jej oddech wyrównał się i uspokoił. Pochrapywała cichutko. Miałem wrażenie, że śpi, ale jednocześnie czuwa. Ostrożnie przesunąłem głowę i oparłem ją lekko na jej ramieniu. Nie poruszyła się.

Obudziliśmy się niemal jednocześnie. Kiedy otworzyłem oczy, Lisa patrzyła na mnie.

– Też właśnie się obudziłam – powiedziała.

Była siódma. Lisa wstała z łóżka.

– Cieszę się, że mnie wczoraj nie wyrzuciłeś – dodała.

– Dlaczego miałbym cię wyrzucić?

– Bo na ciebie nakrzyczałam.

– Uważałaś, że masz słuszny powód.

Znów położyła się obok mnie, ale zanim to zrobiła, delikatnie odsunęła moją wyciągniętą rękę.

– Dziękuję, że nie byłeś natarczywy. Mogłeś przecież pomyśleć, że przyszedłam tu, żeby się z tobą przespać.

– Dlaczego miałbym tak pomyśleć?

– To byłoby dość naturalne.

– Nie dla mnie.

Ponownie wstała, ale tym razem energicznie. Podeszła do okna i rozsunała zasłony.

– Co sprawia, że jesteś inny niż większość mężczyzn?

– Jestem, jaki jestem. Nie wiem, jacy są inni mężczyźni.

Lisa pokręciła głową, wyraźnie poirytowana. Nie kontynuowaliśmy tej rozmowy. Wstałem z łóżka, a Lisa poszła do łazienki. Czekałem przy oknie, spoglądając w dół na podwórze. Rozmyślałem o tej nocy. Przyszła do mnie i została ze mną do rana. To musiało przecież coś znaczyć, chociaż nie wiedziałem jeszcze co.

Kiedy wyszła z łazienki, promieniowała tą samą energią, którą zaobserwowałem u niej podczas pierwszego spotkania. Zaproponowałem, żebyśmy zjedli razem śniadanie, ale pokręciła głową z uśmiechem.

– Moglibyśmy zjeść kolację w pociągu, gdybyś nie wolał lecieć samolotem – powiedziała.

Zanim wyszła z pokoju, pogładziła mnie dłonią po policzku. Z jakiegoś powodu przemknęło mi przez głowę, że byłoby dobrze, gdyby Rachel jej nie zauważyła.

Lisa zniknęła tak niespodziewanie, że mimo iż wcale nie byłem głodny, zszedłem na śniadanie do małej salki na parterze. Monsieur Pierre siedział w recepcji, wpatrzony w ekran komputera.

W pomieszczeniu było bardzo niewielu gości. Tu i tam siedział ktoś pochylony nad jajkiem na miękko i kubkiem kawy.

Kiedy znużyło mnie siedzenie tam, poszedłem do monsieur Pierre'a i uregulowałem rachunek. Podając mu kartę, poczułem lęk, że zabraknie na niej pieniędzy.

Obawa ta okazała się nieuzasadniona. Dobrze przecież wiedziałem, że jeśli będę żył oszczędnie, jak do tej pory, pieniądze prawdopodobnie nigdy mi się nie skończą. Mimo że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły, dostawałem dobrą emeryturę po wielu latach pracy w zawodzie lekarza.

Zostawiłem dziesięć euro napiwku i poprosiłem monsieur Pierre'a o dopilnowanie, żeby część tych pieniędzy trafiła do Rachel.

– To wspaniała dziewczyna – powiedział. – To wielkie szczęście, że tu pracuje.

Ruszyłem do windy, ale przystanąłem jeszcze na moment.

– Kto jest właścicielem tego hotelu? – zapytałem.

– Madame Perrain – odrzekł monsieur Pierre. – Jej ojciec stworzył go w 1922 roku. Madame Perrain ma już dziewięćdziesiąt siedem lat i niestety jest bardzo chora. Ostatnim razem odwiedziła nas tutaj dwanaście lat temu.

Podziękowałem mu i wsiadłem do windy. Kiedy stanąłem przed drzwiami do pokoju z kluczem w dłoni, postanowiłem nagle, że wrócę do Szwecji pociągiem razem z Lisą Modin. Nie wsiądę do

samolotu. Być może miejsce 32B zostanie przez kogoś zajęte, ale na pewno nie będę to ja.

Przespałem się jeszcze parę godzin, a potem spakowałem swoje rzeczy i wyszedłem z hotelu. Chociaż do odjazdu pociągu z Gare du Nord zostało jeszcze parę godzin, wezwałem taksówkę i kazałem się tam zawieźć. Rozstałem się już z Paryżem i wiedziałem, że jeśli jeszcze kiedykolwiek tu przyjadę, zrobię to, by odwiedzić Louise i jej rodzinę. Miasto o nazwie Paryż opuszczałem w tej chwili na zawsze.

Taksówkarz miał fryzurę rastamana i słuchał Boba Marleya. Nuciłem razem z nim. Kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, kierowca odwrócił się do mnie i się uśmiechnął. Miał białe zęby rosnące w dużych odstępach. Pomyślałem o klubie jazzowym, w którym grano teraz reggae. Zapytałem go, czy zna to miejsce.

– No jasne! – odpowiedział w tej samej chwili, z której światło zmieniło się na zielone.

Opuszczałem Paryż przy dźwiękach piosenki *Buffalo Soldier*. Dałem taksówkarzowi wysoki napiwek. Wiele lat temu dotarłem w to miejsce na początku mojej pierwszej wizyty w Paryżu. Przybyłem tu wówczas jako młody chłopak, bez grosza przy duszy i z bolącym zębem. Teraz miałem stąd wyjechać. Wtedy wsiadłem do taksówki, teraz z niej wysiadałem. I choć podróże te dzieliło wiele lat, czułem, jakby były ze sobą połączone.

Kupiłem bilet w drugiej klasie, przekonany, że Lisa Modin nie będzie podróżowała pierwszą. Potem spacerowałem po peronach i próbowałem sobie przypomnieć, jak wyglądał ten dworzec prawie pięćdziesiąt lat temu. Przyjechałem na tę stację pociągiem ciągniętym przez lokomotywę parową, tego byłem pewien. Siedziałem w ostatnim wagonie.

Po chwili zadzwoniłem do Janssona, ale nie powiedziałem mu, że wracam do domu. Nie miał dla mnie żadnych nowych wiadomości dotyczących pożaru. Powtórzył tylko, że na wyspach zapanował strach. Ludzie uwierzyli, że po archipelagu grasuje zło.

Użył właśnie tego słowa, *zło*, chociaż nie brzmiało ono naturalnie w jego ustach. Gdyby je wyśpiewał swoim pięknym tenorem, być może zabrzmiałoby bardziej przekonująco. Zdecydowanie lepiej

pasowało do opery niż do codziennego języka Janssona. Zapytałem go, czy policja ostatecznie orzekła, że pożar mojego domu i domu wdowy Westerfeldt są ze sobą powiązane, ale nie umiał mi odpowiedzieć. Ciągle wracał do strachu, który opanował wyspy i obawy przed tym, co być może ma jeszcze nastąpić.

Zakończywszy rozmowę z Janssonem, zjadłem szybki lunch w dworcowej restauracji, a potem wszedłem do kiosku i kupiłem angielskie pismo medyczne.

Pół godziny przed przyjazdem pociągu poszedłem na peron i stanąłem przy żelaznym słupie, jednym z tych, które podtrzymują dach. Chciałem zobaczyć Lisę Modin, zanim ona zauważy mnie.

Pojawiła się kwadrans przed odjazdem pociągu, który właśnie wjeżdżał na peron. Szedłem za nią w pewnej odległości, jak nieudaczny prywatny detektyw, w dodatku poruszający się nieco chwiejnym krokiem, bo lekko podpity po niedawnym obiedzie. Kiedy wsiadła do wagonu, ucieszyłem się, że dokonałem słusznego wyboru, kupując drugą klasę.

Sam wsiadłem dopiero wtedy, kiedy konduktorzy zaczęli już zamykać drzwi do wagonów. Potem stałem jeszcze chwilę przy toalecie, aż poczułem szarpnięcie i pociąg ruszył z miejsca. Tak oto rozpoczynała się moja ostatnia podróż powrotna z Paryża.

W wagonie nie było wielu pasażerów. Lisa Modin siedziała przy oknie, opierała głowę o szybę i miała zamknięte oczy. Wybrała akurat takie miejsce, w którym dwa siedzenia ustawione były naprzeciwko siebie. Ostrożnie usiadłem twarzą do niej. Po około minucie otworzyła oczy, spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

– Powinnam być zaskoczona – powiedziała. – Ale nie jestem.

– Po raz pierwszy do Paryża przyjechałem pociągiem – odparłem. – Opowiedziałem ci o tym w nocy. Ale jeszcze nigdy nie opuszczałem tego miasta tą drogą. Parę razy wyjeżdżałem z ciężkim plecakiem na obrzeża któregoś z przedmieść i tam łapałem autostop, kiedy indziej leciałem samolotem. Teraz mam nareszcie okazję, żeby to nadrobić.

– Cieszę się – oznajmiła. – Nie myślałam o tym powrocie z przyjemnością, być może teraz będzie inaczej.

– Dlaczego przyjechałaś? – zapytałem. – Nie mogę odbyć tak długiej podróży, nie znając odpowiedzi.

Zanim Lisa zdążyła coś odrzec, zgrzytnęły hamulce pociągu, sprawiając, że w jednej chwili stanęło mi przed oczami drobne wspomnienie z pierwszej podróży do Paryża. W pewnej chwili rozległ się identyczny jazgot, stojący ludzie stracili równowagę, ktoś głośno zaklął. Teraz poczułem się tak, jakbym przypadkowo przebił głową skorupę do nieistniejącego już świata i zajrzał tam na krótką chwilę.

Mijaliśmy przedmieścia i pociąg stopniowo przyspieszał. Byliśmy sami w tej części wagonu, Lisa siedziała plecami do kierunku jazdy. Zapytałem ją, czy nie chce się zamienić.

– Kiedyś plecami do kierunku jazdy wożono ludzi, którzy mieli zostać straceni – powiedziałem. – Mieli nie widzieć czekającego na nich szafotu albo gilotyny.

– Dobrze mi tak, jak jest – odparła.

Przywiodło mi to na myśl kolejne wspomnienie z młodości. Upiwszy się ponczem arakowym Hassego, syna piekarza, z którym każdy chciał się kolegować, wyszedłem na mróz i stałem na ulicy w towarzystwie wystraszonej dziewczyny imieniem Ada, z wielkim kokiem mającym ją upodobnić do cesarzowej Iranu Farah Pahlawi. Nagle zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałem prosto na jej białe buty. Uciekła w popłochu. Działo się to przed salą, gdzie odbywała się szkolna potańcówka. Wyrzucono mnie stamtąd za pijaństwo, a Ada, uważając się za moją dziewczynę, zdecydowała, że będzie mi towarzyszyć w tym poniżeniu. Jednak po moim wyczynie pobiegła z powrotem na salę, gdzie było ciepło i gdzie przyzwoitsi koledzy i koleżanki tańczyli do muzyki granej przez orkiestrę jazzową z niewidomym basistą.

Dlaczego pomyślałem o tym akurat teraz, kiedy jechaliśmy przez przedmieścia Paryża, a środkiem przedziału siedł niski mężczyzna z ciężkim bagażem? Może z obawy, że znów zostanę porzucony, tak jak wówczas.

Oparłem głowę o ścianę i skrzyżowałem ramiona na piersi.

Wkrótce przekroczyliśmy granicę z Belgią. Nasze bilety leżały na stoliku. Udawałem, że śpię, kiedy przyszedł konduktor.



Lisa poderwała się nagle.

– Idę do wagonu restauracyjnego – oznajmiła. – Jestem głodna.

Poszedłem z nią. Po drugiej stronie przejścia siedział mężczyzna, który oglądał film na laptopie. Poprosiłem go, żeby rzucał okiem na nasze walizki. Skinął głową na zgodę.

Przechodziliśmy przez kolejne wagony. Lisa szła pierwsza, ja parę kroków za nią. W restauracji było pełno ludzi, musieliśmy poczekać na wolne miejsce. Kelner mówił po francusku ze wschodnioeuropejskim akcentem. Za oknami pociągu zapadł już zmrok. Oboje zamówiliśmy danie z kurczakiem. Jedliśmy i piliśmy, niewiele rozmawiając.

– Płakałeś przez sen – odezwała się Lisa niespodziewanie.

– Naprawdę?

– Rzadko się płacze bez powodu.

– Nie przypominam sobie tego. Nie wiem, co mi się śniło.

Kelner napełnił nasze kieliszki. Robił to pewnie, nie chwiejąc się, chociaż pociąg chwilami kołysał. Nie uрониł nawet kropli, kiedy mocno szarpnęło.

– Kiedyś jechałem nocnym pociągiem przez Szwajcarię – powiedziałem. – Byłem w drodze do Włoch. W wagonie restauracyjnym posadzono mnie obok kobiety w moim wieku, a ja miałem wtedy niewiele lat. Z jakiejś okazji moja towarzyszka chciała napić się ponczu, nie pamiętam już, co to było. Zamówiliśmy go wspólnie, ale na jeden kieliszek wypity przez nią, ja wypijałem trzy. Wbiłem sobie do głowy, że zaciągnę ją do mojego przedziału sypialnego, bo w obliczu niespodziewanego przyływu gotówki, powodowany młodzieńczą arogancją, kupiłem bilet w pierwszej klasie. Nie wiem już, skąd miałem te pieniądze. To było na samym początku moich studiów medycznych. O ile dobrze sobie przypominam, spontanicznie zdecydowałem się na podróż do Rzymu na Wielkanoc. Oczywiście nie udało mi się zrealizować planu z udziałem nieznanym. Kiedy kelner zakomunikował nam, że wagon restauracyjny zaraz się zamknie, dziewczyna podziękowała mi za towarzystwo i sobie poszła. Dowlokłem się do mojego przedziału, otworzyłem okno, po czym od razu usnąłem, upojony emocjami i słodkim napitkiem. Kiedy obudziłem się rano, łóżko

pokrywała warstwa śniegu, który padał do środka przez okno przez całą noc. W ustach miałem zastygniętą cukrową skorupę. Nigdy później nie doświadczyłem tak ciężkiego kaca, jak tamtego ranka. Chorowałem przez parę dni. Z pobytu w Rzymie zapamiętałem tylko korki na ulicach i moje długie spacer, podczas których robiłem sobie nieustanne wyrzuty, że zmarnowałem pieniądze na tak bezsensowną wyprawę. Dobrowolnie przehandlowałem wrażenia z Rzymu na kilka kieliszków słodkiego ponczu.

– Ja też mam wspomnienie z Rzymu – powiedziała Lisa. – Moja podróż nie była nieudana. Pojechałam tam z dwiema przyjaciółkami, jedna z nich miała tam zostać i rozpocząć pracę jako opiekunka do dzieci w rodzinie szwedzkich dyplomatów. Ja i druga koleżanka pojechałyśmy razem z nią, żeby dodać jej otuchy w pierwszym tygodniu pracy. Pewnego ranka, kiedy szłam sama na spacer, bo koleżanki były przeziębione, spotkałam na ulicy chłopaka imieniem Marius. Kilka wieczorów później straciłam z nim cnotę za drzewem w Ogrodach Borghese. Oboje byliśmy żałośnie niezręczni, a potem umówiliśmy się w tym samym miejscu następnego dnia, ale już tam nie poszłam. Czasem się zastanawiam, jak potoczyło się jego życie. I czy on też czasem o mnie myśli.

Wagon restauracyjny powoli pustoszał. Zamówiliśmy kawę. Lisa poprosiła też o deser, ale prawie go nie tknęła, bo okazał się za słodki.

Potem nagle zapytała mnie, dlaczego przyszedłem do jej do domu tamtego wieczoru.

– Przecież wiesz – odpowiedziałem.

– Nie, wcale nie wiem. Może trochę się domyślałam.

– Czego się domyślasz?

– Miałeś nadzieję, że wpuszczę cię do mojego łóżka. Jak mogłeś tak pomyśleć?

– Nie pomyślałem. Miałem nadzieję.

– I potem na dodatek grzebałeś w moich rzeczach. Dogrzebałeś się aż do tajemnicy wiszącej w mojej garderobie.

Odrzuciła ze złością serwetkę i pomachała na kelnera, który siedział na taborecie przy wejściu do kuchni i na wpół drzemał. Od razu zerwał się na równe nogi i przyniósł przygotowany już

wcześniej rachunek. Chciałem zapłacić, ale mi nie pozwoliła, oznajmiając, że już wystarczająco dużo zapłaciłem. Dała kelnerowi absurdalnie duży napiwek. Spojrzał na nią z radosnym zdziwieniem i uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy tego wieczoru.

Wróciliśmy na nasze miejsca. Tym razem to ja szedłem pierwszy i otwierałem przed Lisą odporne drzwi między wagonami.

Mężczyzna, który obiecał pilnować naszych bagaży, spał z odchyłoną głową. Na laptopie leżącym mu na kolanach wciąż leciał film.

Walizki były tam, gdzie je zostawiliśmy.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała Lisa, kiedy siadaliśmy. Wyjęła z woreczka koc i otuliła się nim, podkulając nogi na siedzeniu.

– Chyba już w Niemczech – odrzekłem.

Spojrzałem na zegarek.

– Za pięć, najwyżej sześć godzin będziemy w Hamburgu – powiedziałem. – Tam pociąg ma dłuższą przerwę.

– Obudź mnie wtedy – poprosiła. – Uwielbiam taki stan, kiedy nikt nie wie, gdzie jestem.

– Pociąg jadący ciemną nocą, to piękne. Gdybym kiedyś chciała napisać powieść, na pewno napisałabym o tej podróży.

– Byłbym jedną z postaci?

Lisa nie odpowiedziała. Zamknęła już oczy i naciągnęła koc na głowę.

Ja również musiałem wkrótce potem zasnąć. Zbudziłem się nagle, kiedy pociąg stanął. W bladym świetle lamp rozpoznałem peron na dworcu w Hamburgu. Mężczyzna z laptopem zdążył już wysiąść. Lisa spała z głową pod kocem i jedną nogą zwisającą z fotela.

Przyjechaliśmy do Hamburga zgodnie z rozkładem. Była trzecia nad ranem. W odróżnieniu od moich wcześniejszych podróży na tej trasie, teraz nie musiałem zmieniać pociągu. Postój miał potrwać trzydzieści pięć minut. Delikatnie poruszyłem schowane pod kocem ramię Lisy Modin. Zerwała nakrycie z głowy, jakby została napadnięta i spojrzała na mnie zupełnie rozbudzonym wzrokiem.

– Jesteśmy w Hamburgu – powiedziałem. – Będziemy tu stać pół godziny.

– Spałam – odparła cicho. – Boże, ależ mocno spałam. Przyśniło mi się, że nagle rozwarła się przede mną czarna dziura.

– Chciałbym wyjść, żeby zaczerpnąć trochę powietrza – powiedziałem.

Lisa odrzuciła koc, włożyła buty, potem energicznie wstała i przeczesała włosy palcami.

– Możemy tak zostawić bagaże?

– Ktoś na pewno będzie pilnował wagonu – uspokoilem ją. – Poza tym nie musimy odchodzić daleko, sami będziemy na nie zerkali.

Wyszliśmy na peron. Noc była zimna. Lokomotywa i nasz wagon stały blisko schodów wiodących na wyższy poziom, gdzie mieściły się kasy biletowe, sklepy i restauracje. Stwierdziliśmy, że i stamtąd będzie widać okno z naszymi miejscami. Zresztą po chwili pojawił się na peronie mężczyzna w stroju konduktora i zaglądał po kolei do wszystkich wagonów.

Wjechaliśmy na górę ruchomymi schodami. Zapytałem Lisę, czy jest głodna.

– O trzeciej nad ranem? – zdziwiła się. – A ty jesteś?

Weszliśmy do otwartej kafejki i kupiliśmy herbatę. Przy jednym ze stolików spał długowłosa mężczyzna z brudnym plecakiem. Przemknęło mi przez myśl, że pewnie jest tu od zawsze. Ponadczasowy włóczęga, który odradza się co jakiś czas i zawsze wygląda tak samo. Przy innym stole siedziało kilku pogrążonych w apatii młodych ludzi, może bezdomnych. Stanowili ostry kontrast dla pary trzydziestolatków niemogących oderwać od siebie rąk. Nieustannie głaskali się po policzkach i włosach.

Zabraliśmy nasze kubki z herbatą i wyszliśmy. Stanęliśmy przy barierce, w miejscu, z którego było widać perony i patrzyliśmy na opustoszały dworzec z wielką kopułą dachu z żelaza i szkła. Lisa postawiła kubek z herbatą na barierce.

Postanowiłem zaryzykować i leciutko ją objąłem. Nie stawiała oporu, ale po chwili delikatnie się odsunęła.

– Nie obejmuj mnie – powiedziała. – Po prostu stój obok. Wszystko, co dzieje się za szybko, jest złe.

Nagle podszedł do nas obdarty i wychudzony narkoman. Dałem mu jedno euro, ale widocznie chciał więcej, bo nagabywał nas dalej,

więc ryknąłem na niego, żeby się odczepił. Poszedł sobie. Lisa odprowadziła go wzrokiem.

– Nie wiem, skąd ludzie biorą odwagę, żeby mieć dzieci – powiedziała. – Przecież one mogą skończyć jako narkomani na dworcu.

– To cyniczne podejście – odparłem. – Życie nie daje żadnych gwarancji, jest jednym wielkim ryzykiem. Dotyczy to również posiadania dzieci.

– Naprawdę sam nigdy tak nie myślałeś? Nawet wtedy, kiedy czekałeś na narodziny córki?

– Nie miałem pojęcia, że jestem ojcem. Opowiadałem ci o tym.

Wyrzuciliśmy papierowe kubki po herbacie do kosza na śmieci i wróciliśmy do pociągu. W wagonie pojawili się nowi pasażerowie. Chciałem zaproponować Lisie, żebyśmy się przesiedli na puste miejsca, gdzie będziemy mogli usiąść obok siebie, ale doszedłem do wniosku, że nie będzie tego chciała. Nawet nie musiałem jej pytać. Zaraz po tym, jak usiadła, zaznaczyła dystans, zamykając oczy. Dała mi do zrozumienia, że nie mam wstępu do jej wewnętrznego świata.

Ruszyliśmy dalej na północ. Nie wiem, czy Lisa znowu zasnęła, ale siedziała z kocem naciągniętym na głowę. Ja patrzyłem przez okno i obserwowałem noc. W mojej głowie, jak odcięte klatki filmowe wirowały pojedyncze sekwencje wspomnień. Kiedy przyszedł konduktor, zapytałem go, czy wagon restauracyjny jest już otwarty. Pokręcił głową, informując mnie, że parę wagonów dalej jest automat z napojami. Już miałem pójść go poszukać, ale po chwili namysłu rozmyśliłem się, doszedłszy do wniosku, że na pewno nie znajdę tam niczego z alkoholem.

Przyjechaliśmy do Sztokholmu zgodnie z rozkładem. O tej porze byliśmy już po śniadaniu i po lunchu w pociągu. Lisa Modin przystała na moją propozycję odwiezienia jej samochodem do domu. Żadne z nas nie wspomniało o mojej próbie przytulenia jej na dworcu w Hamburgu. Nie potrafiłem odgadnąć, czy Lisa nie traktuje tego zdarzenia jak jednego z tych z pogranicza jawy i snu. Mogła uznać, że jej się to przyśniło. W moim przypadku było wręcz odwrotnie. Siedziałem naprzeciwko niej, godzina po godzinie, podczas gdy pociąg zawiózł nas do Kopenhagi, a potem dalej, przez

jesienny szwedzki krajobraz. Rozmyślałem o tym, czy to możliwe, bym mógł tęsknić za kimś, kto znajduje się w odległości niespełna metra ode mnie.

Lisa na wiele godzin pogrążyła się w lekturze książki o historii szwedzkiego dziennikarstwa. Ja sam, przeczytawszy gazetę medyczną, nie miałem do czytania nic poza moim notesikiem z adresami, więc najpierw przeczytałem wszystkie zapisane w nim nazwiska, a potem próbowałem wyobrazić sobie inne imię dla siebie niż Fredrik. Jedynym alternatywnym imieniem wydawał mi się Filip. Kiedy już wszystko przeczytałem i przeanalizowałem wszystkie możliwe imiona, wyjąłem notatnik i długopis i zacząłem wymyślać anagramy imion i nazwisk moich i Lisy. Łatwiej mi poszło z jej nazwiskiem niż z moim. Refkrid Nilew nie brzmiało tak interesująco jak Masdi Olin.

Wsiedliśmy do pociągu jadącego na lotnisko Arlanda. Padał zimny deszcz. Kiedy dotarliśmy na miejsce, poszedłem po samochód, a potem długo szukałem właściwego wyjazdu, aż w końcu dobrze trafiłem i udało mi się podejść pod Lisę pod terminal numer trzy.

Jechaliśmy w deszczu na południe. W samochodzie szwankowało ogrzewanie, a ruch na drodze był gęsty i nerwowy. Liczba samochodów zmniejszyła się dopiero, kiedy minęliśmy Södertälje. Zapytałem Lisę, czy chciałaby coś zjeść.

– Niekoniecznie – odparła. – Przyjemnie mi się tak jedzie. Życzyłabym sobie, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła. Jestem jak dziecko, które nigdy nie ma dosyć.

– Dosyć czego?

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową. Patrzyłem na mokry asfalt lśniący w świetle reflektorów i przyszło mi do głowy, że myślę tak samo, jak ona. Ta podróż mogłaby trwać wiecznie.

Właśnie wjechaliśmy do gęstego i ciemnego lasu Kolmården, kiedy Lisa nagle poprosiła mnie, żebym zjechał na parking. Wysiadła z samochodu i zniknęła w mroku. Włączyłem radio i wysłuchałem wiadomości. Zdawało mi się, że wszystko to już kiedyś słyszałem, więc wyłączyłem je w chwili, gdy Lisa wróciła i otworzyła drzwi. Deszcz padał coraz mocniej. Miała mokre włosy.

– Co się dzieje na świecie? – zapytała.

– Wszystko – odrzekłem. – Od nowa. To co już było i zarazem coś zupełnie nowego. Zawsze tak samo, zawsze inaczej.

Jechaliśmy dalej. W pobliżu Norrköping zatrzymaliśmy się w przydrożnej restauracji i zamówiliśmy coś do zjedzenia. Kiedy nam je przyniesiono, Lisa skosztowała swojego dania i od razu odsunęła talerz.

– Powinnam im to zwrócić – powiedziała. – To niejadalne.

– Ja mogę to zrobić – zaproponowałem.

– Nie. Jeśli nie potrafi się tego zrobić samemu, nie należy się wyręczać innymi.

Przysunęła z powrotem talerz i zaczęła wyjadać kawałeczki ryby z zapiekanki. Przy sąsiednim stole wybuchła nagle jakaś awantura. Dwóch młodych mężczyzn zaczęło się bić, ale szybko zostali rozdzieleni przez towarzyszących im ludzi.

Chwilę później ruszyliśmy w dalszą drogę. Zanurzyliśmy się w ciemność. Tuż przed Söderköping musiałem gwałtownie zahamować przed zającem, który wyskoczył przed maskę. Prawie nie rozmawialiśmy, dzieląc ciszę, która dla mnie była dość uciążliwa. Chciałem rozmawiać z Lisą, nieważne o czym.

Dotarliśmy do miasteczka koło dziesiątej. Podjechałem pod blok Lisy. Wciąż padał zimny deszcz. Naciągnąłem kurtkę na głowę i wyjąłem z bagażnika jej walizkę.

– Jak się dostaniesz na wyspę? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem – odparłem.

– Zostań dziś u mnie.

Usłyszałem w jej głosie, że już wcześniej tak zdecydowała. To nie była myśl, która właśnie wpadła jej do głowy. Wyjąłem więc również moją walizkę, zamknąłem samochód i poszedłem za nią.

Tuż przed wejściem, przy stojaku na rowery, nagle się potknąłem, upadłem i zraniłem się w nogę. Kiedy weszliśmy do mieszkania, broczyłem krwią. Wykąpałem się szybko i Lisa opatrzyła mi ranę.

Podróż do Paryża dobiegła końca.

Siedząc na sedesie i patrząc, jak Lisa nakleja mi plaster na ranę, zrozumiałem, że zawarliśmy pewne porozumienie.

Nie wiedziałem jeszcze, na czym ono polegało.

Część IV  
Cesarski bęben



Zaraz po tym, jak Lisa opatrzyła moją ranę, podeszła do drzwi balkonowych i otworzyła je na oścież. Do środka napłynęło zimne nocne powietrze.

Potem przyglądałem się jej, jak zbiera pocztę z podłogi w przedpokoju i wywnioskowałem, że czyta dużo czasopism i nie lubi ulotek reklamowych.

Zapytała, czy chcę coś zjeść. Odparłem, że chętnie, a ona zaproponowała, żebym usiadł na kanapie na czas, kiedy będzie przygotowywała posiłek. Zaoferowałem pomoc, ale odmówiła, kręcąc głową.

Było jasne, że zastanawia się, czy dobrze zrobiła, zapraszając mnie do domu.

Usiadłem i spróbowałem odgadnąć, ile razy w życiu znalazłem się w podobnej sytuacji. Sam na sam z kobietą, ale nie mając pojęcia, co się zaraz wydarzy.

Nagle sobie przypomniałem, kiedy po raz pierwszy spałem z dziewczyną. Było to ponad pięćdziesiąt lat temu. Koledzy opisali mi ją jako łatwą i zawsze chętną. Chyba miała na imię Inger. Ja miałem czternaście lat, a ona pojawiała się na szkolnych potańcówkach. Marny był ze mnie tancerz, więc udział w tych zabawach postrzegałem jako figurę konieczną do tego, by zwabić jakąś dziewczynę do odbycia ze mną innej przygody. Przynajmniej wtedy tak to sobie wyobrażałem. Zobaczyłem ją pośród innych dziewcząt stojących pod ścianą sali, w której odbywała się zabawa, przeciwną do tej, pod którą ustawili się chłopcy, czekający na okazję w niewidzialnych blokach startowych. Wcześniej dodałem sobie odwagi ponczem arakowym Hassego, podprowadzonym z zapasów ojca piekarza i sprzedawanym po wysokiej cenie w szklanych buteleczkach zakupionych w aptece. Nie byłem pijany, ale wystarczająco rozochocony, by odważyć się na skok pod przeciwległą ścianę sali. Dziewczyna o imieniu Inger nie wiedziała

jeszcze o moim istnieniu. Poruszaliśmy się niezdarnie, jak małe i spocone lodołamacze. Wkrótce wylegliśmy na parkiet zbitą, niezgrabną masą. Przepychaliśmy się i poszturchiwaliśmy, nierzadko dochodziło do drobnych rękoczynów. Był to bardziej wieczorek kuksańców niż potańcówka. W dodatku, o ile dobrze pamiętam, prawie wcale się do siebie nie odzywaliśmy.

Przebrnąwszy przez dwa tańce, zaproponowałem Inger, żebyśmy sobie poszli. Zapytała dokąd. Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Chciałem uciec jak najdalej od tej zalatującej potem sali, od podpitych, nabuzowanych nastolatków i zapachu tanich perfum. I wtedy nagle Inger zakomunikowała mi bez zażenowania, że tej nocy jest sama w domu.

Mieszkała na przedmieściu, którego nazwy dziś już nie pamiętam. Może to było Bagarmossen. Pojechaliśmy tam metrem i przez całą drogę się do siebie nie odzywaliśmy. Miała na sobie brązową spódnicę, wysokie trzewiki, zdradzające, że ma duże stopy, białą bluzkę i bordowy płaszcz. Wcale nie wyglądała na dziewczynę, która idzie z każdym do łóżka, chociaż musiałem przyznać, że nie wiem, jak wygląda taka dziewczyna.

Mieszkała w jednym z bloków należących do stowarzyszenia najemców mieszkań, zbudowanych w latach pięćdziesiątych. Mieszkanie miało trzy pokoje. Na regale w salonie stała fotografia jej ojca w stroju konduktora. Usiadłem na kanapie zastawionej poduszkami w ozdobnych poszewkach ze znanymi cytatami, których nie zapamiętałem.

Inger poszła do łazienki. Usłyszałem jak spuszcza wodę w toalecie i zastanowiłem się, co powinienem zrobić. Stałem w obliczu czegoś, co z jednej strony silnie mnie pociągało, z drugiej napawało ogromnym strachem.

Chwilę później Inger wyszła z łazienki, stanęła przede mną i udzieliła mi pomocy, jakiej nigdy bym się nie spodziewał.

– Chcesz się pieprzyć od razu, czy zaczekamy chwilę? – zapytała.

Nie wyjaśniła, po co mielibyśmy czekać.

– Od razu – odparłem, czerwieniejąc.

Kiwnęła głową i poszła do swojego pokoju. Stała w drzwiach i spojrzała na mnie pytająco. Zerwałem się z kanapy i podszedłem,

ale ona pokazała mi ręką drzwi do łazienki.

– Możesz użyć niebieskiego ręcznika – oznajmiła.

Nie zapamiętałem prawie nic z tego, co działo się później. Inger zgasiła światło i weszła do łóżka zasłanego pluszowymi maskotkami. Wróciwszy z łazienki, zrzuciłem ubranie i wszedłem pod kołdrę. Objąłem ją i zacząłem niezdarnie pieścić, chwilami nie mając pewności, czy miętoszę któregoś z pluszaków, czy jej pierś. Potem wszedłem w nią i prawie od razu skończyłem. Inger prychnęła z pogardą, przeklęła na mnie pod nosem i ze złością wyrzuciła z łóżka parę maskotek.

– Nie da się pieprzyć między tymi wszystkimi miškami – powiedziałem, próbując ocalić honor.

Inger parsknęła ponownie, ale nic nie powiedziała.

Zostałem jeszcze godzinę. Wciąż się do siebie nie odzywaliśmy. Potem w końcu się ubrałem i ruszyłem do wyjścia.

– Do zobaczenia – powiedziałem.

– Nie sądzę – odparła. – Raczej się już nie spotkamy.

Teraz, siedząc na kanapie w mieszkaniu Lisy Modin ponad pięćdziesiąt lat później, zacząłem się zastanawiać, co Inger właściwie miała wtedy na myśli. Czy mieliśmy się więcej nie spotkać, bo tego nie chciała? A może uznała, że skoro dostałem to, po co przyszedłem, nie będę się nią już interesował?

Przerwałem rozmyślenia o tym pierwszym nieudanym doświadczeniu seksualnym, kiedy Lisa poprosiła, bym przyszedł do kuchni. Byłem ciekaw, co się stało z Inger, puszczałską dziewczyną w brązowej spódnicy. Czy jeszcze żyje? Czy miała udane życie?

Nigdy więcej jej nie spotkałem.

Usiedliśmy przy stole, piliśmy herbatę i jedliśmy kanapki z pasztetem i sardynkami. Rozmawialiśmy o błahych sprawach. Po jedzeniu Lisa poprosiła mnie, żebym posprzątał i pozmywał, a sama poszła do łazienki. Kiedy skończyłem, na koniec startem okruszki ze stołu, zamknąłem drzwi balkonowe i usiadłem na kanapie. Chwilę później Lisa wyszła z łazienki ubrana w szlafrok i skierowała się prosto do sypialni.

– Na wannie leży kilka czystych ręczników – powiedziała.

Pomyślałem o Inger. Sytuacja, w której się znalazłem była tak różna od tamtej, a jednocześnie tak bardzo do niej podobna.

– Mam wziąć niebieski?

– Wszystkie są białe. Dlaczego niebieski?

Nie odpowiedziałem.

Wykąpawszy się i wysuszywszy włosy, wyszedłem z łazienki i poszedłem do sypialni. Lisa zgasiła światło, zostawiła włączoną tylko lampę podłogową w salonie. Zrzuciłem ręcznik i wszedłem pod kołdrę.

Leżeliśmy w ciemności, nic do siebie nie mówiąc. Odnalazłem jej dłoń, ale była zaciśnięta w pięść. Nie próbowałem jej otwierać.

Kiedy nazajutrz wstawałem o szóstej, Lisa jeszcze spała. Ubrałem się cicho, zabrałem swoje rzeczy i wyszedłem.

Poranek był bardzo zimny. Na ulicy nie widziałem żywego ducha. Jadąc przez opustoszałe osiedle, pomyślałem, że znalazłem się w sztucznej scenerii jakiegoś filmu, który nigdy nie będzie nakręcony. Wyobraziłem sobie, że wszyscy, którzy tu mieszkają, noszą przy sobie klaps filmowy z nadzieją, że pewnego dnia nareszcie będą mogli go użyć.

Jadąc wzdłuż wybrzeża, w pewnej chwili skręciłem i zatrzymałem się nad wodą. Choć było zimno, przespacerowałem się kawałek po drewnianym nabrzeżu, usiłując zrozumieć, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. W końcu jedynym wnioskiem, do jakiego doszedłem, był ten, że nie rozumiem Lisy Modin. Po co przyjechała do Paryża?

Nie znajdowałem odpowiedzi. Wsiadłem do auta i pojechałem do portu. Po drodze minąłem samochód pędzący środkiem drogi, który zmusił mnie do gwałtownego hamowania. Miałem wrażenie, że za kierownicą siedział znany mi mechanik, specjalista od łodzi, znany z pijaństwa. Jansson powiedział mi kiedyś, że mechanik jest alkoholikiem, ale miałem świadomość, że mówi tak o każdym, kogo nie lubi.

Dotarwszy do portu, zajechałem powoli na moje miejsce parkingowe pod domem Oslovskiej. Zaczęło mżyć. Już miałem wyjąć telefon i zadzwonić do Janssona z prośbą, żeby mnie odebrał, ale postanowiłem, że odwiedzę Oslovską i zapytam ją, czy dalej

pracuje nad swoim samochodem. Wiedziałem, że lubi wcześniej wstawać. Prowadząca do domu zwirowa ścieżka była świeżo wygrabiona, a w oknach dostrzegłem zaciągnięte zasłony. Przystanąłem i nasłuchiwałem chwilę, czy z garażu dochodzą jakieś dźwięki, ale usłyszałem tylko świst wiatru wiejącego od morza. Mimo to postanowiłem zajrzeć do garażu. Obszedłem dom i zauważyłem, że drzwi do garażu są do połowy otwarte. Oslovka nigdy by ich tak nie zostawiła, bo była ostrożna i zawsze zamykała drzwi, więc teraz musiała być w środku.

Nordin opowiedział mi kiedyś, jak Oslovka przyszła do jego sklepu i nie mogła znaleźć pieniędzy w kieszeni, więc wyjęła z nich wszystko i położyła na ladzie. Był tam między innymi ogromny pęk kluczy. Największy, jaki Nordin kiedykolwiek widział. Potem dziwił się często, po co ktoś, kto mieszka w takim malutkim domku, potrzebuje tylu kluczy, co strażnik więzienny.

Zapukałem do drzwi i jednocześnie je pchnąłem. W garażu świeciło się światło.

Oslovka leżała na betonowej posadzce, tuż za wywindowanym na podnośniku samochodem. Miała na sobie swój stary niebieski kombinezon z widocznym jeszcze, choć wyblakłym logotypem firmy odzieżowej Algots.

Nie musiałem podchodzić bliżej, żeby mieć pewność, że jest martwa. Leżała na plecach, z jedną nogą podwiniętą pod plecy pod nienaturalnym kątem, jakby próbowała nią zamortyzować upadek. W prawej ręce trzymała klucz francuski, a w miejscu, gdzie uderzyła głową, utworzyła się kałuża krwi. Miała zamknięte oczy. Ukucnąłem przy niej i zbadałem puls. Nie żyła, ale ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć. Również jej skóra nie przybrała jeszcze żółtawego woskowego połysku. Była martwa najwyżej od godziny. Nic nie wskazywało na napaść. Prawdopodobnie miała udar mózgu albo zawał serca i atak okazał się tak mocny, że umarła w jednej chwili. Równie dobrze mogła mieć tętniaka aorty, który nagle pękł i posłał ją na śmierć bez najmniejszego ostrzeżenia.

Usiadłem na taborecie stojącym pod ścianą, na której w równym rzędzie wisiały narzędzia. Poczuję żal z powodu śmierci

Oslovskiej. Nie była moją przyjaciółką, ale świadomość, że jest obecna w moim świecie, dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Najpierw Nordin, teraz Oslovska. Otaczało mnie coraz więcej martwych ludzi. Dziecko rosnące w brzuchu Louise mogło tylko w niewielkim stopniu zrównoważyć proporcje między żywymi a zmarłymi.

Potem nagle zrobiłem coś, czego nie potrafiłem sobie później wytłumaczyć. Podniosłem się ze stołka, wyjąłem pęk kluczy z kieszeni w kombinezonie Oslovskiej i udałem się z nim do jej domu. Od strony portu dobiegał warkot porannego autobusu wspinającego się mozolnie na pagórek. Zaczekałem, aż na nowo zapadnie cisza, a potem otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Nigdy wcześniej tutaj nie byłem. Przy paru okazjach, kiedy rozmawiałem z Oslovską, docierałem tylko do progu ciasnej werandy. Myślałem sobie wówczas, że Oslovska nie wychodzi z domu tylko po to, żeby zamienić ze mną parę słów. Byłem pewien, że występuje w roli strażnika własnego domu i chce się upewnić, że nikt nieupoważniony nie przekroczy granicy progu jej drzwi.

Stałem w ciemnym przedpokoju. Poczulem charakterystyczny gorzkawy zapach, który zawsze towarzyszy samotności. Czy tak samo pachniał mój dom, zanim spłonął?

Zajrzałem do trzech pokoi i włączyłem parę lamp. Na stromych schodach wiodących na poddasze leżały sterty starych gazet i niekończąca się kolekcja plastikowych reklamówek z różnych sklepów spożywczych. Zrozumiałem, że samotność zrobiła z Oslovskiej zbieraczkę. W domu panował straszny nieporządek. Wszędzie były stosy ubrań przypominające kłębowiska szmat, tu i tam wały się buty, czapki, natknąłem się nawet na narty i połamane sanki, a pod ścianami stały stare meble i popsute lampy, na których wisiały sieci rybackie. Bałagan był przytłaczający. Z grubsza ogarnięty był tylko pokój na poddaszu, w którym stało łóżko. Zatrzymałem się w progu sypialni tknięty dziwnym uczuciem, którego nie potrafiłem nazwać. Po chwili zdałem sobie sprawę, że w tym domu, mimo nieopisanego wręcz bałaganu, wszystko było czyste. Na stertach gazet nie było warstewki kurzu, a pościel w łóżku okazała się świeżo wyprana. W zastawionej stertami naczyń

kuchni stała pralka i suszarka do ubrań. W koszu pod zlewozmywakiem leżało kartonowe opakowanie po francuskiej zapiekance rybnej, prawdopodobnie ostatnim posiłku Oslovskiej. Przy stole z ciemnozielonym blatem z laminatu stało samotne czerwone krzesło z plastikową podkładką do siedzenia.

Najwyraźniej Oslovska nigdy nie spodziewała się albo nie życzyła sobie gości na obiedzie.

Jeszcze raz obszedłem cały dom. Nie mogłem się nadziwić, że panuje w nim taki bałagan i zarazem pedantyczna czystość.

Nagle gwałtownie się zatrzymałem. Miałem wrażenie, że zobaczyłem coś, co powinno zwrócić moją uwagę. W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, co to było, ale przecucie mi podpowiadało, że ma to coś wspólnego z sypialnią Oslovskiej. Ponownie wszedłem schodami na górę i gdy tylko wszedłem do pokoju z zasłanym łóżkiem, zrozumiałem, co zwróciło moją uwagę.

Pościel ozdobił poprzeczny pasek niebieskich gwiazdek. Niedawno widziałem identyczną, w opuszczonym domu w Hörum. Nie miałem żadnych wątpliwości. Pościel na tamtym łóżku była tą samą, którą miałem teraz przed oczami w domu Oslovskiej.

Była lisicą, pomyślałem sobie. Miała ukrytą norę z drugim wyjściem. Pierwsza znajdowała się tutaj, a druga w walącym się, opuszczonym domu w Hörum. Może chowała się tam, kiedy dopadał ją strach przed czymś, o czym nie wiedziałem?

Oslovska żyła tutaj przez wiele lat, ale na zawsze pozostała kimś obcym. Czy kiedykolwiek chciała się zbliżyć do nas, jej sąsiadów? Być może jej strach, cokolwiek go powodowało, był tak wielki, że wolała żyć w samotności, w bezpiecznej norze z kilkoma wyjściami?

Umierając, zabrała ze sobą wszystko, pomyślałem. Zostało po niej tylko posłane łóżko w ponurym domu i do połowy wyremontowany DeSoto Fireflite. Już nigdy nie uda mi się rozwiązać zagadki jej strachu i jej samotności. Byłem pewien, że to ona spała w łóżku w opuszczonym domu, ale nie miałem się już dowiedzieć, dlaczego tam bywała.

Odeszła w milczeniu, a ślady po niej szybko się zatarły i stały się niedostępne.

Zrobiło mi się niedobrze od zatechłego powietrza i musiałem wyjść. Z werandy zadzwoniłem do Janssona.

– To ja.

Jansson zawsze rozpoznawał mój głos.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Wszystko u mnie w porządku. Dziękuję, że pytasz. Jestem w porcie. Oslovska nie żyje.

Minęła chwila, zanim Jansson odpowiedział. Poznałem po jego głosie, że jest bardzo poruszony.

– Ona też? – spytał.

– Jak to „też”? Kto jeszcze umarł?

– Miałem na myśli Nordina.

– Tak. Nie żyje. Znalazłem ją w garażu. Albo miała silny udar, albo pękł jej tętniak aorty. A przynajmniej tak mi się wydaje na pierwszy rzut oka.

W słuchawce zapadło milczenie, ale po chwili zdało mi się, że Jansson jest bliski płaczu.

– Była taka samotna – jęknął.

– Wszyscy jesteśmy. Każdy umiera w samotności. Kiedy człowiek się rodzi, mimo wszystko ma jakieś towarzystwo.

– Co ty do diabła wygadujesz?

Ckliwy ton Janssona przeszedł nagle w gniew.

– Mówię, jak jest. Kiedy się rodzisz, jest z tobą matka, chociaż czasem oszalała z bólu.

Jansson znów zamilkł, ale tym razem nie zaczekałem, aż się odezwie.

– Chcę, żebyś po mnie przyjechał – powiedziałem. – Za jakieś dwie godziny. Najpierw muszę się zająć Oslovską.

– Co robiłeś w jej garażu?

– Zaglądałem do niej od czasu do czasu. Nigdy nie wpuszczała nikogo do domu, tylko właśnie do garażu, gdzie remontowała ten swój stary samochód.

– To jest Cadillac?

– Nie, to DeSoto.

– I naprawdę tak po prostu umarła?



– Pomówimy o tym później. Za dwie godziny. Teraz muszę zadzwonić na policję.

Jansson niechętnie zakończył rozmowę. Wróciłem do garażu i schowałem pęk kluczy z powrotem do kieszeni w kombinezonie Oslovskiej. Potem dla pewności jeszcze raz zmierzyłem jej puls.

Pozostawała nieżywa.

Zadzwoiłem na numer alarmowy, przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem lekarzem i że znalazłem martwą kobietę w jej garażu, a na koniec wyjaśniłem, gdzie się znajduję. Na pytanie, czy doszło do przestępstwa, odpowiedziałem, że moim zdaniem nie.

Niezwyčajnie życie Oslovskiej zakończyło się całkowicie zwyczajną śmiercią.

Potem wyszedłem na drogę, żeby tam poczekać na ambulans, ale szybko zmarłem i usiadłem w samochodzie. W myślach gładziłem opuszkami palców ramiona Lisy Modin.

Minęło czterdzieści pięć minut, nim nadjechały karetka i radiowóz. Ujrawszy ich zjeżdżających z pagórka, wyszedłem na drogę i wskazałem im właściwe miejsce. Z radiowozu wysiedli policjant i policjantka. Nie znałem ich, ale kobieta była podobna do mojej córki. Miała to samo zdecydowane spojrzenie, chociaż dla kogoś, kto nie zna nikogo o podobnym usposobieniu, z pozoru mogło się wydawać nieśmiałe.

Kiedy dołączyli do nas ratownicy z karetki, dwaj postawni mężczyźni w średnim wieku, poprowadziłem wszystkich do garażu i opowiedziałem im, że miałem zgodę Oslovskiej na parkowanie pod jej domem. Zatrzymałem się przed drzwiami.

– Leży tam w środku – powiedziałem. – Na pewno jest martwa. Jestem lekarzem.

Weszli do garażu. Ja wolałem poczekać na zewnątrz. Myśl o tym, że Oslovska nie żyje, wprawiała mnie w coraz gorszy nastrój. Nigdy jej dobrze nie znałem, ale żyliśmy obok siebie. Była jedną z osób, z którymi dzieliłem życie. A teraz tak po prostu odeszła. I razem z nią zniknął kawałek mojego świata.

Ratownicy wyszli po krótkiej chwili.

– Nie możemy przewozić zwłok w karetce – powiedział jeden z nich.

– Zadzwoniliśmy po karawan – dodał drugi. – Wygląda to na udar mózgu.

Wszedłem do środka. Policjantka i jej kolega stali nad zwłokami Oslovskiej i uważnie im się przyglądali.

– Ma ranę na głowie – powiedziała funkcjonariuszka.

– Musiała się zranić podczas upadku – odezwałem się. – Potężny udar powoduje, że człowiek pada na ziemię jak zestrzelony ptak.

– Rozejrzymy się po jej domu – oznajmił policjant.

– Powinna mieć klucze w kieszeni – dodałem.

Poszedłem za nimi na werandę i tam zaczekałem. Pokręcili się tam chwilę, a potem wyszli ze znalezionym dowodem osobistym Oslovskiej.

– Nie wiem, jak można żyć w takim syfie – skomentowała kobieta. Nie odpowiedziałem.

Potem podałem funkcjonariuszom moje dane, zamknąłem samochód i poszedłem do portu. Na miejsce miał przyjechać patolog. W oczekiwaniu na Janssona kupiłem jedzenie i trochę gazet. Weronika otworzyła już swoją kafejkę, więc zaszedłem do niej na śniadanie.

Kiedy wyszła z zaplecza, uświadomiłem sobie, że nie wie o śmierci Oslovskiej. Nie widziała karetki ani radiowozu.

– Wcześniej pan przyszedł – powiedziała z uśmiechem. – Podać kawę? Ciastek nie polecam.

– Usiądźmy na chwilę przy stoliku – zaproponowałem, pokazując ten ustawiony pod samym oknem.

Weronika spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Rut nie żyje – powiedziałem. – Rut Oslovska. Znalazłem ją w garażu, przy starym aucie, które remontowała. Właśnie jest tam policja i zaraz przyjedzie karawan.

Weronika wzdrygnęła się tak, jak reaguje człowiek usłyszawszy coś niewyobrażalnie strasznego. Od razu zaszkliły się jej oczy. Wiedziałem, że była jedną z nielicznych osób, z którymi Oslovska rozmawiała. Być może tylko o pogodzie, ale mimo wszystko.

– Co się stało? – zapytała.

– Leżała na podłodze z kluczem francuskim w ręce. Ocenilem na oko, że miała udar albo pękł jej tętniak aorty. W każdym razie nie

została zamordowana.

Siedzieliśmy tak jeszcze chwilę i trochę rozmawialiśmy. Do żadnego z nas jeszcze tak naprawdę nie dotarło to, co się stało. Weronika przyniosła mi kawę i parę rozmrożonych kanapek z poprzedniego dnia.

– Była bardzo samotna – odezwała się.

– Ostatnio miałem wrażenie, że jest wystraszona – dodałem.

Weronika zmarszczyła czoło.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „ostatnio”?

– Sam nie wiem, ale wydawało mi się, że się zmieniała.

– Była wystraszona przez cały czas, odkąd ją poznałam.

– Wiesz, czego się bała? Powiedziała ci?

– Nie.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Nie wiem. Myślę, że człowiek może się bać i samemu do końca nie wiedzieć, czego się boi.

– Wiesz, skąd ona pochodziła?

– Nie. O pewnych sprawach nigdy nie rozmawiała.

– Ja wiem o niej tylko tyle, że naprawiała pomosty i w wolnym czasie remontowała stary samochód. Kim ona właściwie była?

– Nie wiem.

Wkrótce miał się zjawić Jansson. Chciałem przed wyjściem zmienić temat, żeby Weronika trochę się rozchmurzyła.

– Jak się układa tej dziewczynie, która wygrała dwadzieścia pięć tysięcy koron miesięcznie przez dwadzieścia pięć lat?

– To głupia cipa – odparła Weronika z namysłem. – Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda. Przechwalała się wszędzie i rozgłasza, że będzie spędzała zimy w Tajlandii.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Weronika używała takich słów. Zawsze miałem ją za cichą i nieśmiałą dziewczynę z kawiarni. Teraz nagle pokazała nowe oblicze. Poczułem się zażenowany.

Na widok zbliżającej się łodzi Janssona wstałem od stolika i ruszyłem do wyjścia. Weronika stała za ladą, zatopiona w myślach.

– Będzie nam jej brakowało – powiedziałem.

Kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała.

Jansson czekał na mnie na nabrzeżu.

– Czy ona naprawdę nie żyje? – zapytał, kiedy tylko podszedłem.  
– Naprawdę mnie nie znasz, jeśli sądzisz, że wymyśliłbym coś takiego.

Skrzywił się na moją odpowiedź.

– Za dużo ludzi umiera – powiedział. – Jakby panowała jakaś epidemia.

– To czysty przypadek. Śmierć depcze nam po piętach przez cały czas, ale nikt z nas nie wie, kiedy przypuści atak.

Wniosłem na pokład walizkę i siatki z zakupami. Nie chciałem niepotrzebnie przeciągać tej rozmowy. Pragnąłem jak najszybciej wrócić do mojej przyczepy. Jansson najwyraźniej to zrozumiał, bo szybko odwiązał cumę i z wysiłkiem wgramolił się do łodzi. Przyszło mi do głowy, że właśnie po tym, jak człowiek wchodzi na pokład, najbardziej widać, że robi się coraz starszy i bardziej niedołążny. Teraz przyglądałem się, jak Jansson niemal ze złością na swoje obolałe członki ustawia się przy sterze, wrzuca wsteczny bieg i wypływa z portu. Usiadłem na dziobie i otuliłem się szczelnie kurtką, bo wiał zimny wiatr.

Płynęliśmy na moją wyspę w milczeniu. Kiedy się do niej zbliżyliśmy, po raz kolejny odkryłem ze zdziwieniem, że między ogołocionymi z liści koronami drzew nie ma domu. Wciąż jeszcze nie przyzwyczaiałem się do tych czarnych zgliszczy.

Jansson podpłynął powoli do mojego pomostu i przybił do niego, niemal go nie dotykając. Zdziwiłem się, że ten stary listonosz wciąż jeszcze posiada tę rzadką umiejętność. Postawiłem na deskach mój bagaż i już miałem mu wręczyć banknot stukoronowy, kiedy on nagle zdjął czapkę. Był to znak, że chce coś powiedzieć.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Czy to nie może zaczekać? Mam za sobą długą podróż i jestem zmęczony.

– Mam kłucia w sercu – powiedział. – Boję się.

Zwykle kiedy Jansson przychodził do mnie i skarżył się na jakieś dolegliwości, wiedziałem od samego początku, że sobie to wmówił. Jednak tego poranka zrozumiałem, że tym razem jest inaczej. Wskazałem skinieniem głowy na ławkę i wyszedłem na pomost. Jansson podążył za mną. Kiedy przyniosłem z szopy stetoskop, Jansson już zdejmował swoją grubą kapotę.

– Zdejmij też sweter i koszulę – powiedziałem.

Zrobił to, o co poprosiłem, i po chwili siedział na ławce z nagim torsem. Zimno sprawiło, że dostał gęsiej skórki. Osłuchałem jego serce i płuca. Kazałem mu głęboko oddychać. Płuca brzmiały tak, jak powinny, ale z sercem rzeczywiście coś było nie tak. W ciągu ostatnich lat osłuchiwałem mu serce przynajmniej sto razy i nigdy nie brzmiało ono tak jak teraz. Biło nierytmicznie.

Zabrałem stetoskop i zajrzałem w jego wystraszone oczy. Wydawało mi się, że w jednej chwili bardzo się postarzał.

– Musisz pojechać do przychodni i zrobić ekg – powiedziałem.

– Czy to coś poważnego?

– Niekoniecznie. Być może to nic, ale w naszym wieku powinniśmy raz po raz robić sobie to badanie.

– Czy ja od tego umrę?

– Jeśli nie zrobisz badań, może tak być. Teraz się ubierz i płyń prosto do domu, a rano wsiądź w autobus i jedź do przychodni. Tam zajmą się tobą, jak trzeba.

Ubierał się w milczeniu, a ja odniosłem stetoskop na miejsce. Kiedy wróciłem na pomost, wciąż siedział na ławce, pochylony wprzód. Miał splecione dłonie, jakby nagle poczuł potrzebę, żeby się pomodlić. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, spojrzał w moją stronę.

– Dlaczego nie mówisz mi prawdy? – zapytał z wyrzutem.

– Mówię ci prawdę – odparłem. – Musisz iść się przebadać, ale nie ma powodu, żebyś się zamartwiał. Serce bije ci trochę nierówno, ale to na pewno da się jakoś wytłumaczyć. No i naprawić odpowiednimi lekami.

– Czytałem artykuł o sercu – mówił dalej. – Pisali tam, że zaczyna bić na długo przed tym, jak człowiek się rodzi. Pewnie niektórzy sobie myślą, że włącza się dopiero wtedy, kiedy odcina się pępowinę.

– Dwudziestego ósmego dnia od poczęcia – powiedziałem. – Dokładnie wtedy zaczyna pracować ten niezwykły mięsień. A po jakimś czasie po prostu się zatrzymuje, obniżając do zera puls i ciśnienie krwi. Jak by na to nie patrzeć, śmierć jest dotarciem do mety, chociaż dobiegając do niej, nie zrywa się taśmy. Gdyby serce

miało skrzydła, zdążyłoby nas zanieść na księżyc, kilka razy tam i z powrotem, zanim by uznało, że pora odpocząć.

Jansson pokiwał głową. Zrozumiałem, że sporo wie o narodzinach i śmierci tego najwspanialszego z mięśni.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę, nie odzywając się do siebie. Pomyślałem o nas i o tym miejscu. Dwaj starzy mężczyźni na ławce do omawiania błahych i poważnych prawd. Jansson miał sześćdziesiąt dziewięć lat, ja siedemdziesiąt. Razem mieliśmy więc sto trzydzieści dziewięć lat. Spoglądając tak daleko wstecz, docierałem do 1875 roku. Wówczas chirurdzy operowali w sztywnych kołnierzykach, czasem nawet we frakach.

– Dzisiaj nie możemy się nauczyć umierania – odezwał się nagle, przerywając ciszę.

– Co masz na myśli?

– Kiedyś śmierć była stale obecna w naszym życiu. Teraz została zepchnięta na margines. Miałem sześć lat, kiedy umarła moja babka. Pamiętam, że położyli ją na zdjętych drzwiach w salonie w naszym domu i nikt nie zachowywał się tak, jakby ta śmierć oznaczała coś niezwykłego. Śmierć była naturalną częścią życia. Nie to, co teraz. Przestaliśmy się uczyć umierania.

Rozumiałem go. Czułem też, że Jansson naprawdę się boi. Mimo to byłem trochę zaskoczony jego reakcją. Miałem wrażenie, że stary Jansson zaczął nagle zmieniać skórę.

– Jak można się nauczyć umierania? – zapytał jęklwym tonem.

Milczałem, bo nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć. Żaden z nieżyjących już, znanych mi kiedyś ludzi nie objawił się nagle i nie udzielił mi rady, jak mam postąpić w obliczu śmierci, która prędzej czy później zapuka również do moich drzwi.

Nie tylko umieramy w samotności, pomyślałem. Umieramy też w zupełnie niezrozumiały sposób, chociaż po naszej śmierci lekarz jest w stanie podać jej przyczynę.

Siedząc tak obok Janssona, nagle przypomniałem sobie pewną czarno-białą fotografię, najstraszniejszą ze wszystkich, które widziałem.

Zrobiono ją w na początku lat pięćdziesiątych. Pewnego dnia sztokholmski kominiarz postanowił popełnić samobójstwo. Wszedł

na blaszany dach, owinał jeden koniec stalowej liny wokół swojej szyi, drugi wokół kwadratowego komina i stanął na kalenicy. Stał tam dłuższy czas, bo zdążono go zauważyć. Jacyś mężczyźni wspięli się po drabinach i próbowali go odwieść od samobójstwa. Na innej drabinie, niewidocznej dla mnie, stał fotograf. Kominiarz był po sześćdziesiątce. Mężczyznom nie udało się go przekonać i samobójca nagle rzucił się z dachu. Migawka aparatu otworzyła się w ułamku sekundy poprzedzającym naprężenie się liny. Zaraz po tym lina przerwała mężczyźnie rdzeń kręgowy i wcięła się głęboko w skórę i ścięgna. Na zdjęciu kominiarz na zawsze zawisł w próżni. Na jego twarzy odmalowywało się coś, czego nie byłem w stanie zdefiniować – determinacja, ale zarazem zwątpienie. Spędziłem nad tym zdjęciem wiele godzin, lecz kwestia ta pozostała dla mnie nierozstrzygnięta.

Czy mogłem stwierdzić, że ten kominiarz nauczył mnie umierania? Czy to zdjęcie uchyliło rąbka tajemnicy kryjącej się w ostatniej sekundzie przed śmiercią? Co takiego było w tym zdjęciu, że od tylu lat napawało mnie ono strachem, ale jednocześnie kusiło, by na nie patrzeć?

Na koniec zostaje człowiekowi tylko to, pomyślałem. Siedzenie na ławce z drugim starcem, który nie potrafi już wskoczyć do łodzi, nie sycząc z bólu z powodu kolana albo nie tracąc równowagi. Tak oto siedzimy tu obaj i narzekamy, bo nie mamy pojęcia, jak się zachować w obliczu śmierci.

Zezłościło mnie to. Wcale nie chciałem tu siedzieć w towarzystwie Janssona i utyskiwać na przekleństwa starości. Trąciłem go łokciem.

– Chcesz kawy? – spytałem.

– Myślałem właśnie o Oslovskiej – mruknął z niechęcią. – A tym dźgasz mnie łokciem, jakbyś mnie nienawidził.

– Nie nienawidzę cię. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo mnie bijesz.

– Nie uderzyłem cię przecież, do jasnej cholery! – zezłościłem się. – Tylko cię leciutko trąciłem.

– Dobrze wiem, że chodzisz i w kółko się zastanawiasz, jak się mnie pozbyć. Nauczyłem się przez lata czytać cudze listy przez

kopertę i tak samo potrafię przeczytać to, co się dzieje w twojej głowie.

Poderwał się z ławki, odwiązał cumę, a potem zrobił to, czego nie potrafił. Wskoczył do łodzi. Oczywiście natychmiast stracił równowagę, runął jak długi i uderzył głową o reling. Z rozciętej skóry na czole popłynęła krew. Na ten widok stanęła mi przed oczami Oslovska, leżąca na betonowej podłodze obok starego auta.

Jansson, jeszcze bardziej wściekły, wrzucił wsteczny bieg i odbił tyłem od pomostu. Z małej rany nad brwią kapała mu krew. Przyszło mi na myśl, że może powoli dopadała go już demencja.

Nie czekałem nawet, aż zniknie za cyplem. Zabrałem bagaż i siatki i poszedłem do przyczepy. Kiedy otworzyłem drzwi, ze środka szybko czmychnęła mysz. Pomyślałem, że to kolejna nierozwiązywalna zagadka. Jak myszy dostają się do szczelnie zamkniętych pomieszczeń?

Ledwie zdążyłem sobie zrobić kawę i usiąść na krześle, kiedy zadzwonił telefon. To była Lisa Modin. Od razu zapytała mnie o Oslovską. Wyobraziłem sobie, że Lisa siedzi przy biurku z otwartym notesem.

- Skąd wiesz, że nie żyje? – zapytałem.
- Każdy dziennikarz ma swoich informatorów.
- W policji?
- Czasem.
- W pogotowiu?
- Raczej rzadko.
- W zakładzie pogrzebowym?
- Czasem.
- Nie chcesz mi powiedzieć, bo nie wolno ci zdradzać swoich źródeł?
- Tak.
- To ja ją znalazłem.
- Nie wiedziałam.

Opowiedziałem jej, jak zajrzałem do garażu i znalazłem Oslovską leżącą na ziemi z kluczem francuskim w dłoni. Poczułem, że dopiero teraz, kiedy zdawałem jej tę relację, dotarło do mnie, co się tak



naprawdę stało. Śmierć, która dotyka innych, jest tak samo zaskakująca i niepojęta jak ta, która pewnego dnia spotka mnie.

– Czy w jej śmierci jest coś podejrzanego?

– Niby co?

– Nie wiem. Dlatego pytam ciebie.

– Myślę, że sekcja zwłok wykaże naturalną przyczynę. Udar mózgu albo pęknięcie tętniaka aorty. Ale być może to było coś innego.

– Na przykład co?

– Nie wiem. To się okaże.

– Czy jej szklane oko było na swoim miejscu?

Zdziwiło mnie to pytanie. Kto powiedział Lisie, że Oslovská miała szklane oko? Czyżbym ja to zrobił?

– Opowiedziałeś mi o niej, kiedy byliśmy na wycieczce na wyspie – wyjaśniła Lisa, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego nie zdążyłem jej zadać.

Coś mi zamajaczyło w pamięci.

– Oko było na swoim miejscu – odparłem po chwili.

W słuchawce zapadła cisza. Domyślałem się, że Lisa robi jakieś notatki.

– Co teraz robisz? – zapytała.

– Piję kawę.

Zaraz po tym nasza rozmowa dobiegła końca, choć wcale nie chciałem jej przerywać.

Po paru minutach telefon zadzwonił ponownie. Miałem nadzieję, że to Lisa, ale był to kościelny z parafii. Przedstawił się jako Lars Tyrén. Dowiedziałem się, po co dzwoni, dopiero po chwili, kiedy zapytał, czy dołączę do grupy mężczyzn niosących trumnę na pogrzebie Nordina. Pogrzeb miał się odbyć w piątek o jedenastej. Obiecałem stawić się na miejscu o wskazanej porze.

– Czy on nie miał być poddany kremacji? – zapytałem, lekko zaskoczony.

– Nie, będzie pochowany w rodzinnym grobowcu.

Dopijałem kawę, rozmyślając o tym, że muszę kupić czarny garnitur.

Przez kolejne dni Lisa się nie odzywała. Ja też do niej nie dzwoniłem. Za to codziennie rozmawiałem z Louise. Od mojej wizyty w Paryżu coś się między nami zmieniło i prawie w każdej rozmowie wspominaliśmy Harriet. Zauważyłem też, że Louise naciska na mnie, żebym zajął się sprawą odszkodowania i zaczął odbudowywać dom.

W przeddzień pogrzebu pojechałem do miasta i zaszedłem do najelegantszego sklepu z garniturami. Chwilę później stałem się właścicielem garnituru od Armaniego. W dodatku, ponieważ nie zapytałem, czy na pogrzebie będzie obowiązywał czarny krawat czy biały, kupiłem oba. Na koniec dobrałem koszulę, ale zanim ją kupiłem, upewniłem się, że nie uszyto jej w Chinach. Pochodziła ze szwalni w Turynie.

Garnitur kosztował sześć tysięcy koron. Czułem dziwną satysfakcję na myśl, że pozwoliłem sobie na taką rozrzutność.

W piątek od rana wiał wicher z północnego wschodu. Jesień tego roku okazała się wyjątkowo wietrzna. Silne podmuchy chygotały mocno łodzią Janssona, kiedy płynęliśmy razem do portu. Jansson miał na sobie czarny garnitur i czarny krawat.

Dom Oslovskiej był zamknięty na cztery spusty. Jansson rozglądał się z ciekawością, więc zaprowadziłem go do garażu, żeby pokazać mu, gdzie ją znalazłem. Tam też było zamknięte.

Wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy do kościoła. Potem, zanim wysiadłem z samochodu, przekrzywiłem lusterko wsteczne i założyłem czarny krawat.

Nordin leżał w trumnie z jasnego drewna. Wieko przyozdobiono bukietem róż. Ksiądz mówił o nim jako o najusłużniejszym z parafian. Słowa te brzmiały tak sztucznie, że zrobiło mi się od nich niedobrze. Nordin był dobrym człowiekiem, ale wszyscy wiedzieli, że często odmawiał sprzedaży na zysyt co uboższym mieszkańcom. Wielu ludzi miało go za skąpego drania.

Po mszy, uderzani silnymi podmuchami wiatru, zanieśliśmy trumnę w zachodni kraniec cmentarza za kościołem, gdzie

znajdował się grób rodzinny Nordinów. Najstarsza inskrypcja informowała, że 12 marca 1872 roku zmarł Hjalmar Nordin.

Kiedy spuszczaaliśmy trumnę do ziemi, uniosłem wzrok i zerknąłem na Janssona. Miał taką minę, jakby uczestniczył w swoim pogrzebie.

Chwilę później ceremonia dobiegła końca i wszyscy poszliśmy do domu parafialnego na kawę. Chciałem jak najszybciej uciec od tego grobowca, bo nadmiar śmierci obudził we mnie nagły lęk.

Nadszedł zupełnie niespodziewanie.

Odszedłem szybkim krokiem w stronę czekającego na żałobników poczęstunku.

Musiałem zaszyć się w norze.

Pierwszy śnieg tej jesieni spadł na archipelagu nocą z pierwszego na drugiego listopada. Kiedy się zbudziłem i wyszedłem nago na dwór, żeby zanurzyć się w lodowatej wodzie, ziemia zniknęła pod warstewką białego puchu. Było bezwietrznie. Przyroda wstrzymała oddech, jesień powoli przechodziła w zimę. Idąc w stronę pomostu, zostawiałem ciemne ślady w cienkiej śnieżnej pokrywie. Zszedłem do wody po drabince przy pomoście. Nabrałem powietrza do płuc, zanurzyłem głowę i policzyłem do dziesięciu. Zimno paliło mnie w skórę. Kiedy po chwili wyszedłem, zęby szczękały mi tak głośno, że sam mogłem to słyszeć. Mimo to nie zamierzałem rezygnować z tych kąpeli, nieważne jak by było zimno i jak gruby miałbym skuwać lód.

Pobiegłem z powrotem do przyczepy i przygotowałem śniadanie. Tego dnia zdecydowałem się włożyć niebieską chińską koszulę, która już zaczynała się strzępić na kołnierzyku. Ubierając się, spojrzałem na odbicie mojej twarzy w małym lusterku. Była blada, coraz bardziej zapadnięta. Czoło robiło mi się coraz wyższe, włosy coraz rzadsze. W lewym kąciku ust miałem ranę, która nie chciała się zagoić. Podejrzywałem, że to rosnąca do wnętrza brodawka. A kiedy zajrzałem sobie w oczy, tylko częściowo rozpoznałem w nich samego siebie.

Czułem się tak, jakbym brał udział w pojedynku. Mężczyzna w lusterku kontra mężczyzna stojący w przyczepie.

Czas biegł nieubłaganie i bynajmniej nie zamierzał przestać. Minęło już parę tygodni od wycieczki do Paryża, śmierci Oslovskiej i pogrzebu Nordina. Weronika, zawsze dobrze zorientowana w bieżących sprawach miasteczka, opowiedziała mi, że sekcja zwłok Oslovskiej potwierdziła moje przypuszczenia. Dostała potężnego udaru mózgu, który zabił ją w ciągu paru sekund. Sekcja wykazała również, że Rut cierpiała na rozprzestrzenionego już mocno po całym organizmie raka nadnercza.

Nie udało się odnaleźć żadnych krewnych Oslovskiej. Poszedłem na jej pogrzeb. Poddano ją kremacji, bo ponoć takie było jej życzenie. Na nabożeństwo żałobne przyszło niewiele osób. Nie mogłem pojąć, dlaczego Jansson się nie zjawił. Zezłościło mnie to. Spodziewałem się, że przyjdzie, choćby z samej ciekawości.

Co jakiś czas rozmawiałem przez telefon z Lisą Modin. Za każdym razem, kiedy musiała przerwać rozmowę, ja wcale nie miałem na to ochoty. Następnego dnia często oddzwaniała. Zacząłem pojmować, że ona też potrzebuje kogoś do rozmowy, podobnie jak ja.

Jansson posłuchał mojej rady i poszedł się zbadać. Zgodnie z moimi przewidywaniami, elektrokardiografia wykazała zaburzenia czynności układu bodźco-przewodzącego serca. Dobrano mu odpowiednie leki i wkrótce objawy ustąpiły. Mimo to było po nim widać obawę, że mogą w każdej chwili powrócić. Musiałem go osłuchiwać za każdym razem, kiedy przybijał do mojego pomostu, a kiedy go zapewniałem, że serce bije tak, jak powinno, patrzył na mnie z powątpiewaniem.

Często powtarzał, że mieszkańcy archipelagu żyją w strachu przed następnym pożarem. Policja niczego nie ustaliła.

Jansson był zdania, że podpalaczem jest ktoś obcy, zapewne jakiś wyrzutek. Użył właśnie tego słowa. „Wyrzutek”. Mawiał, że to na pewno ktoś, kto włóczy się po okolicy, podpała coś co jakiś czas, a potem znika.

Tak płynął czas. Nocami nie płonęły kolejne domy. Dzięki częstym rozmowom Louise i ja stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Jednego dnia przyjąłem wizytę przedstawicieli firmy ubezpieczeniowej. Kolbjörn Eriksson i jego syn zapewnili mnie, że podejmą się odbudowy mojego domu. W najlepszym razie budowa miała rozpocząć się wiosną i potrwać do końca lata.

W dniu, w którym spadł pierwszy śnieg, pojechałem do miasteczka po zakupy. Jak zwykle poszedłem po samochód pod dom Oslovskiej, zamknięty teraz na cztery spusty. Nikt nie wiedział, co się z nim stanie. Nie miała krewnych, nie znaleziono również testamentu.

Otworzyłem samochód i już miałem do niego wsiąść, kiedy wpadł mi do głowy pomysł, by zajrzeć do garażu.

Drzwi do niego były wyłamane. Ktoś wdarł się do środka z tak dużą siłą, że wyrwał spomiędzy drewnianych listew cały mechanizm zamka.

Stary samochód Oslovskiej zniknął bez śladu. Musiała tu podjechać duża ciężarówka albo laweta i wciągnąć DeSoto przy pomocy dźwigu. Wszystkie narzędzia wisiały równo na swoich miejscach. Zniknął tylko samochód.

Nie wahałem się ani chwili. Zadzwoiłem na policję i zgłosiłem kradzież. Ponieważ to nie był nagły wypadek, dyżurny poinformował mnie, że radiowóz przyjedzie dopiero za dwie godziny. Podałem adres, ale zaznaczyłem, że nie mogę poczekać.

Fakt, że ktoś włamał się do garażu Oslovskiej i ukradł jej samochód, wprawił mnie w oburzenie. Poczułem się tym osobiście dotknięty. Oslovska już nie żyła, ale kradzież zabytkowego auta, przy którym spędzała każdą wolną chwilę i wkładała mnóstwo energii w przywrócenie mu dawnej świetności, była mimo wszystko aktem przemocy.

Dotarwszy do miasteczka, poszedłem do sklepu odzieżowego i kupiłem kalesony, rękawice jednopalczaste, wełnianą czapkę, szalik i grubą zimową kurtkę. Sprawdziłem starannie, czy nic z tych rzeczy nie wyprodukowano w Chinach. O dziwo, czapka pochodziła z Indonezji. Potem poszedłem do restauracji z kręgielnią i zjadłem obiad. Od powrotu z Paryża nie tknąłem alkoholu. Nie brakowało mi go.

Zanim wróciłem do portu, zaszedłem jeszcze do starego sklepiku ze sprzętem rtv. Jego właścicielem był starszy, garbaty mężczyzna nazwiskiem Johannes Rudin. Sklepik był tu, kiedy jeszcze jako chłopak przyjechałem do niego z dziadkiem po nowe radio. Zdaniem Janssona Johannes Rudin skończył 85 lat i bynajmniej nie zamierzał przejść na emeryturę.

Postanowiłem kupić sobie telewizor do przyczepy. Nie wystarczało mi słuchanie starego radia tranzystorowego. Miałem ochotę czasem coś obejrzeć.

Johannes wysłuchał mnie z dłonią przystawioną do ucha, żeby lepiej słyszeć. Zaraz po tym pokazał mi najmniejszy płaski telewizor, jaki miał w asortymencie.

– Musisz mieć antenę – powiedział. – Możesz ją zamontować na dachu samemu, jeśli masz podstawowe narzędzia.

Zapłaciłem i zaniósłem telewizor z anteną do samochodu. Kiedy zapakowałem wszystko do bagażnika i wyprostowałem plecy, mój wzrok padł na afisz wywieszony na tablicy ogłoszeń. Restauracja z kręgielnią informowała, że już najwyższy czas, by rezerwować stoliki na Boże Narodzenie i sylwestra.

Zainspirowało mnie to i w jednej chwili postanowiłem, że urządzę własne przyjęcie noworoczne. Na mojej wyspie, w przyczepie. Zaproszę Janssona i Lisę Modin. Będzie nas troje. Będzie nam ciasno i duszno, ale wizja spędzenia sylwestra w przyczepie wydała mi się atrakcyjna. I co najważniejsze, w niczym nie będzie przypominała zabawy w takim miejscu jak restauracja z kręgielnią.

O przygotowanie jedzenia poproszę Weronikę z kawiarni, a o wino i inne napitki zadbam sam.

Pojechałem z powrotem do portu. Czułem, że mam przed sobą wyzwanie. Przede wszystkim jednak miałem słuszny powód, by pożegnać ten nieudany rok. Rok, w którym spłonął mój dom. Jednocześnie będę mógł uczcić fakt, że ja i moja córka wreszcie się do siebie zbliżyliśmy. I jeśli wszystko dobrze się ułoży, nowy rok przyniesie narodziny dziecka. Oczywiście mile widziani będą również Louise, Ahmed i Muhammad, jeśli tylko starczy im sił i ochoty, by przyjechać z Francji na moją wyspę. Wówczas tłok w przyczepie byłby niewyobrażalny, ale jakoś dalibyśmy radę.

Kiedy zadzwoniłem do Lisy, żeby ją zaprosić, ku memu zdziwieniu od razu się zgodziła. Powiedziała nawet, że nie może się doczekać tego przyjęcia. Na moje pytanie, jak spędza Boże Narodzenie, odpowiedziała, że wyjeżdża na Krete. Poczułem zazdrość, ale oczywiście nic nie powiedziałem.

Jansson obiecał dostarczyć sztuczne ognie.

Weronika przygotowała propozycję skromnego menu, szybko uzgodniliśmy cenę i omówiliśmy kwestie organizacyjne.

Raz po raz padał śnieg, który topniał wkrótce po zetknięciu z ziemią. Strach wciąż wisiał jak mgła nad archipelagiem i jego nielicznymi mieszkańcami, chociaż nie spłonął następny dom. Wyglądało na to, że policja nie natrafiła na żaden trop i śledztwo

utknęło w martwym punkcie. O wszystkich tych sprawach na bieżąco informował mnie Jansson.

Często zastanawiałem się, kto podpalił mój dom. I dlaczego. Miałem wrażenie, że w związku z moją osobą działo się coś, co powinienem był zauważyć, ale tego nie zrobiłem. Nie pojmowałem, dlaczego mnie to spotkało.

Nie ustalono również, co się stanie z domem Oslovskiej.

Jednego dnia Jansson zjawił się z niezapowiedzianą wizytą. Miał ze sobą gazetę. Usiedliśmy na ławce. Okazało się, że to czasopismo o zabytkowych samochodach. Były w nim reportaże, ale również sporo ogłoszeń. Jansson przewrócił parę stron, aż dotarł do tej, na której znajdowały się ogłoszenia ze zdjęciami pojazdów.

Pokazał palcem na jeden z nich.

Od razu zrozumiałem, co ma na myśli. Ktoś wystawił na sprzedaż samochód Oslovskiej. W dodatku zdjęcie zrobiono jeszcze w jej garażu. Złodzieje sfotografowali auto, zanim je ukradli.

Nie miałem wątpliwości. To był DeSoto Fireflite z 1958 roku.

Oslovska opowiedziała mi, że wyprodukowano tylko 4192 egzemplarze tego modelu. Jego charakterystyczną cechą była rura wydechowa wyprowadzona po dwóch stronach ponad metalowym zderzakiem. Ogłoszenie informowało, że karoseria jest pokryta lakierem w odcieniach Wedgewood Blue i Haze Blue.

Nie podano ceny. Zainteresowani zakupem mieli dzwonić na podany numer.

– Jak to znalazłeś? – zapytałem Janssona. – Nie wiedziałem, że interesujesz się zabytkowymi amerykańskimi samochodami.

– Zadzwoił mój bratanek – odparł. – Opowiedziałem mu o tej kradzieży, bo wie wszystko o tych autach. Powiedział, że kiedy zobaczył zdjęcie, od razu przyszło mu do głowy, że to ten wóz. Wygląda na to, że miał rację.

– Masz bratanka? – zdziwiłem się szczerze.

Zamiast odpowiedzieć, Jansson wyjął z kieszeni telefon i podał mi go, mówiąc:

– Najlepiej sam z nimi pogadaj. Głos mi drży, kiedy się denerwuję.



Wybrałem numer z ogłoszenia. Po drugiej stronie odezwała się kobieta.

– Dzwonię w sprawie samochodu – powiedziałem. – Chodzi o DeSoto. Jaka jest cena tego auta?

– 185 tysięcy koron.

Jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z bardzo daleka albo jakby mówiła przez chusteczkę.

– Czy może mi pani coś powiedzieć o tym wozie? Ilu miał właścicieli?

– O tym musi pan porozmawiać z moim bratem, ale w tej chwili nie ma go w domu.

– Kiedy wróci?

– Trudno powiedzieć.

– Czy mogę się od razu umówić na obejrzenie auta? Poda mi pani adres?

– Najpierw musi pan porozmawiać z moim bratem.

– Będzie szybciej, jeśli od razu zobaczę wóz i porozmawiam z pani bratem.

– Proszę zadzwonić za parę godzin – odparła kobieta chłodno i rozłączyła się.

Musiała mnie przejrzeć.

Kiedy z nią rozmawiałem, Jansson pochylił głowę i prawie oparł ją na moim ramieniu, próbując coś usłyszeć, przez co wyglądaliśmy przez chwilę jak para zakochanych staruszków, wysiadujących na ławce w zimowej zawierusze.

Obok nas przeleciały dwa łabędzie. Odprowadziliśmy je wzrokiem, aż zniknęły z pola widzenia.

– Co za dranie – odezwał się Jansson. – Jak można ukraść samochód zmarłej kobiety?

Poszliśmy do przyczepy i zaparzyliśmy kawę. Potem graliśmy w karty. Jansson ciągle wygrywał.

Półtorej godziny później, kiedy gra nam obu już się znudziła, ponownie zadzwoniłem na ten sam numer. Nikt nie odebrał. Pod wpływem impulsu zadzwoniłem więc do redakcji gazety i poinformowałem ją, że w jednym z ogłoszeń w ostatnim numerze jest na sprzedaż samochód pochodzący z kradzieży. Mężczyzna,

z którym rozmawiałem, wyraźnie się zaniepokoił i poradził mi zadzwonić na policję.

Tak też zrobiłem. Dyżurny mnie wysłuchał, ale w pewnej chwili zasugerował, żebym wypełnił formularz na stronie internetowej policji. Bardzo mnie tym rozzłościł. Wytłumaczyłem mu, że siedzę w przyczepie kempingowej na odludnej wyspie i nie mam dostępu do internetu.

Nie sądzę, by zrozumiał, gdzie się znajduję. Ostatecznie przyjął ode mnie zgłoszenie przez telefon, ale zrobił to z obojętnością mającą dać mi zapewne do zrozumienia, że dochodzenie i tak utknie w martwym punkcie. Mimo to na koniec zapewnił mnie, że policja dołoży wszelkich starań, żeby to wyjaśnić.

Kiedy wreszcie zakończyłem tę rozmowę, przemknęło mi przez myśl, że Oslovská powróciła do mnie w symboliczny sposób, jak kawałek drewna wyrzucony na brzeg mojej wyspy.

Przez całą jesień nie mieliśmy wieści na temat jej domu i majątku. Jansson zorganizował zbiórkę na kamień nagrobny. Szło mu to ciężko, ludzie niechętnie oddawali pieniądze. Podejrzywałem, że na koniec sam dołożył lwią część potrzebnej sumy. Towarzyszyłem mu, kiedy kamieniarz montował nagrobek. Oslovská spoczęła pomiędzy ostatnimi pilotami morskimi, jacy żyli na tych wyspach. Jeden z nich był krewnym Weroniki z kawiarni i właścicielem domostwa na wyspie Röda Furholmen. Podobno wsławił się tym, że po pijanemu stawał się tak wredny, iż nie dawało się z nim wytrzymać. Od czasu do czasu ktoś kładł świeże kwiaty na grobie Oslovskiej.

W połowie listopada przez archipelag przeszedł gwałtowny orkan. Nadciągnął z południowego wschodu i uderzył z całą siłą w środku nocy. Porywy wiatru były tak silne, że telepało przyczepą. Wybiegłem na zewnątrz z latarką i ledwie cokolwiek widząc w strugach deszczu, podparłem ją w paru miejscach drewnianymi stemplami i beczkami z wodą. Kiedy skończyłem i wszedłem do środka, nagle wysiadł prąd. W ciemności zrzuciłem mokre ubranie i wytarłem się nowo zakupionym ręcznikiem. Był wyprodukowany w Kambodży. Na szczęście miałem kuchenkę na gaz, więc zrobiłem

kawę, mimo że była czwarta nad ranem. Udało mi się również znaleźć świeczkę. Stała na środku stołu, a jej płomień trząsał się w rytm drgań przyczepy.

Nagle zadzwonił telefon. Od razu pomyślałem, że to Jansson z pytaniem, czy u mnie też nie ma prądu, ale w słuchawce usłyszałem głos mężczyzny mówiącego słabo po angielsku. Zrozumiałem, że to Ahmed.

– Jestem w szpitalu – powiedział. – Louise rodzi.

Dziecko przychodziło na świat o wiele za wcześnie. Słyszałem, że Ahmed jest bardzo zdenerwowany, choć sam mnie zapewnił, że nie ma powodu do obaw. To Louise poprosiła go, żeby mnie zawiadomił. Po chwili się rozłączył, zapewniwszy mnie, że zadzwoni ponownie, kiedy dziecko się urodzi.

Tej nocy już nie zasnąłem. Obliczyłem, że dziecko urodzi się jako wcześniak i trafi do inkubatora.

Szalejący za oknem, wyjący wściekle orkan niespodziewanie stał się ponurym tłem dla nerwowego wyczekiwania na narodziny mojego pierwszego i prawdopodobnie jedyne wnuka.

Pomyślałem o Harriet. Oczyma wyobraźni znów ujrzałem ją stojącą na lodzie przed moją wyspą, choć trudno mi było przypomnieć sobie jej twarz z tamtego okresu.

Wyraźniej widziałem ją z czasów młodości, kiedy przeżywaliśmy nasz krótki i chaotyczny romans. Niespodziewanie poczułem, że bardzo mi jej brakuje. Być może była to tęsknota. Bo to przecież nie jest to samo.

Pewnej nocy spaliśmy we troje w tej przyczepie. Louise, Harriet i ja. To było jeszcze zanim przyczepa stanęła na mojej wyspie. Teraz Harriet już nie żyła, a Louise rodziła właśnie dziecko w szpitalu w Paryżu.

Płomień świeczki wciąż drgał. Urywki wspomnień przemykały przez moją głowę jak niespokojne cienie. Widziałem w nich ojca i matkę. Babkę i dziadka. Widziałem też różne kobiety, wśród nich te, z którymi byłem kiedyś przelotnie, ale i te, których nie udało mi się zdobyć. Ja również przemykałem pośród tych cieni. Być może byłem tym, który ukrywał się najgorliwiej, nie chcąc, by światło padło mi na twarz.

Było dziesięć po piątej, kiedy ponownie zabrzączał telefon. Dzwonił Ahmed. Louise urodziła córkę. Dziecko było maleńkie, ale wszystko poszło dobrze. Dziewczynkę włożono do inkubatora.

Ahmed powiedział, że moja wnuczka jest do mnie podobna.

Wiedziałem, że to nieprawda. Noworodki, zwłaszcza te, które przyszły na świat za wcześnie, nie są podobne do nikogo, nawet do samych siebie. Są jak wczesne szkice, które dopiero rozwiną się w nieznanym kierunku.

Wyszedłem przed przyczepę. Było ciemno i wciąż wiał silny wiatr. Nadal też nie było prądu, więc musiałem zabrać latarkę. Zszedłem na pomost, pijany z radości. Nie spodziewałem się, że radość z powodu narodzin wnuczki będzie tak silna. Wszedłem do szopy. Wiatr gwizdał wściekle w szczelinach między deskami. Usiadłem na jednej z pułapek na węgorze, z których dziadek korzystał aż do samej śmierci. Teraz siatka była już tak sparciata, że jej oczka rozpadały się w palcach niemal przy każdym dotknięciu.

Miałem ogromną ochotę opowiedzieć całemu światu o narodzinach córki Louise. Od kogo miałem zacząć? Od Lisy Modin? Może Weroniki albo Oslovskiej? Ale Oslovska umarła, w dodatku nigdy nie miałem jej numeru.

Po namyśle zadzwoniłem do Lisy. Miałem nadzieję, że ją obudzę. Tak też się stało.

– To ty? – zapytała sennie. – Czemu dzwonisz tak wcześnie? Która jest godzina?

– Wpół do szóstej. Właśnie zostałem dziadkiem.

– Gratuluję! Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka.

– Wszystko poszło dobrze?

– Tak, o ile dobrze zrozumiałem. Ale dziecko jest wcześniakiem, a to zawsze ryzyko.

– Będzie leżała w inkubatorze?

– Tak, od razu ją do niego włożyli. Muszę ci powiedzieć, że strasznie się cieszę.

– I od razu zadzwoniłeś do mnie? To miłe.

– Nie mam nikogo innego.

– To z pewnością nieprawda.

- Może umówimy się na małego drinka?
- Chyba nie o tej porze?
- Może w weekend?
- Może. Zadzwoń za parę dni.
- Ty zadzwoń.

Obiecała się odezwać, a ja już cieszyłem się na to spotkanie. Od powrotu z Paryża minął długi czas.

Zaraz po tym zadzwoniłem do Janssona.

– U mnie też nie ma prądu – powiedział. – Jeśli o to chciałeś zapytać.

– Louise urodziła. Dziewczynkę.

Jansson zamilkł na moment, ale po chwili znów się odezwał:

– Czy to nie za wcześnie?

– Tak, ale wszystko poszło dobrze. Mam nadzieję.

– W takim razie gratuluję ci w imieniu całego archipelagu.

Jansson potrafił wypowiadać się pompatycznie, ale teraz zabrzmiało to tak, jakby naprawdę wyrażał radość wszystkich mieszkańców wysp. Mówiąc to, uczynił mnie członkiem tej topniejącej społeczności. Nie byłem już odludkiem.

– Dziękuję – powiedziałem.

Potem rozmawialiśmy o wicherze. Jansson zdążył już pomówić z dostawcą elektryczności, który poinformował go, że prąd powinien zostać włączony o dziewiątej. Zdaniem Janssona do awarii doszło w stacji transformatorowej, z której wychodził kabel dostarczający prąd dla całego archipelagu. Usłyszał też gdzieś, że orkan powalił na lądzie mnóstwo drzew.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, położyłem się na łóżku i zaczekałem na świt. Wyszedłem na zewnątrz dopiero wówczas, gdy do przyczepy wlało się przez okienka światło dnia.

Na pagórku, blisko ławki moich dziadków, leżał powalony dąb. Bryła korzenia sterczała nad ziemią jak wywrócony gigantyczny grzyb. Obszedłem wyspę dookoła i stwierdziłem, że wiatr powalił tylko to jedno drzewo. Pozostałe jakoś sobie poradziły. Warstwa ziemi na okolicznych wyspach była dość cienka, ale drzewa czepiały się korzeniami skał jak ostrymi pazurami.

Przyniosłem z szopy piłę ręczną, przeciąłem pień na pół, a potem odpiłowałem gruby plaster. Zajęło mi to parę godzin. Kiedy wreszcie skończyłem, byłem zlany potem. Wykąpałem się szybko przy pomoście i wytarłem w przyczepie. Potem zabrałem fragment drzewa do szopy i z pomocą lupy policzyłem słoje. Ku memu zaskoczeniu, drzewo okazało się starsze niż sądziłem. Po dwukrotnym przeliczeniu doszedłem do wniosku, że pierwszy słoje tego drzewa utworzył się w 1847 roku. Rok później, kiedy przez Europę przechodziła fala rewolucji, dąb ten był wciąż jeszcze bardziej sadzonką niż drzewem. Przemierzałem rok po roku, słoje po słoju, jakbym nagle znalazł się na skraju wieczności. Przytknąłem palec do styku lat 1899–1900. W 1914 rozpoczęła się wojna. W 1939 rozgorzała następna. Moje urodziny przypadły na rok przed jej zakończeniem, 1944. A teraz niespodziewanie wiatr powalił ten dąb. Sto sześćdziesiąt cztery lata później.

Oparłem plaster drzewa o ścianę, wyszedłem na pomost i usiadłem na ławce. Wiatr nie docierał w to miejsce. Na morzu wciąż burzyły się wysokie grzywiaste fale, raz po raz padał przelotny deszcz.

Prąd włączono zgodnie z zapowiedzią przekazaną przez Janssona. Dokładnie pięć po dziewiątej rozbłysły wszystkie lampy. Późnym popołudniem wiatr zaczął powoli cichnąć. Ponownie obszedłem całą wyspę. Daleko od brzegu fale rozbiły się z wielką siłą o ledwie widoczne nad powierzchnią wody skały.

Przez całe popołudnie rozmyślałem o Louise i mojej wnuczce. Wieczorem znowu zadzwonił Ahmed i wytłumaczył mi łamaną angielszczyzną, że wszystko jest z nimi w porządku. Nie powiedział mi tego, co i tak było dla mnie oczywiste – że w przypadku każdego dziecka urodzonego tak wcześnie istnieje ryzyko, że coś pójdzie nie tak.

– Jak będzie miała na imię? – zapytałem, nie wymyśliwszy lepszego pytania.

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy.

Usłyszałem, że Ahmed się zaśmiał. Wciąż nie pojmowałem, co Louise widzi w tym mężczyźnie, ale słysząc ten śmiech, pomyślałem,

że powoli zaczynam zauważać w nim cechy, dla których moja córka mogłaby go pokochać.

Tego samego wieczoru usiadłem przy stole i zacząłem planować noworoczne przyjęcie. Spisałem listę dań zaproponowanych przez Weronikę, potem dodałem wino, wódkę i piwo, które musiałem dokupić. Przez cały czas miałem przed oczami niemowlę w inkubatorze.

Kiedy sztorm całkiem ucichł, popłynąłem do portu i poczyniłem ostatnie ustalenia z Weroniką. Była zdania, że całkiem niepotrzebnie zamierzam kupić zastawę stołową. Zaproponowała, że wypożyczy mi naczynia z kawiarni, a także dodatkowe krzesła, bo w przyczepie miałem tylko jeden taboret.

– A co z obrusem? – zapytałem.

– Obrus również się znajdzie – odparła.

Zanotowała wszystko na odwrocie blankietu do wystawiania rachunków.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o Oslovskiej. Opowieść o skradzionym samochodzie i mojej rozmowie z kobietą, której brat najwyraźniej próbował go sprzedać, już krążyła po wyspach. Weronika o wszystkim wiedziała.

– To musi być ktoś tutejszy – powiedziała. – Musiał przecież skądś wiedzieć, że w jej garażu stoi zabytkowe auto.

– Czy ludzie mają jakieś podejrzenia?

– Nie.

Nie wiedziałem, czy mówi mi prawdę. Odpowiedziała od razu, bez chwili namysłu. Może sama kogoś podejrzewała? Nie naciskałem. Pogodziłem się już z myślą, że samochód Oslovskiej nigdy się nie znajdzie.

Weronika zmieniła temat i poskarżyła mi się na złą sytuację finansową kawiarni. Zaraz po tym, w przypływie szczerości wyznała, że myśli o wyprowadzce.

– Chcesz pracować w kawiarni w innym mieście? – zapytałem.

– Raczej w innym kraju. Może w kawiarni, może gdzieś indziej.

– Wszystkim by ciebie tutaj brakowało.

– Może tak, może nie.

Nagle zabręczał dzwonek przy drzwiach i do lokalu weszła grupa około dziesięciu osób.

– To delegacja z gminy – szepnęła do mnie Weronika. – Mają dziś objechać wyspy i zdecydować, gdzie gmina postawi nowe toalety publiczne. Wyobraża pan sobie, że potrzeba do tego tylu urzędników?

Zanim wróciłem do samochodu, zajrzałem jeszcze do sklepu ze sprzętem rybackim. Oczywiście moje kalosze jeszcze nie przyszły.

Pojechałem do miasteczka i zrobiłem zakupy na przyjęcie. Zniosłem do samochodu aż pięć pełnych reklamówek. Potem zaszedłem do banku i do apteki, żeby uzupełnić zasoby gotówki oraz lekarstw. Wracając, przystanąłem przed sklepem z butami. Był zamknięty, a witryna uprzątnięta.

Raz na jakiś czas obstawiałem wyścigi koni. Nie miałem pojęcia o tym sporcie i byłem zbyt leniwy, by poczytać o zawodach, w których chciałem wziąć udział. Dwadzieścia lat temu udało mi się jeden raz trafić kwintę i prawie odjęło mi mowę, kiedy się dowiedziałem, że wygrałem ponad 96 tysięcy koron. Dokładnie było to 96 tysięcy 322 korony. Na zawsze zapamiętałem ten dzień. Zainkasowałem wygraną i poleciałem do rpa, chociaż wówczas wciąż panował tam apartheid. Na lotnisku w Nelspruit wynająłem samochód i pojechałem prosto do Parku Narodowego Krugera. Spędziłem tam tydzień, kursując od jednego miejsca noclegowego do drugiego. Uderzyła mnie arogancja białych wobec czarnoskórych. Panowała między nimi nienaturalna cisza. Biali odzywali się do czarnych tylko wówczas, gdy wydawali im jakieś polecenia. Ani razu nie usłyszałem zwyczajnej rozmowy między przedstawicielami różnych ras. Oburzało mnie to, więc próbowałem normalnie rozmawiać z czarnoskórymi, którzy podawali mi posiłki albo napełniali bak mojego samochodu. Jednak moja uprzejmość wprawiała ich w zakłopotanie, stawali się wobec mnie podejrzliwi.

Każdego dnia przemierzałem kolejne kilometry po niekończącym się parku. Spotkałem wszystkie dzikie zwierzęta, które miałem nadzieję zobaczyć. Miałem świadomość, że zwierzęta widzą mnie o wiele częściej niż ja je dostrzegam. Patrząc z oddali na stado lwów



rozszerzających zębę, starałem się być niewidzialny. Byłem dyskretnym turystą pukającym ostrożnie do drzwi dzikiej przyrody.

Za resztę pieniędzy kupiłem kilka drogich garniturów i przez jakiś czas stołowałem się w eleganckich restauracjach. Wygrałem nawet posążek Buddy na aukcji antyków, ale i jego nie oszczędził pożar mojego domu.

Poszedłem do kiosku z zakładami bukmacherskimi i posługując się prostym systemem, obstawiłem najbliższe gonitwy na torze w Solänget. Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie to jest, nie znałem też żadnego z koni ani zawodników. Uznałem jednak, że wolę obstawić zwycięstwo konia o imieniu Trzmieli Brat niż tego, któremu nadano niepokojące imię Wilcza Skóra. Właścicielem kiosku był łysy mężczyzna z wyraźnym wgłębieniem w czaszce tuż za lewą skronią. Zdaniem Janssona, który wiedział wszystko o dolegliwościach mieszkańców archipelagu, wiele lat temu człowiek ten miał wypadek na traktorze, kiedy wodował nim swoją starą łódź. Jansson uważał, że to istny cud, iż udało mu się przeżyć wypadek bez uszczerbku na psychice. Ja jednak przez lata pracy w szpitalu naoglądałem się ludzi, których głowy potrafiły przybierać przedziwne kształty po wypadkach, a nie miało to większego wpływu na pracę mózgu. Od razu przypomniał mi się młody naukowiec uznawany za geniusza matematycznego, którego głowa wyglądała po wypadku jak stożek.

Oddałem listę zakładów, schowałem kwitek do wewnętrznej kieszeni kurtki i poszedłem prosto do restauracji z kręgielnią, żeby coś zjeść.

W powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu.

Właśnie wychodziłem z restauracji, kiedy zadzwoniła Louise. Wszedłem z powrotem do środka i stanąłem przy torze, przy którym akurat nikt nie tłukł się czarną kulą.

Louise powiedziała, że czuje się dobrze, choć oczywiście martwi się o córeczkę. Zadałem jej mnóstwo pytań na temat kliniki, w której obie przebywały, a Louise uspokoiła mnie, zapewniając, że lekarze i reszta personelu są bardzo doświadczeni i wiedzą, co robią.

– Czy mogę coś dla was zrobić? – zapytałem.

– Pomódl się.

- Jak to pomódl? Ja nie wierzę w Boga.
- Nie szkodzi. I tak możesz się pomodlić.
- Dobrze – odparłem po chwili. – Mogę odmówić modlitwę, którą skieruję we wszystkich możliwych kierunkach. W przeszłość, w przyszłość, w przestrzeń kosmiczną i na dno morza.
- Dziękuję.
- Czy mogę zrobić coś jeszcze?
- Nie teraz.

Louise zapewniła mnie, że Ahmed jest dla niej wielkim oparciem. Potem nagle zaczęła mówić o Muhammadzie.

– Czasem sobie myślę, że jego oczy są jak światło – powiedziała. – Jego wzrok porusza się z prędkością światła i przemierza jakieś obce światy. Pewnego dnia na pewno usłyszy odpowiedź na wiadomości, które wysyła w kosmos.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – odrzekłem i chcąc zmienić temat, zapytałem, czy wybrali już imię dla córki.

– Dostanie trzy imiona i kiedyś wybierze sobie jedno z nich. Rachel, Anna i Harriet.

Pomyślałem o Rachel, która sprzątała w hotelu w Paryżu, i której dałem pięć euro. Potem stanęła mi przed oczami Harriet. W mojej rodzinie nie było dotąd żadnej Anny, sądziłem więc, że ma ono jakiś związek z Ahmedem albo islamem.

– Wszystkie są bardzo ładne – powiedziałem. – Jak do niej mówicie w tej chwili?

- Codziennie zmieniamy imię.
- Chciałbym ją zobaczyć.
- Właśnie po to do ciebie dzwonię. Zaraz wyślę ci zdjęcie.
- Wypuszczą was do domu na Boże Narodzenie?
- Na razie nasz dom jest tutaj. Ona musi leżeć w inkubatorze.
- Jeśli potrzebujesz pieniędzy, za wszystko zapłacę.
- Nie chodzi o pieniądze. Lepiej zajmij się odbudową domu.

Nie dopuszczałem myśli o kolejnej kłótni z Louise, więc o nic więcej jej nie wypytywałem. Była ciekawa, czy na mojej wyspie pada teraz deszcz czy śnieg. Na koniec zawsze zostaje rozmowa o pogodzie. Bardzo nas ona uspokoiła. Żadne z nas nie musiało niczego wykrzykiwać ani posyłać wrogich milczących sygnałów.

Zdjęcie Rachel Anny Harriet przyszło zaraz po tym, jak zakończyliśmy rozmowę.

Moja wnuczka, tak maleńka, że ledwie widoczna w inkubatorze, przypominała wyłącznie samą siebie. W jej małej twarzyczce nie dostrzegłem żadnych znajomych rysów. Nawet Ahmeda. Nagle, stojąc wciąż przy torze do kręgli, poczułem ogromne wzruszenie. Patrzyłem na zdjęcie całkiem nowej ludzkiej istoty, która właśnie dołączyła do niekończącego się tańca ludzkich pokoleń. Ta dziewczynka, o ile pożyje wystarczająco długo, na własne oczy ujrzy koniec xxi wieku.

Przestałem wpatrywać się w zdjęcie w telefonie dopiero wówczas, kiedy kilku młodych mężczyzn zjawilo się przy torze, żeby zagrać w kręgle. Rozmawiali w języku, którego nie rozumiałem. Domyśliłem się, że należą do grupy uchodźców umieszczonych niedawno w pobliskim ośrodku.

Wróciłem do samochodu i pojechałem z powrotem do portu. Przez całą drogę rozglądałem się za lisami, ale las był pusty. Zobaczyłem tylko stadko wron unoszących się z trzepotem skrzydeł nad leżącym przy drodze truchłem borsuka.

Dom Oslovskiej wciąż był zamknięty na cztery spusty. Nikt nie chodził po starannie wygrabionej zwirowej ścieżce. Zaniósłem siatki z zakupami do łodzi zacumowanej przy dystrybutorach paliwa.

Potem zajrzałem do Weroniki i pokazałem jej zdjęcie mojej wnuczki.

– Śliczne dziecko – powiedziała.

– Sam nie wiem, czy śliczne – odparłem. – Musi minąć trochę czasu, żeby móc to stwierdzić.

– Dużo myślałam po naszej ostatniej rozmowie – dodała po chwili. – I przyszło mi do głowy, że może Paryż jest miastem, do którego powinnam się przeprowadzić. Wiem, że pan tam był. Co pan o tym myśli?

– Paryż to wielkie miasto. Można się w nim łatwo ukryć, nawet jeśli się nie wie, po co się tam przyjechało.

Wyszedłem z kawiarni i ruszyłem w stronę nabrzeża, ale po chwili zmieniłem zdanie i zaszedłem do sklepu ze sprzętem rybackim. Pani Nordin siedziała za ladą i piła kawę, a przed nią

stała miska pełna rogalików z ciasta francuskiego. Przemknęło mi przez myśl, że powinienem ją przestrzec przed objadaniem się, bo miała dużą nadwagę, ale zorientowałem się, że ma załzawione oczy. Widocznie wciąż rozpaczała po śmierci męża.

Nie ośmieliłem się pokazać jej zdjęcia mojej wnuczki. Poprosiłem tylko o baterie do latarki.

Kiedy płynąłem do domu, słońce zaczęło przebijać przez warstwę chmur.

Postanowiłem, że poproszę Janssona, by zaśpiewał na moim przyjęciu, tak jak zrobił to na urodzinach Harriet, tuż przed jej śmiercią.

Nie przychodziło mi do głowy nic lepszego na uczczenie końca starego roku i zaznaczenie nadejścia nowego.

Może uda mi się go namówić, by zaśpiewał *Ave Maria*?

Tym razem, tak jak wtedy. Teraz, jak kiedyś.

Pewnego dnia Louise i jej mąż postanowili, że dziewczynka będzie miała na imię Agnes. Myśli o Rachel, Annie i Harriet odeszły w niepamięć.

Agnes. Pięknie imię, którego nie nosił jeszcze nikt w naszej rodzinie. Piękne imię dla maleńkiego człowieka.

Kilka lat przed śmiercią moi rodzice zapragnęli dowiedzieć się jak najwięcej o swoich przodkach i krewnych. Żadne z nich nie wiedziało nic po za tym, kto był ich dziadkami. Wcześniejsze pokolenia spowijała gęsta mgła. Zagłębili się więc w lekturze ksiąg parafialnych i archiwów, rozmawiali z nielicznymi już krewnymi. Zapamiętałem, że między matką a ojcem rozgorzał rodzaj współzawodnictwa, które z nich odkryje historię swoich przodków dalej wstecz. Obojgu wydawało się, że prędzej czy później dogrzebie się do szlacheckich korzeni swojego rodu, wystarczyło tylko kopać coraz głębiej i głębiej.

Po śmierci zostawili mi zrosnięte ze sobą w jednym punkcie drzewo genealogiczne. Nie było w nim żadnej Agnes. Po stronie matki, ku jej wielkiemu zażenowaniu, znalazł się pradziadek, którego ścięto na wzgórzu pod Västerås. Był gwardzistą i wdał się po pijanemu w bójkę, podczas której zabił kolegę, zadając mu dwadzieścia jeden ciosów nożem. Przynajmniej tak głosił protokół z późniejszej rozprawy. Król Karol xv nie zechciał go ułaskawić i gwardzista Karl Evert Olaus Tell został skrócony o głowę wczesnym rankiem w październiku 1867 roku.

Po tym odkryciu na poszukiwania przodków moich rodziców padł czarny cień. Kiedy przyjechałem do nich z wizytą w przerwie między zajęciami na studiach, od razu spostrzegłem, że dokumenty i wielki arkusz z drzewem genealogicznym zniknęły z honorowego miejsca na kredensie z ukrytymi szufladkami, w których jako dzieciak znalazłem stare okulary, ale żadnych poważniejszych skarbów. Jednego wieczoru, kiedy matka poszła już spać, a ojciec

sporo wypił, wyznał mi wstydliwą prawdę o straconym gwardziście. W odkryciu tym czaiła się absurdalna i niewypowiedziana wprost pretensja pod adresem matki.

Po jakimś czasie rodzice wznowili poszukiwania przodków, choć nie robili tego już z taką radością i entuzjazmem jak wcześniej. Towarzyszyła im raczej obawa przed tym, co jeszcze kryje się w zdobytych już, ale wciąż nieprzeczytanych pożółkłych ze starości dokumentach.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek spotkał ludzi poszukujących swoich przodków z podobną niechęcią, jaką żywili rodzice do tego zajęcia od czasu owego odkrycia. Wstydzili się i robili to niejako wbrew sobie. Dokopali się w archiwach do trucizny, która zepsuła im krew.

Na szczęście nie znaleźli więcej morderców w swoich rodach. Odkryli za to ze zdziwieniem, że jedno z nich wywodzi się z odludnych traktów w głębi regionu Västerbotten, a drugie z równie rzadko zaludnionych lasów prowincji Härjedalen. Ojciec doszukał się w swojej rodzinie domieszki fińskiej krwi, a matka natknęła się na ślad wiodący do Rosji.

Mimo to nigdzie nie pojawiła się Agnes. Córeczka Louise miała być Agnes Pierwszą.

Co jakiś czas odzywała się do mnie policja. Czasem zadawali mi jakieś pytanie, ale najczęściej powtarzali tylko, że wciąż nie wyjaśnili sprawy pożaru. Wyglądało na to, że ogień wziął się znikąd.

Codziennie rozmawiałem chwilę z Louise. Czasem dzwonił Ahmed. Zamieniałem z nim parę słów, a potem przekazywał słuchawkę mojej córce. Miałem wrażenie, że słyszę w jej głosie nowy ton. Nie wiedziałem, co to oznacza. Może narodziny Agnes wniosły w jej życie nieustającą radość? A może Louise była zmęczona? Równie dobrze mógł ją trawić strach przed macierzyństwem, zwłaszcza z uwagi na fakt, że urodziła wcześniaka. Każdą rozmowę kończyłem zapewnieniem, że jestem do dyspozycji, jeśli będzie potrzebowała mojej pomocy.

Rozmawialiśmy też o spalonym domu. Louise śniła czasem, jak nowy budynek wyrasta z popiołów. Zwierzyła mi się też z innego, podobnego snu, który wydawał jej się dziecinny. W tym drugim śnie

dom nie pojawiał się w jednej chwili, ale każdego ranka okazywało się, że tajemniczy cieśla zjawił się nocą i dołożył kolejną drewnianą belkę, sprawiając, że dom urósł o kolejny metr. Nikt nie wiedział, skąd ów cieśla przybywa, nikt też nie słyszał warkotu piły ani uderzeń młota. Mimo to dom rósł z dnia na dzień, choć u jego stóp wciąż leżała czarna i zimna ruina, taka sama jak po nocy, w której zjawił się nieznany podpalacz.

Zapewniałem Louise, że go odbuduję. A w dniu, kiedy oznajmiła mi, że dziewczynka ma na imię Agnes, zapewnienie zamieniłem na obietnicę.

– Dawniej nadawano dzieciom kilka imion – powiedziałem. – Można było zasypać dziecko ich bogactwem, nawet jeśli rodziło się w biedzie. Miałem w szkole kolegę, który miał ich aż siedem, a był najbiedniejszym z biednych.

– Zapamiętałeś je?

– Karl Anton Axel Efraim Hagbert Erik Olof – wyrecytowałem. – Na nazwisko miał Johansson.

– Moja córka będzie miała na imię Agnes – odparła Louise. – Nigdy nie będzie musiała się zastanawiać, które z imion jest jej.

Pewnego grudniowego poranka, kiedy zszedłem na pomost, żeby zanurzyć się w lodowatej wodzie, postanowiłem niespodziewanie, że odtąd grudzień będzie miesiącem Agnes. Pogoda była niespokojna, kapryśna jak nerwowy człowiek. Śnieg padał i po chwili topniał, wiało ze wszystkich stron, by za moment przestać. Chwilami robiło się całkiem bezwietrznie, jak latem. Deszcz padał czasem cztery dni z rzędu. Myślałem wtedy, że już nigdy nie przestanie bębnić w kruchy dach przyczepy.

Nikt nie wiedział, co się stanie z domem Oslovskiej. A ponieważ czasem ponoć było w nim widać światło, ludzie szybko zaczęli gadać, że tam straszy. Ktoś powiedział nawet, że to jej szklane oko, które nocami zmienia się w jarzącą kulę generującą światło w gęstej ciemności. Dzięki temu przynajmniej dom był bezpieczny i nikt się do niego nie włamał.

Żwirowa ścieżka prowadząca na ganek pozostawała idealnie wygrabiona. Nikt po niej nie chodził. Zupełnie, jakby ludzie nie przyjęli do wiadomości, że Oslovská naprawdę umarła. Mogła

przecież udać się na jedną ze swoich tajemniczych wypraw. Nikt nie znał ich celu, ani nie wiedział, po co je odbywała. Chyba że wyjeżdżała tylko po to, by zdobywać kolejne części do samochodu, który został skradziony.

– Zawsze tu u nas robiło się pusto na zimę – powiedział Jansson pewnego dnia. – Ale teraz jest gorzej niż wcześniej. Jakby pustka mogła stać się jeszcze bardziej pusta.

Rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć. Cisza zalewająca archipelag na zimowe miesiące była coraz głębsza. I nie chodziło tylko o to, że betonowe nabrzeża powoli kruszały i rdzewiały żelazne pale. Zdawało się, że morze nie ma już serca, by napęniać wodą basen portowy.

Zapytałem Janssona, czy zaśpiewa na moim przyjęciu, kiedy piliśmy kawę na stypie po pogrzebie Oslovskiej. Zachnął się, jakbym powiedział coś niestosownego.

– Tylko wtedy mógłbym uznać, że przyjęcie jest perfekcyjnie przygotowane – dodałem przyjaznym tonem.

Jansson zagryzł dolną wargę. Wyglądał jak zawstydzony uczeń, przyłapany na tym, że nie odrobił zadania.

– Nie mogę już śpiewać – powiedział wreszcie.

– Oczywiście, że możesz.

– Ale na pewno nie *Ave Maria* – mruknął niechętnie.

– Właśnie, że *Ave Maria*. Tylko na tym mi zależy.

Nie rozmawialiśmy o tym więcej. Byłem pewien, że mam jego obietnicę. Zaśpiewa, kiedy usiądziemy w przyczepie i zegar będzie się zbliżał do północy.

Jeszcze jeden raz spotkałem się z Weroniką, żeby omówić menu na przyjęcie. Na danie główne miał być łosoś wędzony na ciepło, wcześniej zupa, a na deser ciasto z jabłkami.

– Chętnie bym cię zaprosił – powiedziałem. – Ale nie mam tyle miejsca w przyczepie.

– Lecę na sylwestra na Islandię – odrzekła.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

– Na Islandię? Przecież tam jest jeszcze zimniej niż tutaj.

– Nie obchodzi mnie pogoda. Interesują mnie tylko tamtejsze konie.



– W takim razie może tam powinnaś zamieszkać?

– Być może.

Zadzwoił telefon w kawiarni. Weronika poszła odebrać. Domyśliłem się po jej słowach, że ktoś umawia się z nią na organizację przyjęcia urodzinowego.

Zabrałem kurtkę, naciągnąłem czapkę na uszy i pomachałem jej na do widzenia. Uśmiechnęła się i zaczęła coś zapisywać w turkusowym notatniku przy telefonie. Wychodząc, zajrzałem jeszcze do starej gazety leżącej na jednym ze stolików i sprawdziłem wyniki gonitw kłusaków. Oczywiście nic nie wygrałem. Płynąłem do domu po wzburzonych falach. Wydawało mi się, że woda może w każdej chwili zastygnąć, zamieniając fale, pianę, moją łódkę i mnie w martwe kamienne posągi.

Tego dnia morze było szare. Było jak tarcza wielkiego zegara bez wskazówek. Albo ogromny pokój z wyburzonymi ścianami. Czasem mi się zdawało, że właśnie morze jest tą siłą, która pewnego dnia przyjdzie do mnie i pozbawi mnie życia.

Chcąc uniknąć ciągłego kołysania, po wypłynięciu z zatoki na otwarte morze trzymałem się toru wodnego bliżej lądu. Ta droga była dłuższa, ale przez cały czas, z wyjątkiem krótkiego końcowego odcinka, była osłonięta od północnego wiatru. Płynąłem między wysepkami, na których rosły wysokie dęby o nagich koronach. Wyciągały grube gałęzie wysoko do nieba. W pewnej chwili wydawało mi się, że widziałem dzika szybko znikającego w zaroślach. Wrzuciłem luz, żeby uciszyć silnik i płynąłem kawałek z prądem, w nadziei, że zwierzak znów się pokaże. Wyspa nazywała się Hästholmen. Stał na niej opuszczony domek letniskowy zbudowany niegdyś przez profesora geologii nazwiskiem Sandmark. Widywałem go w dzieciństwie, pływając z dziadkiem do portu. Zawsze nosił czarny beret i wojskowy mundur angielski w kolorze khaki. Dożył stu siedmiu lat. W tamtych czasach pocztę rozwoził ojciec Janssona. Stary profesor umarł ponoć na swoim pomoście, odbierając emeryturę. Ojciec Janssona wręczył mu plik banknotów, a ten nagle padł martwy.

Stary listonosz najbardziej przeżywał fakt, że profesor zmarł, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Po prostu padł jak długi, bez

jęknięcia, protestu ani nawet westchnienia.

Jego dom dalej stał na tej wyspie i popadał w ruinę. Nie pamiętałem już, skąd to wiem, ale był własnością dwóch wnuczek profesora. Sióstr, które ponoć wzajemnie się nie znosiły, ponieważ jedna dorobiła się wielkiego bogactwa, a drugiej nie powiodło się w życiu.

Nagle zadzwonił mi w kieszeni telefon. To był Jansson.

– Mam już całkowitą pewność – oznajmił.

– Pewność co do czego? – zapytałem.

– Że podpalacz nie jest z tych okolic.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek tak myślał? No, może pomijając okres, kiedy to ja byłem podejrzanym.

– Dokładnie sprawdziłem każdego mieszkańca naszych wysp. To nie mógł być żaden z nich.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nie znasz przecież każdego. Czy myślisz, że dobrze znasz mnie? Albo czy ja dobrze znam ciebie?

– Wystarczająco dobrze, żeby mieć pewność.

Miałem wrażenie, że nasza rozmowa zatoczyła koło.

– A co mówi policja? – zapytałem tylko po to, żeby się odezwać.

– Oni myślą tak samo jak ja – odparł Jansson. – Ale nie wiedzą, gdzie szukać winnego.

Usłyszałem w jego głosie zadowolenie, jakby udało mu się powiedzieć śmieszny dowcip. Spoważniał jednak po chwili.

– Jestem ciekaw twojego zdania – oznajmił. – Jak myślisz, kto za tym stoi? Kto podpala nam domy?

– Zastanowię się – odparłem. – Ale teraz jestem na morzu i marznę.

– Musimy o tym porozmawiać.

– Tak. Koniecznie. Ale innym razem.

Rozłączywszy się, schowałem telefon z powrotem do kieszeni. Poczułem, że strasznie zmarzła mi dłoń. Coś w tej rozmowie bardzo mnie zaniepokoiło. Z jednej strony Jansson zachowywał się tak jak zwykle, ale z drugiej wyczuwałem u niego coś nienaturalnego. Nie potrafiłem stwierdzić, co to takiego, ale z pewnością coś było nie tak.

Co ja właściwie o nim wiedziałem? Tylko tyle, że przez długie lata i przy każdej pogodzie rozwoził pocztę po archipelagu i że wiedział wszystko o jego mieszkańcach. Wszyscy znali Janssona, listonosza, który zawsze chętnie przychodzi z pomocą.

Ale czy ktokolwiek naprawdę dobrze go znał?

Jeszcze raz przeanalizowałem w myślach naszą rozmowę. Niepokój nie chciał mnie opuścić, ale wciąż nie wiedziałem, co go spowodowało.

Dodałem gazu i popłynąłem do domu. Stado dzikich gęsi krążyło pod szarym niebem, nie mogąc się zdecydować, którądy biegnie szlak na południe.

Dotarwszy do domu, usiadłem na chwilę i rozwiązałem łamigłówkę szachową w gazecie. Była bardzo prosta. Byle amator potrafiłby przewidzieć ruchy, jakie powinny wykonać wieża i skoczek, żeby zamatować czarną królową. Poczułem chęć, by zadzwonić do redakcji i zaprotestować przeciwko traktowaniu czytelników jak idiotów. Rzecz jasna nie zrobiłem tego. Chwile, kiedy miałem ochotę protestować i rzeczywiście to robiłem, należały do rzadkości.

W przyczepie było przyjemnie ciepło. Chociaż zapadł już zmrok, rozebrałem się, wziąłem latarkę i zszedłem na pomost. Zanurzyłem się w wodzie i zmusiłem do przepłynięcia paru metrów. Wkrótce zimno stało się tak dojmujące, że musiałem wyjść. Właśnie miałem ruszyć z powrotem do przyczepy, kiedy usłyszałem dzwonek telefonu. Zostawiłem uchylone drzwi, dlatego było go słychać aż tutaj. Puściłem się biegiem, żeby odebrać, ale potknąłem się o kamień wystający z ziemi i upadłem.

Telefon ucichł, więc wróciłem spokojnie, ubrałem się i dopiero wtedy sprawdziłem, kto dzwonił. Przychodziły mi do głowy tylko dwie osoby. Jansson albo Louise.

Okazało się, że to Lisa Modin. Oddzwoniłem do niej i długo wsłuchiwałem się w przerywane sygnały. Już miałem się rozłączyć, kiedy wreszcie odebrała. Wydawała się zdziwiona, że to ja.

– Dzwoniłaś do mnie – powiedziałem. – Nie zdążyłem odebrać, bo kąpałem się w morzu.

– Wcale nie dzwoniłam – odparła.

– Przecież wyświetlił mi się twój numer.

– To dziwne. Naprawdę nie dzwoniłam.

– Nie pomyliłem się.

Westchnęła ciężko, jakby właśnie wbiegła szybko na stromy pagórek.

– Oddzwonię później – powiedziała. – Muszę coś sprawdzić.

Usiadłem przy stole i czekałem. Lisa oddzwoniła po dziewięciu minutach.

– Na pewno nie dzwoniłam – powtórzyła. – Musiał się wcisnąć jakiś klawisz, kiedy miałam telefon w kieszeni.

– Więc wcale nie zamierzałaś do mnie zadzwonić?

– Nie, nie teraz.

– W takim razie zakończmy już tę rozmowę.

Rozłączyłem się, zanim zdążyła odpowiedzieć i rzuciłem telefon na łóżko. Nie podniosłem go, kiedy po chwili znowu zadzwonił. Nie chciałem odbierać, chociaż nie rozumiałem swojego zachowania.

Godzinę później wysłałem Lisie wiadomość.

„Wciąż jesteś zaproszona na przyjęcie noworoczne. Chyba że zmieniłaś zdanie”.

Nie odpowiadała aż do północy. Kiedy już prawie straciłem nadzieję, że zjawi się u mnie na sylwestra, przyszła wiadomość w postaci jednego słowa. *Tak*.

Długo nie mogłem zasnąć. Myślałem o tym słowie. „Tak”.

O świcie obudził mnie skurcz w łydce. Zastanowiłem się, czy to nie objaw cukrzycy. Skurcze były jednymi z pierwszych objawów tej choroby, ale nie piłem za dużo wody ani nie wstawałem nocą, żeby opróżnić pęcherz.

Poszukałem pasków do mierzenia poziomu glukozy we krwi w reklamówce, w której trzymałem leki. Wynik wyniósł 6,9. Nie miałem cukrzycy.

Potem, w przypływie energii wysprzątałem przyczepę. Nie robiłem tego, odkąd spłonął mój dom i w niej zamieszkałem. Roznieciłem ogień w starej beczce po oleju, w której dziadek palił śmieci i wrzuciłem do niej parę niepotrzebnych rzeczy. Na końcu spaliłem niebieską chińską koszulę. Jej kolor już wyblakł, rękawy się wystrzępiły, podobnie dziurki na guziki. Podpaliłem jeden koniec materiału, a potem dokładałem resztę.

Kiedy byłem dzieckiem, czasem mściłem się za ból zęba, wyrывая owadom skrzydełka. Zdarzyło mi się utopić motyla za wielki siniak na nodze, raz nawet złowiłem okonia, rzuciłem go na ziemię i patrzyłem, jak się dusi.

Z czasem nauczyłem się mścić na nieżywych rzeczach. Teraz zaprowadziłem na szafot chińską koszulę.

W połowie dnia wypłynąłem łódką między wyspy. Namiot stał na swoim miejscu, chociaż wichura wyrwała z ziemi parę śledzi. Wyglądało na to, że nikt w nim nie sypia. Kamyki i gałazki, które ułożyłem specjalnie tak, by zdradziły czyjąś obecność, leżały tam, gdzie je zostawiłem. Nikt też nie palił ogniska między kamieniami.

Morze nareszcie się uspokoiło. Płynąc z powrotem na wyspę, rozglądałem się za zerwanymi przez sztorm sieciami, jakie widywałem wcześniej tego roku. Zerwane nie przestawały łapać ryb, chociaż nikt nie zamierzał wciągać ich na pokład.

Nocą wyspy okryły się grubą warstwą śniegu. O świcie rozebrałem się do naga i poszedłem się wykąpać. Potem wracałem po moich śladach w śniegu, oświetlając sobie drogę latarką.

Nadeszła zima. Wkrótce miało przyjść Boże Narodzenie, potem Nowy Rok.

Śnieg utrzymał się do Świąt, stopniał trzeciego dnia po Wigilii, kiedy nadszedł ciepły wiatr z południa. Rozciągnąłem sznur okrągłych lampek między szopą a przyczepą. Weronika przywiozła mi dodatkowe krzesła, pierwszą partię jedzenia i zastawę stołową. Pomogła mi przygotować próbę generalną, nakrywając do stołu. Wszystko się mieściło, choć było dość ciasno.

Sylwestrowy poranek był słoneczny i zimny. Nie wiał wiatr. O trzeciej po południu Weronika przywiozła resztę jedzenia, przygotowała wszystko i udzieliła mi potrzebnych instrukcji. Żeby mi ułatwić zadanie, przywiozła zupę w termosach. Pożyczyła mi też dodatkową kuchenkę gazową, którą postawiliśmy w osłoniętym od wiatru miejscu za przyczepą.

Potem napiliśmy się po łyku wódki prosto z butelki, życzyliśmy sobie szczęśliwego nowego roku i pożegnaliśmy się na pomoście. Pomachałem Weronice na do widzenia, życząc jej udanej wyprawy na Islandię.

O siódmej przypląnął Jansson z Lisą Modin. Drogę do przyczepy oświetlał sznur kolorowych lampek. Jansson potrzebował pół godziny, żeby przygotować pokaz sztucznych ogni.

Potem usiedliśmy we trójkę przy stole, jedliśmy i piliśmy od wpół do ósmej do jedenastej. Byliśmy już porządnie podpici, jedzenie się skończyło, a w przyczepie zrobiło się tak gorąco, że Jansson zdjął koszulę i siedział z nagim torse. Kiedy Lisa wyszła, żeby zrobić siusiu, zapytałem Janssona, czy aby nie przyszła już pora, by dla nas zaśpiewał. Rozpromienił się, jakby już zaczął się martwić, że nigdy go o to nie poproszę. Powiedział jednak, że wolałby zaśpiewać po północy, kiedy nastanie Nowy Rok.

– *Ave Maria* – powiedziałem. – Musimy to usłyszeć.

– Obiecuję – odparł. – I nie tylko to. Zaśpiewam coś jeszcze.

Nie mogłem się powstrzymać i zapytałem, co to będzie.

– *Buona Sera*. Piosenka, którą Little Gerhard<sup>2</sup> rozślawił w Szwecji w latach pięćdziesiątych.

Pamiętałem ten przebój, ale wolałbym usłyszeć *Ave Maria* w połączeniu z czymś innym.

– Świetnie – powiedziałem jednak. – Znakomicie.

Po chwili wróciła Lisa Modin. Jej oczy lśniły od alkoholu. Zachwiała się lekko i roześmiała się z powodu swojej niezdarności.

Na uczczenie Nowego Roku chłodziła się butelka szampana Veuve Clicquot. Miałem w pamięci jego etykietę jeszcze z dnia, kiedy rodzice obchodzili którąś rocznicę ślubu i ojciec wyjątkowo o niej nie zapomniał. Matka była bardzo zaskoczona, kiedy przyszedł do domu z szampanem. Postanowiłem, że kupię go na przyjazd Louise z Agnes, Ahmedem i Muhammadem.

Czekając na północ, dopiliśmy resztkę czerwonego wina.

Potem wyszedłem na zewnątrz i zadzwoniłem do Louise, która wciąż była w szpitalu.

– Jesteś pijany – powiedziała, usłyszawszy mój głos. – Ale właściwie mnie to cieszy.

Wróciłem do przyczepy po krótkiej rozmowie.

Parę minut przed dwunastą wyszliśmy wszyscy troje. Jansson twierdził, że jego zegarek jest dokładny co do sekundy. Nie

chcieliśmy włączać radia ani telewizora. Świecąc sobie latarkami, weszliśmy na pagórek z ławką moich dziadków. Sznur kolorowych światełek rozciągniętych między przyczepą a szopą odbijał się w wodzie. Było bezwietrznie. Termometr za oknem przyczepy wskazywał dwa stopnie powyżej zera. Po niebie płynęły powoli postrzępione chmury. Jansson szedł pierwszy. Słyszałem, że cichutko się rozśpiewuje. Lisa potknęła się o kamień. Złapałem ją i chwyciłem pod ramię. Pozwoliła mi się tak prowadzić.

Stanęliśmy na szczycie pagórka. Otaczała nas kompletna cisza. Jansson świecił latarką na swój dokładny zegarek, a ja próbowałem wyobrazić sobie Louise z Agnes, Ahmedem i Muhammadem na wózku. Zamknąłem na moment oczy i ujrzałem ich wyglądających przez okno paryskiego mieszkania.

Staliśmy tak we trójkę, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na ziemi. Jansson zaczął głośno odliczać ostatnie sekundy starego roku. Ująłem zimną dłoń Lisy Modin. Pozwoliła mi ją trzymać. Drugą ręką poszukałem w kieszeni zapalniczki. Miałem ją dać Janssonowi, żeby odpalił sztuczne ognie.

– Teraz – oznajmił wreszcie głosem drżącym ze wzruszenia.

Kolejny rok dobiegł końca. Jansson zaintonował *Buona Sera*. Lisa знаła tę piosenkę, ale zaniemówiła tak samo jak ja na przyjęciu Harriet, kiedy po raz pierwszy usłyszałem piękny głos Janssona. Trzymał oburącz latarkę i od dołu oświetlał sobie twarz. Wyglądała przez to blade i niepokojąco, ale ani mnie, ani Lisie to nie przeszkadzało. Jego głos kazał nam myśleć o przyszłości. Potem zaśpiewał *Ave Maria*. Zniknęła zima wokół nas. Poczuliśmy się jak latem, kiedy wszystko wokół zakwita. Ujrzałem Harriet siedzącą z lampką wina w dłoni oraz Janssona, który podniósł się z krzesła u szczytu stołu i zaśpiewał tak, że aż zapało nam dech.

Kiedy zamilkł, spostrzegłem, że Lisa ma łzy w oczach. Ja również, zapewne też i sam Jansson. Podawaliśmy sobie szampana i piliśmy prosto z butelki, jak dobrzy przyjaciele. Życzyliśmy sobie szczęśliwego Nowego Roku i wychwalaliśmy głos Janssona. Przypomniałem mu o fajerwerkach. Wystrzały niezbyt imponujących sztucznych ogni dudniły echem między kamieniami i jaśniały na krótko pod niebem, by po chwili zgasnąć. Mimo to ja

i Lisa oklaskiwaliśmy głośno wysiłki Janssona, by odegnać złe moce dymem i hukiem wystrzałów.

Potem wróciliśmy do przyczepy. Jansson poczuł się nagle bardzo zmęczony i odmówił, kiedy zaproponowałem mu szklanę grogu na dzinie.

– Zbiorę się już do domu – powiedział. – To późna pora dla starego listonosza, który odzwyczaił się od śpiewania.

– Nie sądziłam, że masz taki głos – pochwaliła go znowu Lisa. – Pomyśleć, że na naszych wyspach skrywa się taki tenor!

– Woleę, kiedy otacza mnie cisza – odparł Jansson, wstając z krzesła.

Zdawał się niespokojny, jakby coś go zdenerwowało.

Odprawiliśmy go na pomost. Zdziwiło mnie, że tak nagle wytrzeźwiał. Idąc w dół między kamieniami nie zachwiał się ani razu. W dodatku szedł szybko, jakby nagle zaczęło mu się spieszyć. Powróciło do mnie uczucie, którego doznałem już wcześniej. Miałem wrażenie, że zupełnie go nie znam. Chciałem, żeby sobie poszedł, ale nagle zawahał się i stanął w miejscu.

– Naprawdę pięknie zaśpiewałeś – powiedziałem.

– Mozart i Litthe Gerhard – dodała Lisa. – Niezwykłe połączenie.

– Schubert, nie Mozart – poprawił ją Jansson.

– A kto napisał tę włoską piosenkę?

Jansson pokręcił głową. Nie wiedział.

– Wsiadaj do łodzi – ponagliłem go. – Nieważne, kto napisał *Buona Sera*.

Wskoczył na pokład i zaczął odpalać silnik. Ja i Lisa staliśmy na pomoście i marzliśmy. Jansson naciągnął na uszy skórzaną czapkę, znoszoną już bardzo przez wiele lat rozwożenia poczty.

Z oddali dobiegał huk fajerwerków.

– Strzelają na Vattenholmen – stwierdził Jansson.

– Jak się nazywa rodzina, która tam mieszka? Erlandssonowie?

– Tak. Mają firmę wysyłkową sprzedającą produkty lecznicze. Kilka razy ludzie składali na nich skargi na policję, bo obiecują, że ich zioła i kremy leczą wszystko, od egzemy po nowotwory.

– Ten ich wielki dom musiał sporo kosztować.



– No właśnie. Wiecie, jak ludzie mówią. W każdym bogactwie musi się kryć trochę oszustwa.

Chwilę później Jansson schował się sterówce i zwiększył obroty silnika. Potem wychylił się jeszcze przez okienko, pomachał nam na do widzenia i po chwili odbił tyłem od pomostu. Odprowadzaliśmy go wzrokiem, aż czerwone i zielone światełka zniknęły za cyplem.

Wszedłem do szopy i wyłączyłem sznur lampek. Zaraz po tym poszliśmy z powrotem do przyczepy.

– On naprawdę przepięknie śpiewa – odezwała się Lisa.

– To miała być niespodzianka. Jansson ukrywa swój talent, jakby był jakąś mroczną tajemnicą.

– Dlaczego tak nagle zaczęło mu się spieszyć?

Przystanęliśmy przed przyczepą. Nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Jansson był czasem jak leniwy kot, który nie wykonuje żadnych niepotrzebnych ruchów. Potem nagle potrafił się przeobrazić w dzikie zwierzę, bezszelestnie przemykające pomiędzy skałami.

Weszliśmy do przyczepy. Razem z jedzeniem i naczyniami Weronika przywiozła mi parę czarnych worków na śmieci oraz kilka papierowych toreb. Poinstruowałem Lisę, żeby powkładała butelki do tych drugich. Osobno szkło kolorowe i osobno białe. Sam zebrałem resztki jedzenia z talerzy i wrzuciłem je do czarnego worka. Wcześniej, zanim Weronika odjechała, zapytałem ją, po co mi kilka takich worków.

– Jeden może się przydać, jeśli komuś zachce się wymiotować – wyjaśniła. – Potem nie będzie pan musiał sprzątać przed przyczepą.

Żadne z nas nie wypilo tyle, żeby dostać mdłości. Wprawdzie nie byłem tego pewien, ale nie sądziłem, by Jansson albo Lisa wymiotowali w tajemnicy za przyczepą.

Zawiązałem worek z resztkami i wcisnąłem go pod przyczepę. Następnie przystawiłem go skrzynką piwa, które nie cieszyło się wielką popularnością podczas przyjęcia.

Kiedy skończyłem, nie mogłem się oprzeć pokusie, by dyskretnie zajrzeć do środka przez okno. Lisa Modin siedziała na łóżku. W jednej ręce trzymała niezapalonego papierosa, w drugiej zapalniczkę, której Jansson użył do odpalenia fajerwerków.

Nagle podniosła wzrok i spojrzała prosto w okno. Nie zdążyłem się odsunąć. Zawołała, żebym wszedł do środka, po czym wyciągnęła rękę i zgasła światło.

Rozłożyła dla mnie materac na podłodze, a sama zajęła łóżko. Miałem ochotę sięgnąć do niej i ją pogłaskać, ale nie odważyłem się tego zrobić. W tej chwili byłem przede wszystkim wdzięczny, że nie muszę być sam. Ciekawiło mnie, czy ona czuje to samo.

Potem Lisa niespodziewanie zaczęła mi opowiadać o sobie. Być może dlatego, że za dużo wypila, ale równie dobrze mogła mieć inny powód.

Powiedziała mi o mężczyźnie, który był kiedyś częścią jej życia i o którym do dzisiaj nie zapomniała.

– To było jeszcze zanim spróbowałam swoich sił jako dziennikarka – mówiła. – Nie wiedziałam jeszcze, co chcę robić w życiu. I czy w ogóle kiedykolwiek uda mi się coś osiągnąć. Przez kilka lat zarabiałam na życie, pracując w sklepie z farbami. Możesz mnie zapytać o jakąkolwiek farbę albo pędzel, a wszystko będę ci w stanie wyjaśnić. Pewnego dnia do sklepu przyszedł pewien mężczyzna i kupił małą puszkę niebieskiej farby. Wystarczyło, że na niego spojrzałam i już miałam pewność, że chcę z nim spędzić życie. Wrócił po paru dniach i kupił drugą puszkę. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział mi, że odnawia starą szafę. Wkrótce potem byliśmy już parą. Miał potwornie nudną pracę w urzędzie gminy i za każdym razem, kiedy wracał do domu, spowijał go mroczny cień. Nie był nawet zbyt przystojny, ale zakochałam się w nim bez pamięci. On we mnie też. Byliśmy razem cztery lata. Aż jednego dnia wrócił do domu, spowity w tę samą czarną chmurę i zakomunikował mi, że nie chce już ze mną być. Od tamtej chwili minęło niemal piętnaście lat, ale szczerze mówiąc, do dzisiaj się z tym nie pogodziłam.

Lisa zamilkła.

– Dlaczego postanowiłaś mi o tym opowiedzieć?

– Chcę, żebyś wiedział.

– Wolałbym nie wiedzieć.

– A co takiego byś wolał?

– Teraz po prostu się cieszę, że jesteś tu ze mną. Być może jutro przyjdzie mi do głowy coś innego.

Długo leżeliśmy pogrążeni w leniwej rozmowie. Lisa stopniowo uchylała kolejne drzwi swojego życia i pozwalała mi zajrzeć do środka.

W przyczepie zrobiło się bardzo ciepło. Kaloryfer był ustawiony na pełną moc. Jednak ani Lisa, ani ja nie mieliśmy siły, by wstać i go wyłączyć.

Tej noworocznej nocy zaświtała mi w głowie nadzieja, że może mimo wszystko mnie i Lisę coś łączy, pomijając moje wcześniejsze fantazje.

Nagle zadzwoniła moja komórka. Było za późno na telefon od Louise, musiała być co najmniej trzecia nad ranem. Zakląłem głośno i otarłem dłonią pot z twarzy. Lisa podniosła głowę i patrzyła, jak sięgam po aparat i odbieram. Ktoś, kto dzwoni tak późno, musi być pijany, spodziewałem się więc, że to będzie krótka rozmowa.

Dzwonił Jansson. Wcale nie był pijany. Bardzo się bał. Musiał cały się trząść, bo drżał też jego głos.

– Pali się! – wrzasnął mi do ucha. – Mój Boże! Pali się dom Karla-Everta Valfridssona! Cały stoi w płomieniach. Wyjdź przed przyczepę, a na pewno zobaczysz ogień.

Tak też zrobiłem. Wyszedłem i spojrzałem na północny zachód. Od razu zobaczyłem w oddali jaśniejący punkt. Płomienie wzbijały się tak wysoko, jakby na wyspie Karstensö rozgorzała wojna.

– Ledwie usnąłem i nie wiem, co mnie obudziło – mówił dalej Jansson. – Ale teraz jestem tutaj. Niech przyplynie każdy, kto chce pomóc!

– Czy Valfridssonowie się wydostali?

– Nie ma ich tutaj. Dom był pusty. Spłonnie cały aż do ziemi.

– Czy wiadomo, co się stało?

Jansson milczał, ale to wystarczyło mi za odpowiedź. Podpalacz uderzył ponownie.

– Zaraz wypływam – powiedziałem. – Przyplyniemy oboje z Lisą.

Wszedłem z powrotem do przyczepy. Lisa włączyła światło i była już prawie ubrana.

– Domyśliłam się, że znowu płonie jakiś dom – powiedziała. – Czy to prawda?

– Tak. To chyba następne podpalenie. Musimy tam popłynąć i spróbować jakoś pomóc.

– Czy ktoś zginął?

– Nie.

Nie mówiąc nic więcej, ubraliśmy się i zeszliśmy do łodzi.

Poprosiłem Lisę, żeby usiadła na dziobie z latarką skierowaną na wprost. Nie miałem latarni. Sam usiadłem na rufie i rozłożyłem mapę na kolanach. Co jakiś czas sprawdzałem trasę, świecąc sobie telefonem. Od wyspy Karstensö dzieliły nas niespełna dwie mile morskie, ale po drodze były podwodne skały, których położenia dobrze nie znałem.

Kiedy wpłynęliśmy do zatoki Harfjärden, dom Valfridssonów zajaśniał jak ogromny stos podczas ceremonii wikingów.

Płynęliśmy prosto w ogień.

Łodzie nadpływały ze wszystkich stron.

Nowy Rok zaczął się od pożaru następnego domu.

Kolejny raz stanął mi przed oczami mój dom zmieniający się w dymiącą ruinę.

Płomienie pożerały dom Valfridssonów z taką samą zaciekłością, z jaką pochłoneły mój. Ogień był potężny, ale stary budynek zawzięcie stawiał mu opór. Patrząc na ten żywioł, w pewnym momencie miałem wrażenie, że widzę lwa zaciskającego szczęki na gardle gazeli.

Trzydzieści osób biegało tam i z powrotem z wiaderkami i wężami, wszyscy głośno krzyczeli. Bieganina ustała dopiero wówczas, kiedy przyплыnęła straż przybrzeżna i puściła w ruch armaturę gaśniczą. Strażakami dowodził lekko podpity Alexandersson. Znałem wszystkich ludzi, którzy przyплыnęli na wyspę. W chaosie i pokrzykiwaniu życzyliśmy sobie szczęśliwego Nowego Roku.

Zauważyłem, że Lisa Modin dobrze sobie radzi w kryzysowych sytuacjach. Kiedy jeszcze trwało amatorskie gaszenie, wyszła z paroma inicjatywami i ludzie jej posłuchali.

Niestety nasze starania zdały się na nic. Dom został umiejętnie podpalony i wyglądało na to, że spłonie aż do samej ziemi. Koło piątej nad ranem załamał się dach. Rozgrzane dachówki roztrzaskiwały się, spadając na skały. Szyby w oknach pękały z brzękiem, wpuszczając do środka tlen, który dodawał siły płomieniom. Ludzie zgromadzeni wokół domu musieli się odsunąć, bo robiło się coraz goręcej.

Przez chwilę stałem obok Alexanderssona. Po twarzy płynął mu pot czarny od sadzy.

– Kolejny pożar – powiedział ponuro. – Kto pozbawia dachu nad głową mieszkańców naszych wysp? Czym sobie na to zasłużyliśmy?

– Czy ten pożar zaczął się tak samo jak w moim domu? – zapytałem. – W kilku miejscach na raz i nie ma innej przyczyny niż podpalenie?

– Jeszcze za wcześnie, żeby to ocenić. Ale jestem pewien, że tak jest. Ten sam szalaniec, ta sama metoda.

Pokręcił głową, splunął czymś czarnym, być może porcją snusa, który miał pod wargą i wrócił do węży i pomp.

Lisa Modin usiadła na starych sankach leżących obok grilla nakrytego składaną kabiną do łodzi. Jej spocona twarz lśniła w blasku płomieni. Raz widzę ją w Paryżu, innym razem podczas pożaru domu na sąsiedniej wyspie, pomyślałem. Mieliśmy przed sobą noc pełną spokojnych rozmów, zanim telefon Janssona zerwał nas na równe nogi.

Rozejrzałem się za starym listonoszem. Długo nie mogłem go dostrzec, ale w końcu zauważyłem go, stojącego w cieniu, gdzie prawie nie docierało światło pożogi. Stał w dziwnej pozycji i wydał mi się niepodobny do siebie. Podszedłem parę kroków bliżej. Wciąż mnie nie zauważył. Intensywnie wpatrywał się w płomienie. Dopiero teraz dostrzegłem, co jest nie tak w jego postawie. Miał wyciągnięte ręce i splecione dłonie, jakby odmawiał modlitwę do jakiegoś tajemniczego bóstwa. Zastygł w zupełnym bezruchu i wyglądał jak drewniany posąg albo strach na wróble.

Zauważył mnie w tej samej chwili, w której pomyślałem o tym drugim. Szybko rozplótł dłonie, jakbym przyłapał go na jakiejś wstydlivej czynności.

Nie wiedziałem, czego Jansson najbardziej by się wstydził. Może gdyby upuścił list do morza albo pozwolił, by wiatr wyrwał mu banknoty z ręki, gdy właśnie podawał staruszkowi emeryturę. A może najbardziej się obawiał, że niewystarczająco trenuje swój głos i pewnego dnia z jego gardła wydobędzie się fałszywy dźwięk?

Stanąłem tuż obok niego. Śmierdział potem i alkoholem. Wciąż miał na sobie elegancką koszulę, teraz całą w sadzy.

– Na szczęście nikogo nie było w domu – powiedziałem. – Nikt nie zginął.

– To i tak wielkie nieszczęście – odparł.

– Myślisz, że to kolejne podpalenie?

Jansson wzdrygnął się, jakbym powiedział coś nieoczekiwanego.

– A skąd wzięłoby się ognień?

– Ale komu chciałoby się przyplęwać tu w noworoczną noc?

Nie odpowiedział. Staliśmy długą chwilę w milczeniu. Przyglądałem się strażakom kręcącym się wokół płonącego domu. Byłem ciekaw, czy Jansson myśli o tym samym, co ja. Że podpalaczem może być ktoś z obecnych tutaj ludzi.

Zerknąłem na niego kątem oka, ale nie udało mi się niczego wyczytać z jego twarzy.

Była już siódma, kiedy z Lisą wsiedliśmy do łodzi i odpłynęliśmy. Dom Valfridssonów miał płonąć jeszcze przez kilka godzin, ale nie dało się już temu zaradzić. Alexandersson skontaktował się z właścicielami, którzy przebywali w hotelu w Marsylii. Powiedział, że pani Valfridsson wrzasnęła mu do ucha tak głośno, że o mało nie pękł mu bębenek.

Znałem ją. Była bardzo szczupłą kobietą w moim wieku. Kiedyś przypląnęła do mnie małą motorówką i poprosiła, żebym jej zajrzał do gardła. Wydawało jej się, że ma tam jakiegoś guza. Posadziłem ją na ławce przy szopie, kazałem szeroko otworzyć usta i cofnąć język. Nie znalazłem żadnego guza. Kiedy jej o tym powiedziałem, rozpląkała się i długo nie mogła się uspokoić. Czułem się bezradny. Jako lekarz byłem przyzwyczajony do gwałtownych reakcji pacjentów na wieść o diagnozie, ale Hanna Valfridsson zupełnie mnie zaskoczyła.

Teraz wrzeszczała do ucha Alexanderssona aż z luksusowego hotelu w Marsylii.

Popłynęliśmy do portu. Wsiadając do łodzi, zapytałem Lisę, dokąd chce popłynąć. Poprosiła, żebym ją odwiózł. Wydawało mi się, że wciąż jestem zbyt pijany, by prowadzić, nie sądziłem jednak, żeby tak wcześnie rano po sylwestrowej nocy i na takim odludziu policjantom chciało się polować na nietrzeźwych kierowców.

Jechaliśmy do miasteczka w milczeniu. Dom Oslovskiej był niezmiennie opustoszały i zamknięty na cztery spusty, ale zanim wsiadłem do auta, przyjrzałem się oknu obok ganka. Nie miałem pewności, ale wydawało mi się, że firanka wisiała inaczej niż wcześniej. Mogło mi się to wydawać, być może dlatego, że w głębi ducha życzyłem sobie, żeby w tym domu ktoś mieszkał.

Lisa zapytała mnie, czemu się tak przyglądam.

– Firance – wyjaśniłem. – Sam nie wiem, czy dobrze widziałem, ale zdawało mi się przez chwilę, że ktoś za nią stoi i na nas patrzy.

– Na dzisiaj wystarczy mi już ten pożar – odparła Lisa. – Nie chcę słyszeć o duchach.

Jechaliśmy w gęstej mgle, która w niektórych miejscach czyniła drzewa przy drodze niewidocznymi. Lisa włączyła radio, żeby wysłuchać wiadomości.

W sylwestrową noc doszło do zamieszek w kilku dzielnicach Paryża. Strażak został ranny w skroń podczas gaszenia pożaru. W Moskwie doszło do kradzieży kosztowności w jednej z największych w Rosji firm jubilerskich. Złodzieje dostali się do pomieszczeń sklepu przez dach. Jedna osoba zmarła po zażyciu narkotyku o nazwie Spice. Powoli nadciągała burza śnieżna ze wschodu. Trudno było oszacować, jak daleko na południe będzie sięgał ten front.

Lisa wyłączyła radio i poprosiła mnie, żebym się zatrzymał. Skręciłem w leśną drogę do zwózki drewna. Lisa wysiadła. Kiedy zorientowałem się, że nie poprosiła o przystanek, żeby zrobić siusiu, również wysiadłem i poszedłem za nią. Było całkiem bezwietrznie. Wokół panowała głęboka cisza. Lisa przeszła parę metrów drogą w głąb lasu i niemal straciłem ją z oczu. Jeszcze kawałek, a rozpląnęłaby się we mgle. Wystraszyłem się. Nie chciałem, by zniknęła między powykęcanymi sosnami. Nie chciałem, żeby przestała istnieć.

– Czuję się tak, jakbym była z innej opowieści – powiedziała.

Mówiła cicho, jakby nie chciała przerywać otaczającej nas ciszy. Z perspektywy, z której na nią patrzyłem, od tyłu i nieco po skosie, wyglądała jak dzikie zwierzę. Zwierzę, które boi się, że w każdej chwili może zostać zaatakowane.

– Z innej opowieści niż jaka? – zapytałem.

Odpowiedziała mi, wciąż zwrócona do mnie plecami.

– Z innej opowieści niż ta, w której żyję. Czasem robi mi się niedobrze od tych bezsensownych artykułów, które piszę dla gazety. Moje słowa umierają w chwili, kiedy są czytane. Gazetę obiera się ze słów, tak jak strząsa się robaka ze ściany albo z ubrania.



Nie rozumiałem, o co jej chodzi, ale byłem pewien, że wypowiada świadomie każde słowo.

– Chcę pisać co innego – mówiła dalej. – Nie książki, nie mam wystarczającego talentu. Gdybym została pisarką, żyłabym w cieniu autorów, którzy naprawdę potrafią dobierać słowa i tworzyć teksty, których się nie zapomina. Może chcę kreślić mapy okolic, których jeszcze nikt nie przemierzył? Dawniej puszczało się krowy samopas, żeby same znalazły najkrótszą drogę do domu. Ja też chcę zostać tak wypuszczona, a na pewno odnajdę zapomniane ścieżki.

Staliśmy chwilę pogrążeni w milczeniu. Otaczał nas las. Dla mnie był to, już po raz siedemdziesiąty, pierwszy dzień w roku. Przeraziła mnie myśl, jak niewiele mi już pozostało w życiu. Dostałem dreszczy. Lisa odwróciła się i zobaczyła, że cały się trzęsę.

Uśmiechnęła się.

– Napijmy się kawy – powiedziała. – Potem opiszę ze szczegółami dzisiejszy pożar.

Klatka schodowa w bloku Lisy Modin tonęła w zupełnej ciszy. Lisa tupiała głośno, jakby chciała zaprotestować przeciwko tej niegościnnej atmosferze. Za drzwiami, które właśnie mijaliśmy, rozszczękał się pies, ale zamilkł nagle, uciszony ostrą reprymendą swojego pana. Szedłem parę kroków za Lisą. Wyciągnąłem rękę, ale nie miałem odwagi jej dotknąć.

Poszła prosto do kuchni, żeby zaparzyć kawę, a ja usiadłem na kanapie, na której próbowałem kiedyś zasnąć.

Piliśmy przy kuchennym stole, zjedliśmy parę kanapek i prawie nie rozmawialiśmy.

– Powinnam się przespać – powiedziała Lisa, zbierając naczynia, kiedy skończyliśmy jeść. W przeciwnym razie będzie mi się wydawało, że to był tylko sen.

– Mogę ci przypomnieć, że dom naprawdę się spalił.

Pochyliła się nad zlewozmywakiem, ale podniosła głowę i spojrzała na mnie ze zmartwioną miną.

– Co się dzieje na tych waszych wyspach? – zapytała. – Dlaczego nocami płoną domy? Nigdy nie widziałam pożaru z bliska i nie miałam pojęcia, że ogień potrafi tak przeraźliwie ryczeć. Teraz usłyszałam to na własne uszy.

– To było kolejne podpalenie. Nie potwierdzono tego jeszcze oficjalnie, ale ludzie i tak wiedzą swoje. Myślę, że zrobił to ktoś, kto potem pomagał gasić pożar razem z innymi.

– Znalezienie winnego nie powinno być aż tak trudne – odparła poirytowanym głosem. – Nie ma was tam przecież aż tak dużo i niewiele jest zamieszkałych wysp.

– Nikt niczego nie zyskał na podpaleniu mojego domu. Czy ktoś odniesie jakąś korzyść ze spalenia domu Valfridssonów? I po co ktoś podpalał starą rybacką chałupę wdowy Westerfeldt? Moim zdaniem to dzieło jakiegoś szaleńca.

– A może to zemsta?

– Nieraz ludzie drą ze sobą koty i niejednego zżera zazdrość, ale nie aż tak, żeby ryzykować spalenie kogoś żywcem w jego własnym domu.

– Myślę, że można oszaleć z zawiści.

– My, mieszkańcy tych wysp, jesteśmy na to zbyt prości.

– Ty przecież nie jesteś stąd.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

– Ja może i nie, ale pochodzi stąd moja rodzina. Poza tym wykonuję szanowany zawód. Jestem lekarzem i ludzie uważają mnie za użytecznego. Można powiedzieć, że przyznano mi coś w rodzaju honorowego obywatelstwa. Nie jestem stąd, nie mam w duszy odcisniętego stempla tego miejsca, ale zostałem tutaj zaakceptowany.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Widziałem po minie Lisy, że się ze mną nie zgadza, ale nie miałem ochoty ciągnąć tego tematu.

Potem poszliśmy do jej sypialni i położyliśmy się na szerokim łóżku, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Wsłuchiwałem się w jej równy i coraz głębszy oddech. Jeszcze przez chwilę tańczyły mi przed oczami płomienie, a później w końcu usnąłem.

Obudziłem się o wpół do dziesiątej. Miałem ciężką głowę i czułem suchość w ustach. Z kuchni dobiegały dźwięki przyciszonego radia oraz brzęk naczyń. Odkaszlnąłem głośno i usłyszałem, jak Lisa odsuwa taboret od stołu. Zaraz po tym stanęła w drzwiach do

sypialni w swoim granatowym szlafroku. Miała w ręce szklankę z wodą.

– Jeśli czujesz się tak samo jak ja, na pewno chcesz się czegoś napić – powiedziała.

Opróżniłem szklankę duszkiem.

– Masz jakieś tabletki na ból głowy? – zapytałem.

Poszła z powrotem do kuchni i za moment wróciła z tą samą szklanką, ale tym razem coś w niej musowało.

Wypiłem łąpczywie i położyłem głowę na poduszce.

– Jak ci idzie pisanie artykułu? – zapytałem.

– Jeszcze nie zaczęłam. Ale za chwilę się za niego zabiorę.

– Czy napiszesz też o strażaku ochotniku, który śpi w twoim łóżku?

– Nie tym razem.

Nagle zabręczała moja komórka. Dzwonił Kolbjörn, elektryk. Nie pytał, gdzie jestem, ale życzył mi szczęśliwego Nowego Roku i zaraz po tym wyłuszczył swoją sprawę. Kolbjörn nie lubił konwersować po próżnicy.

Wyglądało na to, że grupa ludzi gaszących nocą pożar podjęła pewną decyzję. Teraz jej członkowie obdzwaniali pozostałych mieszkańców wysp. Ja znalazłem się na liście Kolbjörna.

Poznałem po jego głosie, że ma kaca albo nawet wciąż jest pijany. Krążyła plotka, że wpada w ciągi alkoholowe, chociaż nikt nigdy nie był tego świadkiem. Nigdy nie widziałem go pijanego przy pracy, nawet kiedy żyli jeszcze moi dziadkowie, a on jako bardzo młody chłopak praktykował u starego majstra nazwiskiem Ruben. To było jeszcze zanim Kolbjörn zatrudnił się we flocie handlowej.

– Zwołaliśmy zebranie w sali stowarzyszenia mieszkańców – powiedział. – Odbędzie się w święto Trzech Króli o czternastej. Chcemy, żeby przyszło jak najwięcej ludzi. Musimy omówić sprawę podpaień.

– Chcecie zapobiec następnym?

– Trzeba złapać tego podpalacza. Wtedy nie będzie więcej pożarów.

– Podejrzewacie kogoś?

– Nie.

– Przyjdę.

W trakcie mojej rozmowy Lisa wyszła z sypialni. Zostawiła uchylone drzwi do swojej pracowni.

Kiedy tam zajrzałem, siedziała przy biurku i pisała ręcznie w notatniku. Szlafrok rozchylił się na jej udzie. Uzmysłowiło mi to, że potrzeba życia erotycznego nie zanikła we mnie ostatecznie, jak wyschnięte źródółko. Bynajmniej tak nie było.

Nie chciałem jednak, żeby Lisa zobaczyła mnie w drzwiach. Wycofałem się więc, usiadłem przy stole w kuchni i celowo głośno odstawiłem szklankę na stół.

Po chwili zjawiała się z notatnikiem w ręce.

– Zaczęłam pisać o pożarze – powiedziała. – Podam tylko informację, że znalazłam się tam przypadkiem, bo spędzałam sylwestra na sąsiedniej wyspie. Nie podam żadnego nazwiska.

– Mogłabyś wspomnieć chociaż o starym listonoszu Janssonie. Bardzo by się ucieszył, gdyby zobaczył swoje nazwisko w lokalnej gazecie. Ma na imię Ture.

Zorientowałem się, że Lisa mnie nie słucha. Wyglądała na zaniepokojoną, ale kiedy znów się odezwała, przemówiła spokojnym i stanowczym tonem.

– Przywykłam do samotności – oznajmiła. – Teraz wolałabym pobyć sama. Muszę się zabrać za pisanie.

– Nie będziesz nawet wiedziała, że tu jestem. Umiem być cicho.

– Nie o to mi chodzi. Muszę się odciąć od świata.

Poszedłem do przedpokoju i usiadłem na taborecie, żeby zawiązać buty. Lisa stanęła w drzwiach do kuchni, wciąż z tym samym notatnikiem w ręce. Odsunęła się, kiedy wstałem i spróbowałem ją przytulić.

– Nie teraz – powiedziała. – Nie gniewaj się, po prostu chcę być sama.

Pojechałem do portu. Po polu ciągnącym się między drogą a zatoką powoli sunął narciarz na biegówkach. Przed nim biegł pies tropiący niewidzialną zwierzynę.

Zaparkowałem samochód na swoim miejscu. Od morza ciągnął przejmujący chłód. Poczułem nieodpartą chęć, żeby zajrzeć do garażu Oslovskiej. Podeszedłem do drzwi, ale były zamknięte na

klucz. Zajrzałem do środka przez brudne okienko. Wewnątrz ziała pustka po skradzionym DeSoto Fireflite. Gardło ścisnęło mi się z żalu, może nawet tęsknoty za tą kobietą, której prawie nie znałem. Mimo wszystko była mi bliska. Jej szklane oko widziało we mnie więcej niż oczy innych ludzi.

Potem poszedłem do portu, całkiem opustoszałego w ten noworoczny poranek. Patrząc na czarne morze, pomyślałem, że marznie tak samo jak ja.

W nocy z piątego na szóstego stycznia padał śnieg. Kiedy przybiłem do przystani w zatoczce poniżej kościoła, zobaczyłem ślady stóp w śniegu biegnące od pomostu w górę. Wcisnąłem się między starą drewnianą łódkę wiosłową, której właściciel przyplłynął z wyspy Krutholmen, a drewnianą motorówkę z 1942 roku należącą do pilota morskiego Holména. Sądząc po liczbie łodzi, na spotkanie przybyło wielu ludzi. Ślady w śniegu wyglądały tak, jakby zostawiło je stado wron drepczące chwilę w jednym miejscu, zanim zdecydowało się polecieć dalej.

W dużej sali stowarzyszenia mieszkańców w kominku płonął ogień. Podawano też kawę. Kiedy mnie ujrzał, Kolbjörn Eriksson skinął głową na powitanie. Podszedł i podał mi rękę. Miał wielką dłoń i uścisk niedźwiedzia.

- Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział.
- Dobrze, że zjawilo się tylu mieszkańców – odparłem.
- Będiesz chciał coś powiedzieć?
- Po co miałbym to robić?
- Twój dom spłonął jako pierwszy.

Pokręciłem głową. Nie miałem nic do powiedzenia. Ustawiłem się w kolejce do termosu z kawą i zamieniłem parę słów z ludźmi, których rzadko spotykałem. Zauważyłem, że w miarę upływu lat dramatycznie spadła u mnie zdolność zapamiętywania imion i nazwisk. Czasem myślałem z przerażeniem, że w mojej głowie otwierają się drzwi skrywające to, czego najbardziej się boję. Że pewnego dnia wkroczę w krainę zapomnienia.

Właśnie odebrałem kubek z kawą, kiedy zadzwoniła Louise. Wcześniej opowiedziałem jej już o następnym pożarze, nie wiedziała jednak o dzisiejszym spotkaniu. Pospiesznie wyjaśniłem jej, gdzie jestem, i obiecałem oddzwonić po spotkaniu. Louise powiedziała mi, że Agnes zostanie wkrótce wyjęta z inkubatora. Poczułem ulgę i radość.

Kiedy skończyłem liczyć ludzi zgromadzonych na sali i doliczyłem się aż pięćdziesięciu sześciu, emerytowany pastor Wiman klasnął w dłonie i poprosił o ciszę. Sam wprawdzie nigdy nie słyszałem jego kazań, ale wiedziałem z opowieści, że nigdy nie mówił ani o piekle, ani o szatanie. W swoim czasie podzieliło to jego parafian. Z jakiejś niepojętej dla mnie przyczyny mieszkańcy wysp uważali, że to błąd, iż ksiądz nie wspomina w kazaniach o istnieniu piekła i diabła. Za to ci, którzy mieszkali na stałym lądzie, byli zdania, że Wiman jest świetnym kaznodzieją i dobrze robi, nie przypominając ludziom na okrągło o istnieniu zła.

Teraz Wiman powitał wszystkich, wydmuchał nos i życzył zebrany szczęśliwego Nowego Roku. Ponownie smarknął w chusteczkę, a potem nagle wykrzyknął głosem ulicznego sprzedawcy gazet, że najwyższa pora położyć kres pożarom na wyspach. Musimy nauczyć się lepiej pilnować swoich domostw oraz gospodarstw sąsiadów i zwracać uwagę na obce łodzie pojawiające się na naszych wodach. Mamy obowiązek zadbać o naszych braci i siostry i niepotrzebna nam do tego żadna formalna organizacja, niemniej jednak on sam, Kolbjörn Eriksson i Ture Jansson zaczynają działać jako centrum alarmowe w przypadku, gdy dojdzie do kolejnego zdarzenia albo ktoś nabierze jakichś podejrzeń.

Na tym Wiman zakończył swoją wypowiedź i oddał głos wszystkim przybyłym na spotkanie. Na sali zapanowała cisza, bo nikt nie był przyzwyczajony do tego, że ksiądz oddaje głos. Wiman musiał zachęcić ludzi do zadawania pytań. W końcu, szurając krzesłem, wstał stary rybak Alabaster Wernlund z Torpholmen, właściciel jednego z najmniejszych rybackich domostw. Wszyscy wiedzieli, że niedosłyszy, ma choleryczny temperament i często dzwoni na straż przybrzeżną, upierając się, że przy brzegach jego

wyspy odbywa się przemyt na wielką skalę. Był przy tym bystry i nie zniechęcały go komentarze i opinie innych.

Miał na głowie czerwoną czapkę, a na plecach pomarańczową kamizelkę, jaką noszą robotnicy drogowi.

– Co zrobimy, jeśli się okaże, że ten piroman jest z nami na tej sali? – zapytał. – Przecież to tak samo możliwe jak to, że przypląwa z Danii.

Na to podniósł się Pontus Urmark, chudy stolarz mieszkający na jednej z malutkich wysepek na obrzeżach archipelagu, zwanych Kattskärsvarpen. Był mniej rozgarnięty od starego Wernlunda, ale bywał tak samo porywczy.

– Dlaczego, do jasnej cholery, podpalacz miałby przypląwać z Danii? Czy oni tam nie mają swoich wysp?

– No to z Belgii! – ryknął Wernlund. – Zadowolonyś?

Wiman wstał i podniósł ręce, próbując uciszyć awanturników, ale było już za późno. Stali w dwóch oddalonych końcach sali, w której zdążyło się zrobić tak gorąco, że po twarzach zebranych spływał pot. Stary rybak i stolarz byli jak dwaj aktorzy na scenie, walczący o to, kto ma wygłosić ważniejszą kwestię. Urmark, przypominający profilem króla Karola xii, miał bardziej przenikliwy głos, ale Wernlund formułował bardziej zgryźliwe uwagi i potrafił wycelować je w najodpowiedniejszym momencie.

Kłótnia urwała się równie nagle, jak rozgorzała. W jednej chwili Urmark i Wernlund nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Obaj usiedli z naburmuszonymi minami i na sali znów zapanowała cisza. Dało się jednak odczuć, że ci dwaj są gotowi w każdej chwili zacząć następną awanturę.

Wiman wykorzystał tę chwilę na powtórzenie, jak ważne jest, by wszyscy mieszkańcy bacznie obserwowali wszystkich obcych przyjeżdżających do portu albo pływających między wyspami. Potem nagle wszyscy zebrani obudzili się do życia. Wielu chciało zabrać głos albo dawało rękami znaki, że się z kimś zgadzają albo też są całkiem innego zdania. Pewien młody rybak z południa archipelagu, którego nazwiska nie byłem w stanie zapamiętać, wstał w pewnej chwili i oznajmił drżącym głosem, czy to ze zdenerwowania, że przemawia do wielu osób, czy też ze wzburzenia

z powodu tego, co zamierza powiedzieć, że to właśnie obcokrajowcy są przyczyną wszelkiego zła i przez nich Szwecja schodzi na psy. Zaznaczył przy tym wielokrotnie, że to nie oni wytrzebili morze z ryb, bo to przecież wina *cholernych Polaków*. Na pewno nie rybaków z krajów bałtyckich ani Rosjan. Fakt, że w naszych wodach nie ma już okoni, to wyłącznie wina Polaków. Ale całą resztę, czyli kradzieże łodzi, włamania i podpalenia zawdzięczamy innym obcokrajowcom, bo Szwecja przestała pilnować swoich granic. Kraj, który kiedyś był nasz, szturmują dzisiaj hordy obcych, którym się na wszystko pozwala.

Siedziałem w kącie i słuchałem słów wzburzonego młodego rybaka. Jego piegowata twarz płonęła czerwienią w nagrzonej sali. Był całkowicie przekonany, że ma rację i w tej chwili zdawał się wierzyć w to, co mówi, o wiele mocniej niż kiedykolwiek czynił to pastor Wiman. Gładko przeszedł do ostrej krytyki rządu, który pozwala na to, by fala obcych zalewała nasz kraj. Przeklinał politykę przyjmowania imigrantów, wypalając symboliczny znak na czole każdego obcego o złych zamiarach, nieważne czy jest żebrakiem, czy kieszonkowcem, bo do niedawna ci ludzie trzymali się dużych miast, ale teraz rozleźli się po całym kraju i jak widać, dotarli nawet do naszych wysp.

Potem się rozpląkał. Stało się to tak niespodziewanie, że wszyscy wstrzymali oddech. Zasłonił dłońmi twarz i siadając, cały się trząsł. Przyszedł na zebranie sam. Nie miał przy sobie żony ani nikogo, kto mógłby go w tej chwili pocieszyć.

Później zrozumiałem, że ten jego płacz był wezwaniem do buntu. Jeden po drugim mieszkańcy wysp zaczęli wstawać z miejsc i ogłaszać, że młody rybak ma rację. Ja wiedziałem, że wrogość względem obcych opiera się na przesądach i opowieściach o złych doświadczeniach znajomych zasłyszanych przez innych znajomych, które jednak nigdy nie przytrafiły się temu, kto nam o nich opowiada. Atmosfera takiej właśnie wrogości osiadła w sali jak gęsta mgła. Niewielu było innego zdania. Wiman przekonywał zebranych, żeby się opamiętali, ale brakowało mu sił, może również przekonania. Jediną głośno protestującą osobą była Annika Wallmark, właścicielka małego warsztatu ceramicznego na



obręczach miasteczka. Ponieważ jednak miała opinię radykała, nikt jej nie słuchał. Za każdym razem, kiedy zabierała głos, przez salę przetaczał się nieprzyjazny pomruk.

A co powiedziała Weronika? Wróciła z Islandii ze zwichniętą kostką, po tym jak podczas przejażdżki wypadła z siodła. Powtarzała to, co wszyscy i tak już wiedzieli. Że możemy tylko snuć domysły i że jeśli nie przestaniemy rozsiewać plotek, skończy się na tym, że zaczniemy szukać kozła ofiarnego.

Co powiedziałem ja, emerytowany lekarz, którego córka, utrzymująca się w Paryżu z kradzieży, właśnie urodziła mu wnuczkę? Nie zgadzałem się z młodym rybakiem. Nie zgadzałem się również z Anniką Wallmark.

Mimo to nie powiedziałem nic. Wkrótce wymiana zdań na sali zaczynała przypominać labirynt, groźny, ale jednocześnie dający poczucie bezpieczeństwa. W końcu postanowiono, że wszyscy będziemy mieć oczy szeroko otwarte i pilnie śledzić obce łodzie, wzrokiem nawykłym raczej do śledzenia ptactwa w okresie polowań. Wszyscy przenieśliśmy swoje podejrzenia z nas samych na nieznaną obcych, którzy oblegli nasz kraj.

Nie protestowałem. Kiedy Wiman zaczął podsumowywać spotkanie, poczułem w ustach nieprzyjemny smak, zupełnie mi wcześniej nieznaną. Pomyślałem o Louise i o jej Ahmedzie. Gdyby przyjechał na nasze wyspy i usłyszał to, co zostało właśnie powiedziane w tej sali, z pewnością od razu by uciekł. Czy byłbym go w stanie obronić?

Czułem, że na powierzchni jestem taki jak zawsze, ale pod nią, gdzieś w głębi mnie kryło się coś nieznanego, coś, co napawało mnie strachem.

Po zebraniu wracałem do łodzi w towarzystwie Janssona. Panował nieprzenikniony mrok. Z różnych stron dochodziły nas urywki rozmów osób, które uczestniczyły w spotkaniu. Obłoczki pary ulatujące z ich ust były jak sygnały dymne, łączące się z ich słowami w niezrozumiałe komunikaty.

Przy przystani stała mała drewniana budka, w której stowarzyszenie przechowywało liny i flagi. Jansson wszedł do niej, żeby się przebrać, ja stanąłem w drzwiach i patrzyłem, jak zmienia

garnitur na swoje ciepłe codzienne ubranie. Nagle coś mnie tknęło, kiedy obserwowałem tę scenę, ale nie potrafiłem określić, co zwróciło moją uwagę.

Jansson starannie zwinął garnitur i włożył go do plastikowej reklamówki. Wciąż nie byłem w stanie powiedzieć, o czym przypominał mi ten widok.

Mimo to coś mnie zaniepokoiło.

Zeszliśmy na pomost. Większość łodzi wypływała już z zatoczki z zapalonymi latarniami. W sali stowarzyszenia gaszono światła.

Jansson i ja skinęliśmy sobie głowami na pożegnanie. Zaraz potem on schował się w swojej sterówce i odpalił silnik. Ja wsiadłem do łodzi, szarpnąłem linę, włączyłem latarkę i ruszyłem do domu.

Późnym popołudniem zrobiło się bardzo zimno. W zatoczkach i wzdłuż wybrzeża pojawił się lód. Wiedziałem, że jeśli chłód się utrzyma, lód szybko sięgnie dalej i pojawi się między wyspami.

Wróciwszy do ciepłej przyczepy, mogłem wreszcie strząsnąć z siebie nieprzyjemne uczucie spowodowane atmosferą, w jakiej przebiegło zebranie. Sądziłem, że lepiej znam moich sąsiadów, a oni niespodziewanie zamanifestowali poglądy, o które bym ich nie podejrzewał.

Co ja sobie wcześniej wyobrażałem! Czy wiedziałem cokolwiek o tym, jak oni postrzegają świat poza tymi wyspami?

Siedziałem przy stole i popijałem kawę, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia, kiedy nagle zadzwonił telefon. To była Lisa Modin. Rozmawialiśmy kilkakrotnie po tamtym noworocznym poranku w jej mieszkaniu, odmawiała jednak, kiedy zaprosiłem ją do siebie albo zaproponowałem, że ją odwiedzę. Bardzo uważałem, żeby nie naciskać. Bałem się, że wówczas całkiem by się ode mnie odsunęła.

– Jak było na zebraniu? – zapytała.

– A kto pyta?

– Ja.

– Ty jako Lisa, czy jako dziennikarka?

– To jedna i ta sama osoba.

Powiedziałem jej o tym zebraniu. Ostatecznie leżałem w jej łóżku, kiedy Kolbjörn Eriksson zadzwonił do mnie, żeby mnie zaprosić. Ale

skąd wiedziała, że zebranie już się skończyło? I że właśnie wróciłem do domu?

– Z kim już o tym rozmawiałaś? – zapytałem.

– Właśnie rozmawiam z tobą.

– W takim razie skąd wiedziałaś, że jest już po zebraniu?

– Domyśliłam się.

Nie uwierzyłem jej. Musiała już z kimś porozmawiać. Jediną osobą, jaka przyszła mi teraz do głowy, była Annika Wallmark.

– Rozmawiałaś z kimś i nawet wiem z kim. Z Anniką Wallmark – powiedziałem.

– Nigdy nie zdradzam moich źródeł.

– Ona tylko siedzi przy tym swoim kole garncarskim i nieustannie narzeka, że nic nikogo nie obchodzi.

– Może zamiast domagać się odpowiedzi, których i tak nie uzyskasz, opowiesz mi, jak przebiegło zebranie?

– Przyszło dużo ludzi i doszliśmy do porozumienia. Wszyscy mają być czujni i obserwować nawzajem swoje domy. Dołożyliśmy jedenaste przykazanie do dekalogu. „Będziesz stróżem domostw swoich sąsiadów”. Brzmi to dość patetycznie i jest patetyczne, ale taka jest prawda. Te słowa wypowiedział stary pastor Wiman.

– Możesz mi powiedzieć więcej?

– Nie.

– Jaki był nastrój na zebraniu?

Zrozumiałem, że Lisa wie o wiele więcej, niż mi zdradziła. Czyżby miała jeszcze więcej źródeł? Może rozmawiała z Janssonem? To było raczej wątpliwe. Z pewnością jej informatorem nie był młody rybak, który wygłosił płomienną mowę. Prędeż pastor Wiman.

Uzmysłowiłem sobie, że nie ufam nikomu z uczestników zebrania.

Chcąc skierować rozmowę na inny tor, zapytałem, kiedy Lisa zamierza mnie odwiedzić.

– Na razie nie – odpowiedziała.

– Pewnie jestem dla ciebie za nudny i za stary. Lepiej powiedz mi prawdę. Starzy lekarze dobrze ją tolerują.

Ostatnie zdanie było kłamstwem. Jeżeli lekarze czymkolwiek różnią się od innych ludzi, jest to zapewne jeszcze większa wrażliwość.

– Nie – odparła po chwili. – Nie jesteś za stary. Oboje jesteśmy odludkami.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, dopiłem do końca moją kawę. Wciąż wierzyłem, że uda mi się przełamać samotność dzięki znajomości z Lisą.

Poczułem narastającą we mnie radość. W moim życiu była Lisa Modin, Louise i jej mała córeczka. O Ahmedzie i Muhammadzie nie myślałem w ten sposób, ale być może to uczucie miało dopiero nadejść.

Położyłem się na łóżku, włączyłem radio i ustawiłem kanał, na którym nadawano spokojną muzykę.

Zaczynałem już zasypiać, kiedy nagle gwałtownie się poderwałem. W pierwszej chwili nie uświadamiałem sobie, co mnie wyrwało ze snu, ale po chwili zrozumiałem, że miało to coś wspólnego z widokiem przebierającego się Janssona.

Po tym, jak się z nami pożegnał w sylwestrową noc i po paru godzinach zadzwonił, żeby zaalarmować nas o pożarze, twierdził, że zdążył wrócić do domu, zasnął i sam został obudzony.

Mimo to, gasząc z nami ogień, miał na sobie to samo ubranie, w którym świętował Nowy Rok. Zwróciłem na to uwagę, choć wtedy nie miałem świadomości tego.

Leżałem na łóżku, pogrążony w myślach. Radio grało cichutko. W pewnej chwili rozpoznałem stary szlagier *Sail Along Silvery Moon*.

Myśl o Janssonie wzbudziła we mnie niepokój, chociaż wciąż nie miałem pewności, co to wszystko oznacza.

Czułem się tak, jakbym nagle odkrył, że to, co dotychczas brałem za niebezpieczną płyciznę, okazało się dobrze oznakowanym torem.

Po święcie Trzech Króli nadeszły mrozy. Lód skuł nie tylko małe zatoczki przy wyspach, ale i te duże, nieco płytsze. Wprawdzie idąc co rano zanurzyć się w wodzie, wciąż nie potrzebowałem siekiery do wyrąbania przerębla, lecz nad zatoką unosiła się coraz gęstsza mgła, a woda robiła się coraz czarniejsza. Jeszcze chwila, a jej pomarszczona powierzchnia miała zmienić się w z początku cienki i przezroczysty, a potem gruby i mętny lód.

Dwa dni po zebraniu siedziałem w przyczepie i układałem pasjansa, kiedy nagle poczułem silne mdłości. Nie dotknęły one jednak mojego żołądka, lecz zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, jakby złapał mnie wewnętrzny skurcz. Odłożyłem karty, narzuciłem na siebie kurtkę i wyszedłem na zewnątrz. Nie wiedziałem, co spowodowało ten stan. Poprzedniego wieczoru rozmawiałem z Louise. Wszystko było u niej dobrze, obiecała przysłać mi nowe zdjęcia Agnes. Kiedy zapytałem, czy potrzebują pieniędzy, tylko się roześmiała i odparła, że da mi znać, kiedy bieda na dobre zawita w progach ich mieszkania.

Rozmawiałem nawet z Lisą Modin. Jechała właśnie samochodem do Sztokholmu, więc zamieniliśmy tylko parę zdań. Zmierzała na spotkanie klasowe, w którym zdecydowała się wziąć udział po bardzo długim wahaniu. Obiecała, że odezwie się do mnie po powrocie.

Poszedłem na spacer wokół wyspy. Zamarznięte resztki po moim domu lśniły w świetle jak czarne szkło. Wszedłem na pagórek i usiadłem na ławce moich dziadków, podłożywszy sobie pod pośladki wełniane rękawiczki, które miałem w kieszeni.

Zima rozgościła się na dobre. Każdego roku nadchodził w końcu dzień, kiedy wyspy zamykały swoje wrota. Nikt nie mógł już wejść ani się stąd wydostać. Sklepy zamykały się i opuszczały rolety. Bywało, że taki dzień nastawał bardzo wcześnie, na początku listopada albo grudnia, ale czasem dopiero w lutym.

Zdarzały się i takie zimy, kiedy archipelag nie zamykał się wcale. Mój dziadek mawiał, że jeśli zatok nie skuje lód i śnieg nie okryje kamienistych wysepek, latem czeka nas kiepski połów. Zapytałem kiedyś Janssona, czy to prawda. Zdecydowanie zaprzeczył. Ale gdy mu powiedziałem, że to słowa mojego dziadka, natychmiast zmienił zdanie.

Zawroty głowy przeszły w dość słaby i tępy ból. Postanowiłem wiosłować na wysepkę z namiotem, gdyż doszedłem do wniosku, że może złe samopoczucie wzięło się stąd, iż ostatnio ciągle przesiadywałem w przyczepie. Musiałem się trochę poruszać. Zszedłem do szopy i wypchnąłem łódkę z hangaru. Było całkiem bezwietrznie. Wiosłowałem energicznie i bardzo szybko cały się spościłem. Zacząłem więc robić przerwę co piętnaście ruchów, żeby uspokoić oddech i nabrać sił.

Kiedy miałem pięć lat, dziadek zbudował dla mnie łódkę do zabawy w kąpiel. Burty zrobił z płyty pilśniowej, z tyłu połączył je płaską rufą, a z przodu sosnowym dziobem. Wiosła wyrzeźbił z olszyny. Ta łódka była moim najcenniejszym skarbem przez całe dzieciństwo.

Czy ja będę potrafił wykonać podobną łódkę dla Agnes? Wątpiłem w to. To była zbyt ciężka praca dla tak niewprawnego stolarza. Przyszło mi jednak na myśl, że mógłbym zamówić coś takiego u Kolbjörna Erikssona. Słyszałem, że jest bardzo utalentowanym szkutnikiem.

Kiedy dopłynąłem do wysepki i łódka zaszurała dnem o kamienie, wysiadłem i wciągnąłem ją na brzeg. Namiot stał na swoim miejscu, solidnie zamocowany w małej niecce. Jesienią przy pływałem tu za każdym razem, kiedy silnie wiało, ale namiotowi nic nie groziło.

Od razu się zorientowałem, że ktoś znów tu był. Wokół paleniska pojawiły się większe kamienie, nieznajomy przybysz skonstruował też stojak do podwieszania rondla nad ogniskiem. Rozsunąłem namiot i natychmiast wyczułem znajomy zapach. Aceton. Czyżby moją wysepkę odwiedzała jakaś kobieta? Aceton kojarzył mi się przede wszystkim z lakierem do paznokci. Harriet czasem go używała. Zdawało mi się również, że Louise miała pomalowane paznokcie, kiedy widziałem ją ostatnio w Paryżu.

Rzecz jasna zdawałem sobie sprawę, że istnieje inna, przykra możliwość. Aceton jest ważnym składnikiem wykorzystywanym do przygotowania narkotyków, szczególnie tego o nazwie Spice. Może w moim namiocie nocował narkoman?

Poczułem wzburzenie. Przez całe życie odczuwałem niechęć do ludzi marnujących sobie życie przez zażywanie narkotyków. Jako chirurg nie raz operowałem pacjentów będących pod wpływem jakichś odurzających substancji, ofiary wypadków albo bójek na noże powodowanych żądzą zdobycia drogocennej substancji. Kiedy leżeli na stole, zdani wyłącznie na mnie i moje skalpele, często myślałem, że ratując im życie, robię to, co do mnie należy, ale nie interesował mnie ich późniejszy los.

Koledzy po fachu nie podzielali mojego zdania na temat operowania narkomanów, więc szybko przestałem z nimi o tym rozmawiać, ponieważ doszedłem do wniosku, że widocznie nie spełniam standardów tej pracy dotyczących oceny wartości ludzkiego życia.

To dlatego teraz poczułem złość, gdy rozpoznałem ten znajomy zapach. Wszedłem z namiotu i zapiąłem suwak, zastanawiając się, czy powinienem go złożyć. W końcu zdecydowałem się na spacer po wyspie w poszukiwaniu innych śladów intruza. W szczelinie skalnej znalazłem kupkę śmieci zamaskowaną mchem. Były tam głównie opakowania po mleku i chlebie, ale znalazłem wśród nich również skrawek czarnej gumy. W pierwszej chwili pomyślałem, że to fragment rowerowej dętki, ale po dokładnym obejrzeniu doszedłem do wniosku, że to strzęp z kombinezonu do nurkowania. Nie zadowoliło mnie to wyjaśnienie. Nikt nie nurkował między wyspami o tej porze roku. Było mało prawdopodobne, by morze przyniosło skrawek na brzeg po południowej stronie, gdzie go znalazłem, bo tutaj wiatr wiał zawsze w stronę morza.

Po dłuższym namyśle zrozumiałem, że to jednak nie jest strzęp kombinezonu do nurkowania, ale ubrania, które zakładają na siebie windsurferzy dla ochrony przed wiatrem i zimną wodą.

A zatem tajemniczym przybyszem był czarny windsurfer, którego widziałem jesienią płynącego prosto na otwarte morze.

Stanąłem w miejscu i sięgnąłem wzrokiem daleko, aż po horyzont. Dostrzegłem tylko zwały chmur nadciągające od strony Zatoki Fińskiej.

Potem ponownie obszedłem wysepkę, ale nie znalazłem nic więcej.

Nie mogłem przestać zastanawiać się, kim jest ten tajemniczy człowiek. Później, schodząc na brzeg do łódki, podjąłem nagłą decyzję, że nadeszła pora, by stawić czoła firmie ubezpieczeniowej i zadbać o to, żeby wkrótce mogła ruszyć odbudowa domu. Nie zamierzałem tracić więcej czasu, zwłaszcza teraz, kiedy przyszła na świat moja wnuczka.

Powiosłowałem z powrotem do domu. Co jakiś czas robiłem przerwę na odpoczynek, wpatrując się w czarną wodę. Miałem nadzieję znowu zobaczyć zerwane sieci sunące pode mną bezszelestnie, jak drapieżnik polujący na zwierzynę. Jednak morze było puste. Czarne, bez odrobiny światła.

Zacumowawszy łódź w hangarze, poszedłem obejrzeć pogorzelnisko. Wyobraziłem sobie, jak rośnie w tym miejscu nowy dom. Wszystkie zdjęcia, jakie posiadałem, zostały spalone, wiedziałem jednak, że stowarzyszenie mieszkańców zatrudniło kiedyś fotografa, jeszcze w czasach, kiedy żyli moi dziadkowie. Fotograf zrobił zdjęcia wszystkim domom i mieszkańcom wysp, a odbitki przechowywano w archiwum stowarzyszenia. Powinienem być o tym pomyśleć w dniu zebrania, archiwami zajmował się pastor Wiman i na pewno chętnie by mi pomógł.

Kilkakrotnie proponowano mi, bym zasiadł w radzie stowarzyszenia, ale odmawiałem. Za każdym razem robiłem to jednak z coraz gorszym samopoczuciem. Jansson, który był członkiem rady od długiego czasu, zapewniał mnie, że zebrania odbywają się najwyżej cztery razy w roku. Praca nie była wymagająca. Oznaczała przede wszystkim wsparcie dla stowarzyszenia robiącego na rzecz mieszkańców o wiele więcej niż wszystkie pozostałe.

Wiedziałem, że Jansson nie mówi mi wszystkiego, ale i tak dotarły do mnie plotki, że w radzie dochodzi do poważnych sporów między przedstawicielami poszczególnych grup. Bywało, że



przeciwne frakcje toczyły między sobą zaciekle wojny. Nigdy nie zrozumiałem, co było przyczyną tak poważnych konfliktów, ale instynkt podpowiadał mi, że było tam po prostu zbyt wielu chętnych do sprawowania władzy.

Po krótkim namyśle zadzwoniłem do Wimana. Kiedy odebrał, pochwaliłem go za sprawne poprowadzenie zebrania, a potem zapytałem o zdjęcia. Obiecał, że poszuka ich w archiwum.

– Do tej pory nie dbano o nasze archiwa – powiedział. – Więc panuje w nich coś pomiędzy całkowitym chaosem a zwykłym bałaganem stworzonym przed byłego archiwistę chyba specjalnie po to, żeby nie dało się niczego znaleźć.

Ton głosu starego pastora szybko przeszedł ze zwykłego w ten, którym wygłaszał kazania. Powiedziałem mu, że wkrótce znów się odezwę, szybko zakończyłem rozmowę i położyłem telefon między rozłożonymi kartami.

Przez następną godzinę grałem sam ze sobą w pokera. To najdobitniejszy wyraz odosobnienia, jak znam. Nigdy nie odczuwałem takiego zmęczenia i wręcz odrazy do samego siebie, jak wówczas, gdy grałem sam ze sobą na pieniądze.

Nie można upaść niżej w samotności.

Potem długo siedziałem przy stole i robiłem notatki na temat odbudowy domu. Miałem nadzieję, że prace rozpoczną się wczesną wiosną. Ponieważ nie było konieczności wysadzania skał na nowe piwnice, w pierwszej kolejności należało uprzętnąć pogorzelnisko. Zamierzałem zapytać o radę Janssona i Kolbjörna Erikssona. Zdaniem tego pierwszego i tak nie zamierzałem się przejmować, ale wolałem uniknąć jego obrażania się o to, że nie zasięgnąłem jego rady. Polegałem tylko na opinii Kolbjörna.

Nocą śniły mi się skalne groty. Błądziłem w ciemności, która po jakimś czasie stała się tak ciasna i duszna, że zacząłem tracić oddech. Wtedy się obudziłem. Po dachu przyczepy biegały myszy. Nasłuchiwałem chwilę, czy wieje wiatr, ale było bezwietrznie. Po chwili znowu usnąłem.

Zasypiając, zdążyłem pomyśleć, że być może już nigdy się nie obudzę. Poczułem nagle, że śmierć jest bardzo blisko mnie.

Usnąłem w połowie tej myśli, otoczony myszami poszukującymi schronienia przed zimnem.

Nazajutrz zadzwoniłem do firmy ubezpieczeniowej. Przygotowałem się na mozolną batalię z biurokratycznymi procedurami i powtarzanie w kółko tego samego kolejnym urzędnikom. Ale kiedy połączono mnie z mężczyzną, z którym rozmawiałem poprzednim razem, wszystko poszło szybko i sprawnie. Miałem wrażenie, że chyba nawet za szybko. Może piętrzące się przede mną problemy zdawały się na razie niewidoczne, ale wkrótce miałem je zauważyć? Mimo wszystko wolałem uwierzyć w to, co powiedział mi mężczyzna. Odbudowa domu miała się rozpocząć na początku wiosny. I jeśli tylko sobie tego zażyczę, zostaną mi przesłane kontakty do firm budowlanych w mojej okolicy.

Po lunchu zamierzałem zadzwonić do Kolbjörna i właśnie sięgałem po telefon, kiedy usłyszałem silnik łodzi Janssona. Zszedłem na pomost, żeby go przywitać. Czasem mi się zdawało, że po burczeniu jego silnika potrafię rozpoznać, w jakim Jansson jest nastroju i czego ode mnie chce. To było oczywiście niemożliwe, ale ta myśl była dość nurtująca.

Jansson przybił do pomostu, ale nie zgasił silnika, co oznaczało, że zamierza mi złożyć bardzo krótką wizytę. Nie musiałem się obawiać, że każe mi badać następną wyimaginowaną dolegliwość.

Zszedł z pokładu, przywitał się ze mną i wręczył mi list, wyjąwszy go z wewnętrznej kieszeni swojej grubej kapoty.

– Przecież jesteś na emeryturze. – Zdziwiłem się nieco. – Nie rozwozisz już poczty.

– Wiman mnie poprosił, żebym ci to przekazał.

Wziąłem kopertę. Nie była zaklejona. Były w niej stare czarno-białe fotografie domu moich dziadków. Rzuciłem tylko okiem, co jest w środku, nie chcąc zdradzać jej zawartości Janssonowi. Lecz kiedy schowałem ją do kieszeni, przypomniałem sobie, że to i tak nie jest dla niego żadna tajemnica. Było oczywiste, że przejrzał zawartość przesyłki. Poczuję nagłą chęć, żeby wepchnąć go do zimnej wody. Być może przeczytał moje myśli, bo zrobił krok w tył. Uśmiechnąłem się.

– Możesz powiedzieć swojemu następcy, że od teraz znowu będę przyjmował korespondencję.

– Zmieniłeś zdanie?

– Tak, właśnie w tej chwili. Dziękuję, że przywiozłeś mi te fotografie.

– Jakie fotografie?

Przez chwilę miałem ochotę powiedzieć mu prawdę prosto w oczy. To, co wszyscy na wyspach wiedzieli od dawna. Jako listonosz Jansson przez długie lata czytał wszystkie wezwania, kondolencje, pogróżki i całą resztę innych, całkiem zwyczajnych listów. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. A teraz stał na moim pomoście i udawał, że nie wie o zdjęciach w kopercie przekazanej mi przez Wimana.

– Powinieneś już jechać – powiedziałem uprzejmym tonem. – Mam mnóstwo pracy. Chętnie zapłacę ci za dostarczenie przesyłki.

Jansson pokręcił głową i wszedł na pokład, ale odwrócił się jeszcze, nie zdejmując dłoni z pala, do którego zacumowana była jego łódź.

– Myślisz, że mogła to zrobić Oslovskaja? – odezwał się.

Nie zrozumiałem jego pytania.

– Że to ona podpaliła twój dom.

– Po co, na Boga, miałyby to robić? – zdziwiłem się.

– Nikt jej tak naprawdę nie znał. Była tu obca. Bóg raczy wiedzieć, co sobie myśli taki człowiek z jednym okiem.

Zaskoczyła mnie ta groteskowa logika. Co kalectwo Oslovskiej mogło mieć wspólnego z podpaleniami domów? Uznałem, że muszę zaprotestować. Zwykle puszczałem mimo uszu brednie Janssona, ale nie tym razem.

– Ze wszystkich ludzi, którzy przychodzą mi na myśl jako podejrzani, akurat Oslovskaja jest najmniej prawdopodobna. W dodatku ona przecież nie żyje.

Jansson się obruszył. Zdjął rękę z pala, odcumował łódź i bez słowa wlaź do sterówki.

Nie pomachaliśmy sobie na pożegnanie, kiedy odpływał.

Poszedłem obejrzeć pogorzeliśko. Stadko wron wydziobywało coś ze zgliszcz. Na mój widok ptaki poderwały się z furkotem skrzydeł.

Zamierzałem zamurować sprzączkę z butów od Giaconellego w nowej płycie fundamentowej pod dom, na znak, że stał tutaj kiedyś inny dom, ale również na pamiątkę po człowieku, który był mistrzem w sztuce szycia butów.

Kiedyś natrafiłem w radiu na wywiad ze światowej sławy sopranistką występującą na scenach najśłynniejszych oper na świecie. W pewnej chwili dziennikarz zapytał ją, co jest najważniejsze w pracy śpiewaczki operowej.

– Wygodne buty – odparła bez wahania.

Od razu ją zrozumiałem. Dobre buty do chodzenia, do stania i do pracy są równie ważne dla rybaka, jak dla chirurga.

Nagle zatęskniłem za zamówionymi tak dawno kaloszami, które do tej pory nie przyszły. Wyjąłem z kieszeni telefon i zadzwoniłem do sklepu ze sprzętem rybackim. Pani Nordin odpowiedziała po wielu sygnałach. Przyszło mi do głowy, że ją obudziłem. Może urządziła sobie na zapleczu leżankę? W końcu o tej porze roku przychodziło niewielu klientów i rzadko dzwonił dzwonek u drzwi. Nie zdziwiłbym się, gdyby była jednym z tych ludzi na wyspach, którzy zapadali w sen, kiedy zima przysiadła ziemię na długie miesiące.

Kalosze wciąż nie przyszły.

Wróciłem do przyczepy i rozłożyłem na stole zdjęcia przysłane przez Wimana. Najstarszą fotografię zrobiono w pierwszych latach xx wieku. Wówczas dom nie miał jeszcze dobudowanego ganku. Dziadek stał przy drzwiach, a babcia obok niego na niskim taborecie. Byli jeszcze młodzi. Dziadek miał wąsy, ale do gęstej brody, jaką później znałem, było mu jeszcze daleko. Na odwrocie zapisano, że zdjęcie zrobił prawdopodobnie fotograf Robert Sjögren, podróżujący po wyspach na początku wieku.

Dokładnie obejrzałem wszystkie fotografie. Każdą zrobiono od frontu i na żadnej nie było widać tyłu domu. Na jednym zdjęciu, opisanym nieznaną ręką jako zrobione latem 1946 roku, pojawiły się białe meble w ogrodzie. Ganek miał już wtedy dwadzieścia lat. Babka i dziadek siedzieli z filiżankami w dłoniach na białych krzesłach o oparciach z trzema pionowymi beleczkami. Kawałek

dalej, w półcieniu, jakby schowany przed nieznanym fotografem, siedział właściciel sąsiedniego gospodarstwa Adolf Sundberg.

Nagle przypomniał mi się ten mężczyzna. Zbliżał się jak odległe wspomnienie i stawał się coraz wyraźniejszy. Adolf Sundberg dożył stu czterech lat. Urodził się w 1899 roku i już jako młody chłopak oznajmił, że zamierza żyć przez trzy wieki. Tak też uczynił, umierając dopiero w 2003 roku.

Często odwiedzał moich dziadków i zawsze opowiadał ciekawe historie, więc trzymałem się blisko niego, kiedy zasiadał na jednym z białych krzesel i popijał kawę.

Pewnego dnia opowiedział nam o swoim krewnym, później moi dziadkowie często wracali do tej historii. Nie wiem, czy ją zmyślił, czy może była prawdziwa. Miałem wtedy nie więcej niż dziesięć lat, ale to właśnie tamtego dnia po raz pierwszy zacząłem rozmyślać o niedającej się czasem zmierzyć różnicy między prawdą a kłamstwem, bujdą a opowieścią, która rzeczywiście się rozegrała i nikt w nią nie wątpił.

Sundberg opowiedział nam, że pewnego dnia przybył na archipelag jako obcy człowiek. Urodził się na stałym lądzie, w mieście Alingsås, w dalekiej prowincji Västergötland, gdzie rozległe równiny ciągną się aż do cieśnin Kattegat i Skagerrak. Wcześniej pracował tam jako marynarz na dwumasztowcach transportujących towary między archipelagami, ale po kłótni z jednym z kapitanów, która rozgorzała z powodu rozbitego kompasu, przeniósł się na wschodnie wybrzeże do Västervik i tam zaciągnął się na statek, który akurat wtedy stał na redzie, ale wkrótce miał wypłynąć i zacząć kursować między Gävle a Kopenhagą. Po wielu latach zrezygnował z pracy, ożenił się z dziewczyną z Kalmaru i osiadł z nią tutaj w gospodarstwie odziedziczonym po jej wuju. W taki oto sposób na tutejsze wyspy trafił Sundberg z prowincji Västergötland. Pewnego dnia, na suto zakrapianej zabawie po sianokosach, opowiedział historię, o której później tyle rozmyślali moi dziadkowie. Nie tylko zresztą oni, bo robili to wszyscy mieszkańcy archipelagu, zastanawiając się przy każdym spotkaniu z Sundbergiem, czy jest to człowiek, któremu można uwierzyć.

Sundberg opowiedział, że jego dziadkowie mieli w Alingsås aptekę. Było to w czasach, kiedy istniał ogromny popyt na pijawki. Pewnego dnia dziadek Sundberga wpadł na genialny pomysł, by założyć hodowlę pijawek w starym, zapuszczonym i brzydko pachnącym stawie w miejskim parku, w którym niegdyś hodowano karpie. Później za każdym razem, kiedy w aptece kończył się zapas pijawek, babka wiedziała już, co ją czeka. Protesty były daremne, choć to, na co skazywał ją dziadek, nie należało do przyjemności. O świcie oboje wychodzili z domu, dziadek uzbrojony w długi kij, a babka ubrana w długą lnianą koszulę, którą skrzętnie skrywała pod obszernym płaszczem. Gdy docierali na miejsce, próbowała się jeszcze opierać, ale na nic się to nie zdawało. Musiała zrzucić koszulę, obnażając swoje nieforemnie i nadmiernie otłuszczone ciało, wejść do mętnej wody i zanurzyć się w niej aż po piersi. Dziadek podawał jej kij, bo nie umiała pływać, a on sam nie dałby rady jej wyciągnąć, gdyby się wywróciła. Wówczas niechybnie by utonęła. Stała tak i czekała aż pijawki przyssą się do jej obrzmiałego ciała. Gdy po jakimś czasie uznała, że ma już dość ukąszeń, potrząsała kijem i dziadek wyciągał ją na brzeg. Kiście czarnych stworzonek zwisały głównie z jej obfitych pośladków. Dziadek posypywał je solą, co sprawiało, że odpadały od skóry i trafiały prosto do słoików.

Ceremoniał ten powtarzał się co jakiś czas, więc wkrótce wszyscy mieszkańcy Alingsås wiedzieli o tych przedziwnych spektaklach rozgrywających się w parku o świcie w cieplejszych okresach roku. W parkowych zaroślach ponoć rojło się od gapiów z zadziwieniem obserwujących, jak zwałista matrona wchodzi do stawu, a po jakimś czasie wychodzi obleczona w pijawki, skarżąc się na te krwiożercze istoty.

Choć wszyscy w głębi ducha wierzyli w opowieść Sundberga, większość wolała głośno wyrażać powątpiewanie. Mawiali, że nie mieści się w głowie, żeby ktoś naprawdę kazał gołej babie włączyć w roli przynęty do stawu pełnego pijawek. To się nie godzi. Nie dało się zaprzeczyć, że niektórzy mężowie źle traktują swoje żony, ale to przekraczało wszelkie granice przyzwoitości.

Długo wpatrywałem się w zdjęcie Adolfa Sundberga przy stole moich dziadków. Nagle w głowie rozbrzmiały mi znajome głosy – powolne i ciche zdania wypowiedane przez dziadka i komentarze babki, która nie mówiła zbyt wiele, ale kiedy już się odzywała, robiła to z najwyższą precyzją, używając pięknych porównań, po które sięgała do jakiegoś nieskończonego i tylko jej znanego zbioru słów. W końcu usłyszałem też ich gościa, Adolfa Sundberga, z zapuszczoną brodą, w powykrzywianym kapeluszu i błyszczącej kamizelce, na której w miarę upływu lat pojawiło się tyle plam, że utworzyły na niej drugą, nigdy nie zmywaną powłokę.

Mieli już na zawsze siedzieć na tych białych krzesłach, choć wszyscy troje już dawno umarli, a meble spłonęły w pożarze.

Ostatnią czarno-białą fotografię zrobiono w dniu siedemdziesiątych piątych urodzin mojego dziadka, 19 czerwca 1957 roku. Tym razem fotograf nazwiskiem Tage Palmblad ustawił gości przybyłych na przyjęcie przed gankiem, na tle białych mebli ogrodowych. Dziadek i babka siedzieli na krzesłach obok siebie. Przyjrząwszy się uważnie temu zdjęciu, stwierdziłem z zadziwieniem, że jestem na nim i ja, ustawiony w rzędzie razem z innymi. Wciśnięto mnie między dwie kuzynki mojej babki, korpulentne damy z Gusum, w widoczny sposób zaabsorbowane głównie tym, jak wypadną w obiektywie, a mniej faktem, że jestem przez nie zgniatany.

Kiedy zrobiono to zdjęcie, miałem trzynaście lat. Moje włosy zbieleły na słońcu. Tego dnia miałem na sobie krótkie spodenki, podkoszulek w paski i sandały, wyglądałem na wychudzonego i onieśmiałego towarzystwem otaczających mnie ludzi.

Przyszło mi na myśl, że powinienem zaprosić wszystkich znanych mi mieszkańców wysp na parapetówkę, kiedy mój dom podniesie się z ruin. Ustawię wszystkich do zdjęcia przed gankiem, a sam usiądę na krześle na samym przedzie, razem z Louise i jej rodziną.

Zadzwoiłem do Wimana i podziękowałem mu za szybkie odnalezienie fotografii.

– Mogłoby być ich więcej – powiedział. – Ale jak już wyjaśniłem, mamy bardzo źle zorganizowane archiwum. Nie zdążyłem jeszcze wszystkiego uporządkować.

– To, co dostałem w zupełności wystarczy do odbudowy domu – odparłem.

– Pomyślałeś o tym, że dom Österströma na Skarsholmen był budowany w tym samym czasie? I o ile się nie myślę, budowali go ci sami cieśle, na podstawie tego samego projektu.

Oznaczało to w istocie, że mogłem wskazać firmie budowlanej dom Österströma jako szczegółowy wzór do powtórzenia.

– Nie pomyślałem o tym – odrzekłem po chwili. – To będzie bardzo pomocne, bo nie przetrwały żadne szkice. Ówcześni budowniczcy byli jednocześnie architektami, razem z tymi, dla których budowali dom.

Po rozmowie z Wimanem wróciłem na ławkę moich dziadków. Zabrałem lornetkę i spojrzałem przez nią na wysepkę i namiot, lecz nie dostrzegłem tam żadnego intruza.

Powoli zaczynało zmierzchać. Poczułem chłód. Ruszyłem z powrotem do przyczepy i kiedy byłem już blisko, usłyszałem dzwoniący w środku telefon. Przyspieszyłem kroku, ale potknąłem się na wystającym z ziemi korzeniu i uderzyłem brodą o ścianę przyczepy. Pomacałem się po twarzy i ujrzałem krew na dłoni. Wszedłem do środka, kapiąc dookoła krwią i odebrałem telefon. W słuchawce panowała kompletna cisza. Wziąłem ręcznik ze sterty na kuchennym blacie i otarłem twarz. Wyczułem językiem, że mam ułamany ząb w zuchwie po prawej stronie. Przyciskając ręcznik do brody, sięgnąłem po latarkę, wyszedłem na dwór i rozejrzałem się po trawie w nadziei, że znajdę utracony kawałek. Obawiałem się jednak, że nieświadomie mogłem go połknąć.

Nic nie znalazłem. Minęło sporo czasu, nim ustało krwawienie. Wyjąłem z zamrażarki kilka kostek lodu, włożyłem je do woreczka i przycisnąłem do warg.

Kiedy przestałem krwawić, spojrzałem w lusterko. Ząb wyłamał się prawie w całości. W dziąśle został tylko pień pokryty teraz skrzepniętą krwią. Nacisnąłem palcem na dziąsło i poczułem przeszywający ból. Było już za późno na wyprawę do miasteczka, ale z samego rana musiałem pojechać do dentysty. Wprawdzie mógłbym w tej chwili udać się na ostry dyżur, ale wolałem tego uniknąć.



Połknąłem kilka silnych tabletek przeciwbólowych, a potem sprawdziłem, kto do mnie dzwonił. W telefonie wyświetlił się numer Louise. Oddzwoniłem, ale było zajęte. Po chwili spróbowałem jeszcze raz. Wciąż to samo. Położyłem się na łóżku z telefonem w ręce. Irytowała mnie myśl, że będę musiał zmarnować czas na dentystę. Chociaż równie dobrze mogłem być rozdrażniony ze zwykłego zmęczenia. Starzenie się niesie ze sobą wysiłek. Człowiek brnie przez każdy kolejny dzień z coraz większym mozołem. Aż w pewnej chwili nadchodzi kres.

Zdrzemnąłem się, ale po chwili obudził mnie dzwonek telefonu. To była Louise. Nie zapytawszy jej nawet, jak się czuje i jak ma się jej rodzina, opowiedziałem o moim wypadku i wybitym zębie. Nie zdążyłem jednak wejść w szczegóły, bo mi przerwała.

– Agnes jest chora – oświadczyła matowym głosem.

Podniosłem się gwałtownie i zagryzłem zęby. Przeszył mnie ból.

– Co się stało? – zapytałem.

– Nie wiedzą.

– Jakie ma objawy?

– Nie przestaje płakać. Coś ją boli.

– Brzuch?

– Raczej głowa.

– Głowa?

– Mój Boże, nie wiem! Nikt nie wie.

Natychmiast udzielił mi się strach Louise. Wiedziałem, że nie jest bezpodstawny, cokolwiek dolegało jej dziecku. Spróbowałem się skupić i znaleźć w myślach jakąś odpowiedź. Nie specjalizowałem się w chorobach dzieci, a operacje, które na nich przeprowadzałem, ograniczały się do rutynowych zabiegów. Informacja, że coś może być nie tak z głową dziecka, była niepokojąca. Serca i mózgi noworodków są bardzo delikatne.

Starałem się uspokoić Louise i siebie samego. Poprosiłem, żeby opowiedziała mi co się stało. Jakie Agnes miała objawy? I co mówią lekarze?

Wywnioskowałem z jej słów, że wszystko potoczyło się w bardzo szybkim tempie. Dzisiejszego ranka Agnes nagle zaczęła płakać i nic nie było w stanie jej uspokoić, nawet pierś. Louise pojechała z nią

do szpitala, a Ahmed został w domu z Muhammadem. Na ostrym dyżurze pediatrycznym od razu zaopiekowano się Agnes. W tej chwili leżała na obserwacji i robiono jej różne badania. Louise dzwoniła ze szpitala. Zanotowałem jego nazwę na wewnętrznej stronie opakowania z resztką chrupkiego pieczywa.

Nie potrafiłem wysnuć żadnego wniosku na podstawie relacji Louise. Niezwykle rzadko dochodziło do krwotoku do mózgu u niemowląt, ale nie było to niemożliwe. Bardzo niebezpieczne było zapalenie opon mózgowych u tak małych dzieci. Mogło zagrażać ich życiu. Tak naprawdę nie można było wykluczyć nawet nowotworu. Francuscy lekarze z pewnością głowili się właśnie nad trafną diagnozą.

Zapytałem, czy Agnes ma gorączkę. Nie miała, ale wciąż bolała ją głowa. Lada chwila miano zabrać ją na tomografię.

Zaproponowałem, że przyjadę. Louise odmówiła, ale wyczułem w jej głosie, że byłaby skłonna zmienić zdanie.

Nie chciała dłużej rozmawiać, bo czekała na telefon od Ahmeda. Obiecała, że da mi znać, kiedy tylko czegoś się dowie.

– Jeżeli nie dowiesz się niczego nowego, to też będzie powód, żeby do mnie zadzwonić – powiedziałem. Będę miał przy sobie telefon przez cały czas. Bateria jest w pełni naładowana.

Wciąż z telefonem w dłoni, ściskającej go tak mocno, jakby był różańcem, nagle poczułem w przyczepie obecność śmierci. Nie chciałem jej tutaj. Zadzwoniłem do Lisy Modin i nie zapytawszy nawet, czy nie przeszkadzam, od razu opowiedziałem jej, co się stało.

– To brzmi potwornie – odparła. – Chcesz do mnie przyjechać?

– Nie. Ale miło mi, że to zaproponowałaś.

– Naprawdę chcesz teraz siedzieć sam w tej przyczepie?

Nie odpowiedziałem. Nie miałem najmniejszej ochoty wlec się teraz do łodzi, liczyć na to, że silnik odpali, i płynąć do portu.

– Może ty byś mogła przyjechać tutaj?

– Twoja przyczepa jest za mała dla dwóch zamartwiających się osób.

Zapytałem, czy mogę do niej zadzwonić wieczorem. Zgodziła się.

– Co teraz robisz? – Byłem ciekaw. – Akurat w tej chwili?

- Teraz mam nadzieję, żeby twoja wnuczka okazała się zdrowa.
- To jest to, co teraz myślisz, a ja pytałem o to, co robisz.
- Stoję w miejscu z telefonem w jednej ręce, a rękawiczkami w drugiej. Właśnie zrobiłam zakupy i wracam do domu.

W słuchawce zapadła cisza. Nagły podmuch wiatru lekko zakołysał przyczepą.

- Dziękuję – powiedziałem i rozłączyłem się.

Potem wyszedłem na dwór i wciągnąłem zimne powietrze do płuc. Zdążył już zapaść zmrok. Zszedłem na pomost i ledwie zdążyłem usiąść na ławce, kiedy zadzwonił telefon. Znowu Louise. Za moment Agnes miała zostać zabrana na tomografię, lekarze wciąż nie wiedzieli, co jej jest. Usłyszałem w głosie Louise jeszcze większy strach niż podczas pierwszej rozmowy. Podejrzewałem, że i ja nie potrafię uleczyć paniki na samą myśl o tym, co nie miało prawa się stać.

Zaraz po tym usłyszałem kliknięcie. Agnes była już w drodze na badanie i ktoś kazał Louise się rozłączyć.

Miałem dreszcze z zimna, ruszyłem więc z powrotem do przyczepy. Bliskość śmierci sprawia, że czas staje się elastyczną taśmą i człowiek trwa w przerażeniu, że ona lada chwila się przerwie. Usłyszałem same niejasne informacje o stanie Agnes. Przyszło mi na myśl, że powinienem sam porozmawiać z jej lekarzem, ale mój francuski był na to za słaby. Mogłem tylko czekać, ze świadomością, że strach drąży coraz głębsze korytarze w mojej córce.

Dopiero nad ranem, po nieprzespanej nocy, Louise przekazała mi wiadomość, że Agnes ma lekkie zapalenie opon mózgowych. Zostanie w szpitalu przez co najmniej tydzień, ale wyglądało na to, że wróci do zdrowia.

Ja i Louise rozplakaliśmy się do słuchawki. Oboje byliśmy wycieńczeni. Dopiero teraz mogliśmy odpocząć na miękkim łożu ulgi.

Koło południa obudził mnie warkot silnika. Bolał mnie ułamany ząb. Wstałem i napiłem się wody z wiaderka stojącego na blacie. Wiedziałem, że nadpływa Jansson. Żadna łódź nie brzmiała tak jak jego.

Zdążyłem zejść na pomost i usiąść na ławce jeszcze zanim wypłynął z za cypla. Przybił do brzegu, ale nie zgasił silnika. Odetchnąłem z ulgą. I tym razem nie zamierzał długo siedzieć. Zarzucił cumę na pal i zszedł z pokładu. Potem przywitał się ze mną, usiadł obok mnie na ławce i naprędce omówiliśmy obowiązkowe tematy – pogodę, kierunek wiatru, chmury ciągnące ze wschodu, temperaturę, lód na morzu oraz fakt, że Enbergowie mieszkający w części archipelagu o nazwie Britts mają dziesięcioletnią córkę, która gra na kontrabasie i jest w tym tak dobra, że otrzymuje stypendium organizacji Lions Club International w wysokości trzech tysięcy koron miesięcznie.

Czekałem z niecierpliwością, aż Jansson zdradzi mi powód swojej wizyty. Nie chcąc, żeby się niepotrzebnie przeciągnęła, nie opowiedziałem mu o nieprzespanej nocy i o tym, co się działo w Paryżu.

– Wybieram się z wizytą do mojego brata – oznajmił, kiedy nie miał już nic do dodania na temat pogody.

– Masz brata? – Zdziwiłem się. – Nigdy o nim nie wspominałeś.

– Właściwie nie utrzymujemy kontaktów. Jest ode mnie parę lat młodszy i wyprowadził się stąd na długo przed tym, nim się zjawiłeś.

– Ale nigdy nawet nie wspomniałeś, że masz brata.

– Na pewno ci powiedziałem.

– Gdzie on mieszka?

– W Huddinge.

– A więc prawie w Sztokholmie. Kiedy jedziesz?

– Jutro rano. Wracam w niedzielę.

Policzyłem w myślach. Miało go nie być przez trzy dni.

Po chwili podniósł się z ławki.

– Minęło wiele lat od mojej ostatniej wizyty w Sztokholmie – powiedział, luzując cumę. – Najwyższa pora, żeby zobaczyć, jak ma się nasza stolica.

– Szczęśliwej podróży. No i pozdrów brata. Jak ma na imię?

– Albin.

Pomachaliśmy do siebie na pożegnanie, kiedy odbijał tyłem od pomostu. Byłem zdziwiony, że Jansson przez wiele lat naszej

znajomości nigdy nie wspomniał o swoim bracie. A może to ja tego nie pamiętałem?

Wróciwszy do przyczepy, obdzwoniłem gabinety stomatologiczne w miasteczku i w końcu udało mi się umówić wizytę.

Byłem z powrotem po trzech godzinach. Ból zęba minął.

Tuż przed jedenastą wieczorem zadzwoniła Louise, żeby przekazać mi wiadomość, że udało się zaradzić chorobie Agnes i wszystko jest pod kontrolą. Obiecała, że jutro znów się odezwie. Kładłem się spać z uczuciem ulgi, jakiej nie doświadczyłem od czasów młodości.

Nazajutrz obudziłem się, przespawszy wiele godzin. Ranek był bezwietrzny i bardzo chłodny. Kiedy popijałem kawę, nagle uderzyła mnie myśl, która już wcześniej pojawiła się w mojej głowie, ale wówczas ją odegnałem. Teraz powróciła, o wiele wyraźniejsza.

Postanowiłem popłynąć na wyspę Stångskär do domu Janssona. Wspomniał mi kiedyś, że w skalnej szczelinie trzyma zapasowy klucz.

Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd wziął się ten pomysł. Być może zrodził się w mojej głowie wraz z niepokojem wywołanym przez pożar domu Valfridssonów.

Wy płynąłem o dziesiątej. Raz po raz moja łódź przecinała cienką lodową powłokę. Pomyślałem, że jeszcze tydzień takiego zimna i lód skuje cały archipelag.

Hangar na łódź i slip Janssona znajdowały się w dobrze osłoniętej od wiatru zatoczce na południu wyspy. Jego łodzie odpoczywały tam w bezpiecznym zaciszu podczas największych zachodnich i północnych sztormów. Wyłączyłem silnik i podpłynąłem do pomostu. Nigdzie nie było jego łodzi, stwierdziłem więc, że naprawdę pojechał odwiedzić brata. Zacumowałem łódkę i wszedłem na pomost. Potem zawołałem kilka razy, żeby się upewnić, że na pewno go nie ma, i ruszyłem w stronę czerwonego jednopiętrowego domu, będącego jednym z najstarszych budynków na archipelagu. Zapukałem do drzwi. Nikt nie otworzył. Znalezienie klucza zajęło mi dłuższą chwilę. Był dobrze schowany. Kiedy go wreszcie wetknąłem do zamka, ponownie rozważyłem, po co

składał mi tę niechcianą wizytę. Pomyślałem o domu Oslovskiej i o opuszczonej ruderze w Hörum. Teraz w taki sam sposób zakradałem się do domu Janssona o świetnie utrzymanych oknach i starannie wymalowanych rzeźbieniach nad gankiem.

Wszedłem do środka. Jansson bardzo dbał o porządek. Podłogi lśniły, podobnie blaty kuchenne i fronty szafek. Był w tym podobny do Oslovskiej. Powoli zaglądałem do każdego pomieszczenia. W sypialni na piętrze zastałem posłane łóżko i równiutko ustawione kapcie. Nigdzie nie walały się żadne ubrania. Pozostałe pokoje były prawie puste, bo Janssona nikt nie odwiedzał, ale stały w nich równie starannie posłane łóżka. Byłem ciekaw, czy jest to wyraz jakiejś tęsknoty. Zszedłem z powrotem na parter. W salonie ujrzałem telewizor nakryty białym prześcieradłem.

Ten dom nie pasował do Janssona. Miałem wrażenie, że stary listonosz powinien żyć w zupełnie innych warunkach.

Ostatnim pomieszczeniem, do którego zajrzałem, była mała pralnia za kuchnią. Tam również panował idealny porządek. Przez małe okno wpadało do środka blade styczniowe światło, ledwie oświetlając równe rzędy wiszących na wieszakach wypranych ubrań i kosze z bielizną. Na ten widok przypomniały mi się kalesony, które Jansson podarował mi po pożarze mojego domu.

Już miałem wyjść z pralni, kiedy mój wzrok padł na kosz pełen ubrań czekających na upranie. Leżała w nim koszula i spodnie, które Jansson miał na sobie na przyjęciu sylwestrowym w mojej przyczepie, a potem pod płonąącym domem Valfridssona.

Nie byłem w stanie opanować ciekawości, podszedłem i wyjąłem je z kosza. Nie powiedziały mi nic, czego bym nie wiedział, ale zanim je odłożyłem, moją uwagę zwróciła koszula leżąca pod spodem. Miała mankiety ubrudzone sadzą. Podniósłszy ją, poczułem silny zapach benzyny.

Myśli zakotłowały mi się w głowie, ale potem nagle wszystko stało się dla mnie jasne.

Pomyślałem o nocy, kiedy zapłonął mój dom.

Wiedziałem już, co się wówczas wydarzyło.

Kiedy chwilę później szedłem z powrotem na pomost, towarzyszył mi strach.

Miałem nadzieję, że nie zostawiłem po sobie żadnych śladów.

Rozmyślałem o opisanym mi przez córkę japońskim ogrodzie.

Ocean Nicości.

Dziwnie się czułem, wracając do domu z wyspy Janssona. Miałem wrażenie, że Stångskär nagle zamieniła się w twierdzę, w której Jansson skrył się razem ze swoimi tajemnicami. Wiedziałem już, co przed chwilą zrozumiałem, jednocześnie jednak nie rozumiałem tego, czego się właśnie dowiedziałem. W jednej chwili Jansson zdał mi się wyraźniejszy, ale zarazem odleglejszy niż wcześniej. Gdybym wyciągnął rękę, nie zdołałaby go dosięgnąć.

Zgasilem silnik i spróbowałem zebrać myśli. Rozpierzchały się we wszystkich kierunkach.

Po chwili ruszyłem w dalszą drogę do domu. Wpływając do mojej zatoki, zauważyłem, że ktoś kręci się po wysepce z namiotem. Widziałem to wyraźnie, choć od wysepki dzieliła mnie spora odległość. Skreśliłem w stronę wąskiego przesmyku możliwego do przepłynięcia tylko dla tak małej łodzi jak moja. Dzięki temu mogłem zbliżyć się do wysepki od strony osłoniętej wysoką skałą. Z tego miejsca byłem niewidoczny. W dodatku, na podobieństwo myśliwego, pochodziłem ofiarę pod wiatr. Zgasilem silnik i sięgnąłem do wiosł. Wiosłowanie szło mi z trudem, chociaż wynurzyłem śrubę.

Głowę wciąż miałem zaprzątniętą myślami o Janssonie, ale zostało w niej trochę miejsca na ciekawość, kto korzysta z namiotu na mojej wysepce.

Przybiłem do stromej skały. Głębokie otwory umożliwiały wdrapanie się po niej na brzeg. Przypomniałem sobie, że jako dzieciak wyryłem na niej swoje imię, dokładnie w miejscu, w którym teraz zostawiłem łódź, ale nie mogłem odnaleźć napisu. Wygramoliłem się na brzeg jak nieporadna jaszczurka. Przywarłem brzuchem do głazu i wyteżyłem wzrok, próbując wypatrzeć intruza. Nie dostrzegłem nikogo. Ktokolwiek był na mojej wysepce, musiał



wejść do namiotu i zasunąć zamek. W mojej głowie toczyła się walka o miejsce między dwiema napawającymi strachem wizjami. Pierwszą z nich było szaleństwo Janssona, drugą – obawa, że intruz siedzący w namiocie okaże się niebezpieczny.

Deska surfingowa i żagiel leżały w miejscu, w którym zwykle wciągałem łódkę na brzeg. Wyglądały jak wielki owad wywleczony na ląd.

Chcąc obejść namiot od drugiej strony, zrobiłem krok naprzód, ale niechcący kopnąłem kamień, który z trzaskiem odbił się od innego. Namiot rozsunał się, nim zdążyłem uciec z powrotem do łodzi.

Chłopak był blondynem i miał najwyżej siedemnaście lat. Był ubrany w czarny gumowy kombinezon. Od razu dostrzegłem prowizorycznie zalepione taśmą rozdarcie na barku. Miał ciemne oczy. Nie potrafiłem ocenić, czy się boi, czy jest tylko czujny. Przyjrząwszy się jego włosom stwierdziłem, że jest z nimi coś nie tak. Były zbyt jasne, prawie białe, jakby ktoś zafarbował je niezgodnie ze sztuką. Ciekawiło mnie, po co chłopak zmienił kolor włosów. Może chciał udawać kogoś innego albo bardzo chciał się zmienić?

Skinąłem ręką, dając mu znak, żeby wyszedł z namiotu. Z jakiegoś powodu zakładałem, że nie mówi po szwedzku. Wyszedł na czworakach i przysiadł na kamieniu. Ja również usiadłem.

Mój strach zaczął ustępować miejsca ciekawości.

– Niczego nie zabrałem – odezwał się nagle. – Chciałem tylko odpocząć.

Mówił z delikatnym obcym akcentem, przemknęło mi przez myśl, że pochodzi z dalekiej północy.

Właśnie miałem go zapytać o nazwisko, kiedy nagle zerwał się z miejsca i pobiegł do deski surfingowej. Zrobił to tak szybko, że ledwie zdążyłem wstać, a on już był na brzegu. Patrzyłem, jak spycha deskę do wody i wchodzi na nią. Był niezwykle zwinny, poruszał się jak zwierzątko o czarnej i lśniącej sierści. Wiatr od razu wzdął żagiel i chłopak odpłynął.

Przepełniała mnie złość zmieszana z bezradnością.

– Ej ty! – zawołałem. – Ty! Ty!

Później doszedłem do wniosku, że nie mogłem wymyślić bardziej bezsensownego okrzyku. Chłopak nawet się nie odwrócił. Opłynął południowy cypel i wkrótce zniknął mi z oczu. Pomyślałem, że wkrótce wody archipelagu zamarzną i nie będzie mógł tak sobie pływać.

Rozsunięty tropik namiotu łopotał na wietrze. Wszedłem do środka i zasunąłem zamek. Leżała tam butelka po wodzie, pudełko po herbatnikach i kilka zmiętych kartek. Zebrałem je i wygładziłem. Wyglądały na wyrwane z bloku do obliczeń matematycznych. Na niektórych chłopak grał sam ze sobą w kółko i krzyżyk do pięciu. Zorientowałem się, że robił to z dużym rozmysłem. Wiele pojedynków zostało nierozstrzygniętych.

Na jednej kartce były skreślone krótkie linijki tekstu. Styl pisma był staroświecki i wytworny. Odcyfrowanie słów zajęło mi dobrą chwilę.

Co jakiś czas, jak w refrenie piosenki, powracał tekst:

*Niektóre wiersze przechodzą w dzień*

*Potem w świty i w sny*

*Doszedłszy do zgody, kto jest zwycięzcą.*

Rozumiałem słowa, ale trudno mi było pojąć treść. Byłem ciekaw, czy to wiersz, czy też wiadomość do kogoś, komu chłopak postanowił jej nie wysyłać. A może słowa były zaadresowane do mnie? Człowieka, który postawił tu namiot, dając schronienie autorowi tych słów?

Wepchnąłem kartki do kieszeni i wyszedłem z namiotu. Z wysiłkiem wdrapałem się na stromą skałę, skąd mogłem dostrzec zatokę, na którą wypłynął chłopak.

Nie mogłem go dostrzec. Morze było puste. Podejrzewałem, że ukrył się między wysepkami tworzącymi archipelag, na który mówiono tutaj Hällarna, chociaż nie miał nazwy na mapach. Kawałek dalej wystawała z wody Diabelska Skała, wyglądająca jak ścięty filar. Chłopak mógł się schować również za nią.

Stałem na skale, aż zrobiło mi się zimno. Wróciłem do namiotu, wyjąłem z kieszeni długopis i na odwrocie jednej z kartek z grą w kółko i krzyżyk zanotowałem:

„Ładny wiersz. Korzystaj z namiotu, kiedy chcesz. Oczywiście jestem ciekaw, kim jesteś”.

Zawahałem się chwilę, ale w końcu podpisałem się imieniem. „Fredrik”. Potem dodałem też numer telefonu. Zostawiłem kartkę na środku namiotu, wyszedłem i zasunąłem zamek.

Płynąc z powrotem do domu, zastanawiałem się, jak ma na imię ten chłopak. Nie wyglądał mi na Eryka ani Andersa. A może właśnie tak było?

Doszedłem do wniosku, że jedyną znaną mi osobą, która mogłaby zrobić coś podobnego, była moja córka. W jakimś sensie ten chłopak mógłby być jej bratem.

Był gościem przybywającym z nowych czasów, a ja ledwie zdążyłem się o niego otrzeć.

Miałem nadzieję, że jeszcze się do mnie odezwie.

Nie włączyłem silnika, pozwoliłem łódce swobodnie dryfować w stronę mojej wyspy. Powoli zapadał zmierzch. Lód tego roku nadchodził późno.

Mróz trzymał przez kilka tygodni. Lód sięgał coraz dalej w morze. Spędzałem wiele czasu leżąc w przyczepie i wsłuchując się w odgłosy wydawane przez powolny ruch morza pod lodem. Kiedy kładłem dłoń na ścianie przyczepy, od razu robiło mi się zimno. Niezależnie od tego, jak bardzo podkręcałem kaloryfer, walka między chłodem na zewnątrz a ciepłem w środku nie ustawała ani na chwilę.

Najczęściej rozmyślałem jednak o Janssonie i o odkryciu, jakiego dokonałem w jego domu na wyspie Stångskär. Nigdy wcześniej, nawet zaraz po feralnej operacji, która zrujnowała moją karierę, w mojej głowie nie kotłowało się tyle sprzecznych myśli, co w związku z tą sprawą. Przetrawiałem ten temat za dnia, a w nocy o nim śniłem. Kilka razy sięgałem już nawet po telefon z zamiarem powiadomienia policji.

Jednocześnie nie chciałem dać wiary swoim podejrzeniom. Uważałem, że to niesłychane i przerażające sądzić, że Jansson chciał spalić mnie żywcem w moim domu.

Być może najbardziej bałem się dnia, kiedy Jansson powróci ze swojej tajemniczej podróży. Jak miałem się z nim skonfrontować? Zapowiedział, że nie będzie go przez trzy dni, a teraz minęło już parę tygodni.

W niektóre dni, spacerując po utrzymującym wszystko w bezruchu chłdzie, czułem się tak, jakbym poruszał się w klatce. Z trudem zmuszałem się do codziennych porannych kąpieli, bo nawet lodowata woda nie była w stanie sprawić, bym trzeźwiej myślał. Jansson z przyjaznego listonosza zmienił się w mojej głowie w coś, czego nie potrafiłem określić inaczej niż mianem potwora.

Codziennie rozmawiałem z Louise. Agnes całkiem już wyzdrowiała. Nie pytałem córki o to, jak sobie radzi i skąd bierze pieniądze na utrzymanie. Nie wyobrażałem sobie, by codziennie wyruszała na miasto i okradała ludzi w metrze, zostawiwszy w domu małą córeczkę. Nie wiedziałem, czy dalej to robi, i chyba wolałem tego nie wiedzieć.

Po jednej z takich rozmów przypomniałem sobie pewien dzień, kiedy mój ojciec wrócił z pracy o wyjątkowo wczesnej porze. Zachwiał się, wchodząc do kuchni. Był podchmielony, włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach, zdawał się jednocześnie bezradny i wściekły. Furia zastygła mu na twarzy na kształt nieruchomej maski, jakby każdy mięsień trzymał skurcz. Bezradność była widoczna w jego oczach. Miałem wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Matka przymknęła kuchenne drzwi, zostawiając wąską szczelinę. Zrozumiałem po jakimś czasie, że zrobiła to, bym mógł przysłuchiwać się ich rozmowie. Chciała mi uświadomić, że w dorosłym życiu człowiek jest narażony na druzgocące niepowodzenia, bo takie często spotykały mojego ojca, ale potrafi zarazem przyjąć słowa pocieszenia, podźwignąć się i ponownie stanąć na nogach.

Nie widziałem wiele zza tych drzwi, ale wyraźnie słyszałem każde słowo rodziców.

Stało się to, co zwykle. Ojciec pokłócił się z kierownikiem sali i nie widział możliwości pogodzenia się z nim, więc natychmiast go odprawiono. Cisnął fartuch na podłogę i wyszedł. Kierownik wybiegł za nim na ulicę i awantura trwała dalej. Najpierw obaj się

przekrzykiwali, a kiedy nie byli już w stanie znaleźć słów, wymienili jeszcze parę oburzonych stęknień, potem westchnień, a na koniec wydawali z siebie tylko bezsilne pomruki. Padał deszcz, a oni stali tam jak dwa zmoknięte psy.

Ojciec często wylatywał z pracy w dramatycznych okolicznościach. Regularnie widywałem go wylewającego żalę przy kuchennym stole, podczas gdy matka, powoli i niestrudzenie przywracała mu wiarę w ludzi i – co najważniejsze – w jego własne siły.

Jednak tamtego wieczoru ojciec powiedział coś, co odbiegało od zwyczajowych utyskiwań na zniewagi, które nieustannie musiał znosić w pracy kelnera.

Wcześniej tego dnia, kiedy w restauracji było niewielu gości, ojciec przejrzał czasopismo pozostawione przez kogoś na stoliku. Znalazł w nim artykuł o żyjącym dawno temu chińskim cesarzu, który kazał postawić duży bęben przed głównym wejściem do swojego pałacu. Każdy mógł podejść do bębna, uderzyć w niego i przekazać służącemu przybiegającemu na ten dźwięk swoją skargę. Służący miał ją natychmiast przekazać cesarzowi. Wszyscy mogli otwarcie wypowiedzieć swoje troski bez narażania się na cesarski gniew.

– U nas nigdzie nie ma takiego bębna – pozałił się mój ojciec. – Nigdzie nie ma miejsca, do którego można zanieść skargi na wszystkie te niesprawiedliwości, jakie człowiek musi znosić.

Nie wiem, dlaczego pomyślałem o ojcu i opowieści o cesarskim bębnie akurat po rozmowie z Louise. Nasza rozmowa nie miała z tym tematem żadnego związku. Udręczony kelner i kieszonkowiec nie mieli ze sobą nic wspólnego. Mogło to być jedynie pragnienie, by żyć w innym, lepszym świecie, w którym istnieje symboliczny bęben jako oznaka powszechnie panującej sprawiedliwości.

Usiadłem przy stole w przyczepie i skreśliłem na kartce parę słów. „Cesarski bęben. Płacz ojca przy kuchennym stole. Jak jedno ma się do drugiego?”

Nazajutrz po ostatniej rozmowie z Louise i rozmyślaniach o moim ojcu nagle usłyszałem warkot nadpływającej łodzi Janssona. Serce zakołatało mi w piersi jak szalone. Byłem wtedy w przyczepie, więc

poderwałem się z miejsca, otworzyłem drzwi i nasłuchiwałem. To na pewno był on.

Wydawał się taki, jak zawsze. W typowy dla siebie sposób powoli, nieco sztywno uniósł prawą rękę i pomachał nią, rozcapierzając palce. Opuścił rękę dopiero wówczas, kiedy ja też mu pomachałem. Nie sądziłem, by wiedział o mojej wizycie w jego domu. A jeśli tak było, potrafił to dobrze ukryć.

Przeciągnął przednią cumę od dziobu pod daszkiem sterówki i rzucił mi ją energicznym ruchem. Złapałem linę i zawiązałem zwykły węzeł na najbliższym palu.

Jansson zszedł z pokładu.

– Mój brat ma się dobrze – powiedział, siadając na samym końcu ławki. – Ale mój wyjazd potrwał o wiele dłużej niż planowałem.

Zdjął lewy kalosz, wytrząsnął z niego szyszkę i założył go z powrotem na nogę.

Stałem obok i patrzyłem na tego mężczyznę, którego znałem od tak wielu lat. Zrozumiałem, że zdołałem lepiej poznać tylko małą część tego skomplikowanego i złożonego człowieka. Wcześniej nie przypuszczałem, że za postacią dobrze wszystkim znanego listonosza kryje się jakaś inna, przerażająca tożsamość.

Byłem ciekaw, czy sam Jansson zdaje sobie sprawę, kim naprawdę jest. I czy ktokolwiek z nas może to powiedzieć o sobie samym.

Nie znałem odpowiedzi na te pytania. W tej chwili musiałem się mierzyć z tym, co niepojęte.

Miałem przed sobą siwego listonosza, który okazał się bezwzględny podpalaczem.

Gdyby nie obudziło mnie ostre światło, spłonąłbym żywcem we własnym domu. Podobny los mógł spotkać wdowę Westerfeldt. Co do trzeciego pożaru, Jansson też nie mógł przecież mieć pewności, że Valfridssonów nie ma na wyspie.

Czułem zupełną bezradność wobec człowieka, który siedział teraz na mojej ławce.

– Nigdy mnie nie odwiedzasz, jeśli nie masz jakiejś sprawy do załatwienia – powiedziałem.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że mój brat ma się dobrze. Życie w wielkim mieście wydaje mi się bardzo niepewne.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jak można żyć, kiedy człowiek jest przez cały czas zdeptywany przez innych?

Uderzyła mnie nagła myśl, że Jansson nie ma żadnego brata. Może to takie samo kłamstwo jak wiele innych? Mężczyzna, na którego właśnie patrzyłem, najpierw spalił mój dom, a potem, kiedy nie miałem się gdzie podziąć, zaproponował mi mieszkanie u siebie. Przywiózł mi nawet jeden kalosz, żeby zastąpić ten, który spłonął w pożarze. Świątował ze mną Nowy Rok, a potem oznajmił, że wraca do domu, ale udał się na inną wyspę i podpalił kolejny dom. A między podłożeniem ognia pod mój dom i ten ostatni, spalił jeszcze jeden.

W jednej chwili uznałem, że to nie może dłużej czekać. Chciałem poznać prawdę.

– Dlaczego? – zapytałem.

Jansson spojrzał na mnie niepewnie.

– Mówiłeś coś?

– Nie ma tu nikogo poza nami.

– Nie dosłyszałem twojego pytania.

– Dosłyszałeś.

Zdawał się nie rozumieć. Byłem ciekaw, skąd miał taką pewność, że nikt nie natrafił na żaden ślad i nie powiązał go z podpaleniami. Czyżby był aż tak pewny swego?

– Napiłbym się kawy – powiedział nagle.

Przez długie lata jego odwiedzin jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by poprosił o coś do picia. Tym razem było inaczej. Zastanowiłem się, czy to coś znaczy. Czy powinienem zacząć się bać? Skoro Jansson potrafił podłożyć ogień pod dom, w którym ktoś spał, może byłby w stanie złapać za młotek i rąbnąć mnie w głowę?

Poszliśmy do przyczepy. Jansson człapał obok mnie, kołysząc się lekko na boki. Usiadł na łóżku, a ja zabrałem się za parzenie kawy. Zapytał mnie o Louise i o Agnes, potem zaczął mówić o Lisie Modin. Ale kiedy zapytał mnie o plany związane z odbudową domu, miałem ochotę chlusnąć mu wrzątkiem w twarz.

Nie zrobiłem tego. Przerwałem za to parzenie kawy.

– Powinieneś już sobie pójść – powiedziałem. – Idź i więcej się tutaj nie pokazuj.

Jansson gwałtownie się wzdrygnął.

– Co ty mówisz? – zapytał. – Nie rozumiem, o co ci chodzi?

Otworzyłem drzwi na oścież, ale on siedział dalej na łóżku, jakby rzeczywiście nic nie rozumiał.

Wiedziałem jednak, że wszystko rozumie. Może i nie zorientował się, że złożyłem mu wizytę, kiedy pojechał zobaczyć się z kimś, kto być może był jego bratem, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że wiem, iż to on spalił wszystkie domy.

– Widzę, że pokazujesz mi drzwi – powiedział. – Ale wciąż nie rozumiem, o co ci chodzi. Wyrzucasz mnie?

Zamknąłem drzwi. Nagle wpadło mi do głowy, że powinienem go tutaj zatrzymać.

Dlaczego podpalił mój dom? I to w chwili, kiedy byłem w środku i spałem? Czy chodziło mu o dom, czy o mnie? A może o coś całkiem innego?

– Wiem, że to ty – oznajmiłem. – Wiem wszystko i mogę przekazać policji informacje, które sprawią, że zostaniesz skazany. Mam dowody, bo twój kosz na pranie śmierdzi benzyną. Zastanawiam się, czy aby od początku nie chciałeś, żebym odkrył prawdę. Czy nie po to mi powiedziałeś, że wybierasz się z wizytą do brata? Być może on wcale nie istnieje. Miałeś nadzieję, że popłynę na twoją wyspę. Gdyby ci zależało na zatarciu śladów, już dawno byś wyprał tamte ubrania. Jesteś jak przestępca, które pisze listy do policji i podaje wskazówki. Kim ty właściwie jesteś? Może od dawna czekałeś na właściwy moment, żeby podpalić jakiś dom i przy okazji tego, kto w nim mieszka? Czy takie było twoje marzenie? O tym myślałeś, rozwijając przez te wszystkie lata pocztę, gazety i emerytury? Wyobrażałeś sobie, że pewnego dnia staniesz się kimś innym? Że z porządnego i sympatycznego człowieka staniesz się zły i trudny do rozgryzienia?

Jansson się nie odezwał.

– Być może ta śmierdząca benzyna koszula nie wystarczy, żeby cię skazać – mówiłem dalej. – Ale policja na pewno znajdzie inne



dowody. O ile wcześniej sam się nie przyznasz. Trafisz za kratki na wiele lat. A ponieważ już jesteś stary, pewnie umrzesz w więzieniu. Mogą też orzec, że oszalałeś, ale wtedy zamkną cię na zawsze z innymi wariatami. Myślę jednak, że samo pójście do więzienia nie będzie dla ciebie najgorsze. Wytrzymasz to. Ale jak sobie poradzisz z myślą, że ludzie na wyspach zaczną tobą gardzić? Zapamiętają cię jako złego człowieka, który kiedyś rozwoził pocztę, a potem zaczął podpalać domy.

Jansson przestał udawać, że nie rozumie. Zgarbił się, ciężko oparł dłonie na kolanach i spuścił głowę.

– Dlaczego?! – wrzasnąłem nagle. – Dlaczego później do mnie zadzwoniłeś i zasłaniając sobie chustką usta, ostrzegłeś mnie, że przyjedzie po mnie policja?

Nie odpowiedział. Zastygł w milczącym zaprzeczeniu, tak niewzruszonym, że nie dałoby się go rozkruszyć uderzeniem młota.

Stałem w progu szopy i patrząc na niego, czułem się równie bezradny jak on.

– Dlaczego? – powtórzyłem. – Dlaczego próbowałeś mnie zabić?

– Nie chciałem cię zabić – odezwał się wreszcie. – Dlaczego mówisz takie rzeczy?

– Spałem w moim łóżku. Mogłem spłonąć razem z domem.

– Pomógłbym ci, gdybyś się nie obudził.

– A więc stałeś tak cały czas i patrzyłeś?

– Czekałem, aż się obudzisz.

Spróbowałem sobie wyobrazić tę scenę. Ujrzeć oczyma wyobraźni samego siebie wybiegającego z płomieni w niepasujących kaloszach. Gdzieś obok, w cieniu ukrywał się Jansson. Dopiero potem odpłynął, ale niedługo wrócił, żeby wziąć udział w akcji gaśniczej.

Teraz patrzył na mnie, ale jego wzrok przenikał mnie na wskroś, jakby spoglądał na dalekie, tylko jemu znane horyzonty. Zrozumiałem, że nigdy nie dowiem się, dlaczego to zrobił. Być może odpowiedź na to pytanie nie istniała. Na pewno sam Jansson jej nie znał. Pewnego dnia coś zgasło w jego głowie, pozostawiając ciemną pustkę, którą próbował oświetlić pochodniami w postaci płonących domów.

Nagle wstał. Cofnąłem się o krok. Ruszył pomostem w stronę swojej łodzi. Po raz pierwszy widziałem go poruszającego się bez żadnego celu.

Chwilę później odpłynął.

Wszedłem na wzgórze z ławką moich dziadków. Nie usiadłem na niej, było na to za zimno. Stałem obok i patrzyłem na morze, na poruszające się powoli wielkie płyty lodu. Do niczego mi się już nie spieszyło.

Zastanowiłem się, co powinienem zrobić. Najrozsądniej byłoby zadzwonić do Alexanderssona i powiedzieć mu prawdę, ale nie mogłem tego zrobić. Czułem, że najpierw sam muszę to zrozumieć i dopiero później będę potrafił dać taką szansę innym. Nie mogłem tak po prostu zadzwonić i powiedzieć, że Jansson jest winny. Nikt by mi nie uwierzył.

Wyobraziłem sobie, że siedzę z Alexanderssonem w przyczepie i wszystko mu opowiadam. Wysłuchałby mnie w milczeniu, a na koniec pokiwałby głową i zapytał, czy jestem w stanie to udowodnić. Koszula śmierdząca benzyną to trochę za mało.

Nosiłem w głowie niepojętą opowieść. Mimo iż dla mnie wydawała się prawdziwa, nawet w szczegółach, to nie wystarczało, by uwierzyli w nią inni. Wiedziałem, że Alexandersson, o ile to jemu o tym opowiem, zapyta mnie również o powód, dla którego Jansson miałby spalić te domy.

Dlaczego to zrobił?

Musiałbym powiedzieć prawdę.

Nie wiem.

Na to pytanie mógł odpowiedzieć tylko sam Jansson.

Spróbowałem sobie wyobrazić co by się stało, gdyby został aresztowany. Na początku mieszkańcy wysp odczuliby ulgę. Później jednak dopadłoby ich przerażenie spowodowane faktem, że podpalaczem okazał się jeden z nich, człowiek cieszący się wielkim zaufaniem. Skoro Jansson okazał się winny, czy można jeszcze komukolwiek zaufać? Oznaczałoby to koniec pewnej epoki. Koniec czegoś, co być może do tej pory trzymało nas wszystkich razem. Zaufanie i gotowość przyjscia z pomocą potrzebującym.

I bynajmniej nie chodziło tylko o to, by po śmierci pomóc nieść czyjąś trumnę.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłem tych ludzi stojących dwójkami w porcie i na pomostach, rozmawiających ściszymi głosami. Ich beznadziejne próby zrozumienia. Z pewnością niejedną powiedziałby w złości, że powinniśmy popłynąć na Stångskär i puścić z dymem chałupę Janssona. Oczywiście nikt nie byłby do tego zdolny.

Myśląc o Janssonie, raz odczuwałem furję, raz bezbrzeżne zadziwienie. Jego samotność okazała się nieporównywalnie większa niż moja.

Czas mijał. Wciąż nie powiedziałem nikomu o moich podejrzeniach. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że winien jest Jansson. Dochodziły mnie słuchy, że policja nie natrafiła na żaden trop. Dochodzenie w sprawie podpałek utknęło w martwym punkcie.

Raz po raz przychodziło mi do głowy, że powinienem wysłać policji anonim z zawiadomieniem, że podpalaczem jest stary listonosz. Nie zrobiłem tego. Nie ufałem własnemu osądowi, chyba przede wszystkim dlatego, że w głębi duszy nie chciałem uwierzyć w to, że Jansson mógłby się okazać zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego znałem od tylu lat.

Rozważałem nawet, czy aby Jansson się nie rozchorował. Może w jego mózgu narastał guz, który wypaczał mu myśli? Pytania piętrzyły mi się w głowie, lecz im więcej ich było, tym mniej znajdowałem odpowiedzi.

Jednej nocy przyśniło mi się, że podpalił moją przyczepę, a ja wybiegłem z płomieni z przeraźliwym krzykiem.

Trzydziestego kwietnia, w dzień poprzedzający Noc Walpurgi, na moją wyspę przyplłynął promem Kolbjörn. Był z nim jego syn Anton i kolega Antona, na którego mówili Stöten. Wspólnymi siłami zepchnęliśmy przyczepę na prom. Wcześniej Kolbjörn pociągnął prowizoryczne przyłącze prądu do wysepki z namiotem. Śmiał się

i przechwalał głośno, że to nielegalne. Jednocześnie zapewnił mnie, że zrobił wszystko jak trzeba i nie grożą mi spięcia w instalacji.

Pociągnąłem prom moją łodzią z silnikiem. Kolbjörn obfotografował całą operację swoim telefonem.

– Minęło czterdzieści pięć lat, od kiedy ten prom przewoził krowy – powiedział. – Mimo to ojciec zawsze się upierał, że nie powinniśmy się go pozbywać, bo nigdy nie wiadomo, na co może się jeszcze kiedyś przydać. I proszę, teraz służy nam do przewożenia przyczep kempingowych.

Stał obok mnie na pokładzie i spoglądał w tył na swój stary prom.

– Dziwnie pracuje ta nasza policja – odezwał się nagle. – Nie mają żadnego tropu ani nawet podejrzanego w sprawie tych podpaień.

– To pewnie nie takie proste – odparłem. – Nikt niczego nie zyskał na tych pożarach.

Kolbjörn wykrzywił twarz w dziwnym grymasie i pokręcił głową.

– Staram się to zrozumieć – mruknął. – Ale nijak mi się to nie udaje. Chyba wszyscy próbują. Może trzeba na to patrzeć tak praktycznie jak Jansson?

Wzdrygnąłem się, słysząc nazwisko Janssona. Kolbjörn niczego nie zauważył.

– A co on mówi? – zapytałem.

– Napisał list do władz gminy z propozycją, żeby każdy mieszkaniec wysp dostał darmową gaśnicę.

– Jansson zaproponował coś takiego?

– Tak, to naprawdę rozsądne.

Przyszło mi na myśl, że być może zaczynam tracić rozum. Co Jansson chciał osiągnąć? Dlaczego szydził sobie z mieszkańców tych wysp?

– Gmina pewnie się zgodzi i kupi nam te gaśnice – mówił dalej Kolbjörn. – Ale Jansson pewnie nie doczeka się podziękowań.

– Nie, pewnie nie.

Głos mi zadrżał, kiedy wypowiadałem ostatnie słowa. Kolbjörn zerknął na mnie podejrzliwie, więc się uśmiechnąłem. Uśmiech miał zapewnić Kolbjörna, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Przekonałem się, że świetnie zorganizował przewiezienie przyczepy na wysepkę. Kiedy dopłynęliśmy na miejsce, kazał

wyłożyć przygotowane wcześniej szerokie deski i zamontował skomplikowany system wyciągów z lin. Wszystko zadziało zgodnie z planem i przyczepa wkrótce trafiła na swoje miejsce. Potem Kolbjörn włączył prąd. Przywiozłem kupionego specjalnie na tę okazję szampana. Piliśmy we czwórkę, wznosząc toasty, jakbyśmy opróżniali butelkę wódki.

Spędziłem pierwszą noc na wysepce bez potrzeby korzystania z namiotu. Przyśniło mi się, że jestem na łodzi. We śnie wysepka oderwała się od skalnej podstawy i dryfowała łagodnie, unosząc mnie w stronę cieśniny Sund.

Nazajutrz obudziłem się wczesnym rankiem. Pierwszy dzień maja przyniósł ciepłe powietrze. Poprosiłem Kolbjörna i Antona, żeby wstrzymali się z rozpoczęciem budowy nowego domu jeszcze parę dni, ale Kolbjörn nie chciał odkładać roboty.

Po śniadaniu popłynąłem na wyspę i czekałem na ich przybycie. Prom z małą koparką, barakiem na narzędzia i resztą sprzętu przyплыł punktualnie o dziesiątej. Siedziałem na ławce obok szopy i przyglądałem się rozpoczęciu prac nad odbudową mojego domu. Anton był pracowitym mężczyzną i okazywał to samo zacięcie do pracy co jego ojciec. Nie minęło wiele czasu, nim oczyścił koparką miejsce po pogorzeliisku, robiąc miejsce pod nowy budynek.

Pracowali do osiemnastej. Kiedy chowali narzędzia, na dachu baraku usiadł kos. Był to pierwszy kos, jakiego widziałem tej wiosny.

Odprowadziłem ich na pomost.

– Chcę zakopać pamiątkę pod ścianami nowego domu – powiedziałem do Kolbjörna, kiedy Anton odcumowywał prom i uruchamiał silnik.

– Czy to duży przedmiot?

– Puszka z metalową sprzączką od buta – wyjaśniłem.

Kolbjörn zrobił zaniepokojoną minę.

– To bardzo ładna sprzączka – mówiłem dalej. – Ma dla mnie duże znaczenie.

– Jutro wybierzemy miejsce i wykopimy dołek – powiedział. – Jeśli natrafimy na skałę, poradzimy sobie z nią specjalnym środkiem do rozkruszania głazów.

Pomachałem im na pożegnanie, zastanawiając się, o jakim cudownym środku mówił Kolbjörn. Czyżby miał coś, co potrafi przenosić góry?

Prom ledwie zdążył schować się za cyplem, kiedy wysunął się zza niego dziób jakiejś łodzi. Była to szybka, aluminiowa motorówka. W pierwszej chwili jej nie rozpoznałem, ale kiedy podpłynęła bliżej, dostrzegłem na bakburcie reklamę kawiarni Weroniki.

Dotychczas odwiedziła mnie tylko raz, przy okazji przygotowań do przyjęcia sylwestrowego. Zaniepokoiło mnie to. Musiało się coś wydarzyć.

Weronika przybiła do pomostu i zeszła z pokładu z cumą w dłoni. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej oczy, by się upewnić, że moje obawy są słuszne.

– Czy kontaktowała się z panem straż przybrzeżna? – zapytała.

– Nie.

– Więc nic pan nie wie?

Usiadłem na ławce. Nie chciałem się przewrócić, gdyby się okazało, że Weronika ma mi do przekazania coś okropnego. Przysiadła obok mnie. Wciąż trzymała w ręce cumę, jakby cumą była smyczą, a łódka psem.

– Jansson zniknął – powiedziała. – Wsiadł do łodzi i wypłynął prosto na otwarte morze. Jednostka straży, która wracała akurat z Landsort, widziała go daleko poza archipelagiem. Podpłynęli do niego, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. Podobno zachowywał się normalnie i zapewnił ich, że za chwilę zawróci. Alexandersson zdecydował, żeby dać mu spokój. Jansson to przecież Jansson. Ale kiedy wrócili do portu i weszli do biura straży, czekała na nich wiadomość na automatycznej sekretarce. Jansson krzychał do telefonu, że mają go nie szukać. Nie życzył sobie, żeby go odnaleziono. Oczywiście wypłynęli po niego chwilę temu i poszukiwania potrwać aż do zmroku. Wszyscy się zastanawiają, czy Jansson zwariował.

Opowieść Weroniki ani trochę mnie nie zaskoczyła. Jansson odpłynął w siną dal. Przypuszczałem, że nałyka się tabletek nasennych, potem przykuje się łańcuchem do kotwicy i wybije

dziurę w dnie łodzi. Łódź powoli nabierze wody i pójdzie na dno. Nikt nigdy się nie dowie, co się z nim stało. Nikt go nie znajdzie.

– Jansson zawsze był trochę dziwny – skomentowałem ostrożnie.

– Często myślałam, że jest najnormalniejszy ze wszystkich mieszkańców tych wysp. Co pana zdaniem było w nim takie dziwne?

– Chyba miałem na myśli to, że jest typem samotnika. Nigdy się nie ożenił, nie ma dzieci.

– Ja też nie wyszłam za mąż i nie mam dzieci.

– Ale nie masz siedemdziesięciu lat.

– Jansson jest po prostu nieśmiały, ale z jego głową jest wszystko w porządku. A co, jeśli postanowił popełnić samobójstwo? Może spotkało go coś strasznego?

Nagle uświadomiłem sobie, że Weronika podsunęła mi poszukiwaną od tak dawna odpowiedź. Siedzieliśmy razem na tej samej ławce, na której tyle razy badałem Janssona i nie potrafiłem zdiagnozować u niego żadnej poważnej choroby. Może w końcu jednak się czegoś doszukałem.

– Jako lekarz mam obowiązek dochowania tajemnic w kwestii stanu zdrowia moich pacjentów – powiedziałem. – Więc to, co zaraz usłyszysz, jest tajemnicą, której nigdy nikomu nie zdradziłem. Jeśli później się okaże, że ktoś o tym wie, będzie to oznaczało, że zawiodłaś moje zaufanie.

– Potrafię dotrzymać tajemnicy.

Czułem, że Weronika nikomu tego nie powtórzy.

Szybko poszukałem w głowie jakiejś choroby, z której może wyleczyć jedynie cud.

– Jansson ma raka – oznajmiłem. – Ciężkiego, nieuleczalnego raka trzustki. W dodatku z przerzutami do wątroby. Nie sądzę, żeby dożył lata.

Weronika zrozumiała. Lekarz zawsze mówi prawdę. Być może nawet zdecydowała się na rozmowę właśnie ze mną, bo podejrzewała, że Jansson jest chory. Nie istniało lepsze wytłumaczenie jego nagłego zniknięcia.

– Czy on cierpi? – zapytała.

– Do tej pory udawało się łagodzić ból, ale nie umiem powiedzieć, co będzie dalej.

– I naprawdę nie można mu pomóc?

– Nie.

Nie było wiele więcej do powiedzenia. Weronika zamilkła i wciąż siedziała z cumą w ręce.

– Nie wytrzymam dłużej – odezwała się po chwili. – Rzucam tę kawiarnię i wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Ale na pewno nie prosto w otwarte morze.

Nagle gwałtownie wstała.

– Chciałam, żeby pan o tym wiedział – oznajmiła. – I teraz już pan wie.

Odpłynęła z energicznym szarpnięciem.

Wiedziałem, że nikt nigdy nie odnajdzie Janssona. Skoro zdecydował się umrzeć i zabrać do grobu tajemnicę podpaleń, niech tak będzie. Ostatni list nie miał już nigdy dotrzeć do adresata.

Nie sądziłem też, by Jansson zamierzał popłynąć aż za horyzont. O ile dobrze go znałem, oszukał Alexanderssona. Podejrzywałem, że kiedy znalazł się sam, zawrócił między wyspy, między którymi znajdowało się wiele miejsc głębokich na ponad sto metrów. Z pewnością wolał zatopić siebie i łódź w jednym z nich. Nikt nie będzie go tutaj szukał, bo wszyscy pomyślą, że wypłynął daleko w morze.

Wstałem z ławki. Był to moment w moim życiu, w którym coś stało się jasne i oczywiste. Oto zamknąłem moją prywatną klinikę, raz na zawsze i nigdy nie zamierzałem jej ponownie otworzyć.

Rozpoczęła się odbudowa mojego domu. Towarzyszyłem Kolbjörnowi i jego synowi w roli pomocnika, ale raczej tylko wchodziłem im w drogę. Moja pomoc przydawała się w momentach niepewności dotyczących wyglądu poszczególnych elementów spalonego domu. W mojej pamięci stary dom wciąż stał na swoim miejscu, nietknięty płomieniami.



Już pod koniec czerwca Kolbjörn zakomunikował mi, że do nowego domu będę mógł się wprowadzić już w sierpniu.

Weronika sprzedała kawiarnię parze z Iranu. Zdecydowałem, że sam zorganizuję parapetówkę.

Lisa Modin często odwiedzała moją wyspę i obserwowała postępy w budowie. Ja nie przestawałem marzyć o miłości, która mogłaby urodzić się między nią a mną. Moje nadzieje były płonne, ale mimo to cieszyłem się z jej towarzystwa. Byłem starcem, któremu udało się zdobyć przyjaciółkę. Dzięki Lisie buntowałem się przeciwko własnemu malkontentwu.

Wytrzymałem widok własnej twarzy w lustrze. Dbałem o to, żeby golić się dokładnie i regularnie. Dzięki niej patrzyłem w przyszłość ze względnym optymizmem.

Nie łudziłem się, że Lisa zostanie ze mną na zawsze. Wiedziałem, że pewnego dnia po prostu odejdzie. Do innej gazety albo telewizji, do innego miasta. Nie miałem pojęcia, jak wówczas zareaguję. W takich chwilach moje myśli wędrowały do Louise i jej rodziny.

Moja córka obiecała przyjechać na parapetówkę. Miała przyjechać nie tylko z Agnes, ale i z Ahmedem i jego bratem.

Jednak przez cały ten czas, kiedy mój nowy dom rósł, myślałem również o Janssonie, Oslovskiej i Nordinie. Nie widziałem powodu, by rezygnować z obcowania ze starymi znajomymi tylko dlatego, że już nie żyją.

Rozmawiałem z nimi, słuchałem ich, razem wspominaliśmy stare lata. Często wyobrażałem sobie śmierć Janssona, ostatnie chwile życia Nordina, byłem też ciekaw, czy Oslovská zdążyła zrozumieć, że śmierć zawitała w jej garażu, w którym spędzała każdą wolną chwilę ze swoim DeSoto Fireflite z 1958.

Widziałem w tych ludziach odbicie siebie samego. Tej wiosny i tego lata, kiedy z popiołów wzrastał mój nowy dom, zrozumiałem też, że i oni, patrząc na mnie, musieli widzieć we mnie samych siebie.

Lipiec był wyjątkowo ciepły, ale w pierwszych tygodniach sierpnia spadło dużo deszczu.

Wprowadziłem się do nowego domu 27 sierpnia, choć wiele pomieszczeń było jeszcze nieumeblowanych.

Tego samego wieczoru zjawiała się Lisa i została na noc. Dostała własny pokój.

Nazajutrz Kolbjörn miał przywieźć z portu Louise i jej rodzinę.

Wczesnym rankiem wykąpałem się w morzu, a potem zmierzyłem sobie ciśnienie, usiadłszy na ławce będącej nieodłączną częścią zamkniętej kliniki.

Byłem starym człowiekiem. Lecz jako lekarz musiałem stwierdzić, że dopisywało mi zdrowie.

Zbadawszy się, stanąłem na skraju pomostu i wyrzuciłem stetoskop do wody. Opadł na muliste dno jak martwy wąż.

W tej samej chwili ujrzałem coś, co wydawało się niemożliwe. Jednak po namyśle nabrałem pewności, że to był okoń. Niewielki, ale faktycznie okoń. Uznałem to za dar. Ryba przyplłynęła tu, żeby ofiarować mi siebie w prezencie.

Stetoskop na zawsze spoczął na dnie.

Wiedziałem, że za parę dni pochłonie go muł, prędzej czy później pożerający wszystko, co napotyka na swojej drodze.

Kiedy tak stałem na pomoście, wpatrując się w wodę, nagle zadzwonił telefon. To była Margareta Nordin. Powiedziała, że nareszcie przyszły moje kalosze. Wyraźnie słyszałem, jak bardzo się cieszy.

Poszedłem do domu, który wyrósł ze zgliszczy. Pomyślałem o mrowisku, które uprzątnąłem dziesięć lat temu spod stołu w salonie starego domu. Dzisiejszy dzień był dniem wielkiej radości.

W pokoju, znajdującym się dokładnie w miejscu salonu z mrowiskiem, postawiłem stary stół znaleziony na stryszku w szopie z ciałkami martwych jaskółek. Położyłem na nim słoik z klejem na ptaki oraz pozostałości po klatce. Stary podręcznik do hodowli ptaków podczytywałem co wieczór przed zaśnięciem.

Byłem pewien, że pewnego dnia zrozumie, po co dziadek i babka zajmowali się łapaniem ptaków na posmarowane klejem patyczki. Nie zamierzałem się poddawać, uznawszy, że to doskonałe zadanie dla starego człowieka, jakim byłem.

Spojrzałem przez okno na starą jabłoń. Wyszorowałem ją z sadzy wodą z mydłem i odzyskała swój dawny kolor. Nie miałem pojęcia, czy wyda jeszcze jakieś owoce.

Pod podłogą nowego domu, głęboko w ziemi, tkwiła zamknięta w metalowej puszcze sprzączka buta od Giaconellego. Myśl, że przetrwała gwałtowne płomienie, napawała mnie spokojem.

Był już koniec sierpnia.

Wkrótce miała nadejść jesień.

Ja jednak nie obawiałem się już ciemności.

# Posłowie

Zapewne znajdą się czytelnicy, którzy pomyślą, że rozpoznali opisane w tej książce wyspy, zatoki, cyple i zamieszkujących je ludzi. Lecz prawda jest taka, iż żaden istniejący na świecie archipelag nie jest w istocie tym, który stworzyłem na użytek tej książki.

Kiedy piszę, dużo myślę o niewidzialnych dla oka ruchach dźwigania się i opadania skorupy ziemskiej. Nie zdajemy sobie sprawy z tego procesu, nie wyczuwamy go żadnym zmysłem, lecz on stale nam towarzyszy. Linia brzegowa nieustannie się zmienia, wymyka się naszym zmysłom, pozostaje nieukończona. W podobny sposób fikcja ma się do rzeczywistości. Raz po raz pojawia się między nimi jakieś podobieństwo. Jednak tym, co je od siebie oddala, jest różnica między wydarzeniem, które miało miejsce, a tym, co tylko mogłoby się stać.

Tak musi być. Ponieważ prawda jest zawsze umowna i zmienna.

*Henning Mankell*  
*Antibes, marzec 2015*

---

<sup>1</sup> *Snus* – popularna w Szwecji używka sporządzana na bazie tytoniu. Umieszcza się ją za górną lub dolną wargą, skąd nikotyna przenika do krwi (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Little Gerhard – (Karl-Gerhard Lundkvist, ur. 1934) – szwedzki piosenkarz, który największą popularnością cieszył się od 1958 r. do połowy lat 60. (przyp. tłum.).

Przekład: Ewa Wojciechowska

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Ewa Nosarzewska  
Korekta: Zuzanna Żółtowska, Katarzyna Przeździecka  
Adiustacja: Agnieszka Nowak

Projekt okładki: Elżbieta Chojna  
Fotografie wykorzystane na okładce: © Oleh\_Slobodeniuk / E+ / Getty Images ©  
Sasha Bell / Moment Open / Getty Images

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3324-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**virtualo**